



Stephanie Laurens



Nieuchwytna narzeczona

Czarna Kobra 02

Tytuł oryginału: The Elusive Bride

Prolog

2 września 1822

Droga, z Puny do Bombaju

Al-al-al-al-al!

Wojenne okrzyki ścigających przycichły na moment, kiedy Emily Ensworth wraz z eskortą schroniła się za zakrętem. Wpatrzona w zryty kopytami grunt skupiała się na popędzaniu klaczy do jeszcze szybszego cwału, gnając górskim traktem, jakby od tego zależało jej życie.

Podejrzewała, że istotnie zależało.

Znajdowali się w połowie drogi między Puną, monsunową stolicą wyższych sfer rządzących Bombajem Brytyjczyków, a Bombajem właśnie. Od celu dzieliło ich nadal kilka godzin ostrej jazdy. W pełne spokoju piękno gór, z majestatycznymi drzewami i chłodnym, rześkim powietrzem, ponownie wdarło się zawodzenie ścigających ich jeźdźców.

Już wcześniej dobrze im się przyjrzała. Ubrani jak tubylcy, odznaczyli się owiniętymi wokół głów czarnymi jedwabnymi chustami, których długie końce powiewały, kiedy, błyskając kindzałami, zaciekle zdążali śladem Emily i jej eskorty.

Byli to członkowie kultu Czarnej Kobry. Emily słyszała makabryczne opowieści na ich temat i nie miała najmniejszej chęci stać się bohaterką kolejnej.

Wraz z eskortą żołnierzy pod dowództwem młodego kapitana MacFarlane'a pędzili równym tempem, a jednak członkowie kultu zdołali zmniejszyć dystans. Początkowo Emily była pewna, że umkną pościgowi; teraz zaczynały ogarniać ją wątpliwości.

Kapitan MacFarlane jechał obok niej. Choć była skupiona na prowadzącej ostro w dół drodze, zorientowała się, że obejrzał się przez ramię, a potem zerknął na nią. Już miała warknąć, że do tej pory powinien był zauważyć jej świetną jazdę wierzchem, kiedy wskazał przed siebie.

– Tam! – MacFarlane gestem przywołał porucznika. – Te dwie skały na kolejnej prostej. Wezmę dwóch ludzi i powstrzymamy ich na tyle długo, by panna Ensworth z resztą oddziału uciekła.

– Zostanę z panem! – krzyknął nad głową Emily porucznik. – Binta i pozostali pojedą dalej z memsahib.

Memsahib, czyli Emily, skierowała wzrok na rzezione skały. Dwa potężne głazy o pionowych ścianach, wznoszące się po obu stronach drogi. Nie była wojskowym, ale oceniła, iż trzech mężczyźni mogli wprowadzić opóźnić pościg, lecz z pewnością nie mieli szans go powstrzymać.

– Nie! – W galopie spojrzała na MacFarlane'a. – Zostajemy wszyscy albo wszyscy jedziemy dalej.

Popatrzył na nią zwięzonymi niebieskimi oczami, zaciskając szczęki.

– Panno Ensworth, nie mam czasu na spory. Pojedzie pani dalej z większą częścią oddziału.

Oczywiście i tak się spierała, ale nie słuchał.

Ignorował jej słowa tak dokumentnie, że nagle zrozumiała, iż wiedział, że nie przeżyje. Że zginie tu, na tym trakcie, i nie będzie to przyjemna śmierć.

Pogodził się z tym.

Jego odwaga wstrząsnęła Emily, uciszając ją. Milczała, kiedy dotarli do skał i ściągnęli wodze, tak że konie dreptały w miejscu, kiedy MacFarlane wykrzykiwał rozkazy.

Potem kapitan chwycił uzdę jej klaczy i pociągnął ją dalej drogą.

– Proszę. – Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął złożony pergamin i wepchnął go Emily do ręki. – Proszę to wziąć i dostarczyć pułkownikowi Derekowi Delboroughowi. Znajdzie go pani w forcie w Bombaju. – Zajrzał jej w oczy. – Jest szalenie ważne, żeby przekazała mu to pani do rąk własnych. Jemu i nikomu innemu. Rozumie pani?

Oszołomiona, skinęła głową.

– Pułkownik Delborough, w forcie.

– Zgadza się. A teraz w drogę! – Klepnął jej klacz po zadzie.

Koń skoczył naprzód. Emily wepchnęła pakunek za pazuchę rajtroka i mocniej ścisnęła w garści wodze. Reszta oddziału pogalopowała za nią, osłaniając ją w trakcie ucieczki.

Obejrzała się przed kolejnym zakrętem. Dwóch kawalerzystów zajmowało pozycje za skałami. MacFarlane właśnie uwalniał i odpędzał konie.

Potem skręcili i zniknął jej z oczu.

Musiała jechać dalej. Nie pozostawił jej wyboru. Jeśli nie dotrze do Bombaju i nie dostarczy przesyłki, jego śmierć – jego poświęcenie – pójdą na marne.

Wykluczone. Nie mogła do tego dopuścić.

Jednakże był taki młody.

Łzy napłynęły jej do oczu. Odpędziła je wściekłym mruganiem.

Musiała skupić się na nierównej drodze i jechać.

Później tego samego dnia

Fort Kompanii Wschodnioindyjskiej, Bombaj

Emily z opanowaniem popatrzyła na sipaja, który pełnił wartę przy bramie fortu. – Kapitan MacFarlane?

Jako bratanica gubernatora Bombaju, od pół roku goszcząca u stryja, miała prawo pytać i oczekiwać, że otrzyma odpowiedź.

Pomimo oliwkowej skóry sipaj wyraźnie zbladł, w jego oczach zagościły smutek i współczucie.

– Bardzo mi przykro, panienko, kapitan nie żyje.

Spodziewała się tego, a jednak... Spuściła wzrok, przełykając ślinę, po czym znów uniosła głowę i głęboko odetchnęła. Popatrzyła na wartownika jeszcze bardziej władczo.

– Chcę mówić z pułkownikiem Delboroughem. Gdzie go znajdę?

Odpowiedź brzmiała: w barze dla oficerów, na który wykorzystano obudowaną frontową werandę kantyny oficerskiej. Emily nie była pewna, czy jej – kobiecie – wypada tam wchodzić, lecz ten drobiazg by jej nie powstrzymał.

Wspięła się po niskich stopniach, a w ślad za nią podążyła Idi, hinduska pokojówka, którą Emily wypożyczyła od stryja. Kiedy stanęła na zacienionej werandzie, zatrzymała się, czekając, aż oczy przyzwyczają jej się do półmroku.

Omiotła spojrzeniem wnętrze baru. Z wnęki na końcu dobiegał znajomy brzęk kul bilardowych, przy okrągłych stolikach siedziały dwu- i trzyosobowe grupki oficerów, a jedna, liczniejsza, okupowała daleki prawy narożnik werandy.

Naturalnie, wszyscy zauważyli jej przybycie. Prędko podszedł do niej chłopiec z obsługi.

– Panienko?

Emily przeniosła wzrok z grupy w narożniku na chłopca.

– Szukam pułkownika Delborougha – rzekła. – Poinformowano mnie, że znajdę go tutaj.

Chłopiec się pokłonił.

– Tak, panienko. – Odwrócił się, wskazując na grupę w narożniku. – Jest tam, ze swoimi ludźmi.

Czy MacFarlane także służył pod Delboroughem? Emily podziękowała chłopcu i skierowała się do stolika w rogu.

Siedzieli przy nim czterej potężnie zbudowani oficerowie. Wstali wolno, kiedy się zbliżała. Przypomniawszy sobie o zdążającej za nią posłusznie Idi, Emily przystanęła i wskazała jej krzesło z boku.

– Poczekaj tam.

Przesłaniając twarz końcem sari, Idi potaknęła i usiadła.

Emily odetchnęła głęboko i uniosła głowę, po czym ruszyła dalej.

Podchodząc bliżej, z uwagą przyjrzała się mężczyznom. Nie ich twarzom; nawet bez patrzenia wiedziała, że maluje się na nich zawziętość. Słyszeli już o śmierci MacFarlane'a, niemal na pewno orientowali się, w jaki sposób zginął – były to szczegóły, których sama Emily nie chciała poznawać. Sunęła wzrokiem po ich szerokich ramionach, szukając epoletów pułkownika.

Mimochodem odnotowała, że ci mężczyźni, wysocy, muskularni, emanujący surową fizyczną siłą, w potocznym kobiecym języku zostaliby określani jako „imponujący”. Zdziwiło ją, że nie spotkała żadnego z nich na salonach, na których w minionych miesiącach bywała z ciotką.

Kapitan, blondyn o włosach jaśniejszych niż włosy MacFarlane'a, oraz dwóch majorów, jeden jasny szatyn... z wysiłkiem oderwała od niego oczy, żeby spojrzeć na drugiego, o bujnej ciemnej czuprynie, aż wreszcie odnalazła w tym gronie pułkownika – przypuszczalnie Delborougha. On także miał ciemne włosy.

Zatrzymała się przed nim i podniosła wzrok na jego twarz, zaciskając zęby, żeby obronić się przed wzbierającymi przy tym stole emocjami. Nie

mogła im ulec. Nie mogła się rozpląkać. Wylała już morze łez, kiedy dotarła do domu stryja, a przecież nie znała MacFarlane'a tak dobrze jak – wnioskując z intensywności malujących się na ich obliczach uczuć – ci czterej.

– Pułkownik Delborough?

Pułkownik skłonił głowę, wpatrując się w Emily ciemnymi oczami.

– Szanowna pani?

– Jestem Emily Ensworth, bratanica gubernatora. Ja... – Przypomniała sobie instrukcje MacFarlane'a: do rąk własnych Delborougha, nikogo innego. Zerknęła na pozostałych oficerów. – Czy mogłabym pana prosić na słówko na osobności, pułkowniku?

Delborough się zawahał.

– Każdy z mężczyzn przy tym stoliku jest długoletnim przyjacielem i towarzyszem broni Jamesa MacFarlane'a – powiedział. – Pracowaliśmy razem. Jeśli pani sprawa do mnie ma cokolwiek wspólnego z Jamesem, proszę, żeby przedstawiła ją pani nam wszystkim.

W jego oczach wyczytała zmęczenie i ogromny smutek. Popatrzyła na jego towarzyszy, na ich zacięte twarze, kiedy starali się ukryć emocje. Skinęła głową.

– Dobrze.

Między dwoma majorami stało puste krzesło. Szatyn odsunął je dla niej.

Przelotnie zajrzała w jego ciemne, orzechowej barwy oczy.

– Dziękuję.

Usiadła, nie zważając na nagłe, dziwne drżenie w podbrzuszu. Z determinacją spojrzała przed siebie – i odkryła, że wpatruje się w opróżnioną w trzech czwartych butelkę araku, stojącą pośrodku blatu.

Krzesła zaszurały, kiedy mężczyźni na powrót zajmowali miejsca.

Skierowała wzrok na Delborougha.

– Zdaję sobie sprawę, że to zapewne niezgodne z przepisami, ale czy mogłabym dostać szklaneczkę tego...?

– To arak – wyjaśnił, patrząc jej w oczy.

– Wiem.

Dał znak chłopcu z obsługi, żeby przyniósł jeszcze jedną szklanę. Kiedy czekali, Emily otworzyła pod stołem torebkę i wyjęła z niej pakunek od MacFarlane'a.

Pojawił się chłopiec ze szklanką, a Delborough nalał do niej pół miarki.

Emily z krzywym uśmiechem przyjęła trunek i upiła łyček. Zmarszczyła nos, ponieważ jednak stryj pozwolił jej nieco poeksperymentować z alkoholem, знаła jego pokrzepiające właściwości. Pociągnęła większy łyk, nim opuściła szklanę. Spojrzała na pułkownika.

– Spytałam przy bramie i mi powiedzieli. Bardzo mi przykro, że kapitanowi MacFarlane'owi się nie udało.

Delborough nie zdołałby przybrać bardziej kamiennego wyrazu twarzy, lecz mimo to skłonił głowę w podziękowaniu.

– Gdyby zechciała nam pani opowiedzieć, co się wydarzyło, od samego początku, pomogłoby nam to zrozumieć.

Byli przyjaciółmi MacFarlane'a, musieli poznać prawdę.

– Tak, oczywiście. – Odkaslnęła. – Opuściliśmy Punę bardzo wcześnie.

Zrelacjonowała wydarzenia bez zbędnych upiększeń. Kiedy dotarła do rozstania z dzielnym kapitanem, przerwała na chwilę i osuszyła szklanę.

– Usiłowałam się spierać, lecz nie dopuszczał żadnych argumentów. Odciągnął mnie nieco naprzód i dał to. – Uniosła pakunek. Położyła go na blacie i pchnęła w kierunku Delborougha. – Kapitan MacFarlane prosił, żebym to panu dostarczyła. – Zwięźle kontynuowała opowieść, kończąc słowami: – On zawrócił z paroma ludźmi, a pozostali udali się ze mną.

Kiedy umilkła, intrygujący major po jej lewej poruszył się.

– Pani zaś odesłała ich, kiedy tylko stwierdziła, że nic jej już nie grozi – powiedział łagodnie. Gdy popatrzyła na niego, a ich oczy się spotkały, dodał:

– Zrobiła pani, co było w jej mocy.

Ledwie na horyzoncie pojawił się Bombaj, nalegała, żeby oddział wrócił pomóc towarzyszom, zostawiając jej dwóch ludzi jako eskortę. Niestety, przybyli za późno.

Delborough położył dłoń na pergaminie i przyciągnął go do siebie.

–I postąpiła pani słusznie – powiedział.

Zamrugła, a potem wysunęła brodę, patrząc na pakunek.

– Nie wiem, co jest w środku, nie zaglądałam. Lecz o cokolwiek chodzi... mam nadzieję, że okaże się warte jego poświęcenia. – Podniosła wzrok na Delborougha. – Zostawiam to w pańskich rękach, pułkowniku, tak jak obiecałam kapitanowi MacFarlane'owi. – Odepchnęła się od stolika.

Wstali wszyscy. Brązowowłose major odsunął dla niej krzesło.

– Pozwoli pani, że zorganizuję eskortę, która odprowadzi panią do domu gubernatora – powiedział.

Z wdziękiem skłoniła głowę.

– Dziękuję, majorze.

Kam on był? Jej nerwy znów drżały z napięcia. Stał bliżej niż przedtem; Emily wątpiła, by za jej zawroty głowy odpowiadał arak.

Zmusiła się do skupienia uwagi na trzech pozostałych mężczyznach.

– Dobranoc, pułkowniku. Żegnam, panowie.

– Panno Ensworth. – Pokłonili się jej.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia, a major wolno kroczył u jej boku. Skinęła na Idi, by podążyła za nią.

Zerknęła na pozbawioną wyrazu twarz majora. Odkaszlnęła.

– Zatem wszyscy panowie dobrze znali kapitana?

– Służyliśmy razem, ramię w ramię, przez ponad osiem lat – odparł, spoglądając na nią. – Był naszym towarzyszem broni i bliskim przyjacielem.

Już wcześniej przyjrzała się ich mundurom, lecz dopiero teraz uderzył ją pewien szczegół. Popatrzyła na majora. – Nie służą panowie w regularnej armii.

– Nie. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Jesteśmy ludźmi Hastingsa.

Markiza Hastingsa, gubernatora generalnego Indii. Oni czterej, oraz MacFarlane, pracowali bezpośrednio dla niego?

– Rozumiem. – Nie rozumiała, lecz stryj z pewnością ją oświeci.

Stanęli na stopniach werandy.

– Zechce pani tu chwilę poczekać?

Tak naprawdę to nie było pytanie. Emily zatrzymała się, z Idi u boku, i obserwowała, jak major podnosi rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę sierżanta, sipaja musztrującego oddział na majdanie.

Sierżant stawiał się natychmiast. W kilku słowach major zorganizował dla Emily grupę sipajów, która miała eskortować ją do rezydencji gubernatora w głębi miasta.

Jego wrodzone, lecz zarazem subtelne zdolności przywódcze, jak również pilność i chęć – wręcz zapał – z jakimi sierżant wypełnił rozkaz, zaimponowały Emily nie mniej niż fizyczność majora.

Kiedy sipaje spieszenie ustawiali się przed schodami, Emily odwróciła się do stojącego obok niej żołnierza i wyciągnęła rękę.

– Dziękuję, majorze...?

Zamknął jej dłoń w ciepłym, mocnym uścisku, przelotnie zajrzał jej w oczy, a później ukłonił się lekko.

– Major Gareth Hamilton, panno Ensworth.

Puścił jej dłoń, popatrzył na wyprężonych sipajów, skinął głową na znak aprobaty, po czym znów odwrócił się do Emily.

– Proszę, niech pani będzie ostrożna – rzekł, raz jeszcze zagładając jej w oczy.

Zamrugła.

– Tak, oczywiście.

Serce trzepotało jej się w piersi. Nadal czuła dotyk jego palców. Zaczepnęła tchu, którego zaczynało jej brakować, skinęła głową i zstąpiła w kurz majdanu.

– Do widzenia, majorze.

– Do widzenia, panno Ensworth.

Gareth stał na schodach i przyglądał się, jak Emily Ensworth idzie przez spaloną słońcem ziemię ku masywnej bramie fortu. Z porcelanową cerą, zaróżowioną i gładką, delikatnymi rysami twarzy i jasnobrązowymi włosami, wyglądała na wskroś angielsko, niczym uosobienie ideału uroczej angielskiej panny, jaki towarzyszył mu przez lata służby.

Niewątpliwie z tego powodu poczuł się tak, jakby właśnie spotkał swoją przyszłość.

Jednakże to nie mogła być ona, nie teraz.

W tej chwili wzywał go obowiązek.

Obowiązek oraz pamięć Jamesa MacFarlane'a.

Odwrócił się, pokonał schody i wszedł z powrotem do baru.

5 września. 1822

Mój pokój w rezydencji gubernatora, Bombaj

Drogi pamiętniku,

Czekam już od tak dawna, że przyznaję, iż zwątpiłam, że to kiedykolwiek się zdarzy, dlatego teraz, kiedy pojawiła się szansa, podchodzę do niej z

ostrożnością. Czy o to chodziło moim siostrom, kiedy mówiły, że po prostu będę wiedzieć? Nie da się ukryć, że moje podbrzusze i nerwy okazały się nadspodziewanie wrażliwe na bliskość majora Hamiltona (dokładnie tak, jak przepowiedziały to Ester, Meggie i Hilary), na ile jednak wiarygodne są te oznaki?

Z drugiej strony, czyż nie byłby to typowy psikus losu? Oto ja, u końca pobytu w Indiach (dokąd przysłano mnie, bym poszerzyła horyzonty w zakresie dżentelmenów do wzięcia, oglądając liczne okazy o różnorodnych charakterach, zdolne zaspokoić moją sławetną „wybredność”) wreszcie natykam się na osobnika, który nie jest mi obojętny, a przez cały dzień udaje mi się poznać zaledwie jego nazwisko i pozycję.

Co gorsza, ciocia Selma została w Punie, zbyt daleko, by służyć mi radą, tak więc do zaspokojenia moich potrzeb informacyjnych będę musiała wykorzystać stryja. Aczkolwiek trzeba przyznać, że stryj Ralph udziela odpowiedzi, nie wnikając, jakie są powody moich dociekań, która to okoliczność nader mi odpowiada.

Dopóki nie dowiem się więcej na temat majora Hamiltona, nie zdołam rozstrzygnąć, czy (na co zaczynam mieć żarliwą nadzieję) jest on „tym jedynym” – moim „jedynym”, mężczyzną dla mnie – zatem w tej chwili najpilniejsza kwestia to zdobycie dalszych informacji na jego temat, lecz od kogo?

Powinnam także spędzić z nim więcej czasu, lecz jak?

Muszę znaleźć sposób, zostało mi tylko kilka dni.

Po tylu latach czekania na niego, po przebyciu tak długiej drogi do tego spotkania, nie potrafię znieść myśli, że mogłabym tak po prostu opuścić Indie, porzucając mego „jedynego”.

E.

10 września 1822

Rezydencja gubernatora, Bombaj

Emily ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na chłopca ze służby, który stał w plamie słonecznego światła na jedwabnym kilimie w saloniku jej ciotki.

– Wyjeżdża?

Chłopiec, Chandra, skinął głową.

– Tak, panienko. Podobno on i jego towarzysze złożyli rezygnacje, przybici śmiercią swojego przyjaciela kapitana.

Oparła się pragnieniu, by ukryć głowę w ramionach. Co, u diabła, zamierzał Hamilton? Jak mógł być jej „jedynym”, skoro okazał się umykającym do Anglii tchórzem? Co z honorem, nakazującym pomścić przyjaciela – kompana i towarzysza broni, zabitego w wyjątkowo makabryczny sposób?

Oczywiście wyobraźni ponownie ujrzała czterech mężczyzn, stojących wokół stolika w barze dla oficerów. Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się.

– Wszyscy złożyli rezygnacje? Wszyscy czterej? – Kiedy Chandra skinął głową, doprecyzowała: – I wszyscy wracają do Anglii?

– Takie krążą plotki. Rozmawiałem z kimś, kto zna ich służących. Bardzo się ekscytują, że zobaczą Anglię.

Emily odchyliła się na oparcie krzesła przy biurku ciotki i znów pomyślała o tych czterech mężczyznach, o wrażeniu, jakie na niej wywarli, przypomniała sobie pakunek, który przekazała Delboroughowi, po czym w duchu pokręciła głową. Wydawało się nieprawdopodobne, by choć jeden z nich uciekł z podkulonym ogonem, a cóż dopiero cała czwórka! Na razie jeszcze nie straci wiary w Hamiltona.

Coś planowali.

Zastanawiała się, co takiego.

Osiemnastego tego miesiąca miała zaokrętować się na statek i pożegłować do Southampton. Przed wyjazdem musiała zdobyć więcej informacji o Hamiltonie. Znacznie więcej. Kiedy zyska pewność, że major jednak nie jest tchórzem, jak by na to wskazywały jego aktualne poczynania, wówczas, skoro wracał do domu, mogłaby zaaranżować – jakoś zaaranżuje – spotkanie z nim w Anglii.

Najpierw wszakże...

Spojrzała znów na Chandrę.

– Skup się na majorze Hamiltonie. Zobacz, czego uda ci się dowiedzieć o jego planach, nie tylko od służby, ale także w koszarach i innych miejscach, gdzie bywa. Bacz jednak, żeby cię nie złapano.

Chandra wyszczerzył w uśmiechu zęby, uderzająco białe w jego mahoniowej twarzy.

– Panienska może liczyć na Chandrę.

– Wiem o tym – odparła z uśmiechem.

Przylapała go kiedyś na hazardzie, zakazanym wśród służby gubernatora, ale gdy dowiedziała się, że potrzebuje rupii na lekarstwo dla matki, zadbała o to, by wypłacono mu pensję z góry, a także by jego matka, również pracująca w rezydencji gubernatora, otrzymała lepszą opiekę. Od tamtej pory Chandra z chęcią spełniał każde jej życzenie. A ponieważ był bystry, spostrzegawczy i świetnie wtapiał się w tłum na ruchliwych ulicach Bombaju, okazał się szalenie użyteczny w śledzeniu Hamiltona i jego trzech towarzyszy.

– Jeszcze jedno... Hamilton nie przyjaźni się z innymi Anglikami, z nikim oprócz tych trzech oficerów?

– Zgadza się, panienko. Kilka miesięcy temu przyjechali razem z Kalkuty i trzymali się we własnym gronie.

To tłumaczyło, dlaczego poczta pantoflowa bombajskich kręgów towarzyskich nie dostarczyła jej żadnych informacji na temat Hamiltona. Emily skinęła Chandrze głową.

– Dobrze. Daj mi znać, kiedy czegoś się dowiesz.

15 września 1822

Rezydencja gubernatora, Bombaj

– Opuścił Bombaj? – Emily ze zdumieniem wpatrywała się w Chandrę.
– Kiedy? Jak?

– Dziś rano, panienko. Popłynął słupem* do Adenu.

– Razem ze służbą?

– Tak słyszałem, panienko. Kiedy tam dotarłem, już ich nie było.

– A pozostali trzej... też wyjechali? – zapytała, myśląc gorączkowo.

– Miałem okazję wypytać tylko o pułkownika, panienko. Wygląda na to, że opuścił Bombaj dziś rano na statku Kompanii. Wszyscy się zdziwili. Nikt nie wiedział, że planują wyruszyć tak szybko.

Statek Kompanii to był gigantyczny East Indiaman, który szedł do Southampton, opływając Przylądek. Za kilka dni Emily miała zaokrętować się na bliźniaczą jednostkę.

– Sprawdź, co ci się uda ustalić na temat dwóch pozostałych, drugiego majora i kapitana – poleciła. Jeśli wszyscy czterej w pośpiechu opuścili Bombaj...

Chandra pokłonił się i wyszedł.

Czuła, że zaczyna ją boleć głowa.

**Słup – łódź żaglowa o jednym maszcie – przyp. red.*

Gareth Hamilton – jej domniemany „jedyny” – opuścił Bombaj szlakiem dyplomatycznym. Dlaczego?

Niezależnie od motywów, jakie kierowały majorem, jego nagły wyjazd pozostawił Emily z bardzo ważnym pytaniem, na które dotąd nie знаła odpowiedzi, oraz wymuszał na niej podjęcie jeszcze ważniejszej decyzji. Czy major rzeczywiście był jej „jedynym”? Musiała spędzić z nim więcej czasu, żeby to stwierdzić. Jeśli chciała zyskać ów czas, nadal miała szansę ruszyć jego śladem. Pod warunkiem, że zacznie działać od razu.

Powinna jechać za nim czy pozwolić mu odejść?

Zamknęła oczy i powróciła do tych chwil w barze dla oficerów, jedynych, na podstawie których mogła wyrobić sobie o nim jakieś zdanie. Zaskakująco wyraźnie poczuła znowu dotyk jego palców, puls gwałtownie jej przyspieszył, raz jeszcze przeszył ją dreszcz.

Poczuła, przypomniała sobie, przeżyła na nowo.

Z westchnieniem uniosła powieki. Jednemu nie dało się zaprzeczyć.

Ze wszystkich napotkanych dotąd mężczyzn tylko Gareth Hamilton wywołał w Emily jakąkolwiek reakcję.

Tylko przy nim szybciej zabiło jej serce.

16 września 1822

Rezydencja gubernatora, Bombaj

– Dobry wieczór, stryju.

Emily weszła do jadalni i zajęła miejsce po prawej ręce stryja. Jedli obiad tylko we dwoje. Ciotka nadal przebywała w Punie, co w tych okolicznościach było bardzo korzystne. Emily strzepnęła serwetkę i uśmiechnęła się do kamerdynera. Poczekała, aż ją obsłuży i wycofa się, zanim podjęła:

– Chciałabym coś ogłosić.

– Ach tak? – Stryj Ralph spojrział na nią ostrożnie. Uśmiechnęła się. Ona i Ralph zawsze świetnie się rozumieli.

– Nie martw się, stryju, chodzi tylko o drobną zmianę planów. Jak wiesz, za dwa dni miałam opuścić Bombaj na statku Kompanii, ale po rozmowach z paroma osobami uznałam, że skoro przybyłam tu tą trasą, wrócić do domu powinnam inną, krótszą i bardziej malowniczą. – Zatoczyła łuk widelcem. – Zobaczyć Egipt i piramidy. Ponieważ to szlak dyplomatyczny, nie sędzę, by groziło mi jakieś poważne niebezpieczeństwo, a w razie gdyby jednak pojawiły się kłopoty, po drodze nie zabraknie ambasad i konsulatów, do których będę się mogła zwrócić po pomoc.

Ralph przez chwilę przeżuwał, marszcząc brwi.

– Twojemu ojcu ten pomysł się nie spodoba. Z drugiej strony, usłyszysz o wszystkim dopiero, kiedy bezpiecznie dotrzesz do domu.

– Wiedziałam, że wychwycisz najistotniejszy szczegół. – Emily uśmiechnęła się szeroko. – Naprawdę nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wracała inną drogą.

– Przy założeniu, że uda ci się w tak krótkim czasie zorganizować sobie transport. Twoi rodzice oczekują cię za cztery miesiące. Podróżując przez Kair, zdołasz ich zaskoczyć, jeśli znajdziesz kajutę... – Ralph urwał, widząc, że jej twarz się rozjaśnia. – Wnoszę z tego, że już znalazłaś.

Emily przytaknęła.

– I tak, to słup, z którego usług korzysta regularnie Kompania, więc kapitan i załoga są godni zaufania.

Ralph zastanowił się, po czym skinął głową.

– No cóż, jesteś najrozsądniejszą znaną mi młodą damą, a ponadto będą ci towarzyszyć Watson i Mullins, ufam zatem, że nic ci się nie stanie. – Uniósł pytająco brew. – Kiedy wyruszasz?

Rozdział 1

17 września 1822

Moja kajuta na pokładzie słupa "Mary Alice"

Drogi pamiętniku, Postaram się jak zwykle dokonywać wpisów każdego popołudnia o piątej, zanim przebiorę się do kolacji. Tego ranka opuściłam Bombaj i wydaje mi się, że „Mary Alice” w niezłym tempie tnije fale w drodze do Adenu.

Owszem, przyznaję, że poczynam sobie nad wyraz śmiało, ścigając dżentelmena, majora Hamiltona, niemniej, jak powszechnie wiadomo, śmiałym szczęście sprzyja. W istocie, nawet moi rodzice przyznaliby, że robię tylko to, co konieczne. Przysłali mnie do Bombaju, ponieważ ociągałam się z wyborem któregoś ze starających się o moją rękę młodych ludzi, upierając się przy czekaniu na tego „jedyne”, wzorem moich sióstr (i, jak przypuszczam, także szwagierek). Zawsze stałam na stanowisku, że wystarczy poczekać, a właściwy mężczyzna w końcu się zjawi, jeśli zaś okazałby się nim major Hamilton, wówczas nie sądzę, by ktokolwiek protestował przeciw temu, że go ścigam, będąc wszak w zaawansowanym wieku dwudziestu czterech lat.

Oczywiście, nie rozstrzygnęłam jeszcze, czy naprawdę jest on moim „jedyne”, lecz by to ustalić, muszę go znów spotkać.

A skoro o tym mowa... on i jego ludzie wyprzedzają mnie o dwa dni.

Ciekawe, jak szybko może płynąć słup?

E.

1 października 1822

Moja kajuta na pokładzie słupa "Mary Alice"

Drogi pamiętniku,

Odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie brzmi: zadziwiająco szybko, kiedy zaryzykuje się postawienie wszystkich żagli. Oplaciło się trochę

poczarować kapitana, aby zademonstrował możliwości swego statku. Zeszłej nocy minęliśmy „Czapłę”, słupek przewożący majora i jego służbę. Przy odrobinie szczęścia i pomyślnych wiatrach wysiądę w Adenie przed nim, dzięki czemu nie przyjdzie mu do głowy podejrzewać, że go śledzę.

E.

2 października 1822 Aden

– Co, u licha...?

Gareth Hamilton stał na dziobie „Czapli” i z niedowierzaniem wpatrywał się w jasnoróżową parasolkę, kołyszącą się w tłumie na nabrzeżu.

Weszli do portu w ślad za innym słupem Kompanii i musieli poczekać, aż skończy się rozładunek tej jednostki, „Mary Alice”.

Dlatego torby Garetha, wraz z niewielkim bagażem jego skromnej, lecz wydajnej grupki służących – ordynansa Bistera, służącego Mooktu, byłego sipaja, oraz jego żony, Arni – dopiero teraz układano w stos na drewnianym nabrzeżu. Jednakże nie to stanowiło przyczynę jego, łagodnie rzecz ujmując, konsternacji.

Zauważył tę parasolkę już wcześniej, kiedy z kołysaniem przesuwała się po trapie „Mary Alice”, przycumowanej prawie na samym końcu długiego nabrzeża. Przyglądał się, jak jej właścicielka, dama w sukni w identycznym jak parasolka odcieniu jasnego różu, lawiruje w tłumie. Potężny mężczyzna torował dla niej drogę przez hałaśliwe, przepychające się ludzkie masy, za nią zaś podążał oddział służby. Żeby dostać się do miasta, cała grupa musiała przejść obok „Czapli”.

Z początku Gareth nie widział twarzy owej damy. Kiedy jednak mijala „Czapłę”, przekrzywiła parasolkę, by zerknąć na statek, a wtedy ujrzął... twarz, której nigdy więcej nie spodziewał się zobaczyć.

Twarz nawiedzającą go w snach przez kilka ostatnich tygodni.

Jednakże ta przeklęta parasolka nieomal natychmiast znów przesłoniła mu widok. – Do diabła!

Część jego umysłu spokojnie argumentowała, że to nie może być ona, że wzrok spletał mu figla. Inna część, bardziej intuicyjna, miała już pewność.

Zawahał się, czekając, aż znów zobaczy twarz tej kobiety – żeby się przekonać.

Kątem oka spostrzegł w tłumie jakiś ruch.

Członkowie kultu.

Krew stężała mu w żyłach. Wiedział, że będą na niego czekać; on i jego ludzie spodziewali się powitania.

W przeciwieństwie do Emily Ensworth i jej świty.

Przeskoczył ponad nadburciem i wylądował na nabrzeżu, nie spuszczać wzroku z kobiety. Z rozpędu wstał z przysiadu i rzucił się naprzód, siłą impetu rozszczepiając tłum. Zrównał się z Emily Ensworth akurat w porę, by chwycić ją i odciągnąć na bok, ratując przed ostrzem złooczyńcy.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale ów odgłos utonął w kakofonii okrzyków, wrzasków i nawoływań. Kilka osób widziało atak, kiedy jednak w tłumie nastąpiło poruszenie, kiedy wszyscy rozglądali się za napastnikiem, członkowie kultu się ulotnili. Górujący wzrostem nad ciżbą Gareth widział, jak się wycofują. Ponad głowami tłumu napotkał spojrzenie jednego z członków kultu, starszego, czarnobrodego mężczyzny. Mimo dzielącej ich odległości wyczuł wrogość w jego wzroku. Potem mężczyzna odwrócił się i zniknął w ścisku.

U boku Garetha pojawił się Mooktu.

– Ruszamy w pościg?

Bister już zapuścił się głębiej w ciżbę, tropiąc.

Wszystkie instynkty nakazywały Garethowi ścigać, dopaść i odpowiednio potraktować każdego członka kultu, który się nawinie. Jednakże... Spuścił wzrok na kobietę, którą nadal przytrzymywał, zaciskając dłonie na jej ramionach.

Jej parasolka przekrzywiła się na bok, tak że spojrzał w szeroko rozwarte, brązowozielone oczy. Na twarz równie doskonałą, jak ją zapamiętał, tyle że teraz pobladła. Była oszołomiona.

Przynajmniej nie krzyczała.

– Nie. – Gareth spojrzał na Mooktu. – Musimy prędko wydostać się z portu.

Mooktu skinął głową.

– Zbiorę pozostałych.

Odszedł, a Gareth puścił pannę Ensworth. Delikatnie, jakby była z porcelany i w każdej chwili mogła się potłuc.

– Wszystko w porządku?

Kiedy cofnął ciepłe, silne dłonie, Emily zamrugowała.

– T-tak.

Chyba właśnie doznała szoku.

W istocie, zadziwiająco, że nie zemdląca. Chwycił ją, uratował, a potem tulił do siebie, do swego twardego, bardzo ciepłego – by nie rzec: gorącego – ciała.

Przypuszczała, że to doświadczenie odmieniło ją na zawsze.

– Aaaa...

Gdzie podziała wachlarz, kiedy był jej potrzebny? Rozejrzała się, jej uszy nagle zaatakował hałas. Wszyscy wkoło coś mówili, w kilku różnych językach.

Hamilton ani drgnął. Stał niewzruszenie niczym skała wśród przepływających tłumów. Emily nie była zbyt dumna na to, by skorzystać z ofiarowanej przez niego osłony.

Wreszcie zlokalizowała Mullinsa – jej szpakowaty przyboczny, były żołnierz, ciężkim krokiem wyłonił się z ciżby. Tuż przed atakiem fala ludzkich ciał pchnęła go naprzód, oddzielając od reszty grupy; później napastnik wstąpił między Emily a podążającego tuż za nią Watsona, jej przewodnika.

Jej ludzie byli uzbrojeni, skoro jednak w powstałym zamieszaniu zgubili napastnika, stopniowo wracali. Mimo że Hamilton nie miał na sobie munduru, Mullins rozpoznał w nim żołnierza i zasalutował krótko.

– Dziękujemy, *sir*. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie pan.

Emily odnotowała, że Hamilton zacisnął wargi w wąską kreskę. Cieszyła się, że nie powiedział na głos tego, co było oczywiste: gdyby nie jego interwencja, już by nie żyła.

Reszta służby zebrała się wokół niej, zaniepokojona. Emily szybko przedstawiła wszystkich, podając ich funkcje – Mullinsa, Watsona, jego młodego siostrzeńca Jimmy'ego i Dorcas, swoją bardzo angielską pokojówkę.

Hamilton skinieniem głowy przyjął informacje do wiadomości, a później przeniósł wzrok z Emily na Watsona.

– Gdzie planowaliście się zatrzymać?

Hamilton i jego ludzie – ordynans, mężczyzna dwudziestokilkuletni, ale z wypisanym na twarzy doświadczeniem, dziki pasztuński wojownik i jego równie groźna żona – eskortowali jej grupkę z portu, a potem, z załadowanym na drewniany wózek bagażem, podążyli wszyscy dalej ulicami Adenu, aż na obrzeża dzielnicy dyplomatycznej, gdzie mieścił się polecony Emily przez stryja, dyskretnie elegancki hotel.

Hamilton zatrzymał się na ulicy przed budynkiem, obejrzał go, a potem rzekł po prostu:

– Nie. – Popatrzył na nią, a później na Mullinsa. – Nie możecie się tu zatrzymać. Za dużo wejść.

Na nowo oszołomiona – a nie zdołała dotąd na tyle uporządkować myśli, by zastanowić się nad znaczeniem niedawnego ataku – popatrzyła na Mullinsa. Ten pokiwał szpakowatą głową.

– Ma pan rację – przyznał. – Śmiertelna pułapka, ot co. – Zerknąwszy na Emily, dodał: – W tych okolicznościach.

– Obawiam się – podjął gładko Hamilton, nim zdążyła zaprotestować – że przez jakiś czas powinniśmy trzymać się razem.

Spojrzała na niego. Pochwycił jej wzrok.

– Trzeba znaleźć coś znacznie mniej... oczywistego.

Nie było absolutnie nic oczywistego w domu w arabskiej dzielnicy, który Emily jakiś czas później zaszczyliła swoją obecnością. Musiała przyznać, że ten rodzinny gościniec, zlokalizowany w pobliżu portu, z dala od obszarów zamieszkiwanych przez Europejczyków, jest chyba ostatnim miejscem, gdzie komukolwiek przyszłoby do głowy szukać bratanicy gubernatora Bombaju.

Skromny dom, skryty za wysokim kamiennym murem w głębi bocznej uliczki, został rozplanowany wokół dziedzińca. Właściciele, arabska rodzina, zajmowali jedno skrzydło, pozostawiając dla gości główne pomieszczenia mieszkalne oraz dwa skrzydła z pokojami sypialnymi.

W tej chwili byli tu jedynymi gośćmi. Na ile Emily zrozumiała z negocjacji, Hamilton wynajął cały dom na czas ich pobytu w mieście.

Nie skonsultował z nią tego, nie poinformował jej nawet o swych zamiarach. W ogóle niczego jej nie wyjaśnił, a po prostu zgarnął ją i jej ludzi z portu, po czym umieścił tutaj.

Przynajmniej byli bezpieczni. W każdym razie na tyle, na ile się dało.

Przez cały ten czas Emily była nieco rozkojarzona, gdyż wreszcie uderzyło ją znaczenie ataku w porcie. Świadomość, że o włos uniknęła śmierci, otrzeźwiła ją i nią wstrząsnęła, lecz przy tej okazji pojawiły się też nowe pytania – takie, na które nie potrafiła odpowiedzieć.

Nie wątpiła, że Hamilton potrafi. Kiedy tylko jej ludzie się rozlokowali i zmyła z siebie uliczny kurz, przeszła do pomieszczenia służącego tu za salon.

Zastała tam Hamiltona, samego, usadowionego na jednej z długich, zarzuconych poduszkami otoman. Podniósł wzrok, zobaczył ją i wstał.

Zbliżyła się ze swobodnym uśmiechem i usiadła na otomanie, po jego lewej. Przez otwarte na oścież, szerokie drzwi naprzeciw widać było dziedziniec z małą sadzawką pośrodku i dającym cień drzewem.

Hamilton na powrót zajął swoje miejsce.

– Ja... ee... cóż... mam nadzieję, że niczego pani nie brakuje.

– Pokoje są zadowolające, dziękuję. – Przywykła do wyższego standardu, niemniej były czyste i dostatecznie wygodne, nadadzą się. – Jednakże – ciągnęła, wbijając w niego wzrok – chętnie uzyskałabym od pana odpowiedź na kilka pytań, majorze. Widziałam napastnika tylko przelotnie, ale rozpoznałam w nim członka kultu Czarnej Kobry. Nie rozumiem natomiast, dlaczego mnie zaatakował, ani też skąd w ogóle członek kultu wziął się w Adenie.

Jako że nie zasypał jej uspokajającymi słowami, kontynuowała:

– Zetknęłam się z kultem Czarnej Kobry tylko raz, przy okazji zdarzenia z kapitanem MacFarlane'em i pakunkiem, który w jego imieniu dostarczyłam

pańskiemu przyjacielowi, pułkownikowi Delboroughowi. Zakładam, że dzisiejszy atak z tym się wiązał?

Gareth przyjrzał się jej uważnie, odnotowując wyraz determinacji na twarzy i bezpośredniość spojrzenia, po czym z żalem odrzucił preferowaną przez siebie opcję, by nic jej nie wyjawiać. Gdyby miał do czynienia z typową, niezbyt bystrą panną... Jednak w tych pięknych oczach czyły się zdecydowanie, inteligencja i wyraźna – potencjalnie niebezpieczna – ciekawość.

– Przypuszczam, że członkowie kultu pojawili się tu, by mnie zatrzymać, i tak, wiąże się to z pakunkiem dostarczonym przez panią do Bombaju. Zaatakowali panią najpewniej dlatego, że panią rozpoznali i albo pomyśleli, że nadal ma pani pakunek, albo też chcieli po prostu ukarać panią, ponieważ przyczyniła się do tego, że go utracili.

– Co zawiera pakunek, że Czarnej Kobre tak na nim zależy?

Rzeczywiście, okazała się stanowczo zbyt bystra. Wcześniej żywił nadzieję, że zdoła pomniejszyć swą misję, zataić jej najważniejsze aspekty, jednakże... to zielone spojrzenie było zbyt przenikliwe, zbyt zdeterminowane. Poza tym wiele osób – z panną Ensworth na czele – upierałoby się przy tym, że miała prawo wiedzieć, zwłaszcza teraz, gdy kult dopiero co zademonstrował, że nie wybaczy jej udziału w tej sprawie. Gareth westchnął w duchu.

– Zapewne wolałaby pani, żebym zaczął od początku?

– W istocie.

– Gubernator generalny Hastings przysłał do Bombaju nas pięciu, to znaczy Delborougha, mnie, majora Logana Monteitha oraz kapitanów Rafe'a Carstairsa i Jamesa MacFarlane'a, z precyzyjnym rozkazem, że mamy uczynić, cokolwiek okaże się konieczne, by doprowadzić Czarną Kobrę przed

oblicze sprawiedliwości. – Rozparł się na poduszkach, niewidzący wzrok utkwiał w przeciwległej ścianie. – To było w marcu. Prędko zidentyfikowaliśmy Czarną Kobrę, lecz dowody mieliśmy poszlakowe, a uwzględniając osobę podejrzanego, musieliśmy dysponować czymś nie do podważenia.

– Kto jest Czarną Kobrą?

Przyjrzał się jej. Jeśli jej powie... Niemniej kult pokazał już, że zasób jej wiedzy nie ma znaczenia, a teraz, kiedy widziano ją z Garethem...

– To Roderick Ferrar.

– Ferrar? Wielkie nieba! Poznałam go, oczywiście.

– Co pani o nim sądzi?

Zmarszczyła nos.

– Nieprzyjemny człowiek.

– W rzeczy samej. Ustaliliśmy zatem, że to on, ale nie potrafiliśmy dowieść tego niezbicie. Ciągłe szukaliśmy... Aż wreszcie James udał się po panią do Puny i tam natknął się na list od Czarnej Kobry do jednego z radzów. Znajdowaliśmy już podobne pisma, jednak to było inne. Podpisane przez Czarną Kobrę, lecz zapieczętowane osobistą pieczęcią Ferrara: użył sygnetu z tłokiem, który nosi na małym palcu i nigdy nie zdejmuje. Kiedy przyniosła nam pani ten list, zyskaliśmy niezbędny dowód, a że zawczasu skonsultowaliśmy się z kimś w Anglii, wiedzieliśmy, co mamy robić.

Spostrzegł, że zacisnęła wargi, powstrzymując cisnące się jej na usta ponaglenie. No cóż, i tak odgadła już przynajmniej część prawdy.

– Musimy dostarczyć ten list, oryginał, księciu Wolverstone'owi w Anglii. Oczywiście, Ferrar uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby nas powstrzymać, możliwości zaś ma spore. Wolverstone, autor planu, poinstruował nas, byśmy sporządzili cztery kopie, a później różnymi trasami udali się do domu, wioząc każdy jedno pismo.

– Żeby Czarnej Kobre było trudniej wam przeszkodzić.

Przytaknął.

– Ponieważ James zginął, zostało nas czterech. Wszyscy wracamy do Anglii. Kobra nie wie, który z nas wiezie oryginał, spróbuje więc przechwycić każdego kuriera.

Przyjrzała mu się, przekrzywiając głowę.

– Czy pan...? – Urwała i spojrzała mu w oczy. – Przypuszczam, że pan wiezie jedną z kopii jako wabik.

Zmarszczył brwi. Całe szczęście, że byli w tym pokoju sami.

–Skąd...?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– W porcie pan i pańscy ludzie chcieliście ścigać członków kultu. Przewożąc oryginał, nie ryzykowałby pan bezpośredniego starcia. Broniłby się pan, nie zaś atakował. Za wszelką cenę starałby się pan nie rzucać w oczy.

Sapnął.

– Tak, no cóż, od tej pory będziemy uciekać. Moje rozkazy są jasne: mam zrobić, co w mojej mocy, by skupić na sobie uwagę członków kultu na całej trasie stąd do kanału, nakłonić ich do pościgu, zmusić Kobrę, żeby skierował przeciw mnie jak najwięcej sił, jakimi dysponuje w Europie.

– W taki sposób, by nie stało się ewidentne, że przewozi pan kopię, a nie oryginał. – Skinęła głową, po czym spojrzała na niego, marszcząc brwi. – Nie nosi pan listu przy sobie, prawda?

– Nie. – Nie widział powodu, by zatajać przed nią tę informację. – Znajduje się w drewnianej tubie, z rodzaju tych, jakich Hindusi używają do przewozu dokumentów.

– Ach, rozumiem. – Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. – Arnia ją ma.

Zagapił się na nią.

– To nie może być aż tak oczywiste.

Wzruszyła ramionami.

– Ja powierzyłabym tubę właśnie jej. Wywodzi się z plemienia wojowników i, jak sobie wyobrażam, jest groźnym przeciwnikiem, lecz zarazem dla członków kultu pozostaje praktycznie niewidzialna. Nigdy nawet o niej nie pomyślą. Chrząknął, nieco uspokojony.

– Watson wspomniał, że postanowiła pani wrócić do domu szlakiem lądowym, żeby obejrzeć po drodze piramidy i inne ciekawostki.

Znów wzruszyła ramionami.

– Uznałam, że powinnam zobaczyć kawałek świata, dopóki mam taką możliwość, a skoro już byłam w Bombaju...

– Tak czy owak, teraz, kiedy Czarna Kobra wie o pani i rad by panią skrzywdził, ze względów bezpieczeństwa rozsądniej będzie podróżować dalej razem, przynajmniej do Aleksandrii. – Zrobił chwilę przerwy. – Wątpię, by Ferrar wiedział o naszym przedsięwzięciu, zanim opuściliśmy Bombaj, zorientował się jednak wkrótce potem i działał szybko, chcąc nas wyprzedzić. Moim zdaniem członkowie kultu czekali, obserwując port. Byli tu przed nami.

– Co oznacza, że mogą czekać na nas na całej trasie, aż do Anglii?

Przytaknął.

– Na miejscu Ferrara, gdybym znalazł się w podobnej sytuacji, właśnie tak bym postąpił, jemu zaś nie brakuje ludzi. Stąd też, oczywiście, główny cel mojej misji: zredukować jego siły.

Skinęła głową, jakby nieco rozkojarzona. Kiedy się nie odzywała, ponaglił:

– Zgadza się pani, że najlepiej będzie podróżować dalej razem? Połączyć siły w imię bezpieczeństwa?

Zwłaszcza jej bezpieczeństwa. Ulżyło mu, gdy się uśmiechnęła.

– Tak, naturalnie – powiedziała. – Nie widzę przeszkód. Towarzyszy mi pokojówka, a w tych okolicznościach moi rodzice przyklasnęliby wspólnej podróży.

– Doskonale.

Poczuł się, jakby zdjęto mu z barków olbrzymi ciężar, mimo że właśnie przyjął na siebie pełną odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo. Za jej życie. Jako że wokół grasowali członkowie kultu, takie sformułowanie nie wydawało się przesadą.

– Poza tym – ciągnęła, nadal się do niego uśmiechając ~ zaangażowałam się w tę sprawę, pomagając kapitanowi MacFarlane'owi. W świetle jego poświęcenia czuję się w obowiązku zrobić, co w mojej skromnej mocy, żeby przyczynić się do sukcesu tej misji.

Wzmianka o Jamesie przypomniała Garethowi, że poniekąd zajął miejsce przyjaciela, przejmując od niego odpowiedzialność za dowieszenie panny Ensworth bezpiecznie do domu.

Przez chwilę miał wrażenie, jakby duch Jamesa unosił się w tym pokoju; niemalże widział niefrasobliwy uśmiech młodego kapitana. James zginął bohaterską śmiercią. Odważny, przystojny, zaledwie kilka lat starszy od panny Ensworth – uwzględniając okoliczności, nic dziwnego, że darzyła zmarłego romantycznym uczuciem.

Gareth zastanawiał się, czy właśnie to dostrzega w tej chwili w jej oczach. Raptownie wstał z otomany.

– Muszę uzgodnić z pozostałymi kolejność pełnienia warty. Ostrożności nigdy za wiele. Do zobaczenia przy obiedzie.

Skinęła głową.

– Omówimy szczegóły dalszej podróży.

– Jutro sprawdzę, jakie mamy opcje. Poinformuję panią o ustaleniach. –

Ruszył do wyjścia.

– Doskonale. Przedyskutujemy tę kwestię rano. W drzwiach odwrócił się i skinął głową.

– Rano – potwierdził.

Kiedy szedł korytarzem, wróciło uczucie ulgi. Przystała na wspólną podróż. Będzie mógł zadbać o jej bezpieczeństwo. To była sprawa nadrzędna. W chwili, gdy Gareth ujrzał atakującego ją w porcie członka kultu, pojął, że niemal na pewno będzie musiał zatrzymać Emily Ensworth przy sobie przez całą drogę powrotną do Anglii, dopóki nie odstawi jej w miejsce, gdzie członkowie kultu jej nie dosięgną.

Od tej odpowiedzialności nie mógł się w żaden sposób uchylić. Pomijając inne kwestie, honor by mu nie pozwolił. Stała się celem Czarnej Kobry, gdyż pomogła w realizacji ich misji, a Gareth i jego towarzysze, z Jamesem włącznie, wiele jej zawdzięczali. Gdyby nie wywiązała się ze swej roli, gdyby nie przyniosła Delowi listu, nadal ścigaliby członków kultu po indyjskich wioskach, a Czarna Kobra swobodnie kontynuowałaby rządy terroru i zniszczenia.

Zamiast tego, w sporej mierze dzięki Emily Ensworth, teraz to Czarna Kobra ścigał ich.

W drodze do Anglii musieli tylko nieustannie wyprzedzać sługusów tego nikczemnika o krok, a wszystko będzie dobrze.

Rozdział 2

5 października 1822 rano

Rodzinny gościniec w arabskiej dzielnicy Adenu

Drogi pamiętniku, Minionego wieczoru byłam zbyt rozkojarzona, by pisać. Przypuszczam, że w trakcie podróży częstotliwość moich wpisów może się zmieniać ze względu na rozmaite krytyczne sytuacje. Ale do rzeczy! Po pierwsze, najważniejsze, odkryłam, że powrót majora Hamiltona do domu w najmniejszym stopniu nie świadczy o jego tchórzostwie – w istocie major wypełnia misję, której celem jest pokonanie Czarnej Kobry i tym samym pomśczenie jego przyjaciela, MacFarlane'a. Czułam, że major nie może być tchórzem (jakże tchórz mógłby być moim „jedynym“?), wszelako przyznaję bez bicia, że nie domyśliłabym się, jak szlachetnego przedsięwzięcia podjął się wraz z przyjaciółmi. Napętnia mnie to pokorą, lecz zarazem z przyjemnością donoszę, że dziwnym zrządzeniem losu również i ja odegram w owym przedsięwzięciu jakąś rolę. I tutaj druga część wieści: dalej będziemy podróżować razem!

Jakkolwiek przyznaję, że nie mam najmniejszej ochoty ponownie spotkać członków kultu (to fanatycy i szaleńcy), porusza mnie myśl, że zyskam okazję, by pomścić biednego MacFarlane'a, który wszak zginął, ponieważ mnie eskortował. Jednakowoż główny powód, dla którego zgodziłam się połączyć siły z Hamiltonem, jest bardziej prozaiczny – co, gdybym odmówiła, a jego spotkałoby coś złego? Coś, czemu mogłabym zapobiec swoją obecnością?

Nie. Teraz, kiedy wiem, że nie jest tchórzem (w rzeczy samej, wręcz przeciwnie), i nadarza się sposobność, by go wspomóc, a ponadto jeśli (jak coraz mocniej podejrzewam w oparciu o wewnętrzne drżenie, które

nieustannie we mnie wywołuje) jest on moim „jedynym”, trwanie u jego boku w oczywisty sposób wydaje się mym obowiązkiem.

Skoro już uporałam się z wieściami, donoszę, że dokonuję tego wpisu rankiem, ponieważ niespodziewanie odkryłam, że mam trochę czasu. Wstałam świeża i wypoczęta, gotowa omówić z majorem szczegóły dalszej podróży, jak to wczoraj uzgodniliśmy, ale dowiedziałam się, że już wyszedł na miasto. Najwidoczniej według niego „rano” znaczy „przed ósmą”, a taki początek wspólnego podróżowania nie wróży dobrze.

E.

Gareth wrócił w południe, z Mooktu u boku. Nim wszedł, zamienił kilka słów z pełniącym wartę przy furcie w murze Mullinsem. Na dziedzińcu, przy sadzawce, zastał ostrzącego szable i rozmaite noże Bistera, młodego londyńczyka, który dołączył do niego w ostatnim roku kampanii na Półwyspie Iberyjskim i od tamtej pory wiernie Garethowi służył.

Bister podniósł na niego wzrok.

– Wyruszamy wkrótce? Gareth przytaknął.

– Jutro wieczorem, wcześniej nie da rady. – Spojrzał na dom. – Spokój?

– Na to wygląda. – Bister na powrót zajął się osełką. Ale dama jest w salonie, chyba na pana czeka. Spaceruje cokolwiek gniewnie.

Nic dziwnego, że panna Ensworth niecierpliwie oczekiwała informacji o tym, co Gareth dla nich zorganizował.

– Pomówię z nią teraz, przekażę wieści. Ty powiedz pozostałym: wyruszamy jutro z początkiem wieczornego odpływu.

Bister skinął głową.

Zamiast skorzystać z głównego wejścia, Gareth przeciął dziedziniec i stanął w otwartych drzwiach salonu. Gdy na podłogę padł cień jego sylwetki,

panna Ensworth, która istotnie się przechadzała, odwróciła się ku niemu porywczo.

– Och! To pan!

– Tak. – Zmarszczył brwi, niepewny, jak interpretować emocje w jej głosie. – Rozstawiłem warty przy furcie i na dziedzińcu. Nie ma obaw, że członkowie kultu się tu dostaną.

Spojrzała na niego.

– Nie przeszło mi to przez myśl.

Zatem nie chodziło o strach. Nim Gareth zdążył zastanowić się nad kolejnym naprowadzającym komentarzem, oznajmiła:

– Czekałam na pana, żeby omówić szczegóły naszej podróży.

– Ach tak. – Może po prostu się niecierpliwiła? W tonie jej głosu pobrzmiwała szorstkość przywodząca na myśl zaplecione na piersi ręce i tupanie nogą. Ponieważ nadal stała, Gareth także nie siadał. – Wyruszamy jutro wieczorem. Wolałbym wprawdzie opuścić Aden wcześniej, na szybszym statku, lecz nie było lepszego wyboru. – Popatrzył w jej rozszerzające się oczy. – Niestety płyniemy barką, czeka nas zatem powolna podróż przez cieśninę na Morze Czerwone, jednak później, w Mokce, powinno nam się udać wynająć szkuner, który zabierze nas do Suez.

Odniósł wrażenie, że trochę ją zaskoczył.

– Wszystko pan zorganizował – stwierdziła oczywistość, ale głosem pełnym dziwnej rezerwy.

Ostrożnie skinął głową, niepewny, o co jej chodzi.

– Musimy opuścić Aden jak najszybciej, zatem...

– Wydawało mi się, że mieliśmy przedyskutować różne możliwości.

Sięgnął pamięcią do minionego popołudnia, odtwarzając w myślach ich rozmowę.

– Powiedziałem, że sprawdzę, jakie mamy opcje, i powiadomię panią o wynikach. Barka to najlepszy sposób, żeby wymknąć się członkom kultu.

– A co z końmi? – spytała, wysuwając brodę. – Ludzie podróżują do Mokki konno, to zwyczajowa trasa kurierów. Z pewnością też lepiej pozostać mobilnym niż utknąć na, jak rozumiem, powolnej łodzi?

Zgadza się, jednak... czy oni właśnie się kłócili?

– Droga do Mokki wiedzie przez pustynię i skaliste wzgórza. Roi się tam od rozbójników, z którymi rządy dogadują się w sprawie przepuszczania kurierów. Ponadto członkowie kultu spodziewają się, że obierzemy tę trasę. Będą nam deptać po piętach od samych granic miasta albo, jeszcze gorzej, zaczną się na nas na jakiejś przełęczy. Jest pani świetnym jeźdźcem, podobnie jak wszyscy moi ludzie, ale co z pani pokojówką, Mullinsem i Watsonem? Podołają tempu takiej gonitwy?

Wytrzymała jego wzrok, powoli mrużąc oczy. Zacisnęła wargi w wąską kreskę.

Cisza się przeciągała. Nie nawykł do konsultowania się z innymi; zwykle po prostu wydawał rozkaz. Jeśli mieli kontynuować tę podróż razem, panna Ensworth będzie musiała pogodzić się z faktem, że dowódca może być tylko jeden.

Zbroił się wewnętrznie na pojedynek, kiedy, ku jego zdumieniu, wyraz jej twarzy się zmienił – choć Gareth nie umiałby sprecyzować, na czym owa zmiana polega – i panna Ensworth skinęła głową. Raz.

– W porządku. Zatem barka.

W oddali zadźwięczał dzwonek, wzywając ich na lunch.

Ku jeszcze większemu zaskoczeniu i zaniepokojeniu Garetha, o skonfundowaniu nie wspominając, panna Ensworth uśmiechnęła się promiennie.

– Cudownie! Zgłodniałam. A skoro znamy już środek transportu, możemy zacząć reorganizować nasze bagaże.

Okręciła się na pięcie i unosząc wysoko głowę, pierwsza opuściła pokój.

Podążył za nią nieco wolniej, z zastanowieniem wpatrując się w jej plecy. Powinien być zadowolony, że ustąpiła; mówił sobie, że tak jest, lecz zarazem czuł się...

Dopiero leżąc tego wieczoru w łóżku, odkrył właściwe słowo na opisanie swych odczuć w kwestii tej wymiany zdań.

Ugłaskany.

Prychnął, przewrócił się na bok i naciągnął na siebie prześcieradło. Nie było się czym martwić, ona się nauczy.

4 października 1822

Nadal Aden, w gościńcu

Drogi pamiętniku.

Za zaledwie kilka godzin rozpoczniemy pierwszy etap wspólnej podróży, a kiedy stąd wyruszymy, on

– Gareth, major Hamilton – nie będzie mógł mnie odesłać. Już miałam mu wyjaśnić, że nie należę do grona jego podwładnych, toteż nie powinien zakładać, że po prostu podporządkuję się każdej jego decyzji, lecz w porę przypomniałam sobie, iż w Adenie cumują statki Kompanii. Gdyby ubzdurał sobie, że podróżowanie razem jest jednak zbyt kłopotliwe (lub, jak on by to ujął, zbyt niebezpieczne), przypuszczalnie leżałoby w zasięgu jego możliwości nakazanie kapitanowi jakiegoś słupa, żeby zabrał mnie i moją służbę z powrotem do Bombaju albo na Przylądek, gdzie przesiedlibyśmy się na liniowiec do Anglii.

Prędko zmieniłam śpiewkę. Koniecznie muszę lepiej go poznać, a wspólna podróż do domu, wymuszająca codzienny kontakt i bliskość, stanowi

ku temu zbyt dobrą okazję, żebym pozwoliła jej prześlizgnąć się między palcami.

Owszem, major zdaje się posiadać mocno, niestety, zakorzeniony nawyk wydawania rozkazów, niemniej jednoznaczną opinię w tej kwestii wyrobię sobie później.

Po zastanowieniu stwierdzam, że doprawdy nie zdołałabym lepiej wszystkiego zaplanować. Co za ironia losu, że to akurat temu potwornemu nikczemnikowi, Czarnej Kobrze, zawdzięczam możliwość potwierdzenia, że istotnie spotkałam mego „jedyne” (tego jednego jedynego mężczyznę dla mnie) oraz, mam nadzieję, zabezpieczenia go dla siebie w stosownym czasie.

E.

Wrócili do portu, kiedy ognista kula słońca zawisała nad samym morzem. Padające pod ostrym kątem światło odbijało się od fal, utrudniając rozpoznanie kogokolwiek. Gareth liczył na to, że członkowie kultu pozostali przy swoich czarnych jedwabnych turbanach, ich jedynym wyróżniku.

Zerknął na Emily, idącą zwawo u jego boku. Zgodnie z jego sugestią założyła ciemnobrązową suknię, a jej parasolka tkwiła schowana bezpiecznie w bagażu. O tej porze w porcie wszyscy przemieszczali się w konkretnym celu, wiele jednostek szykowało się, by skorzystać z wysokiej wody, tak więc ich spieszna wędrówka nie rzucała się w oczy.

Bystrego obserwatora mógłby natomiast zaalarmować sposób, w jaki Gareth i pozostali mężczyźni z ich grupki nieustannie przepatrywali tłum, temu jednak nie dało się zaradzić. Członkowie kultu bez wątpienia kręcili się w porcie.

Udało mu się nie myśleć za wiele o Emily, nie w sensie osobistym. Wytrwale zmuszał się, by zaszufładkować ją jako „pannę Ensworth”, najchętniej z dodatkiem „bratanica gubernatora”, niestety bez większych efek-

tów. Idąc nabrzeżem, gdzie zaledwie kilka dni temu ocalił ją przed zabójczym ostrzem, Gareth pozostawał jej świadom – świadom jej ciała, smukłego, ciepłego, o kobiecych krągłościach, które poruszało się z wdziękiem u jego boku.

Pragnął, by znalazła się znacznie bliżej, tego chciały jego umysł i ciało, pamiętające – zdolne odtworzyć – niesamowite doznanie towarzyszące chwilom, kiedy opiekuńczo tulił ją do siebie.

Zdolne odtworzyć ten moment, gdy coś pogrzebane głęboko w jego wnętrzu wyrwało się na powierzchnię i warknęło: „moja”.

Potrząsnął głową w daremnej próbie odpędzenia rozpraszających myśli.

Emily zauważyła ten gest i podniosła wzrok na Garetha.

– O co chodzi?

Oczywiste, że się zaniepokoiła. Zaalarmowana, otworzyła szeroko oczy. Spojrzał na statki.

– Po prostu zastanawiałem się, gdzie się podziali członkowie kultu. Nie zauważyłem ani jednego. – Wskazał na barkę dwie jednostki dalej. – Ta jest nasza.

Skinęła krótko głową i ruszyła ku barce. U stóp trapu Gareth przytrzymał ją za ramię.

– Poczekaj.

Dał znak Bisterowi, a ten prędko wbiegł po trapie. Za nim podążył Jimmy, siedemnastoletni siostrzeniec Watsona.

Dwie minuty później Bister znów się pokazał.

– Czysto.

Zaokrętowanie kobiet, bagażu, a w końcu mężczyzn zajęło dziesięć minut. Kapitan dobrodusznie kiwał głową, załoga się uśmiechała.

Przez pokład barki przetoczyły się okrzyki, odrzucono cumy i wreszcie odbili.

Barka sunęła wolno, niezgrabnie odwracając się na przyspieszającej fali odpływu. Nie ona jedna; rzesza łodzi dawała im dodatkową osłonę. Garethowi ulżyło, gdy trzy kobiety – Emily, jej pokojówka Dorcas i Arnia

– bez ponagleń schroniły się w pokładówce, ciągnącej się przez całą długość barki. Watson także zniknął w środku, biorąc ze sobą Jimmy'ego, tak że na czatach pozostali Gareth, Mooktu, Bister i Mullins.

Z trudem znaleźli sobie każdy jakąś osłonę, gdyż barka poza pasażerami w zasadzie nie przewoziła ładunku.

Gareth wybrał na opuszczenie Adenu ostatni zdatny moment odpływu, w nadziei na to, że nawet jeśli członkowie kultu ich zauważą – a był pewien, że tak się stanie – nie zdołają ruszyć za nimi w pościg wcześniej niż za kolejne dwanaście godzin, jeśli nie więcej.

Na tym etapie pół dnia przewagi to było wszystko, na co mógł liczyć.

Wyszli z portu bez przygód, chybotliwie wydostali się na pełne morze, a potem ruszyli wzdłuż wybrzeża, ku cieśninie. Kiedy jednak okrążali ostatni cypel, Jimmy spostrzegł odbicie światła w soczewce skierowanej w ich stronę lunety.

Bister przyprowadził młodzika, żeby zdał raport Garethowi.

– Też zobaczyłem, kiedy mi pokazał. Jasne jak słońce, że ktoś nas obserwował.

– Nie zakładam się o to, kto taki – krzywiąc się, powiedział Gareth. – Ale przynajmniej uciekliśmy, przed nami cieśnina i wątpię, żeby nas dogonili. Nie przed Mokką.

Później tego samego wieczoru Gdzieś w Adenie

– Wuju, mamy wieści!

Wysoki, brodaty mężczyzna, znany członkom kultu Czarnej Kobry po prostu jako Wuj, wolno podniósł wzrok znad obieranego właśnie owocu granatu.

– Tak, synu?

Młody mężczyzna, wyznaczony przezeń do nadzorowania obserwacji portu, wyprężył się, unosząc głowę.

– Widzieliśmy, jak major Hamilton opuszcza Aden na pokładzie barki, ale przekonaliśmy się o tym dopiero wtedy, gdy znalazła się już na pełnym morzu, zmierzając ku cieśninie.

– Rozumiem. – Wuj przerwał, żeby zjeść kilka cząstek granatu, a później spytał: – Czy towarzyszyła mu kobieta, ta Angielka, którą ocalił przed nami w porcie?

Młodzieniec odwrócił się do towarzyszy, którzy wraz z nim przyszedli na dziedziniec. Wywiązała się szeptana narada, aż wreszcie mężczyzna znów spojrzał na Wuja.

– Widziano ją przelotnie na nabrzeżu, ale na barce jej nie dostrzegliśmy. Była tam jednak pokładówka.

– Ach. – Wuj bez pośpiechu dokończył jedzenie granatu, a potem starannie wytarł ręce. Skinął głową i spojrzał na swojego zastępcę. Swego jedynego rodzzonego syna. – W takim razie tutaj nie mam już nic do roboty.

Jego syn przytaknął.

– Złapiemy ich w Mokce, są tam już nasi ludzie.

– W istocie. – Wuj wstał i wyprostował się powoli, imponująco wysoki.

– Nasz znamienity przywódca trafnie przewidział ścieżki tych jegomości. Lecz moja misja...

– Urwał i skłonił głowę w stronę syna. – Nasza misja nie sprowadza się tylko do przeszkodzenia tym mężczyznom w dotarciu do Anglii. Czarna Kobra żąda surowszej kary dla tych, którzy opierają się jego potędze.

– Wuj odwrócił się do młodzieńca i jego towarzyszy, unosząc dłoń w geście błogosławieństwa. – Dobrze się spisaliście. Pozostaniecie tutaj, na wypadek gdyby jeszcze któryś z oficerów wybrał tę trasę. Natomiast ja i moi ludzie – z uśmiechem zerknął na syna – pojedziemy do Mokki.

Przeniósł spojrzenie na starszych, zahartowanych w bojach mężczyzn – bez wyjątku zabójców – stojących w szeregu za jego synem. Uśmiechnął się szerzej.

– Znajdźcie konie. Droga lądowa jest krótsza.

5 października 1822

Przejście na Morze Czerwone

Świt pokrył fale perłową poząłotą. Gareth wyszedł z ciągnącego się wzdłuż kajut wąskiego korytarza i powoli, głęboko odetchnął morskim powietrzem. Barka, śladem innych jednostek, kierowała się na północny zachód, do zwążającego się przejścia na Morze Czerwone, ciągle jeszcze odległego.

Spostrzegł Watsona, który opierał się o nadburcie, przepatrując wzrokiem daleki ląd. Kiedy Gareth podszedł, Watson spojrzął na niego i wyprostował się.

– Idź się trochę przespać – powiedział z uśmiechem Gareth. – Przejmę wartę do czasu, aż pokaże się Mooktu.

Watson skinął głową, tłumiąc ziewnięcie.

– Dziękuję, *sir*. Przez całą noc panował spokój. – Popatrzył na morze. – Piękny poranek, ale chyba wolę sen. Zostawiam panu podziwianie widoków.

Gareth odsalutował mu krótko, a potem, nadal uśmiechnięty, oparł się o nadburcie. Słyszał, jak Watson ciężkim krokiem wchodzi do pokładówki. Fale chlupotały łagodnie o kadłub, od strony rufy nadpływał szmer głosów gawędzących między sobą członków załogi, w który od czasu do czasu wdzierał się wrzask krążącej w górze mewy.

W ostatnich dniach Gareth postarał się lepiej poznać ludzi Emily, choć jej samej unikał. Skoro podjęli wspólną podróż, musiał wiedzieć, jakich żołnierzy ma pod sobą.

Zarówno Watson, jak i Mullins byli mu szczerze wdzięczni za to, że uratował ich podopieczną. Mullins służył niegdyś w piechocie. Po Waterloo wrócił do rodzinnej wioski w Northamptonshire, szukając zajęcia, i wpadł na Watsona, który akurat ustawiał się jako przewodnik młodych dżentelmenów, udających się na współczesny odpowiednik dawnej Grand Tour. Wyprawy znów były w modzie, kiedy Bonaparte został pokonany, a podróżnym na kontynencie nic już nie groziło. Watson był więc przewodnikiem, Mullins dbał o bezpieczeństwo. Jimmy, siostrzeniec Watsona, uczestniczył w tej wycieczce, żeby nauczyć się fachu.

W minionych latach Watson i Mullins często pracowali dla Ensworthów, których w ten sposób dobrze poznali. Rodzina była liczna; obwieźli po kontynencie trzech młodych męskich potomków rodu Ensworthów, eskortowali starszych jego członków w trakcie różnych wypraw. Ensworthowie należeli do cenionych i lubianych klientów. Przy całym ich doświadczeniu, Watson i Mullins bledli na samą myśl o utracie Emily, jednej z najmłodszych latorośli.

Ponadto lubili Emily. Opisali ją Garethowi jako rozsądną, spokojną, zrównoważoną młodą damę, którą bez oporów poprowadzili przez pół świata.

Obaj mężczyźni byli w średnim wieku. Dość korpulentni, chociaż nadal krzepcy, sprawni i aktywni, nie jeździli dobrze konno – dokładnie tak, jak Gareth dał to wcześniej do zrozumienia Emily. Wyglądało na to, że również jeździeckie talenty Jimmy'ego opierają się raczej na entuzjazmie niż umiejętnościach. Gareth musiał mieć te kwestie na uwadze, planując dalszą podróż.

Mullins poważnie traktował swoje obowiązki; w Adenie poprosił Mooktu, żeby pomógł mu podszkolić się we władaniu szablą. Tymczasem Bister z własnej inicjatywy wziął pod swoje skrzydła Jimmy'ego. Gareth widział, jak oni dwaj ćwiczyli rzucanie nożem, specjalność Bistera. W razie potrzeby mieli więc jak obronić towarzyszące im kobiety.

Nie, żeby Gareth sądził, iż Arnia potrzebuje obrony. Podobnie jak Mooktu, pochodziła z północno-zachodnich rubieży Indii i jak wszystkie kobiety z tamtejszych plemion świetnie posługiwała się bronią, nie ustępując w tym względzie mężczyznom. Zarazem członkowie kultu raczej nie dostrzegą w Arni zagrożenia – nie wcześniej, nim będzie na to za późno.

Aby uzyskać informacje na temat Dorcas, bardzo angielskiej pokojówki Emily, wysokiej, ruchliwej, znającej się na rzeczy kobiety pod czterdziestkę, Gareth musiał zaangażować pewną dozę osobistego uroku. W końcu jednak Dorcas stopniała na tyle, by przyznać, że bardzo słabo jeździ konno, a dla Ensworthów pracuje przez większą część życia Emily.

Dorcas także była mu wdzięczna za to, że uratował, a później chronił jej panią, lecz zarazem spoglądała na Garetha z podejrzliwością, której nie próbowała ukrywać. Ponieważ dbał o to, by stłamsić w sobie albo przynajmniej zamaskować wszelkie dowody kłopotliwego pociągu, jaki czuł do jej podopiecznej, wahał się, jak interpretować czujne, niemalże cenzorskie spojrzenia Dorcas.

Usłyszał odgłos kroków – jej kroków. Odwrócił się, poszukując jej wzrokiem, zanim jeszcze wyłoniła się zza pokładówki w liliowej sukni z bawełny, furkocącej na wietrze.

Na widok Garetha uśmiechnęła się i ruszyła w jego stronę.

Włożył sporo wysiłku w to, żeby nie uśmiechnąć się w odpowiedzi – zbyt wiele by w ten sposób ujawnił. Zamiast tego zmarszczył brwi.

– Co pani tu robi o tej porze? – Rozejrzał się. – Nie powinna pani przebywać na pokładzie, to niebezpieczne.

Przekrzywiła głowę, przyglądała mu się przez chwilę, a potem, z uśmiechem błakającym się nadal w kącikach różanych ust, popatrzyła na morze.

– Jest tak cicho i spokojnie, że ani chybi usłyszałby pan, gdyby zbliżała się do nas inna jednostka. – Spojrzała mu w oczy.

Sapnął i na powrót oparł się o nadburcie.

– Nie mogła pani spać?

Z rozmysłem zachowywał się odpychająco. Sama jej bliskość... Im częściej jednak Gareth odtwarzał w myślach wcześniejszą rozmowę, im dłużej dumał nad miękkim blaskiem, jaki dostrzegł wtedy w jej oczach, tym większej nabierał pewności, że Emily pała niespełnioną miłością do MacFarlane'a. Nie zamierzał nawet próbować rywalizacji z duchem zmarłego przyjaciela.

– Prawdę mówiąc, ostatnio śpię aż za dużo – odrzekła.

– A rano jest taki cudowny.

Oparła się o nadburcie obok Garetha. Ciepła miękkość jej ciała wzywała go niczym syrenia pieśń. Mówił sobie, że powinien się odsunąć, odejść

– skorzystać z wymówki, że pełni wartę, i ruszyć na obchód barki.

Mimo to pozostał na swoim miejscu, kątem oka obserwując, jak wiatr igra z włosami Emily, wysnuwając z nich kosmyki, by je ułożyć na jej porcelanowych policzkach.

Po dłuższej chwili zmusił się, żeby znów skupić uwagę na morzu.

– Jak rozumiem... wywodzi się pani z licznej rodziny. Roześmiała się.

– Mało powiedziane. Mam trzy siostry i czterech braci. Jestem druga od końca, tuż przed Rufusem.

– Czyli jest pani najmłodsza z dziewcząt?

– Tak, lecz uważam to za swego rodzaju korzyść. Czujemy się ze sobą blisko związane, choć, oczywiście, wszystkie moje siostry wyszły już za mąż i prowadzą własne domy. Niemniej nadal często się widujemy. – Z chęcią opowiadała o rodzinie, ponieważ dzięki temu zyskiwała przywilej zadania tego samego pytania Garethowi. – A pan? Ma pan rodzeństwo?

Zesztywniał, wyprostował się.

– Nie. – Spojrzał na nią z góry, a później złagodził tę szorstką odpowiedź, dodając: – Byłem jedyńskim.

Odnosiła czas przeszły.

– Pańscy rodzice... odeszli?

Przytaknął, na powrót wpatrzony w morze.

– W Anglii nikt na mnie nie czeka. – Znów na nią zerknął i uśmiechnął się kącikiem ust. – Inaczej niż w pani przypadku.

– Ach, istotnie. Spodziewam się tuczego cielca i wszelkiego rodzaju uroczystości powitalnych.

Jeśli zaś sytuacja rozwinie się po myśli Emily, on również weźmie w nich udział. Spoglądała na morze, uśmiechając się ze szczerym zadowoleniem. Na moment wyprowadziło ją z równowagi przypuszczenie, że w Anglii czeka na Garetha jakaś dama – wręcz: narzeczona – ale jego

oświadczenie uśmierzyło ów niepokój. Ogarnęła ją ulga, od której nieomal zakręciło jej się w głowie.

Nie zrażała się tym, że odnosił się do niej oschle i szorstko. Jeśli wierzyć jej siostrom, mężczyźni – dziwne stworzenia – często zachowywali się w ten sposób, kiedy dama ich pociągała, ale starali się to ukryć. Co się tyczy reszty, kiedy chodziło o kobiety, najwyraźniej „opiekuńczość” mogłaby być jego drugim imieniem. Emily potrzebowała jeszcze tylko jasnego sygnału, że w odniesieniu do niej ta opiekuńczość wykracza poza zwykły stosunek Garetha do płci pięknej.

Mieli jednak przed sobą daleką podróż, w trakcie której będzie go obserwować i wyciągać wnioski.

Nadal znajdowała się na etapie odhaczania w myślach cech z listy tych, które powinny charakteryzować jej „jedyne”. Znała swój ideał, ale dopasowanie do niego rzeczywistości okazało się większym wyzwaniem, aniżeli się spodziewała. Należało uwzględnić mnóstwo różnych kwestii.

Chwilowo wszakże Emily czuła się ukontentowana. Nosila się z zamiarem popracowania nad Garethem, zachęcenia go, by nieco się rozluźnił.

– Chyba przespaceruję się po pokładzie – oznajmiła po krótkim zastanowieniu.

Zgodnie z jej oczekiwaniami, momentalnie nasrożył brwi.

– Byłoby bezpieczniej, gdyby wróciła pani do środka. – Odsunął się od nadburcia, spoglądając na nią z marsem na czole.

Uśmiechnęła się promiennie w odpowiedzi.

– Skoro pełni pan wartę, może przejdzie się pan ze mną? Rzuci pan okiem na całą barcę.

Nie dając mu czasu na odmowę, odwróciła się i wolno ruszyła półpokładem. Obejrzała się na niego przez ramię.

– Idzie pan? – rzuciła z uśmiechem.

Gareth nie umiał się oprzeć. Zły na siebie, podążył za nią, pokonany przez ten nęcący uśmiech.

Emily była zdecydowanie zbyt pociągająca, a z każdym mijającym dniem, z każdą nową informacją, którą zdobywał na jej temat, zyskiwała na atrakcyjności. Rozpraszała go, stawiała się jego fiksacją, potencjalnie nawet obsesją i wiedział, że powinien się wycofać, ale... W przeciwieństwie do podległych mu ludzi, wymykała się jego kontroli, nie potrafił nad nią zapanować, a przy tym – jak właśnie mu tego dowiodła – w trakcie tej wspólnej podróży właściwie nie miał szans trzymać się od niej na dystans.

Dołączył do niej, kiedy odgarniając do tyłu włosy, podekscytowana wskazała kormorana, który zanurkował w fale. Gareth zastanawiał się, dlaczego nie czuje się przytłoczony, a wręcz przeciwnie, zrobiło mu się lekko na sercu – lżej niż kiedykolwiek od bardzo, bardzo dawna.

Rozdział 3

5 października 1822, przed obiadem

Moja kajuta na barce w drodze na Morze Czerwone

Drogi pamiętniku, Sprawy postępują wyśmienicie. Podobno prawdę o ludziach najlepiej poznać, obserwując ich w trudnych warunkach. Nasza podróż niewątpliwie dostarczy mi wielu okazji do takich obserwacji i wielce liczę, że dowiem się o Garecie wszystkiego, co niezbędne – dość, by zyskać absolutną pewność, że jest on tym jednym jedynym mężczyzną dla mnie. Robię sobie wielkie nadzieje.

Później tego samego wieczoru, gdy Gareth spacerował po pokładzie, przepatrując wzrokiem morze – coraz bardziej wzburzone, przeszli bowiem przez cieśninę, zwaną, jak dowiedział się od załogi, Bab al-Mandab, i byli już na Morzu Czerwonym – na rufie natknął się aa usadowionego na zwoju lin Bistera, zajętego polerowaniem noży.

Ordynans podniósł wzrok, skinął Garethowi głową i wrócił do pucowania.

– Ani śladu tych głupich drani.

– Dlaczego głupich? – spytał Gareth, opierając się o nadburcie. – W Adenie prawie dopadli pannę Ensworth.

E.

– No właśnie. A powinni byli przyczaić się i zdjąć najpierw nas, wtedy panna Ensworth stałaby się łatwym celem. Jeden Mullins ma jakieś pojęcie o walce, a z łatwością go od niej oddzielili. – Bister uniósł nóż i przyjrzał się ostrzu.

– Nie każdy dorównuje nam doświadczeniem, ale niemądrze byłoby nie doceniać członków kultu.

Bister ze znanostwem pokiwał głową.

– Nigdy nie lekceważ wroga.

– W rzeczy samej. – Gareth spojrział w bok, żeby ukryć uśmiech. Bister nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat; dołączył do niego jako siedemnastoletni chłopak, równie naiwny i niedoświadczony jak Jimmy.

– Byłbym zapomniiał.

Gareth odwrócił się do ordynansa, unosząc brwi.

– Panna Ensworth. – Bister nadal polerował, wpatrzony w nóż. – Jimmy mówił, że miała wracać do domu tradycyjną trasą wokół Przylądka, że zarezerwowała miejsce na liniowcu do Southampton. Ale dzień czy dwa przed wyjazdem nagle zmieniła zdanie i postanowiła podróżować przez Aden.

Gareth milczał przez kilka sekund.

– Podała powód zmiany trasy?

– Nie. Tylko że woli tę od innej.

– Kiedy dokładnie zmieniła zdanie? Jimmy wiedział?

Bister skinął głową, ciągle zaabsorbowany nożem.

– Pewno, jego wuj pierwszy o tym usłyszał. Jimmy mówił, że zaledwie dwa dni przed tym, jak wyruszyli. Opuścili Bombaj siedemnastego.

Gareth i jego służba wyjechali piętnastego – w dniu, kiedy Emily Ensworth postanowiła zmodyfikować plany.

Szczególna zbieżność dat, ale...

Przypadek. Z całą pewnością. Pomijając wszystko inne, nie mogła wiedzieć o jego wyjeździe... chyba?

Niemniej gdyby nawet wiedziała, czemu miałyby zmieniać plany po to, by za nim jechać? To nie miało sensu.

Zaświtało mu pewne małostkowe podejrzenie, lecz okazałby się zarozumiałym, dopuszczając je do siebie.

– Powiadom mnie, jeśli dowiesz się czegoś jeszcze. – Gareth odepchnął się od nadburcia i podjął obchód barki.

7 października. 1822, rano Nadal moja kajuta na barce

Drogi pamiętniku,

Opuściłam kilka wpisów z tej prostej przyczyny, że nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Może więc z braku interesujących wiadomości opiszę widoki?

Woda. Ciągące się bez końca piaszczyste wybrzeże. Nagie piaszczyste wybrzeże. Skalisty cypel od czasu do czasu. Ta część świata nie jest szczególnie malownicza. Słońce nieustannie odbija się od wody, co początkowo wydaje się ładne, jednak teraz oczy mnie już bolą od ciągłego mrużenia.

Zgodnie z planem, staram się dowiedzieć czegoś więcej o Garecie, on wszakże okazuje się denerwująco biegły w unikaniu mnie, i to na tak ograniczonej przestrzeni! Ilekroć w końcu zdołam go dopaść, dosłownie sztywnieje i stara się utrzymać dystans nawet w rozmowie. To doprawdy wielce irytujące. Doszłam do konkluzji, że skoro jest tak zdecydowanym i upartym milczkiem, to jeśli chcę dokonać kolejnych odkryć w kwestii jego charakteru, pozostaje mi przyjrzeć się jego czynom.

Stąd rodzi się pytanie: do jakich czynów powinnam go sprowokować?

E.

Barka weszła do portu w Mokce wczesnym popołudniem.

Z pomocą Watsona Gareth ustawił ich grupę w szeregu, żeby była gotowa do zejścia na ląd, kiedy tylko barka zacumuje. Niedługo potem przemieszczali się spieszenie nabrzeżem, kierując się do miasta – Emily, Dorcas i Arnia przed wózkiem z bagażem, otoczone przez zachowujących czujność mężczyzn.

Kiedy Gareth ją mijał, Emily złapała go za rękaw i przyciągnęła do siebie.

– Czego mi pan nie powiedział? – spytała, patrząc nań zmrużonymi oczami.

Zawahał się, jednak ta wiedza nie mogła jej zaszkodzić.

– Niewykluczone, że członkowie kultu przybyli tu drogą lądową. Musimy założyć, że tutaj są, a nie chcemy na nich niepotrzebnie wpaść.

Przez moment bacznie zaglądała mu w oczy, aż wreszcie skinęła głową i puściła jego rękaw.

Przyjrzał się jej krótko, lecz nie doszukał się ani śladu strachu; po prostu zaczęła uważnie przepatrywać wzrokiem tłum. Nie podjął świadomej decyzji, by zataić przed nią szczegóły, które przekazał mężczyznom. Mężczyźni musieli zachować czujność. Ona... zwyczajnie o tym nie pomyślał.

– Dokąd idziemy? – spytała, nie patrząc na niego. Gareth także nie oderwał wzroku od ludzkiej ciżby.

– Gdzieś, gdzie wszyscy będziecie bezpieczni, podczas gdy ja poszukam szkunera, który zabierze nas do Suez.

W tejże chwili wrócił Bister, który jak zwykle udał się na zwiad. Poprowadził ich do małej rodzinnej tawerny w wąskiej bocznej uliczce niedaleko portu.

Kiedy dotarli na miejsce, Gareth zaakceptował wybór. W ścianie od frontu były tylko jedne drzwi i małe okno bez szyby, zasłaniane skórzaną klapą, aktualnie opuszczoną dla ochrony przed gorącem.

Weszli do środka. Ze względu na porę dnia główna sala świeciła pustkami.

Gareth pokierował Emily i Dorcas do narożnika od frontu, tego bardziej oddalonego od drzwi. Arnia podążyła za nimi. Ku jego uldze Arnia, która

przeważnie okazywała daleko posuniętą rezerwę, najwyraźniej zawarła z Dorcas jakiś układ, gdyż obie kobiety pracowały zgodnie. Bez wątpienia ułatwi mu to życie.

Mooktu i Mullins udali się pogawędzić z właścicielem, Arabem w średnim wieku. Ten z uśmiechem pokiwał głową. Wrócili, niosąc tacę z dzbanem i kubkami. Bez zbędnych słów zsunęli razem stoły i odpowiednio ustawili ławy, po czym wszyscy usiedli, żeby nieco odsapnąć.

I opracować plan.

Gareth spojrzał na Watsona.

– Ty i Mooktu wróćcie ze mną do portu, żeby wynająć szkuner. Najlepiej taki, który zabierze wyłącznie nas, żadnego innego ładunku, i dzięki temu pokona trasę do Suezu najszybciej, jak tylko się da.

– To będzie kosztować fortunę. – Watson się skrzywił.

– Pieniądze mamy – odparł Gareth. – Bezpieczeństwo jest sprawą nadrzędną.

Watson skinął głową.

– Proszę tylko powiedzieć, kiedy.

– Trzeba zrobić zapasy. – Emily poczekała, aż Gareth na nią spojrzy. Uniosła dłoń, pokazując kolejno na palcach. – Potrzebujemy mąki, soczewicy, ryżu, herbaty, cukru i wszystkich innych produktów, których brakowało nam na barce.

Przekonali się, że choć wszyscy w ich gronie z radością jadali te same potrawy, nieważne, hinduskie czy angielskie, jednostajna dieta złożona z ryb i tylko ryb nikomu nie przypadła do gustu.

Arnia, Dorcas, Bister i Jimmy poparli Emily, kiwając głowami.

Gareth otworzył usta, ale zamknął je, kiedy coś sobie uświadomił. Emily uśmiechnęła się doń nieco sztucznie.

– No właśnie – powiedziała. – Jeśli, na co wszyscy liczymy, znajdzie pan statek, który zabierze nas stąd jeszcze dzisiaj, musimy udać się na suk od razu. Jest już późno, nie możemy czekać na pański powrót.

Wpatrywał się w nią. Nieomal widziała, jak na końcu języka formułuje mu się instynktowna odpowiedź odmowna. Wskazała na jego ordynansa.

– Jeśli pójdzie ze mną Bister, no i Mullins, możemy zostawić Jimmy'ego, Arnię i Dorcas, żeby pilnowali bagażu.

Był to rozsądny podział zajęć. Ze wzrokiem utkwionym w twarz Garetha, Emily czekała, żeby się przekonać, czy go zaakceptuje. Czy zdobędzie się na rozsądną reakcję.

Zacisnął wargi, niemniej powoli skinął głową – zmusił się do tego.

– W porządku. – Spojrzał na Bistera i Mullinsa. – Ale zachowajcie najwyższą ostrożność. Do tej pory udawało się nam unikać członków kultu. Jeśli to możliwe, nie chcemy, żeby nas widziano.

Suk, zlokalizowany w dzielnicy o wąskich, krętych uliczkach, przypominał gwarne ludzkie mrowisko. Zarówno sprzedawcy, jak i kupujący reprezentowali rozmaite nacje, przy czym wszyscy rozprawiali głośno w wielu różnych językach. Na szczęście, wskutek rozszerzania się wpływów francuskich i brytyjskich, większość handlarzy jako tako posługiwała się łamanym angielskim, a niektórzy mówili całkiem znośnym francuskim – na tyle, by Emily sobie poradziła.

Postanowiła twardo, że nie da się zastraszyć przez otaczającą ją egzotykę. I rzeczywiście, odkryła, że jej pewność siebie wzbudza u sprzedawców respekt, tak że odnosili się do niej uprzejmie, zaś po miesiącach spędzonych w Bombaju samo targowanie się weszło jej w krew.

W godnym pochwały tempie przedarli się przez listę niezbędnych wiktuałów. Emily finalizowała ostatnią transakcję – zakup ciecierzycy – kiedy dołączyli do nich Gareth i Mooktu.

Z uśmiechem podała ciecierzycę Garethowi.

– Proszę, pan również może się do czegoś przydać... – Spostrzegła wyraz jego twarzy, sposób, w jaki przepatrywał tłum. – O co chodzi?

– Tak jak podejrzewaliśmy – odparł cicho, nie patrząc na nią – w mieście są członkowie kultu. Widzieliśmy ich, ale oni jak dotąd chyba nas nie spostrzegli. W miarę możliwości chciałbym utrzymać ten stan rzeczy.

Emily rozejrzała się szybko. Nie zaprotestowała, kiedy Gareth zdawkowo skinął głową sprzedawcy przy straganie i pociągnął ją za łokieć w kierunku tawerny.

Żeby dostać się do celu, musieli wrócić przez suk po własnych śladach. Kiedy szli, starając się dopasować tempo do innych przechodniów, wymamrotała:

– Znalazł pan szkuner?

– Tak. Dopisało nam szczęście, możemy wypłynąć dziś wieczór.

Skupiony na obserwacji tłumu, gotów zacząć kluczyć, gdyby spostrzegł członków kultu, Gareth odnotował, że przytaknęła, ale na nią nie spojrzał.

Czuł się nadmiernie odsłonięty, prawie że wystawiony na odstrzał. Mooktu w swym plemiennym stroju wtapiał się w otoczenie, jednak Europejczyków było tu niewielu, tak więc Gareth, Emily, Bister i Mullins się wyróżniali.

Raptem Emily przystanęła.

Zawczasu marszcząc brwi, Gareth mocniej zacisnął palce na jej łokciu i odwrócił się, by ją ponaglić. Patrzyła w głąb pełnej straganów uliczki.

– Przebrania – oznajmiła, podnosząc na niego rozjaśniony wzrok.

Spojrząwszy po raz drugi, stwierdził, że stragany oferują lokalne stroje i dodatki.

– Teraz wyróżniamy się z tłumu – dodała – ale jeśli kupimy arabskie stroje, będziemy mogli przeparadować członkom kultu pod samym nosem.

– Nie ma potrzeby aż tak się do nich zbliżać, niemniej... – Zajrzał w jej pełne entuzjazmu oczy i skinął głową. – Zerknijmy, co tam mają.

Wzrokiem dał znak Mooktu, Bisterowi i Mullinsowi, a później podążył za Emily w głąb wąskiej, krętej uliczki.

Wkrótce znalazła sklepik oferujący wszelkiego rodzaju stroje. Przymierzyła pełną burkę – długą szatę, okrywającą kobietę od czubka głowy do stóp, z niewielką wstawką z koronki na wysokości oczu.

Kiedy tylko Emily ją założyła, stała się... całkowicie nie do odróżnienia od niezliczonych kobiet na tłocznych uliczkach.

– Wspaniale! – Fałdy czarnego materiału nieco przytłumiły jej głos. – Doskonale wszystko widzę. – Odwracała się wte i wewte, lustrując wnętrze sklepiku. – Ale nikt nie widzi mnie. – Szeleszcząc materiałem, uniosła przednią część szaty, żeby spojrzeć wprost na sprzedawcę. – Wezmę tę i tamtą. – Wskazała na inną, brązową. – Ile za obie?

Podczas gdy Emily się targowała, Gareth, zachęcony skutecznością jej przebrania, zajął się poszukiwaniem stroju dla siebie i ponaglił do tego samego Bistera i Mullinsa.

Ci dwaj, z początku niechętni, prędko zapalili się do zadania. Gareth czuł zadowolenie z końcowego efektu. Przy odrobinie szczęścia mieli szansę – jedynie szansę – umknąć uwadze członków kultu. Ewentualny sukces był wart tego niewielkiego wysiłku.

Poinstruowali sprzedawcę, że wkrótce zajrzą tu ich towarzysze, którym ma pokazać podobne stroje, po czym opuścili sklepik przebrani za Arabów.

Nikt nawet na nich nie spojrział.

Skryta pod burką Emily przyglądała się arabskim kobietom, ich zachowaniu. Szybko zmieniła pozycję w grupce, tak że szła teraz o krok za Garethem. Ponieważ Mooktu i Mullins osłaniali jej tyły, Gareth nie zgłosił sprzeciwu; widocznie on także odnotował miejscowy obyczaj.

Gdy opuszczali suk, przystanął, żeby sprawdzić, czy nikt się nie zgubił, a Emily zamrugała i radośnie uśmiechnęła się pod burką. W powiewnej białej szacie i luźnych spodniach, z długą, luźną chustą na głowie i kolejną, ciemną, owiniętą w pasie, wyglądał niczym pustynny szejk – człowiek władczy i niebezpieczny, pełen tajemnic i ukrytej zmysłowości.

Pozostali dwaj... po prostu wyglądali niebezpiecznie.

Kiedy ruszył, Emily podążyła potulnie za nim, nadal uśmiechając się ze szczęścia.

Po powrocie do tawerny oddelegowali Mooktu, żeby zaprowadził Watsona, Jimmy'ego, Dorcas i Arnię do sklepiku, gdzie tych czworo miało kupić dla siebie przebrania.

Pod ich nieobecność Emily, z pomocą Mullinsa, Bistera i Garetha, zreorganizowała bagaż, pakując zapasy do dwóch wielkich jutowych worków, nabytych od właściciela tawerny.

– Arnia zadeklarowała, że będzie dla nas gotować, a Dorcas obiecała jej pomóc. – Emily odsunęła się od worka, żeby Gareth i Mullins mogli go zawiązać. – Ja też umiem gotować, obawiam się jednak, że brakuje mi doświadczenia z takimi składnikami.

Gareth podniósł na nią wzrok.

– Chyba nie będzie potrzeby zdawać się na pani kulinarne umiejętności.
– Przypuszczał, że gotuje lepiej od niej, a bynajmniej nie uważał się za

świątecznego kucharza. – Mooktu i Bister też niezgorzej sobie radzą przy palenisku.

Mullins prychnął, prostując się znad porządnie zawiązanego worka.

– To dobrze, bo jeśli Watson albo ja mielibyśmy coś upichcić... cóż, pewno wszyscy woleliby głodować.

Niedługo potem wrócili pozostali. Stanęli całą grupą w nadal, dzięki Bogu, pustej tawernie, podziwiając własną pomysłowość. Dorcas, podobnie jak Emily, zachwycała się burką; dla Arni, która na co dzień nosiła na głowie chustę, często przesłaniając twarz jej długim końcem, zmiana nie była aż tak nadzwyczajna.

– Nikt nas nie widział – zameldował Mooktu. – Zauważyłem w tłumie dwóch członków kultu, ale już po naszym wyjściu ze sklepu. Nie zwrócili na nas uwagi.

– Dobrze. – Gareth przyjrzał się ich grupce, prezentującej się w tej chwili bardzo lokalnie. Przez koronkową wstawkę w czarnej burce spostrzegł błysk w oku Emily i z trudem stłumił uśmiech. Skłonił ku niej głowę. – Miała pani wyśmienity pomysł.

– Dziękuję. – Poruszyła się niecierpliwie. – Co teraz? Idziemy do portu?

– Nie, jeszcze na to za wcześnie. Kapitan szkunera chce nas widzieć na pokładzie dopiero po zmierzchu. – Gareth spojrzał na właściciela tawerny. – Obiad?

Mężczyzna z radością podał im posiłek. Barwnie opisał każdą potrawę, a nawet zaprezentował im, jak miejscowi używają kawałków płaskiego chleba, zwanego chubz, zamiast łyżek. Kiedy jedli, do tawerny powoli ściągali inni klienci. Do czasu, gdy skończyli się posilać i spróbowali lokalnej, bardzo mocnej kawy, lokal się zapełnił, a na dworze zmierzchało.

Gareth zapłacił, a właściciel odprowadził ich do drzwi, błogosławiąc na drogę.

Na ulicy ustawili się w szyku, który omówili w trakcie posiłku, i ruszyli do portu. Na przedzie kroczyli Gareth i Watson – dwaj pewni siebie, dobrze odziani, bogaci Arabowie zmierzający na swój statek. Krok lub dwa za nimi szły Emily, Dorcas i Arnia, przytrzymując z przodu burki, żeby się nie przekreślały, a koronkowe wstawki pozostawały na poziomie oczu. Pochylały też głowy, by widzieć, gdzie stąpają. Stało się jasne, dlaczego arabskie kobiety zawsze wydają się tak potulne, kiedy spieszą za swoimi mężami.

Za kobietami szli Bister i Jimmy, pchając drewniany wózek z bagażem, który później porzucą na nabrzeżu wzorem innych podróżnych. Pochód zamykali Mooktu i Mullins, jak przystało na prawdziwych strażników.

Ich procesja zmierzała do portu niespiesznie, ot, grupa miejscowych, których jedyną troską jest nie spóźnić się na statek.

Na głównej ulicy minęli dwóch członków kultu.

O dwóch kolejnych prawie otarli się na nabrzeżu.

Wszyscy czterej ich widzieli. Żaden nie podejrzewał, na kogo patrzy.

Kiedy dotarli do cumującego w głębi portu szkunera, kapitan uśmiechnął się szeroko.

– Majorze Hamilton! – zawołał.

Gareth zaklął cicho i trzema długimi susami pokonał trap. Zagadnął kapitana o przydzielone im kajuty, by odwrócić jego uwagę od pozostałych.

Kiedy rozejrzał się i stwierdził, że wszyscy – policzył szybko w myślach – zebrali się w grupkę nieco dalej na pokładzie, rozluźnił się. Ale tylko odrobinę.

Przeszedł przez pokład, otworzył zbite z listewek drzwi do zejściówki i obcesowo nakazał kobietom, żeby zeszły na dół.

Emily posłuchała, ale – mimo przesłony burki – poczuł na sobie jej potępiające spojrzenie.

W końcu jednak z całej grupy na pokładzie zostali oprócz niego tylko Mooktu i Bister, a kapitan wykrzykiwał komendy, żeby odbijać.

Szkuner uspokajająco – pokrzepiająco – kołysał się na falach Morza Czerwonego. Gareth stał na rufie i spoglądał na znikającą w oddali Mokkę.

Zobaczył gromadzących się na nabrzeżu członków kultu, którzy na coś wskazywali – na ich szkuner.

Wydostali się z Mokki, unikając starcia, którego się obawiał. Nikt nie umieszcza w tak małym mieście tyłu obserwatorów, chyba że nosi się z zamiarem ataku.

Wymknęli się, lecz przeciwnik okazał się na tyle bystry, żeby dodać dwa do dwóch – policzyć członków ich grupy. Sześciu mężczyzn, trzy kobiety. Ponieważ członkowie kultu stali właśnie w porcie, pokazując palcami, Gareth miał podstawy sądzić, że ich szkuner jako jedyny wyszedł dziś w morze z takim kompletem pasażerów.

Uciekli przed starciem, ale zostali zauważeni.

Sługusy Czarnej Kobry wiedziały, gdzie ich szukać.

7 października 1822, późny wieczór

Wkajucie szkunera na Morzu Czerwonym

Drogi pamiętniku,

W Mokce umknęliśmy tym nikczemnikom. Wszelako napięcie, wręcz namacalne, kiedy okrętowaliśmy się na szkuner i czekaliśmy, aż odbije, bynajmniej nie zelżało. Nie wiem dlaczego, ale Gareth (i inni także) wyraźnie obawia się, że Kobra nas zlokalizuje, że jeszcze nie uciekliśmy.

Muszę przyznać, że ruszając w ślad za Garethem, nie spodziewałam się tak wielkiego niebezpieczeństwa i związanego z nim nieustannego napięcia.

To bardzo rozprasza uwagę. Owszem, mam dzięki temu okazję obserwować zachowanie Garetha w trudnych warunkach i bez wątplenia dowiem się o nim w ten sposób więcej, niż gdybyśmy spotykali się w zwykłych okolicznościach, kiedy nic by nam nie groziło, niemniej owo napięcie ma też inne skutki i daje mi się trochę we znaki.

Odkryłam, że nie odpowiada mi życie w stanie ciągłego zagrożenia rychłą i potworną śmiercią, skoro jednak nie mogę temu zaradzić, postaram się jak najlepiej wykorzystać sytuację.

E.

Znów dołączyła do niego o świcie.

Oprócz nich dwojga na pokładzie przebywał tylko pełniący nocną wachtę marynarz, który ziewał przy kole sterowym. Emily stanęła obok Garetha przy nadburciu na dziobie, odgarnęła do tyłu luźne kosmyki włosów i z zamkniętymi oczami wystawiła twarz na poranny wietrzyk.

Gareth skorzystał z okazji, żeby się jej przyjrzeć. Mimowolnie, po prostu nie umiał się oprzeć. Nie potrafił oderwać wzroku od łagodnych łuków kości policzkowych, delikatnych rysów.

Zefirek pieścił jej szlachetną skórę – pocałunek natury, który Gareth pragnął powtórzyć. Sunąłby wargami po zaróżowionych wypukłościach, zagłębiał się w cieniste doliny...

Odkasznął cicho, wyprostował się i na powrót wbił spojrzenie w morze. Mocno zacisnął dłoń na poręczy nadburcia. Wolałby, żeby miała na sobie burkę... ale wtedy nie mógłby podziwiać jej twarzy. Mimo to...

– Zadziwiające, jaki tu panuje ruch. Nie spodziewałam się aż tylu żaglowców.

Popatrzył na nią.

- Po Morzu Czerwonym kursuje wiele statków handlowych – wyjaśnił.
- Przewożą towary z południowej Afryki i Indii, a nawet z Chin, z przeznaczeniem na rynki Kaim, skąd trafiają one dalej.

Zmarszczyła nos, obserwując oddaloną o jakieś sto metrów dżonkę, która halsowała równoległe do ich kursu.

- W takim razie powinniśmy nosić burki nawet na pokładzie. – Spojrzała na niego pytająco.

– Właśnie chciałem to zasugerować – przyznał. Choć podejrzewam, że musi być w nich gorąco. Przynajmniej te rzeczy – wskazał na swoje nowe szaty – są bardziej przewiewne niż moje zwykłe ubranie.

– W tym problem – przytaknęła. – Burki zakłada się na wierzch, jako dodatkowy strój. – Zastanowiła się, a potem ciągnęła: – Chyba lepiej, jeśli poprzestaniemy na spacerach po pokładzie po zmroku albo wtedy, gdy inne statki będą na tyle daleko, by nie zdołano nas rozpoznać.

– Też tak sędzę – rzekł, kiwając głową. – Wedle rozsądnych szacunków dogonienie nas zajmie członkom kultu parę dni. – Napotkał jej spojrzenie. – Zauważyli nas, kiedy odbijaliśmy.

Skrzywiła się.

– Ruszą za nami, prawda?

– Obawiam się, że tak.

Zamilkli, wsłuchani w chłopotanie fal o kadłub, skrzypienie takielunku i krzyki samotnej mewy. Powinno ich ogarnąć skrepowanie, a tymczasem towarzyszyło im poczucie wspólnoty, dzielonej razem chwili.

Spoglądając na jej twarz, widząc malujący się na niej spokój, Gareth wiedział, że Emily podziela jego odczucia. Mówił sobie, że to naturalne, iż oni dwoje ciągną ku sobie. Dla każdego z nich to drugie było jedynym

przedstawicielem tej samej klasy społecznej na pokładzie szkunera, oczywiście więc, że szukali... swego towarzystwa.

Mieć z kim porozmawiać.

Tylko o to chodziło.

– Pan i pańscy trzej przyjaciele robicie to ze względu na pamięć kapitana MacFarlane'a, prawda?

Pytanie go zaskoczyło.

– Tak. – Raptownie wezbrały w nim emocje, ożyło wspomnienie Jamesa. Zaczerpnął tchu, poruszył się... ale potem mocniej zacisnął dłoń na poręczy nadburcia i kontynuował: – To nasza misja, dlatego też, oczywiście, jesteśmy zdecydowani doprowadzić ją do końca. Postępowalibyśmy tak samo, z taką samą determinacją, gdyby James żył. Jednakże... – Po raz pierwszy zastanowił się nad tą kwestią i dostrzegł prawdę. – Ma pani słuszość, każdy z nas robi to po części dlatego, by go pomścić.

Choć na nią nie patrzył, wyczuł, że spogląda nań z aprobatą.

– Cieszę się – powiedziała. – Ponieważ kapitan MacFarlane zginął, eskortując mnie, również zależy mi na pomszczeniu jego śmierci.

Akurat ta deklaracja nie zaskoczyła Garetha. Bez trudu przywoływał w myślach obraz przyjaciela, jego ujmującego, młodzieńczego uśmiechu. W konfrontacji z jego radosną żywotnością Gareth – podobnie jak i pozostali – czuł się często jak zmęczony życiem starzec. James zawsze cieszył się powodzeniem u młodych dam. Gareth zerknął ukradkiem na Emily. Oczywiście, że zrodziły się w niej romantyczne wyobrażenia, gdy tak wspaniała młodzieniec zginął w jej obronie.

Zarazem jej komentarz na nowo przywołał jątrzące pytanie, czy – jakkolwiek wydawało się to dziwne – zmieniła plany podróży po to, by

podążyć za nim. Ale dlaczego wybrała jego, a nie Dela albo któregoś z pozostałych dwóch?

To pytanie nie dawało mu spokoju, nie wiedział jednak, jak je zadać, żeby nie wyjść na zarozumialca.

– A zatem – odwróciła się do niego, opierając się plecami o nadburcie – czym planuje się pan zająć po skończeniu misji, wróciwszy do Anglii?

Spojrzał na nią.

– W zasadzie jeszcze o tym nie myślałem. – W ogóle o tym nie myślał. Powinien mieć teraz pustkę w głowie, lecz ku swemu zdumieniu odkrył, że jego mózg pracuje pilnie, wytwarzając rozmaite przyjemne wizje... przy czym w każdej z nich występowała ona. Zamrugał i odwrócił się bokiem. – Powinienem zrobić obchód. Pełnię wartę.

Skrzywiła się, ale tak nieznacznie, że zobaczył to bardziej w jej oczach niż na twarzy.

– Przecież słyszałyby pan, gdyby podpłynęła do nas jakaś łódź.

– Nie dałbym głowy, że nie radzą sobie w wpław.

– Dobrze, pójdę więc z panem.

– Nie! – To było ostatnie, czego by sobie życzył. Nie tylko jego mózg reagował na bliskość Emily. Gareth spiesznie poszukał wyjaśnienia dla swego wybuchu. – Robi się coraz jaśniej, a pani nie ma na sobie przebrania. My zaś wkrótce dogonimy te statki. – Wskazał grupę wolniejszych jednostek, do których miarowo się zbliżali. – Członkowie kultu mogą być przed nami.

Popatrzyła na żaglowce w oddali – nieomal spiorunowała je wzrokiem. Potem zacisnęła wargi, nadąsana.

Krnąbrny mózg zasugerował, żeby Gareth scałował ten grymas z jej ust...

– Och, w porządku – powiedziała.

Dzięki Bogu.

Odwróciła w stronę zejściówki, na pożegnanie posyłając Garethowi ostre spojrzenie.

– Nadrobimy to później.

Uprzejmie skłonił głowę. Kiedy tylko Emily postawiła stopę na schodku, ruszył na obchód szkunera, rad z zapewnianego mu przez nowy strój kamuflażu. Przynajmniej tym problemem nie musiał się przejmować.

Na horyzoncie majaczyło już wszakże wiele innych.

Znajdowali się w pełnej niebezpieczeństw podróży, przy czym im bliżej Anglii, tym groźnych sytuacji przypuszczalnie pojawi się więcej, a jednak Gareth nie miał innego wyboru, jak tylko trzymać Emily przy sobie. Bez względu na narastającą w nim fascynację jej osobą, nie zaryzykowałby pozostawienia jej gdzieś bez ochrony. Niestety, wspomniana fascynacja groziła poważnym zakłóceniem ich wzajemnych relacji – w której to sferze on przynajmniej błdził po omacku.

Przez ponad dekadę dowodził mężczyznami. Niestety, kobiety to była całkiem inna sprawa.

Rozdział 4

8 października, 1822, popołudnie

Na pokładzie szkunera na Morzu Czerwonym

Drogi pamiętniku, Zaczynam powątpiewać, czy można się wiele dowiedzieć o innej osobie, znajdując się w stanie ciągłego podenerwowania. Mając się stale na baczności. Bez przerwy oglądając się przez ramię. Słowo daję, że kark mi już od tego zeszywniał. Niestety, członkowie kultu są w pobliżu. Bister i, jakiś czas później, Mullins widzieli ich charakterystyczne czarne chusty.

Jeśli pominąć ów ciągły strach przed atakiem, podróżujemy dość wygodnie. Dorcas wpadła na pomysł, żeby rozwiesić wszechobecne tu moskitiery nad częścią pokładu rufowego, tworząc osłonę, pod którą możemy siedzieć bez burek. W tej chwili usadowiłam się właśnie w naszym prowizorycznym namiocie i przyglądam się mijającym nas statkom. Podobno utrzymujemy dobre tempo. Sceneria nie uległa znaczącej poprawie, lecz przynajmniej upał tak nie doskwiera, w każdym razie tu, na wodzie. .. I znów łapię się na tym, że z drżeniem przeczesuję wzrokiem pokład żaglowca mijanego właśnie przez nasz elegancki szkuner.

Mężczyźni z naszej grupy na zmianę pełnią wartę, co trochę krzyżuje mi szyki, gdyż trudno mi wziąć ponownie na spytki Garetha. Prawie bez przerwy trwa na stanowisku, gotów zareagować na najmniejsze zagrożenie.

Niemalże chciałabym, żeby atak wreszcie nastąpił, dzięki temu zelżałoby bowiem to ustawiczne napięcie.

E.

Wieczorem tego samego dnia Emily wyszła na pokład rufowy, niosąc delikatny szal. Wyprostowała się, przystanąła, strzepnęła jedwab i otuliła nim

plecy. Omiotła spojrzeniem najbliższe otoczenie – ani żywego ducha – a potem rozpoczęła wieczorną przechadzkę.

Gdyby przypadkiem wpadła na Garetha Hamiltona, planowała zachęcić go, by uczynił stosowny użytek z osłony nocy i, w pewnym sensie, z jej osoby. By przynajmniej ujął jej dłoń i ucałował palce – choć wolałaby, żeby pocałował ją w usta. Uporała się już z obserwacjami oraz analizą wszystkich dostępnych danych i jak dotąd nie doszukała się u niego żadnej cechy bądź zachowania, których nie życzyłaby sobie u swego „jedyne”.

Fizyczny pociąg i pogłębienie kontaktów wydawały się oczywistym kolejnym krokiem. Niejako rozpoczynała zaloty, aczkolwiek nieoficjalne. Jakże bowiem miała ocenić, czy pasują do siebie pod tym względem, jeśli nie przeprowadzi praktycznego testu? Jej siostry utrzymywały, że jest niezwykle istotne, by się upewnić, iż nie ma się do czynienia z żabą – z rodzaju tych, które nigdy nie zmieniają się w księcia.

Wieczór był bardzo przyjemny. Szkuner wolno sunął po czarnej wodzie, gdyż wiatr, który gnał ich naprzód w ostatnich dniach, przycichł do zaledwie tchnienia. Młody księżyc dawał niewiele blasku, ale wzdłuż nadburcia rozmieszczono oświetlające pokład lampiony, dzięki czemu Emily pewnym krokiem zmierzała ku dziobowi.

Znajdowała się na wysokości grotmasztu, kiedy wyczuła za sobą jakiś ruch. Odwróciła się gwałtownie.

Ujrzała ociekającą wodą głowę, mahoniową twarz z dzikimi, wytrzeszczonymi oczami, a wreszcie długie, patykowate ciało, nagie, jeśli nie liczyć przemoczonej przepaski biodrowej. Zęby błysnęły w złośliwym uśmiechu. W blasku księżyca zamigotało uniesione wysoko ostrze.

Wrzasnęła, głośno i przeciągle, jednocześnie okręcając się na pięcie i rzucając do ucieczki. Mężczyzna skoczył za nią, chwycił szal. Puściła go i biegła dalej.

Raptem ujrzała przed sobą kolejnych członków kultu, wyłaniających się z cienia przy nadburciu. Zahamowała z poślizgiem. Uśmiechnęli się i natarli na nią z uniesioną bronią.

–Tutaj, daj rękę!

Spojrzała w górę. Na tle nocnego nieba odcinała się przykucnięta ciemna sylwetka – ale rozpoznała ten głos. Oburącz chwyciła wyciągniętą ku niej dłoń.

Jej wybawiciel wyprostował się, podrywając ją z pokładu na dach przedniej nadbudówki. Wylądowała u jego boku.

Członkowie kultu zawyli i runęli za nią.

Gareth puścił ją, kiedy tylko stopami dotknęła dachu.

Gdy Emily odwracała się w stronę zagrożenia, błysnął jego rapier, ze świstem tnąc powietrze. Napastnicy się skulili.

Natychmiast jednak poderwali się znowu i, wymachuje kindzałami, usiłowali zdobyć ich pozycje.

Zadając cięcia i sztychy, Gareth odparł atak.

Nagle ktoś wskoczył na dach za nimi. Emily odwróciła się błyskawicznie, lecz to był Mooktu, spieszący wspomóc swego pana.

Cofnęła się trochę, żeby dać im dwóm więcej miejsca, ale jedną ręką przytrzymała się szat Garetha – tak, by nie stracić równowagi, lecz zarazem nie krępować jego ruchów.

Członkowie kultu szturmowali nadbudówkę, coraz liczniej tłocząc się na pokładzie poniżej. Starali się zwabić Garetha i Mooktu do przodu, wyciągali rękę, usiłując chwycić ich i ściągnąć na dół.

Z hukiem otwały się drzwi zejściówek, na deskach zadudniły stopy marynarzy, którzy wysypywali się na pokład na dziobie i rufie. Emily spostrzegła, że szarżę z rufy prowadzą Mullins i Bister.

Większość napastników zignorowała nowo przybyłych. Skupieni na Garecie, desperacko usiłowali go osiągnąć... i ją także.

Ujrzała, jak jedna zjawa odrywa się od rozedrganego kłębowiska cieni i chyłkiem okrąża walczących. Wpatrzony w plecy Garetha członek kultu podkradał się coraz bliżej.

Zerknęła szybko na Garetha i przekonała się, że całkowicie absorbuje go walka z mężczyznami nacierającymi z przodu. Napastnik wślizgnął się w cień pod krawędzią dachu nadbudówki. Nawet nie spojrzał na Emily, w pełni skoncentrowany na groźniejszym przeciwniku.

Lada moment wejdzie na górę.

Z sercem w gardle Emily rozejrzała się – i zobaczyła zawieszoną na wysięgniku metalową kanę. Chwyciła ją wolną ręką. Po ciężarze poznała, że jest do połowy wypełniona piaskiem.

W tejże chwili spod krawędzi dachu nadbudówki wyłoniło się ciemne ramię.

Niewiele myśląc, zamachnęła się kaną i uderzyła z całej siły, akurat kiedy ukazała się głowa napastnika.

Kana trafiła w cel z głuchym odgłosem, człowiek Czarnej Kobry runął do tyłu. Skoczyli na niego dwaj marynarze.

Emily zachwiała się. Przez moment groziło jej, że straci równowagę i dołączy do krwawej jatki poniżej. Uratowało ją to, że nadal przytrzymała się ubrania Garetha.

Obejrzał się, kiedy szarpnęła go po raz pierwszy, spostrzegł, w czym rzecz, i pociągnął za swoją szatę. Spojrzeli sobie w oczy. Później odwrócił się, żeby dalej siec zdesperowanych członków kultu.

A zaiste byli zdesperowani. Nie zamierzali się wycofać. Ani poddać.

I zostali wyrznięci co do jednego, a ich ciała wyrzucono za burzę.

Gareth pozostał na stanowisku, dopóki ostatni trup z pluskiem nie wpadł do wody. Nawet wtedy poczekał jeszcze, aż Mullins skończy ostateczny obchód pokładu, a Bister zamelduje, że wszystko w porządku.

Wyprostował się, odrobinę rozluźniając zaciśnięte na rękojeści szabli palce. Nowe szaty jego i Mooktu były sownie zbryzgane krwią, szybko jednak obaj upewnili się, że nie są ranni.

Dopiero wówczas, kiedy opadło zeń bitewne napięcie, spojrzął na Emily.

Nadal stała obok niego na dachu, przyglądając się zabiegom na pokładzie. Mocno oplotła się ramionami, trzymając za łokcie, jakby było jej zimno. Szok, owszem, lecz nie histeria, za którą to drobną łaskę Gareth był wdzięczny losowi.

Za znacznie większą łaskę – za to, że nadal żyła – zanosił w duchu modły dziękczynne.

Zorientował się, kiedy wyszła na spacer po pokładzie. Słyszał jej kroki. Także zaczął iść, wzdłuż przeciwległej burty, żeby uniknąć spotkania z nią, jak zresztą postępował od paru dni.

Jej krzyk go za to ukarał.

Rozdarł noc – i rozdarł mu duszę. Serce w nim zamarło, a potem zaczęło walić tak mocno, że był pewien, iż członkowie kultu usłyszą go i zobaczą, gdy wspinał się na dach nadbudówki.

Jednak przeżyła, wyszła z tej przygody bez szwanku.

Co więcej, skutecznie osłaniała mu tyły, czego z pewnością się nie spodziewał.

Także i za to był szczerze wdzięczny.

Pokład stopniowo pustoszał. Mooktu chrząknął, zeskoczył z nadbudówki i ruszył uspokoić Arnie, która pokazała się na rufie.

Wolną ręką Gareth dotknął smukłych pleców Emily.

– Pomogę pani zejść.

Zeskoczył na pokład ze strony, gdzie było mniej krwi, odłożył na bok szablę, odwrócił się do Emily i oburącz chwycił ją w tali.

I ściągnął z dachu na pokład.

Serce szybciej mu zabiło, kiedy stawiał ją przed sobą na deskach. Kiedy zaglądał w tę twarz, nawiedzającą go w snach. Nabrał tchu, zmuszając się, by ją puścić.

Przypadkiem pomógł mu w tym Bister, który podszedł, żeby wziąć jego szablę do wytarcia.

Gareth właśnie mu ją przekazał, kiedy zbliżył się kapitan Ayabad, skończywszy wydawać rozkazy, żeby splukano i wyszorowano pokład.

– Czterej moi ludzie pomogą jutro doczyścić pokład – odezwał się Gareth, uprzedzając wypowiedź kapitana. Ayabad skłonił się lekko.

– Kiedy zaś oni będą się tym zajmować, my dwaj, majorze, powinniśmy odbyć małą pogawędkę. Zdaje się, że nie wiem o kilku sprawach.

– Rano porozmawiamy. – Gareth krótko skinął głową.

– *Bon.* – Ayabad, wysoki, ciemnowłosy, zbliżony wiekiem do Garetha, wykonał kolejny płytki ukłon, a potem odwrócił się do Emily, błyskając zębami w uśmiechu.

– Muszę podziękować pani, mam'zelle, za rozrywkowy wieczór.

Emily spojrzała na niego raczej chłodno.

– Cieszę się, że dobrze się pan bawił, kapitanie.

Ayabad, Arab, lecz z matki Francuzki, z którego to powodu po części Gareth wybrał jego statek, znów błysnął w uśmiechu zębami, zgiął się w półukłonie i odszedł.

Tymczasem Bister, Mooktu i inni mężczyźni z ich grupy zeszli już pod pokład, podobnie jak większość członków załogi, niektórzy po to, by opatrzyć rany, większość jednak, żeby wymieniać się opowieściami o bohaterskich czynach.

Na górze oprócz Garetha i Emily zostali tylko sternik i rozstawieni na dziobie i rufie obserwatorzy.

Odwrócił się do niej akurat w chwili, kiedy podnosiła nań wzrok.

W półmroku lustrował jej rysy, zaglądał w oczy. Wtedy, całkiem niespodziewanie, zamknęła jego twarz w drobnych dłoniach, wspięła się na palce i, przyciągając go nieco w dół, ku sobie, przywarła wargami do jego ust.

Jego popędy wezbrały, zamruczały...

Usadził je brutalnie.

To był pocałunek wdzięczności. Wiedział o tym, a jednak...

Każda cząstka jego świadomości skupiła się na ciepłe jej ciała, nieomal stykającego się z jego własnym, na delikatnym dotyku miękkich jak płatki róży warg, sprężystych, lecz zarazem poddających się naciskowi, gdy tak niewinnie napierały na jego usta.

Jego złaknione usta.

Walczył ze wzbierającym w nim pożądaniem, wewnętrznym przymusem, by porwać ją w ramiona, przygarnąć do siebie mocno i oddać pocałunek.

Posmakować, zawłaszczyć, pożreć.

Ze wszystkich sił starał się ustać nieruchomo, nie przesunąć się ani o centymetr, by mogła całować go tak długo, jak tylko zechce...

I całowała go.

A potem, z westchnieniem, cofnęła się. Kiedy jej obcasy dotknęły pokładu, Gareth się wyprostował. Z niechęcią i zawodem.

Te cudowne usta wygięły się w uśmiechu. Ponieważ ciągle się w nie wpatrywał, widział, jak formują się na nich słowa.

– Dziękuję, majorze.

Zmusił się, żeby przesunąć wzrok na jej oczy. W nich także dostrzegł uśmiech, a później Emily skłoniła głowę.

– Dobranoc.

Nie zdobył się na odpowiedź, nie wyrzekł ani słowa, gdy się odwróciła i ruszyła do zejściówki. Cały wysiłek skupił na tym, by pozostać w miejscu, nie pogonić za nią. Powstrzymywał się przed oblizaniem warg, aby jeszcze jej posmakować.

Przyniosłoby mu to tylko niepotrzebną udramę. Jej pocałunek był podziękowaniem, wyrazem wdzięczności, nie pożądania.

Nie był niczym osobistym, nie znaczył nic wielkiego.

Nie dla niej.

Zaklął pod nosem i zmusił się, żeby pójść w przeciwnym kierunku. Między nimi nic nie było – okazałby się głupcem, gdyby sądził inaczej.

To coś – o cokolwiek chodziło – zaistniało wyłącznie w jego umyśle.

10 października 1822, bardzo wczesny ranek

W mojej kajucie na szkunerze, kołyszącym się na Morzu Czerwonym

Drogi pamiętniku,

Czuję się rozdarta w kwestii tego, czy powinnam się cieszyć, że wyrażone przeze mnie ostatnio życzenie się spełniło. Atak był zaiste

przerażający i w pełni uzmysłowił mi (jakbym żywiła jeszcze co do tego wątpliwości) dziką naturę członków kultu. To fanatycy, śmierć w walce im niestraszna. Gdyby nie mój dzielny major... lecz to właśnie, naturalnie, stanowi korzyść, jaką wyniosłam z owego mroźnego krew w żyłach doświadczenia. Gareth był po prostu wspaniały, kiedy dosłownie wyrwał mnie ze szponów tych nikczemników, a potem bronił przed istną ich hordą. Niejeden łajdak padł z jego ręki. Pozostali, w tym załoga, ani chybi także zrobili swoje, ja jednak, co rozumiałe, skupiałam całą uwagę na moim wybawcy, dzięki czemu zresztą zyskałam okazję, by osobiście porachować się z jednym członkiem kultu, broniąc majora przed niehonorowym atakiem z tyłu i tym samym odrobinę splacając dług wdzięczności.

Oczywiście, później musiałam go pocałować. Tak, zachowałam się nad wyraz śmiało, lecz moment wydawał się odpowiedni (no i miałam pretekst), postąpiłabym więc głupio, gdybym przepuściła taką sposobność.

I dzięki temu, drogi pamiętniku, mogę w tej chwili donieść, że major Gareth Hamilton nie jest żabą. Mimo że to ja całowałam (on, bardzo po dżentelmeńsku, nie skorzystał z okazji), wychwyciłam, poczułam. .. Dość rzec, że po tym doświadczeniu nie zaznałam snu minionej nocy.

Oczywiście, skoro pocałunek okazał się takim sukcesem, uważam go jedynie za pierwszy krok. Otworzył drzwi, że tak powiem, a teraz muszę się przekonać, co się za nimi kryje.

Przyznaję, że zżera mnie ciekawość.

E.

Nazajutrz rano, zgodnie z obietnicą, Gareth udał się na rozmowę z kapitanem.

Spodziewał się negocjacji, toteż wziął ze sobą Emily, chcąc zagwarantować sobie przewagę.

Zapukał do kajuty kapitańskiej, a usłyszawszy zaproszenie, otworzył drzwi i przepuścił przodem Emily, ujmującą w zwiewnej, jasnozielonej sukni.

Ayabad poderwał się z miejsca. Pospieszył przytrzymać krzesło dla Emily, która chłodno odpowiedziała na jego powitanie i usiadła.

Gareth przyciągnął sobie drugie krzesło i zajął miejsce obok niej.

Pokraśniała z zadowolenia, kiedy poprosił, żeby mu towarzyszyła – nabierał wprawy w interpretacji wyrazu jej twarzy. Oczywiście, nie do końca rozumiała, dlaczego zależy mu na jej obecności, nie widział jednak nic złego w tym, by pozwolić jej wierzyć, że potrzebuje porady. W jego ocenie rozproszenie uwagi Ayabada było posunięciem strategicznie rozsądnym.

– A zatem, majorze – Ayabad na powrót zasiadł za małym biurkiem – będzie pan tak uprzejmy i wyjaśni mi, o co chodziło tym, którzy ubiegłej nocy zaatakowali statek, a także, czy w trakcie dalszej podróży powinniśmy spodziewać się kolejnych tego rodzaju spotkań?

Ponieważ Gareth zawczasu przemyślał, ile chce ujawnić, teraz gładko opisał kult Czarnej Kobry oraz przyczyny zainteresowania jego członków Emily jako tą, która dzielnie dostarczyła władzom ważny dowód.

Historia wywarła na Ayabadzie oczekiwane wrażenie. Zaintrygowany, okrzykiem skwitował relację z jej podróży z Puny i zadawał rozmaite pytania, na które Emily odpowiadała ze stosowną dozą kobiecej skromności.

Gareth zataił, że przewozi kopię wspomnianego listu. Dzięki temu prostemu wybiegowi jego opowieść, przy wsparciu Emily, wywołała u Ayabada przeświadczenie, że eskortuje on pannę Ensworth w trakcie jej podróży do Anglii, ponieważ kult Czarnej Kobry bez wątpienia będzie szukał na niej zemsty, jak starał się to zrobić ubiegłej nocy.

Później nie trzeba już było wiele, żeby przekonać Ayabada do udzielenia im wsparcia, to znaczy powiezienia ich dalej na północ, do Suez, i odpierania po drodze ewentualnych ataków kultu. Gareth dobrze znał mężczyznę pokroju kapitana – Ayabad i jego załoga radzi witali sposobność do bitki. Oczywiście, miało to swoją cenę. Oni dwaj przystąpili do targów w kwestii dodatkowej sumy.

Kiedy Gareth zerknął na Emily, przekonał się, że osłupiała ze zgrozy – nie potrafił orzec, z powodu wysokości kwoty czy samego faktu, że trzeba dopłacić coś ekstra – niemniej, ku jego uldze, nie zabrała głosu. Wyraźnie jednak czuł jej dezaprobatę.

Emily w istocie się zbulwersowała, ale ponieważ Gareth zdawał się nie mieć nic przeciw żądaniu kapitana ani też sumom – dla niej horrendalnym – o których była mowa, uznała, że powinna trzymać język za zębami.

Dzięki temu miała czas odnotować, że – uwzględniając rzeczony sumy – Gareth Hamilton nie jest nędzarzem. Nie zastanawiała się wcześniej nad ponoszonymi przez niego wydatkami, lecz teraz, po krótkiej analizie, stwierdziła, że musi on rozporządzać środkami znacznie przekraczającymi zasoby przeciętnego majora armii. Z drugiej strony, wiele słyszała o bogactwach, jakie nagromadziły osoby na usługach Kompanii Wschodnioindyjskiej, a Gareth powiedział niegdyś, że on i jego towarzysze byli „ludźmi Hastingsa”.

Na jego majątek składał się więc nie tylko żołd.

Samej Emily zasobność bądź ubóstwo Garetha nie sprawiały różnicy – gdyby okazał się jej „jedynym”, wyszłaby za niego tak czy owak. Niemniej fakt, że był stosunkowo bogaty, z pewnością pomoże uzyskać zgodę jej rodziców na to małżeństwo.

Gdy na powrót skupiła uwagę na wydarzeniach w kajucie kapitańskiej, przekonała się, że Ayabad i Gareth wymieniają uścisk dłoni.

Obaj identycznie się uśmiechali.

Obaj wyglądali jak piraci.

Wstała w ślad za Garethem i pożegnali się z kapitanem, który szarmancko uklonił się nad jej dłonią. Zanotowała w myślach, żeby go w żaden sposób nie zachęcać. Oceniała Ayabada jako kobieciarza, z kochanką w każdym porcie Morza Czerwonego.

Kiedy drzwi kajuty zamknęły się za ich plecami, Gareth z uśmiechem spojrzął na Emily.

– Wyśmienicie.

Gestem pokazał, żeby kierowała się do zejściówki. Wspięła się po schodkach pierwsza. Zrównał się z nią, kiedy znaleźli się na pokładzie.

– Dobrze poszło. – Gareth zerknął na nią. – Chciałem przemilczeć moją misję i pani bardzo mi w tym pomogła. – Spojrzął przed siebie, dopasowując się do jej tempa, kiedy zmierzali w stronę rufy. – Zachowywała się pani dokładnie tak, jak było trzeba, żeby poruszyć w Ayabadzie rycerską strunę. Wiedziałem, że ta rycerskość w nim drzemie. To człowiek honoru, dlatego w Mokce wynająłem właśnie jego.

Zatrzymała się na rufie, chwyciła się poręczy nadburcia i wpatrzyła w kilwater.

Gareth przystanął obok niej i obejrzał się, spoglądając przez całą długość szkunera. Z samego rana wyszorowano pokłady tak, że po nocnej bitwie nie został żaden ślad. Uśmiechnął się.

– Powinienem zbesztać panią za samotny spacer minionej nocy, lecz chyba każdemu z nas poprawił się humor, kiedy spodziewany atak wreszcie nastąpił i przetrwaliśmy go praktycznie bez szwanku. Zarobiliśmy kilka draśnięć i siniaków, ale nikt nie został poważnie ranny.

Umilkł na chwilę, przypominając sobie – bardzo wyraźnie – moment, kiedy spojrzął na pokład z dachu nadbudówki i zobaczył okrążających ją członków kultu, widział jej bezradność, pojmował zagrożenie... Był tam jednak, uratował ją, ona zaś należycie mu za to podziękowała.

I ocaliła mu skórę w ogniu walki. Spojrzął na nią, ale nadal patrzyła na morze.

– Jeszcze pani nie podziękowałem za wsparcie minionej nocy. Należy się pani pochwała za szybkość myślenia i trzeźwą ocenę sytuacji. Gdyby nie pani, mógłbym zostać poważnie ranny.

Albo zginąć, pomyślała Emily, odwracając się do niego.

Pochwyciła jego wzrok. Czekwała z nadzieją. Jeśli chciał jej podziękować, już zaprezentowała mu sposób.

Szczęka jej opadła – oczywiście w przenośni – kiedy wyjawiał powody, dla których zaprosił ją na rozmowę z Ayabadem. Każde kolejne wypowiedane przez niego słowo tylko podgrzewało jej złość, jeśli wszakże zamierzał odkupić przewiny stosownym podziękowaniem, była skłonna przymknąć oko na jego arogancję.

Dlatego czekała.

Omiótł spojrzeniem jej twarz, znów zajrzał w oczy.

– Ja... przyznaję, że kiedy zasugerowałem połączenie sił, wyobrażałem sobie, że będę panią niańczył. Pani jednak nie raz już przyczyniła się do powodzenia tej wspólnej wyprawy i wszyscy, a w szczególności ja, jesteśmy pani szczerze wdzięczni.

Czekała. Nadal.

Chyba wyczuwał, o co jej chodzi, ale jedynie poruszył się niespokojnie i powiedział:

– Jestem pewien, że pozostali...

Pozostali? Poddała się. Sapnęła z frustracją, wyrzucając w górę ręce, a potem zbliżyła się do niego, ujęła w dłonie jego twarz, pociągnęła ku sobie i przywarła wargami do jego ust.

Po raz kolejny. Ale mocniej.

Bardziej zdecydowanie, z większą pewnością siebie.

Bardziej sugestywnie.

Prowokująco.

Zarost na policzkach Garetha delikatnie drapał wnętrze jej dłoni. Znów napawała się surowością jego rysów, koniuszkami palców przeciągnęła po kościach policzkowych, jednocześnie chłonąc i eksplorując wargami fascynującą twardość jego ust.

Także i tym razem nie oddał pocałunku, niemniej na niego zareagował – wychwyciła to. Czowała, że Gareth toczy walkę, by zachować dystans, utrzymać ów minimalny prześwit między ich ciałami, by nie porwać jej w objęcia, nie wpić się w jej usta.

I wygrał tę walkę, niech go licho!

Z braku powietrza zaczynało jej się kręcić w głowie i musiała odstąpić.

Kiedy oderwała się od jego warg, Gareth zaczerpnął tchu i z niebotycznym wysiłkiem poskromił swe popędy.

Zmarszczył brwi, zaglądając jej w twarz.

– Czym sobie zasłużyłem?

Zmrużyła oczy, w ciemnozielonych tęczęwkach zamigotały złote ogniki.

– To było po to, żeby przestał pan gadać. I jako podziękowanie dla mnie za minioną noc!

Potem okręciła się na pięcie i z gniewnym szelestem spódnic ruszyła ku zejściówce.

Gareth patrzył, jak znika na stromych schodkach. Zostawiając mu na wargach swój smak. Czuł się kompletnie skonfundowany.

11 października 1822, rano

Moja kajuta na szkunerze kapitana Ayabada

Drogi pamiętniku,

Obawiam się, że jeśli idzie o Garetha Hamiltona, staje się rozwiązła. Pocałowałam go znowu, w biały dzień, na pokładzie rufowym, nie bacząc na to, że ktoś mógłby nas zobaczyć. Wydaje mi się wprawdzie, że w pobliżu nikogo nie było, lecz czułam taką złość, że odeszłam, nie upewniając się w tej kwestii.

Oczywiście, to on mnie tak rozeźlił. Przyznał, że na początku tej wspólnej podróży myślał o mnie jako o swej podopiecznej, brzemieniu, które wziął na swe barki. Niewątpliwie wiedziony honorem. Uch! Nie życzę sobie takiego podejścia do mojej osoby – tak protekcyjnego traktowania – choć po ostatnich wydarzeniach on chyba zmienia nastawienie. I dobrze. Jako mój „jedyny” musi bezwzględnie widzieć we mnie kobietę, z którą pragnie spędzić resztę życia.

W znacznej mierze z tego właśnie powodu znów go pocałowałam – żeby przyspieszyć ową zmianę nastawienia. I nie żałuję. Moim kolejnym krokiem będzie nakłonienie go, by odwzajemnił pocałunek. Dziś przez chwilę miałam nadzieję, lecz on ewidentnie potrzebuje kolejnej zachęty.

Stanowczo zamierzam dalej nad nim pracować. Nikt chyba nie spodziewałby się po mnie, że zaniecham wysiłków, kiedy poczynił już takie postępy. Z każdym mijającym dniem nabieram doń większego przekonania – wszystko, co w nim znajduję, jest chwalebne i pociągające... No dobrze, może poza skłonnością do przejmowania dowodzenia. Oraz wstrzeźliwością w reagowaniu na moje wdzięki. Wiem, że też czuje do mnie pociąg.

Niestety, wczoraj już nie nadarzyła się okazja do pchnięcia mojej sprawy naprzód. Skradłszy mu ten drugi pocałunek, nie mogłam zainicjować kolejnego, gotów byłby bowiem uznać mnie za łatwą. Wątpliwe także, by dzisiaj pojawiła się szansa na jakiś postęp. Za to jutro, jak mówi kapitan Ayabad, zawiniemy do portu w Suakin. Spędzimy tam dzień, na suchym lądzie, licząc więc na kolejne sposobności.

Zobaczmy.

E.

Następnego ranka szkuner sunął po spokojnych wodach zatoki, w której leżała wyspa Suakin. Na wyspie, połączonej z lądem groblą, koncentrowało się życie miejskie. Jak daleko Emily sięgała wzrokiem, zabudowania pokrywały cały jej obszar, aż do linii brzegowej.

Ich statek zatoczył łuk, żeby wejść do portu. Mijali jednostki rozmaitego typu, ale nie licząc paru ciężkich barek, żadna nie była większa od szkunera.

Kapitan Ayabad dołączył do stojących na dziobie Emily, Garetha, Dorcas i Watsona.

– Musimy uzupełnić wodę i zapasy, co zajmie nam większą część dnia, chcę jednak odbić wczesnym popołudniem, tak by odpływ poniósł nas przez przesmyk z powrotem na Morze Czerwone. Jeśli planujecie zejść na ląd, musicie wrócić do tego czasu.

Gareth skinął głową i spojrzał na Emily.

– Targ?

– Tak. My też powinniśmy uzupełnić zapasy.

– Suk znajduje się mniej więcej w centralnej części wyspy. To meczet hanaficki*.

** Hanafici – zwolennicy ortodoksyjnej wykładni prawa muzułmańskiego, zapoczątkowanej w VIII w. przez Abu Hanife – przyp. red.*

Ayabad wskazał palcem. – Miniecie go i kawałek dalej natkniecie się na stragany.

Gareth mu podziękował. Zanim szkuner zacumował i spuszczone trap, ich grupa była gotowa do zejścia na ląd. Po krótkiej naradzie Gareth przystał, by Arnia i Dorcas osobiście udały się na suk i zobaczyły, co tu można dostać. Próbował zasugerować, żeby Emily została na pokładzie – w podtekście: aby była bezpieczna – ona jednak, od tylu dni uwięziona na szkunerze, ani myślała przepuścić okazji do rozprostowania nóg.

Chciała też być obecna, w razie gdyby członkowie kultu znów zaatakowali.

W końcu zeszli na ląd wszyscy oprócz Watsona – przewodnik zgodził się zostać na statku i pilnować bagażu. Idąc wąskimi uliczkami, które za meczetem zrobiły się jeszcze węższe, Emily starała się mieć oczy dookoła głowy.

Podobnie jak i pozostali. Członkowie kultu od paru dni nie dawali znaku życia, ale nikt nie zakładał, że się poddali i wrócili do domu.

Kiedy dotarli na suk, napięcie jeszcze wzrosło. Emily, Dorcas i Arnia targowały się o cenę mąki i suszonego mięsa, a Gareth i Mooktu stali obok, zaciętym wyrazem (warzy i groźną postawą dając do zrozumienia, że czuwają nad ich bezpieczeństwem. Bister, Jimmy i Mullins czaili się w pobliżu. Wyglądało na to, że Bister uczy Jimmy'ego, jak wtapiać się w tłum i wynajdywać najlepsze punkty obserwacyjne.

Wreszcie Emily z radością oznajmiła Garethowi, że nabyli już wszystko, co potrzebne.

Sapnął, dał sygnał pozostałym, by uformowali szyk, po czym ruszyli z powrotem na statek. Nikt nie zasugerował przechadzki po mieście i podziwiania widoków.

Gareth odetchnął z ulgą, kiedy ostatni uczestnik wyprawy minął go w drodze na pokład. Wszedł po trapie jako ostatni. Mieli nadzieję na kilka godzin relaksu, a zamiast tego borykali się z narastającym napięciem.

W tej chwili było ono wręcz namacalne.

Znalazłszy się na pokładzie szkunera, Gareth odwrócił się, by spojrzeć na miasto. Nie zauważyli ani jednego członka kultu. To nie znaczyło, że ich tu nic ma.

Niepokoilo go zwłaszcza to, że jego intuicja krzyczała. Głośno.

Ta sama intuicja utrzymywała go przy życiu przez długą, pełną nieprzewidzianych starć służbę, dlatego nie zamierzał jej teraz zlekceważyć. Jednakże według Ayabada ich następnym przystankiem będzie dopiero Suez. Po opuszczeniu Suakin czeka ich kilka dni, kiedy to, coraz bardziej spięci, będą szykować się na powitanie, jakie przygotował tam dla nich Czarna Kobra.

Gareth skrzywił się w duchu i ruszył dołączyć do reszty grupy na rufie.

Emily została na pokładzie wraz z innymi, gdy oddalali się od wyspy Suakin. Odpyływ niósł ich szybko przez przesmyk łączący zatokę z pełnym morzem. Kiedy było już widać wylot przesmyku i rozciągające się dalej wody Morza Czerwonego. Emily porzuciła stanowisko przy nadburciu i zeszła pod pokład.

W małej kajucie, którą dostała tylko dla siebie, usiadła na skraju przymocowanej do łukowatej burty koi. Wyjęła z torby dziennik w skórzanej oprawie. Zwolniła zapięcie, chwytając niewielki ołówek, nim zdążył się stoczyć. Przeczytała ostatni wpis, odwróciła stronę i wygładziła papier. Ściskając

ołówkę w palcach, utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie, żeby uporządkować myśli, wrażenia z całego dnia.

Z westchnieniem przytknęła ołówkę do papieru.

– Hola! – krzyknął ktoś na pokładzie. Podniosła wzrok.

Przez sekundę panowała cisza, a potem rozległy się krzyki i przekleństwa – narastający błyskawicznie zgiełk, podkreślany tupotem licznych stóp.

Skoczyła do drzwi, odrzucając dziennik. Kiedy je otworzyła, do ogólnej wrzawy dołączyły dźwięki, które obawiała się usłyszeć – metaliczny szcęk ostrzy.

Spojrzała w głąb korytarza. Mullins wychodził właśnie na pokład, tuż za nim podążał Watson. Arnia i Dorcas stały przy schodni, patrząc w górę. Kiedy Emily do nich dołączyła, Arnia wymamrotała coś, po czym wepchnęła Dorcas do ręki kuchenny nóż.

– Głupio tkwić tu na dole, jeśli nasza obecność na pokładzie może przeważać szalę – oznajmiła, a potem szybko wspięła się po schodkach z drugim, groźnie wyglądającym nożem w dłoni.

Dorcas zerknęła na Emily.

– Panienska niech tu lepiej zostanie – rzekła i pospieszyła za Arnią.

Chwilę później Emily stała samotnie, spoglądając wzdłuż stromej schodni na prostokąt niebieskiego nieba, sporadycznie przecinany przez czyjaś sylwetkę.

Z okrzyków, stęknień i tupotu stóp nie potrafiła wydedukować, ilu jest napastników ani kto wygrywa.

Dorcas miała rację, bez broni Emily nie mogła wspomóc walczących. Jednakże...

Chyłkiem wspięła się po schodkach i zerknęła na zewnątrz. Rufę wypełniało kłębowisko zmagających się postaci. Opuściła zejściówkę i spojrzała ku dziobowi – wszędzie było tak samo.

Potem spostrzegła statek, który zrównał się z nimi burta w burę. Tłoczyli się na nim członkowie kultu. Za każdym razem, kiedy fala zbliżała żaglowce ku sobie, na pokład szkunera przeskakiwali kolejni napastnicy.

Gdy Emily znów skupiła uwagę na toczącej się wokół bitwie, pojęła, że Arnia miała słuszność – będą potrzebować każdej pary rąk, aby i tym razem odnieść zwycięstwo.

Dokonanie tej oceny sytuacji nie zajęło jej nawet minuty. Spodziewając się, że wróg lada moment ją dostrzeże, rozejrzała się desperacko w poszukiwaniu jakiejś broni... i zobaczyła niezawodną kanę, którą posłużyła się ostatnio. Ominęła dwóch siłujących się mężczyzn, wyciągnęła się i chwyciła pałąk, akurat w chwili, gdy zauważył ją członek kultu.

Uśmiechnął się złośliwie, a potem z potwornym wyciem rzucił się ku niej przez ciżbę walczących.

Ledwo zdążyła wziąć zamach. Uderzyła kaną z dołu do góry, trafiając napastnika pod brodę. Runął do tyłu, na plecy dwóch kompanów. Wszyscy trzej przewrócili się na deski, tworząc bezładne kłębowisko. Doskoczyli do nich marynarze, którzy wcześniej walczyli z tamtymi dwoma.

Emily zostawiła im dokończenie dzieła i odwróciła się w drugą stronę, znów biorąc zamach. Powaliła kolejnego przeciwnika, ale...

– O nie!

Pałąk wyslizgnał jej się z palców i kana poleciała w sam środek bijatyki.

Musiła znaleźć sobie inną broń. Okrążyła nadbudówkę na rufie. Kiedy sunęła, plecami przytulona do ścianki, o coś się potknęła. Spojrzawszy w dół, zobaczyła długi drąg.

Przykucnęła i przyciągnęła go do siebie.

Był to zakończony złowróźnie wyglądającym hakiem bosak.

Wstała, trzymając bosak oburącz, jak to swego czasu podpatrzyła u braci, kiedy walczyli na kije. Ciężki hak ciągnął jeden z końców w dół. Przez chwilę manipulowała bosakiem, nim go wyważyła – akurat gdy kolejny napastnik oderwał się od grupy walczących i natarł na nią, szczerząc zęby w złowróbnym uśmiechu.

Uderzyła uzbrojonym w hak końcem, trafiając napastnika w gardło. Mężczyzna stanął raptownie, zagulgotał i runął na pokład.

Ścięła z nóg jeszcze dwóch. Zaczęli się podnosić, ale wtedy doskoczył do nich Bister i rapierem im to uniemożliwił.

Emily skorzystała z okazji, by ocenić rozwój sytuacji. Ludzie jej i Garetha walczyli na rufie, marynarze bronili pozostałej części statku. Rósł stos ciał, ale na ile się zorientowała, należały one wyłącznie do członków kultu. Szeregi napastników się przerzedzały, lecz czterech ciągle nacierało na Garetha i Mooktu, przypierając ich do nadburcia. Emily zacisnęła szczękę. Uniosła bosak.

– Nie, moment! – Bister gorączkowo zasygnalizował, żeby podała mu jeden koniec. – W ten sposób.

Skulił się, trzymając bosak pół metra nad pokładem, i machnął wolną ręką.

Emily pojęła, o co mu chodzi. Także opuściła nisko swój koniec, po czym razem uderzyli od tyłu na wroga, podcinając walczącym nogi na wysokości kolan. Napastnicy przewrócili się na plecy, wrzeszcząc i wymachując ramionami, a wtedy Gareth i Mooktu dokończyli dzieła.

Emily stała teraz za Garethem, plecami do nadburcia. podobnie jak Bister. Mooktu wykorzystał okazję, żeby skoczyć naprzód. Rozdając cięcia,

przebił się do Arni o Dorcas, które walczyły nieco dalej, obok Watsona, Mullinsa i Jimmy'ego.

Członkowie kultu ciągle zajadle nacierali, lecz ich szeregi topniały. Bliżej dziobu Emily spostrzegła kapitana Ayabada, wywijającego szablą z dzikim uśmiechem na twarzy. U jego boku walczył bułatem pierwszy oficer, potężny Nubijczyk.

Szczęk ostrzy tuż obok przykuł jej uwagę z powrotem do Garetha i Bistera, którzy bronili się zaciekle przed trzema kolejnymi napastnikami. Emily uniosła bosak, wychyliła się zza Garetha, poczekała na odpowiedni moment i dźgnęła najbliższego przeciwnika w gardło.

Odskoczył, a Gareth natarł na niego, tak że Emily mogła prześlizgnąć się za jego plecami i uderzyć na jednego z dwóch mężczyzn, z którymi walczył Bister.

Dzięki jej interwencji Bister zyskał przewagę, później dołączył do nich Gareth... i raptem byli wolni.

Na pokładzie jednak nadal trwała zacięta walka.

Emily nabrała tchu, spojrzała w bok i szarpnęła Garetha za rękaw.

– Patrz!

Wskazała na statek członków kultu. Zdryfował na tyle, że odstęp między żaglowcami stał się zbyt duży, by człowiek zdołał pokonać go skokiem. Kilkudziesięciu ludzi wrzeszczało i potrząsało kindzałami, niecierpliwie czekając, by dostać się na pokład szkunera i ruszyć do walki. Popatrywali przy tym na kilku swych towarzyszy, usiłujących przerzucić haki abordażowe ponad nadburciem statku Ayabada.

Gareth zaklął, wetknął szablę za pas i chwycił bosak Emily.

– Chodź.

Przeskoczył ciała poległych i znalazł się przy nadburciu. Bister ruszył za nim. Gareth pozostawił mu przecinanie lin od haków abordażowych, które przeciwnikowi udało się zaczepić o nadburcie, a sam usiadł okrakiem na poręczy, przytknął koniec bosaka do burty wrogiego żaglowca i pchnął.

Wykorzystując swój ciężar ciała, zdołał utrzymać mniejszą jednostkę na dystans, ale...

– Mooktu! Do mnie!

Wezwany nadbiegł, spojrzął, pojął, w czym rzecz – i zniknął.

Chwilę później pokazał się znowu z podobnym, długim bosakiem. Przyłożył go do burty wrogiego statku, ale bliżej dziobu. I także pchnął.

Bister pospieszył mu pomóc.

Gdy Gareth stracił równowagę i byłby spadł do wody, Emily chwyciła go oburącz za szaty i odchyliła się do tyłu, pełniąc rolę balastu.

Członkowie kultu wrzeszczeli. Szukali u siebie bosaków, żeby odtrącić przeszkody i zmniejszyć odległość między jednostkami.

Gareth zerknął przez ramię.

– Mullins! Jimmy!

Ci dwaj właśnie powalili trzech napastników.

– Postawcie więcej żagli, prędko!

Jimmy wskoczył na nadbudówkę na rufie, Mullins wgramolił się za nim. Wspólnie zdołali rozwinąć najpierw niewielki bramsel, a potem, ciągnąc i szarpiąc, marsel.

Przez chwilę żagle łopotały, później złapały wiatr i napięły się.

Szkuner przechylił się, a potem skoczył naprzód.

Na mniejszym statku członkowie kultu wrzasnęli z furją i także rzucili się do masztów. Jednak szkuner miał znacznie większą powierzchnię żagli.

Kiedy wroga jednostka została z tyłu, Gareth skierował uwagę na napastników, którzy nadal znajdowali się na pokładzie.

Tym razem jednak pozostali przy życiu członkowie kultu, widząc, że są sami i bez szans na zwycięstwo, wyskoczyli za burtę. W ciągu paru chwil było po starciu.

Kapitan Ayabad kazał postawić więcej żagli. Po opuszczeniu Suakin szli przez wąski przesmyk tylko na kliwrze, dlatego właśnie wroga jednostka zdołała tak łatwo się z nimi zrównać.

Wreszcie Ayabad przeszedł na rufę, gdzie ciężko klapnęli Gareth i jego ludzie, zdyszani, ponieważ dopiero co skończyli wyrzucać ciała za burtę.

Kapitan skinął głową Garethowi i pokłonił się Emily. Proszę przyjąć moje przeprosiny. Powinienem był zachować większą czujność, ale nie spodziewałem się, że to robactwo spróbuje abordażu.

Ja też nie. – Gareth skrzywił się, a potem spojrział na wyczerpanych członków ich grupy. – Kilka draśnięć, trochę siniaków, ale nie ponieśliśmy żadnej trwałej szkody. – Popatrzył na Ayabada. – Pańscy ludzie?

Trochę ran, nic zagrażającego życiu. Ci członkowie kultu... nie są dobrze wyszkoleni.

Przeważnie nie – przyznał Gareth. – Ich strażnicy i zabójcy są, lecz większość to po prostu chłopci z nożami.

To widać. – Ayabad pokiwał głową. – Niemniej po tym starciu, jeśli nie ma pan nic przeciw, chciałbym obrać najszybszy kurs do Suez.

Gareth się z nim zgodził. Jak dotąd dopisywało nam szczęście – przyznał.

Nie ma sensu prowokować kolejnego ataku.

Do wieczora pokłady szkunera znów były czyste. Na statku panował idealny porządek, kiedy pod pełnymi żaglami cieli łagodne fale, gnani coraz silniejszym wiatrem.

Kiedy Emily, Dorcas i Arnia opatrzyły rany swoim towarzyszom – kilka draśnięć i dwa głębsze cięcia – udały się do kapitana Ayabada, żeby zaoferować jemu oraz jego załodze swoje mikstury i maści. Marynarze skwapliwie skorzystali z propozycji, radzi, że opatrują ich delikatne ręce, niemniej z zasłyszanych komentarzy Emily wywnioskowała, iż – podobnie jak Ayabadowi – niedawna bitka sprawiła im nie lada przyjemność.

Po obiedzie, kiedy zaszło słońce i noc otuliła morze aksamitną ciemnością, Emily wyszła na pokład rufowy. Rozwijali przyzwoitą prędkość, wątpiła więc, by groziło im jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Oparła się o nadburcie na rufie i zapatrzyła w toń.

Tak, jak na to liczyła, wkrótce dołączył do niej Gareth.

Usłyszała jego kroki, nim jeszcze wyczuła obok siebie potężną sylwetkę.

Podobnie jak ona wsparł się o nadburcie, patrząc na pomarszczony kilwater.

– Piękna noc, taka spokojna – odezwał się. – Kto by pomyślał, że zaledwie kilka godzin temu mieliśmy tu pole bitwy?

Spojrzała na niego. Blask księżyca odbijał się od wody, znacząc cętkami jego twarz.

– To jest życie, nieprawdaż? Bitwa i triumf? Uśmiechnął się i nieznacznie skłonił głowę.

– Tym razem odnieśliśmy pomniejszych obrażenia, chyba więc możemy radować się triumfem.

– Myślisz, że po dzisiejszym ataku dotrzemy do Suezu bez dalszych incydentów?

Obejrzał się, podnosząc wzrok na żagle.

– Przy tej prędkości, jeśli dopisze nam szczęście, mamy na to szansę. Tamci będą musieli zdać komuś raport. Zwykle takimi grupami dowodzi ktoś stojący wyżej w hierarchii kultu, a wątpię, żeby ów człowiek znajdował się na tamym statku. Dlatego raczej nie ma potrzeby przejmować się pościgiem. Jednakże... – Urwał na chwilę.

Musimy przyjąć, że w Suezie ludzie Czarnej Kobry wystawili czujki. Nie konkretnie z naszego powodu, ale na wypadek gdybym podróżował tamtędy ja lub którykolwiek z moich towarzyszy. To jeden z najważniejszych punktów tranzytowych różnych wiodących do Anglii tras.

Skinęła głową.

W Suezie więc znowu trzeba będzie mieć się na baczności. – Spojrzała na niego. – Jak planujesz podróżować dalej?

– Jeszcze nie wiem. – Pokręcił głową.

Gareth nie chciał tłumaczyć, że dopóki nie wzięł pod swoje skrzydła Emily i jej ludzi, jego misja miała nieco inny charakter. Wcześniej zamierzał jawnie kusić członków kultu, żeby ruszyli za nim w jak największej liczbie. Jako że Mooktu, Bister i Arnia umieli o siebie zadbać, nie martwiłby się nadmiernie ewentualnym zagrożeniem.

Obecność Emily wszystko zmieniła.

Wyprostował się.

– Będę musiał się upomnieć o zwrot kilku przysług, u potem wybrać najlepszą trasę i środek transportu, dając gwarancję, że unikniemy uwagi wroga. Ponadto Suez to ostatnie miasto przed Europą, gdzie możemy uzupełnić zapasy, zatem również tą sprawą należy się zająć.

–I wszystko to tak, żeby ludzie Czarnej Kobry nas nie zauważyli?

– Właśnie. A skoro mowa o kulcie... – Zajrzał jej w oczy, lekko się krzywiąc. – Powinienem głośno wyrazić dezaprobatę z powodu tego, że wyszłaś na pokład w czasie starcia, nie mogę jednak być takim hipokrytą.

Przez moment mierzyli się wzrokiem; potem się uśmiechnęła. Popatrzyła znów na morze.

– Arnia powiedziała coś na temat tego, jakie to głupie, gdy kobiety kulą się strachliwie, żywiąc nadzieję, że ich mężczyźni wygrają starcie, podczas gdy swym uczestnictwem w walce mogłyby przeważać szalę zwycięstwa. Uznałam, że się z nią zgadzam. Jej filozofia może nie znajdować zastosowania na polach bitew i w starciach wielkich armii, lecz przy potyczkach w rodzaju tych, jakie stają się naszym udziałem, brzmi przekonująco.

Choć wzdragał się przed tą koncepcją, zignorowanie problemu mogło przynieść gorsze skutki. Dzisiaj jej się udało, podobnie jak przy wcześniejszym ataku, lecz to, czy znajdzie prowizoryczną broń, zależało wyłącznie od szczęścia, którego następnym razem może jej zabraknąć.

– Niewiele wiesz o broni? – zapytał, dławiąc w sobie instynktowny sprzeciw.

Uśmiechnęła się szerzej i rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Wiem, że szabla ma ostry czubek i tylko jedną ostrą krawędź.

Prychnął.

– Bister jest świetny w walce na noże, podobnie jak Arnia – rzekł po chwili zastanowienia. – Poproszę, by cię podszkolili i znaleźli dla ciebie jakiś nóż. Jak słusznie mówisz, zważywszy co może czyhać na nas po drodze, lepiej, żebyś nie była bezbronna.

Kiedy mówił, odwróciła się do niego, nadal oparta o nadburtcie. Teraz się wyprostowała. W bladym świetle księżycy widział wyraz jej twarzy. Malowało się na niej coś więcej niż radość.

– Dziękuję.

Patrzył na jej kształtne, soczyste wargi, zaglądał w oczy, które zdawały się jaśnieć delikatnym blaskiem. Przysunęła się do niego.

Trwali chwilę nieruchomo, patrząc na siebie. Przysięgłby, że świat wokół nich zamarł. Istnieli tylko oni dwoje, stojący tu w księżycową noc, gdy wiatr szarpał kosmyki jej włosów i opinał suknię na szczupłej sylwetce.

Gareth przyłapał się na tym, że podnosi ręce, ale nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego nie miałyby tego robić. Wcześniej pocałowała go w podziękowaniu – mógł wszak odplacić jej tym samym.

Dotknął delikatnych wypukłości, szorstkimi dłońmi utulił szlachetną skórę jej policzków, potarł kruche kości szczęki, gdy kierował twarz Emily ku górze.

Nachylił się. Dziękuję za dzisiaj. Za ratunek.

Otarła się wargami o jego wargi. Lecz tym razem to on ją całował, to on napierał na jej usta – łagodnie, wolno, z bolesną ostrożnością.

Nie cofnęła się. Nakryła jego dłoń swoją.

Z akceptacją.

Ponagleniem.

Przekrzywił głowę i napał odrobinę mocniej, zachęcając. Kiedy rozchyliła wargi, drażnił je jeszcze przez chwilę, a potem, nadal trzymając na wodzy swoje popędy, wniknął w jej usta powoli, z rozmysłem, lecz zdecydowanie.

Nie napotkał sprzeciwu, więc wdarł się głębiej, objął w posiadanie. I coś rozbłysło.

Odpowiedziała na pocałunek, a jego załało szokujące gorąco. Czuł ruch jej warg, wciągała go w siebie, oddawała pieśczętę.

Ogarnęło ich pożądanie.

Znajome, a jednak nie całkiem. Bardziej konkretne, bardziej świadome. Czytał je w sobie – i w niej.

Niespodziewane, lecz zarazem pociągające i kuszące. Przez długą chwilę jedynie rozkoszował się jego smakiem, owym uderzającym do głowy narkotykiem, jakim jest chętna kobieta w ramionach.

Z powodu różnych spraw, tej misji, Czarnej Kobry, upłynęło trochę czasu, odkąd Gareth po raz ostatni zakosztował pożądania, lecz nawet obecna przyjemność – niosąca obietnicę jeszcze większej rozkoszy – nie zdołała przyćmić w jego umyśle świadomości, jaką to konkretnie kobietę trzyma w ramionach.

Nic też nie przyćmiło żaru, ani owej obietnicy.

Nie był pewien, dokąd zmierzają. Nie wchodziła w grę prosta kotłowanina w jakimś kącie – nie tego chciał, nie z nią.

Z nią wszystko było inaczej. Tyle wiedział, lecz co dalej... Tę kwestię spowijała tajemnica.

Cofnął się. Musiał, ponieważ nie wiedział, co by się stało potem.

Nie wiedział nawet tego, czy ona rozpoznała szarpnięcie narastającego pożądania i pojmowała, dokąd by ono prowadziło. Gdyby kontynuowali, gdyby ślepo podążyli dalej tą drogą.

Dlatego skończył pocałunek, z niechęcią – jakże wielką – odrywając się od jej warg.

Spojrzał na nią. Zatrzepotała rzęsami, a gdy je uniosła, zajrzał jej w oczy i zobaczył...

Radość.

Jej usta, nadal błyszczące po pocałunku, wygięły się minimalnie w uśmiechu.

Cofnęła dłoń, a on puścił jej twarz. Odstąpiła o krok.

– Dobranoc, Garecie – powiedziała, nadal uśmiechając się nieznacznie, prawie nieuchwytnie.

Usłyszał, lecz nic nie odrzekł.

Mógł tylko patrzeć – nie ufał sobie na tyle, by zrobić cokolwiek więcej – kiedy odwróciła się i niespiesznie poszła do zejściówki, a potem zniknęła pod pokładem.

Słyszał jej kroki w korytarzu na dole, słyszał, jak otwierają się, a następnie zamykają drzwi jej kajuty.

Dopiero wtedy wziął głęboki oddech, odwrócił się i znowu oparł o nadburcie. Wpatrzył się w rozświetlony księżycem, pomarszczony kilwater.

Rozdział 5

12 października. 1822, późno w nocy

Moja kajuta na szkunerze Ayahada

Drogi pamiętniku, Pocałował mnie! Nareszcie jakiś postęp, przy czym pochlebiam sobie, że wzbudziłam w nim (co najmniej) zainteresowanie. A sam pocałunek był cudowny, pod każdym względem lepszy niż wszystkie, jakie do tej pory stały się mym udziałem. Gareth wykazał się mistrzostwem, lecz w żadnym razie nie był przytłaczający. Dokładnie takiego pocałunku mam zamiar często doświadczać (nie zaszkodziłoby wprawdzie więcej żarliwości, lecz ta ani chybi przyjdzie z czasem).

Za równie obiecujące uważam to, że Gareth sam z siebie docenił mój wkład w dzisiejsze wydarzenia. I kto by pomyślał, że on, major armii, okaże się tak postępowy i rozsądny, by zaakceptować fakt, że muszę umieć lepiej bronić siebie i jego (choć wątpię, czy akurat to drugie przyszło mu do głowy).

W każdym razie sprawy postępują niezwykle pomyślnie. Ponieważ wedle jego szacunków aż do Suezu nie grozi nam kolejny atak, robię sobie wielkie nadzieje odnośnie do tego, co przyniosą kolejne dni. Kładę się spać, z niecierpliwością wyczekując jutra.

E.

16 października 1822, popołudnie

Moja kajuta na szkunerze

Drogi pamiętniku,

Przez kilka dni nie pisałam, gdyż, ku mej irytacji, nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Robiłam sobie wielkie nadzieje, że skoro Gareth przełamał lody i pocałował mnie (a oboje wiemy, że nie miało to wiele wspólnego z wdzięcznością), przy tej okazji bez wątpienia uzmysławiając sobie, jak szczególna więź nas łączy, będzie szukał sposobności do kolejnego pocałunku.

Niestety, dotąd nie przejawiał takich skłonności – przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że jego reakcją na owo zdarzenie są próby trzymania mnie na dystans! Nie, żeby zaprzeczał pociągowi, jaki czujemy do siebie nawzajem (czytam tę wiedzę w jego oczach); chodzi raczej o to, że zdecydował, by nie dać nam możliwości rozwijania wspólnych zainteresowań.

Zdaje się, że wspominałam już o jego denerwującej tendencji do podejmowania jednostronnych decyzji?

To się musi skończyć, aczkolwiek nie odkryłam jeszcze, w jaki sposób przewyciężyć jego determinację.

Ale odkryję.

E.

19 października 1822, bardzo wczesnie rano

Kajuta na przeklętym szkunerze

Drogi pamiętniku,

Robię ten wpis w pośpiechu, jako że właśnie pakujemy się i przygotowujemy do opuszczenia tej ciasnej łajby. Przed nami Suez wyłonił się z mgły, tak więc za godzinę lub dwie spodziewamy się zawinąć do portu. Ten etap naszej podróży dobiega końca i choć przyniósł wiele znaczących odkryć (wiem już, że Gareth Hamilton posiada wszelkie cechy mego „jedyne”) oraz późniejszych, zachęcających, a wręcz obiecujących zdarzeń (ten pocałunek!), z żalem donoszę, że nie udało mi się poczynić dalszych postępów.

Gareth okazał się irytująco nieuchwytny.

Nie wiadomo jeszcze, jak będzie wyglądać nasza dalsza podróż, liczę wszakże na to, że dostarczy mi ona więcej sposobności do zabiegów o Garetha – czy leż, gwoli ścisłości, do zachęcenia go, by to on zabiegał o mnie.

Spoglądam w przyszłość z nadzieją.

E.

Gdy opuszczali port, właśnie wstało słońce, malując jasne ściany budynków jarzącym się bursztynowym różem. Mrużąc oczy, Gareth patrzył na odcinające się na tle porannego nieba minarety i kopuły meczetów, które uwypuklały fakt, że znajdowali się w obcym kraju.

Na szczęście, od czasu klęski Bonapartego ten obcy kraj coraz bardziej ulegał wpływom brytyjskim.

Gareth pewnie kroczył przed siebie w arabskim przebraniu, jakby tu przynależał, jakby wiedział, dokąd zmierza – co akurat nie mijało się z prawdą. Zatrzymał się w Suezie przed laty, w drodze do Indii. Kiedy wszedł na plac za portem, obejrzał się na prowadzoną przez siebie niewielką procesję. Mooktu szedł u jego boku, następnie, pełen szacunku krok za nimi dwoma, zdążyły Emily. Dorcas i Arnia w burkach, potem Bister i Jimmy z bagażem, a wreszcie zamykający pochód Watson i Mullins.

Gareth poprowadził grupę przez zatłoczony plac do wylotu ulicy, wiodącej nie do dzielnicy dyplomatycznej, lecz do zacisznego rejonu niewielkich rezydencji. Przystanął pod daszkiem zamkniętego jeszcze sklepu i poczekał, aż pozostali zbliżą się na tyle, by go usłyszeć.

Nie wyjawiał im jeszcze celu podróży. Nie życzył sobie po drodze pytań czy protestów, które zniszczyłyby obraz, jaki starali się stworzyć. „Nie rozglądajcie się otwarcie wokół”, polecił im, zanim zeszli po trapie. Członkowie kultu z całą pewnością byli w Suezie; należało więc unikać zwracania na siebie uwagi.

– Nie możemy ryzykować wizyty w konsulacie – powiedział teraz cicho. Spojrzał na Emily. – Ferrar ma znajomości w kręgach dyplomatycznych. Niewykluczone, że poprosił tutejszy personel, by powiadomiono jego lub podległe mu kreatury, gdyby któryś z nas czterech pojawił się w mieście.

– Dokąd zatem idziemy? – Emily popatrzyła na niego przez koronkową wstawkę w burce.

– Złożyć wizytę staremu przyjacielowi.

Następnie poprowadził ich dalej, zagłębiając się w spokojne ulice dzielnicy mieszkalnej.

Gareth wiedział, że Cathcart wspomógł go, jak tylko będzie potrafił. Nie wiedział natomiast, czy możliwości jego wieloletniego przyjaciela wystarczą, by zorganizować dla nich stosowny transport. Jednakże Cathcart zawsze był pomysłowym jegomościami.

Wędrowali wąskimi, częściowo brukowanymi, pokrytymi wszechobecnym pyłem alejkami. Za wysokimi zdobionymi murami dyskretnie przycupnęły mniejsze i większe domy. O tej porze ulice nadal świeciły pustkami, lecz przez solidne drewniane furty w murach wychodziły już kilkusobowe grupki.

Po dziesięciu minutach marszu z portu stanęli przed pomalowaną na zielono furta, którą Gareth dobrze pamiętał. Załomotał w nią pięścią.

Chwilę trwało, nim odsunęła się klapka osłaniająca okratowany prostokąt i na zewnątrz wyjrzały ciemne oczy.

– Czy mieszka tu nadal Roger Cathcart? – zapytał Gareth.

Stojący po drugiej stronie furty Arab w średnim wieku skinął głową.

– To rezydencja pana Cathcarta.

– Doskonale. Proszę poinformować pana Cathcarta, że przybył Gar i pragnie skonsultować się z nim w sprawie wielkiej wagi.

Mężczyzna zamrugał, a potem zasunął klapkę.

Niespełna dwie minuty później Gareth usłyszał, jak od strony domu zbliżają się szybkie kroki.

Uśmiechał się, kiedy furta gwałtownie się otworzyła i stanął w niej Roger Cathcart, wytrzeszczając na niego oczy. Na jego twarzy wyraz radosnego zaskoczenia walczył o lepsze z ciekawością.

– Hamilton? Człowieku, co ty tu, u diabła, robisz?

Przed przystąpieniem do wyjaśnień wypadało uporać się z prezentacją i zakwaterowaniem wszystkich. Dom był wystarczająco duży, żeby pomieścić całą grupkę, a nieliczna służba Cathcarta cechowała się najwyższą dyskrecją – o co gospodarz dodatkowo zadbał, wydając stosowne polecenia, gdyż rzut okiem na przebrania gości przekonał go o potrzebie zachowania tajemnicy.

Po ponad ośmiu latach na stanowisku pierwszego sekretarza brytyjskiego konsula Cathcart znał wszelkie lokalne niuanse, polityczne i towarzyskie zależności oraz, na co liczył Gareth, różne szlaki i środki transportu, pozwalające dostać się do Morza Śródziemnego i dalej.

Cathcarta zachwycała i zaintrygowała Emily, zwłaszcza gdy dowiedział się o jej powiązaniach z gubernatorem Bombaju, powściągnął jednak swą ciekawość do czasu, gdy zasiedli we troje na poduszkach wokół niskiego stołu zastawionego pełnymi jadła półmiskami z miedzi i mosiądzu.

– Potraktujcie to jako późne śniadanie albo bardzo wczesny lunch – rzekł Cathcart, wskazując półmiski.

Zerknął na Emily, która dokonywała właśnie przeglądu ich zawartości, i zarumienił się nieznacznie. – Zdaje się... muszę przeprosić. Wszystko to są lokalne specjały. Nie pomyślałem, żeby zamówić bardziej angielskie jedzenie...

– Nie, nie. – Emily uśmiechnęła się, nakładając sobie na talerz niewielkie zbożowe ciasteczka. – Po pół roku w Indiach przywykłam do pikantnych potraw.

– Och. To dobrze. Pół roku? Przyzwoicie długa wizyta.

– Pozwoliła mi bez pośpiechu nadrobić zaległości w relacjach z ciotką i stryjem. – Emily skończyła sobie nakładać i postawiła talerz na stole. – A pan długo jest tutaj?

Zapełniając talerz świeżymi frykasami, Gareth słuchał, jak Roger w gładki, czarujący sposób opowiada pokrótce o latach spędzonych zagranicą.

Emily słuchała go z wyraźną radością i zainteresowaniem.

Prowadzili we dwoje tę niezobowiązującą rozmowę, aż wreszcie Roger także skończył napełniać talerz i pochwycił spojrzenie jedzącego Garetha.

– Jakaż to więc sprawa wielkiej wagi sprowadza cię w moje progi? – spytał, a kiedy Gareth zerknął na drzwi, dodał: – Służba wróciła do kuchni. W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nas podsłuchać.

Gareth skinął głową. Przerywając raz po raz, żeby przełknąć trochę niespotykane ostrego, lecz wyśmienitego jedzenia, opowiedział całą historię, poczynając od wytycznych Hastingsa, a kończąc na powodach, dla których przybyli tu w przebraniu.

Roger był jednym z nielicznych ludzi na świecie, których Gareth darzył na tyle dużym zaufaniem, by bez osłonek wyjawić im prawdę. Znali się, odkąd uczęszczali razem do szkoły w Winchesterze; żaden nigdy nie zawiódł drugiego. Potem Gareth wstąpił do armii, a Roger wybrał służbę dyplomatyczną, pozostawali jednak w kontakcie – właśnie dlatego w drodze do Indii Gareth zatrzymał się w Suezie.

Zgodnie z oczekiwaniami Garetha, Roger w lot pojał, co wynika z faktu, że Czarna Kobra to Ferrar.

– Oczywiście, możecie się u mnie przyczaić, moi służący to sprawdzeni ludzie – powiedział, ze zmarszczonymi brwiami odsuwając pusty talerz. – Ale postarajcie się jak najrzadziej wychodzić na ulicę i w miarę możliwości

unikajcie okolic konsulatu. – Przeniósł wzrok z Garetha na Emily. – Nie tak dawno widziałem kilka nietypowych turbanów z czarnego jedwabiu.

– Członkowie kultu. – Emily szerzej otworzyła oczy. Gareth skinął głową.

– Obawiałem się, że zawczasu przysłali tu obserwatorów.

– No i rzeczywiście obserwują. Zauważyłem ich tylko na ulicach w pobliżu konsulatu.

– Nie mamy po co zapuszczać się w tamte rejony, ale – Gareth pochwycił spojrzenie przyjaciela – ty także musisz zachować ostrożność. Niewykluczone, że ktoś w konsulacie pamięta, iż sześć lat temu cię odwiedziłem.

Roger się skrzywił.

– Możliwe, choć mało prawdopodobne. Będę jednak baczył, czy nikt mnie nie śledzi, ani do tego domu, ani też tam, dokąd, jak podejrzewam, będę musiał się udać, żeby zorganizować dla was transport.

– Skoro o tym mowa. – Gareth wziął ostatni kawałek płaskiego chleba i umoczył go w sosie na talerzu. – Chyba nie powinniśmy podróżować przez Kair.

– Nie zamierzałem tego sugerować. Jeżeli tutaj mamy kilku tych drani, w Kairze będzie się od nich roić. Lepiej ominąć to gniazdo os, kierując się prosto do Aleksandrii.

– Da się tak zrobić? – Kiedy Gareth pokonywał tę trasę w przeciwnym kierunku, podróżował z Aleksandrii w górę Nilu do Kairu, a stamtąd częściowo drogą wodną, częściowo lądową do Suez.

Roger przytaknął.

– To dość proste, a przy tym – zerknął na Emily – biorąc pod uwagę, kto ci towarzyszy, ma tę dodatkową zaletę, że jest ostatnim rozwiązaniem, którego będą się po tobie spodziewać.

Gareth nie był pewien, czy ten argument do niego przemawia.

– Dlaczego? – spytała Emily.

Roger otworzył usta, ale zawahał się, jakby na widok szeroko otwartych oczu Emily również zaczął mieć wątpliwości, czy proponowane rozwiązanie jest tak dobre. Kiedy jednak Emily po prostu patrzyła na niego wyczekująco, zaciekawiona i stanowcza, posłał Garethowi przeproszające spojrzenie i wyjaśnił:

– Moim zdaniem najbezpieczniej dla was będzie podróżować z berberyjską karawaną przez pustynię bezpośrednio do Aleksandrii.

– Wydawało mi się – powiedział Gareth, marszcząc brwi – że Berberowie są niesłowni.

Skorzy do bitki. Oszukańczy. Niegodni zaufania. Roger usłyszał to, co Gareth pozostawił niedopowiedziane. Uśmiechnął się uspokajająco.

– Część z nich tak, ale znam paru szejków... z braku lepszego słowa, honorowych. Z nimi będziecie bezpieczni, najpierw wszakże muszę się dowiedzieć, które z godnych zaufania plemion są tu w tej chwili oraz kiedy wyruszają do Aleksandrii.

– Jak często odbywają taką podróż? – spytał Gareth.

– Niemal przez cały czas są w ruchu. Na trasie stąd do Aleksandrii zatrzymują się tylko w pustynnych oazach. Spędzają jednak zwykle tydzień lub dwa w obozach pod miastem za każdym razem, gdy dotrą do Suezu.

– Roger spojrzał na Emily, zwracając się teraz do niej:

– Jeśli sądzi pani, że zniesie niewygodę takiej podróży, według mnie będzie to najbezpieczniejsze rozwiązanie.

Gareth spodziewał się, że Emily zapyta, o jakich „niewygodach” mowa, lecz ona tylko wysunęła kształtną brodę. Zerknęła na niego, po czym znów skupiła uwagę na Rogerze.

– Rozumiem, że jeśli zdecydujemy się na karawanę, mamy największą szansę dotrzeć do Aleksandrii, nie napotykając po drodze tamtych ludzi? – spytała.

Po krótkim wahaniu Roger przytaknął. Zdecydowanie. Spojrzał na Garetha.

– W każdym innym przypadku prawie na pewno na nich wpadniecie, a biorąc pod uwagę, ilu ich tu widziałem, przypuszczalnie dysponują sporymi siłami.

– Wobec tego wybieramy karawanę, jeżeli może pan to zorganizować. – Emily popatrzyła na Garetha, unosząc brwi.

Powstrzymał się przed zmrużeniem oczu i skinął głową. On tu dowodził, jeśli wszakże była skłonna zaakceptować potencjalne niedogodności związane z podróżowaniem z karawaną, nie zamierzał spierać się o to, do kogo powinno należeć ostatnie słowo.

– Dobrze. – Roger spojrział na zegar na pobliskim stole. – Muszę uporać się z paroma dokumentami, a zresztą i tak najłatwiej zastać ich wczesnym popołudniem. – Popatrzył na Garetha. – Zajdę tam dzisiaj, zobaczę, kto jest w obozie, i dowiem się, kto w najbliższych dniach rusza w drogę.

19 października. 1822, przed snem

Mój pokój w domu Cathcarta w Suezie

Drogi pamiętniku,

No, wreszcie mogę donieść, że zaobserwowałam pozytywną zmianę w nastawieniu Garetha do mojej osoby, aczkolwiek przełomową bym jej nie nazwała. Przy obiedzie zrobił się burkliwy i nieprzystępny niczym ostatni

mruk, jedynie dlatego, że jego przyjaciel Cathcart poświęcał mi stosowną uwagę. Nieprzesadną, skądże, zachowywał się po prostu tak, jak przystało na obytego towarzysko dżentelmena, który stara się być miły dla posilającej się u jego stołu damy. Nic ponadto. Tymczasem Gareth obnosił się ze swoim niezadowoleniem. Nie wyrzekł głośno ani słowa, ponieważ jednak zwykle zachowuje spokój, jego zły nastrój był dla mnie oczywisty – i podejrzewam, że dla Cathcarta także, skoro są starymi przyjaciółmi.

Zastanawiam się, co nasz gospodarz sobie pomyślał.

W każdym razie, jakkolwiek Cathcart nikogo dzisiaj nie znalazł, stara się dla nas z całych sił, czym zasłużył sobie na moje uśmiechy.

Skoro Gareth nie czyni nic, by zaabsorbować moją uwagę i również zyskać prawo do kilku uśmiechów, nie powinien narzekać, że obdarowuję nimi (podkreślam, tylko uśmiechami!) kogoś innego.

Ani myślę pobłażać jego fochom. Trudno, żeby uważał Cathcarta za rywala. To Garetha pocałowałam – trzy razy! Jeśli nie weźmie się do dzieła i nie zacznie wkrótce o mnie zabiegać, będę zmuszona uciec się do bardziej drastycznych środków.

E.

Kolejnego popołudnia Gareth spacerował po domu Cathcarta, nie mając nic do roboty, nic, co by pilnie – albo i nie pilnie – wymagało jego uwagi. Minęło tyle czasu, odkąd po raz ostatni nie miał się czym zająć, że autentycznie czuł się zagubiony.

Wcześniej tego dnia wybrał się z Emily i pozostałymi na suk, żeby uzupełnić zapasy. Po powrocie zjedli lekki lunch w towarzystwie Rogera, który następnie wyruszył na zwiad wśród obozujących aktualnie poza miastem berberyjskich plemion.

Po jego wyjściu Emily udała się na przedni dziedziniec z Arnią i Bisterem, nader poważnie traktującym swą nową rolę nauczyciela sztuk walki. Gareth obserwował ich przez okno. Kiedy zobaczył, jak Bister staje za plecami Emily i, przytrzymując jej rękę, demonstruje rozmaite pchnięcia i pozorowane ataki, przelotnie pożałował, że sam nie zgłosił się do tego zadania.

Chciał jednak, aby nabrała wprawy, a przynajmniej przyswoiła sobie pewne podstawowe umiejętności, które pozwolą jej się obronić, gdyby zaś to on ją uczył, chyba żadne z dwojga nie zdołałoby się skupić.

Z furkotem arabskich szat oddalił się na drugi, bardziej sprzyjający kontemplacji dziedziniec, ale nie miał koncepcji, nad czym mógłby się zadumać. Zastanawianie się, co porabiają w tej chwili jego trzej towarzysze broni, nie przyniosłoby mu pożądanego spokoju.

Jeszcze mniej pomocne wydawało się rozmyślanie o Czarnej Kobrze.

Niespiesznie ruszył z powrotem przez dom do salonu. Przystanął w prowadzącym do niego sklepionym przejściu, gdyż zobaczył Emily. Siedziała wygodnie na największej otomanie, wśród ozdobnych poduszek, i z nieobecny wyrazem twarzy wyglądała przez okno.

Gruby dywan na korytarzu wytłumił kroki Garetha tak, że go nie usłyszała. Skorzystał z okazji, żeby się jej przyjrzeć – idealnemu profilowi, eleganckiemu łukowi szyi, wdzięcznej linii ramion. Wabiącym krągłościom gibkiego, bardzo zmysłowego ciała.

Poruszył się, a wtedy podniosła nań wzrok.

– O czym myślisz? – Pytanie wymknęło mu się, nim zdołał się zastanowić.

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– O tym i owym.

Zdradził ją delikatny rumieniec na policzkach. Powinien był zapytać, „o kim” myśli. O nim? O Cathcarcie? Albo o duchu MacFarlane'a?

Nagle ustalenie tego wydało się Garethowi sprawą nadrzędną. Odkąd na szkunerze okazał się na tyle niemądry, żeby ją pocałować, nękały go pytania – o czym ona myśli, czego pragnie, co jej chodzi po głowie. Dręczył się tym, co jest słuszne, honorowe i do zaakceptowania w zaistniałych okolicznościach, a także, na ile wyraźne zainteresowanie Emily jego osobą wynika z życia pod ciągłą presją. Ruszył ku otomannie, omijając liczne poduszki do siedzenia i niskie stoliki.

– Mogę się przysiąść?

– Oczywiście. – Wyprostowała się, zbierając spódnice w czytelnym geście zaproszenia, żeby zajął miejsce blisko niej.

Tak też zrobił. Jednakże otomany nie sprzyjają siedzeniu w sposób formalny. Emily poruszyła się, a później podwinęła nogi pod zieloną suknią, odwracając się przodem do Garetha. On z kolei zgiął kolano, tak że siedział zwrócony ku niej, rozparty wygodnie, rozpościerając ramiona na barwnych jedwabiach poduszek.

– Jak ci się do tej pory podoba podróż? – spytał. Wykonała wieloznaczny gest.

– Jest... ciekawa, kształcząca i niezaprzeczalnie ekscytująca.

– Obawiam się, że nie zobaczymy piramid ani Sfinksa.

– Nieszczególnie mnie to martwi, skoro obejrzenie ich wymagałoby podróżowania przez Kair. Wolę dotrzeć do Aleksandrii żywa, i to nie jako jeniec ludzi Czarnej Kobry.

– W rzeczy samej. – Odczekał chwilę, nim znów się odezwał: – Musiałaś przeżyć szok na wieść o tym, że James zginął z ich rąk.

Przez chwilę marszczyła brwi w wyrazie niezrozumienia. Potem jej czoło się wygładziło.

– MacFarlane? – Zastanowiła się, a później spojrzała mu w oczy. – Całkiem szczerze, przy takiej przewadze liczebnej wroga zdziwiłabym się, gdyby przeżył.

– Dokonał niezwykle odważnego czynu.

Skinęła głową.

– Zdobył się na wielkie poświęcenie, zdaję sobie z tego sprawę. Gdyby nasze role się odwróciły, nie wiem, czy umiałabym postąpić tak samo. – Emily przyglądała się Garethowi, zastanawiając się, dlaczego poruszył ten temat. – MacFarlane zginął bohaterską śmiercią, lecz teraz po prostu nie żyje, ci zaś, którym dane było przeżyć, powinni docenić ów dar losu. – Strzelała w ciemno. Przekrzywiła głowę, patrząc mu w oczy. – Ponieważ jestem tu w tej chwili dzięki jego poświęceniu, moim zdaniem najlepiej uczczę jego pamięć, żyjąc dalej, co więcej, żyjąc pełnią życia.

Z tobą.

Serce zabiło jej szybciej. Byli sami. Pozostali wprawdzie znajdowali się w domu, ale nikt nie kręcił się w pobliżu salonu. A Gareth wykonał pierwszy krok, siadając obok niej

trudno o bardziej czytelną deklarację zamiarów.

Czekała. Starła się nie wiercić, walczyła z pragnieniem, by pochylić się ku niemu i przyspieszyć – zainicjować – zdarzenie.

Opuścił wzrok na jej wargi, całkiem jakby usłyszał te myśli, ale natychmiast znów spojrzał jej w oczy.

– Cathcart. Ty... on...

Nagle ją olśniło. Czyżby był zazdrosny? Stąd brała się jego wcześniejsza gburowatość? Uśmiechnęła się konspiracyjnie.

– Pomyślałam sobie, że skoro tak wiele zależy od jego wysiłków, powinnam być dla niego czarująca. – Otworzyła szerzej oczy. – Sądysz, że to poskutkowało?

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem usta zadrgały mu w uśmiechu.

– Znając Rogera, zapewne tak. – Urwał, nadal się w nią wpatrując. Wolno pochylił się do przodu, sięgając do jej twarzy. – Nie jest bardziej odporny na zainteresowanie okazywane mu przez uroczą damę...

Ujął ją pod brodę i przyciągnął ku sobie. Zafascynowana, zahipnotyzowana jego pożądliwym spojrzeniem, nachyliła się ku niemu, bliżej... Na pół przymknęła powieki, opuszczając wzrok na jego usta, akurat w porę, by ujrzeć, jak spływa z nich końcówka zdania: – ...niż przeciętny mężczyzna.

Zrozumiała ukrytą sugestię. Uśmiechnęła się, kiedy ich wargi się spotkały.

Serce zatłukło jej się w piersi.

Rozchyliła usta, poddała mu się ochoczo, powitała go, dławiąc w sobie zdradliwe drżenie. Jego wargi były mocne, sprężyste, dominujące i męskie. Ruchy języka wywoływały cudowne doznanie.

Nachyliła się, zagłębiła w ten pocałunek.

Przysunął się bliżej, puszczając jej brodę. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, ona zaś podporządkowała się skwapliwie.

Wsparała dłonie na jego piersi, osłoniętej białą materią szaty. Gdy dotknęła twardych mięśni, ogarnęła ją radość. Jej wargi śmiało złączyły się z jego wargami, język splótł na próbę z jego językiem, napała nań, coraz odważniej szał, powiodła dłońmi w górę, po jego ramionach i dalej, po karku, aż wreszcie zapuściła palce w miękkie włosy.

Westchnęła w euforii, wyczekująco. Wolno odchylił się do tyłu, na poduszki, pociągając ją za sobą.

Póллеżał, a ona na nim. Czuła ruchy jego warg, jego zadowolenie, kiedy przytrzymując ją muskularnym ramieniem, drugą ręką zaczął ją pieścić.

Jej biodro, potem talię.

Tutaj zatrzymał się na chwilę, a w niej narastało wyczekiwanie, żar jego dłoni palił ją przez materiał sukni.

Znów ruszył w górę, aż wreszcie nieskończenie delikatnie musnął jej pierś.

Przeszył ją dreszcz, coś się w niej napięło... a potem odpuściło, kiedy jego twarda dłoń i długie, doświadczony palce ulokowały się tam, gdzie powinny. Objęły w posiadanie.

Mocniej zacisnęła palce w jego włosach, kiedy tak z nią igrał, kiedy ruchami języka odwracał jej uwagę tylko po to, by zaraz znów przypomnieć o drugiej, zalewającej ją żarem pieszczocie.

Zatraciła się w tym doznaniu.

I on także. Gareth zanurzył się w wyrafinowanej przyjemności, rozkoszował dotykiem. Upłynęło stanowczo zbyt wiele czasu, odkąd po raz ostatni trzymał w ramionach kobietę, niespiesznie zadowolając ją i siebie. Lecz nawet w tej chwili uniesienia całym sobą wiedział, że nie chodzi o jakąkolwiek kobietę. Fakt, że to była ona, Emily, czynił przeżycie jeszcze bardziej szczególnym.

Jeszcze bardziej uzależniającym.

Coraz bardziej kuszącym.

Mijały minuty. Rozkosz narastała.

Emily osunęła się na niego, napierając z większą stanowczością.

Odetchnął, a później się poddał, musiał – zamknął dłoń na twardym wzniesieniu jej piersi. Zaparło mu dech, kiedy westchnęła w trakcie pocałunku. Nieznacznie wygięła ciało w łuk, gdy sunął po twardej wypukłości. Znalazł sutek, okrążył go palcem, ścisnął obrzmiały koniuszek.

Pod wpływem tej pieśczości wyprężyła się jeszcze bardziej, dociskając ciało do jego dłoni. Znow ugniatał pierś i poczuł, jak Emily ulega.

Jęknęła cicho.

Przeszył go żar, docierając wprost do lędźwi. Instyktownie przesunął się, żeby przetoczyć ją pod siebie... W porę uzmysłowił sobie, co zamierza zrobić. Wziął się w karby.

Zatrzymał się, balansując na niewidzialnej krawędzi.

Gdyby to zrobił – gdyby wykonał kolejny krok – co stałoby się potem?

Wszedł do tego pokoju z wieloma pytaniami. Odpowiedziała na część z nich, lecz nadal pozostawało dlań niejasne, czego ona naprawdę chce, nie wspominając o tym, z jakiego powodu.

Czuł się zagubiony, i to nie tylko w kwestii tego, co ona myśli.

Oderwali się od siebie zdyszani.

Zajrzał w jej oszołomione oczy i pojął, że ją także raptem ogarnęła niepewność.

Że ona także uzmysłowiła sobie, jak daleko się posunęli.

Że podobnie jak on musiała się zastanowić, nim wykonają kolejny krok.

Patrzyli sobie w oczy, szukając, choć właściwie żadne nie wiedziało, czego.

Stopniowo wracali do rzeczywistości, uświadamiając sobie swą fizyczną bliskość, szczególną pozycję.

Spięci, zaczęli się podnosić z poduszek, odsuwając się od siebie.

– Chyba są w salonie.

To był głos Watsona, który zmierzał w ich kierunku w towarzystwie kogoś jeszcze.

Kiedy w sklepionym przejściu ukazał się jej przewodnik, Emily siedziała na otomanie, pruderyjnie wyprostowana, a Gareth stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz.

Odwrócił się, unosząc brew, gdy Watson się zatrzymał.

– Pomyślałem, że chcieliby państwo wiedzieć – rzekł Watson – że Mullins i Jimmy spostrzegli grupę członków kultu patrolujących ulice niedaleko stąd.

Brodaty członek kultu, znany wszystkim jako Wuj, siedział na małym dziedzińcu przy sadzawce.

– Wiemy, że tu są, ukryci gdzieś w tym małym mieście. Gdzie?

W wypowiedzianych cicho słowach wyraźnie słyszało się groźbę.

Kłęczący przed sadzawką trzech członkowie kultu zadrżeli. Jeden zebrał się na odwagę i przemówił do stóp Wuja:

– Obserwatorzy przy konsultacji niczego nie widzieli. Przeczესujemy ulice, ale domy stoją za tak wysokimi murami...

Wuj z niezadowoleniem przyjrzał się mówiącemu. Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie skinął głową.

– Major okazuje się godnym przeciwnikiem. Masz rację, Saleebie, szkoda tracić siły na przeszukiwanie labiryntu ulic. Zamiast tego rozmieścimy szpiegów wokół miasta i poczekamy, aż tamci się pojawią. Muszą ruszyć na północ albo zachód. Idźcie, moje dzieci, i zaprzyjaźnijcie się z pasterzami, nomadami i wszystkimi innymi, którzy gromadzą się poza murami miasta. Skaptujcie ich, żeby służyli nam za oczy i uszy. Dzięki hojności naszego znamienitego przywódcy pieniędzy mamy w bród.

Wuj uniósł dłoń wnętrzem do góry. Jego syn szybko przyniósł i położył na niej sakiewkę.

Wuj zważył woreczek w rękę, a potem wręczył go klęczącemu mężczyźnie, temu, który niedawno mówił.

Weźcie to i kupcie potrzebne nam informacje. Kiedy major i jego grupa spróbują opuścić miasto, dowiemy się o tym. – Na powrót się wyprostował. – Idźcie.

Trzej mężczyźni podnieśli się z klęczek i, bijąc ukłony, wycofali najprędzej, jak się odważyli.

Tymczasem Wuj oddał się przemyśleniom na temat zmiennych kolei losu.

Wydał rozkaz nocnego ataku na statek majora, licząc przynajmniej na zabicie kobiety. Jednak ona wrzasnęła, a później, mimo że skierował do walki spore siły, major i jego poplecznicy odnieśli zwycięstwo.

Potem dotarł do niego statek z posiłkami, wysłany na jego rozkaz z Adenu. Wuj pchnął go do ataku na żaglowiec majora, gdy ten wolno opuszczał przesmyk po wizycie w Suakin. Był pewien sukcesu, zaczął już planować, jakich użyje środków, żeby złamać majora, aż tu raptem jego ludzi znów odparto, a ich statek został w tyle, kołysząc się na kilwaterze szybszego szkunera. Wuj obserwował tę klęskę z niewielkiej odległości, z pokładu innego żaglowca – i klął.

Kto by pomyślał, że kapitan i załoga szkunera podniosą broń przeciw jego ludziom?

W Indiach nikt nie sprzeciwiał się kultowi. Ludzie sta li i przyglądali się, kiedy kult brał odwet na każdym, na kim zechciał. Tak po prostu było... lecz najwyraźniej nie w szerokim świecie.

Od tej pory Wuj będzie musiał brać poprawkę na ta kie dziwne zachowania. Major sprawnie pozyskiwał sojuszników.

– Znajdziemy ich, ojcze.

Wuj z uśmiechem spojrział na syna.

– Zaiste, synu, znajdziemy.

Porażka nie wchodziła w rachubę.

TTLR

Rozdział 6

20 października 1822, przed obiadem

Mój pokój w domu Cathcarta

Drogi pamiętniku, Robię ten wpis trochę nerwowo, chcąc zdążyć przed obiadem. Chociaż siadłam do pisania z zapasem czasu, tak długo wpatrywałam się w przestrzeń, że teraz muszę w pośpiechu przelewać na papier moje myśli. Z radością donoszę o kolejnych postępach, spędziłam bowiem pokaźną część popołudnia w ramionach Garetha – badaliśmy głębie i potencjał pociągu, jaki czujemy do siebie nawzajem. Zaniechaliśmy wszakże tych działań za obopólną zgodą, nie doszedłszy do żadnych konkretnych wniosków. W każdym razie ja uznałam, że muszę przemyśleć parę kwestii, a nie byłam w stanie poświęcić się temu zadaniu, kiedy nasze wargi się stykały.

Prawda jest taka, że dotarliśmy do granicy, którą rozsądek zabrania mi przekroczyć, dopóki nie zyskam absolutnej pewności, że Gareth Hamilton to mój „jedeny” – ten jeden jedyny mężczyzna, wyczekiwany przeze mnie od tak dawna.

Nie wiem, co da mi tę pewność, podobnie jak nie wiem, co w trakcie tej niebezpiecznej podróży przyniesie nam jutro. Jeszcze nie rozstrzygnęliśmy, jak będzie wyglądał jej kolejny etap. Bez względu na wszystko musimy posuwać się naprzód, do Anglii, umykając członkom kultu i wszelkim zagrożeniom, które napotkamy po drodze. Wykorzystam każdą okazję, by się przekonać, że Gareth jest moim „jedyнным”, czy jednak uda mi się osiągnąć ów cel, zanim dotrzemy do Dover, to się dopiero okaże.

Tak czy owak jestem zdecydowana to kontynuować.

E.

Późnym rankiem następnego dnia Emily siedziała w salonie, przyszywając oderwaną lamówkę zielonej sukni, kiedy jej uwagę przykuł ruch

na dziedzińcu. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyła, jak Gareth wita uśmiechniętego Cathcarta.

Cathcart wybrał się pomówić z berberyjskim szejkiem na temat przyłączenia się ich grupy do karawany. Wnioskując z wyrazu jego twarzy, przynosił dobre wieści.

Obaj mężczyźni ruszyli ku domowi. Kiedy weszli do pokoju – Cathcart pierwszy – Emily odłożyła suknię i spojrzała na nich wyczekująco.

Cathcart złożył jej głęboki ukłon.

– Pani powóz czeka, *mademoiselle*. Wyrusza pani jutro o świcie. – Wyprostował się, wyginając usta w cierpim grymasie. – Niestety, nie jest to powóz w dosłownym znaczeniu i, również niestety, obawiam się, że kiedy Ali–Jehan mówi „o świcie”, istotnie ma na myśli moment, kiedy słońce ukazuje się nad horyzontem. To z kolei oznacza – Cathcart opadł na drugą otomanę, posyłając Emily współczujący uśmiech – że będziemy musieli wyjść z domu odpowiednio wcześniej.

– Ten Ali–Jehan zdaje sobie sprawę, że ktoś może nas ścigać, a nawet zaatakować? – Gareth stał, patrząc na przyjaciela z góry, całkiem już nieskrępowany w arabskich szatach.

– Dla Ali–Jehana była to potężna zachęta – odparł z szerokim uśmiechem Cathcart.

Gareth prychnął. W ocenie Emily nie sprawiał wrażenia szczególnie zadowolonego.

– Wspaniałe wieści! – wtrąciła żywo, a kiedy obaj mężczyźni na nią spojrzeli, podjęła: – Musimy ruszać dalej, a podróż z karawaną będzie nie lada przygodą. – Pochwyciła wzrok Garetha. – Porównywalną z obejrzeniem piramid.

Znów prychnął i zbliżył się, żeby usiąść na drugim krańcu wybranej przez nią otomany. Z uśmiechem odwróciła się na powrót do Cathcarta.

– Dziękujemy, *sir*, za pańską pomoc i gościnność. Zyskaliśmy bardzo nam potrzebną chwilę wytchnienia.

Uniosła pytająco brew. – Czy możemy zawieźć w pańskim imieniu jakąś wiadomość do Anglii? Na przykład do rodziny?

Cathcart podziękował za miłą propozycję, ale z niej nie skorzystał. Gareth obserwował, jak jego przyjaciel pławi się w pochwałach, których Emily mu nie skąpiła. Starał się nie warczeć ani nie zgrzytać zębami. Nie była zainteresowana gospodarzem – to Garethowi pozwoliła się pocałować – żywił jednak podejrzenie, że sam Cathart, radośnie przyjmujący te wyrazy kobiecego uznania, może być zainteresowany nią.

W tejże chwili Emily posłała mu konspiracyjne spojrzenie, po czym znów odwróciła się do Cathcarta, by go czarować...

Gareth uzmysłowił sobie, że krzywi się z niezadowoleniem, i prędko stał z twarzy ten wyraz. Zarazem w duchu nadal się srożył, i to nawet bardziej. Ona wiedziała. O to chodziło w tym przelotnym spojrzeniu. Wiedziała, że go prowokuje, czarując Cathcarta.

Ze wszystkich dzisiejszych rewelacji ta najmniej przypadła Garethowi do gustu.

21 października 1822, przed obiadem

Mój pokój w domu Cathcata

Drogi pamiętniku,

Kiedy Cathcart powiadomił nas o jutrzejszym wyjeździe, wybraliśmy się znowu na suk. Przez cały czas trwaliśmy w gotowości, choć jednak trzymaliśmy oczy szeroko otwarte, nie spostrzegliśmy ani jednego członka kultu. Bynajmniej nas to nie uspokoiło, a przeciwnie, zwiększyło poczucie

niepewności. Nikt z nas nie wierzy, że wróg się poddał. Fakt, że odwołał ogary, rodzi jedynie pytanie, co innego planuje – jak inaczej zamierza nas osaczyć.

Co się tyczy kolejnego etapu naszej podróży, choć nie zgłosiłam sprzeciwu otwarcie, nie do końca cieszy mnie myśl o wędrówce z karawaną. Ponieważ jednak najwyraźniej nie mamy realnej alternatywy, zamierzam oczywiście z godnością stawić czoło wyzwaniu.

Na froncie osobistym natomiast zaobserwowałam u Garetha niejaką skłonność do zachowań na modłę psa ogrodnika. Przejawia wobec mnie swego rodzaju zaborczość i na razie nie wiem, jak na nią zareagować. Nie zachwyciło mnie to odkrycie, dostrzegam też wynikające z tego faktu kolejne problemy, lecz zarazem zdaję sobie sprawę, że w przypadku określonego typu mężczyzn zaborcze zachowania są głęboko zakorzenione i niełatwo je wyplenić.

Moje siostry z pewnością zdołałyby coś mi doradzić, ale niestety są daleko stąd, a poza nimi nie przychodzi mi do głowy nikt, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc. Pod tym względem naprawdę mi ich brakuje, i mamy także.

Żywię głębokie przekonanie, że w kwestii Garetha Hamiltona przydałoby mi się parę mądrych rad.

E.

W chłodnych godzinach przed świtem Roger Cathcart poprowadził ich na spotkanie z Berberami. Niewielkie plemię pod wodzą szejka Ali-Jehana rozłożyło się obozem w niecce między wydrami na północny wschód od miasta.

Skryta pod burką Emily stała wraz z resztą osób z ich grupy, także w przebraniach, przy wyładowanym bagażami wózku, podczas gdy Gareth i

Ali–Jehan – przystojny mężczyzna mniej więcej w jego wieku – dyskutowali półgłosem, a Cathcart asystował im w milczeniu. Emily wykorzystała te kilka chwil, by zerkając przez koronkową wstawkę w burce, jak najlepiej poznać nowe otoczenie.

Po okolicy były rozsiane liczne obozowiska. Wszystkie należały chyba do koczowników, choć nie zawsze byli to łatwo rozpoznawalni, hardzi i przystojni Berberowie. Ze swego miejsca Emily widziała trzy berberyjskie obozy, przypuszczalnie trzech odrębnych plemion. Odnotowała, że ich grupkę również obserwowano, przyglądano się też dyskutującym mężczyznom.

Odwróciła się, by sprawdzić, jak przebiegają ustalenia, i odkryła, że Gareth i Ali–Jehan patrzą w jej stronę, a konkretnie – patrzą na nią. Później Ali–Jehan zadał jakieś pytanie, Gareth przytaknął i wrócili do negocjacji.

W końcu Ali–Jehan błysnął zębami w uśmiechu. Uścisnęli sobie z Garethem dłonie. Szejk skinął głową, dał znak ich grupce, żeby podeszła bliżej, po czym odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy do mężczyzn i kobiet zajętych zwijaniem obozu.

Cathcart i Gareth zwrócili się ku nadchodzącym.

– W tym plemieniu wszyscy mówią po angielsku, francusku albo w obu tych językach – poinformował ich Cathcart. – Porozumiecie się bez problemu, a przy tym z nimi będziecie bezpieczni. – Z uśmiechem spojrzał na Garetha. – Tak bezpieczni, jak tylko można.

Emily nie umiała zinterpretować spojrzeń, które wymienili ci dwaj. Później Gareth popatrzył na nią.

– Dorcas i Arnia dołączą do starszych kobiet – powiedział. – Mooktu, Bister i ja pojedziemy konno z mężczyznami strzegącymi karawany. Mullins, Watson i Jimmy pomogą przy wozach z naszym bagażem.

– A ja? – Emily zmarszczyła brwi pod burką.

– Ty dostałaś własnego wierzchowca – odparł Gareth, spoglądając ponad jej głową.

Odwróciła się. Ali–Jehan wracał właśnie w towarzystwie mężczyzny, który prowadził na linie ogromnego wielbłąda.

Widziała tu też inne wielbłądy, powiązane ze sobą w długi ciąg. Kopały, ryczały, dreptały w miejscu, obładowane wszelkiego rodzaju jukami. Ten różnił się od pozostałych, gdyż zamiast juków nosił dziwny, wyścielony poduszkami wynalazek, umocowany za garbem.

Zbliżając się, wielbłąd wyszczerzył zęby i wydał z siebie ryk, który Emily uznała za znak protestu.

– O nie. – Usiłowała się cofnąć. Gareth oparł dłoń na jej plecach.

– Niestety, tak. W zaistniałych okolicznościach w trakcie podróży przez pustynię będziesz najbezpieczniejsza na grzbiecie tego zwierzęcia.

– Kto tak twierdzi?

Emily otworzyła szerzej oczy, kiedy wielbłąd ukląkł bokiem do niej, prezentując przy tym – podobnie zresztą jak jego opiekun – imponujące uzębienie.

Ali–Jehan okrążył zwierzę, spuścił zrobione z liny ni to strzemię, ni to drabinkę, a później z błyskiem w oku pokłonił się Emily.

– Szanowna pani, oto pani wierzchowiec.

Mówił doskonałym angielskim, lecz zarazem w sposób zupełnie niecywilizowany usiłował przeniknąć wzrokiem jej burkę.

Zignorowała to, wiedząc, że mu się nie uda – a gdyby nawet, pod burką miała swoje zwykłe ubranie – i zmierzyła wzrokiem kudłaty łeb wielbłąda. Niepewnie postąpiła krok do przodu. Potężny łeb zwrócił się ku niej, wargi odwinęły do tyłu. Gareth przyciągnął ją do boku zwierzęcia, bliżej siodła.

– Uważaj, one plują.

– Plują? – Emily wlepiła w niego oczy.

Ponaglił ją, żeby wspieła się na siodło. Trochę oszołomiona, odruchowo chwyciła wzniesiony łęk, wsunęła stopę w strzemię i dźwignęła się – a wówczas za wielbłądem zobaczyła sznurek wyśmienitych koni.

Dlatego zamiast okręcić się i usiąść w siodle, zamarła, po czym spróbowała zeskoczyć z powrotem na ziemię.

– Mają konie. Świetnie jeżdżę. Cwałowałam całą drogę z Puny do Bombaju, pamiętasz?

Gareth chwycił ją za biodra i pchnął do góry.

– Nie – powiedział. – Nie możesz jechać konno.

– Dlaczego? – Usiłowała odwrócić się na tyle, żeby spiorunować go wzrokiem.

Nadal trzymał ją za biodra, uniemożliwiając zmianę pozycji.

– Po pierwsze, wedle angielskich norm są tylko na pół zajeżdżone.

– Dałabym radę...

– Być może – uciał. – Ale jedziesz na tym zwierzęciu również dlatego, że to pupil Ali–Jehana.

Zmęczona niewygodną pozycją, a także rozkojarzona obecnością jego rąk na biodrach, ustąpiła, okręciła się i pacnęła na zadziwiająco wygodne siodło. Z marszem na czole spojrzała na Garetha, ale on właśnie regulował długość strzemion z liny. Rozejrzała się i stwierdziła, że wódz Berberów kroczy pomiędzy swymi ludźmi, wykrzykując rozkazy i gestykulując.

– Co to ma do rzeczy? – spytała.

Kiedy znów skierowała wzrok na Garetha, patrzył na nią.

– Nie opuści go.

– Co z tego? – Mars na jej czole się pogłębił.

– To – ostatni raz szarpnął linę i odstąpił – że jeśli karawanę zaatakują jeźdźcy, którzy spróbują cię wykraść, solidnie się namęczą, żeby ruszyć go z miejsca. Żadne stworzenie nie jest bardziej uparte od wielbłąda.

Przez chwilę na nią patrzył, potem zaś skinął głową opiekunowi zwierzęcia, który stał, przytrzymując jego łeb.

Opiekun wyrzekł jedno słowo.

Emily zdławiła okrzyk, gdy bestia wykonała serię niezgrabnych przechyłów, podnosząc się z klęczek.

Kiedy wreszcie wielbłąd wstał, spojrzała z góry na Garetha.

– To jest...

– Sposób na zapewnienie ci bezpieczeństwa. – Wsparł ręce na biodrach i popatrzył na nią, a potem przeniósł wzrok na opiekuna zwierzęcia. – To Haneef. Nauczyci cię, jak kierować Dohą.

– Dohą?

Haneef wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To naprawdę bardzo dobre zwierzę.

Wuj opadł na poduszki przed niskim stolikiem zastawionym nieznanymi potrawami, które niezbyt mu smakowały. Jednakże w służbie swego pana zniesie każdy niedostatek, jeśli od tego zależeć będzie sukces misji.

Nie zdążył sięgnąć po pierwszą potrawę, kiedy na dziedzińcu za sklepionym łukowo przejściem zapanowało poruszenie. Wuj gestem posłał syna, żeby sprawdził, kto przybył. Chwilę później Muhlal wrócił z niższym rangą członkiem kultu.

Mężczyzna pokłonił się głęboko.

– O wspaniały, właśnie dostaliśmy wiadomość, że majora i jego grupę widziano poza miastem.

–I?

– Odjechali z berberyjską karawaną – ciągnął mężczyzna, nie podnosząc głowy. – Opłacani przez nas informatorzy mówią, że karawana wędruje na zachód.

Wuj skinął głową.

– Doskonale. Możesz odejść.

Zaskoczony, mężczyzna podniósł wzrok, gdy jednak napotkał spojrzenie Wuja, natychmiast znów opuścił głowę.

– Tak, o wspomniały – powiedział i zgięty w ukłonie wycofał się z pomieszczenia.

Po jego wyjściu Wuj spojrzał na syna.

– Słyszałeś?

Muhlal przytaknął.

– Bez wątpienia major kieruje się do ambasady w Kairze. – Wuj z uśmiechem pokazał, żeby syn usiadł obok niego. Kiedy Muhlal posłuchał, ojciec wsparł mu dłoń na ramieniu, nachylił się i kontynuował półgłosem: – To twoja szansa, synu, żeby zabłysnąć w służbie Czarnej Kobry. Nasz przywódca sowicie wynagradza tych, którzy dobrze mu służą. Majora trzeba powstrzymać, jeśli zaś wtykająca nos w nie swoje sprawy panna Ensworth także wpadnie nam w ręce i otrzyma stosowną nagrodę za swą zuchwałość, będzie to dodatkowa korzyść. Sugeruję, żebyś skorzystał z usług opłacanych przez nas nomadów i ruszył za majorem i kobietą. Kiedy ich pojmasz i dostarczysz mi do Kairu, zyskasz sobie wielką chwałę w oczach Czarnej Kobry.

– Powierzasz mi dowodzenie? – zapytał Muhlal, pełen zapału.

Wuj przytaknął z uśmiechem. Poklepał syna po plecach.

– Posilmy się, a potem wyprawię cię w drogę. Karawana wędruje wolno. Nie umkną ci. – Gdy Muhlal ochoczo sięgnął po talerz, spojrzenie Wuja złagodniało. – Będę czekać w Kairze, by uczyć z tobą zwyczajstwo.

Słońce kryło się już za horyzontem, malując bezkres pustynnego nieba na pomarańczowo, czerwono i purpurowo, gdy Emily zsunęła się z wysokiego siodła i ostrożnie stanęła na ziemi.

Doha łypnął na nią niechętnie, a potem przestał ją zauważać.

Emily prychnęła w duchu, otrzepała spódnicę i osłaniającą je burkę, po czym, zostawiając Dohę pod opieką Haneefa, odwróciła się, żeby znaleźć pozostałych.

Trochę trwało, nim przywykła do dziwacznych chodu wielbłąda. Kiedy już odniosła sukces i przestało jej grozić, że spadnie, Haneef pokazał jej, jak korzystać z wodzy, żeby zyskać pewną – w ocenie Emily minimalną – kontrolę nad pokraczną bestią.

Wbrew jej oczekiwaniom w pierwszym dniu podróży obyło się bez katastrofy. Kiedy karawana tuż przed południem zatrzymała się na lekki posiłek, Emily zadała Haneefowi oczywiste pytanie: czy gdyby Ali–Jehan pognął konno przez pustynię, na przykład ścigając napastników, Doha nie pobiegłby za nim?

Haneef pokręcił ciemną głową.

– O nie, panienko. Doha to mądre zwierzę. Wie, że to – Haneef ogarnął gestem karawanę – jest miejsce jego pana. Zostanie tutaj, czekając na jego powrót. Po co miałby biec za Ali–Jehanem, skoro wie, że on tu wróci?

Emily nie poczuła się specjalnie zaskoczona na wieść o tym, że wielbłąd jest leniwy jak rzeka na nizinie.

– A może Doha jest po prostu przywiązany do ciebie?

– zasugerowała.

– Cóż, zawsze jestem na miejscu – odparł z uśmiechem Haneef. – Mam problemy z nogą, przez co niezbyt dobrze jeżdżę konno.

Po drugiej stronie obozu Emily spostrzegła swych towarzyszy, toteż dała spokój wspominkom, zebrała spódnice i ruszyła w ich stronę, patrząc pod nogi, żeby nie potknąć się w piasku. Nie powiedziałaaby, że jest oczarowana swoim wielbłądem – cuchnął wprost nadzwyczajnie, znacznie bardziej niż konie – niemniej jazda na nim stanowiła luksus. Pozostali przeważnie szli pieszo.

W karawanie znajdowały się wozy z kołami z beczek, część z nich jednak ciągnęli mężczyźni, którzy, jak Haneef, nie należeli do konnej straży. Do innych wozów zaprzęgnięto osły i na nich jechali na zmianę starsi ludzie, kobiety i mężczyźni, ale większość plemienia, podobnie jak większa część ich grupy, przez cały dzień jednostajnie brnęła pieszo przez pustynię.

Plemię uwijało się przy rozbijaniu obozu. Emily odnalazła w tej krzątaninie Dorcas i Arnieę. Chwyliła tę pierwszą za ramię.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym – odparła ze zmęczonym uśmiechem pokojówka.

Arnia, która lepiej zrozumiała pytanie, pokiwała głową.

– Nie było tak ciężko, jak by się wydawało. Utrzymują miarowe, rozsądne tempo.

– To jak długa, niespieszna przechadzka – zgodziła się Dorcas. – Nie tak trudna, kiedy złapie się rytm.

Trochę uspokojona Emily skupiła uwagę na wyrastającym wokół obozie. Namioty rozstawiano wokół centralnego placu, na środku którego kilka osób budowało duże palenisko. Bister, Jimmy, Watson i Mullins pomagali przy stawianiu jednego z obszernych namiotów.

– Nie wzięliśmy dla nas namiotów – powiedziała Emily. Za jej plecami ktoś prychnął. Szponiaste palce zacisnęły się na jej łokciu.

– Nie będą wam potrzebne. Zamieszkacie z nami.

Gdy Emily odwróciła głowę, napotkała spojrzenie błyszczących ciemnych oczu osadzonych w mocno opalonej, poznaczonej zmarszczkami twarzy. Stara kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając zaskakująco białe zęby ze szparą na przedzie. Poklepała Emily po burce na wysokości nosa.

– W obozie nie musisz się tak zasłaniać. Jesteśmy tu rodziną, a wy na czas podróży także do niej należycie. Możesz to zdjąć. Wy też – dodała, kiwając głową w stronę Dorcas i Arni.

Emily tak już przywykła do burki, że nieomal zapomniała, iż mają na sobie. Kiedy jednak jej o tym przypomniano, momentalnie poczuła ciężar i inne niedogodności tego stroju. Ochoczo ściągnęła burkę przez głowę.

Stara kobieta uważnie obejrzała ujawnioną tym sposobem suknię Emily. Chwyciła w palce materiał.

– Taki delikatny. – Pokręciła głową. – Nie nadaje się.

– Popatrzyła na ubrania Dorcas i Arni i zaklaskała językiem. – Chodźcie.

– Skinęła na nie, ruszając ku wozom, które ustawiono rzędem za pierścieniem namiotów.

– Jestem matką Ali–Jehana. Mówcie mi Anya. Dołączycie do mnie i innych starszych kobiet w moim namiocie i znajdziemy dla was bardziej stosowne stroje.

– Dziękujemy. – Emily z szacunkiem skłoniła głowę. Anya omiotła ją przenikliwym spojrzeniem.

– A potem odpłacicie nam, opowiadając, o co chodzi, zgoda?

– Tak, oczywiście – przytaknęła Emily, skrywając uśmiech.

Najwyraźniej starsze kobiety były takie same jak świat długi i szeroki.

– Dobrze. – Anya machnęła ku wozom. – Najpierw musimy wnieść do środka nasze rzeczy.

We trzy pomogły przenosić do tonącego w mroku namiotu zwinięte kilimy, wełniane koce, jedwabne kotary, bawełniane prześcieradła, większe i mniejsze poduszki oraz kute talerze i kubki, czyli rozmaite koczownicze utensylia. Dołączyły do nich cztery starsze kobiety, które Anya przedstawiła jako Marilę, Katun, Bershebę i Girłę. Gdy urządzano namiot w środku, ciekawość aż w nich kipiała.

Kiedy wreszcie usiadły wszystkie ze skrzyżowanymi nogami na pięknych kilimach wokół ustawionego pośrodku namiotu żeliwnego piecyka i z małych szklanek popijały herbatę z dzikiej róży, Anya wyjaśniła:

– Młodsze kobiety będą gotować na wielkim ogniu. Wskazała ku odsłoniętemu wejściu do namiotu, przez które widać było palenisko na środku obozu. – Jeśli chcecie, możecie im pomóc. Ucieszą się z każdej dodatkowej pary rąk.

Dorcas i Arnia skinęły głowami.

– Zasady naszego obozu – ciągnęła Anya – nakazują niezamężnym kobietom spać w rodzinnych namiotach. Ponieważ nie macie tutaj krewnych, musicie spać w tym namiocie i przez większość czasu trzymać się w jego pobliżu. Niezamężnej kobiecie nie wolno spacerować między mężczyznami bez przyzwoitki.

– Arnia jest mężatką – wtrąciła Emily, zerkając na służącą Garetha.

– Zauważyłam. – Anya skinęła głową. – Ale jej mąż nie ma własnego namiotu, mieszka z moim synem i strażnikami. Dlatego też ty – spojrzała na Arnię – pozostaniesz tu z nami, możesz jednak swobodnie spacerować i rozmawiać ze swoim mężem.

Arnia z wdziękiem skłoniła głowę. Emily poruszyła się i odstawiła pustą szklanę.

– W obozie często będę musiała porozmawiać z majorem Hamiltonem – powiedziała.

Anya zwęziła oczy, a jej twarz przybrała surowy wyraz.

– To dozwolone tylko wtedy, gdy to on podejdzie do ciebie, i tylko na centralnym placu, na oczach wszystkich.

–Ale...

– Ta kwestia nie podlega negocjacjom. – Czarne oczy Anyi wbiły się w Emily. – Jesteście tu gośćmi i, oczywiście, będziecie respektować nasze zasady.

Wobec takiego postawienia sprawy Emily pozostało jedynie skłonić głowę.

– Naturalnie.

Nie wątpiła, że Watson, Mullins, Jimmy, a nawet Bister i Mooktu odszukają ją, jeśli pojawi się problem wymagający przedyskutowania. Ale Gareth? Była pewna, że użyje zasad Berberów jako wymówki, by niczego z nią nie konsultować.

– Dobrze. – Anya poklepała ją po dłoni, a potem odstawiła pustą szklanę. – A teraz zobaczmy, co znajdziemy dla was do ubrania.

Następną godzinę Emily, Dorcas i Arnia spędziły na przymierzaniu rzeczy, które wyszukały dla nich starsze kobiety. Wszystkie mieszkanki namiotu Anyi były niegdyś zamężne, więc wśród obozowych mężatek znajdowały się ich córki i synowe. Kiedy sprecyzowano potrzeby nowo przybyłych, starsze kobiety – plemienne wdowy, jak je w duchu ochrzciła Emily – wezwały swe młodsze krewne, wytłumaczyły im, o co chodzi, a te popędziły do swoich namiotów poszukać stosownych ubrań.

Wkrótce namiot Anyi wypełnił się nieśmiałoymi, lecz rozchichotanymi dziewczętami, które prezentowały gościom rozmaite szaty, spódnice, kaftany i długie koszule, a potem czekały na swoją kolej, żeby obejrzeć rzeczy Emily, Dorcas i Arni.

Berberijskie stroje znacznie lepiej nadawały się na po dróż przez pustynię. Lżejsza, luźna szata zakładana na prostą długą koszulę była idealna do noszenia pod burką. Kiedy zaś zdjęto się burkę, zastępując ją osłaniającą głowę i twarz chustą z przesłoną na oczy, na szatę ubierało się spódnice i kaftany, ciepłe, ciężkie i kolorowe.

Wreszcie uznano, że trzy kobiety wyglądają jak Berberijki. Anya krótkim skinieniem głowy wyraziła aprobatę.

– Dobrze. A teraz chodźmy dołączyć do pozostałych.

Po drugiej stronie obozu, w namiocie Ali–Jehana, Gareth, rozparty na poduszkach przed gorącym piecykiem, poznawał z ust gospodarza obowiązujące wśród Berberów zasady.

– Ja rządę plemieniem i karawaną, ale moja matka obozem – rzekł szejik, wzruszając filozoficznie ramionami. Tak już jest. Dlatego w trakcie pobytu u nas nie będziesz mógł spotykać się ze swoimi kobietami sam na sam.

Gareth skinął głową i wypił ostatni łyk orzeźwiającej herbaty.

– Nie sądzę, by stosowanie się do waszych zasad sprawiło nam trudności.

Pominał milczeniem kwestię, że żadna z trzech kobiet z grupy nie była „jego”. Jeśli Ali–Jehan i jego niezonaci współplemieńcy – z których wielu zwalniało tego dnia przy wielbłądzie Emily, na pozór tylko po to, by zapytać, czy jej wygodnie – uznali, że Emily jest, wedle ich określenia, „jego”, Gareth ani myślał wyprowadzać ich z błędu. Tak było bezpieczniej dla niej... i dla niego. Ostatecznie, odpowiadał za nią.

– Chodźmy. – Ali–Jehan poklepał go po ramieniu i wstał. – Powinniśmy dołączyć do innych, zbliża się pora wieczornego posiłku.

Gareth wyszedł za nim z namiotu. W centralnej części obozu było rojno i gwarno, mężczyźni stali w grupkach, gawędząc i obserwując kucharki przy palenisku. Kobiety krzątały się, teraz już bez okrywających je od stóp do głów szat, za to w osłaniających głowy i twarze chustach.

Dla Garetha był to barwny i poniekąd znajomy widok, aczkolwiek za sprawą obecności kobiet w obozie panowała szczególna atmosfera.

– My siedzimy tutaj. – Ali–Jehan wskazał część placu przy jednym końcu prostokątnego paleniska. – Wszyscy mężczyźni siedzą po tej stronie.

Gareth dołączył do niego na rzuconym na piasek barwnym kilimie i skrzyżował nogi, wzorując się na pozostałych. Odszukał wzrokiem rozsianych między Berberami Bistera, Mooktu, Watsona i Jimmy'ego, a wreszcie Mullinsa. Każdy z nich z ożywieniem rozmawiał z jednym lub kilkoma mężczyznami.

– Ten czarny wąż. – Ali–Jehan urwał, kiedy zbliżyła się kobieta z tacą mocno doprawionego mięsa i płaskiego chleba. Nałożył sobie i poczekał, aż jego gość zrobi to samo, zanim podjął: – Niewiele mi o nim opowiedziałeś. – Pochwycił spojrzenie Garetha. – Chcę usłyszeć więcej.

Kiedy jedli, Gareth spełnił jego życzenie. Pozostali strażnicy karawany, plemienni wojownicy, przybliżyli się, żeby posłuchać. Gareth nie widział powodu, by nie zrelacjonować im całej historii, od momentu, kiedy on i jego towarzysze otrzymali rozkazy od gubernatora generalnego, aż do ostatniego starcia z członkami kultu na Morzu Czerwonym.

Wnioskując z komentarzy i okrzyków, jakie wywołała jego opowieść, Berberowie reagowali na okrucieństwa Czarnej Kobry podobnie jak on sam, a

preferowane przez nich rozwiązanie – dekapitacja – niezmiernie przypominało to, za jakim optował jego przyjaciel Rafe Carstairs.

Gdy Gareth dotarł wreszcie do końca relacji, ogień już przygasł, a za sprawą wiatru, który nagle się zerwał, na ścianach namiotów tańczyły cienie. Kobiety nieco wcześniej zostawiły rozmawiających mężczyzn i udały się na spoczynek.

Kiedy zapadła cisza, Ali–Jehan wolno pokiwał głową.

– Postępujesz honorowo, starając się ukrócić rządy terroru tego nikczemnika. – Oszacował Garetha spojrzeniem, nadal kiwając głową. – Pomożemy ci, bo to słuszna sprawa.

Wokół rozległy się pomruki aprobaty. Gareth podziękował nieznacznym ukłonem. Napotkał wzrok siedzące go dalej Mooktu i wyczytał w jego oczach to, co sam od czuwał.

Cathcart nie pomylił się, wybierając Ali–Jehana i jego plemię. Mówili z obcym akcentem, inaczej się ubierali, lecz stali po tej samej stronie.

– A teraz kładźmy się spać. – Ali–Jehan podniósł się z uśmiechem. –I prosimy Allana, żeby ten łotr się pokazał, abyśmy mogli wyrzucić na nim zemstę sprawiedliwych.

Wstali – strażnicy karawany, Gareth i jego ludzie, wszyscy w tej kwestii zgodni.

22 października 1822, późna, noc

W namiocie Anyi, gdzieś na pustyni w drodze do Aleksandrii

Drogi pamiętniku,

Dokonuję tego wpisu przy świetle lampki olejowej, którą wkrótce będę musiała zgasić, żebyśmy wszystkie mogły zasnąć. Dziwnie się czuję, leżąc na rozłożonym na piasku kilimie, owinięta w prześcieradło i koc, kiedy ściany

namiotu poruszają się delikatnie na wietrze, lecz dziś zdarzyło się już tyle niezwykłych rzeczy, że to teraz wydaje się ich logiczną kontynuacją.

Jadę na wielbłądzie (który śmierdzi!) i choć wolałabym dosiadać jednego z tych pięknych koni arabskich, nie mogę narzekać, ponieważ większość kobiet i część mężczyzn nie ma swoich wierzchowców i musi brnąć pieszo przez piasek. Przy czym, jak z przerażeniem odkryłam, na pustyni piasek dostaje się wszędzie. Do wszystkiego. Także tam, gdzie nigdy nie powinno być piasku. Jest to kolejna rzecz, na którą nie mogę nic poradzić – po prostu muszę jakoś to znieść.

Niewątpliwie jednak najbardziej uciążliwym aspektem podróżowania z koczownikami jest całkowita separacja mężczyzn i kobiet. Jak mam zabiegać o Garetha, jak on ma zabiegać o mnie, jak mamy zgłębiać nasz wzajemny pociąg, jeśli wolno nam co najwyżej zamienić kilka słów na oczach wszystkich?

Najwyraźniej koczownicze zaloty przebiegają wedle innych zasad.

Chyba będę musiała poznać te zasady, choćby tylko po to, żeby nauczyć się je naginać.

E.

Gareth ułożył się do snu na kilimie w namiocie Ali–Jehana. Wokół niego sapnięcia i odgłosy wiercenia się stopniowo ustępowały miejsca chrapaniu, cichej symfonii granej na przekór zawodzeniu wiatru. On jednak, zamiast natychmiast zasnąć, błędził myślami. Wspominał miniony dzień, analizował bieg wydarzeń, zastanawiał się, co przyniesie jutro.

Pojawiła mu się przed oczami Emily, taka, jaką widział ją dziś po raz ostatni. Wchodziła do namiotu za matką Ali–Jehana i przystanąła przy klapie wejściowej, rzucając mu pożegnalne, pełne frustracji spojrzenie, a potem wraz z innymi kobietami skryła się w środku i kłapa namiotu opadła.

Tłumaczył samemu sobie, że separacja, narzucona im na tym etapie podróży, będzie pomocna. Użyteczna. Da mu czas na zebranie myśli. Na rozważenie i zrozumienie pewnych kwestii.

Pocałunek w salonie Cathcarta dowodził, że Gareth uległ czarowi Emily. Nie wiedział jednak dlaczego. Dla czego jej pragnął? Czy to jedynie wskutek żądz – jej szczególnie złośliwej postaci – czuł taki pociąg do Emily, taki przymus, żeby ją osiąść? Zarazem pojmował, że – biorąc pod uwagę jej pozycję społeczną – jeśli ulegnie pożądaniu, rezultat będzie tylko jeden. Małżeństwo.

Czy tego chciał: pojąć Emily za żonę?

Czy była kobietą, z którą po powrocie do Anglii pragnął zacząć budowanie reszty życia?

Aż do niedawna nie wybiegał myślami w przyszłość dalej niż do momentu, kiedy ukreca łeb Czarnej Koblizki, reszta wydawała mu się bowiem nieistotna. Jeśli wszak że zbliżenie z Emily w sposób nieunikniony miało doprowadzić do małżeństwa, musiał zastanowić się nad przyszłością teraz.

Zastanowić się i spróbować Emily do niej dopasować. Leżał na plecach, wpatrzony w ciemność, pozwalając, by wizja kolejnych lat stopniowo nabierała w jego umyśle kształtu.

I odkrył, że bez Emily w ogóle nie widzi tej swojej domniemanej przyszłości.

Poruszył się, zaniepokojony nagłą myślą. Nie miało znaczenia, co sam sądził, czego pragnął, jeśli ona nie podzielała tych odczuć.

Czy chciała go za męża?

Jeśli nawet teraz tak uważała, jak szczerze i głęboko zakorzenione było to przekonanie? Z czego wynikało? W jaki sposób się narodziło?

Czy zainteresowała się nim z braku MacFarlane'a? Jego przyjaciel ani chybi był postacią bardziej romantyczną. Czy zatem Gareth zajął miejsce zmarłego?

Albo też pragnęła go ze względu na to, że razem brali udział w niebezpiecznej, pełnej intensywnych przeżyć podróży? To by go nie zdziwiło. Tylko jego mogła się w tej sytuacji ucześcić. Jednakże uczucie zrodzone ze strachu i wywołanej nim potrzeby nie było odpowiednim fundamentem dla małżeństwa.

Wykił się w duchu. Cóż on wiedział o małżeństwie?

Odpowiedź nadpłynęła niepostrzeżenie, kiedy już zapadał w sen.

Wiedział o małżeństwie nie więcej niż o swej przyszłości, lecz nie wątpił, że jeśli Emily nie zechce go z właściwych powodów, nie będzie miał żadnej z tych rzeczy, nie będą możliwe – nie z nią.

Członkowie kultu zaatakowali późnym rankiem następnego dnia.

Karawana mozolnie wędrowała wierzchołkiem wydmy, kiedy z niecki na przedzie wezbrała fala jeźdźców. Natarli na nich wrzeszcząc i wywijając orężem.

Nomadowie zareagowali w wyćwiczony sposób. Strażnicy popędzili konie, ruszając do bezpośredniego starcia, podczas gdy pozostali zbili się w grupę tak, że wozy i obładowane jukami wielbłądy zapewniały ochronę ludziom.

Ze swego miejsca wysoko na grzbiecie wielbłąda stojącego pośrodku tego skupiska Emily miała doskonały widok na potyczkę. Mrużąc oczy, patrzyła pod słońce na napastników. Czarne chusty powiewały członkom kultu za plecami, kiedy cwałowali przez piasek.

Zaskoczyła ją obecność w tej grupie innych jeźdźców, Berberów. Spojrzała na obrońców karawany – strażników prowadzonych przez Garetha i

Ali–Jehana, tuż za którymi gnali Mooktu i Bister – nacierających z dobytymi szablami i bułatami. Potem spuściła wzrok i zlokalizowała Anyę: matka szejka siedziała ze starszymi kobietami, czekając spokojnie.

– Z członkami kultu jadą jacyś inni Berberowie! Anya podniosła na nią oczy. Zastanowiła się, a później z niewzruszonym spokojem skinęła głową.

– El–Jiri. Oni zawsze są skorzy do bitki.

Emily znów popatrzyła na jeźdźców, akurat kiedy dwie grupy starły się niczym zderzające się z hukiem fale. Skrzywiła się w reakcji na zgrzyt stali o stal, bitewny zgiełk słyszalny nawet z tej odległości.

Serce stopniowo podchodziło jej do gardła, kiedy obserwowała, czekała, wyteżała wzrok, starając się dostrzec...

Gareth się przebił, a za nim Mooktu i Ali–Jehan. Cała trójka zawróciła i natarła na tyły wroga.

Potyczka skończyła się tak prędko, że Emily, nadal z trudem łapiąc oddech, zastanawiała się, czy wszystkie bitwy rozstrzyga się w takim tempie. Wątpiła w to. W gronie napastników raptem nastąpił rozłam i poszli w rozsypkę. Ubrani na ciemno Berberowie odrywali się w grupkach po dwóch, trzech i zjeżdżali z wydmy, zmierzając w kierunku, skąd przybyli.

Strażnicy karawany ścigali ich, ale krótko. Kiedy tylko upewnili się, że napastnicy uciekają, wstrzymali konie, a później leniwym klusem wrócili do Garetha i Ali–Jehana.

Emily szybko sprawdziła, że leżące nieruchomo na piasku ciała należą wyłącznie do członków kultu, obrońcom nic się nie stało. Popatrzyła na jadących ku karawanie mężczyzn. Na twarzy każdego z nich widniał szeroki uśmiech.

– Zadziwiające – wymamrotała, przepełniona ulgą, a jednocześnie zdumiona wyrazem zadowolenia na męskich twarzach.

– Odnieśli zwycięstwo?

Emily spojrzała na siedzącą na piasku Anyę. Pozostałe kobiety, otoczone wozami i zwierzętami, nie widziały starcia.

– Wracają, uradowani jak mali chłopcy.

– Zwyciężyli i są szczęśliwi – rzekła z szerokim uśmiechem Anya. – Dzisiejszego wieczoru w obozie będziemy świętować.

Tak jak przepowiedziała Anya, wieczorem w obozie panował nastrój wielkiego święta. Podczas gdy kobiety przygotowywały posiłek, mężczyźni zgromadzili się przed namiotem Ali–Jehana.

Kiedy skończyli wiwatować na cześć Garetha, zagłębili się w dyskusję, której on zdawał się przewodzić. Na ile Emily mogła to stwierdzić z przeciwległego krańca obozu, rysował na piasku jakieś schematy i pokazywał różne punkty, skupiając na sobie uwagę słuchaczy.

Bister przyszedł, żeby sprawdzić jej noże.

Podawała mu je, po czym odciągnęła go na bok, wskazując na grupę mężczyzn.

– O co tam chodzi?

Bister oparł się o wóz, żeby naostrzyć nóż na osetce.

– Nigdy wcześniej nie oglądali prawdziwej szarży kawalerii.

–No i?

– Widzi panienka, kawalerzysta inaczej siedzi w siodle, inaczej trzyma szablę. Oni ruszają do walki wyprostowani, jakby się prosili, żeby ich skosić. My szarżujemy pochyleni, wyciągając oręż przed siebie, przez co łatwiej zarówno atakować, jak i się bronić. – Bister skinął ku grupie mężczyzn. – To właśnie major im tłumaczy.

Emily spojrzała na zebranych po drugiej stronie paleniska.

– To dlatego potyczka zakończyła się tak szybko?

– Po części. – Bister oddał jej nóż i uśmiechnął się szeroko. – Major polecił nam też polować na członków kultu. Powiedział, że jeśli ich zabijemy, pozostali uciekną. Miał rację, chociaż Ali–Jehan i jego ludzie są ździebko poirytowani, że nie liznęli więcej walki.

Emily prychnęła.

– Ale będą kolejne ataki, więcej członków kultu?

– spytała po chwili. Popatrzyła na stojącego przed nią Bistera. – Dzisiaj było ich tylko pięciu. Z pewnością ścigają nas w większej liczbie.

– Major też tak sądzi. – Bister pokiwał głową, a potem skinął w kierunku mężczyzn po drugiej stronie obozu.

– Dlatego robi im ten wykład: jak najlepiej atakować i czego się spodziewać ze strony członków kultu. Jeszcze ich zobaczymy, to pewne.

Świętowano przez cały posiłek i dalej w noc, co Emily wydawało się lekką przesadą. Jednakże obyło się bez pijatyki. Cathcart wspomniał, że karawana nie wiezie żadnych mocnych alkoholi, piwa ani wina, a Emily, patrząc, jak hucznie bawią się mężczyźni, mogła się tylko z tego cieszyć. Gdyby był tu trunek, wszyscy by się upili, a przecież gdzieś w okolicy czaili się złoczyńcy.

Siedziała ze starszymi kobietami przed ich namiotem i z zawiścią spoglądała w stronę mężczyzn. Starła się nie marszczyć brwi ani też, co wyglądałoby jeszcze gorzej, nie robić nadąsanej miny.

Skoro świętowano, chciała się przyłączyć.

Jednakże u nomadów obowiązywały inne zwyczaje.

Raptem Gareth wstał. Widziała, że Ali–Jehan coś mówi, a Gareth mu odpowiada. Kiedy szejek zaczął się podnosić, Gareth położył mu dłoń na ramieniu, najwyraźniej zapewniając, że nie musi robić sobie kłopotu, ponieważ sam zajmie się wszystkim – o cokolwiek chodziło.

Emily śledziła Garetha wzrokiem, gdy ten skinął na Mullinsa, Watsona i dwóch strażników, po czym na czele tej grupki wyszedł poza krąg namiotów.

Wystawiał czujki? Miała nadzieję, że tak. Wizja członków kultu przyczajonych pośród wydm ani chybi zakłóci jej sen. Pozostałe kobiety, może z wyjątkiem Arni i Dorcas, nie zdawały sobie w pełni sprawy z niebezpieczeństwa.

Jeśli wszakże mężczyźni, którzy poszli z Garethem, mieli stanąć na warcie...

Odwróciła głowę i poczekała, aż Anya na nią spojrzy.

– Czy mogę pospacerować wokół namiotów, żeby rozprostować nogi? Zdrętwiały mi po całym dniu na grzbiecie wielbłąda.

Anya uniosła brwi, lecz w końcu przytaknęła.

– To dozwolone, ale nie marudź zanadto, bo będziemy musiały posłać kogoś na poszukiwania.

Emily nie zwlekała ani chwili. Wstała, a kiedy Dorcas spojrzała na nią pytająco, pokręciła głową.

– Nie zabawię długo.

Owinęła głowę i ramiona chustą, jak to zaobserwowała u tutejszych kobiet, przeszła alejką między dwoma namiotami i wstąpiła w blask księżyca.

Gdyby nie ten wielki, wiszący nisko nad horyzontem księżyc, niewiele by widziała. Dlatego zaniósła w duchu dziękczynne modły, ruszając na spacer wokół obozu z nadzieją na...

– Dokąd idziesz?

Gareth wyszedł spomiędzy namiotów, a Emily odwróciła się do niego gwałtownie.

– O! Tutaj jesteś. – Uśmiechnęła się.

– Nie powinnaś tu przebywać, to niebezpieczne – powiedział, marszcząc brwi.

Wszedł akurat w cień między namiotami, zmierzając z powrotem na centralny plac obozu, kiedy wychwycił... coś. Być może jakiś ruch. Obejrzał się i zobaczył, jak przechodzi. Blask księżyca zatańczył na jej chuście, na jasnej skórze.

Przyciągnęła go niczym latarnia morska. Okręcił się na pięcie i ruszył ku niej.

Zatrzymał się przy tylnej ścianie namiotu. Także zawróciła, podchodząc do niego.

Zlustrowała jego twarz.

– Wydawało mi się, że właśnie rozstawiłeś strażę.

– Tak.

– Zatem jest tu chyba w miarę bezpiecznie?

– Niewykluczone – odparł, zaciskając wargi.

Uśmiechnęła się, jakby pojmowała, że ścierają się w nim dwa przeciwstawne pragnienia. Zapewnić jej bezpieczeństwo. Posiąść ją, tu i teraz.

Napomniał się, że honor nakazuje mu bronić jej także przed nim samym.

Podeszła na tyle blisko, że czuł powabne ciepło jej ciała. Oparła mu na piersi drobną dłoń.

Cofnął się w mrok między namiotami.

Podążyła za nim, nie zabierając ręki. Odczuwał ten kontakt tak wyraźnie, jakby dotykała gołej skóry.

– Oglądałam starcie z grzbietu wielbłąda. Było... – Urwała i zadrżała sugestywnie, a oczy jej pociemniały. – Przeróżające.

– Przeróżające? – Za sprawą tego dreszczu Gareth zapragnął porwać ją w ramiona. Zacisnął pięści, by okiełznać ów impuls.

Przytaknęła.

– Szable, bułaty i ludzie bez zbroi. Nie podoba mi się takie połączenie. –

Uniosła brodę, zaglądając mu w oczy.

– Nie, kiedy chodzi o osoby, na których mi zależy.

Zamarł. Mówił sobie, że nie powinien zadawać tego pytania, nie powinien ujawniać swej słabości.

– Zależy ci na mnie?

– Tak – odparła, nadal patrząc mu w oczy. Serce urosło mu w piersi, zabiło szybciej.

Objął ją, kiedy napała nań, unosząc twarz ku jego twarzy.

Kusiła go, jakże skutecznie, żeby nakrył jej wargi swoimi. Na moment przed tym, nim się podporządkował, sprowadziła go z powrotem na ziemię, dodając:

– Oczywiście.

Oczywiście? Ponieważ stał między nią a przerażającym kultem? Ponieważ...?

Uznał, że nie musi tego wiedzieć. Zastanowi się nad tym później. Teraz była tutaj, z nim, chciała, żeby ją pocałował – chciała go pocałować.

Ubiegła go, dociskając wargi do jego warg. Delikatnie, miękko, powabnie, tak że Gareth nie potrafił się oprzeć i oddał pocałunek.

Przekrzywił głowę i objął dowodzenie.

Wziął to, czego chciał – czego, jak nagle sobie uzmysłowił, potrzebował.

Obdarowała go swymi ustami, kusiła językiem, zatopiła się w nim.

Otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie.

Mocno.

Przeszło go sensacyjne doznanie. Ekspłodowała namiętność, potężna, zogniskowana.

– Chciałam świętować z tobą – wydyszała, odrywając się od jego ust – ale utknęłam po drugiej stronie obozu. Z kobietami. Chciałam...

Znów ją pocałował, żarłoczniej. Zachłanniej.

Odpowiedziała tym samym.

I na powrót pchnęła go w zmysłowe rozkołysanie.

Pożądanie rozjarzyło się, gorące, bolesne, palące i słodkie.

Wcześniej, w salonie Cathcarta, oboje się cofnęli, lecz to... to był ogień i życie, wszystko, czego pragnął. Wszystko, czego potrzebował. I ona także tego pragnęła.

Nie zdołałaby jaśniej się zadeklarować, Garethowi zaś jego własna potrzeba dudniła we krwi, tak że nie mógł zaprzeczyć temu, co czuje. Nie chciał zaprzeczać.

Nie byłby już w stanie tego zrobić.

Nie mógł się cofnąć.

Ich pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, a namiętność nie narastała stopniowo, łagodnie, lecz gwałtownymi zrywami. Gareth odnalazł jej piersi, zamknął je w dłoniach, ugniatał. Emily wsunęła palce w jego włosy, zacisnęła.

Przytrzymała go, nie pozwalając mu przerwać pocałunku. Uwięziła go w wirze namiętności, którą wyzwolili oboje.

Wodził dłońmi po jej ciele, poznawał je, uczył się go, pragnął posiąść.

Dotrzymywała mu kroku. Jej wargi były równie złaknione, usta równie pożądliwe. Lgnęła doń bez zahamowań, sprężystym brzuchem napierała na bolesną erekcję.

Trudno o bardziej czytelne zaproszenie.

A potem jeszcze je uwypukliła.

Sięgnęła między nich i dotknęła, pogładziła.

Przeszył go dreszcz; nie przypominał sobie, by kiedykolwiek drżał w ten sposób pod dotykiem kobiety.

Jej dotyk... łaknął go. Łaknął tak bardzo, że sam czuł się tym zszokowany.

Napełnił dłonie jędrną obietnicą jej pośladków, uniósł ją, prowokacyjnie poruszając biodrami, i wyczuł narastające w niej westchnienie.

Przytrzymując ją silnie ramieniem, drugą dłoń zatopił w jej włosach, by podeprzeć jej głowę, i żarłocznie wpił się w jej usta.

Chciał się odwrócić, oprzeć ją o coś...

Nie było o co.

– Nocne powietrze jest takie orzeźwiające, nie sądzisz?

Słowa, wypowiedziane spokojnym głosem Anyi, przerwały ich pocałunek.

Unieśli głowy i spojrzeli po sobie, a potem wzdłuż alejki między namiotami, w kierunku głosu.

Nikogo nie zobaczyli.

– Panienska chyba nadal spaceruje wokół obozu. Może być po drugiej stronie.

– Katun – szepnęła Emily. Oblizwała wargi, ani chybi opuchnięte, po czym zajrzała Garethowi w twarz. – Muszę iść.

Skinął głową.

Opuścił ją na ziemię, lecz niechęć, z jaką cofał dłonie, mówiła sama za siebie, radując jej serce.

Wygładziła spódnice, poprawiła chustę. Popatrzyła na niego, wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta.

– Do następnego razu.

Później wyszła spomiędzy namiotów, rozejrzała się i spostrzegła dwie starsze kobiety, przechadzające się wolno plecami do niej. Odetchnęła, zebrała się w sobie i podążyła za nimi.

Domyśliły się, oczywiście. Anya i inne starsze kobiety z wielkim zainteresowaniem otaksowały ją spojrzeniem, kiedy wszystkie układały się do snu w dużym namiocie.

– Przystojny mężczyzna z tego majora. – Bersheba rzuciła ten komentarz w powietrze, lecz patrzyła przy tym na Emily, która przed położeniem się składała starannie koszulę i spódnice.

Marila prychnęła.

– Jest odważny, to ważniejsze – oznajmiła. – Słyszałaś szejka: major to wielki wojownik.

Emily czuła na sobie spojrzenia Dorcas i Arni, teraz równie zaintrygowanych jak starsze kobiety.

– Ale mężczyźni pozostają mężczyznami, wielcy wojownicy czy nie – oświadczyła Katun. – Trzeba głaskać ich... ego. Często.

– Nie zdziwiłoby mnie – powiedziała Anya – gdyby po dzisiejszej bitwie, w której on i mój Ali-Jehan powiedli ludzi do zwycięstwa, major chciał być trochę pogłaskany. Mężczyźni są bardzo przewidywalni. Łakną, by ich odwaga została doceniona.

– Zwłaszcza przez tych, których starają się chronić – wtrąciła Girła.

– Szczególnie gdy są to zarazem osoby, którym pragną zaimponować – uzupełniła Katun. Zrobiła krótką przerwę, po czym dodała: – Swoją męskością.

– Przypuszczam, że macie rację – rzekła Emily, zawijając się w koce. – Dobranoc.

Przyłożyła głowę do poduszki i naciągnęła koc pod samą szyję, modląc się w duchu, by ciemność skryła jej płonące policzki. Najwyraźniej starsze kobiety były niepoprawne jak świat długi i szeroki. Za bardziej interesujące uznała jednak to, że zachowania mężczyzn wydawały się równie uniwersalne.

TTLR

Rozdział 7

26 października 1822, wczesne popołudnie

Namiot Anyi w obozie w oazie

Drogi pamiętniku, Około południa przybyliśmy do oazy. Jest tutaj czyste jezioro, większe niż się spodziewałam. Musi je zasilać jakieś źródło. Wzdłuż brzegu ciągnie się pas zieleni, rosną tu palmy i przeróżne inne rośliny. W oazie popasają właśnie dwie karawany, mniejsze niż nasza, ale brzegu wystarczy dla wszystkich. Chyba należy do zwyczaju spędzać tu parę dni, dając zwierzętom i ludziom czas na odzyskanie sił, zanim wyruszą w dalszą mozolną wędrówkę przez pustynię.

Bardzo się cieszę z tego wytchnienia. Słowo daję, że kiwam się w rytm kroków Dohy, nawet kiedy nie siedzę w siodle. Co jeszcze bardziej zachwycające, jest tu mnóstwo wody do kąpieli, z której to dogodności zamierzam w pełni skorzystać. Muszę przyznać, że mimo pewnych utrapień, życie wśród Berberów okazało się prostsze, niż się spodziewałam.

Najwyraźniej też łatwiej niż zakładałam przyszło mi podjąć decyzję co do Garetha. Uwzględniając moje zachowanie minionej nocy (a zachowam się dokładnie tak samo, jeśli znów nadarzy się okazja), dochodzę do wniosku, że mój umysł rozstrzygnął już tę kwestię i nie żywi najmniejszych wątpliwości, że Gareth to mój „jedyne” – mężczyzna dla mnie.

Nieistotne, że zdrowy rozsądek nakazuje mi ostrożność, skoro przy nim natychmiast o tym zapominam. Po naszym sam na sam w salonie Cathcarta byłam pewna, że potrzebuję czasu na zastanowienie, nim wykonam kolejny krok (taki, po którym nie będzie już odwrotu), lecz nie. Minionego wieczoru między namiotami jasno zrozumiałam (i Gareth także), że jestem gotowa, by się z nim położyć, że chcę tego.

Wprawdzie raczej nie nastąpi to w trakcie naszej podróży z karawaną, niemniej spodziewałam się, że do przekonania mnie będzie trzeba czegoś więcej aniżeli krótkiego pokazu, jak Gareth walczy w mojej obronie.

Widocznie w tych sprawach serce niekoniecznie podporządkowuje się zaleceniom umysłu.

E.

Kiedy Emily wyłoniła się z namiotu Anyi, odkryła, że większość mężczyzn opuściła obóz, pozostawiając tylko paru strażników.

Przystanęła obok Arni i Dorcas, które siedziały na kamiennych ławach, pomagając innym kobietom w przygotowaniu wieczornego posiłku.

– Gdzie się podziali? – Nie musiała precyzować, kogo ma na myśli.

Arnia prychnęła wymownie.

– Major wysłał ludzi na zwiad – wyjaśniła, nie podnosząc wzroku. – Wrócili z informacją, że niedaleko przed nami obozują Berberowie z tego samego plemienia, które zaatakowało nas wczoraj, a towarzyszą im członkowie kultu.

– Naturalnie – dodała Dorcas, krojąc obrany ignani na plasterki, które wrzucała do ceramicznej misy – mężczyźni zapalili się do pomysłu, żeby odwrócić sytuację na naszą korzyść, uprzedzając atak tamtych. – Spojrzała na Emily. – Tam właśnie pojechali.

– Traktują to jak grę. – Emily zmarszczyła brwi. – Może szachy, ale tak czy owak to dla nich zabawa.

– Nasi mężczyźni, ich mężczyźni. – Arnia wzruszyła ramionami. – To wojownicy. Żyją po to, by walczyć.

– To prawda. – Jedna z Berberki ze znużeniem pokiwała głową. – Cieszą się z każdej okazji do bitki, a najszczęśliwsi są, kiedy walczą w naszej obronie. – Ona także filozoficznie wzruszyła ramionami. – Cóż począć? Taka

ich rola, lubią być użyteczni. Podobnie jak my. – Objęła gestem siedzące w kręgu kobiety, z radością przygotowujące posiłek. – Pod tym względem aż tak się od nich nie różnimy.

Emily nigdy nie spoglądała na zagadnienie pod tym kątem. W końcu pokiwała głową na znak zgody i ruszyła dalej. Wędrowała brzegiem jeziora, aż dotarła do palmowego zagajnika, w którego cieniu siedziały na kilimach Anya i inne starsze kobiety – wdowy.

Anya skinęła na nią zachęcająco. Emily dołączyła do nich i usiadła obok bawiącej się frędzlami Girli. Oplotła nogi ramionami, oparła brodę na kolanach i spojrzała na jezioro, pomarszczone przez lekki wietrzyk. Odpłynęła myślami.

– Jeśli, na co musimy żywić nadzieję, nasi mężczyźni powrócą zwycięscy, tego wieczoru znów będziemy świętować – odezwała się po dłuższej chwili Anya, niezmiernie spokojna.

Pozostałe kobiety pokiwały głowami.

– Będą oczekiwać uznania – powiedziała Katun. Ostatecznie, należy im się.

To Emily rozumiała, jednakże...

– Dlaczego mężczyźni zdają się uważać, że fakt, iż ochronią kobietę, w jakiś sposób... daje im do niej prawo?

Poczuła, że płoną jej policzki, ale nie ustępowała.

Dbają o twoje bezpieczeństwo, bronią cię przed atakiem, a potem warczą i patrzą wilkiem, kiedy zrobisz coś nie po ich myśli. – Powiodła wzrokiem po siedzących w kręgu kobietach i przekonała się, że żadna się nie śmieje, nawet się nie uśmiecha. Słuchały jej, niektóre ze zrozumieniem kiwały głowami. – To nieomal tak, jakby po jednej walce w twojej obronie wygrali cię, jak trofeum. Jakbyś stała się ich własnością.

Może i jej serce podjęło decyzję w kwestii Garetha, nie zapomniała jednak, że przy Cathcarcie zachowywał się jak pies ogrodnika – zwłaszcza że przypomniał jej o tym niedawno, kiedy przybyli do oazy, a on znów przeistoczył się w gburę, odpędzając młodych Berberów, którzy zgromadzili się wokół Dohy i proponowali Emily po moc przy zsiadaniu.

Nie podobało się jej, że traktuje się ją w tak zaborczy sposób.

– To zhora wszystkich kobiet – oświadczyła Katun, wzdychając potężnie.

– W każdym razie tych, których mężczyźni są wojownikami – sprostowała z nikłym uśmiechem Anya, a reszta obecnych pokiwała głowami. Anya zajrzała Emily w oczy, – Taką cenę płacisz, wiążąc się z wojownikiem. Będzie cię chronił, troszczył się o twoje bezpieczeństwo, lecz w za mian... – Uśmiechnęła się szerzej. – W istocie stają się na der wrażliwymi stworzeniami, kiedy chodzi o ich kobiety

– Dla wojownika jego kobieta to jedyna prawdziwa słabość – uzupełniła Gira. – Oczywiście więc, że broni jej tak zaciekle.

– Przed wszystkimi niebezpieczeństwami, prawdziwy mi i wyimaginowanymi – dodała bez ogródek Katun, a pozostałe kobiety przytaknęły ze śmiechem.

– Powiada się zaiste – stwierdziła Anya – że głębiej przywiązania wojownika do jego kobiety widać po tym, jak bardzo jest wobec niej... jak to się mówi?

– Zaborczy? – podsunęła Emily.

Anya się skrzywiła.

– Myślałam o opiekuńczości, ale zaborczość? Zapewne też tu pasuje. To druga strona tej samej monety, czyż nie?

– Tak, rzeczywiście – przyznała po namyśle Emily. Gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie... w przypadku wojowników trudno to stwierdzić.

W pewnej odległości od oazy Gareth, Ali-Jehan i Mooktu leżeli na brzuchach na wierzchołku wydmy, przekazując sobie z rąk do rąk lunetę, i szacowali połączone siły Berberów i członków kultu w niecce poniżej.

– Tych członków kultu jest o wiele więcej, niż się spodziewałem. – Marszcząc brwi, Ali-Jehan opuścił lunetę.

Skoro dysponują takimi siłami, dlaczego nie dali wczoraj lepszego popisu?

Gareth też się nad tym zastanawiał. Tam w dole członków kultu było znacznie więcej niż Berberów. Wziął lunetę i raz jeszcze oszacował ich liczbę.

– W świetle tego, co tu widzimy, przypuszczam, że wczoraj wykonali manewr mylący. Nie planowali wygrać starcia, chcieli jedynie przekonać nas, że nie stanowią realnego zagrożenia. Dlatego tamci Berberowie tak prędko uciekli; angażowali się dopóty, dopóki byli między nimi członkowie kultu. Gdy oni polegli, rola Berberów się skończyła.

– Była to więc swego rodzaju gra pozorów, żeby... jak to się mówi? Uśpić naszą czujność?

Gareth przytaknął.

– Jest ich zbyt wielu – mruknął Mooktu. – W dodatku większość członków kultu to chyba wyszkoleni zabójcy.

Gareth odnotował te same niepokojące szczegóły.

– Być może uda się nam ich pokonać, ale... – Z marszem na czole Ali-Jehan machnął ręką. – Ze względu na moją matkę i inne kobiety w obozie – spojrzał na Garetha – w tym również wasze kobiety, wolałbym uniknąć starcia z tą grupą. Znam moich kuzynów El-Jiri, to świetni wojownicy. Jeśli twierdzicie, że ci obcy także potrafią walczyć, wówczas... – Ali-Jehan urwał.

– Zdołamy ich wyminąć? – Gareth popatrzył na niego. Ali–Jehan napotkał jego wzrok i skrzywił się.

– Nie. El–Jiri dobrze znają moje trasy, są też nie gorzej ode mnie obeznani z tą okolicą. – Spojrzał na obóz w dole. – Niedaleko stąd jest dobre miejsce na atak.

Gareth zawahał się. On i Ali–Jehan od samego początku świetnie się dogadywali. Mieli wiele cech wspólnych – wojownicy w mniej lub bardziej cywilnym przebraniu, odpowiedzialni za grupę podróżujących z nimi cywilów. Byli w podobnym wieku i w ocenie Garetha nie różnili się zbytnio pod względem charakteru. Dlatego odważył się spytać:

– Czy istnieje sposób, żeby nawiązać kontakt z twoimi kuzynami, nie alarmując przy tym członków kultu?

Ali–Jehan popatrzył na niego, a później na obóz poniżej, lustrując jego obrzeża, spętane konie i wielbłądy.

– Być może. – Odwrócił się do Garetha. – Dlaczego? Gareth wytłumaczył mu, jaką strategię rozważa. Stopniowo na twarz Ali–Jehana wypłynął uśmiech. W końcu szejk skinął głową.

– Tak zrobimy.

Zeszli z wydmy, Ali–Jehan wybrał dwóch mężczyzn, swych dalekich krewniaków, i pieczołowicie wyłuszczył im, czego od nich oczekuje.

Potem Gareth i Ali–Jehan znów wspięli się na wydnię, skąd obserwowali, cierpliwi i nieruchomi, jak dwaj członkowie plemienia pomyślnie wywiązują się z zadania.

Upłynęła kolejna godzina, nim wkroczył pomiędzy nich przywódca El–Jirich. Przez chwilę wymieniali z Ali –Jehanem wyszukane pozdrowienia, aż wreszcie odłożyli na bok formalności i zasiedli do interesów.

Gareth został przedstawiony i przyłączył się do rokowań.

Pół godziny później szejk El–Jirich uśmiechnął się w sposób bez wątpienia wróżący czyjąś śmierć. Skinął głową Ali–Jehanowi.

– To dobre rozwiązanie. Zrobimy, jak mówisz. Muszę wrócić do moich ludzi i przekazać wieści. Zorientujesz się, kiedy będziemy gotowi.

Ali–Jehan odpowiedział mu równie lodowatym uśmiechem.

– A wówczas oczyścimy nasze ziemie z sługusów tego węża.

Dwaj berberyjscy szejkowie pożegnali się i przywódca El–Jirich odszedł.

Prezentacja strategii przebiegła sprawniej, niż Gareth się spodziewał. Przy odrobinie szczęścia jej realizacja również zakończy się sukcesem.

Emily, gawędząc, stała przy palenisku, kiedy wreszcie, po całodziennej nieobecności, do obozu wrócili mężczyźni. Wrócili zwycięzcy.

Rezultat ich wyprawy nie budził najmniejszych wątpiwości – informowały o nim radosne okrzyki i uśmiechy na twarzach.

Przyjechali z nimi inni Berberowie, w tym ich przywódca, którego Ali–Jehan przedstawił Anyi. Jak zwykle skazana na towarzysztwo samych kobiet, Emily usłyszała tylko, że przybysz jest szejkiem El–Jirich.

Zaskoczona wymieniła spojrzenia ze stojącą obok niej Arnią.

– Czy El–Jiri to nie plemię, które zaatakowało nas wczoraj?

Arnia przytaknęła.

– Wygląda na to, że zwrócili się przeciw członkom kultu. Tym razem wszakże byli ranni. Emily pomagała ich

opatrywać, dzięki czemu uzyskała bardziej szczegółową relację z wydarzeń.

Zabójcy. Na to słowo krew stęzała jej w żyłach. Słyszała aż nadto opowieści o okrucieństwie tych najbardziej zatwardziałych wyznawców kultu. Jak rozumiała, członków bandy, głównie zabójców, było więcej niż

wszystkich Berberów razem wziętych, niemniej pod sprawnym dowództwem Garetha, który poprowadził połączone siły Berberów do ataku, ci ostatni zatriumfowali – choć Emily nie zdołała się dowiedzieć, jak konkretnie udało mu się nakłonić do współpracy dwa na co dzień zwaśnione plemiona.

Połowa członków kultu zginęła, a pozostali... stanowili nagrodę dla El-Jirich.

Kiedy Emily nie rozumiała, co to oznacza, nachyliła się ku niej kobieta, której męża właśnie pomagała opatrywać.

– El-Jiri czasem parają się handlem niewolnikami – wyszeptała. – Grupa mężczyzn wyszkolonych do walki to dla nich nie lada kąsek.

Emily zawahała się, pytając się w myślach, co o tym sądzi. Oglądała jednak zbyt wiele dokonań tamtych bandytów, by nie uznać, że to stosowna kara.

Kiedy znów była wolna, słońce chyliło się już ku zachodowi i nastąpiła pora wieczornego posiłku. Zgodnie z przewidywaniami wdów, panował nastrój wielkiego święta, mężczyźni rozmawiali z ożywieniem, śmiali się i poklepywali po plecach. A kobiety...

Przyjrząwszy się uważniej, Emily odkryła, że w spojrzeniach kobiet, w tym, jak oczekiwały na swoich mężczyzn, znać raczej miłość i przywiązanie niż pogodzenie się z losem. Ich obrońcy. Usłyszała dość, by zdawać sobie sprawę, że jeszcze tego ranka karawanie groziło poważne niebezpieczeństwo. Kiedy tylko by ruszyli w dalszą drogę, zostaliby zaatakowani i niewykluczone, że ponieśliby klęskę.

Dzisiejsza akcja usunęła to zagrożenie. Mężczyźni zaiste obronili swe kobiety.

Po drugiej stronie paleniska zobaczyła Garetha i zapragnęła do niego podejść, pogratulować mu, z uśmiechem napełnić jego kubek, podsunąć mu krążące między świętującymi słodycze.

Jednak nie byli małżeństwem.

Nie była jego, a więc i on nie był jej.

Nie miała prawa dzielić z nim triumfu, chwalić go, wysławiać, krzątać się koło niego jak inne kobiety koło swoich mężów–wojowników. Nawet Arnia z uśmiechem asystowała Mooktu. Siedziała tuż za nim, oparta o jego bark, posilając się ze swego talerza.

Emily wolno okrążyła palenisko. Wróciła spojrzeniem do Garetha i ich oczy się spotkały, akurat kiedy przystanęła obok Anyi. Uśmiechnął się, odpowiedziała uśmiechem – szczerym, radosnym, pełna tych samych emocji, jakie czytała w oczach mężatek – lecz wtedy Ali–Jehan zadał mu pytanie i Gareth się odwrócił.

Opadła na kilim nieco za Anyą.

Moment później starsza kobieta wyciągnęła rękę i nie oglądając się, poklepała Emily po dłoni.

– Są trudni, ci nasi mężczyźni, jednak warci wysiłku.

Nadal patrząc na Garetha, Emily odkryła, że się z tym zgadza.

Trzy dni później samotny członek kultu, potargany, brudny, z nieopatrzonymi, zaropiałymi ranami, płaszczył się na kamieniach małego dziedzińca w spokojnej dzielnicy Kairu.

Wuj spoglądał na skołtunioną głowę mężczyzny, który właśnie doniósł mu o druzgocącej klęsce ludzi wysłanych przezeń, by pojмали majora. Miał jedno palące pytanie.

– Co z moim synem?

Mężczyzna dotykał czołem kamieni, wyraźnie dygocąc ze strachu.

– Przepadli – wybełkotał. – Wszyscy przepadli. Wszyscy pokonani.

Dla Wuja był to potężny cios. Na moment ogarnęło go szaleństwo, lecz siłą woli zdusił w sobie emocje.

– Opłaceni przez nas tubylcy obrócili się przeciw nam – rzekł.

Nie potrafił tego zrozumieć. W Indiach nikt – absolutnie nikt – nie poważyłby się zdradzić Czarnej Kobry.

Wedle obowiązujących reguł powinien zadbać o to, żeby tubylcy, którzy dopuścili się takiej obrazy, ponieśli stosowną karę – powinien kazać zarżnąć ich dzieci, zgwałcić i zabić kobiety, a mężczyznom zapewnić długą, powolną śmierć. Dusza Wuja domagała się odwetu, pragnął pomścić swego jedyne go syna – jednak tutaj, teraz, nie miał na to czasu.

A poza tym zaczynało mu brakować ludzi. Z elity, z którą opuścił Indie, pozostała zaledwie garstka.

Niełatwo przyszło mu przełknąć furję, żal, wściekłość, jeśli wszakże nie zadowoli swego pana, całe poświęcenie zda się na nic.

Zmusił się, by się odwrócić od rozpląszonego na kamieniach mężczyzny. Spiorunował wzrokiem swojego tymczasowego zastępcę, teraz mającego zająć miejsce Muhlala.

– Zadbaj o to – na pewno! – żeby major i jego ludzie zostali pojmani, kiedy tylko karawana tu dotrze. Rozstaw naszych...

– Nie. Wuju...

Wuj spojrzał gniewnie na płaszczącego się mężczyznę, który podniósł rękę w błagalnym geście.

– Co znowu?!

– Karawana nie kieruje się tutaj. Zanim nas zaatakowano, słyszałem rozmowę tubylców: karawana majora zmierza do Aleksandrii.

– Jesteś pewien? – Wuj zmrużył oczy w wąskie szparki.

– Przysięgam na życie. Ci El–Jiri znali tubylców majora. Mówili, że idą do Aleksandrii.

Wuj nie tracił czasu na rozważania. Odwrócił się do swego zastępcy.

– Wyszukaj najszybszą łódź na tej rzece – rzucił. – Musimy znaleźć się w Aleksandrii przed nimi.

31 października 1822, przed obiadem

Namiot Anyi w obozie Berberów

Drogi pamiętniku,

To nasza ostatnia noc wśród Berberów. Jutro dotrzemy do Aleksandrii i nasze drogi się rozejdą. Wbrew moim oczekiwaniom pobyt wśród tych ludzi nie sprowadzał się tylko do pokonywania odległości, przemieszczania się z jednego miejsca w drugie, lecz obfitował w ciekawe doświadczenia i odkrycia.

Wiele się nauczyłam – od Anyi i wdów, a także obserwując otwartych, prostolinijnych Berberów i ich mniej skomplikowane życie. Dzięki temu zaczęłam oceniać Garetha pod innym względem. Obecnie patrzę na niego bardziej świadomie.

Dowiedziałam się także więcej na temat tego, co jest w życiu ważne – a konkretnie, co jest ważne dla mnie. W rezultacie skorygowałam nieco zapatrywania w kwestii rzeczy, z których gotowa jestem zrezygnować w zamian za korzyści z małżeństwa z Garethem. Podjęcie tej decyzji nie przyszło mi łatwo, a teraz z niecierpliwością czekam na powrót do cywilizacji, żeby się przekonać, jak będą się wówczas prezentować te jego cechy, które z coraz większą wprawą dostrzegam u niego w mniej cywilizowanym otoczeniu.

O dziwo, w co trudno uwierzyć, chyba będę tęsknić za moim cuchnącym wielbłądem. Przywykłam do jego kołyszącego, lecz stabilnego chodu.

E.

Następnego dnia tuż przed południem przybyli do Aleksandrii. El–Jiri zabrali jeńców na południe, na jakieś miejsce spotkań na pustyni. Gareth nie dopytywał się zbyt wnikliwie o ich plany.

Zasugerował, że ich grupa odłączy się od karawany w pewnej odległości od murów miasta, lecz Ali–Jehan nie chciał o tym słyszeć. Karawana zatrzymała się tam gdzie zwykle, a później Ali–Jehan, jego matka i oddział strażników odprowadzili gości do bram Aleksandrii.

Tu się pożegnali wśród poklepywania się po plecach i uścisków dłoni; Gareth odnotował, że kobiety się po nadto obejmowały. Gdyby dwa miesiące temu spytano go, czy bratanica gubernatora Bombaju odnajdzie się wśród Berberów, odparłby, że nie – lecz wtedy nie znał jeszcze Emily. Zaczynał myśleć, że bardzo niewiele rzeczy jest w stanie na dłużej wytrącić ją z równowagi; zdawała się posiadać cenny talent do stawiania czoła wszelkim trudnościom.

Emily mrugała szybko, kiedy oddalali się ulicą. Obejrzała się raz jeszcze, żeby pomachać Anyi na pożegnanie. Z przykrością rozstawała się nawet z Ali–Jehanem. On i Gareth świetnie się dogadywali. Z drugiej strony... Popatrzyła na idącego krok przed nią mężczyznę. Z jego ruchów było zdecydowanie, arabskie szaty furkotały mu wokół łydek. Po dniach spędzonych na pustyni wyglądał jak prawdziwy arabski szejek, a oni jak zdążający za nim orszak.

Wskutek przestawania z Ali–Jehanem w Garcie ujawniła się bardziej prymitywna nuta osobowości, czy też może łatwiej było ją zauważyć. Emily zastanawiała się, jak długo potrwa, nim na powrót zatuszuje ją patyna cywilizacji.

Ali–Jehan polecił im prowadzony przez jego kuzyna gościniec, gdzie powinni być bezpieczni. Znajdował się on w arabskiej dzielnicy, za portem, lecz żeby tam dotrzeć, musieli przemierzyć całe miasto.

Utrzymywali miarowe, niespieszne tempo, bacząc, by żadnym zachowaniem lub wypowiedzią nie zwrócić na siebie uwagi ewentualnych rozstawionych przez kult obserwatorów. Tym razem, jak pouczył ich Gareth, nie chodziło tylko o to, by uniknąć pojmania. Jeśli członkowie kultu zyskają pewność, że ich zwierzyna jest w Aleksandrii, rozpoczną systematyczne polowanie. W rezultacie wróg mógłby osaczyć ich, nim zdołają się stąd wydostać, zwłaszcza że jeszcze nie zorganizowali sobie środka transportu na kolejny etap podróży.

Nie pokonali nawet połowy drogi, a nerwy Emily już napięły się w sposób, o jakim zdążyła w ostatnich dniach zapomnieć.

Kiedy tak strzelała oczami na prawo i lewo przez przesłone, odkryła, że po rozstaniu z Berberami będzie tęsknić za czymś jeszcze. Za poczuciem bezpieczeństwa. Zdążyła zapomnieć, jak smakuje jego brak.

Nawykły do dowodzenia, do kierowania ludźmi, Gareth miał świadomość narastającego w prowadzonej przezeń grupie napięcia.

Jemu także się ono udzielało.

Aleksandria była starożytnym miastem. Wąskie, kręte uliczki, z obu stron ograniczone ścianami budynków, tworzyły labirynt wręcz stworzony dla potrzeb zabójców. Gdyby przypadkiem zdążali ich tropem, zanim ktokolwiek z ich grona spostrzegłby niebezpieczeństwo, byłoby za późno.

W ostatnich dniach podróży z karawaną opuścili pustynię i wkroczyli na rozległe równiny delty Nilu. Na nisko położonych terenach, poprzecinanych licznymi niewielkimi rzekami niosącymi wody potężnego Nilu do Morza Śródziemnego, nie tylko łatwiej się wędrowało, ale też można tu było znaleźć

lepszą osłonę dla karawany. Ali–Jehan planował przeprowadzić dziś ludzi przez odnogę Nilu, dzięki czemu znajdą się daleko od tradycyjnych obozowisk przybywających do Aleksandrii karawan.

Gareth miło wspominał pobyt wśród Berberów i żywił nadzieję, że nic im nie grozi, że nie spotka ich żadna krzywda z powodu tego, iż pomogli jemu i jego towarzyszom.

Zerknął w bok, upewniając się ukradkiem, że Emily idzie nie dalej niż krok za nim. Kiedy przebywali wśród Berberów, wiedział, że jest bezpieczna. Bezpieczna z ich kobietami – tak bezpieczna, jak to tylko było możliwe. Teraz...

Wróciło znajome napięcie, poczucie odpowiedzialności za jej dobro raz jeszcze zaciążyło mu na barkach. Nic wściekał się o to; ani przez moment nie brał pod uwagę przekazania tego obowiązku komu innemu.

Wściekał się natomiast, że za sprawą jego misji – nie, za sprawą Czarnej Kobry – Emily, jej życie i przyszłość ponownie znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie.

Stały się zagrożone.

Wcale nie cieszył się z powrotu na łono cywilizacji.

Znaleźli gościniec, gdzie powitali ich serdecznie kuzyn Ali–Jehana i jego żona. Ku uldze Garetha nikt dotąd nie wynajął tu pokoju na najbliższą noc. Natychmiast wynegocjował zamknięcie domu dla innych gości, na którą to propozycję Jemal, kuzyn Ali–Jehana, przystał z ochotą, gdy otrzymał w zamian trzykrotność przewidywanego utargu.

Zdążyli przywyknąć do lokowania się w nowych miejscach. Mooktu, Bister i Mullins obeszli budynek, oceniając zabezpieczenia, a w tym czasie pozostali sprawnie rozmieścili swoje rzeczy w wybranych pokojach. Później wszyscy zebrali się w głównej sali, gdzie, jako że zrobiło się już wczesne

popołudnie, gospodarze podali im posiłek złożony z płaskiego chleba chubz, ryb i małży.

Kiedy Jemal postawił na stole duży półmisek z owocami i wycofał się, zgięty w ukłonie, Gareth powiódł wzrokiem po obecnych. Uznał, że wszyscy mają prawo poznać pełny obraz sytuacji. Chyba wyczuli jego zamiary. Wybrawszy dla siebie rozmaite owoce, spoglądali nań wyczekująco.

Emily siedziała po przeciwnej stronie stołu. Uniosła brwi i także czekała.

– Po pierwsze, musimy zachować szczególną ostrożność – powiedział Gareth. – To główny port śródziemnomorski, zatem Czarna Kobra bez wątpienia ma tu swoich obserwatorów, choć niekoniecznie rozglądają się konkretnie za nami. Nie możemy dopuścić, by nas zobaczyli, by zyskali pewność, że jesteśmy w mieście. Gdybyśmy opuszczali Aleksandrię jutro, nie byłoby to tak niebezpieczne, ale na razie nie wiemy, kiedy będziemy gotowi do wyjazdu, dlatego absolutnie nie mogą się dowiedzieć o naszej obecności. – Spojrzał na Mooktu, Bistera i Mullinsa. – Jakie mamy tu możliwości obrony?

Dwaj pierwsi popatrzyli na Mullinsa.

– Większe niż się spodziewaliśmy. Po bokach i z tyłu dom styka się z innymi, a mur od frontu jest solidny i wysoki. – Mullins wskazał w górę. – Co zaś najlepsze, jest to najwyższy budynek w okolicy. Jeśli wystawimy czujki na dachu, zobaczymy każdego, kto będzie się zbliżał, sami pozostając niewidoczni.

Gareth zadał kilka dodatkowych pytań, niemniej Alichan skierował ich w dobre miejsce. Dom świetnie nadawał się do obrony.

Dobrze. Przez cały czas będziemy pełnić wartę na dachu. Pomijając inne kwestie, tamtędy wiedzie najbardziej oczywista droga, którą mogliby spróbować dostać się do środka. Do nas.

Jimmy zgłosił się na ochotnika na pierwszą wartę. Gareth wyraził zgodę.

Możesz już iść na górę, a my skończymy omawiać plany. – Potoczył spojrzeniem po zebranych przy stole. Najpilniejsza sprawa to w tej chwili zorganizowanie transportu na kolejny etap podróży. Musimy dotrzeć do Marsylii, najszybciej i najprościej, jak tylko się da.

– Znasz tutaj kogoś, do kogo mógłbyś się zwrócić o pomoc? – spytała Emily. Gareth pokręcił głową.

– Nikogo pewnego. Teoretycznie konsulat udzieliłby nam wsparcia, uwzględniając jednak polityczne wpływy Ferrara, to zbyt ryzykowne, a nie mam tu starych przyjaciół, żadnej osoby, której bym w pełni ufał.

Nikogo, komu powierzyłby własne, a tym bardziej jej życie.

– Jak mówiłem – ciągnął – musimy zachować ostrożność. To oznacza, że zostaniecie wszyscy tutaj, zamknięci w czterech ścianach, podczas gdy Watson, Mooktu i ja będziemy szukać właściwego statku, choćby miało nam to zająć parę dni.

Spodziewał się sprzeciwu, co najmniej jakichś oznak protestu. Tymczasem Emily przyglądała mu się przez moment, a potem, ku jego zaskoczeniu, skinęła głową.

– Dobrze.

Niewiele zostało do powiedzenia, przynajmniej dopóki nie ocenią szans na znalezienie statku do Marsylii Gareth, Watson i Mooktu znów przywdziali arabskie stroje i udali się do portu.

Emily odprowadziła ich do furty, a później podążyła na płaski dach, do Jimmy'ego, nie zdołała jednak wypatrzeć trzech mężczyzn na rojnych ulicach.

Czuła niepokój, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Narósł w niej, rozprzestrzenił się. Nie odpuszczał.

Przez chwilę spoglądała na dachy Aleksandrii, a potem odwróciła się i zeszła na dół. Odnalazła Dorcas i Arnię, zawołała Bistera i Mullinsa, żeby do nich dołączyli, po czym zasiadła przy stole.

– Musimy sporządzić listy – oznajmiła energicznie – Jedną, rzeczy niezbędnych nam w najbliższych dniach, i drugą, zapasów, które trzeba nabyć na podróż do Marsylii. – Zdeterminowana, żeby czymś się zająć, spojrzała na pozostałych. – Mamy dwie kartki papieru?

Gareth, Watson i Mooktu wrócili do gościńca przed wieczorem.

Emily czekała w sali od frontu. Popatrzyła na nich badawczo.

– Bez powodzenia? Gareth pokręcił głową.

– Chociaż codziennie odchodzi do Marsylii mnóstwo statków, na większości zarezerwowano miejsca na wiele miesięcy naprzód. – Usiadł przy stole, a Emily zajęła miejsce przy drugim jego końcu.

Watson i Mooktu poszli w ich ślady, zaraz też dołączył do nich Mullins.

– Jakie mamy inne opcje? – zapytał.

Dorcas weszła do sali akurat w chwili, kiedy Watson odpowiadał:

~ Dzisiaj pytaliśmy o najkrótszą trasę, ale mamy ich do wyboru kilka.

– Przyszło mi na myśl – rzekł Gareth, pukając palcem w blat – że Czarna Kobra spodziewa się, iż obierzemy najkrótszą trasę. Przynajmniej wpadlibyśmy wtedy na spore siły kultu.

Watson rozpostarł dłonie.

– Jesteśmy w Aleksandrii. Zasadniczo cała Europa leży na północ od nas. Możemy ruszyć jednym z mniej uczęszczanych szlaków. – Spojrzał na Garetha. – Czy musimy podróżować przez Marsylię?

Gareth przytaknął.

– Takie otrzymałem wytyczne.

– To nam ogranicza liczbę możliwości – stwierdził Watson, nieco się krzywiąc. – Ale nadal mamy do wyboru liczne trasy wokół Morza Śródziemnego albo przez jego wody.

– Tyle że, na przykład – odezwała się Emily – podróż na północ wzdłuż wybrzeża, a potem na zachód przez Turcję, Grecję, Włochy aż do Francji z pewnością zajmie nam znacznie więcej czasu. – Popatrzyła na Garetha.

– Możemy sobie pozwolić na zwłokę? Pokręcił głową.

– Dotarcie tutaj trwało dłużej, niż przewidywał Wolverstone. Chce, żebym... żebyśmy pojawili się w Anglii w połowie grudnia.

Emily zamruwała.

– Jest pierwszy listopada.

– No właśnie. Uwzględniając czas potrzebny na przejazd przez Francję... musimy znaleźć się w Marsylii jak najszybciej.

– W takim razie – powiedział Watson – pozostaje droga morską. – Powiódł wzrokiem po zebranych przy stole.

– Morzem podróżuje się szybciej niż lądem. Na w miarę bezpośredniej trasie szybki statek dotrze do Marsylii w dziewięć do piętnastu dni.

– Ale nie znaleźliśmy miejsca na takim statku – burknął Mooktu. Popatrzył na Garetha. – A nie mamy czasu, żeby czekać, aż pojawią się wolne kajuty.

Gareth sapnął.

– Siedzenie tu i czekanie, aż natkną się na nas członkowie kultu, nie wchodzi w rachubę.

– Wybieramy zatem drugą z kolei najlepszą opcję.

– Emily odwróciła się do Watsona. – Jakakolwiek ona jest.

– Powiedziałbym... – Watson zmarszczył brwi. – Albo przez Włochy, Korsykę i do Marsylii, albo, ewentualnie, na zachód do Tunisu, a stamtąd na północ do Marsylii.

– Spojrzał na Garetha. – Znam odległości, ale trudno mi oszacować czas podróży. Musimy popytać, a potem sprawdzimy, czy znajdzie się dla nas miejsce na statku odchodzącym w wybranym kierunku.

Gareth skinął głową.

– Jutro. Skoro świt pójdziemy do portu. Wtedy nie jest tam tak tłoczno.

Tak sobie myślałem – odezwał się Mooktu – że jeśli przysłani tu przez kult obserwatorzy nie wiedzą jeszcze, że chodzimy w przebraniu, są szanse, że nas nie zauważą.

Istotnie. Musimy więc zawsze pamiętać o przebraniach. – Gareth potoczył wzrokiem po obecnych. – Najlepiej, żebyśmy nosili arabskie stroje nawet w tym domu.

Emily wręcz się ucieszyła na tę wiadomość. W lokalnych strojach czuła się swobodniej, w tym klimacie były leż z pewnością wygodniejsze niż suknie i halki. Chciała zwrócić Berberyjkom pożyczone od nich ubrania, one jednak zamachały odmownie rękami i powiedziały, żeby korzystała z nich, dopóki przebywa na arabskich ziemiach.

– Jutro będziemy musiały się wybrać na suk – powiedziała, gdy udało jej się pochwycić spojrzenie Garetha.

Kiedy wy będziecie w porcie. Weźmiemy Mullinsa i Bistera i zachowamy najwyższą ostrożność, chociaż, swoją drogą, nie zaszkodzi trochę się rozejrzeć.

W jego oczach wyczytała, że nie spodobał mu się ten pomysł. Ostatecznie jednak tylko skinął głową.

– Rzeczywiście, nie zaszkodzi.

Rozdział 8

2 listopada 1822, wczesny ranek

Mój pokój w gościńcu w Aleksandrii

Drogi pamiętniku,

Między mną a Garethem zaszła jakaś zmiana, choć nie do końca potrafię sprecyzować, na czym ona polega. Pojawiło się większe poczucie partnerstwa, jakby zaakceptował, że realnie przyczyniam się do zapewnienia nam wszystkim powodzenia. Pora tej zmiany sugeruje, że należy ją przypisać pobytowi u Berberów, aczkolwiek pozostaje dla mnie tajemnicą, jakim sposobem czas spędzony przeważnie z dala ode mnie, w mniej cywilizowanym środowisku, które tylko uwypukliło u Garetha tendencje do protekcyjnych i zaborczych zachowań, zaowocował większym uznaniem dla mojego wkładu w misję. Ponieważ jednak wróciło poczucie zagrożenia, że odkryją nas członkowie kultu, przysłani tu, by oczekiwać naszego przybycia, a następnie ukrócić nas o głowy, trudno jest mi się skupić na takich osobistych dylematach.

Dzisiaj muszę poprowadzić ekspedycję na suk celem uzupełnienia zapasów, podczas gdy Gareth szuka dla nas środka transportu na dalszą podróż. Napięcie jest wręcz namacalne. Choć do tej pory tego nie powiedział, widzę, że niepokoi się o nas wszystkich – a może w szczególności o mnie...

Mimo naszego krytycznego położenia, zdarzają się chwile takie jak ta, kiedy uświadamiam sobie, w jakim kierunku oboje zmierzamy.

Więcej niebawem.

E.

Suk w Aleksandrii ulokował się dość daleko od portu, w obrębie murów starego miasta. Znajdował się tu kryty plac targowy z licznymi alejkami

straganów, na których sprzedawano głównie świeże płody rolne i odzież. Od placu odchodziły wąskie, ciasne, kręte uliczki, splatając się z innymi i tworząc labirynt pełen maleńkich sklepików oraz zbitych w skupiska warsztatów. Była tu uliczka złotników, plecionkarzy, sprzedawców ubrań, wyrobów metalowych, wyrobów ze szkła i wszelkich innych towarów, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Emily, w burce założonej na wygodny berberyjski strój, poprowadziła swoją grupę przez plac targowy, wynajdując potrzebne artykuły, a potem targując się po francusku, w czym w trakcie tej podróży nabrała już nie lada wprawy.

Wkrótce nabyli wszystkie artykuły potrzebne im na najbliższe parę dni. Z kupnem zapasów na dalszą podróż musieli się wstrzymać do chwili, kiedy poznają termin wyjazdu i środek transportu. Emily przypomniła sobie uliczkę plecionkarzy i zatoczyła łuk, żeby na nią wrócić. Wyszukała dwa bardzo duże, elastyczne kosze uplecione z liści palmowych, idealne, by wnieść w nich zapasy na pokład statku; przez kilka minut żywiłowo targowała się ze sprzedawcą i zakupiła oba.

Wracali bez pośpiechu uliczką plecionkarzy. Dotarli już prawie do placu targowego, kiedy u jej wylotu przystanęli dwaj członkowie kultu, przyglądając się stłoczonym na niewielkiej przestrzeni kupującym.

Serce Emily zamarło, a potem zaczęło głośno łomotać. Zatrzymała się odruchowo. Na szczęście akurat przechodził przed nią jakiś Arab, który na moment zasłonił ją i jej towarzyszy przed wzrokiem członków kultu, dzięki czemu zyskała czas, by uzmysłwić sobie, że nie rozsądnie byłoby stać i się gapić.

Kiedy Arab wreszcie usunął się z drogi, Emily z trudem zaczerpnęła tchu i unosząc skrytą pod burką głowę, niespiesznie, beztrosko podążyła dalej, modląc się, by towarzysze wzięli z niej przykład.

Członkowie kultu widzieli ich – nie zdołaliby ich przeoczyć – jednak prześlizgnęli się po nich wzrokiem bez śladu zainteresowania, a tym bardziej rozpoznania.

Emily śmiało minęła tych dwóch. Wkroczyła na właściwe targowisko i szła dalej, aż tłum między nią a wylotem uliczki zgęstniał na tyle, by mogła zaryzykować i się zatrzymać. Udając, że ogląda jakiś materiał, ukradkiem zerknęła do tyłu.

Dorcas i Arnia znajdowały się tuż przy niej, nigdzie natomiast nie zauważyła eskortujących ich mężczyzn.

– Bister i Mullins wślizgnęli się do sklepu – szepnęła Dorcas, nachylając się ku niej. – Ich twarze...

Emily skinęła głową. Mimo że ci dwaj w międzyczasie mocno się opalili, mieli zbyt europejskie rysy, żeby otwarcie paradować przed członkami kultu.

– Jeśli tu zaczekamy, dogonią nas. – Arnia stanęła u drugiego boku Emily.

Obserwując członków kultu, którzy nadal tkwili u wylotu alejki, teraz jednak przeczesywali wzrokiem plac targowy, Emily ponownie przytaknęła.

Chwilę później członkowie kultu ruszyli dalej. Bez pośpiechu. Nadal rozglądając się z uwagą.

Emily odetchnęła. One trzy powędrowały między straganami z powrotem ku uliczce plecionkarzy. Kiedy się zbliżyły, z zatłoczonej alejki wyłonili się Bister i Mullins, znów do nich dołączając.

– Wracamy do gościńca – burknął Mullins.

– Tak – zgodziła się Emily. – Wracamy.

Do gościńca dotarli bez dalszych incydentów. Na miejscu, kiedy Emily pozbyła się burki i mogła przechadzać się swobodnie, zatopiona w myślach, jej wyobraźnia irytująco się ożywiła.

Członkowie kultu jej nie rozpoznali – i nic dziwnego. Pod burką praktycznie nie było jej widać. Jednakże Gareth... Górował wzrostem nad większością Arabów. Wysoki, szeroki w barach. Nawet w Anglii wyróżniałby się w tłumie. Ponadto, choć zaczął na berberyjską modłę owijać głowę, ukrywając przycięte schludnie włosy, gdyby członkowie kultu zobaczyli jego oczy, kości policzkowe, szczupłe policzki, a wreszcie brodę, bezbłędnie rozpoznaliby w nim Anglika.

Splotła ramiona na piersi i spacerowała w tę i z powrotem po sali głównej, powtarzając sobie, że nie powinna panikować, chyba że zapadnie zmrok, a on nadal nie wróci. Zatrzymała się, słysząc, że otwiera się furta w murze.

Wszedł Gareth, a za nim Watson i Mooktu.

Jeszcze nigdy nie poczuła takiej ulgi na czyjś widok.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, znajdowała się w połowie dziedzińca, biegnąc mu na powitanie.

Wyraz odprężenia na jego twarzy i czający się w jego oczach uśmiech zniknęły, ledwie Gareth na nią spojrzał.

– Co się stało? – wyrzucił z siebie.

Dopadł do niej, chwycił za łokieć, odwrócił i spiesznie poprowadził z powrotem do głównej sali, spoglądając po drodze na dach budynku.

– Spotkaliśmy ich – wykrztusiła, przystając w progu. Na suku, nie tutaj. Ale nie widzieli nas. To znaczy, widzieli, ale wzięli za miejscowych. Nie zwrócili na nas uwagi.

Gareth wbił w nią wzrok. Krew stężała mu w żyłach, gdy w jego umyśle jedna potworna wizja gonila drugą wizje tego, co mogło się zdarzyć, co zrobiliby z nią członkowie kultu, gdyby ją złapali...

Zamrugął i potrząsnął głową, żeby odpędzić te obrazy. Emily była tutaj, z nim, i ewidentnie miała się dobrze.

Watson i Mooktu wyminęli ich, wchodząc do sali. Mooktu podążył dalej, w głąb domu, ani chybi żeby odnaleźć Arnie.

– Tak się martwiłam, że cię zobaczą – powiedziała Emily, zaglądając Garethowi w twarz. – Znacznie łatwiej rozpoznać ciebie niż nas.

Weszła do sali. Gareth puścił jej łokieć i wolno podążył za nią.

– Miałśmy na sobie burki, a Mullins i Bister szli na końcu, tak że zdążyli się schować, nim tamci zyskali okazję, żeby się im dobrze przyjrzeć. – Odwróciła się do niego.

Troska i głęboka ulga, które wcześniej malowały się na jej twarzy, zeszły teraz na drugi plan. Wydawała się szczęśliwa, wręcz radosna. Przypatrywała mu się przez chwilę, po czym przekrzywiła głowę.

– Ale wróciłeś wcześniej. Czy to znaczy...?

Urwała, ponieważ znów otworzyła się furta. Spojrzeli oboje ku wejściu. Tym razem był to Bister, zakamuflowany skuteczniej niż dotąd, jako że przesłonił sobie również twarz. Leniwie wkroczył na dziedziniec.

Kiedy tylko zamknął za sobą furte, opadła zeń cała nonszalancja. Szybko zbliżył się do nich dwojga. Skinął głową Emily i złożył Garethowi raport:

– Gdy odstawiliśmy tu nasze panie, pomyślałem, że pójde jeszcze rzucić okiem i może uda mi się śledzić tych przeklętych złoczyńców, kiedy będą wracać do kryjówki. Nie odnalazłem tamtych dwóch, natknąłem się za to na

dwóch innych. Przeczesywali ulice, rozglądali się, i owszem, ale nie w taki sposób, jakby wiedzieli, kogo konkretnie szukają.

– Znalazłeś ich bazę? – spytał Gareth.

– Tak, ale się to panu nie spodoba. Zajmują dom naprzeciwko konsulatu, wchodzą i wychodzą bez najmniejszego skrępowania. Jakby tego było mało, akurat gdy się przyglądałem, nadjechała kolejna grupa. Zabójcy pod wodzą starszego, brodatego mężczyzny. Rzecz w tym, że chyba widziałem go w porcie w Adenie. Gareth poczuł, że twarz mu tężeje.

– Wysoki, nieznacznie przygarbiony, zdecydowanie starszy od pozostałych?

– To on. – Bister ponuro skinął głową.

Do diabła! Ścigał ich jeden z wyższych rangą członków kultu.

Emily przenosiła wzrok z Garetha na Bistera i z powrotem. Wnioskując z malującej się na jej twarzy coraz większej powagi, pojmowała, co wynika z tego faktu.

– Miałam zapytać – odezwała się – czy wasz wczesny powrót oznacza, że znaleźliście dla nas statek do Marsylii?

– Niezupełnie. – Gareth spojrzał jej w oczy. – Watson zasięgnął języka. Wygląda na to, że mamy największą szansę dotrzeć do Marsylii w rozsądnym czasie, unikając zarazem spotkania z członkami kultu, jeśli ruszymy na zachód wzdłuż wybrzeża. Znaleźliśmy udającego się w tym kierunku kupca, który mógłby nas wziąć na pokład swojej szebeki*, ale na razie nie jest jeszcze gotów do wyjścia w morze. – Zerknął na Bistera, a później powiódł wzrokiem po pozostałych, którzy nadeszli, ciekawi wieści. – Właśnie przybył tu członek kultu, który widział nas w Adenie.

**Szebeka – łódź żaglowo-wiosłowa o 2–3 masztach – przyp. red.*

Musimy przyjąć, że od tej pory wróg szuka konkretnie nas, że zna skład naszej grupy: ilu liczy mężczyzn, ile kobiet, nasz przybliżony wiek i temu podobne. – Gareth urwał, podszedł do stołu i przystanął u jego końca. Znów potoczył wzrokiem po znajomych twarzach. – Nie byłoby dobrze, gdyby nakryli nas w Aleksandrii – szerokim gestem objął otoczenie – a w szczególności w tej dzielnicy. Gdyby nas tu osaczyli. Ten dom wprawdzie nadaje się do obrony, lecz jeśli nas tu zlokalizują, będą w stanie nas okrążyć i odciąć od świata. Aż złamię nasz opór.

Aż zabiją tyłu z nas, że zdołają wziąć dom szturmem. A wtedy...

Emily stanęła obok niego i pochwyciła jego wzrok.

– Wobec tego musimy się postarać, żeby nas nie zlokalizowali – rzekła.

W jej oczach widział determinację i nieustępliwość. Gdy spojrzął na pozostałych, dostrzegł u nich takie samo zdecydowanie. Skinął głową.

– Robimy zatem wszystko, co w naszej mocy, żeby w najbliższych dniach nie dać się zauważyć. – Znów popatrzył na Emily. – Wyruszamy do Tunisu za trzy dni o świcie.

3 listopada 1822, wczesny ranek

Uwięziona w swoim pokoju w gościńcu w Aleksandrii

Drogi pamiętniku,

Zaczynam podejrzewać, że Gareth w naturalny sposób ciąży ku osobom ceniącym sobie okazje do dobrej bitki. Minionego wieczoru napomknął, że kapitan szebeki, na której pokładzie mamy pożeglować do Tunisu, wyraził swój zawód z racji tego, że na tym etapie podróży członkowie kultu (Gareth czuł się w obowiązku wspomnieć mu o potencjalnych kłopotach) prawdopodobnie na nas nie napadną.

Ha! Jeśli o mnie chodzi, będę niewysłowienie wdzięczna za nieco wytchnienia od ciągłych ataków. Gareth i Watson żywią przekonanie, że

napastnicy będą oczekiwać, iż ruszymy zwyczajowym szlakiem dyplomatycznym przez Ateny i dalej lądem, tak więc nim zdadzą sobie sprawę, że skierowaliśmy się na zachód wzdłuż afrykańskiego wybrzeża, a potem zorganizują pościg, będziemy już daleko. Jak mówi Gareth, szebeka to szybki statek, zatem kiedy wreszcie opuścimy Aleksandrię, prawdopodobnie nie zdołają nas dogonić.

Oczywiście, powodzenie planu zależy od tego, czy nie odkryją naszej obecnej kryjówki. Teraz przypuszczalnie już wiedzą, że chodzimy w przebraniach, niemniej w Aleksandrii nie brakuje ludzi w arabskich strojach.

Przekonamy się, aczkolwiek trochę mnie niepokoi, że aż dwa razy użyłam powyżej słowa „prawdopodobnie”.

E.

Nazajutrz Emily, Dorcas i Arnia w eskorcie Mullinsa, Bistera i Mooktu udały się na suk po zapasy na podróż do Tunisu. Wszyscy zgodzili się, że skoro poprzedniego dnia widzieli na suku członków kultu, lepiej – potencjalnie bezpieczniej – będzie udać się tam znów jak najszybciej, zamiast czekać do ostatniej chwili.

Wypełnili misję, nie natykając się na ani jednego członka kultu, i około południa ruszyli z powrotem zatłoczonymi ulicami.

Od gościńca dzieliło ich już dosłownie kilka kroków, kiedy Dorcas, omijając dziurę w drodze, zderzyła się z nadchodzącym z przeciwka Arabem.

– Och! Przepraszam.

Szczęśliwie żadne z nich się nie przewróciło. Dorcas odzyskała równowagę, przepaszająco skinęła okrytą burką głową i pospieszyła, żeby dogonić Emily.

Która, zaalarmowana słowami pokojówki, zatrzymała się i odwróciła.

Akurat w porę, by zobaczyć, jak mężczyzna okręca się na pięcie, przez chwilę gapi na Dorcas, a potem z warknięciem rzuca się za nią.

Emily złapała Dorcas i szarpnięciem odciągnęła ją do mężczyzny – członka kultu! Spozrzegła ukryty pod kapturem burnusa czarny zawój.

Zobaczyła także nóż w jego dłoni, a na nim krew – krew Dorcas. Mężczyzna odwiódł uzbrojoną rękę, szykując się do zadania kolejnego ciosu.

– Mooktu!

Potężny Pasztun już był na miejscu. Zwarł się z napastnikiem, akurat kiedy z tłumu wyłonili się dwaj kolejni odziani w burnusy napastnicy.

– Idźcie! – Arnia stanęła obok Emily. – Proszę ją wziąć do środka. Jest ranna.

Emily obejrzała się na rozpoczynającą się bijatykę

– Bister i Mullins natarli właśnie na owych dwóch następnych członków kultu – jednak Arnia chwyciła ją i popchnęła ku furcie gościńca.

– Proszę zostawić to nam. – W jej dłoni pojawił się nóż. – Proszę iść!

Emily posłuchała, ciągnąc za sobą Dorcas. Pokojówka drżała, lecz w końcu zaczerpnęła tchu i zdołała oderwać stopy od ziemi.

Niemal dotarły do celu, kiedy furta gwałtownie się otwarła i na ulicę wypadł Gareth, a za nim Jimmy i Watson.

Na widok Emily Gareth przystanął i przytrzymał ją za ramię.

– Nic nam nie jest. – Emily wskazała głową kłębowisko walczących. – Trzech napastników, co najmniej.

Gareth skinął głową i ruszył dalej, a dwaj pozostali za nim.

Emily wepchnęła Dorcas do domu i posadziła przy stole w głównej sali.

Wtedy spostrzegła leżącą na blacie szablę Garetha.

– Zostań tu – przykazała pokojówce. – Zaraz wracam.

Porwała ze stołu broń, ciężką, jak się przekonała, była jednak zdeterminowana jej użyć, gdyby zaszła taka potrzeba. Pospieszyła z powrotem ku furcie.

Zanim do niej dotarła, furta otworzyła się i na dziedziniec weszła szybko Arnia, a za nią Watson i Jimmy, niosąc, o dziwo, kupione dziś zapasy, które upuścili walczący mężczyźni.

Chwilę później pojawił się Bister z ostatnią torbą. Zobaczył Emily i szablę w jej ręku.

– Proszę to wziąć, a to mi dać. – Kiedy otworzyła usta do protestu, dodał: – Major nie chciałby tam pani, nie teraz.

Uznała argument za sensowny. Wzięła torbę i przekazała Bisterowi szablę.

– Co się dzieje?

Spojrzał na nią, zawahał się, lecz ostatecznie wyjaśnił:

– Tamci trzej nie żyją. Musimy sprzątnąć ciała, i to szybko, zanim ktoś zacznie ich szukać. – Uniósł szablę. – To wezmę na wszelki wypadek. – Skinął jej głową i wyszedł.

Emily przez moment patrzyła na zamkniętą furkę, a potem odwróciła się i energicznie popędziła pozostałych do domu.

– Wejdźmy do środka i posortujmy zakupy.

Tylko tyle mogła zrobić – dzielnie się trzymać i zająć tym, co konieczne.

Kiedy pół godziny później wrócił Gareth, zastał Emily dogładającą roztrzęsionej, bliskiej hysterii Dorcas.

Trupioblada pokojówka siedziała przy stole, a Emily kucała obok, opatrując długie rozcięcie z tyłu jej przedramienia. Gareth wszedł na tyle cicho, że miał okazję usłyszeć jej kojące słowa:

– Naprawdę, sama zobaczysz. Wszystko będzie dobrze. Miałaś po prostu niesamowitego pecha, że wpadł na ciebie akurat członek kultu. Gdyby to był kto inny, nie miałby znaczenia, że odezwałaś się po angielsku. Nie twoja wina, że okazał się takim niezdara.

Usłyszały jego kroki i odwróciły się obie.

– Wszystko w porządku? – spytała Emily.

Jakkolwiek dokładała starań, by uspokoić pokojówkę, w jej szeroko otwartych oczach Gareth dostrzegł szok. Opadł na krzesło u szczytu stołu.

– Nie żyją, więc nikomu nie doniosą, że tu jesteśmy.

– Spojrzał na nią, świadom tego, jak bliscy byli klęski.

– Niedaleko stąd natknęliśmy się na kryty kanał – wyjaśnił, żeby podnieść ją na duchu. – Zostawiliśmy w nim ciała. Mooktu, Bister i Mullins poszli na zwiad. Wrócą, kiedy się ściemni.

Emily patrzyła na niego przez chwilę, a potem z promiennym uśmiechem odwróciła się do Dorcas i poklepała ją po ramieniu.

– No widzisz? Wszystkim się zajęli.

4 listopada 1822, przed obiadem

Mój pokój w gościńcu

Drogi pamiętniku,

Jeśli nie liczyć napięcia, które gnębi nas wszystkich, nie mam o czym pisać. Aleksandria może i jest miastem legendarnych zabytków, ale ja niewiele z nich widziałam. Od czasu wczorajszej wyprawy na suk pozostajemy praktycznie uwięzieni w gościńcu, z dwoma wartownikami nieustannie czuwającymi na dachu.

Tylko Gareth i Mooktu wychodzą na zewnątrz, zawsze we dwóch, patrolując okolicę w poszukiwaniu jakichś oznak przygotowań kultu do ataku. Jak dotąd nie ma powodów do paniki, zauważyli jednak w tłumie zbyt wielu

członków kultu, żeby ktokolwiek z nas pozwolił sobie choćby na chwilę odprężenia.

W tak napiętej atmosferze dalsze zgłębianie rozwijającej się między Garethem a mną więzi okazało się niemożliwe. Nie pytałam, ale żywie nadzieję, że szebeka jest dużym statkiem, na którego pokładzie znajdziemy odrobinę prywatności, tak byśmy mogli poczynić postępy w naszych jeszcze nieoficjalnych zalotach.

Do chwili opuszczenia Aleksandrii pozostaje mi tylko czekać.

E.

Wyjechali z gościńca o świcie i w milczeniu podążyli spokojnymi ulicami do portu. Mullins wpadł na doskonały pomysł, żeby ich solidne angielskie kufry zastąpić prostymi drewnianymi skrzyniami ze składziku Jemala, również porządnymi, ale o zdecydowanie arabskim wyglądzie. Pozostali docenili zalety tego rozwiązania i w konsekwencji postarali się zatuszować wszelkie oznaki angielskości, a nawet europejskości, w wyglądzie ich grupy. Kiedy więc tego ranka przybyli do portu, gdzie już krzątano się na statkach, szykujących się do wyjścia w morze z początkiem porannego odpływu, niczym nie odróżniali się od wielu innych oczekujących na zaokrętowanie osób.

Gareth, w turbanie, którego niezwiązane końce na szczęście w znacznie mierze przesłaniały mu twarz, niespiesznie poprowadził ich nabrzeżem, stawiając długie kroki. Całą swą postawą zdawał się komunikować, że gdzieś tam posiada na własność niewielkie królestwo.

Reszta grupy podążała za nim w tradycyjnym już szyku. Kiedy Gareth zatrzymał się u stóp trapu i pozdrowił stojącego na pokładzie kapitana, Emily prędko omiotła spojrzeniem żaglowiec – i ledwie stłumiła jęk.

Szebeka była mniejsza od szkunera.

I załadowana towarem.

Gdzie, u diabła, mieli się zmieścić jeszcze oni wszyscy?

Pytanie nadal rozbrzmiewało w jej głowie, gdy kapitan oficjalnie powitał Garetha na pokładzie, a później skinął zapraszająco na resztę ich grupy.

Wtedy potwierdziły się przypuszczenia sfrustrowanej Emily. Trzy kobiety w burkach zaprowadzono prędko pod pokład – do wspólnej kajuty na rufie, gdzie na niewielkiej przestrzeni wisiały trzy hamaki.

Za nimi wniesiono i postawiono na podłodze bagaże, a wówczas w kajucie zostało tylko tyle miejsca, żeby dało się przejść od drzwi do hamaku i dalej do małego bulaja. Kiedy drzwi się zamknęły, Emily z trudem wydostała się spod burki i ponownie rozejrzała po niewielkim pomieszczeniu. Jednak...

– Tutaj nie ma nawet gdzie usiąść!

Mężczyźni! Ten naładowany frustracją wykrzyknik odbijał się echem w jej głowie. Dorcas zmarszczyła brwi, Arnia coś wymamrotała. W kajucie nie dało się choćby przespacerować dwa kroki w jedną stronę.

Statek zakołysał się gwałtownie. Emily złapała się ościeżnicy, a potem, gdy dotarło do niej, że właśnie odbijają, przytrzymując się hamaków, przeszła do bulaja. Wyjrzała na zewnątrz: nabrzeże prędko się oddalało.

– Przynajmniej ta łajba wydaje się całkiem szybka. One trzy musiały bezwzględnie zostać pod pokładem, by zminimalizować ryzyko, że ich grupę rozpoznają członkowie bandy, którzy z pewnością obserwowali wyjście z portu z bliźniaczych cypli po obu stronach zatoki.

Kiedy szebeka wydostała się na mniej zatłoczone wody, kapitan bez wątpienia kazał postawić więcej żagli, ponieważ wyraźnie przyspieszyli.

Gdy przechodzili między cyplami, kadłub nieomal frunął nad wodą. Potem jednak wyższe fale właściwego Morza Śródziemnego spowolniły statek.

Przez bulaj na rufie Emily doskonale widziała oba cyple, kiedy szebeka minęła je, opuszczając wreszcie rejon wejścia do portu.

Równie wyraźnie widziała stojących na nich członków kultu.

Jeden trzymał lunetę, wycelowaną w pokład szebeki.

Obserwator obejrzał się i powiedział coś do towarzysza. Ten przejął lunetę, popatrzył, a potem z ekscytacją skinął głową. Raz jeszcze zerknęli na szebekę, a potem odwrócili się i pobiegli... znikając Emily z oczu.

Przysięgłaby, że się uśmiechali.

Kiedy cyple rozplynęły się we mgle poranka, opuściła kajutę i wyszła na pokład.

Odnalazła Garetha, który opierał się o nadburcie. Zajęła miejsce obok niego.

– Widziałeś tamtych na cyplu? Przytaknął, spoglądając jej w oczy.

– Nie mogliśmy wszyscy zejść pod pokład. Z powodu większego obciążenia musieliśmy pomóc marynarzom.

Popatrzyła w dal, tam, gdzie, jak sądziła, leży Europa.

– Nie mam pewności, ale chyba nas zauważyli – rzekła.

Po krótkiej chwili położył rękę na jej dłoni, wspartej o poręcz nadburcia, i delikatnie ścisnął.

– Tak, musimy przyjąć, że zauważyli. Nie widzieli jednak, dokąd się kierujemy. Kapitan utrzymywał neutralny kurs, dopóki nie znaleźliśmy się poza zasięgiem ich wzroku.

Emily stała nieruchomo, przetrawiając tę informację i wynikające z niej konsekwencje. Chłonąc ciepło jego mocnej dłoni.

– Zatem wiedzą, że opuściliśmy Aleksandrię na szebece – stwierdziła – lecz przy odrobinie szczęścia będą nas szukać...

– Na wszystkich trasach oprócz tej, jaką obraliśmy.

Skinęła głową, uspokojona, nie poruszyła się jednak, rozkoszując się tą chwilą.

W domu naprzeciw brytyjskiego konsulatu Wuj spacerował nieprzerwanie.

– To niedopuszczalne! Polujemy na wroga, a trzech wasi ludzie tak sobie znikają? – Żądał odpowiedzi, lecz zastraszeni, płaszcący się przed nim mężczyźni nie potrafili mu jej udzielić. – Czyżby porzucili naszą sprawę? Nie! Jakżeby śmieli, skoro wiedzą, jaka spotkałaby ich za to zemsta ze strony Czarnej Kobry? Gdy nasz czcigodny przywódca uderza, gdy zadaje tortury, każdy... – Urwał, ponieważ do pomieszczenia wszedł jego nowy zastępca.

Akbar pokłonił się, a następnie, już wyprostowany, zameldował:

– Widziano ich, majora i jego grupę, na szybkim żaglowcu, który opuścił port przed godziną.

Wuj milczał. Milczał tak długo, że rozplaszczeni przed nim mężczyźni zaczęli dygotać jeszcze bardziej niż wówczas, gdy ich rugał. Cisza się przedłużała, kiedy Wuj powściągał rozpierający go potężny gniew. Wreszcie z trudem odetchnął.

– A dokąd kieruje się ta łódź? – spytał cicho, starając się nie zgrzytać zębami.

Akbar zamrugął.

– Nasi ludzie nie wiedzą. Statek zniknął we mgle, nim dało się rozstrzygnąć, jaki obrał kurs.

Wuj zaczerpnął tchu z jeszcze większym wysiłkiem. Potem wolno wypuścił powietrze.

– Sugeruję, żebyś spróbował się tego dowiedzieć – rzekł. – Dziś rano port opuściła ściśle określona liczba statków. Pytaj tak długo, aż ustalisz, dokąd zmierzał ten konkretny.

Akbar pokłonił się nisko i wyszedł. Wuj spojrział na drżących u jego stóp mężczyzn.

– Wynocha.

Prawie poprzewracali się nawzajem, z zapalem wypełniając polecenie.

Kiedy Wuj został sam, znów podjął niespieszny spacer. Akbar był ambitny. Zrobi wszystko, by zdobyć potrzebne informacje.

– Nie, żeby to miało aż takie znaczenie – mruknął Wuj. – Mamy ludzi w każdym porcie, Czarna Kobra o to zadbał. Major i jego kobieta nie uciekną. – Zacisnął pięści, a jego usta powoli wygięły się w uśmiechu. – Osobiście dopilnuję, żeby major długo i należycie cierpiał za odebranie mi Muhlala.

Rozdział 9

6 listopada 1822 przed obiadem

Ciasna wspólna kajuta na rufie szebeki, gdzieś na Morzu śródziemnym, w drodze do Tunisu

Drogi pamiętniku,

Wbrew moim nadziejom szebeka okazała się statkiem dostosowanym do potrzeb handlu, a nie przewozu pasażerów. Trudno tu o choćby odrobinę prywatności. W istocie, nam, kobietom, poszczęściło się, że otrzymałyśmy kabinę tylko dla siebie. Mężczyźni śpiąją razem z załogą.

Nie da się tu nigdzie odbyć intymnej rozmowy, nie wspominając o oddaniu się komunikacji niewerbalnej. Jeśli uwzględni się jeszcze, że nie ma tu co oglądać ani robić, nic dziwnego, iż Dorcas, Arnia i ja wręcz umieramy z nudów. Dla odmiany nasi mężczyźni zaprzyjaźniają się z załogą (widziałam nawet, że Watson pobierał lekcje żeglowania). Gareth i kapitan dobrze się dogadują. Nad wyraz dobrze. Kiedy Gareth przechadza się po pokładzie w arabskich szatach założonych do kawaleryjskich spodni i butów, z przypasaną szablą, podobnie jak kapitan wygląda na korsarza.

Obserwowanie go, gdy tak spaceruje po pokładzie, to jedna z niewielu rozrywek, na jakie mogę tu liczyć.

E.

10 listopada. 1822, przed obiadem

Na szebecie, w maleńkiej kajucie

Drogi pamiętniku,

Nie mam o czym donieść. Przez ostatnie pięć dni żeglowaliśmy szybko i bez incydentów. Wybieg Garetha, mający na celu zgubienie członków kultu w trakcie ucieczki z Aleksandrii, najwyraźniej odniósł skutek – nikt nas nie niepokoi, nawet nocą. Chyba nie ma powodu nadal obawiać się ataku, w

każdym razie nie na tym etapie podróży. Gareth ciągle wystawia czujki, a Bister i Jimmy spędzają większą część dnia na najwyższym maszcie, jednak wszyscy znacznie się odprężyliśmy. Tak już przywykliśmy do napięcia, że teraz z kolei bardzo zauważalna jest jego nieobecność.

Zdawałoby się, że nadarza się idealna sposobność do tego, byśmy z Garethem kontynuowali zgłębianie więzi między nami (nie mogę wprost uwierzyć, że od owych paru chwil skradzionych między namiotami Berberów nie mieliśmy okazji zająć się tą palącą kwestią!), lecz pod samym nosem wścibskiej załogi taka osobista interakcja jest całkowicie niemożliwa.

Śledziłam nawet poczynania marynarzy, żeby się przekonać, czy znajdzie się miejsce, gdzie o określonej porze dnia regularnie nikogo nie ma, lecz nie. To więcej niż frustrujące. Rwałabym sobie włosy z głowy, gdybym sądziła, że na cokolwiek się to zda.

Nie ma dokąd iść, nie ma co robić. Żadnych postępów.

E.

11 listopada 1822, przed obiadem

Nadal na przekłętej szebecie

Drogi pamiętniku,

Kapitan widocznie usłyszał moje narzekania. Albo to, albo też Gareth napomknął mi, że odgrażałam się, iż wyskoczę za burtę, jeśli jeszcze raz dostaniemy na obiad rybę. Zaledwie przed chwilą bardzo kordialnie poinformował mnie (kapitan), że jutro na Malcie przybijemy do brzegu (na cały dzień!). Statek musi uzupełnić zapas wody pitnej, a ponadto kapitan liczy, że sprzeda część przewożonej soli. Moja spontaniczna i płynąca z głębi serca odpowiedź brzmiała „Dzięki Bogu!”, na co kapitan Laboule się uśmiechnął. Choć jest muzułmaninem, najwyraźniej uznał moje słowa za akceptowalny wyraz wdzięczności za boską interwencję.

Cały dzień na suchym lądzie! Czuję ulgę i zarazem nie mogę się już doczekać. Z pewnością znajdziemy z Garethem stosowne miejsce i dość czasu, żeby popchnąć naprzód nasze wzajemne relacje.

Uderzyła mnie myśl, że my dwoje, eksplorując i planując naszą wspólną drogę, odbywamy podróż równoległą do tej fizycznej, prowadzącej do Anglii.

Oczekuję jutra z nadzieją i niecierpliwością.

E.

Valletta, założona przed wiekami przez Kawalerów Maltańskich, obecnie znajdowała się pod rządami brytyjskimi, o którym to fakcie Gareth nie zapomniał i z naciskiem poinformował o nim członków grupy.

Szebeka cięła spokojne wody zatoki Grand Harbour mieniające się od promieni wiszącego jeszcze nisko nad horyzontem słońca, zbliżając się do nabrzeży, które ciągnęły się poniżej dolnych umocnień imponująco ufortyfikowanego miasta. Stojąc przy nadburciu, Gareth zerknął na otaczających go towarzyszy podróży. Zgodnie z jego zaleceniem, wszyscy założyli arabskie stroje.

– Musimy unikać okolic pałacu gubernatora – oznajmił. – Niemal na pewno spotkamy na ulicach wielu żołnierzy, oni jednak nie stanowią zagrożenia. Ferrar ma wpływy w dyplomacji, nie w armii.

– Trzeba będzie za to uważać na członków kultu – powiedział Mullins.

Gareth przytaknął.

– Bez wątpienia tu są, obserwują, jest wszakże mało prawdopodobne, by zostali już uprzedzeni, że mają się rozglądać konkretnie za nami, to znaczy grupą o określonej liczebności i składzie osobowym, oraz że możemy poruszać się w przebraniu. Jeśli nie zwrócimy na siebie uwagi nietypowym zachowaniem, powinni nas zignorować.

– Przynajmniej tutaj – odezwała się Dorcas, poprawiając na sobie burkę
– nie powinna ich zaalarmować wypowiedź po angielsku.

– Zapewne nie – odparła Emily – ale rozsądniej będzie w miarę możliwości udawać Arabów.

Gareth był jej wdzięczny za ten komentarz. Potem szebeka przybiła do kamiennego nabrzeża i wszyscy zwrócili się w stronę, gdzie miał zostać opuszczony trap.

Zeszli na ląd i całą grupą ruszyli wzdłuż murów obronnych w kierunku ulicy, którą kapitan Laboule wskazał im jako najkrótszą drogę do dzielnicy handlowej. Kiedy wędrowali w górę po bruku, Gareth podniósł wzrok na wyrastające ponad nimi wieże oraz kopuły kościołów i katedr. Choć jako żołnierz obejrzał spory kawałek świata, był pod wrażeniem tutejszych fortyfikacji.

Mógłby całymi dniami z radością spacerować po mieście, podziwiając jego architekturę i umocnienia, lecz ze względu na zagrożenie ze strony członków kultu musiał w pierwszym rzędzie skupić się na zapewnieniu bezpieczeństwa Emily.

Poczuł się nieco zaskoczony tym, jak niewiele utyskiwał w duchu na ową konkluzję.

Choć raz nie mieli potrzeby uzupełniać zapasów, mogli więc spędzić czas na dowolnych rozrywkach. Kiedy mijali poprzeczną ulicę, pełną intrygujących sklepów, z których dobywała się ostra woń przypraw, Arnia oznajmiła, że chce zobaczyć, co można w nich dostać. Uzgodnili, że spotkają się wszyscy o trzeciej z powrotem na szebece, tak by zdążyć na popołudniową wysoką wodę. Potem Mooktu i Mullins skinęli Garethowi głową i poszli z Arnią.

– Chciałabym najpierw obejrzeć katedrę. – Emily zetknęła na idącego obok niej Garetha. – Laboule mówił, że jest tu wiele godnych uwagi budowli i kilka muzeów.

Gareth z ochotą przystał na propozycję. Dawne pała ce Kawalerów Maltańskich kryły w sobie sporo z historii Validly, jego zaś ten zakon rycerski intrygował od cza sów dzieciństwa.

Dorcas i Watson podążali spacerowym krokiem za nimi, natomiast Bister, złańniony bardziej aktywnej rozrywki, wziął pod swoje skrzydła Jimmy'ego i wspólnie wyruszyli poszukać takowej.

We czworo spędzili przedpołudnie w kościołach i pałacach. Były na tyle wspaniałe, że zainteresowały nawet Garetha. Architektura, konstrukcja, ornamenty, wystrój wnętrz, bajeczne i oszałamiające, wzbudzały w nim nie mniejszy podziw niż fortyfikacje.

Mimo że Emily postanowiła sobie dobrze spożytkować ten dzień, jej uwagę zaprzątneło wystawne piękno na jakie natykali się na każdym kroku w trakcie wędrówki przez miasto.

Zatrzymali się na lunch w spokojnej tawernie. Ponieważ burki przeszkadzałyby Emily i Dorcas w jedzeniu a nigdzie nie zauważyli członków kultu, zgodzili się wszyscy, że przebrania raczej nie są konieczne.

– Valletta to zaledwie punkt tranzytowy, przystanek na drodze – rzekł Gareth. – Ferrar wiedziałyby, że zostawianie większych sił w miejscu, gdzie spędzimy co najwyżej jeden dzień, nie ma sensu. Lepiej umieścić tu jednego czy dwóch obserwatorów, którzy prześlą raport, być może pocztą dyplomatyczną, jeśli spostrzegą nas lub któregoś z moich przyjaciół. Emily popatrzyła na niego przez wstawkę w burce.

– Gdybyś zostawił tu obserwatora, gdzie byś go ulokował?

– W jednym z fortów. Z większości doskonale widać port i nabrzeża, a zarazem przy takiej ich liczbie nie zdołalibyśmy namierzyć i usunąć rzeczonych obserwatorów.

Emily skinęła głową. Ona i Dorcas zdjęły ciężkie burki, zwijając je tak, że wyglądały teraz jak szale. Jako że pod spodem obie miały angielskie suknie, w tej samej chwili stały się jednymi z wielu Angielek w mieście.

Przy posiłku wymieniali wrażenia z wycieczki, zachwycając się zabytkami. Dopiero kiedy wychodzili z tawerny, ona i Gareth na przedzie, Dorcas i Watson gawędzący za ich plecami, Emily przypomniała sobie o celu, jaki zamierzała tego dnia osiągnąć.

Zostały jej na to zaledwie dwie godziny.

Następny zwiedzany pałac przypominał wcześniejsze.

Emily zostawiła Dorcas i Watsona, podziwiających herb nad kominkiem, i wyszła na korytarz, skąd skręciła do następnej sali, ufna, że opiekuńcze instynkty Garetha nakażą mu iść za nią.

Zrobił to, ale marudził z tyłu, zachowując dystans.

Emily przystanąła przy oknie i obejrzała się, ze zniecierpliwieniem gotowa tupać nogą.

Gareth, z rękami założonymi na plecach, niespiesznie kroczył przez salę, podziwiając długi rząd wiszących na ścianie ceremonialnych mieczy. Zdeterminowana, coraz wyraźniej odczuwając, że czas ucieka, Emily odwróciła się i ruszyła z powrotem ku niemu.

Przystanął, wpatrzony w wysadzany szlachetnymi kamieniami bułat.

Dotarła do niego akurat w chwili, gdy do sali weszli Dorcas i Watson.

Stłumiła irytację i znów spróbowała na tyle wyprzedzić tamtych dwoje, żeby chociaż pomówić z nim na osobności. Kiedy przeszli do długiej sali jadalnej z ogromnym stołem, przy którym niegdyś odbywały się uczyty, Dorcas

i Watson zwolnili, z uwagą oglądając zastawę stołową, porcelanę i kryształ. Korzystając z okazji, Emily pokonała całą długość pomieszczenia i weszła do niewielkiej galerii. Tutaj zatrzymała się, znów czekając z nadzieją, by Gareth do niej dołączył.

Podążał za nią wolno, wręcz na pokaz podziwiając za stawę i kryształ. Czekwała zniecierpliwiona. Gareth przy stanął w progu galerii, popatrzył na nią, a potem obejrzał się na Dorcas i Watsona, którzy znajdowali się dopiero w połowie ogromnej sali.

Kiedy nie odwrócił się do niej z powrotem, nie skorzystał z okazji, by do niej dołączyć, na czole Emily pojawił się mars.

– Gareth – powiedziała na pograniczu szeptu. – Musimy... omówić kilka spraw.

Spojrzał jej w oczy, nie ruszając się z progu.

– To nie jest odpowiedni czas ani miejsce. Zaciśnęła wargi, musiała wszak przyznać mu rację.

– Kiedy więc będą odpowiednie?

– Nie wiem. – Podobnie jak ona, mówił cicho Umilkł na chwilę, nim dodał: – Być może powinniśmy się wstrzymać z tą rozmową do czasu, aż znajdziemy się w Anglii.

– W Anglii? – Zagapiła się na niego, rachując prędko w myślach. – Dotrzemy tam dopiero za jakiś miesiąc.

Przytaknął i odwrócił się, nie dając jej czasu na odpowiedź. Odstąpił, przepuszczając Dorcas do galerii.

Emily pozostało tylko określić się na pięcie i z udaną wesołością poprowadzić towarzystwo dalej.

Kolejny miesiąc?

Kolejny miesiąc bez postępów, bez wiążącej definicji i dalszej eksploracji tego, co ich łączyło?

– Nie – mruknęła pod nosem. – Nie, nie, nie. – Gareth będzie musiał przemyśleć sprawę.

Oczywiście, teraz, kiedy poznał jej cel, zacznie robić uniki. W tym pałacu Emily nie zdoła go osaczyć – nie, kiedy Dorcas i Watson deptali im po piętach, dostarczając Garethowi doskonałej wymówki, żeby wykręcić się od jakiegokolwiek sam na sam z nią.

Pozwalając mu wierzyć, że pogodziła się z porażką i zaakceptowała jego stanowisko, spokojnie wyprowadziła grupę z pałacu. Na ulicy spojrzała w dół, w kierunku portu – i nieco poniżej miejsca, gdzie aktualnie się znajdowali, wysledziła zieleń drzew i trawników.

Omiotła wzrokiem budynki przed nimi i zlokalizowała to, co było jej potrzebne: następny pałac zakonu rycerskiego. Doskonale.

Odwróciła się do Dorcas.

– Spójrz, ogrody. – Wskazała skupisko zieleni poniżej. Pozostali troje popatrzyli w tym kierunku. Wiedząc, że Dorcas woli podziwiać krajobrazy zamiast budynków i muzeów, Emily uśmiechnęła się. – Może pójdziecie tam już z Watsonem? Ja chciałabym zwiedzić jeszcze jeden pałac.

Zatrzymała się przy wejściu do kolejnej siedziby bractwa rycerskiego i napotkała wzrok Garetha. – Na przykład ten. Watson i Dorcas z chęcią przystali na propozycję.

– Poczekamy tam na państwa. – Watson skinął głową im obojgu.

Odeszli, Dorcas wsparta na jego ramieniu, wolną ręką przytrzymując szal z burki.

Kiedy tamci dwoje już nie mogli ich słyszeć, Emily spojrzała na Garetha.

– Chodź. – Odwróciła się i wspięła po schodach do pałacu.

Gareth przyglądał się jej, gdy szła, kołysząc biodrami. Westchnął w duchu i podążył za nią.

Wiedział, co takiego chciała „omówić”, lecz tego jednego tematu pragnął uniknąć – ostatnimi czasy zadreślał się ową kwestią przez stanowczo zbyt wiele godzin. Albowiem wniosek, do jakiego doszedł – prawdziwy, trudny do przełknięcia, lecz nieunikniony – nie należał do tych, o których on, czy w ogóle jakikolwiek mężczyzna, rad by dyskutował. Wzdragał się na samą myśl o tym, że miałby go ubrać w słowa.

Znaczyło to tyle, że dla dobra ich obojga powinien pozwolić jej prowadzić tę grę, ale musiał w niej wygrać – nie dopuścić, by Emily znalazła okazję do „omówienia” czegokolwiek.

Wynikła z tego rozgrywka przypominała szachy, kiedy to ona wykonywała ruch, Gareth zaś niwelował go swoim. Piorunowała go wzrokiem; starał się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, spoglądać tak beznamiętnie, jak tylko zdołał.

Próbował też zakazać swemu wewnętrznemu ja rozmyślań o tym, jak podniecająca była ta nieomal bliska parodii, frustrująca gra uników.

Wiedział to, co wiedział: pociąg do niej prowadził donikąd.

Emily zacisnęła usta, wysunęła brodę i poprzysięgła sobie w duchu, że nie podda się tak łatwo. Nie rozumiała, czemu uparcie nie chciał skorzystać z okazji, teraz, gdy zostali sami i chwilowo nie musieli się przejmować złoczyńcami Czarnej Kobry, niemniej ani myślała pozwolić mu wygrać. Dla zasady.

Z potrzeby, pragnienia i pożądania.

I to nie tylko jej własnych.

Wróciła na parter pałacu i zagłębiła się w kolejne skrzydło z salami reprezentacyjnymi. Pierwsza nie wydała się obiecująca, toteż Emily prędko wycofała się na korytarz i przeszła do następnej.

Strzał w dziesiątkę.

Znajdowały się tu drzwi w bocznej ścianie, ulokowane blisko ściany zewnętrznej. Emily otworzyła je i znalazła się w wąskim korytarzu prowadzącym do następnego pomieszczenia. Drzwi na drugim końcu korytarza były zamknięte. Uśmiechając się do siebie, przeszła kawałek dalej i przystanęła, przez okna wypełnione szklanymi gomólkami w ołowianych ramach spoglądając na port daleko w dole.

Gareth zawahał się w progu.

Nie patrząc na niego, wskazała przez okno.

– Tam jest nasz statek.

Po krótkiej chwili nieomal usłyszała jego zrezygnowane westchnienie i Gareth ruszył ku niej, zamykając za sobą drzwi.

– Widzisz? – spytała, gdy stanął obok. Odczekała moment, aż zyskała pewność, że Gareth spogląda na ciąg statków w dole, nim podjęła: – To ta maleńka łódź, na którą wrócimy za niespełna godzinę, żeby przez następnych kilka dni gnieść się na niej wraz z innymi, bez szans na to, by zamienić choć parę słów na osobności. – Odwróciła się i przyjrzała jego profilowi, tylko tyle bowiem jej prezentował. – Biorąc pod uwagę, jak wiele już między nami zaszło, każdy dżentelmen na twoim miejscu rad skorzystałby ze sposobności – rozpostarła ramiona, by podkreślić, co ma na myśli – tej sposobności, żeby przynajmniej znów mnie pocałować.

Zerknął na nią z ukosa, a później nieco się odwrócił, tak że lepiej widziała jego twarz. Zmrużyła oczy.

– Dlaczego więc tego nie zrobisz? – spytała. – Dlaczego nagle mnie unikasz?

Wreszcie nazwała rzecz po imieniu. Wiedziała, że on to właśnie robi, lecz aż do tej pory nie pozwoliła owej myśli oblec się w słowa. Były zbyt oskarżycielskie – żadna młoda dama z pretensjami do skromności nie powiedziałaaby czegoś takiego głośno... Jednak Emily nieszczerze sobie ceniła pełną poświęcenia skromność.

Dlatego spiorunowała go wzrokiem, splotła ramiona na piersi i czekała, nie przyjmując do wiadomości, że ta konstatacja zadała jej ból, ostry i przenikliwy.

Czekała.

– Daję ci czas na opamiętanie się.

– Co takiego? – Zamrugwała.

– Musisz uzmysłwić sobie, skąd wziął się pociąg, który do siebie czujemy. Co go napędza.

– Wiem, co... – zaczęła, marszcząc brwi.

– Nie. Nie wiesz.

Przyglądała mu się zwięzonymi oczami: był bardzo pewien swego. Wolno uniosła brwi.

– Ach tak? Może mnie zatem oświecisz?

Sam się w to wpakował. Gareth zazgrzytał zębami, patrząc jej stanowczo w oczy. Kiedy upływały kolejne sekundy, a ona nie zmiękła, nie zawahała się, pojął, że nie ma wyboru. Zacerpnął tchu i skoczył na głęboką wodę.

– Nasz pociąg ku sobie stanowi naturalny i bynajmniej niezaskakujący efekt tego, że uczestniczyliśmy w niebezpiecznych wydarzeniach, że wspólnie otarliśmy się o śmierć. Podobne emocje towarzyszą po takich przeżyciach

każdemu. Przywykłem do nich, dlatego potrafię je rozpoznać, ty jednak nie doświadczyłaś ich nigdy wcześniej i... – Poczuję, że twarz mu tężeje. – Nieistotne, co sobie wyobrażasz, jak interpretujesz to, co zaszło między nami, ponieważ w rzeczywistości nie jest to nic więcej, jak tylko rezultat bliskiego spotkania ze śmiercią.

Mars na jej czole ustąpił miejsca pełnemu oszołomieniu zakłopotaniu. Jej spojrzenie stało się odległe, głos również zdawał się nadpływać z daleka:

– Nie...

– ...zgadzasz się ze mną, ale tak wygląda prawda.

Wpatrywała się weń zognionymi oczami, z twarzą pozbawioną wyrazu, minimalnie otwarte usta.

– Nie znasz moich myśli – powiedziała wreszcie. – Nie masz pojęcia, dlaczego czuję to, co czuję.

– Jest bez znaczenia, co tobie się wydaje, że czujesz. Ja wiem, czym to naprawdę jest, wiem, dlaczego chcesz, żebym znów cię pocałował, i z tego też powodu wiem, ponad wszelką wątpliwość, że honor nakazuje mi, jako dżentelmanowi, jako osobie bardziej doświadczonej, odmówić ci i zachować stosowny dystans.

Dość tłumaczeń. Przystąpił do ataku.

– Powinnaś być mi wdzięczna za to, że nie przyjąłem twojego zaproszenia do dalszego flirtu – rzekł stanowczym, niemal kategorycznym tonem. – Większość mężczyzn na moim miejscu skorzystałaby z okazji, lecz ty zasługujesz na więcej.

Ponownie zmrużyła oczy, wpatrując się w niego jeszcze intensywniej.

– Zatem... twierdzisz, że cierpię na... na co? Jaką odmianę wywołanego poczuciem zagrożenia, wyimaginowanego pożądania, przed którym musisz mnie ocalić?

Zawahał się, lecz potem przytaknął. – Tak. Nic ponadto.

– Musisz ocalić mnie przede mną samą. – Emily z trudem zaczerpnęła tchu. – A wiesz to, ponieważ...?

– Ponieważ mam o wiele więcej doświadczenia niż ty.

– Rozumiem. – Głos zadrżał jej z gniewu, którego nie umiała już powściągnąć.

Zwęziła oczy w szparki, przyszpiliła go spojrzeniem. Nigdy wcześniej nie zaznała takiej furii. Otworzyła usta... i odkryła, że nie potrafi dobyć z siebie ani słowa.

Nabrała powietrza, przytrzymała je w płucach i znów spróbowała się odezwać, ale furia ją dławiła.

Nie masz bladego pojęcia, o czym mówisz!

Wydała z siebie nieokreślone warknięcie, wyrzuciła w górę ręce, okręciła się na pięcie i sztywnym krokiem ruszyła ku drzwiom na końcu korytarza. Otworzyła je porywczo i wyszła.

To tyle, jeśli idzie o znalezienie odpowiedniego miejsca i czasu.

To tyle, jeśli idzie o budowanie z nim związku; on nawet nie wierzył, że naprawdę tego pragnęła!

Pełne irytacji frazy, gniewne deklaracje – wszystkie te słowa, które z chęcią by mu powiedziała, którymi rada by go zarzuciła, gdyby tylko zdołała dobyć z siebie głos, gdyby ufała sobie na tyle, by zwymyślać go bez obawy, że łzy gniewu ścisną jej gardło – kotłowały się w jej głowie, kiedy, nie zatrzymując się, wyszła z pałacu i ruszyła ulicą.

Najwidoczniej na jej twarzy malowała się tłumiona furia, przechodnie bowiem prędko usuwali się jej z drogi. Nie oglądała się, by sprawdzić, czy Gareth idzie za nią, za plecami słyszała jednak kroki i wiedziała, że to on.

Kiedy dotarła do bramy w ogrodzeniu parku, przystanąła. Obejrzała się, obrzuciła go piorunującym, palącym spojrzeniem, a potem znów odwróciła się doń plecami, przybrała spokojny wyraz twarzy, poprawiła na ramionach szal z burki, dumnie uniosła głowę i zagłębiła się w park, żeby odnaleźć Dorcas i Watsona. Pora wracać na szebekę.

12 listopada 1822, późno

Z powrotem na szebece

Drogi pamiętniku,

Odjęło mi mowę. I dotąd jej nie wróciło. Gareth sądzi, że moje zainteresowanie nim wynika wyłącznie z pożądania wywołanego przeżyтым niebezpieczeństwem. W jego opinii jestem zaślepiona i żyję złudzeniami.

Ilekcio przypomnę sobie, co powiedział – co myśli – z gniewu aż mnie trzęsie. Jak on śmie? Jak, u diabła, ma czelność mówić mi, co czuję i dlaczego? I jakby tego było mało – jak śmie aż tak się mylić?!

Dostłownie wyszłam z siebie – aż do dziś nie wiedziałam, co znaczy to powiedzenie. Jego zuchwalstwo wprost nie zna miary!

Na marginesie, wydukał kilka zdań, którym powinnam chyba poświęcić nieco uwagi.

Bez wątplenia to zrobię, kiedy już się uspokoję.

E.

Trzy dni później po południu szebeka zawinęła do portu w Tunisie. Odkąd opuścili Aleksandrię, nie widzieli ani jednego członka kultu. Wypadało się z tego cieszyć, ponieważ by dostać się do Tunisu od strony morza, należało się przecisnąć przez wąski przesmyk na tak zwane jezioro. Szebeka musiała zwinąć żagle i pokonać ten odcinek na wiosłach. W takich warunkach umknięcie przed ewentualnym pościgiem byłoby niemożliwe.

Kiedy pożegnali się z kapitanem Laboule'em i jego załogą, dziękując za gościnność i nieszczercze wyrażając ubolewanie, że nie nadarzyła się okazja do bitki, Gareth poprowadził całą grupę, znów w arabskich przebraniach, przez port. Ufnie stosując się do zaleceń Laboule'a, wynajęli mały, zaprzężony w osła wózek, jeden z wielu czekających tu, żeby przewieźć pasażerów, bagaże i towary na krótkiej trasie od brzegu jeziora do bram miejskich. Trzy kobiety zasiadły na stosie bagaży, mężczyźni zajęli stanowiska po bokach wózka, po czym procesja pod wodzą Garetha ruszyła piaszczystą drogą.

Unikał patrzenia na Emily. Od czasu „rozmowy” w Valletcie nie zalecała się do niego więcej, nie zapraszała, by ją pocałował.

I dobrze. W przeciwnym razie wątpił, czy znalazłby w sobie dość siły woli, żeby się oprzeć.

Postąpił słusznie. Nie tak, jak pragnął – bo pragnął jej
lecz honor nie pozwalał mu wykorzystać sytuacji. Honor nakazywał dać Emily szansę, żeby się wycofała.

I ona to zrobiła.

Wycofała się, przemyślała słowa Garetha i pojęła, że miał słuszość. Skorzystała z furtki, jaką jej zostawił, by uciec przed dalszym działaniem, które, biorąc pod uwagę, jak daleko już zaszli, doprowadziłoby ich w ściśle określone miejsce, do jednej czynności.

Miał rację, a ona wreszcie to zrozumiała.

Zdawał sobie sprawę, że w trakcie tych paru dni po opuszczeniu Valletty obserwowała go z ponurą zadumą, jakby dokonywała analizy.

Być może dziwiła się szaleństwu namiętności, jakie ją ogarnęło, zadowolona, że wszystko jej wytłumaczył, dzięki czemu przejrzała na oczy.

Szedł przed siebie, starając się o niej nie myśleć.

Próbował się skupić na misji, oszacować, jakiego zagrożenia ze strony członków kultu należy się spodziewać w tym zlokalizowanym na uboczu mieście. Koncentrując się na przydatnych wskazówkach Laboule'a, poprowadził grupę przez bramy miasta i dalej, w kierunku medyny. Czyli, inaczej mówiąc, tutejszego suku. Słyszeli narastający jazgot głosów i poczuli wszechobecną, ostrą woń przypraw na długo przed tym, nim ujrzeli wąskie uliczki oraz zadaszane alejki.

Zanim jednak dotarli do medyny, Gareth skręcił w lewo i sto metrów dalej znalazł polecony im przez Laboule'a gościniec. Pobieżne oględziny z zewnątrz wypadły pozytywnie. Gareth zostawił resztę grupy z bagażem na ulicy, zapukał do furty w murze i został wpuszczony do środka.

Gościniec w pełni odpowiadał ich potrzebom, czysty, nie za mały, ale też nie nazbyt przestronny, z wystarczającą liczbą pokoi i, co najważniejsze, jednym strzeżonym wejściem od ulicy. Gareth przystąpił do targów z właścicielami. Nazwisko Laboule'a okazało się pomocne. Wkrótce wynajął cały dom, znów wyłącznie dla nich.

Poszedł z gospodarzem i jego żoną, żeby wpuścić pozostałych.

Emily czuła niewysłowioną radość, że może zdjąć burkę, umyć twarz i uczesać włosy, stojąc na podłodze, która się nie kołysze. W pokoju, gdzie mogła się przeciągnąć, niczego przy tej okazji nie dotykając.

Rozkoszowała się tą fizyczną ulgą.

– Nie pogniewam się, jeśli moja noga nigdy więcej nie postanie na szebece – oznajmiła pokojówce, która akurat strzepywała i wieszała w szafie jej suknie podróżne.

Dorcas prychnęła.

– Z tego, co słyszałam, prawdopodobnie do Marsylii popłyniemy następnym takim wynalazkiem.

– Też tak słyszałam – przyznała Emily, krzywiąc się. Laboule podał Garethowi nazwisko kapitana innej szebeki, który powinien zgodzić się zabrać ich do Marsylii. – Jednak chyba dane nam będzie spędzić kilka dni tutaj, na suchym lądzie.

– Trzeba wybrać się na suk po zapasy. – Przytłumiony głos Dorcas dobiegał z wnętrza szafy.

– Zapewne jutro. – Emily odłożyła szczotkę. – Przynajmniej mamy niedaleko.

Modliła się, żeby ich nadzieje się spełniły i w Tunisie nie było członków kultu.

Gdyby jej modły zostały wysłuchane, gdyby nie wydarzyło się nic groźnego, czas spędzony tutaj mógłby dostarczyć jej sposobności do... nawrócenia Garetha. Reedukowania go w kwestii jej rzeczywistych pragnień.

I tego, jaka w istocie, bardzo konkretna, siła sterowała jej pożądaniem.

Odwróciła się i pochwyciła spojrzenie Dorcas.

– Chodź. Zejdźmy na dół sprawdzić, czy uda nam się zorganizować dzbanek herbaty.

Była Angielką z dala od domu. Znalazłoby się parę rzeczy, bez których naprawdę nie znosiła się obywać.

Samotny, niski rangą członek kultu, przysłany do Tunisu, żeby obserwował i złożył raport, gdyby któryś z oficerów–sahibów przejeżdżał przez miasto, wiedział, że dostał mu się ochłap. Szanse na to, że którykolwiek ze ściganych przez Czarną Kobrę ludzi pojawi się w mieście, były, delikatnie mówiąc, nikłe.

Jednak, oczywiście, nie spierał się, nie zadawał pytań.

Przybył do Tunisu i co dzień gorliwie chodził do portu na brzegu jeziora, żeby obserwować.

Tego popołudnia nie wierzył własnym oczom.

W istocie, na początku zmysły go zawiodły. Grupa przeszła mu przed samym nosem, a jego nawet w nim nie zaswędziało. Później jednak usłyszał wymianę komentarzy między dwoma mężczyznami zamykającymi niewielki pochód.

Jego uwagę przykuło słowo „kult”.

Ześlizgnął się ze swego stanowiska na stercie wiklinowych wiecierzy i podążył za tamtymi.

Niedługo potem, ubrany w dżalabiję, bez czarnego zawoju na głowie, przyczał się w cieniu zaprzęzonego w osła wózka, stojącego za tym, do którego podszedł przywódca grupy. Bardziej słuchał, niż patrzył. To, co usłyszał – akcent, rozkazujący ton – ostatecznie go przekonało.

Jeden z sahibów przybył do Tunisu.

Dlaczego podróżował z kobietą, a właściwie trzema, tego obserwator nie potrafił odgadnąć, lecz ów szczegół nie miał znaczenia.

Śledził grupkę z bezpiecznej odległości, a następnie cierpliwie czekał na rogu ulicy, w którą skręcili przybysze. Spotkała go nagroda: dowiedział się, gdzie sahib się zatrzymał.

Nie, żeby mógł go zaatakować – nie sam jeden. Miał jednak pełną sakiewkę i znał rozkazy.

Pospieszył z powrotem do gospody, w której nocował, poprosił o papier i ołówek, i zasiadł, żeby napisać wiadomość – raport. Wiedział, komu we francuskiej ambasadzie ma ją przekazać. A kiedy już to zrobi, odda się pieczołowitemu wypełnieniu rozkazów swego znamienitego pana.

Rozdział 10

15 listopada 1822, późno

Mój pokój w gościńca w Tunisie

Drogi pamiętniku,

Odkąd w Valletele wróciliśmy na pokład szebeki, panująca tam ciasnota uniemożliwiła mi ponowne zajęcie się Garethem, co, gdy teraz spoglądam wstecz, wydaje mi się korzystne. Owa wymuszona rozłąka nie tylko dała mi czas na uspokojenie się i odzyskanie zdolności jasnego myślenia, ale też pozwoliła skorygować moje stanowisko w świetle wygłoszonych przez Garetha poglądów.

Pomijając kwestię, że nasza w znacznej mierze jednostronna rozmowa w Valletcie potwierdziła, iż męski umysł (nawet jego najwspanialszy okaz) całkowicie różni się z kobiecymi imperatywami (na którą to okoliczność często wskazywały moje siostry), kiedy wreszcie przeanalizowałam ją na spokojnie, odkryłam, że ujawniła również kilka istotnych rzeczy.

Arogancka, lecz dyktowana szlachetnymi pobudkami postawa Garetha bynajmniej nie odwiodła mnie od przekonania, że jest on moim „jedynym” ale tylko uwypukliła fakt (jakbym miała jeszcze co do tego wątpliwości), że z nim mogę się czuć całkowicie bezpieczna. Chroniona nawet przed nim samym.

Oczywiście, w tej sytuacji muszę otworzyć zbląkanemu majorowi oczy na moje rzeczywiste motywacje i uczucia, ufam jednak, drogi pamiętniku, że leży to w zakresie moich możliwości.

Trzymam kciuki, by w Tunisie nadarzyła się ku temu sposobność.

E.

Następnego ranka Emily, Dorcas i Arnia opuściły gościniec w eskorcie Garetha, Mooktu, Bistera i Mullinsa. Wszyscy w arabskich przebraniach, podążyli ulicą w kierunku zapachów i dźwięków medyny.

Nie było potrzeby pytać o drogę.

Nie uszli pięćdziesięciu kroków, kiedy zbliżyli się do nich truchtem strażnicy w barwnych mundurach.

Dowódca zatrzymał się przed Garethem. Wyuczonym i sztywnym francuskim przekazał mu formalne wezwanie do pałacu beja.

Ignorując napięcie w grupie za jego plecami, Gareth uśmiechnął się i płynną, potoczną francuszczyzną spytał, o co chodzi.

– Istnieje wymóg, by każdy obcokrajowiec stawiał się w pałacu i pokłonił bejowi. Dotyczy to wszystkich nowo przybyłych.

Gareth skłonił głowę. Tego rodzaju praktyki obiły mu się o uszy.

– Natychmiast pójdę złożyć uszanowanie bejowi.

Odwrócił się do Emily.

– Słyszałaś? – zapytał cicho po angielsku.

Przytaknęła, z zatroskaniem spoglądając na niego przez wstawkę w burce.

– Bądź ostrożny.

– Nie martw się. Będę. – Popatrzył na Mooktu. – Pójdiesz ze mną. A wy – omiół spojrzeniem pozostałych działajcie dalej zgodnie z planem, ale trzymajcie się razem.

Kiedy wszyscy skrupulatnie przytaknęli, Gareth odwrócił się do czekających strażników.

– Panowie, prowadźcie.

Dowódca skinął głową, a potem ruszył ulicą w kierunku, skąd przybył. Jego dwaj podwładni podążyli za Garethem i Mooktu, zamykając pochód.

Emily odprowadzała wzrokiem niewielką procesję, aż ta skręciła za róg, znikając jej z oczu.

Z zaciśniętymi ustami spojrziała na pozostałych i przekonała się, że wpatrują się tam, gdzie ona przed chwilą. Otrząsnęła się w duchu. Lepiej zrobi, jeśli znajdzie sobie jakieś zajęcie – planowanie, zakupy – zamiast stać i załamywać ręce.

– No dobrze! Musimy zgromadzić zapasy. Postarajmy się nabyć dziś wszystko, co nam potrzebne, tak na wszelki wypadek.

Na wypadek gdyby coś się stało i musieli w pośpiechu opuścić Tunis.

Było późne popołudnie, kiedy Gareth i Mooktu skręcili w ulicę prowadząca do gościńca. Ponieważ pilno mu było uspokoić towarzyszy podróży, ani chybi zastanawiających się już, czy im dwóm nie przytrafiło się coś złego, Gareth przyspieszył kroku.

Audiencja u beja okazała się zupełnie nijaka. Kilka słów w odpowiedzi na oczywiste pytania: Czy przybyli tu w celach handlowych? Nie, są zaledwie podróżnymi, przejeżdżającymi przez to miasto. Czy długo planowali zostać? Kilka dni, może dłużej. Czym Gareth się zajmuje? Zwiedza świat po zakończeniu służby w armii.

Fakt, że odbycie kilkuminutowej rozmowy pochłonęło im większą część dnia, wynikał ze zwykłej dyplom a tycznej opieszałości. Ani przed audiencją, ani po niej nie wydarzyło się nic znaczącego. Jedynym szczegółem, który Gareth odnotował z niejaką ulgą, była nieobecność w otoczeniu beja jakiegokolwiek przedstawiciela brytyjskiej dyplomacji. Na ile zdołał to stwierdzić, w sali nie było innych Anglików ani też Francuzów. Jedynie Włoch i Hiszpan.

Gareth żywił nadzieję, że pozostali członkowie ich grupy spędzili dzień w równie mało ekscytujący sposób.

Dzieliło od furty gościńca zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszeli, że z tyłu ktoś nadbiega. Instynktownie stanęli plecami do muru, zaciskając dłonie na rękojeściach szabli.

Akurat w porę, by dobyć broni i stawić czoło pięciu uzbrojonym w kindżały mężczyznom.

Gareth odparł trzech napastników, oczyszczając sobie przedpole zaciekłym cięciem kawaleryjskiej szabli. Szabla, dłuższa od oreża napastników, zapewniała mu przewagę. Ale walka z trzema przeciwnikami naraz?

Czekało go ciężkie zadanie. Zerknął na Mooktu i stwierdził, że jemu też nie było lekko, walczył bowiem przeciw dwóm pozostałym napastnikom – ale sobie radził. Upewniwszy się w tej kwestii, Gareth skoncentrował się na unieszkodliwieniu bądź rozbrojeniu swoich trzech przeciwników, którzy, tak, usiłowali go zabić. Nie zranić ani pojmać, lecz zabić.

To byli miejscowi, nie członkowie kultu, Gareth wątpił jednak, żeby tak po prostu umyślili sobie zaatakować jego i Mooktu. Oni dwaj nie mieli przy sobie nic cennego, do tego nikt przy zdrowych zmysłach nie przeoczyłby faktu, że Gareth to wojskowy, a jeśli chodzi o Mooktu, już sam sposób, w jaki się poruszał, kazał mieć się na baczności.

Zatem ktoś nasłał na nich tych ludzi, tylko kto? Czarna Kobra czy kto inny? Bej? Ktoś z pałacu?

Bez względu na odpowiedź, ponieważ byli to miejscowi, zabicie ich nie wydawało się rozsądne.

Błysnęło ostrze, raniąc Garetha w ramię. Zacisnął z bólu zęby, odpędził rozpraszające myśli i skoncentrował się na pokonaniu napastników.

Na ulicy zaczął się gromadzić tłum. Napastnicy, nie mogąc znaleźć sposobu na przełamanie obrony, zaczęli nawoływać do gapiów. Nawoływać o pomoc.

Większość osób trzymała się na dystans, ze wzburzeniem kręcąc głowami. Jednak trzech młodzieńcy ruszyli naprzód z błyskiem w oku, dobywając z pochew dzambie, typowe, krótkie arabskie noże. Szczerząc zęby w uśmiechu, przepychali się przez tłum, by przyłączyć się do walki.

W tejże chwili obok Mooktu otworzyła się furta i na ulicę wypadli z szablami Bister, Mullins i Jimmy.

A wówczas walka rozgorzała na dobre.

Ścierano się bezładnie, w zamieszaniu.

Raptem para walczących wpadła na grupę gapiów, przewracając jakąś kobietę. Zapoczątkowało to bijatykę między częścią zgromadzonych – i wtedy nie dało się już stwierdzić, co się dzieje.

Kobiety przyłączyły się do bójki na jej obrzeżach, okładając mężczyzn po głowach misami, tobołkami i koszami.

Ku przerażeniu Garetha z gościńca wyszły Emily, Dorcas i Arnia. Uzbrojone w warząchwie, zaczęły tłuc nimi wokół siebie.

Przez chwilę panował totalny chaos, a później na tyłach tłumu rozległy się krzyki. Przez ludzkie kłębowisko torowali sobie drogę muskularni mężczyźni.

Straż beja.

Gareth spojrzał na Emily, próbując pochwycić jej wzrok, żeby skierować ją z powrotem do gościńca, lecz na próżno. W końcu zrezygnował i zaczął się do niej przedzierać. Dotarł do celu równo z kapitanem straży.

To był ten sam człowiek, który dowodził przysłanym po nich rano oddziałem.

Jego ciemne oczy napotkały spojrzenie Garetha.

– Pójdziecie wszyscy ze mną, jeśli łaska – rzeki po krótkiej chwili.

Przywrócenie spokoju zajęło dziesięć minut. Kapitan sprawiedliwie zebrał wszystkich, którzy brali udział w bójce – zarówno ludzi Garetha, jak i miejscowych, z kobietami włącznie. Ponieważ przyprowadził ze sobą cały oddział straży, burzycieli porządku ustawiono dwójkami, w długim rzędzie, ze strażnikami po bokach, i tak poprowadzono do pałacu.

Gareth, idący obok Mooktu na czele tej procesji, obejrzał się, by się upewnić, że pięciu miejscowym, którzy zaatakowali ich jako pierwsi, oraz ich trzem późniejszym pomocnikom związano ręce. Pozostałych nie krępowano. Kapitan porozmawiał po arabsku z nieuczestniczącymi w bójce gapiami i najwyraźniej uzyskał od nich zgodną z prawdą relację. Gareth uznał to za dobry znak.

Popatrzył na Emily i Arnię, idące tuż za nim i Mooktu.

– Kiedy znajdziemy się w pałacu, mówienie zostawcie mnie – mruknął.

Emily spojrzała na niego przez koronkową wstawkę w burce.

– Szczerze wątpię, by bej raczył ze mną porozmawiać. Z nami. – Wskazała wzrokiem Arnię, a potem odwróciła spojrzenie. Wyglądało to trochę tak, jakby pod burką zadarła nosa. – Mężczyźni zawsze sądzą, że tylko oni cokolwiek wiedzą.

Garethowi zdało się, że usłyszał ciche prychnięcie. Odnosił też dziwne wrażenie, że nie miała na myśli wyłącznie beja.

Odwrócił się znów do przodu i spróbował przypomnieć sobie, czy gdzieś w Tunezji, albo w sąsiedniej Algierii, która aktualnie była jej podległa, znajduje się brytyjski konsul.

Kiedy dotarli do pałacu, wprowadzono ich do wielkiego westybulu i tu pozostawiono pod okiem uzbrojonych strażników. Inaczej niż przy okazji

poprzedniej wizyty Garetha, tym razem nie czekali długo. Upłynęło zaledwie dziesięć minut, kiedy w głębi westybulu otworzyły się drzwi i wkroczył przez nie bej, przeciętnego wzrostu mężczyzna w średnim wieku, odrobinę korpulentny, w jedwabnym turbanie, przepasany ukośnie szeroką jedwabną szarfą. Za nim podążała jego straż przyboczna.

Kapitan pokłonił się nisko.

Bej skinął na niego, żeby się wyprostował, i zażądał wyjaśnień w sprawie zbiegowiska w westybulu.

Kapitan złożył krótką, rzeczową i – ku uldze Garetha – zgodną z prawdą relację.

Bej przebiegł wzrokiem po zebranych. Utkwił spojrzenie w Garecie.

– Zdaje się, majorze, że spotkaliśmy się przelotnie tego popołudnia – odezwał się doskonałą angielszczyzną.

– To prawda, Wasza Wysokość. – Gareth się pokłonił

– Mam rozumieć, że kilku z tu obecnych zaatakowało pana, gdy wracał pan do swojej kwatery? – Kiedy Gareth przytaknął, bej uniósł brwi. – Którzy to?

Gareth przesunął się nieco, tak by móc wskazać napastników.

– Najpierw tych pięciu, a potem, gdy poprosili o wsparcie, przyłączyli się jeszcze ci trzej.

– Dobrze. – Bej ruszył wzdłuż szeregu i stanął przed owymi pięcioma. – Dlaczego zaatakowaliście tych ludzi, tuż po tym, jak powitałem ich w naszym pięknym mieście?

Mężczyźni padli przed nim na twarz, mamrocząc wyrazy hołdu. Później jeden pospiesznie wyjaśnił:

– Zostaliśmy wynajęci, Wasza Wysokość, przez innego obcokrajowca.

Bej zmarszczył brwi i popatrzył na Garetha.

– Kto to był?

– Nosił turban, jak ten wysoki – napastnik wskazał na Mooktu – ale ten jego był czarny.

Gareth wymienił spojrzenia ze stojącymi obok Mooktu i Mullinsem. Bej zauważył to i cofnął się, przystając znów przed nim.

– Zna pan tego człowieka w czarnym turbanie stwierdził, a nie spytał.

– Niestety, tak, Wasza Wysokość – rzekł Gareth, patrząc w ciemne oczy beja. – Wygląda na to, że nas śledzono, względnie ten człowiek dotarł tutaj przed nami. W każdym razie działa on w imieniu przywódcy indyjskiego kultu, który szuka zemsty na pewnej damie, bratanicy gubernatora Bombaju, ponieważ przyczyniła się ona do zdobycia kluczowych dowodów przeciw niemu. Kult zagraża rządzącym Indiom oraz ludowi tego kraju.

Tak jak Gareth przypuszczał, bej, sam władca, nie miał wyrozumiałości dla tych, którzy zagrażali jakimkolwiek rządowi.

– Ten kult – oznajmił bej, zwracając się do wszystkich zgromadzonych w westybulu – nie otrzyma już pomocy od mojego ludu. – Wrócił do pięciu nadal klęczących mężczyzn. – Postąpiliście niewiarygodnie głupio, na rozkaz jakiegoś obcokrajowca atakując tych, których osobiście powitałem. Kapitanie!

– Słucham, Wasza Wysokość? – Kapitan się zbliżył.

– Zabierze pan tych pięciu, a także trzech pozostałych, i dopilnuje, żeby przez kolejne trzy miesiące zamiatali ulice wokół pałacu i sprząтали stajnie. Być może wtedy następnym razem dobrze się zastanowią, nim przyjmą od jakiegoś obcokrajowca zapłatę za napaść na gości tego miasta.

Ośmiu mężczyzn jeszcze bardziej rozpląszczyło się na posadzce. Był to łagodny, lecz, w odczuciu Garetha, mądry wyrok. On i jego towarzysze wkrótce opuszczą miasto, podczas gdy bej tu zostanie i nadal będzie rządził tym ludem.

Bej krótko przesłuchał, a następnie zwolnił pozostałych gapiów, którzy przyłączyli się do bójki. Kiedy gromadnie opuścili pałac, przepełnieni ulgą, że darowano im karę, bej wrócił do Garetha i jego grupy.

Przyjrzał się trzem kobietom, nierozpoznawalnym pod osłoną burek, a później popatrzył na Garetha.

– Ta dama, bratanica gubernatora, podróżuje z panem?

Gareth przytaknął.

– Moim obowiązkiem jest zapewnić jej bezpieczeństwo, chroniąc ją przed członkami kultu w trakcie podróży powrotnej do Anglii.

– Dobrze. – Bej klepnął Garetha po ramieniu. – Proszę przespacerować się ze mną kawałek. – Spojrzał znów na kobiety. – Jeśli nie kłóci się to z waszymi zasadami, a wydaje mi się, że nie, może pańska dama do nas dołączy?

Emily bez wahania zdjęła burkę, wystąpiła krok do przodu i dygnęła.

– Wasza Wysokość.

Bej zdawał się rad z tego pełnego wdzięku wyrazu uszanowania. Odpowiedział ukłonem.

– Bardzo mi miło panią poznać. – Szarmancko zaofiarował jej ramię. – Tak należy to robić, zgadza się?

Emily przyjęła je z uśmiechem.

– Właśnie tak, Wasza Wysokość.

– To dobrze. – Bej spojrział na Garetha i gestem dał mu znak. – Zapraszam, przespacerujmy się po krużganku.

Gareth popatrzył wymownie na pozostałych członków grupy, którzy stali i czekali w milczeniu. Bej podążył za jego wzrokiem i uniósł rękę.

– Przepraszam. Pańscy ludzie mogą wrócić, do swoich kwater. Przydzielę im eskortę, a kapitan niedługo odprowadzi z powrotem również pana i pańską damę.

– Dziękuję. – Gareth skłonił głowę.

Pozostali opuścili westybul w asyście straży, a Gareth i Emily poszli z bejem, który powiódł ich pod wspaniale zdobionym łukowym przejściem na wyłożony kaflami krużganek biegnący wokół dziedzińca.

W trakcie spaceru bej pokazywał im rozmaite mozaiki i reliefy, które skwapliwie – i całkiem szczerze – podziwiali. Kiedy już zatoczyli koło, wprowadził ich do niewielkiego saloniku z widokiem na sadzawkę na dziedzińcu i zaprosił, by usiedli na grubych poduszkach. Wreszcie, gdy wszyscy troje zajęli miejsca, przystąpił do interesów.

– Chciałbym prosić państwa o niewielką przysługę. Chodzi o drobiazg, jeśli tylko będziecie w stanie mi pomóc. – Przeniósł wzrok z Garetha na Emily i z powrotem. – Wielce liczę na to, że w przyszłym roku złożę wizytę na kilku europejskich dworach, stosownie do europejskich oczekiwań zabierając ze sobą żonę, to znaczy moją pierwszą żonę, begam. A także kilku zaufanych dworzan. Jednakowoż z naszego grona wyłącznie ja, a i to dawno temu, za młodych lat, miałem okazję poznać europejskie obyczaje. Tych najnowszych nie znamy w ogóle. – Urwał i utkwiał wzrok w Garecie. – Miałem nadzieję, że zdołam nakłonić państwa do uczestnictwa jutro w obiedzie w pałacu i udzielenia nam, to znaczy mnie, begam i osobom, które pojedą ze mną, kilku porad na temat tego, jak się zachować przy europejskim stole.

Gareth zamrugał i spojrział na Emily. W jej oczach wyczytał zaskoczenie i ciekawość. Popatrzył znów na beja i formalnie skłonił głowę.

– Z radością się pojawimy, Wasza Wysokość.

17 listopada 1822, wieczór

Mój pokój w gościńcu w Tunisie

Drogi pamiętniku,

Gryzmołę te słowa, na moment przerywając nerwowe przygotowania do, jak się spodziewam, najdziwniejszego obiadu w moim życiu. Bej życzy sobie, byśmy wraz z Garethem udzielili jego świecie lekcji w zakresie europejskich obyczajów. Jako że w tym mieście bej sprawuje władzę absolutną, odrzucenie zaproszenia nie wchodziło w rachubę.

Tego popołudnia, po tym, jak spędził rano na bezskutecznych poszukiwaniach poleconego nam przez Laboule'a kapitana, który przypuszczalnie mógłby nas dowieźć bezpiecznie do Marsylii, Gareth przyszedł do mnie, by przedyskutować, na jakich obyczajach powinniśmy się skupić. Zasugerował przy tym z niejaką nieśmiałością, że bej ani chybi bierze nas za małżeństwo, ponieważ w tej kulturze byłoby wielce niezwykle, gdyby niezamężna kobieta wysokiego stanu podróżowała z mężczyzną spoza jej rodziny. Rozważyliśmy więc sprawę i stanęło na tym, że tego wieczoru założę na palec serdeczny lewej dłoni pierścionek mojej babki.

W tych okolicznościach udawanie małżeństwa wydaje się najbezpieczniejszym rozwiązaniem, które zapewni mi ochronę, a przy okazji zaspokoi opiekuńcze potrzeby Garetha, chociaż, naturalnie, nie użył takiego argumentu.

Teraz zatem kipię z niecierpliwości, ciekawa nie tylko spotkania z bejem, begam i ich swiątą, lecz przede wszystkim tego, jak się poczuje, gdy będziemy z Garethem zachowywać się jak małżeństwo, którym pewnego dnia zostaniemy.

Trochę praktyki nigdy nie zawadzi.

E.

Bej nie ryzykował. Przysłał kapitana z trzema ludźmi, żeby eskortowali ich wąskimi ulicami do pałacu. Ten środek ostrożności nie wydawał się zbyt dobry, jeśli wzięło się pod uwagę, że Emily i Gareth przebrali się do obiadu – ona w jasnozieloną jedwabną suknię, którą Dorcas wygrzebała w bagażu, on w swój czerwony mundur – przez co łatwo było ich rozpoznać.

– Dobrze, że jest już ciemno – wymamrotał Gareth, lustrując okolicę, kiedy opuścili gościniec i ruszyli za kapitanem.

Emily przytaknęła, szczerzej otulając się peleryną.

Kapitan zaprowadził ich do innej części kompleksu pałacowego. Emily rozglądała się, otwarcie podziwiając liczne, piękne i bardzo arabskie, skomplikowane zdobienia oraz mieniające się kolorami mozaiki.

Wreszcie kapitan zatrzymał się przy szczególnie kunsztownie zdobionym łuku i formalnie przekazał ich pod opiekę krzykliwie odzianego osobnika, który najwyraźniej pełnił funkcję kogoś w rodzaju majordomusa. Człowiek ów, mówiący znośnym angielskim, powitał ich niskim ukłonem, odebrał od nich okrycia, a później poprowadził ich ciągiem długich korytarzy, mijając niezliczone drzwi i galerie, aż do wielkiej, przewiewnej sali z kolumnami, z jednej strony otwartej na zadrzewiony dziedziniec.

Sala robiła wrażenie, elegancka i pełna przepychu, kiedy jednak przystanęli w wejściu, Emily skupiła się na zgromadzonych tu ludziach. Oni także prezentowali się pysznie, choć w jej ocenie nieszczególnie elegancko. W istocie, ich umiłowanie do złota, biżuterii i bogatego zdobnictwa balansowało na granicy dobrego smaku.

Majordomus pochwycił spojrzenie beja i zaanonsował tubalnie:

– Major i majorowa Hamilton.

Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Emily zachowała na twarzy swobodny, łagodny uśmiech. Ją i Garetha rzeczywiście brano tu za małżeństwo. Dobrze, że przyszli przygotowani.

Bej wyszedł im na powitanie, uśmiechając się szeroko. Entuzjastycznie potrząsnął dłonią Garetha, a później z radosnym wyrazem twarzy odwrócił się do Emily... i zawahał się.

Zrozumiała, że bej nie wie, w jaki sposób się z nią przywitać. Nie przestając się uśmiechać, wyciągnęła rękę.

– Proszę ująć moje palce prawą dłonią i skłonić głowę – wymamrotała.

Bej uśmiechnął się jeszcze szerzej i gładko zastosował się do wskazówki, a Emily głęboko dygnęła. Kiedy się podniosła, poklepał ją po ręce.

– Dziękuję. – Puścił ją. – Uplęło sporo czasu i nie byłem pewien.

Odwrócił się i szerokim gestem ogarnął zebranych w sali.

– Państwo pozwolą, że przedstawię ich pozostałym. Wszyscy tu obecni będą mi towarzyszyć w trakcie podróży. – Zerknął na grupę kobiet na końcu sali. – No cóż, wszyscy mężczyźni. Jeśli chodzi o kobiety, pojedzie z nami tylko begam.

Kiedy szli za bejem po marmurowej posadzce, wsparta na ramieniu Garetha Emily usiłowała wyobrazić sobie, jakby się czuła jako kobieta, samotna w obcej kulturze... po czym uzmysłowiła sobie, że, praktycznie rzecz biorąc, znajduje się teraz dokładnie w takiej sytuacji.

Bej zwolnił kroku i spojrzał na nią, nieznacznie marszcząc brwi.

– Nie pamiętam już, czy jest w zwyczaju przedstawiać żonę innym gościom płci męskiej?

Gareth przytaknął.

– Tak, jest – oświadczyła kategorycznie Emily. Grupa, do której się zbliżali, składała się wyłącznie z mężczyzn Zerknęła na kobiety. – W rzeczy samej, zwykle kobiety i mężczyźni rozmawiają w mieszanym gronie od tego momentu, to znaczy zebrania w salonie przed obiadem, aż do końca posiłku. Wtedy kobiety zostawiają mężczyzn przy stole, żeby porozmawiali między sobą, popijając porto albo coś mocniejszego, ale nie trwa to zbyt długo. Później mężczyźni dołączają do kobiet w salonie i wszyscy spędzają wspólnie czas aż do zakończenia wieczoru.

Nadal marszcząc brwi, bej stanowczo kiwnął głową.

– Musimy wszystko to przećwiczyć.

I tak Emily została tego wieczoru instruktorką towarzyskiej etykiety. Stosownie do jej wskazówek, popartych autorytetem i przykładem beja, mężowie – z początku nieco opornie – przemierzali się z żonami. Na szczęście, kobiety przejawiały większą chęć do rozmów w poszerzonym gronie.

Zapanowanie nad całym towarzystwem, tak by z zachowaniem właściwej kolejności zasiadło do stołu, było zarazem nauką i wyzwaniem. Trudna okazała się zwłaszcza za begam, zmysłowa, czarnowłosa, ciemnooka piękność u obfitych kształtach, osłoniętych w sposób daleki od przyzwoitości nieomal przezroczystą, zwiewną materią, w jakiej gustowały też dwórki beja. Najwyraźniej wbiła sobie do głowy, że jako najdostojniejsza dama tutaj może sama zdecydować, kto obok niej usiadzie

a mianowicie Gareth. Emily wykrzesła z siebie całą swą surowość – i odwołała się do autorytetu beja – by wyprowadzić ją z błędu, podkreślając, że jako gospodyni begam ma w tej kwestii najmniej do powiedzenia. Po swojej prawej ręce musiała mieć najdostojniejszego gościa płci męskiej – w tym

przypadku wezyra – po lewej zaś drugiego pod względem znaczenia, czyli jednego z ministrów beja.

Begam dąsała się przez większą część posiłku, ponieważ jednak oni dwoje, jako goście właściwie pozbawieni znaczenia, zasiedli naprzeciw siebie mniej więcej w połowie długości stołu, Emily nic sobie nie robiła z niezadowolonych min gospodyni.

Konwersacja przy stole, początkowo drętwą, ożywiała się stopniowo, aż wreszcie rozkwitła, kiedy mężczyźni odkryli, że ignorowane przez nich zwykle kobiety, jeśli dać im szansę, okazują się zajmującymi rozmówczyniami.

Emily przypuszczała, że odczucia drugiej strony wyglądają podobnie. Te kobiety do tej pory zamieniły w życiu może dwa słowa z większością mężczyzn z otoczenia ich mężów.

Ogarnęła ją uzasadniona duma z osiągnięcia. Rzeczywiście, bej, który zajmował miejsce u szczytu stołu, promieniał zadowoleniem.

Siedzący naprzeciw niej Gareth nieznacznie skłonił głowę, unosząc szklankę w geście toastu.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała skinieniem głowy, przepelniona szczęściem i poczuciem dobrze wykonanego zadania.

Nieco później, kiedy ze stołu sprzątnięto ostatnie potrawy, Emily pochwyciła spojrzenie nadąsanej begam i na migi pokazała jej, w jaki sposób, jako gospodyni, powinna zebrać panie i wyprowadzić je z powrotem do salonu. Begam raczyła okazać zainteresowanie i z pewnością siebie wywiązała się z zadania, na co jej mąż spoglądał nader życzliwym okiem.

Wychodząc za gospodynią z pomieszczenia, Emily uznała, że jakkolwiek wydawało się to dziwne, przy odrobinie szczęścia ten wieczór zakończy się całkiem przyjemnie.

Bej nalegał, żeby kapitan odprowadził ich z powrotem do gościńca. Kiedy dotarli do furty w murze, Gareth odwrócił się, a kapitan pokłonił się z szacunkiem.

– Bej jest zadowolony. – Kapitan wyprostował się i wskazał dwie postaci przechadzające się w mroku przy obu końcach ulicy. – Przez resztę państwa pobytu będziemy pełnić tu wartę.

– Dziękuję. – Gareth skłonił głowę. –I proszę przekazać podziękowania jego wysokości.

Kapitan nieomal się uśmiechnął.

Gareth otworzył furkę, przepuścił Emily przodem i wszedł za nią. Potem się odwrócił. Kapitan zasalutował i odszedł. Zamykając furkę, Gareth słyszał w nocnej ciszy jego oddalające się kroki.

Podążając za Emily przez pełen cieni dziedziniec, Gareth rozglądał się, aż wreszcie wypatrzył Mullinsa, pełniącego wartę w narożniku. O tak późnej porze inni bez wątplenia od dawna spali. Stary wiarus zasalutował krótko. Gareth uniósł dłoń w odpowiedzi i wszedł do domu.

Odstawi Emily bezpiecznie na piętro, a potem, jako że nie czuł się ani trochę śpiący, może zastąpi Mullinsa. Najpierw jednak...

Zatrzymał się w mroku, skupiając uwagę na Emily.

– Wykonałaś dziś świetną robotę.

Z konieczności musiał pozwolić jej objąć kierownictwo. Nie uśmiechało mu się to, nie podobało mu się, że tylko siedzi i obserwuje, jak ona stąpa po niebezpiecznie cienkiej linii dyplomacji, utrzymała jednak równowagę, zachowała zimną krew aż do samego końca.

– Dałaś bejowi dokładnie to, czego chciał, nie ujawniając rzeczy, których nie musiał wiedzieć – dodał, kiedy odwróciła się i spojrzała nań w ciemności szeroko otwartymi oczami.

Jej zęby błysnęły bielą, kiedy się uśmiechnęła.

– To wyzwanie sprawiło mi przyjemność. – Podeszła do niego wolno. – Pomogło nam, że uważali nas za małżeństwo.

Rzeczywiście, choć jemu wcale nie pomagało, kiedy musiał słuchać, jak inni mężczyźni ją komplementują, a potem gratulują mu zdobycia takiego skarbu.

Była skarbem pod wieloma względami... tyle że nie lego skarbem.

To wspomnienie go rozkojarzyło. Kiedy znów skoncentrował się na bieżącej chwili, odkrył, że Emily znalazła się bliżej niego, zbyt blisko. Puls mu przyspieszył, cała uwaga skupiła się na niej i nie był w stanie tego powstrzymać.

Emily stanęła tuż przy nim, chwyciła go za kurtkę munduru i uniosła ku niemu twarz.

Złapała i uwięziła jego spojrzenie. Przez jakiś czas trwali w milczeniu, a później, uśmiechając się delikatnie, Emily cichym, uwodzicielskim głosem wymruczała:

– Kiedy zinterpretowałeś mój pociąg do ciebie jako efekt niebezpiecznych przeżyć... – Opuściła wzrok na je go usta, zwilżyła językiem dolną wargę, a potem znów spojrzała Garethowi w oczy. – Czy nie przyszło ci do głowy, że możesz się mylić?

Mylić? Jego umysł, zaprzątnięty innymi sprawami, potrzebował chwili, żeby zrozumieć sugestię. Usiłując pojąć, do czego ona zmierza i z jakiego powodu, Gareth zaczął marszczyć brwi.

Emily uniosła ręce i zrezygnowała z prób znalezienia właściwych słów na to, by mu wytłumaczyć, jak nietrafnie zinterpretował jej motywy. Zawsze wierzyła, że czyny mówią głośniej niż słowa. Powiodła dłonią z jego piersi na

ramię i dalej, na kark, wspięła się na palce, jednocześnie przyciągając do siebie jego głowę, i pocałowała go.

Przywarła wargami do jego ust, nie uwodzicielsko, lecz z dyktowanym pewnością siebie wyczekiwaniem. Dopiero co spędzili wieczór, udając małżeństwo – bez wysiłku, bez sztuczności, przekonująco. Ani chybi teraz musiał już rozumieć, że istniało tylko jedno wytłumaczenie tego stanu rzeczy, jeden powód, dla którego tak wyśmienicie odegrała swoją rolę w owej grze pozorów.

Pocałowała go, pozwalając, by wszystko, co wiedziała, w co wierzyła, co czuła, wezbrało w niej i przelało się w niego. By ją poprowadziło, wyzwalając ich oboje.

By go skusiło.

Zachęcająco rozchyliła wargi i zadrżała, gdy skorzy stał z zaproszenia, gdy zacisnął dłonie na jej talii i prze jął dowodzenie, zagłębił się w jej usta, dał jej wszystko, o co prosiła. Wszystko, czego pragnęła.

Samego siebie.

W dyskretnej ciemności, w ciszy nocy.

Pocałunek przedłużał się, pogłębiał, ich zmysły sięgały coraz dalej, szukając. Pragnąc.

Odchyliła głowę, łapczywie nabierając tchu. Peleryna ześlizgnęła się, kiedy Emily oplotła ramionami jego szyję. Zamknął dłonie na jej piersiach. Władczo. Namiętnie.

Ugniatał, aż jęknęła, potem zaś walczyła, by wyciszyć westchnienia, kiedy schylił głowę i dotknął wargami jej szyi, dłońmi nadal czyniąc magię.

Poruszył się, zmienił pozycję, posterował Emily do tyłu, aż oparła się plecami o ścianę obok drzwi. Przyparł ją do muru, wędrując dłońmi po jej ciele, rozpalając ją coraz mocniej.

Rozkoszowała się tymi doznaniem. Później wymamrotał coś mrocznie, szarpnął w dół poluzowany raptem stanik jej sukni, odsłaniając jedną pierś, i przylgnął ustami do jej ciała, a ona krzyknęła.

Bez tchu.

Rozpaczliwie.

Ten sugestywny dźwięk wprowadził noc w drzenie. Wbił się w duszę Garetha niczym setka sztyletów, każdy u nurzany w pożądaniu i tęsknocie.

Gareth tęsknił. Choć rozpalony, coraz bardziej natarczywy, nade wszystko tęsknił za tym, by ją mieć. Jednak owo „mieć” obejmowało teraz znacznie więcej aniżeli tylko tyle, by ją posiadać.

Chciał znacznie więcej. Od niej, z nią.

Dla niej i dla siebie.

Trzymając w ramionach jej gibkie ciało, muskając wargami delikatną skórę, odurzony jej smakiem, nie potrafił myśleć o niczym innym, nie znał niczego innego poza tym pragnieniem, potrzebą, tęsknotą.

Wabiły go wzniesienia jej piersi, sprężyste, nabrzmiące pod jego dotykiem, z twardymi, ściągniętymi sutkami. Schylił głowę i sięgnął ustami. Pożerał.

Lgnęła doń, dobywające się z jej ust ciche dźwięki ponaglały Garetha, coraz bardziej prowokacyjne, poruszały go głęboko, na jakimś pierwotnym poziomie, do którego nikt poza nią nigdy nie zyskał dostępu.

Nie odrywając ust od jej piersi, chwycił nogę Emily pod kolanem i uniósł tak, że oplotła mu udo. Odnalazł jej wargi i nakrył swoimi, wiodąc dłonią po jej udzie, aż przez warstwy sukni ujął jej pośladki.

Zatchnęła się, kiedy je ścisnął, a potem zaczął gładzić. Ich pocałunek stał się chciwy, złąkniony, gorączkowy, kiedy Gareth dalej pieścił i ugniatał.

Nie sposób było oprzeć się owej potężnej mieszance głodu, pożądania, namiętności, eskalującej potrzeby Napierała na niego, przekazując mu to wszystko.

Puścił pośladki Emily, sięgnął za siebie i odnalazł jej kostkę. Powiodł dłonią w górę, wślizgnął się pod spódnicę i halki, sunął po obleczonej pończochą łydce, coraz wyżej. Zatrzymał się na chwilę, bawiąc się falbaniastą koronkową podwiązką, po czym ruszył dalej.

Gładził zewnętrzną stronę jej uda, raz jeszcze ujął pośladki, tym razem dotykając gołej skóry. Mocniej oplótła ramionami jego szyję, uniosła się, a potem opadła, napierając silnie na jego dłoń. Wysunęła ku niemu biodra ofiarując się bez słów.

Zaklął w duchu, lecz było stanowczo za późno na (o, by zdołał wziąć w karby rozszalałe pożądanie.

Wścibskimi palcami prześlizgnął się po napiętych mięśniach jej uda i dotarł na jego wewnętrzną stronę Badając, szukając.

Znajdując.

Jej śliskie, obrzmiałe ciało przypominało w dotyku jedwab. Gładził, pieścił, okręzał palcem ciasne wejście Delikatnie napał do środka.

Całowała go w zatraceniu, wygięła się w łuk w jego ramionach, błagając bezradnie.

Wsunął w nią palec, wolno, głęboko, a potem nim poruszył, nadal niespiesznie. Płonęła.

Gorzała w jego ramionach, jej ciało uległo, poddało się jego woli...

Rozległ się metaliczny szczęk.

Gareth gwałtownie przerwał pocałunek. Odwrócił głowę, usiłując coś dostrzec.

Wyczuł, że ona zrobiła to samo.

Hałas dobiegł z głębi domu. Może z kuchennego dziedzińca. Mullins na swoim stanowisku nie mógł go usłyszeć.

Gareth zachwiał się lekko, odwracając się znów do Emily. Oddychał chrapliwie, urywanie. Ona jawnie dyszała. Serce tłukło mu się w piersi pod wpływem wielu różnych emocji. Kiedy zajrzał jej w oczy, przekonał się, że tamto inne napięcie, o którym w ostatnich minutach zapomnieli, wraca.

Dopada ich oboje.

Zamrugła.

– Kto? – spytała bezgłośnie.

Pokręcił głową. Ostrożnie wycofał rękę spomiędzy jej ud, spod jej spódnic. Ujął ją pod kolano i opuścił jej nogę na podłogę. Przytrzymał Emily, dopóki nie zasygnalizowała, że nie grozi jej już utrata równowagi.

Pochylił się ku niej.

– Zostań tu. Nie ruszaj się.

Cofnął się, dla większego efektu piorunując ją spojrzeniem.

W odpowiedzi także spiorunowała go wzrokiem, z ponurym wyrazem twarzy. Nie odezwała się jednak. Została na swoim miejscu, kiedy zaczął się skradać korytarzem w głąb domu.

Oczywiście, znalazła się tuż za nim, gdy stanął przy zamkniętych drzwiach kuchni.

Zza źle dopasowanych drzwi dobiegały szelesty, odgłosy uderzeń, skrobanie drewna o kafle i od czasu do czasu jakiś brzęk.

Potem Gareth usłyszał sapanie.

Napięcie ustąpiło. Pchnął drzwi.

Otworzyły się na oścież, ujawniając intruza.

Koza spojrzała na nich i zameczała.

Spełnianie kozy i doprowadzenie kuchni do porządku zajęło im pół godziny. Do tej pory żar między nimi wygasł.

Emily z wielką chęcią wzniciłaby płomień na nowo, ale Gareth odprowadził ją do głównej sali, po czym za miast ruszył za nią po schodach – w domniemaniu: do jej sypialni – stanął przy drzwiach wejściowych.

Kiedy zorientowała się, że za nią nie idzie, odwróciła się i spojrzała nań przez tonącą w mroku salę.

I zniecka ogarnęły ją wątpliwości.

Uświadomiła sobie, że choć sama go pragnęła, w istocie nie miała podstaw, by sądzić, iż – pomimo wszystkich ich wspólnych doświadczeń – on podziela te odczucia.

Pożądał jej. Gdyby go teraz pocałowała, zaofiarowała mu się, wzięłby – pod tym względem nie różnił się od mężczyzn z opisów jej sióstr.

Czy jednak na pewno pragnął jej w ten sam sposób w jaki ona pragnęła jego?

A jeśli nie?

Pod wpływem tej myśli Emily poczuła się raptem obnażona. Podatna na zranienia w sposób całkowicie jej dotąd obcy.

Kiedy cisza się przedłużała, kiedy on trwał w bezruchu, nie próbując do niej podejść, a jedynie patrząc na nią w ciemności... musiała zadać sobie pytanie, czy przypadkiem nie popełniła kolosalnego błędu.

Wreszcie Gareth się poruszył. Skinął głową.

– Dobranoc. Zobaczymy się rano. Serce podeszło jej do gardła.

– Nie idziesz na górę? –Ze mną? Gareth zmusił się, żeby pokręcić głową.

– Zmienię Mullinsa. Nadal musimy pełnić wartę. Wahala się jeszcze przez moment, a potem skłoniła

głowę, odwróciła się i wolno wspięła po schodach.

Spoglądał w ślad za nią, aż zniknęła mu z oczu. Rozwarł zaciśnięte dotąd pięści i popatrzył na drzwi, ale ku nim nie sięgnął.

Po długiej chwili pokręcił głową. Nadał czuł się tak, jakby ktoś go zdzielił. Zdrowo.

I tak też było. Ona to zrobiła.

Rozproszyła zwarte oddziały jego rozsądku, przedostając się do chutliwego wewnętrznego ja – tego ja, które rozpaczliwie pragnęło ją posiąść. Wywabiła tę namiętą, prymitywną stronę jego osobowości z ukrycia i wyzwoliła.

Ale...

Ocaliła go ta przeklęta koza.

Nawet teraz nie był pewien, czy chce pobłogosławić zwierzę, czy raczej skrócić mu kark.

W gęstniejącym mroku, kiedy odzyskał trzeźwość umysłu, dręczyły go ciągle te same pytania, w tej chwili jaskrawe i oczywiste. Czy autentycznie go pragnęła, czy jedynie dała się ponieść namiętności? Potrzebie, o której nadal sądził, że wynika raczej z reakcji na niebezpieczeństwo niż z prawdziwego, niezmanipulowanego uczucia?

Pragnął jej – rozpaczliwie, wręcz szaleńczo – lecz zarazem chciał, by ona pragnęła go z tego samego powodu.

Tak po prostu.

Ponieważ był tym właściwym mężczyzną. Ponieważ pchała ją ku niemu jakaś nieomylna, pierwotna intuicja. Pragnął, aby go pragnęła. Jego. Dla niego samego.

Nie dlatego, że znajdował się akurat pod ręką, gdy czuła potrzebę położenia się z mężczyzną, by w męskich ramionach obudzić się do życia, bilansując w ten sposób chwilę, kiedy otarła się o śmierć.

Nie w miejsce jego poległego towarzysza.

I z pewnością nie dlatego, by wypełnić pustkę, znaleźć męża, dla którego mogłaby odgrywać żonę.

Żadnej z tych możliwości nie uważał za zadowalającą. Nie dla siebie.

Nie dla niej.

Oboje zasługiwali na więcej.

Jego problem polegał na tym, że bez niej nie potrafił wyobrazić sobie owego „więcej”.

Wpatrywanie się w mrok niczemu nie służyło. Gareth westchnął ciężko, wyprostował się, otworzył drzwi i wyszedł na dziedziniec, by zluzować Mullinsa, a przy okazji, być może, znaleźć pociechę w ciszy nocy.

Rozdział 11

18 listopada 1822, rano

Przyczajona w swoim pokoju w gościńcu w Tunisie

Drogi pamiętniku.

Próbowałam. Minionej nocy próbowałam otworzyć mu oczy, by zrozumiał, co do niego czuję, pojął, że jest moim „jedynym”, ja zaś w pełni należę do niego, i naprawdę myślałam (żywiłam nadzieję, wierzyłam), że odnoszę sukces, lecz przeszkodziła nam ta przekłeta koza i właściwa chwila minęła. Przepadła.

Lecz nie to było najgorsze. Na koniec, kiedy wołał stanąć na warcie zamiast wejść ze mną na górę, ogłuszyła mnie potworna myśl. Co, jeśli on mnie nie chce, nie w głębi serca?

Wiem, że moje siostry by mnie wykpiły, ale one są stronnice.

Po zastanowieniu stwierdzam, że mój problem nieodmiennie polega na tym, iż nie potrafię ocenić, do jakiego stopnia kierują Garethem szlachetne przekonania na temat tego, co jest dla mnie najlepsze (w odróżnieniu od tego, czego w oczywisty sposób pragnę). Przecież, ostatecznie, jego pozorny brak zainteresowania okazał się w istocie nobliwą próbą uchronienia mnie przed popełnieniem czegoś, co on uważa za szaleństwo.

Nie sposób opisać odgłosu, jaki właśnie z siebie wydałam.

Lecz co dalej?

Po namyśle dochodzę do wniosku, że powinnam nadal dopatrywać się szlachetnych motywacji w tym, że Gareth uparcie trzyma się ode mnie na dystans. Jest tak uczciwy (wiem to ponad wszelką wątpliwość), że gdybym nie pociągała go jako kobieta, gdyby nie skłaniał się ku głębszemu związkowi, nie wierzę, by mogła się zdarzyć sytuacja taka jak minionej nocy – bez względu na

to, jak bardzo bym nań nastawała. Ostatecznie, znacząco przeważa nade mną siłą fizyczną, nie określiłabym go też pod żadnym względem mężczyzną słabym. Zarazem po tym, jak moje niewyartykułowane zaproszenie zostało ubiegłej nocy odrzucone, naturalne się zdaje, że powinnam wypatrywać jakiegoś znaku, który by potwierdził moje przeświadczenie, że Gareth w istocie, choć skrycie, darzy mnie względami. Jeśli rzeczywiście jest on moim „jedynym”, znalezienie dowodu nie będzie trudne, albowiem wówczas, wedle wszelki prawideł, ja z kolei powinnam być jego wybranką. Jego „jedyną”.

Kiedy zyskam ów dowód, owo potwierdzenie, które da mi całkowitą pewność, przysięgam, że nic nie powstrzyma mnie przed zbudowaniem z Garethem dokładnie takiego związku, jakiego pragnę.

Pozostaję niezachwianie zdeterminowana.

E.

Tego popołudnia zasiedli wszyscy przy niskim stole w sali głównej, moszcząc się na poduszkach, spokojni, że wartownicy za murem zaalarmują ich w razie jakiegokolwiek najścia. Świątowali sukces Garetha i Bistera, którym udało się wreszcie dopaść poleconego im przez Laboul'a kapitana i uzgodnić z nim, że zabierze ich na swojej szebecie do Marsylii.

Mieli opuścić Tunis nazajutrz przed południem.

Wznieśli właśnie sokiem pomarańczowym toast za kolejny etap podróży, kiedy zapukano do furty.

Zapukano bardzo oficjalnie.

Gareth i Mooktu wstali, akurat gdy furta otworzyła się, ujawniając znajomą postać kapitana straży. Dowiedzieli się już wcześniej, że dowodził strażą w tej dzielnicy, rzadko oglądającej dygnitarzy czy gości godnych zaproszenia do pałacu. Dlatego też, jak zapewnił, cieszył się z obowiązków – i ich następstw – jakie nakładała nań ich obecność.

Teraz kapitan uśmiechnął się, kiedy w otwartych drzwiach sali zobaczył Garetha.

Wychodząc na dziedziniec, Gareth odpowiedział uśmiechem, lecz instynkt kazał mu mieć się na baczności.

– Majorze Hamilton. – Kapitan się pokłonił. – Przynoszę kolejne zaproszenie dla pana i pańskiej małżonki na obiad w pałacu dzisiejszego wieczoru.

– Dziękuję. – Gareth obejrzał się i stwierdził, że Emily podążyła jego śladem do wyjścia z sali.

Kapitan mówił na tyle głośno, że go usłyszała. Wystąpiła na słońce, by do nich dołączyć. Kiedy się zbliżała, Gareth dostrzegł w jej oczach pytanie, zaraz jednak delikatnie wzruszyła ramionami, uzmysłowivszy sobie, że mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi.

Odwrócił się na powrót do kapitana i skłonił głowę.

– Czujemy się zaszczyceni.

– Przyjdę po państwa tak jak ostatnio, o tej samej porze – rzekł rozpromieniony kapitan.

– Dziękujemy, kapitanie. – Emily uśmiechnęła się z wdziękiem. – Będziemy czekać.

Kapitan uklonił się nisko i odszedł. Kiedy zamknęła się za nim furta, Gareth ujął Emily pod ramię i powiódł ją z powrotem ku domowi.

– Jakież pomysły?

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy – odparła z lekkim grymasem – to że bej chce wykorzystać naszą obecność, by dodatkowo przećwiczyć ze swoją switą i begam europejskie obyczaje. – Ponieważ właśnie weszli do sali, spojrziała na Dorcas. – Mamy znów gościć w pałacu na obiedzie. Trzeba się będzie przekopać przez moje kufry w poszukiwaniu kolejnej sukni.

Kapitan zaprowadził ich do jeszcze innego wejścia Mniejsza, nie tak wspaniała brama znajdowała się z boku, w tylnej części kompleksu pałacowego; docierało się do niej przez szczelnie osłonięty dziedziniec. Mężczyzna, który czekał, by ich powitać, był potężny, dziwnie rozlazły i odziany skromniej niż majordomus beja, w szaty znacznie mniej krzykliwe, pozbawione tyłu złotych.

Nie odezwał się, a jedynie pokłonił nisko, odebrał od Emily pelerynę i przekazał ją podwładnemu, po czym skinął na gości, żeby udali się za nim. Kiedy przemierza li ciąg korytarzy, Gareth odnotował, że ta część pałacu jest mniej zdobna i okazała. Czyżby mieli spożyć z bejem posiłek w rodzinnym gronie?

Podejrzanie przybrało na sile, gdy przewodnik zatrzymał się i gestem zaprosił, by weszli do stosunkowo małego, lecz urządzonego z przepychem pomieszczenia z widokiem na prywatny dziedziniec. Kiedy Gareth podążył za Emily do środka, ujrzał begam, pólleżącą na poduszkach rozmieszczonych wokół tradycyjnego niskiego stołu o rozmiarach w sam raz dla czterech osób.

Na ich widok się uśmiechnęła. Skłoniła głowę w odpowiedzi na dygnięcie Emily i natychmiast przeniosła wzrok na Garetha.

– Majorze i majorowo Hamilton, bardzo mi miło, że zaszczycają mnie państwo swoją obecnością – wymruczała.

Ton głosu begam, w połączeniu z wymownym, nieomal łakomym spojrzeniem, jakim go obdarzała, postawiły Garethowi włoski na karku.

Emily śmiało wystąpiła naprzód, zasłaniając Garetha przed wzrokiem begam.

– Jak przypuszczam, bej lada moment do nas dołączy? spytała, choć zdążyła zauważyć, że stół nakryto dla trzech osób.

– Mój mąż musiał niespodziewanie wyjechać. Jakiś problem na południu – odparła begam, bezwiednie bawiąc się pierścionkami. – Pomyślałam sobie, że sprawię mu niespodziankę, dowiadując się czegoś więcej na temat waszych obyczajów. – Wyciągnęła szyję, żeby ominąć wzrokiem Emily, uśmiechnęła się i wskazała na miejsca obok siebie, po swej prawej i lewej. – Majorze, majorowo, proszę spocząć.

Minionego wieczoru obiad podano na stole w stylu europejskim, ze zwykłymi krzesłami. Emily spojrzała na stos poduszek. Wątpiła, czy begam istotnie jest zainteresowana lepszym opanowaniem europejskich manier. Kiedy Gareth dotknął jej pleców w subtelnym ponagleniu, zajęła miejsce po lewej ręce gospodyni.

Nielatwo było siedzieć na stosie poduszek w sposób zarazem skromny i pełen gracji. Trwało kilka chwil, nim Emily zdołała stosownie ułożyć nogi i spódnice. Zerknęła na begam, żeby się przekonać, czy kryła się w tym jakaś sztuczka – i niemalże rozdziawiła usta ze zdumienia.

Żona beja zmieniła pozycję i siedziała teraz pośród jedwabnych poduszek wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami. Jedwabny szal barwy starego złota zsunął się jej z ramion, tak że została tylko w migotliwej, półprzezroczystej jedwabnej gazie w odcieniu ciemnego bursztynu.

Po bliższych oględzinach zszokowanej Emily udało się wykryć kilka skrawków nieprzejrzystego brązowego jedwabiu w strategicznych miejscach. No, ale doprawdy! Ta kobieta była prawie naga!

Begam nie zauważyła jej reakcji. Uśmiechała się szeroko do Garetha, całkowicie na nim skupiona.

Zdawało się wręcz, że lada moment obliże wargi.

Emily popatrzyła na Garetha. Ponownie w mundurze, usadowił się ze skrzyżowanymi nogami po prawej ręce begam, przy trzecim nakryciu. Jego

twarz nie wyrażała absolutnie niczego, jednak Emily nabrała wprawy w od czytaniu jego nastrojów. W linii jego ramion ujawniało się napięcie, naprężył każdy mięsień, gotów do natychmiastowej reakcji. Obserwował begam niczym potencjalnie niebezpiecznego drapieżnika, obok którego musiał siedzieć.

Patrzył jej w oczy, wyraźnie obojętny na całą resztę, którą begam wystawiła na pokaz.

Emily odrobinę ulżyło. Begam była bardzo piękna, zmysłowa, aczkolwiek w dość drapieżny sposób.

Gareth poczuł na sobie wzrok Emily, bo na nią zerknął. W trakcie tej krótkiej wymiany spojrzeń wychwycił jego niepokój. Krępować go obecna sytuacja, pragnął znaleźć się gdziekolwiek, byle daleko stąd.

Przypomniała sobie rzekomy powód, dla którego zostali tu zaproszeni, odkaszlnęła, a kiedy begam na nią spojrzała, uśmiechnęła się cokolwiek protekcjonalnie.

– Chyba powinnam ostrzec panią, droga begam – powiedziała tonem zwierzenia, nachylając się ku gospodyni – że strój, w jakim łaskawie przyjęła nas pani tego wieczoru, nie nadaje się na żaden europejski dwór.

Begam zmarszczyła brwi i zerknęła na półprzezroczystą bluzkę.

– Taki przyodziewek uważa się za całkowicie stosowny dla damy, która spożywa obiad z gośćmi w domu swego męża – odparła.

– Zapewne tak, ale tutaj. W Europie, proszę mi wic rzyć, wywołałaby pani skandal, pokazując się gdzieś w takim ubiorze. Wydawało mi się zaś... proszę o wybaczenie, jeśli źle coś zrozumiałam... że bej zwrócił się do nas, abyśmy poinstruowali panią i inne osoby w kwestii europejskich obyczajów, właśnie po to, żeby uniknąć zbędnych incydentów.

Begam z uwagą wysłuchała Emily, ściągnęła brwi w namyśle, a potem odwróciła się do Garetha.

– Czy jest tak, jak mówi majorowa? Że jeśli pójde tak ubrana – rozpostarła obleczone przejrzystą materią ramiona – wywołam złe wrażenie?

Gareth przytaknął, zaciskając wargi. Wzrok nadal miał w godny pochwały sposób utkwiony w twarzy begam.

– Nie zostałyby to dobrze odebrane w towarzystwie rzekł. – Spotkałoby się z dezaprobatą, a wielkie damy najprawdopodobniej... nie, z całą pewnością nie zaprosiłyby pani na organizowane przez siebie wieczorki towarzyskie.

– Och. – Begam opuściła ręce, przygaszona. Popatrzyła znów na Emily. – A zatem. – Uważnie obejrzała jej wieczorową suknię. – Muszę się okryć tak jak pani?

Emily spuściła wzrok na swą jedwabną suknię w kolorze jasnego bursztynu, z małym dekoltem i podwyższonym stanem, obszytymi delikatną koronką. U dołu sukni ciągnęła się pojedyncza koronkowa falbana, a przez środek, od dekoltu aż po sam skraj, biegł rząd guzików ze srebra i bursztynu.

– Pod względem kroju, tak, ale pani suknie mogą być bardziej bogato zdobione. – Dotknęła wykonanego złotą nicią haftu na rękawie begam. – W ten sposób. W Europie o statusie świadczą jakość materiałów i bogactwo zdobień, a nie różne kroje sukien.

– Rozumiem. – Begam nie tyle się zamyśliła, ile jakby coś sobie kalkulowała, wtedy jednak w wejściu ukazał się potężny niybkamerdyner. Zerknęła na niego, po czym z uśmiechem odwróciła się do Garetha. – Nasz posiłek jest gotów, teraz więc zjemy. – Spojrzała znów na kamerdynera i wydała mu polecenie po arabsku.

Mężczyzna wycofał się, kłaniając się nisko.

Na ustach begam błąkał się uśmiech.

– A potem – zwróciła się znów do Garetha – będzie mnie pan mógł poinstruować w kwestiach, które najbardziej mnie interesują.

Gareth wymienił spojrzenia z Emily. Modlił się żarliwie, aby begam miała na myśli wyłącznie suknie, czepki obyczaje towarzyskie, a wrażenie, jakie wyniósł z jej spojrzeń i uśmiechów, okazało się efektem różnic kulturowych.

Niestety, wątpił, żeby tak było. Dopóki jednak begam sądziła, że Gareth i Emily są małżeństwem, powinien być... oboje powinni być bezpieczni.

Postawione przed nimi na misternie zdobionych mosiężnych półmiskach potrawy nijak nie przystawały do wrażliwego podniebienia Europejczyka. Na szczęście i on, i Emily przywykli już do arabskiego jedzenia. Bez wahania częstowali się licznymi głównymi daniami i przystawkami. W przeciwieństwie do większości znanych Garethowi angielskich panien, Emily nie jadła jak ptaszek, i odważnie eksperymentowała z nowymi potrawami.

Wkrótce po rozpoczęciu posiłku skomplementowała kucharza, a później gładko przeszła do omawiania komentarzy, których wygłaszanie przy stole gospodyni należy do dobrego tonu.

Temat towarzyszył im przez cały posiłek, aż wreszcie eunuch begam – Gareth w końcu ustalił, co takiego na pasowało mu w tym mężczyźnie – postawił przed nimi słodyczne i kandyzowane owoce, nalał do maleńkich filiżanek gęstej, mocnej kawy, zostawiając zdobiony dzbanek na stole, pokłonił się nisko i kiedy begam go zwolniła, wycofał się z pomieszczenia.

Po jego wyjściu begam natychmiast, z błyskiem w oku odwróciła się do Garetha.

– A teraz, majorze, zechce mnie pan nauczyć wszystkiego o flircie. Słyszałam, że to częsta rozrywka na europejskich dworach.

Nachyliła się ku niemu, patrząc mu w oczy. Gareth zmusił się, żeby się nie cofnąć.

Poinstruuje mnie pan, jak to się robi – oznajmiła, raz jeszcze zniżając głos do zmysłowego mruczenia. Przeniosła wzrok na jego usta. Wysunęła koniuszek języka i wolno przeciągnęła nim po dolnej wardze. – Zademonstruje mi pan wszystkie niuanse, aż po te najdrobniejsze.

Podstawy opanowała już całkiem dobrze; Gareth powstrzymał się przed wypowiedzeniem tej uwagi głośno. Jak jednak miał odmówić, nie obrażając begam – nie pakując siebie, a zwłaszcza Emily, w poważne tarapaty?

Wyjątkowo poważne, jeśli wziąć pod uwagę, że zwrócenie się o pomoc do jakiegokolwiek brytyjskiego urzędnika byłoby zbyt dużym ryzykiem.

Wpatrywał się w przysuwającą się ku niemu coraz bardziej begam i wyteżał umysł, starając się znaleźć wyjście z sytuacji. Nie ważył się spojrzeć na Emily, w tym celu musiałby bowiem odwrócić wzrok od niebezpieczeństwa.

Begam wyciągnęła się, zapraszająco nadstawiając usta.

Chciał zerwać się na nogi i wyjść, ale tego nie zrobił. Nie mógł. Obrza byłaby zbyt wielka. Zamarł, rozpaczliwie walcząc przeciw podszeptom instynktu.

– Nie! – rzuciła gniewnie Emily.

Obserwowała begam w niejakim oszołomieniu, niezdolna uwierzyć, że ta kobieta rzeczywiście zamierza pocałować Garetha na jej oczach – na oczach jego żony, majorowej. Raz przełamawszy czar, nie miała problemu, by kontynuować:

– Nie, nie i nie!

Złapała begam za ramię i odciągnęła od Garetha, przywracając ją do pionu.

Chociaż tyle, że Gareth cofał się przed jej ustami. Co on sobie jednak, u diabła, wyobrażał, dopuszczając tę kobietę tak blisko?

Emily spiorunowała wzrokiem zszokowaną begam.

– Tak się tego nie robi, na pewno nie w Europie – oznajmiła.

Begam zmarszczyła brwi; zaraz potem na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

– Słyszałam, że zameżne damy bardzo często zabawia ją się z mężczyznami innymi niż ich mężowie. I że ci dżentelmeni mogą być żonaci lub nie, bo dla nich małżeństwo nic nie znaczy. To nieprawda?

Słowa begam stanowiły wyzwanie, lecz Emily bez trudu stawiała im czoło.

– Prawda, z tym że, jak to często bywa, jako osoba z innego kręgu kulturowego przeoczyła pani pewne subtelności, niuanse. – Zaczerpnęła tchu i posłała ostre spojrzenie Garethowi, żywiąc nadzieję, że wystarczy mu rozsądku, by siedzieć cicho. Na powrót skupiła uwagi, na begam. – Nie wszystkie zameżne damy zabawiają się z dżentelmenami innymi niż ich mężowie i nie wszyscy żonaci dżentelmeni zabawiają się z damami innymi niż ich żony. Zaledwie część, w niektórych kręgach bardzo niewielka część małżonków szuka... hm... rozrywek pozamażeńskich.

Oblicze begam spochmurniało. Popatrzyła na Garetha

– To prawda?

– Tak, to prawda – oświadczyła Emily, nie zostawiając mu czasu na reakcję. Kiedy begam znów na nią spojrzała, ciągnęła: – Co więcej, w pani przypadku, kiedy będzie pani gościć na europejskich dworach jako żona beja, będzie pani musiała zachowywać się w najwyższym stopniu nieskazitelnie, choćby tylko dla własnego bezpieczeństwa.

W oczach begam błysnęły zakłopotanie i lekki niepokój .

Aha!, pomyślała Emily.

– Będzie pani musiała wystrzegać się wszelkich potencjalnych uwodzicieli – brnęła dalej – ponieważ jeśli jakiś europejski dżentelmen, żonaty czy nie, zbliży się do pa ni, żony przybywającego z wizytą możnowładcy, z myślą o flircie, uczyni tak wyłącznie z jednego powodu: żeby dyskredytować pani męża, wywołując skandal... wie pani, jacy są mężczyźni... albo by wydobyć od pani inklinacje na temat interesów beja. – Z namysłem przekrzywiła głowę. – Lub też żeby panią szantażować.

Znów popatrzyła na begam. – No cóż, to więcej niż jeden powód, ale rozumie pani niebezpieczeństwo. – Uzmysłowała sobie nagle, że przedstawiła sytuację w sposób niezbyt pochlebny dla begam, toteż prędko dodała: – Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby przebywała tam pani nieoficjalnie, nie towarzysząc mężowi, lecz po prostu na własny rachunek. – Urwała, by zaczerpnąć tchu, a potem rzekła szczerze: – Jest pani bardzo piękną kobietą i z pewnością wielu dżentelmenów chciałoby z panią flirtować, jednak – Emily pokręciła głową – nie tym razem. Nie, kiedy podróżuje pani jako małżonka beja.

W miarę jak Emily kontynuowała swój wykład, na twarzy begam odmalowywało się coraz większe przygnębienie. Gdy zapadła cisza, begam przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Emily, a później przeniosła wzrok na Garetha.

– Pan...

– Ani major, ani ja nie flirtujemy z innymi – oznajmiła stanowczo Emily; ostatnimi czasy była to zresztą prawda. Nie zerknęła na Garetha, lecz pochwyciła spojrzenie begam, kiedy kobieta się do niej odwróciła. – Powinnam chyba jeszcze dodać, że w kulturze europejskiej to dżentelmen wykonuje pierwszy krok.

Ale... – Begam wyglądała na dogłębnie zde gustowaną. – Jaki w tym sens? Można czekać w nieskończoność.

– W rzeczy samej. – Emily powstrzymała się przed spiorunowaniem Garetha wzrokiem, kiedy wypowiadała te słowa. – A teraz, skoro już opowiedzieliśmy pani o flirtach w naszej kulturze, lub raczej przestrzegliśmy panią przed nimi, zrobiło się dość późno, pora więc, żebyśmy podziękowali za gościnę i wrócili do siebie, – Poruszyła się, rozprostowując zeszywniałe nogi.

Begam wydała z siebie odgłos niezbyt przystający damie.

– Czyli – odezwała się zrzędlawie – nawet przechadzając się po waszych salach balowych i salonach, będę równie odizolowana od świata jak tutaj, w domu. – Podniosła wzrok na Emily, której udało się jakoś wstać. Zmrużyła oczy i wycelowała w nią palec. – Aha! Teraz rozumiem, czemu nosicie takie suknie, czemu tak starannie się zakrywacie, kiedy wychodzicie między ludzi. Dlaczego poza domem ubieracie się jak mniszki, a nie żony.

Emily ugryzła się w język, by nie poinformować begam, że zarówno w domu, jak i poza nim europejskie kobiety ubierają się tak samo.

Begam podniosła się płynnie, z gracją, w pełnej krasie prezentując swe prawie nieosłonięte piękno. Zamachała rękami.

– Proszę mi pokazać tę suknię. Nie mam takiej.

Emily wolno okręciła się w miejscu, zerkając przy tym na Garetha. Wstał wraz z nią, ale nawet dla jej wyszkolonych oczu jego twarz pozostawała nieprzeniknioną maską. Nie miała pojęcia, co sobie myślał.

Kiedy Emily zakończyła obrót, begam popatrzyła na nią, marszcząc brwi.

– Czyli muszę zapędzić moje szwaczki, żeby uszyły mi suknie podobne do tej, albo zdenerwuję i zawstydzę mego męża, kiedy znajdziemy się na europejskich dworach?

Emily zawahała się, nie podobał jej się bowiem błysk wyrachowania w ciemnych oczach begam. Ponieważ jednak nie miała wyboru, przytaknęła.

– Wobec tego, majorowo Hamilton – rzekła z uśmiechem begam – wyświadczy mi pani wielką przysługę, jeśli zechce zamienić się ze mną na stroje. Jesteśmy podobnego wzrostu i figury. Zrobi mi pani tę ogromną uprzejmość?

Emily starała się nie patrzeć na przezroczystą kreację gospodyni. Oprócz wyrachowania w oczach begam było coś jeszcze – pragnienie, żeby wynieść coś z tego spotkania. Coś pozytywnego, czym mogłaby się pochwalić przed innymi... Emily słyszała, że begam mieszka w haremie; była pierwszą żoną, owszem, jednakże zaledwie pierwszą z wielu...

Skinęła głową.

– Tak, oczywiście.

Zgrzytając zębami, Gareth wszedł śladem Emily na dziedziniec gościńca. Obcesowym skinieniem głowy pożegnał kapitana i zamknął furtę na zasuwę.

Idąc za Emily ku drzwiom głównej sali, wypatrzył w ciemności Mooktu i pozdrowił go uniesieniem dłoni, ale nie zwolnił kroku. Jako że pozostali nie wiedzieli, kiedy oni dwoje wrócą, podzielili nocne warty między siebie, tak więc Gareth nie musiał się już tym kłopotać. Ponadto, dzięki Emily, mieli teraz po swojej stronie również begam, tradycyjnie rządzącą miastem pod nieobecność męża.

Peleryna zafurkotała, kiedy Emily zebrała ją, by wspiać się po płytkich stopniach. Przez chwilę wyzierały spod niej wykończone frędzlami, haftowane jedwabne mankiety spodni, w blasku księżyca błysnął też łańcuszek na kostce, zanim Emily na powrót opuściła pelerynę, wstępując w mrok sali.

Gareth podążył za nią, ponury i spięty. Nigdy w życiu nie czuł się tak wdzięczny za to, że istnieją damskie peleryny. Kiedy Emily i begam oddaliły się, by dokonać wymiany strojów, Gareth, przewidując, czym się to dla niego skończy, odszukał eunucha i poprosił go o przyniesienie peleryny, która została przy zdecydowanie nazbyt odległym wejściu.

Na szczęście, eunuch wrócił z okryciem, zanim pojawiła się Emily. Kiedy w końcu ona sama nadeszła śladem begam, która dzięki europejskiej sukni zyskała przyzwoitą prezencję, Gareth zaczerpnął powietrza, przytrzymał je w płucach i starał się nie pokazać po sobie reakcji. Żadnej. Nadludzkie wyzwanie, któremu nie podolał.

Jednakże rumieńce na policzkach Emily prędko odwróciły uwagę Garetha od jego własnego cierpienia. Strzepnął pelerynę i przytrzymał ją w górze. Emily przemknęła przez pokój, podzwaniając łańcuszkami na kostkach, żeby schronić się pod fałdami miękkiej wełny.

Kiedy już się okryła, natychmiast wróciła jej pewność siebie. Pożegnały się z begam, wymieniając szczerze uśmiechy i uprzejmości.

Najwyraźniej temat sukien jednocy wszystkie kobiety.

Emily, nadal otuloną peleryną, zaczęła wspinać się po schodach na piętro gościńca. Kiedy Gareth postawił nogę na pierwszym stopniu, obejrzała się i uśmiechnęła doń przelotnie w blasku księżyca.

– Skończyło się o wiele lepiej, niż się spodziewałam. Nie jego w tym zasługa. Gareth zacisnął zęby. Buzujące w nim emocje zbiły się w jego trzewiach w gorący supeł, który wolno, nieubłaganie podchodził mu do gardła.

– Kupię ci inną suknię – rzucił z gniewem, irytacją albo może frustracją.

– Nie bądź śmieszny. – Emily obejrzała się na niego stanąwszy na piętrze. Mówiła cicho, ze względu na pozostałych, którzy ani chybi już spali.

Ruszyła dalej wąskim korytarzem. – To tylko suknia. Mam ich wiele, więcej nie trzeba.

– Tak czy owak, w Anglii sprawię ci inną w zamian.

Dotarła do drzwi sypialni, przystanęła i odwróciła się do niego. Kiedy się przed nią zatrzymał, pomimo mroku widziała, że uparcie zaciska szczęki, wyczuwała bijącą od niego... dezaprobatę? Zmrużyła oczy i wysunęła brodę.

– Zrobiłam to, co było konieczne, żeby wydostać nas stamtąd, nie wywołując awantury, na którą nie możemy sobie pozwolić.

Zadrgał mu mięsień w twarzy.

– Gdybyś tylko zostawiła to mnie...

– Gdybym zostawiła to tobie, ta kobieta by... – Urwała, uzmysłowiwszy sobie, że w miarę, jak narasta w niej gniew, coraz bardziej podnosi głos.

Wydała z siebie stłumiony okrzyk frustracji, gwałtownie otworzyła drzwi, jedną ręką chwyciła Garetha za kurtkę munduru i wciągnęła do sypialni.

Gdyby stawiał opór, nie zdołałaby ruszyć go z miejsca, przypuszczalnie jednak chciał kontynuować tę wymianę poglądów nie mniej niż ona. Ściany i drzwi były na tyle mocne, żeby Emily mogła bez oporów wyrazić „poglądy”, które aż w niej kipiały. Że też śmiał nie doceniać tego, że ocaliła go przed kimś jak okropnym losem, jaki zgotowałyby mu begam!

Puściła go, stając naprzeciw niego w blasku księżycy wpadającym przez otwarte okiennice. Jej gniew sięgnął zenitu, górę wzięła wojowniczość.

Gareth odwrócił się, by zamknąć drzwi; kiedy znów stanął twarzą do niej, wspięła się na palce, spoglądając mu w oczy.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wydostałam nas dziś stamtąd, nie tracąc niczego ważnego, co więcej, zachowując przychylną begam. Co ci się w tym nie podoba?

Patrzył na nią mrocznie, zmrużonymi oczami.

– To ja mam zapewniać bezpieczeństwo tobie.

– Kto tak zarządził?

– Ja. Taki jest naturalny porządek rzeczy, wszyscy to wiedzą.

Mówił poważnie, czytała to z jego twarzy, lecz ani myślała ustąpić. Chciała zbudować z nim partnerstwo na całe życie i pewne rzeczy zamierzała ustalić na samym początku. Zaplotła ręce na piersi, przyciskając nimi pelerynę. Nadal patrzyła mu w oczy.

– Bez względu na to, jakie są powszechnie akceptowane praktyki, wyjdziemy z tego żywi, z twojej misji i tej niespodziewanej wspólnej podróży, wyłącznie wówczas, gdy będziemy współpracować i chronić siebie nawzajem. Dzisiaj mnie łatwiej było poradzić sobie z begam niż tobie i żadnemu z nas nic się nie stało. – Mrużąc oczy, do dała szorstko: – Powinieneś być mi wdzięczny.

Jej ton przystopował Garetha. Pobrzmiwało w nim zdenerwowanie z powodu tego, że nie pochwalił jej szybkiego myślenia, działań, dzięki którym wydobyła oboje z kłopotów. Cofnął się myślami, przeżywając ten wieczór raz jeszcze... i znów zapłonęły w nim te same, zbyt intensywne emocje. Twarz mu stężała.

– Tak czy owak, nie rób tego więcej.

– Czego?

– Nie wkraczaj między mnie a niebezpieczeństwo – Kiedy zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, zgrzytnął zęba mi i wycedził: – Na samym początku stanęłaś między be gam a mną. Później ciągle odwracałaś ode mnie jej uwagę

– Chroniłam cię!

– Wiem. Powtórzę jednak, że to ja powinienem chronić ciebie.

– Też zatem powtórzę: mnie nic nie groziło Natomiast tobie owszem!

Zaciskał szczęki tak mocno, że bał się, iż lada moment pękną.

– Tak czy inaczej...

Wydała z siebie nieokreślone warknięcie, wyrzucając w górę ręce, a wtedy peleryna ześlizgnęła jej się z ramion.

– Ty niewdzięczniku!

Peleryna z szelestem opadła na podłogę. Wpadający przez okno blask księżyca cudownie uwypuklił każdy łuk obleczonego w jedwabną gazę ciała Emily.

Przystąpiła do Garetha gwałtownie, unosząc głowę, niby z bliska spiorunować go wzrokiem.

– A może chciałeś się z nią położyć?

– Oczywiście, że nie... – Urwał, zapominając też o gniewnym grymasie, którym zamierzał podkreślić swoje słowa.

Niezdolny się powstrzymać, powędrował spojrzeniem w dół, wodził nim po jej ciele, jej krągłościach, tak niedoskonale ukrytych – tak kusząco odsłoniętych – pod haftowanym, zwiewnym jak pajęcza sieć jedwabiem.

Ślinka napłynęła mu do ust. Zacisnął pięści.

Twarz miał bez wyrazu; nie potrafił przybrać miny, która by go ocaliła.

Widok begam w tym stroju nie stanowił dla niego problemu. Gdy Gareth spojrział na nią po raz pierwszy, poczuł się niezręcznie, jak podglądacz, i później bez trudu odwracał wzrok.

Jednakże Emily w przejrzystym jedwabiu, jej ciało...

– Jediną kobietą, z którą pragnę dzielić łóżko... – Umilkł, zszokowany, że wypowiedział tę myśl głośno.

Przy czym nawet on słyszał w swym głosie żądzę. Wpatrywał się w blade, delikatne wzniesienia jej piersi. Cisza się przeciągała.

Zmuszał się do myślenia, lecz na próżno. Żądza zaćmiła mu umysł.

– Tak? – Ciche, wyczekujące, pełne nadziei ponaglenie.

Z trudem zaczerpnął tchu, podniósł wzrok, zajrzał w zieleń jej oczu i dostrzegł tam zrozumienie oraz...

Zachęte na tyle jawną, że przełamała ostatnią linię jego obrony.

Zaklął i przyciągnął ją do siebie.

Nachylił się, zmiażdżył jej wargi swoimi – pocałował ją z całą furia, frustracją i czystym pragnieniem, które dotąd w sobie dławił.

Przytrzymała jego głowę, oddając pocałunek, równie ognście, równie łakomie.

Od gwałtownego napływu emocji zawirowało mu w głowie. Jedno uderzenie serca i gniew oraz frustracja przekształciły się w potężne, narastające pożądanie.

Stwardniał boleśnie, każdy jego mięsień obrócił się w stal.

Puścił ramiona Emily, z rozmysłem dotknął jej przy obleczonego w jedwab ciała... i puls raptownie mu przy spieszył.

Zamknął dłonie wokół jej talii, wyczuwając łomot jej serca.

Wściekł się nie tylko dlatego, że naraziła się na nie bezpieczeństwo, lecz także – ponieważ gdyby coś poszło źle, nie umiałby jej ochronić. Zarazem musiał pozwolić, żeby to ona zajęła się tą sprawą; sam nie miał koncepcji, jak to zrobić, dlatego pozostało mu siedzieć cicho i pa trzeć, jak Emily ryzykuje...

Przekrzywił głowę i zagłębił się w jej usta, pustosząc, plądrując.

Nacisk jej warg w odpowiedzi, jej kuszący smak, złakniona namiętność, z jaką go powitała, dały mu pewność. Poradziła sobie i teraz byli bezpieczni. Żyli. I pragnęli, każde z nich potrzebowało... Tego drugiego.

Resztki rozsądku wysunęły zastrzeżenie, że to typowa reakcja po pokonaniu niebezpieczeństwa. Nie powinien wykorzystywać...

Wyłączył ów strofujący głos. Nie rozumiał jej motywów, brakło mu jednak sił, by się jej oprzeć. Albo samemu sobie. By wycofać się z tego, czego oboje tak otwarcie, tak desperacko pragnęli.

Pożądali.

Co musieli mieć.

Poruszył palcami i poczuł, jak jedwab ślizga się po równie gładkim ciele, jak rozgrzewa się pod jego dłońmi. Powiódł rękami po jej plecach, a delikatna materia prowokacyjnie, uwodzicielsko przesuwiała się po jedwabistej skórze.

Rozczapierzył dłonie na jej plecach i przyciągnął ją, zarazem wychodząc jej naprzeciw.

Przygarnął ją do siebie, mocno tulił ciepłe kobiece kształty obleczone w zwiewny materiał.

A Emily się nie opierała.

Ochoczo, gorączkowo oplotła go ramionami za szyję, wyciągnęła się na palcach, żeby mocniej wpić się w jego wargi, oddając coraz bardziej ognisty pocałunek. Przyłgnęła doń z uległością zrodzoną z absolutnej pewności.

Jej zmysły rozbudziły się gwałtownie, a kiedy Gareth wzmocnił uścisk, kiedy stalowe pęta uwięziły Emily przy jego twardym ciele, ogarnęła ją radość. Podporządkowała się dyktatowi łomocącego szaleńczo serca i zatopiła się w uścisku.

Poddała się odurzającemu gorącu, wirowi zmysłów, zawrotnemu tempu swego pulsu.

Pragnęła.

Wspinając się na palce, napierając na niego, oddając mu swe usta i kusząc go ze znanstwem, desperacko pragnęła. Więcej. Wszystkiego. Teraz.

Tu, w tym pokoju, skąpana w blasku księżycy, pragnęła go z pewnością, która wlewała ogień w jej żyły.

Z absolutną tęsknotą, dotąd jej nieznaną, zbyt wibrującą, zbyt przenikliwą, żeby ją kwestionować.

Jej potrzeba po prostu istniała, tak jak Emily po prostu należała do niego.

Jak Gareth należał do niej.

Tylko to się liczyło. Nic nie zdołałoby przełamać owego przymusu, który powitała całym sercem.

Rozpalonymi dłońmi wodził po jej gładkich plecach, osłoniętych kuszącym, drażniącym zmysły jedwabiem, który szeptał o upojnych nocach i obiecywał rozkosze namiętności, pieszcząc jej skórę także i tam, gdzie nie spoczywały akurat ręce Garetha, aż czuła mrowienie w całym ciele.

Żar wnikał w nią, coraz głębiej. Gareth przekrzywił głowę i znów splądrował jej usta, odzyskując uwagę Emily, ciężko ślizgał się językiem po jej języku, ucztował łapczywie, nieprawdopodobnie podniecająco.

Rozpalonymi dłońmi odnalazł jej biodra, prześlizgnął się po nich do tyłu, chwycił.

Uniósł ją, dopasował do siebie. Cieniutki jedwab nijak nie wytlumiał ekscytującej męskiej twardości, która napierała przez materiał jego spodni, odciskając się na sprężystym brzuchu Emily.

Z kontrolowanym rozmysłem poruszył się, ocierając się o nią sugestywnie, prowokacyjnie, aż musiała zacisnąć pięści.

Pod jej skórą rozlało się rozkoszne gorąco, falami przemieszczało się w dół i tam, nisko, się gromadziło. Wzbierało. Pulsowało.

Przerwała pocałunek, łapczywie chwytając powietrze, Przelotnie zajrzawszy mu w twarz, dostrzegła w jego oczach mroczny płomień.

Wsunęła palce w jego włosy. Zmusiła się, by unieść ociężałe powieki i popatrzyła mu w oczy, dziwnie świadoma swych rozpalonych, obrzmiałych warg, śliskich od pocałunku, przyspieszonego oddechu i ucisku w piersiach.

Wirowania zmysłów, krążącej w żyłach tęsknoty.

Pulsującej w niej nieodparcie potrzeby.

Zagładając w mroczne głębie jego oczu, zobaczyła, że żar odrobinę ustępuje. Rozsądek i uparty, głęboko zakorzeniony honor walczyły w nim, usiłując pokonać przymus namiętności i odzyskać kontrolę.

Jednakże Emily balansowała na krawędzi. Tak świadoma...

Ognia wzbierającego pod jej skórą. Pulsującego w jej wargach i, jeszcze uporczywiej, we wrażliwym miejscu między udami.

Po raz pierwszy w pełni poznała smak pożądania. Zalało ją, obudziło w niej potrzebę. Jej ciało miękło, roztapiało się. Tęskniło za wypełnieniem, jakiego dotąd nie doświadczyła, z gwałtownością, która sprawiała jej ból.

Popatrzyła mu w oczy.

– Nie. Przystawaj. – Takiego tonu mogłaby użyć begam: rozkaz zabarwiony namiętnością i pożądaniem.

Ogień w jego spojrzeniu rozgorzał na nowo. Pierś mu się uniosła, kiedy walczył – ten przeklęty człowiek walczył! – żeby nad nim zapanować. Żeby go zdławić.

Nie zdołał jednak.

Każdy mięsień w jego muskularnym ciele się naprężył. Przemienił się w stal, twardą i nieustępliwą.

Jeśli Emily pragnęła spędzić z nim tę noc, także czekała ją walka.

Walka z nim, z jego zbyt szlachetną naturą.

Ciągle patrząc mu w oczy, zaczerpnęła tchu... i wezbrała w niej moc. Jakiś niepojęty ogień przybył na jej wezwanie, wzniósł się i pochłonął ich oboje.

Nie musiała rozmyślać, poszukiwać, zastanawiać się. Pragnienie i namiętność, żądza i potrzeba – wszystko to krążyło wokół nich, niemal iskrząc w powietrzu.

– Chcę tego.

Nadal tulił ją do siebie. Z rozmysłem, śmiało napała bliżej.

Poczuła, że zareagował, niezdolny się oprzeć. Poczuła, jak między nimi buchają płomienie.

– Pragnę cię – szepnęła mu prosto w usta, wspinając się na palce. Z bliska zajrzała mu w oczy. – Muszę mieć cię w sobie.

Wyłącznie w ten sposób mogli ugasić wzniecony przez nich ogień. Z bolesną wyrazistością pojmowała, że to i tylko to ukoi narastający w niej ból, zaspokoi jej głód.

Tego właśnie potrzebowała, żeby spełniły się jej marzenia.

I tego potrzebował także on, ten uparty mężczyzna.

Nadal mocno trzymał ją w objęciach.

Wyczuwała gorzejącą w nim bitwę. Walczył wytrwale, ale nie wygrywał.

Uśmiechając się do siebie w duchu, wysunęła dłonie z jego włosów, ujęła jego twarz, jeszcze odrobinę bar dziej wspięła się na palce i pocałowała go.

Żarłocznie, nienasycenie, pożądliwie.

Tym pocałunkiem kusila, wabiła, obiecywała.

Nie zataiła niczego. Pragnęła, by przestał myśleć, po rzucił swą szlachetność i wziął ją do łóżka.

Pragnęła go. Pragnęła tego.

Wszystkiego. Teraz. Tutaj.

Gareth zrozumiał przesłanie. Sam wiedział, co robi, lecz nie był pewien, czy ona to wie. Cóż jednak mógł poradzić?

Opór był daremny, oderwanie się od niej niemożliwe. Nie wypuściłby jej już z objęć. Nie teraz, nie po tym, gdy tak czytelnie wyraziła swe życzenia.

Pragnę cię. Muszę mieć cię w sobie.

Jaki mężczyzna odmówiłby podobnej prośbie?

Z pewnością nie on. Nie, gdy to ona prosiła.

Nie był nawet pewien, kiedy podjął decyzję – kiedy dokładnie się poddał.

Wiedział tyle, że musi spełnić jej życzenie, musi wejść w nią głęboko, że pragnie tego równie mocno jak ona.

Ta konkretna potrzeba jawiła mu się wyraźnie, szarpała trzewia pazurami niczym demon.

Dlatego przerwał żarłoczny pocałunek, wziął Emily w ramiona i poniósł do łóżka.

Kiedy ją na nim kładł, jej oczy błysnęły w blasku księżyca, a wargi rozchyliły się w przelotnym, pełnym satysfakcji uśmiechu.

Pragnął położyć się w ślad za nią, nakryć ją swym ciałem, zerwać z niej cienki jedwab i wdrzeć się w nią, jednakże oparł się temu pragnieniu, oparł się pożądanemu, które pulsowało mu w żyłach, wyprostował się i odstąpił poza zasięg jej rąk. Stojąc, zdjął kurtkę munduru.

Obserwowała go z uśmiechem – delikatnym, tajemniczym uśmiechem kobiecego triumfu – a potem usiadła i sięgnęła za plecy, do guzików połyskującej na jej skórze jedwabnej bluzki.

–Nie.

Podniosła wzrok, zaskoczona jego gardłowym rozkazem.

– Zostaw, sam to z ciebie ściagnę. – Wskazał brodą. Połóż się, chcę na ciebie popatrzeć. *Chcę sam to zaplanować.*

Emily napotkała jego mroczne spojrzenie i zawahała się, gdy coś w jej wnętrzu skurczyło się w prymitywnej reakcji na czającą się pod powierzchnią jego słów obietnicę. Jednak... Z nieznacznym uśmiechem opadła wolno z powrotem na poduszki, odnotowując, że on łapczywie wędruje oczami od jej ramienia do piersi, biodra, wreszcie uda.

Serce tłukło się w niej głośno, nie zwalniając tempa. Spojrzenie Garetha tylko bardziej ją rozpalało.

Rozbierał się spieszenie, ujawniając imponującą muskulaturę. Odrzucił na bok koszulę, rozpiął spodnie – pas zdjął już wcześniej – i usiadł na skraju łóżka, żeby zzuć buty, dzięki czemu Emily mogła podziwiać jego umięśnione plecy, bezmiar mocarnych barków.

Ślinka napłynęła jej do ust. Niezdolna się oprzeć, wyciągnęła rękę i dotknęła. Drgnął, rzucił jej mroczne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Pozwolił jej gładzić, testować niewiarygodną sprężystość jego skóry i twarde jak stal mięśnie pod nią.

Płonał, a jego żar na nowo ją uwiódł.

Jeden but uderzył o podłogę, sekundę później poszybował za nim drugi.

Cofnęła rękę. Z zapartym tchem i nagłą suchością w ustach czekała, aż Gareth wstanie i się odwróci.

Nie doczekała się. Uniósł się nieco, ale tylko zsunął spodnie z bioder i zaraz usiadł na powrót, by zdjąć je do końca.

Ledwie zdążyła zarejestrować cały manewr, kiedy po zbył się spodni.

Legł u jej boku, górując nad nią, wsparty na ramieniu

Wiedziała, czemu to zrobił. Znajdował się teraz zbyt blisko, żeby sięgnęła wzrokiem poza jego szeroką klatkę piersiową. Jakkolwiek widok był smakowity, Emily oczekiwała czegoś więcej.

Zwęziła oczy i otworzyła usta, by poinformować go, że ma trzy zameżne siostry...

Pocałował ją. Wypełnił jej usta swym przemożnym smakiem, z mocą, namiętnością i obietnicą.

Z łatwością uniósł ją ze sobą na fali wzbierającej potrzeby, napędzany narastającym, drapieżnym przymusem

Zamknął dłoń na jej obleczonej jedwabiem piersi, ścisnął. Pieścił. Kciukiem odnalazł sutek i okrążył go, gładził, drażnił... aż westchnęła mu prosto w usta i wygięła ciało w łuk, mocniej napierając na jego dłoń.

Większej zachęty nie potrzebował.

Ciężką dłonią wędrował po jej ciele, pożądliwie i władczo, wydobywając z Emily reakcje, o jakie nigdy by siebie nie posądzała.

Wydawało jej się wcześniej, że jest podniecona.

Teraz płonęła.

Przerwał pocałunek, cofnął się i nachylił głowę, by lizać, obmywać. Jedwab przylgnął do jej piersi, do ściągniętego sutka. Gareth odsunął się na chwilę, żeby na nią spojrzeć, a potem raz jeszcze wziął zbity pęk w usta.

I ssał.

Krzyknęła. Walczyła, żeby zdławić ten odgłos. Starła się utrzymać na szczycie fali doznań, która za jego sprawą przetaczała się przez nią gwałtownie. On nadal ucztował, aż zabrakło jej tchu, aż poruszyła się z jękiem

Wtedy wsunął dłoń między jej uda i pogładził ją tam palcem przez wilgotny jedwab.

Zakwiliła, kurczowo przytrzymała przy sobie jego głowę, jednocześnie napierając nań biodrami, błagając bez słów.

Palec odnalazł wejście i nacisnął, wsunął się do środka, lecz tylko odrobinę, gdyż dręcząca, frustrująca bariera mokrego jedwabiu uniemożliwiała prawdziwy dotyk, głębszą penetrację.

Pragnęła... Emily wiedziała dostatecznie wiele, by pojmować, czego pragnie.

Jedną ręką puściła jego włosy, sięgnęła niżej... i znalazła. Gorętszy niż powinno być ciało, przypominał obleczoną aksamitem stal. Dotknęła go koniuszkami palców, pogłaskała napęczniałą żołądź.

Zamarł w chwili, gdy nawiązała kontakt. Wyciągnęła się trochę, ujęła go w dłoń i delikatnie pogładziła.

Zadrżał i zaklął cicho, obmywając oddechem jej udręczony sutek.

Potem się poruszył.

Z trudem zdławiła okrzyk, kiedy przetoczył się, porywając ją ze sobą, tak że wylądowała na nim z szelestem jedwabiu. Jedną ręką przyciągnął do siebie jej głowę i wpił się w jej usta z władczością tak zachłanną, że aż podkurczyła palce u stóp.

Tymczasem jego druga ręka również znalazła zajęcie. Emily zdała sobie z tego sprawę dopiero, kiedy przejrzysta bluzka rozchyliła się na jej plecach i chłodne nocne powietrze musnęło nagą skórę. Z pomocą Garetha wyswobodziła się z bluzki i, nie patrząc, odrzuciła ją na bok.

Skupiła się na tym, że dotyka go nagim ciałem, jej piersi, boleśnie nabrzmiałe, napierają na mięśnie jego klatki piersiowej, ściągnięte sutki odurzająco ocierają się o szorstkie włosy.

Ledwie wchłonęła to nowe doznanie, gdy poczuła szarpnięcie i jedwabne spodnie z haremu ześlizgnęły się jej z bioder.

Raptownie narosło oczekiwanie, pulsując niecierpliwie w jej żyłach.

Napięte nerwy reagowały na każdy dotyk. Czekala, gdy powoli zdejmował z niej jedwab. Wstrzymała oddech, gdy uniósł ją, żeby zsunąć spodnie z jej ud.

Wybiegając myślami naprzód, upojona rozkoszą, przypomniala sobie o mankietach u kostek.

Akurat kiedy Gareth znów się przetoczył, przyszpilając ją pod sobą.

Kurczowo chwyciła go za ramiona, zatchnęła się od tego doznania – pokonana, uwięziona przez rozpalone, twarde męskie ciało. Odurzył ją dodatkowo zaborczym, stanowczym pocałunkiem zdobywcy.

Wykorzystując jej rozkojarzenie, Gareth oderwał się od niej, uporał z mankietami jej spodni i rozebrał ją do końca.

Krótką chwilę napawał się jej widokiem, gdy leżała tak, podniecona, z gęstymi włosami rozrzuconymi bezładnie na poduszkach, z na pół opuszczonymi powiekami i obrzmiałymi, błyszczącymi wargami. Patrzył na jej ciało, ponętne i zmysłowe – i należące teraz do niego.

Potem wyciągnął się nad Emily i wolno na nią opadł Zadrzał, gdy poczuł pod sobą jędrne kształty, sprężysta skórę, kobiecą miękkość; demon w jego trzewiach aż się ślinił z rozkoszy.

Na jego piersi spoczęły drobne dłonie. Nacisnęła. Spojrzał jej w oczy i nie zdziwił się za bardzo, kiedy słabo zaprotestowała:

– Chcę cię zobaczyć.

– Nie teraz – warknął.

Wątpił, czy zniósłby taką torturę... Na pewno nie bez jakiejś reakcji. Nie, jeśli chciał zachować kontrolę, nie zbędną do tego, by działać powoli. Dałby sobie uciąć głowę, że Emily jest dziewicą, dlatego owo „powoli” było

bezwzględnie konieczne. Nie, żeby miał jakiegokolwiek doświadczenie w tym konkretnym obszarze – zgodnie ze swym prywatnym kodeksem dziewice zostawiał w spokoju – jednak tak słyszał.

Spostrzegł, że Emily, choć rozpalona, zaczyna zaciskać szczęki.

– Później – rzekł, w natchnieniu dodając: – Następnym razem. – *Być może.*

Nie czekał, by się przekonać, czy wyraziła zgodę, tylko znów ją pocałował.

Ogień między nimi nie przygasł ani chwilę, a teraz dodatkowo się rozszalał, płomienie ryczały, gdy dłonie dotykały gorącej, wilgotnej od potu skóry, gdy Gareth roztrącił jej uda, a ona natychmiast ochoczo je rozchyliła.

Ulokował się między nimi, gdy zaś Emily poruszyła się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, a potem napała biodrami...

Wszedł w nią, pokonał pierwsze centymetry, nim w ogóle uzmysłowił sobie, że zamierza to zrobić. Później nie było już odwrotu.

Okazała się ciasna. Tak ciasna, że zadrżał i wstrzymał oddech, napierając do jej wnętrza, coraz dalej. Wypełniał ją, centymetr po centymetrze, a ona rozciągała się, przyjmując go w siebie.

Rzeczywiście, bariera tam była. Napiął wszystkie mięśnie, wziął je w pełni pod kontrolę i wycofał się niemal zupełnie, czując, jak ona przytrzymuje go kurczowo, gorączkowo, jak stara się wepchnąć go z powrotem.

Pchnął potężnie, przedarł się przez cudowną barierę i schował w niej cały, wniknął w nią głęboko.

I zatrzymał się. Trwał nieruchomo, w pełni skoncentrowany na niej.

Uwięziona w pocałunku, nie wydała z siebie żadnego jęku, ale zamarła pod nim.

Instynktownie zareagowała na nagły ból. Czekał. Z ustami na jej wargach, modlił się, żeby nie bolało jej zbyt mocno, żeby Emily...

Urwał tę myśl, kiedy się pod nim rozluźniła. Kiedy stopniowo spływało z niej wywołane bólem napięcie.

Spod tego napięcia wyłoniło się coś, czego Gareth przy całym swym doświadczeniu nigdy dotąd nie napo tkał. Chwilę trwało, nim znalazł właściwe słowo.

Fascynacja.

Była całkowicie oczarowana. Nie tylko jego ciałem, ale również ich połączeniem, tym, że tkwił w niej tak głęboko.

Pocałował ją delikatnie i wolno się wycofał, a potem wszedł w nią znowu. Poczul, że jej ekscytacja, owa fascynacja, przybiera na sile.

Władzę przejęły instynkty. Zatracili się w tańcu.

Emily poddała się temu doznaniu, jemu, narastającej euforii ich połączenia. Chłoneła ów akt, przepelniona radością, szczęściem, niewysłowioną ulgą, że oto wreszcie dotarła do celu, z nim, i że wszystko to tak dalece przerasta wyobrażenia zrodzone z opisów jej sióstr.

Rozkoszowała się tym zbliżeniem, ponaglała Garetha Starła się wyjść mu na spotkanie, dopasować do niego, nauczyć się, co go zadowala, dzielić z nim jak najpełniej rozkosz, którą tak hojnie ją obdarzał, i dać mu tyle samo w zamian.

Miłość polega na dzieleniu się – czuła teraz tę prawdę do szpiku kości. To właśnie pragnęła osiągnąć, szukała sposobów, by zadowolić go swym ciałem tak, jak on za dowalał ją.

Jeśli nawet był to swego rodzaju pojedynek, przypuszczała, że sprawiał mu taką samą przyjemność jak i jej. Od czasu do czasu przerywali pocałunek, a wtedy rozkoszowała się urywanym rytmem ich oddechów, pożądaniem,

które pchnęło ich do tych zmagania, ciała przy ciele, serca przy bijącym głośno sercu.

A potem znów zanurzali się w pocałunek, nurkowa li w płomienie, w narastający, wymykający się opisom

Nieważne, że to był jej pierwszy raz – chciała wydobyć z niego jak najwięcej, powitać tę rozkosz, zawłaszczyć...

Aż zapłonnie w jej żyłach, aż przeistoczy szalejące po skórze płomienie w istną pożogę. Taką, która wnika głęboko, nieubłagane, zdążając do...

Jęknął jej w usta i pchnął mocno, głęboko, a nią wstrząsnęła eksplozja doznań. Ostre, lśniące okruchy rozkoszy roziskrzyły każdy nerw, spływały wszystkimi żyłami.

I wzleciała wysoko nad ziemię, wyzwolona.

Przez dwa uderzenia serca Gareth napawał się jej wyzwoleniem, zaciskając zęby, żeby jeszcze trochę wytrzymać, lecz drgania jej ciasnej pochwy nieodparcie pociągnęły go dalej.

Spłynęła nań ulga, głębsza niż kiedykolwiek.

Poddał się, popuścił wodze drżącemu ciału i podążył za Emily w ekstazę.

Błogość. Emily uznała, że nie zna lepszego słowa na opisanie owego doznania.

Leżała na plecach w skotłowanej pościeli, obok wyciągniętego na brzuchu, ciężkiego i gorącego Garetha, wpatrując się w sufit z uśmiechem na twarzy i niezwykłym spokojem w sercu.

Więc tak to jest po fakcie. Jej siostrom nigdy nie udało się opisać tego momentu; powiedziały, że musi sama go doświadczyć.

Gareth się poruszył, zdawało się, z wielkim trudem. Znała to uczucie. Szczerze wątpiła, czy zdołałaby w tej chwili unieść palec.

Na sam koniec przygniótł ją, zaraz jednak uniósł się na tyle, by zsunąć się z niej i nie wciskać jej dłużej w materac. Mimo że Emily bynajmniej to nie przeszkadzało; podobało jej się, gdy legł na niej bezwładnie.

Być może dlatego, że to ona doprowadziła go do takiego stanu.

Gareth niespiesznie uniósł się na łokciach i omiótł ją przeciągłym, szacującym spojrzeniem. Włosy miał w rozkosznym nieładzie, rysy twarzy nadal rozluźnione, bez typowego dlań wyrazu zdecydowania.

Wargi jej zadrgały i uśmiechnęła się promiennie, stosownie do swego nastroju.

– Było cudownie.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem ni to chrząknął, ni to sapnął i przemieścił się na jeden łokieć, żeby lepiej ją widzieć. Rysy jego twarzy wyostrzyły się, przybierając zwykły władczy wyraz.

– Oczywiście, w Anglii się pobierzemy. Wytrzymała jego wzrok, ani trochę nie zdziwiona tym

zarządzeniem. Oczekiwała czegoś w tym stylu – nie oficjalnych oświadczyn z przykłonem na kolano, a już z pewnością nie deklaracji dozgonnej, zdolnej wszystko przetrwać miłości.

Jeśli wszakże zyskała coś tej nocy, było to jednoznaczne potwierdzenie, że Gareth, ponad wszelką wątpliwość, jest jej „jedynym”, że to jego i tylko jego win na poślubić.

Dlatego też jej odpowiedź była z góry przesądzona. Jednakże... Gdy, dziękując w duchu za blask księżyca, który jej to umożliwił, zajrzała głęboko w ciemne oczy Garetha, uzmysłowiła sobie, że za sprawą begam i jej uwodzicielskiego stroju przeskoczyli we dwoje kilka etapów znajomości.

Wiedziała, że był jej „jedynym”, ale czy z jego strony sytuacja wyglądała podobnie?

Nie mogła pójść z nim do ołtarza, dopóki nie pozna odpowiedzi na to zasadnicze pytanie, dopóki nie ustali, z jakiego konkretnie powodu chciał ją poślubić.

Należał do mężczyzn, dla których honor stoi po nad wszystkim. Było do przewidzenia, że powoła się na honor, by uzasadnić oświadczyzny, jednak Emily ani myślała pozwolić mu skryć się za tym parawanem. Jeśli kochał ją tak, jak ona jego, na co żywiła nadzieję i o co się modliła, wówczas powinien mieć odwagę – będzie miał odwagę – żeby to przyznać.

Pod warunkiem, że naprawdę ją kochał.

Jeżeli chodziło o nią, nie satysfakcjonowało jej nic innego.

Uśmiechnęła się beztrosko i słodko, nadal patrząc mu w oczy.

– Być może. – Ciągle uśmiechnięta, opuściła powieki, wyciągnęła rękę i poklepała go po piersi. – Musimy się przespać.

Było za ciepło, żeby przykrywać się prześcieradłem. Umościła się na łóżku i rozluźniła.

Gareth wpatrywał się w nią, a gdy już nie mogła tego widzieć, na jego czole pojawił się mars. „Być może”? Co to, u diabła, miało znaczyć?

Według niego sprawa była prosta. Chciał ją poślubić, wiedział o tym od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w barze dla oficerów w Bombaju, a teraz, kiedy mu się oddała – niemalże go uwiodła – w jego opinii rzecz została przesądzona.

Z jeszcze posepniejszym wyrazem twarzy odwrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Była dziewicą, pragnęła go i dostała to, czego chciała. Małżeństwo wydawało mu się naturalnym finałem tej historii.

Dlaczego „być może”?

Jego myśli krążyły wokół wyjątkowo nieprzyjemnej, potencjalnie bolesnej dlań koncepcji. Czyżby naprawdę pragnęła MacFarlane'a, lecz kiedy

los zrządził inaczej, postanowiła spróbować z Garethem? Drugim w kolejności? Czy to z tego powodu nie była pewna?

Przypomniał coś sobie. Zastanowił się. Wreszcie zapytał:

– Dlaczego podążyłaś za mną do Adenu?

Odpowiedziała natychmiast, nie zmieniając pozycji ani nie otwierając oczu.

– Ponieważ pomyślałam, że to – gestem objęła ich dwoje w łóżku – może być nam pisane, a przedtem musiałam lepiej cię poznać. Najpierw.

„Najpierw”? Ciągle srożył brwi. Czy właśnie otrzymał odpowiedź na swoje pytanie? Swoje prawdziwe pytanie?

Uniosła powieki i odwróciła głowę, żeby nań spojrzeć Prędko, nim zdążyła zobaczyć, na powrót wygładził rysy twarzy.

Z jej miny wywnioskował, że Emily nadal pławi się w poczuciu błogości i spełnienia.

Przyglądała mu się przez moment, a potem, wciąż uśmiechnięta, znów omiotła ich oboje machnięciem ręki

– Czy człowiek zawsze pograża się później w takim letargu? Jakby był senny, ale jednak niezupełnie tak samo? Czuję się całkiem bezwładna.

Ogarnęła go granicząca z dumą satysfakcja.

– Tak, właśnie tak powinnaś się czuć.

A skoro istotnie tak się czuła, nie było sensu na nią naciskać, żeby w tej chwili udzieliła właściwej odpowiedzi, to znaczy poparła podjętą przez Garetha decyzję w sprawie wspólnej przyszłości. Jeszcze nie skończyli podróży, a on umiał przekonywać.

Przybliżył się do niej, uniósł ją nieco i wsunął jej ramię pod plecy. Odwrócił Emily ku sobie tak, że leżała przytulona do jego boku, z głową na jego piersi.

– Teraz jest jak trzeba.

Uznał, że to dobra okazja, by wdrożyć procedury, których zamierzał odtąd przestrzegać.

Zwłaszcza że Emily wydawała się obecnie całkowicie uległa. Powierciła się nieco, umościła wygodnie i rozluźniła.

Z Garetha spłynęło napięcie, które niedawno na król ko wróciło.

Pocałował ją w czubek głowy.

–Śpij.

Bardziej poczuł niż usłyszał jej ciche prychnięcie, niemniej się podporządkowała. Słuchał, jak jej oddech zwalnia.

Zamknął oczy i uśmiechnął się w duchu. Spędzą razem jeszcze kilka tygodni. Poprzysiągł sobie – złożył cichy ślub w blednącym blasku księżycy – że na koniec tej przygody Emily będzie jego. Nie pozwoli jej odejść.

Nigdy.

Rozdział 12

19 listopada. 1822, wczesny ranek

Nadal w łóżku, lecz już sama

Drogi pamiętniku,

HA! Stało się. Wreszcie. I tak, z entuzjazmem donoszę, że bycie w łóżku z mężczyzną (tym właściwym) jest pod każdym względem tak wspaniałe, jak to sobie wyobrażałam. W rzeczy samej, w moich wyobrażeniach zabrakło paru istotnych szczegółów, lecz mniejsza o nie – rzeczywistość przerosła marzenia.

Oczywiście, nie obyło się bez zgrzytu (siostry zaiste przestrzegały mnie, że często się tak zdarza w relacjach z mężczyznami). Pewna sprawa nie przebiegła do końca zgodnie z moimi planami. Mianowicie Gareth po fakcie nie wyznał mi dozgonnej miłości, lecz tylko oznajmił, że się pobierzemy.

Tak, pobierzemy się (będę odtąd niezachwianie dążyć do tego celu, miniona noc potwierdziła bowiem ponad wszelką wątpliwość, że Gareth rzeczywiście jest moim „jedynym”), zanim wszakże staniemy przed ołtarzem, postanowiłam uzyskać gwarancję, iż on wie, że mnie kocha, potwierdzenie tego, że postrzega mnie jako swoją „jedyną”, tak jak ja jego, że łączące nas uczucie jest obustronne.

Żywię nadzieję, że w istocie tak się rzeczy mają, zarazem jednak deklaracja, którą wygłosił minionej nocy, została podyktowana honorem (a przynajmniej takich użył słów), dlatego nie wyjawiała mi nic na temat jego uczuć.

Będzie musiał bardziej się przyłożyć, zwłaszcza teraz, kiedy ja otwarcie wyznałam mu miłość. Oddalam mu się, a czyny, jak wiadomo, mówią głośniej niż słowa.

Sytuacja wygląda zatem tak: jestem jego, na zawsze i bez względu na wszystko, nim wszakże pozwolę, by wsunął mi pierścionek na palec (mój

główny cel), muszę uzyskać od niego wyznanie miłości. Wystarczy, że po prostu głośno to powie.

Oczywiste, drogi pamiętniku, że zamierzam osiągnąć mój główny cel. Ruszam naprzód z nadzieją.

W rzeczy samej, w podskokach, jestem bowiem pewna, że pokonałam już połowę drogi.

E.

Zanim nastąpiło południe, przecinali Jezioro Tuniskie na szebece kapitana Dacosty, żeby dostać się na Morze Śródziemne i – wreszcie! – pożeglować do Marsylii.

Gareth przechadzał się po pokładzie. Od wielu tygodni nie czuł się tak spokojny. Cieszył się, że poświęcił nieco wysiłku i stracił kilka dni na odszukanie Dacosty, kapitana poleconego mu przez Laboule'a. Podobnie jak Laboule, Dacosta z radością przystał na jego wymogi; w razie potrzeby ani kapitan, ani jego niewielka załoga nie cofną się przed walką.

Przy odrobinie szczęścia jednak jej unikną, od Aleksandrii nie widzieli bowiem ani jednego członka kultu. Choć początkowo Gareth sądził, że atak na niego i Mooktu pierwszego dnia pobytu w Tunisie był sprawką kultu, teraz coraz bardziej w to wątpił. Od tamtego zdarzenia panował wyjątkowy spokój, a to nie pasowało do kultu.

Przystanął przy nadburciu na dziobie i omiótł wzrokiem horyzont. Widział inne statki – znajdowali się w końcu na Morzu Śródziemnym – ale żaden nie okazywał nimi przesadnego zainteresowania. Co więcej, w od dali było pusto. Pogoda dopisywała i zanosilo się na to, że utrzyma się taka przez najbliższe dni.

Uśmiechnął się, uzmysłowiwszy sobie, że to samo można by powiedzieć o warunkach atmosferycznych w jego sferze osobistej. Emily promieniała, a

choć tylko on znał powód szerokiego uśmiechu, jaki gościł stale na jej twarzy, przypuszczał, że przynajmniej niektórzy z pozostałych czegoś się domyślają. Chociażby jej pokojówka: kiedy Gareth pomagał Dorcas wejść na trap, obdarzyła go nader wymownym spojrzeniem.

Nie potrafił do końca rozstrzygnąć, czy cieszy się, czy też nie z tego, że znaleźli się znowu na typowej szebece na tę podróż załadowanej amforami z wyśmienitą oliwą, w związku z czym każda wolna przestrzeń była na niej na wagę złota. Nie uświadczyło się tu dyskretnych zakątków, żadnego miejsca, gdzie on i Emily mogliby zaznać paru chwil prywatności.

W ogólnym rozrachunku uznał, że to dobrze. Wykorzysta czas podróży do Marsylii, żeby opracować swoje podejście – plan, jak uzyskać jej zgodę na małżeństwo, nie poruszając przy tej okazji kwestii jego motywów czy uczuć. To ostatnie tak czy owak sprawiłoby mu trudność, dotąd nie sprecyzował, co właściwie do niej czuje, znalazł jednak ostateczny rezultat – pragnienie, by została jego żoną – i tyle mu wystarczyło.

Zgłębiając ów temat...

Po chwili stłumił grymas niezadowolenia, wzruszył ramionami i podjął spacer po pokładzie.

Żaden żołnierz, szermierz ani dowódca nie ujawnia dobrowolnie swych słabości. Gareth był wszystkimi trzema naraz i nie zamierzał pogwałcić owego niepisanego prawa. Chciał poślubić Emily. W zaistniałych okolicznościach żadne z nich dwojga nie musiało wiedzieć więcej.

Oddelegowany do Tunisu samotny członek kultu pieczołowicie spakował swoje rzeczy do worka. Wypełnił rozkazy, a choć nie udało mu się schwytać majora, wywiązał się z najważniejszego, nadrzędnego zadania, jakim go obarczono.

Kiedy tylko spostrzegł grupę majora, zadbał, by wiadomość o tym opuściła Tunis na pierwszym odchodzącym stąd statku.

Miał nadzieję, że jego pan będzie zadowolony.

Zawiązał worek, omiół wzrokiem niewielki pokój i wyszedł.

19 listopada. 1822, wieczór

Raz jeszcze we wspólnej kajucie na szebecie

Drogi pamiętniku,

Opuściliśmy dziś Tunis przy sprzyjającym wietrze, który według kapitana Dacosty powinien towarzyszyć nam przez całą drogę do Marsylii. Dacosta bardzo przypomina Laboule'a, a zatem także i Garetha, i w ten sposób dochodzę do sedna.

Ludzie czynu, jak Gareth, nasi kapitanowie szebek, berberyjscy wodzowie i tak dalej, zdają się wykazywać pewne podobieństwa charakteru, zwłaszcza na gruncie osobistym. Dumalam nad mądrościami, jakimi zechciały się ze mną podzielić starsze Berberyjki, którym życie upłynęło na obserwacji takich mężczyzn. Ich spostrzeżenia dobrze pasują do Garetha Hamiltona.

W rezultacie doszłam do wniosku, że jakkolwiek on ewidentnie coś do mnie czuje i, co więcej, tym czymś wedle wszelkich oznak jest miłość, dla naszego przyszłego szczęścia wydaje się ważne (wręcz kluczowe), by uznał ów fakt, zaakceptował, że tak naprawdę to miłość (wzajemna i trwała) od samego początku stanowi podstawę naszego małżeństwa.

Jak więc mam tego dokonać?

Nieodmiennie zdeterminowana.

E.

Atak nastąpił o świcie.

Emily przebudziła się zniecka. Jej hamak zakołysał się niebezpiecznie, kiedy usiadła. Z pokładu nad jej głową dobiegały krzyki, którym towarzyszył niemożliwy do pomylenia szcęk broni.

Zadudniły kroki biegnących – to przebywający pod pokładem mężczyźni pędzili do schodni zejściówki.

Ktoś załomotał pięścią w drzwi kajuty; zaraz potem otworzyły się i stanął w nich Gareth w bryczesach i koszuli, z pistoletem w dłoni i przypasaną szablą. Popatrzył na Emily.

– Zostańcie tutaj.

Przeniósł wzrok na Dorcas i Arnie, podkreślając, że rozkaz dotyczy także ich, a później odwrócił się i pobiegł dołączyć do walczących.

Emily spojrzała na towarzyski, po czym stoczyła się z hamaka. W kajucie panował półmrok, perłowa poświata wstającego daleko na horyzoncie słońca dopiero z wahaniem sączyła się przez bulaj.

Niedługo potem, już ubrane, przystały we trzy u stóp schodni na rufie. Ani myślały rezygnować z udziału w walce. Zamierzały wesprzeć swych mężczyzn, ale nie były też głupie.

W tego rodzaju sytuacjach dowodzenie przejmowała Arnia. Uniosła głowę, nasłuchując głuchych odgłosów uderzeń i dudnienia stóp na pokładzie powyżej.

– Lepiej poczekać – szepnęła, nachylając się ku Dorcas i Emily – aż wszyscy zaangażują się w walkę, i dopiero wtedy zaatakować ich, to znaczy napastników, od tyłu.

Wykonała gest trzymanym w ręku nożem. – Jeśli członkowie kultu będą mieli czas nas zauważyć, ruszą najpierw ku nam, aby w ten sposób osłabić naszych mężczyzn.

Emily skinęła głową. Dorcas miała drugi nóż Arni. Emily rozejrzała się po kambuzie, ale nie spostrzegła niczego nadającego się do użycia. Pomimo treningu Bistera wątpiła, by zdołała walczyć nożem – robiło się jej niedobrze na samą myśl, że miałyby wbić w kogoś ostrze

już wcześniej jednak zauważyła na szebece bosak podobny do tego, jakim posłużyła się w trakcie ostatniej walki na statku. Tak jak wtedy na szkunerze, bosak wisiał na ścianie nadbudówki na rufie; chwyci go, kiedy tylko wydobędzie się na pokład.

Dla niej, Angielki, walka na kije wydawała się zdecydowanie bardziej stosowna.

Tymczasem Arnia ciągle nasłuchiwała z uwagą. Raptem skinęła głową.
– Teraz.

Wspięła się po schodni, Dorcas za nią. Emily podążyła tuż za nimi.

Na górze zastały nie chaos, lecz istne pandemonium. Szkunerów używano niekiedy jako okrętów wojennych, toteż były lepiej przystosowane do walki wręcz na pokładzie. Szebeki służyły zwykle wyłącznie do przewozu towarów. Ich niskie nadburcia i wąskie przejścia bardzo utrudniały walkę.

A z całą pewnością zaatakowali ich członkowie kultu.

Emily ujrzała stanowczo zbyt wiele głów we wzbudzających w niej taką obawę czarnych jedwabnych turbanach. Arnia i Dorcas usunęły jej się z drogi, gdyż spostrzegły właśnie proszące się o atak plecy. Emily wyszła na pokład, a później, skulona, sięgnęła po swoją broń.

Chwyciła gładkie drewno i akurat przyciągała bosak do siebie, kiedy intuicja kazała jej się obejrzeć.

Zauważył ją jeden z napastników. Błyskając złowieszczo zębami, ruszył w jej stronę z okrwawionym kindzalem w dłoni. Drugą rękę wyciągał ku niej.

Moment później już się nie uśmiechał, jako że Emily wbiła mu koniec bosaka w przyrodzenie.

Kiedy osunął się na kolana, doskoczyła do niego, kopnięciem wytrąciła mu broń z ręki, a następnie z całej siły zdzieliła go bosakiem w głowę.

Zwalił się na pokład – nieprzytomny, ale żywy.

„Nieprzytomny” nie wywoływał u niej wyrzutów sumienia.

Powaliła bosakiem jeszcze dwóch mężczyzn, potem jednak musiała poczekać, aż zrobi się na tyle luźno, by mogła nim władać... a, dobry Boże, napastników były dziesiątki. Kotłowanina ciał dosłownie zapchała pokład

Raptem Emily zobaczyła, dlaczego. Inna jednostka, bardzo podobna do ich szebeki, zbliżyła się do nich na tyle, że za każdym razem, kiedy fala popychała oba statki ku sobie, na pokład ich żaglowca przedostawali się kolejni członkowie kultu.

Emily jednym spojrzeniem oceniła sytuację na pokładzie szebeki. Ich grupa, wspomagana przez kapitana i jego załogę, walczyła mężnie, nie oddając pola. obrońcy nie zdołają jednak trwać w ten sposób w nieskończoność, gdy aż tylu atakujących jedynie czekało na okazję, żeby przeskoczyć między statkami i przyłączyć się do bitwy.

Ogarnął ją strach. Szeroko otwierając oczy, omiotła wzrokiem pokład. W łagodnej mgle poranka zlokalizowała wszystkich członków grupy, całych i zdrowych, walczących zaciekle. Jednakże dwóch marynarzy leżało już na pokładzie. Kiedy się przyglądała, upadł kolejny.

Polegli. I będzie ich znacznie więcej. Chyba że...

Po jej lewej nastąpiło jakieś poruszenie. Odwróciła się w tę stronę, unosząc bosak.

Z kotłowaniny wyłonił się Gareth, do tej pory walczący nieco dalej.

Ich oczy się spotkały. W jego spojrzeniu Emily wyczytała zimną furję, nim wszakże znalazł się przy niej, natarł ktoś na niego. Gareth odwrócił się z warknięciem i zajął napastnikiem, tnąc szablą płynnie, bez wysiłku.

Emily cofnęła się, żeby zrobić mu miejsce. Myśli w jej głowie gnały szaleńczo.

Powaliwszy przeciwnika, Gareth odwrócił się do niej.

– Na litość boską, co ty tu robisz?! – ryknął. – Zejdź pod pokład!

Pod pokład... Otwierając szeroko oczy, złapała go za koszulę i przyciągnęła do siebie na tyle blisko, by ją usłyszał w tym przeraźliwym zgiełku.

– Oliwa! – Pochwyciła jego spojrzenie. – Widziałam w kambuzie. Kuk dopiero co przelał oliwę z amfory do małych butelek. Ma tam też sporo szmat. Jeśli wetknie się szmatę do butelki, podpali i... – Podniosła wzrok na wypełnione wiatrem żagle ich szebeki, a później popatrzyła na drugi statek. Żaglowiec członków kultu, dotrzymujący im tempa. – Kiedy ich żagle spłoną...

Nie musiała kończyć. Gareth chwycił ją za ramię i pchnął w kierunku zejściówki na rufie.

– Idziemy!

Pomógł jej prześlizgnąć się między ścierającymi się zajadłe mężczyznami. Znienacka sięgnął pomiędzy walczących i kogoś szarpnął. Moment później z kłębowiska wychynął Bister.

– Co się stało?

– Chodź z nami.

Gareth przepchnął się obok Emily, żeby oczyścić teren przy zejściówce. Kiedy droga była wolna, Emily przemknęła za jego plecami i zeszła pod pokład. Na skinienia Garetha Bister zanurkował w ślad za nią.

Sam Gareth został z tyłu, by uporać się z dwoma członkami kultu, którzy widzieli ich poczynania. Jedno rozcięcie na ramieniu i dwa zadrapania później on także odwrócił się i zniknął pod pokładem.

Zastał Emily i Bistera, gdy w gorączkowym pośpiechu przygotowywali bomby zapalające. Emily już wcześniej znalazła kosz. Właśnie wetknęła do niego kilka ostatnich ceramicznych butelek z wystającymi z nich szmatami i podniosła wzrok na Garetha.

– Krzesiwo?

Sięgnął do kieszeni i wyjął hubkę z krzesiwem. Podobnie zrobił Bister.

– Ale... – Młody ordynans zmierzył wzrokiem butelki – Możemy je podpalić dopiero na pokładzie.

– Tak. – Gareth sięgnął po kosz, lecz wskutek nagłego zamieszania na korytarzu chwycił zamiast niego szablę i zwrócił się ku drzwiom.

Ukazał się w nich jednak tylko Watson, krwawiący z rozcięcia na policzku.

– Co trzeba zrobić? – spytał. Gareth opuścił broń i wziął kosz.

– Masz dobre oko?

Wy tłumaczył, o co chodzi, kiedy w ślad za Bisterem spieszyli z powrotem ku schodni na rufie. Gareth postawił przy niej kosz, podał Watsonowi dwie butelki, Bisterowi dwie kolejne, a wreszcie sam wziął dwie, upychając je w kieszeniach bryczesów.

– Wyjdę na pokład pierwszy i oczyszczę teren. Wy ruszacie za mną, zapalacie to i celujecie w żagle. Mooktu i Mullins są gdzieś tam na górze. Będziemy was osłaniać, a kiedy nadarzy się okazja, rzucę swoje butelki. Jednak niemal na pewno będziemy potrzebować więcej niż tych kilka sztuk – wskazał głową trzymane przez Watsona i Bistera pociski – żeby żagle tamtych całkowicie się zajęły. Dlatego kiedy je rzucicie, wróćcie po kolejne. –

Odwrócił się do Emily. – Ty zostań tutaj, na dole, będziesz nam podawać butelki. – Wzmocnił rozkaz spojrzeniem, które zawsze skutkowało w przypadku żołnierzy.

Raptem uderzyło go, że ma chęć ją pocałować za rozpaczliwie pragnie choć przelotnie posmakować jej warg. Wiedział, jak niekorzystnie dla nich kształtuje się układ sił tam na górze.

Zacisnął w dłoni szablę, odwrócił się i przepchnął obok Bistera.

– Ruszamy! – Nie oglądając się, wyszedł na pokład.

Z powrotem w bitewny zgiełk, gdzie sprawy rozwijały się zdecydowanie nie po ich myśli. Ten atak zorganizowano o wiele lepiej niż wcześniejsze; ktokolwiek za nim stał, znał się na rzeczy.

Ponowne pojawienie się Garetha na ograniczonej przestrzeni przy zejściówce chwilowo przeważało w tym rejonie szalę na korzyść obrońców.

Gareth odszukał Mooktu i wezwał go do swego boku. Zauważył ich Mullins i choć nie wiedział, o co chodzi, dołączył do nich, pomagając oczyścić teren przy zejściówce i utrzymać z dala kolejnych napastników.

U boku Mooktu walczyła Arnia, z kolei Dorcas trzymała się Mullinsa. Kobiety wyglądały na wycieńczone, ale nie odniosły ran, obie też miały noże. Gareth wiedział, że Arnia potrafi zrobić użytek ze swego ostrza, a nóż Dorcas również był zakrwawiony.

Potem na ich linię obrony natarła kolejna fala członków kultu i Gareth musiał porzucić te rozmyślenia.

Pierwsza bomba zapalająca wleciała łukiem zza jego pleców. Bister wycelował dobrze, ale wziął zbyt słaby zamach. Płonąca butelka rozbiła się na pokładzie wrogiego statku. Zaskoczona załoga szybko zdeptała ogień.

Jednakże kolejna butelka trafiła w dolną część żagla łacińskiego na grotmaszcie.

Oliwa wsiąkła w płótno, buchnął ogień – i żagiel się zajął.

Tak jak Gareth przypuszczał, marynarze skoczyli gasić płomienie, jednak Watson cisnął swoje dwie butelki, jedną po drugiej, tak że ogień pojawił się również z tyłu, da żaglu łacińskim na bezanmaszcie.

Pośród okrzyków i przekleństw marynarze wrogiego statku pospiesznie napełniali wiadra wodą. Nim jednak zdolali ugasić płomienie, Bister znowu trafił w środkowy żagiel, a później w górną część żagla na bezanmaszcie.

Wrogi statek zaczął wytracać prędkość, dzięki czemu w polu rażenia Bistera znalazł się żagiel na fokmaszcie. Watson tymczasem skupił się na dwóch pozostałych żaglach, już płonących.

Do tej pory atakujący mieli między innymi tę przewagę, że mogli pozostawać skupieni na walce, nie oglądając się na to, jak rozwija się sytuacja wokół nich. Kiedy jednak ich statek popadł w tarapaty, ów stan rzeczy uległ zmianie. Rozkojarzeni, co rusz zerkali na morze, jedynie po to, by się przekonać, że ich żaglowiec zostaje coraz bardziej w tyle.

Szala zwycięstwa, do tej pory po stronie członków kultu, teraz przechyliła się ku obrońcom szebeki. Dacosta i jego załoga to wyczuli. Prędko wykorzystali okazję i natarli ostro, przerzedzając szeregi wroga.

Część napastników uznała, że bezpieczniej będzie wyskoczyć za burtę.

A potem, nagle, bitwa dobiegła końca. Kiedy Gareth pozostawił innym niedobitki, u jego boku stanął Bister

– Bomby zapalające się skończyły – Bister skinął głową w kierunku wrogiego statku – ale chyba już im wy starczy. Watsonowi udało się nawet trafić w schowek na żagle, więc tak szybko nie ruszą za nami w pościg.

– Chyba że użyją wiosła. – Dacosta przepchnął się między zgromadzonymi na pokładzie, podchodząc do nich dwóch na rufie. Spojrzał na zostający coraz bardziej z tyłu statek, a następnie podniósł wzrok na żagle

szebeki i pokręcił głową. – Nie, nawet wtedy nie. – Zerknął na Garetha. – Ci ludzie... jest bardzo prawdopodobne, że potrafią dobrze wiosłować?

– Wcale. – Gareth popatrzył na Emily, która właśnie do nich dołączyła. Wyglądało na to, że nic jej się nie stało. Przytrzymała się jego ramienia, jakby szukała wsparcia i pocieszenia, a jego ogarnął spokój.

Dacosta miał przy sobie lunetę. Wycelował ją we wrogi statek.

– Załoga będzie musiała zrzucić te płonące żagle z masztów i cisnąć je za burtę, zanim w ogóle pomyśli o wiosłowaniu, a jeśli nie mają o tym pojęcia, marynarzy jest za mało, żeby wiele zdziałali. – Obejrzał się i dał znak pierwszemu oficerowi. – Będziemy nadal szli pod pełnymi żaglami, w tych okolicznościach to nie zaszkodzi.

Gareth pochwycił wzrok Emily.

– Miałaś wyśmienity pomysł z tą oliwą.

– To była pani sugestia, mam'zelle? – Dacosta spojrział na nią, unosząc brwi.

Emily uśmiechnęła się blado.

– Musieliśmy coś zrobić, zatem...

Najchętniej oparłaby się o Garetha całym ciężarem. Walka była potwornie wycieńczająca... prawdę mówiąc, była po prostu potworna. Emily starała się nie patrzeć, jak załoga sprawdza, kto z leżących na pokładzie jeszcze żyje, i wyrzuca ciała poległych za burtę. Ci członkowie kultu, którzy zachowali nieco sił, sami wcześniej skoczyli do morza.

Niemniej szebece nic już nie groziło.

Dacosta głębokim ukłonem wyraził swe uznanie.

– Mamy u pani dług, mam'zelle. W imieniu moim i załogi, a także mojego brata, do którego należy ten statek, dziękuję.

Emily skłoniła głowę, nadal wsparta na ramieniu Garetha. Zauważyła jego drobne rany. Przestały już krwawić, lecz mimo to zapragnęła ująć go za rękę i zaprowadzić pod pokład, by tam obmyć je i opatrzyć. Zastanawiała się, czy może później uda jej się zrealizować ten zamysł.

Dacosta znów uniósł do oka lunetę.

– Mógłby mi pan coś wytłumaczyć, majorze? Dlaczego tamten kapitan do nas nie wypalił? – Jako że Dacosta patrzył na wrogi statek, było jasne, o kogo pyta.

– Chciał to zrobić, kiedy podpaliśmy mu żagle, widziałem. Jak usiłował wydać rozkaz, ale powstrzymali go jego ludzie, ci u niego na pokładzie. Gdyby nie oni...

– Dacosta opuścił lunetę i beznamiętnie spojrział na nich dwoje. – Przy naszym ładunku, rozerwałoby nas na drzazgi.

– Wypalił? – Emily wpatrzyła się w niego. – Chodzi panu o to, że miał działa? – Ostatnie słowo zabrzmiało nieco piskliwie.

Dacosta przytaknął.

– Wszystkie szebeki mają działa, aczkolwiek małe i tylko kilka. Jednak z tak niewielkiej odległości nie mógłby chybić, a ponieważ wieziemy oliwę, zrobilibyśmy – wykonał sugestywny gest – BUM!

Gareth uśmiechnął się ponuro, popatrzył na Emily, a później znów na Dacostę.

– Chcą tej rzeczy, którą przewożę. Choć raz nas ocaliła. Wysadzając statek, nawet gdyby go jedynie zatopili, straciliby to, po co ich posłano. A to nie spodobałoby się ich panu.

– Rozumiem. – Dacosta skinął głową. – Ten ich pan, ten Czarna Kobra, wnoszę z tego, że nie jest zbyt wyrozumiały?

– Istotnie, nie jest – odparł Gareth. – W rzeczy samej, z tego, co słyszałem, nie wybacza nigdy.

Cechujący Czarną Kobrę brak wyrozumiałości albo też, mówiąc ściślej, jego mściwość w odniesieniu do tych członków kultu, którzy go zawiedli, intensywnie zaprzętały myśli Wuja.

Z bezpiecznej odległości, z pokładu małego, lecz zwinnego rybackiego słupa, Wuj przez lunetę obserwował przebieg starcia – i kłął.

Tym razem nie ryzykował. Tym razem starannie wszystko zaplanował i posłał siły, co do których każdy by się zgodził, że do pokonania szebeki majora wystarczą aż nadto.

Lecz nie. Raz jeszcze wróg zatriumfował. Raz jeszcze zwierzyna mu umknęła.

Wuj zazgrzytał zębami i szybko policzył głowy w czarnych turbanach na pokładzie statku, gdzie już ugaszono ogień.

Ze sporych sił, jakie skierował do tej akcji, wróciła niespełna jedna trzecia.

Od opuszczenia Indii stracił wielu ludzi. Przywódca nie będzie zadowolony.

Zimny dreszcz połaskotał go w kark i ruszył w dół kręgosłupa.

Wuj zadygotał, lecz zaraz otrząsnął się z tego wrażenia, z poczucia bezradności.

Jeszcze odwróci sytuację na swoją korzyść. Zrehabilituje się, gdy pochwyti majora oraz jego kobietę i da im posmakować zemsty Czarnej Kobry.

Pomści syna i zatriumfuje w imieniu swego pana.

Opuścił lunetę i, mrużąc oczy, spojrział ponad wodą.

– Chwała Czarnej Kobrze – zaintonował cicho, z szacunkiem charakterystycznym dla modlitwy. W głębi serca wierzył, że te słowa nią były.

Jakby w odpowiedzi na nie wstało słońce, barwiąc morze na różowo i złoto.

Wuj odwrócił się i podszedł do swego zastępcy, który w milczeniu czekał w pobliżu.

– Powiedz kapitanowi, żeby jak najszybciej dowiózł nas do Marsylii. – Popatrzył na widoczną w oddali rufę umykającej szebeki. – Nasz pościg jeszcze się nie zakończył.

20 listopada 1822, wczesny wieczór

W hamaku w naszej małej kajucie

Drogi pamiętniku,

Nadal odczuwamy skutki wczorajszego starcia. Chociaż wygraliśmy, wszyscy z naszej grupy przeżyli, a statek nie ucierpiał, tak jak się obawiałam, były ofiary. Kapitan Dacosta stracił dwóch marynarzy, a dwaj kolejni odnieśli zbyt ciężkie rany, by móc pracować. Gareth i nasi ludzie pomagają, jak tylko potrafią – idziemy pod pełnymi żaglami, nawet nocą, dzięki czemu utrzymujemy świetne tempo. Dacosta chce jak najlepiej wykorzystać sprzyjające warunki. Myślę, że po konfrontacji z brutalnością członków kultu (oraz utracie dwóch ludzi) nie pali się do kolejnej potyczki.

Tego rodzaju walka nie jest rozrywką. W istocie, drzę, ilekroć w mojej pamięci ożywają bitewne sceny. Nigdy nie fascynowałam się krwią, fechtunkiem czy waleczną śmiercią. Jednakże zrobiliśmy tylko to, co było konieczne, żeby nas ocalić, narzekanie wydaje się więc bezcelowe.

Angielki za granicą powinny zachować odporność.

I staram się, naprawdę. Dopiero co wróciłam z czuwania przy hamaku Jimmy'ego i piszę teraz, ponieważ wreszcie mogę donieść, że Jimmy się obudził i wydaje się świadomy.

Podczas gdy reszta naszej grupy skończyła starcie jedynie z niewielkimi, choć częstokroć wymagającymi opatrzenia ranami, Jimmy'ego początkowo nie można było nigdzie znaleźć. Szukaliśmy z narastającym przerażeniem, pełni obaw, że wypadł za burtę, lecz w końcu Bister odnalazł go przywalonego ciałami członków kultu. Jimmy miał paskudną ranę od noża i stracił dużo krwi, lecz Gareth zapewnił nas, że rana nie zagraża życiu – i rzeczywiście, okazało się, że Jimmy stracił przytomność wskutek uderzenia w głowę. Jednak po raz pierwszy ocknął się dopiero dziś rano, kiedy to Arnia i Dorcas zdołały napoić go bulionem. Później po raz kolejny odplłynął i znów baliśmy się o niego, urazy głowy są bowiem bardzo nieprzewidywalne.

Teraz wszakże już się obudził, a Bister mu dogaduje, choć więc Jimmy może potrzebować kilku dni na odzyskanie sił, wyjdzie z tego, mam nadzieję, bez trwałego uszczerbku na zdrowiu. Ogromnie mi ulżyło, czułabym się bowiem w dużej mierze odpowiedzialna za jego śmierć. Jimmy podróżuje ze mną, jest jednym z moich ludzi, a nasz udział w tej misji i związanym z nią niebezpieczeństwie wynikł z tego, że zapragnęłam podążyć za Garethem. Znaleźliśmy się tutaj w następstwie mojej decyzji. Gdyby Jimmy (lub ktokolwiek inny) zmarł, dotkliwie bym to odczuła.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak wiele tego rodzaju odpowiedzialności ciąży już na barkach Garetha. Latami dowodził na polach bitew, ma za sobą ponad dekadę czynnej służby. Zaczynam doceniać, jak wiele on (i jemu podobni) czynią dla dobra naszego kraju i jak wiele potem milcząco dźwigają na sumieniu. Z pewnością nie jest to lekkie brzemie, a przecież nigdy się nie skarżą.

Nie opuszcza mnie myśl o tym, jak bardzo śmierć MacFarlane'a zaciężyla na psychice Garetha i jego trzech towarzyszy, których poznałam tamtego odległego dnia w kantynie oficerskiej. Już śmierć podkomendnego jest okropna, lecz śmierć przyjaciela...

Sądzę, że to honor pomaga im znosić to wszystko.

Raz jeszcze dotkliwie odczuwam ograniczenia szebeki. Podobnie jak przez cały wczorajszy dzień, także i teraz dręczy mnie potrzeba, by pójść do Garetha, zobaczyć go, dotknąć, upewnić się, że nic mu się nie stało. Wiem, że nie, i zdaję sobie sprawę, że ten impuls bierze się z niedawnych gwałtownych przeżyć, lecz mimo to ciągle się niepokoję.

Zdołałam zarekwirować skrawek pokładu i opatrzeć jego rany – trzy cięcia, dzięki Bogu, płytkie, oraz mnóstwo zadrapań, które już się na poły zagoiły. Czegóż bym jednak nie dała za prywatną kajutę, najchętniej z łóżkiem, choćby i wąskim! W tej chwili nie ma nawet miejsca, gdzie mogłabym go pocałować (jestem bowiem pewna, że jako człowiek na wskroś honorowy, Gareth nie pocałuje mnie publicznie).

Najwyraźniej resztę czasu, jaki pozostał nam do Marsylii, z konieczności poświęcimy przygotowaniom do kolejnego etapu podróży. Mimo że wyrwaliśmy się z jednej bitwy, nie opuszcza nas wrażenie, że obecny spokój to tylko cisza przed burzą.

*Jak przystało na prawdziwą Angielkę, zacisnę zęby i będę parla naprzód.
E.*

Pięć ranków później Emily stała obok Garetha na dziobie szebeki, przyglądając się, jak port w Marsylii wyłania się ze snującej się nisko mgły.

Zapowiadał się ładny dzień. Nim szebeka rozpoczęła podejście do niewiarygodnie zatłoczonego nabrzeża – ostatecznie, był to najbardziej ruchliwy port Mor/a Śródziemnego – wstało słońce, osuszając mgłę tak, że

widzieli wszystko bardzo wyraźnie. A to oznaczało, iż ewentualny obserwator bez trudu ich zobaczy.

Na szczęście morze znajdowało się znacząco poniżej poziomu drewnianego nabrzeża, kiedy więc wmieszali się w gęstwę statków, żeby dostrzec pasażerów szebeki obserwator musiałby stać bezpośrednio nad nią, spoglądając z góry na pokład.

Zdaniem Garetha, był to jedyny szczegół przemawiający na ich korzyść. Zgodnie z rozkazami Wolverstone'a miał podróżować przez Marsylię. Rozumiał powody i zaakceptowałby tę konieczność bez wahania, gdyby towarzyszyli mu tylko jego ludzie, ale teraz, gdy dołączyła do niego Emily ze swoją świtą, ryzyko wzrosło.

A konkretniej to, co obecnie ryzykował, co potencjalnie mógł utracić, znacząco przerastało jego wcześniejsze szacunki.

Jednakże jak mus to mus.

Szebeka dobiła do nabrzeża. Gareth omiół spojrzeniem pokład, kiedy zaroił się na nim marynarze, by przycumować statek do pachołków powyżej. Ich grupa już czekała z bagażami, żeby wspiąć się po drabinie i jak najszybciej opuścić port. Po krótkiej naradzie zdecydowali się powrócić do swych zwykłych strojów, europejskich bądź indyjskich; arabskie przebrania nie dałyby im już żadnej przewagi. Jeśli chodzi o Garetha, raz jeszcze spakował do kufra swój mundur i założył cywilne ubranie.

Stojąca obok niego Emily, w pelerynie narzuconej na niebieską suknię podróżną, wyglądała ujmująco i kobieco.

– Zatem, na ile to będzie możliwe, wyłącznie my dwoje powinniśmy się odzywać – wymamrotała po francusku.

Po latach walk na kontynencie Gareth także płynnie posługiwał się tym językiem. Z niechęcią skinął głową.

– Niemniej kiedy się da, graj wielką panią i pozwól Watsonowi mówić w twoim imieniu. – W ich grupie jeszcze tylko Watson w miarę przyzwoicie znał francuski.

Mullins w razie potrzeby dogada się z woźnicami, chłopcami stajennymi i im podobnymi, jeśli wszakże nie ukaże się to bezwzględnie konieczne, pozostali powinni zostawić mówienie nam trojgu, to znaczy tobie, Watsonowi i mnie. Jeśli uda nam się uchodzić za wracających do domu Francuzów z prowincji, mamy większą szansę prześlizgnąć się przez sieć kultu.

A kult bez wątpienia zarzucił sieć na całe miasto. Istniało spore prawdopodobieństwo, że zarówno Gareth, jak i każdy z jego przyjaciół będą podróżować przez Marsylię, jeżeli tylko ruszą do Anglii trasą inną niż ta wokół Przylądka. Na korzyść Garetha i jego grupy przemawiało jedynie to, że Marsylia była duża. I ruchliwa.

Pożegnawszy się z Dacostą i jego załogą, wspięli się na zatłoczone nabrzeże. Wmieszali się w tłum pasażerów, którzy rozpoczynali bądź kończyli podróż na dziesiątkach cumujących tu statków rozmaitych typów i bander.

Unikając jawnego pośpiechu, skierowali się ku najbliższemu wyjściu z portu. Emily szła wsparta na ramieniu Garetha i, podobnie jak pozostali, starała się mieć oczy dookoła głowy.

To Jimmy, mimo że nadal w bandażach, pierwszy zauważył wroga. Podszedł do Garetha, żeby mu o tym zameldować.

– Jeden stoi tam dalej, przy tym niebieskim magazynie przed nami, ale chyba nas nie zauważył.

Gareth popatrzył we wskazanym kierunku i spostrzegł członka kultu.

– Dobrze. – Obejrzał się na pozostałych. – Na końcu tego odcinka skręcamy w prawo.

– On, zdaje się, nie rozgląda się konkretnie za nami? – spytała Emily, kiedy uszli kilka kroków.

Gareth przytaknął. Przynajmniej jedna z jego modlitw została wysłuchana.

– Miałem nadzieję, że wieści o rychłym przybyciu i składzie naszej grupy nie dotrą tu przed nami. Z zachowania naszego obserwatora wnioskuję, że przygląda się pasażerom w ogólności, licząc na to, że zauważy mnie albo jednego z moich przyjaciół.

– Czyli nie wie, że należy się nas spodziewać, nie wspominając o tym, że akurat teraz, ani też nie orientuje się, za iloma osobami powinien się rozglądać?

– Nie. Ale to się zmieni, niewykluczone, że jeszcze dzisiaj.

Gareth narzucił pozostałym równe, różne, ale nieprzesadnie szybkie tempo – dokładnie takie, jakie pasowało do podróżujących ze służbą małżonków, którym pilno zająć się swoimi sprawami. Wkrótce skręcili w prawo, oddalając się od mężczyzny, przyczajonego w cieniu otwartych drzwi niebieskiego magazynu.

– Trzeba przyjąć, że już tego popołudnia zaczną polować konkretnie na nas – rzekł Gareth. – Do tej pory musimy sobie znaleźć dobrą kryjówkę.

– Na pewno nie w okolicach konsulatu.

– Właśnie. – Przed nimi znajdował się wylot wąskiej uliczki. Gareth wprowadził w nią grupę, jakby od początku kierowali się właśnie tutaj. Kiedy już nią szli, kiedy otuliły ich cienie, a zagrożenie otwartych portowych przestrzeni zostało z tyłu, odezwał się znowu: – W tej chwili potrzebujemy skromnej gospody w uboższej okolicy, z dala od portu, z dobrym dostępem do głównych biur wynajmu powozów, choć zarazem niezbyt blisko nich.

Watson zlokalizował miejsce odpowiadające temu opisowi. Zbudowana z kamienia i cegły gospoda, niewielki rodzinny interes, przycupnęła w uliczce odchodzącej od maleńkiego placu. Jej główne drzwi wychodziły bezpośrednio na brukowany zaułek, przy którym znajdowały się też inne, dość przypadkowe obiekty, w tym piekarnia, apteką, dwie małe tawerny i cukiernia, upchnięte między rozmaite budynki mieszkalne.

Ten rejon leżał na tyle daleko od portu i centrum miastu, że napotykali tu właściwie wyłącznie Francuzów, ponieważ jednak przebywali w Marsylii, ani turban Mooktu, ani barwne chusty Arni nie zwracały szczególnej uwagi.

Nastało wczesne przedpołudnie, kiedy Emily weszła z Watsonem do głównej sali. Jej przewodnik poszedł dalej, by przywitać się z właścicielem i zamówić posiłek, Emily zaś przystanąła i rozejrzała się z uwagą. Wszystko – dosłownie każdy przedmiot, na którym spoczął jej wzrok – było schludne i czyste, jak spod igły.

Odkąd opuściła Anglię, nie zdarzyło jej się zatrzymać w równie schludnym miejscu. Właściciel, lub też, co bardziej prawdopodobne, jego żona, ogromnie dbali o obejście. Wślizgując się na ławę przy ścianie, Emily uzmysłowiła sobie, że przywykła zadowalać się znacznie gorszy mi warunkami.

Gareth podszedł do niej. Pozostali zaczęli przemykać się do stołów w głębi sali, odruchowo przywracając po dział na państwo i służbę, ale Gareth zauważył to i dał znak, żeby dołączyli do nich dwojga przy dużym stole w przedniej części pomieszczenia.

Zajął miejsce obok Emily, między nią a drzwiami, lustrując otoczenie. Podniósł wzrok, kiedy zbliżył się Mullins.

– Możesz usiąść na widoku. – Wskazał głową siedzenia najbliżej okna od ulicy. – Wprawdzie na razie raczej nu musimy wystawiać wart, ale gdyby ktokolwiek zerknął do środka, na ciebie nie powinien zwrócić uwagi.

Mullins skinął głową i usiadł. Pozostali także rozlokowali się wokół stołu.

– Nadal musimy pamiętać o takich sprawach, prawda ? – odezwał się Watson. – To jeszcze nie koniec kłopotów

– Do końca ciągle daleko. – Gareth zawahał się, ale zaraz podjął: – W istocie, aktualnie całej naszej grupie grozi nawet większe niż dotąd niebezpieczeństwo i pozostanie tak do czasu, aż znajdziemy się w Anglii. Tam będą nas oczekiwać przyjaciele. Przypuszczam, że część z was będzie mogła przycząić się w jakiejś bezpiecznej kryjówce, podczas gdy ja dostarczę tubę do miejsca przeznaczenia.

Nie spuszczając wzroku z jego twarzy, Emily prychnęła w duchu. Niech sobie nie wyobraża, że zostawi ją gdzieś na uboczu, bezpieczną, a sam będzie się narażał.

Właściciel gospody nadbiegł z kuchni z tacą, na której niósł kawę, dzbanek gorącej czekolady i smakowite ciasta. Czekali, gdy ich obsługiwał. Emily się rozpromieniła. Ślinka napłynęła jej do ust, kiedy wraz z Garethem dziękowała mężczyźnie.

Właściciel wrócił za kontuar w głębi sali, a Gareth potoczył wzrokiem po zebranych przy stole.

– Mamy parę godzin, żeby rozważyć możliwości i opracować plan – rzekł. – Im bliżej Anglii się znajdziemy, tym większa będzie desperacja tych, którzy nas ścigają. Musimy postanowić, jak rozwiążemy kwestię podróży stąd nad kanał: jak najlepiej ominąć przeszkody, jakie kult bez wątpienia postawi nam na drodze. – Zrobił krótką przerwę. Wszyscy słuchali w skupieniu. – W

tej chwili mamy dwie możliwości. – Popatrzyl po obecnych. – Przeważnie sam podejmuję takie decyzje, lecz w tym przypadku powinniśmy naradzić się wspólnie, ponieważ wszyscy będziemy musieli zmierzyć się z ewentualnymi konsekwencjami dokonanego wyboru. Tkwimy w tym razem.

Nikt nie zaprotestował.

– Moglibyśmy uciec z miasta od razu – ciągnął Gareth. – Wynając pierwsze z brzegu dwa powozy i ruszyć na północ, zanim członkowie kultu tu, we Francji, w ogóle się zorientują, że przybyliśmy. To nasza pierwsza opcja i ma ona swoje zalety. Zarazem jednak, jeżeli się na nią zdecydujemy, zabraknie nam czasu, by znaleźć woźniców, którzy w razie potrzeby zechcą i będą w stanic nam pomóc, walcząc u naszego boku, nie zdążymy też nabyć zapasów, pozostanie nam więc zdać się na to, że dostaniemy niezbędne artykuły w mniejszych miastach po drodze. – Urwał na chwilę. – Kończą się nam proch i kule, a teraz, z powrotem w Europie, musimy zakładać, że wynajęci przez kult miejscowi będą korzystać z broni palnej, wydaje się więc prawdopodobne, że sami będziemy jej potrzebować. Mieszając kawę, Watson pokiwał głową. Co więcej, z Marsylii do portów nad kanałem wiedzie tak naprawdę tylko jedna w miarę szybka i bezpośrednia droga – uzupełnił. – Skoro grozi nam niebezpieczeństwo, nie możemy pozwolić sobie na zwłokę, zarazem jednak na trakcie łatwo będzie nas wytropić.

– Dokładnie tak – zgodził się ponuro Gareth. – Bez względu na to, czy uciekniemy natychmiast, czy też po czynimy najpierw stosowne przygotowania, korzystając z osłony, jaką daje miasto tak zatłoczone przedstawicielami różnych nacji jak Marsylia, kiedy już podążymy na północ, kult prędko złapie nasz trop.

Przedyskutowali temat – jak wiele mogą przewidzieć, jakie podjęte przed opuszczeniem Marsylii przygotowania pomogą im uniknąć pojmania i

przyspieszą podróż Mooktu zauważył, że jakkolwiek na trakcie łatwiej będzie ich wyśledzić, na francuskiej prowincji członkowie kultu będą znacznie bardziej rzucać się w oczy.

Kiedy po kawie i cięście nie zostało śladu, a dyskusja w zasadzie zamarła, Gareth zarządził głosowanie. Ku jego uldze, decyzja była jednomyślna. Pozostaną w Marsylii, aż będą gotowi ruszyć z kopyta na północ.

TTLRR

Rozdział 13

5 listopada 1822, wieczór

Wygodny pokój w maleńkiej gospodzie w Marsylii

Drogi pamiętniku,

Tak zatem chwilowo osiedliśmy w Marsylii i podczas gdy ja zastanawiałam się, jak wykorzystać fakt, że przebywamy w jednym miejscu (takim, które się nie kołysze i gwarantuje wystarczająco wiele prywatności), członkowie kultu zdążyli zakłócić nasz spokój.

Bister zabrał Jimmy'ego na spacer (wszyscy zgadzamy się, że chłopak potrzebuje ruchu i świeżego powietrza, by w pełni wydobrzeć), ale, jak to on, zrobił z tego zwiad w okolicach konsulatu, gdzie spostrzegł licznych członków kultu. Oni dwaj uniknęli wykrycia, Bister zameldował jednak, że w przeciwieństwie do osobnika, którego widzieliśmy rano, ci członkowie kultu rozglądali się konkretnie za nami. Najwyraźniej wieści o naszym przybyciu już tutaj dotarły.

Gareth się niepokoi. Obawia się, że dysponując precyzyjnym opisem, członkowie kultu (a zdaje się, że jest ich tu sporo) zorganizują metodyczne poszukiwania. Okoliczność, że ulokowaliśmy się na uboczu, zapewni nam ochronę na dzień lub dwa, ale niewiele dłużej. Tymczasem stało się jasne, że znalezienie i wynajęcie odpowiednich powozów oraz woźniców, jak również uzupełnienie zapasów na podróż, zajmie nam więcej niż jeden dzień.

Co zrozumiałe, czuję się tą sytuacją odrobinę sfrustrowana. Nie opuszcza mnie denerwująca świadomość, że nie zdołałam dotąd umocnić się na zdobytej w Tunisie pozycji. Znając Garetha, im więcej czasu dam mu do namysłu, tym bardziej prawdopodobne, że wzniesie między nami kolejny mur, nad którego obaleniem znów będę musiała łamać sobie głowę.

Niedawno wyraziłam na tych kartach niechęć wobec przelewu krwi, jeśli wszakże chodzi o tych irytujących członków kultu, to gdybym wpadła na któregoś z naładowanym pistoletem w dłoni, przypuszczalnie bez wahania pociągnęłabym za spust.

Ostatnio powtarzam niczym mantrę: „ Oby wszystkich członków kultu trafił szlag”.

E.

Następnego ranka Emily pokonała pieszo niewielki dystans dzielący gospodę od miejskiego targu, w narzuconej na ramiona pelerynie, nie różniąc się od pierwszej lepszej młodej Francuzki.

Gareth szedł u jej boku z beznamiętnym wyrazem twarzy, dyskretnie przepatrując okolicę. Nikomu innemu nie zaufałby w kwestii jej bezpieczeństwa; to odkrycie go zirytowało, lecz ani myślał z tym walczyć.

Gdyby jej nie towarzyszył, nie potrafiłby się skupić nie byłby zdolny do podejmowania rozsądnych decyzji, dlatego też nie widział sensu w opieraniu się tej uporczywej potrzebie.

Za nimi u boku Mullinsa podążała Dorcas, niosąc kosz. Gareth przypomniał sobie, co zaobserwował na szebecie w trakcie bitwy, i uznał, że kielkuje tu romans. Tak czy owak, rad był z obecności Mullinsa. Bister, tradycyjnie w roli zwiadowcy, również kręcił się, w pobliżu, to ich wyprzedzając, to znów zostając z tyłu

Bez trudu odnaleźli targ, podążając za hałasem i zapachami. Jedne były smakowite, inne nieco mniej, ale kiedy dotarli na plac i zagłębili się w rozjazgotany, ruchliwy tłum, wszystkie wonie zlały się w typowy dla takich miejsc, wielowarstwowy aromat.

Nie potrzebowali zapasów spożywczych w ścisłym rozumieniu, uzgodnili jednak, że gdy znajdą się na trakcie, będą jeść w biegu, nie

zatrzymując się w ciągu dnia. Obeszli zatem stragany ze świeżymi owocami i Emily kupiła worek jabłek, warzywa oraz trochę orzechów.

Podczas gdy Dorcas upychała sprawunki do kosza, Emily odwróciła się do Garetha.

– Widzisz, gdzie tu są stragany z solonym mięsem i serami?

Gareth rozejrzał się ponad głowami tłumu i spostrzegł rzeczony stragany daleko przy ścianie. Spostrzegł także dwóch członków kultu, którzy niespiesznie zmierzali w ich stronę alejką między straganami. Nadal znajdowali się dość daleko, lecz nie przyszli tu na zakupy.

Bez zastanowienia ujął ramię Emily.

– Przed nami wróg – wyjaśnił cicho, nachylając się ku niej i jednocześnie ją zawracając. – Cofniemy się po własnych śladach, a potem zrobimy kółko. Stragany, o które ci chodzi, stoją wzdłuż ściany po drugiej stronie placu.

Spojrzała mu w oczy. przytaknęła i spokojnie ruszyli z powrotem, kiwając na Dorcas i Mullinsa. Sprawnie usunęli się z drogi członkom kultu.

Eskortując Emily do odległych straganów, Gareth nie spuszczał oka z tych dwóch osobników, a nadto wysłał Bistera na zwiad w głąb targu, żeby sprawdził, czy nie kręci się ich tu więcej.

Emily targowała się o cenę dwóch ładnych szynek, kiedy Bister wrócił.

– Tylko ci dwaj. – Zmarszczył brwi. – Można by sądzić, że zdejmą te czarne turbany, ale nie. – Wzruszył ramionami. – Tym lepiej dla nas.

W odpowiedzi Gareth jedynie chrząknął. Gdyby członkowie kultu porzucili swe atrybuty, on i jego ludzie mieliby nie lada kłopot, biorąc pod uwagę, jak wielu przebywało w Marsylii cudzoziemców ze wszystkich stron świata. Nie po raz pierwszy dziękował w duchu za arogancję ludzi Czarnej Kobry.

Spędzili na zatłoczonym targu jeszcze pół godziny, przez cały czas trwając w stanie podwyższonej gotowości. Kiedy wreszcie opuścili główny plac, obładowani szynką mi, blokami żółtego sera, owocami i warzywami, by ciągiem wąskim uliczek ruszyć z powrotem do gospody, Emily czuła się fizycznie i psychicznie wyczerpana.

Odnosiła wrażenie, że jest struną fortepianową od zbyt dawna naprężoną do granic możliwości – niczego nie pragnęła bardziej niż tego, by przerwać to napięcie.

Zaznać ulgi... wyzwolenia.

Przypominało to bardzo innego rodzaju napięcie oraz rozkoszne wyzwolenie, do którego, jak odkryła, mogło ono prowadzić.

Zerknęła z ukosa na idącego obok niej Garetha. Chociaż patrzył przed siebie, uważny i skupiony, nie wątpiła, że gdyby tylko zrobiła krok w niewłaściwym kierunku, oddalając się od niego, natychmiast skoncentrowałby się na niej całkowicie. Ilekroć wchodziła do pomieszczeniu w którym akurat był, momentalnie na nią spoglądał. Za każdym razem, gdy go opuszczała, czuła na plecach jego wzrok, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Kiedy przebywali gdzieś razem, nawet jeśli na nią nie patrzył, zawsze dokładnie wiedział, gdzie ona jest.

Świadomość tego podnosiła ją na duchu i uspokajała. Skoro ustawicznie coś jej zagrażało, obecność u jej boku zaborczego drapieżnika wydawała się całkiem niezłą sprawą.

Medal miał jednak i drugą stronę. Wspomniane nieustające zagrożenie przeszkadzało Emily w realizacji jej planów. Kiedy Gareth pozostawał skupiony na wrogu, a jeszcze bardziej – na zapewnieniu jej bezpieczeństwa – szanse na to, że zainicjuje jakiś intymny przerywnik, były praktycznie zerowe.

Intymność oznaczała dla niego czas, gdy opuszczał gardę. Sam by tego nie zasugerował.

Uprzedził z góry, że zagrożenie – a więc także napięcie – będzie tylko wzrastać, przynajmniej dopóki nie dotrą do Anglii, a przypuszczalnie również i potem. Jeśli zatem między dzisiejszym dniem a końcem jego misji mieli doświadczyć kolejnych chwil intymności, to Emily musiała je sprowokować.

Czy jednak powinna?

Zerknęła na niego, kiedy skręcali w ulicę, przy której stała ich gospoda. Odnotowała, że Gareth nadal trwa w stanie podwyższonej gotowości, nadal bacznie obserwuje otoczenie.

Czy powinna wytrącać go z tego skupienia – nie w tej chwili, ale nadchodzącej nocy?

Czy raczej pogodzić się z jego wyborem i do ich potencjalnego związku nawiązać ponownie dopiero, gdy znajdą się w Anglii i jego misja dobiegnie końca?

Jeśli Emily się wstrzyma, Garethowi przyjdą z pomocą społeczne konwenanse. Po powrocie do kraju będzie jej trudno odrzucić jego oświadczenia, a nawet opóźnić zgodę, gdyby naciskał. Z pewnością zaś będzie naciskał. Sytuacja wyglądała tak, że sam fakt, iż się pobiorą, nie ulegał wątpliwości, do rozstrzygnięcia pozostało natomiast, jaki będzie charakter tego małżeństwa.

Znów nań zerknęła... i przyłapała go na tym, że ją obserwuje, cokolwiek badawczo. Natychmiast odwrócił wzrok.

Czyżby podobnie jak ona dumał, wyobrażał sobie, rozważał?

Ani chybi koncepcja kolejnego zbliżenia zaświtała mu w głowie, niemniej Emily poszłaby o zakład, że bez względu na ponaglenia popędów Gareth nie przyjdzie do jej łóżka. Chyba że...

Chyba że Emily zaprosi go w sposób, któremu on nie zdoła się oprzeć.

Ta wizja podjudzała awanturniczą stronę jej natury.

Zatem... czy powinna wykorzystać, wręcz skapitalizować napięcie, niebezpieczeństwo, stres związane z tą podróżą, by przepchnąć swoją sprawę? By utrudnić mu udawanie, że jego zainteresowanie jej osobą wynika li tylko z nakazów honoru? Czy też powinna raczej działać ostrożnie, jak bez wątpienia on by postąpił?

Kiedy dotarli do gospody, przytrzymał dla niej drzwi. Mijając go, zajrzała mu w twarz.

Spoglądał w dół ulicy.

Tłumiąc sapnięcie, weszła do środka.

26 listopada 1822, wczesny wieczór

Mój pokój w gospodzie w Marsylii

Drogi pamiętniku,

Wczoraj po południu oznajmiłam, że chcę się trochę przewietrzyć, więc Gareth, oczywiście, poszedł ze mną. Zamierzałam skorzystać z okazji, żeby nawiązać (werbalnie) do naszej przeszłości, ledwie jednak stanęliśmy na ulicy, wiszące w powietrzu poczucie zagrożenia i napięcie zgęstniały do tego stopnia, że nie byłam w stanie zebrać myśli. Tak zatem, niczego nie osiągnąwszy, skróciłam naszą wycieczkę, uznałam bowiem za niegodne, by zupełnie na darmo narażać go na takie zdenerwowanie (i siebie również).

Wszystko wskazuje na to, że bezpośrednie podejście nie wchodzi w rachubę – nie kiedy on nieustannie obserwuje otoczenie, zamiast patrzeć na mnie.

Minionej nocy, leżąc w łóżku, zmusiłam się do tego, by całkowicie bezstronnie rozważyć wszystkie za i przeciw odnowienia intymnych relacji między na mi już teraz – relacji, które utrzymają się przez resztę tej pełnej

napięcia i niebezpieczeństw podróży, a potem w naszym małżeństwie. Rychło doszłam do wniosku, że jeśli tego nie zrobię, przypuszczalnie nigdy nie dowiem się, do jakiego stopnia on darzy mnie uczuciem. Po powrocie do kraju Gareth schroni się za murem typowej dla angielskich dżentelmenów uprzejmości i nigdy już nie zdołam wycisnąć z niego prawdy. Został ulepiony z tak twardej gliny (słowo daję, jest niemal równie uparty jak ja), że tą drogą do niczego nie dojdę.

Jeśli kiedykolwiek zamierzam się dowiedzieć, co on naprawdę do mnie czuje, muszę działać, a nasza podróż stanowi w istocie niepowtarzalną okazję do tego, by wydobyć zeń wszystko. Moją najlepszą bronią jest bliskość, kiedy bowiem ruszymy przez Francję na północ, z konieczności staniemy się nierozłączni, on zaś ani przez chwilę nie będzie mógł udawać, że mnie nie dostrzega.

Dlatego też postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce, nieważne, jak wiele będzie to ode mnie wymagało bezczelności. Bojaźliwi nigdy nie osiągają upragnionego celu, ja zaś jestem zdeterminowana zdobyć wszystko – to, co jak sobie wymarzyłam, stanie się mym udziałem, kiedy znajdę mego „jedyne”. Zbyt długo czekałam, żeby zadowolić się półśrodkami – małżeństwem opartym wprawdzie na miłości, lecz bez przyznania tego faktu głośno.

Niestety, kiedy już ze spokojem podjęłam tę decyzję, zasnęłam.

Dzisiaj więc będzie ta noc – życz mi szczęścia, drogi pamiętniku!

Nie cofnę się przed niczym, by zrealizować mój zamysł.

E.

Tego wieczoru przy kolacji Gareth czuł się zdesperowany. Z więcej niż jednego powodu, niemniej stanowczo zmusił się do skupienia na misji – na nadrzędnej w tej chwili kwestii, jak zorganizować bezpieczną podróż dalej.

Wiedział, czego mu trzeba: dwóch szybkich powozów z woźnicami rozumiejącymi ryzyko i ochoczo akceptującymi możliwość ataku. Nie uznawał narażania życia ludzi bez ich wiedzy i zgody. Wolał, kiedy podchodzili do zadania z entuzjazmem.

We trzech z Watsonem i Bisterem przemierzili miasto, odwiedzając główne biura wynajmu powozów, ale w większości nie chciano nawet wynająć pojazdu na całą trasę z południa na północ, nie wspominając o tym, że musieli jeszcze znaleźć kogoś na tyle wiarygodnego i pełnego zapału, by mogli mu powierzyć swą historię.

Zarazem jeśli prędko nie wyruszą w drogę, będzie im grozić, że wpadną w ręce członków kultu, którzy niewątpliwie prowadzili metodyczne poszukiwania. Na szczęście, zaczęli w odległej części miasta. Minie kilka dni, za nim dotrą w okolice ich gospody.

Gareth milczał przez cały posiłek. Wiele razy czuł na sobie spojrzenie Emily, ale nie odpowiadał na nie. Wreszcie odłożył nóż i widelec, odsunął talerz, siadł wygodniej i popatrzył jej w oczy.

Przez moment mu się przyglądała.

– Co się stało? – spytała.

– Nie ma powozów. – Wyłuszczył jej problem i wyjaśnił, czemu muszą się spieszyć.

Jej wzrok na krótko stał się nieobecny.

– Pytałeś w głównych biurach wynajmu powozów – odezwała się w końcu. – A co z mniejszymi?

Zmarszczył brwi, ale nim zdołał odpowiedzieć, Emily nachyliła się ku niemu, nakrywając jego dłoń swoją. Powstrzymał odruch, by odwrócić rękę i ścisnąć jej smukłe palce.

– Nie. – Popatrzyła gdzieś za Garetha, po czym znów nań spojrzała. – Chodziło mi na przykład o tę gospodę. Nie mają tu pojazdów do wynajęcia, w każdym razie niczego większego niż gig, ale to rodzinny interes. A rodzina oznacza także kuzynów, wujów, wiele innych powiązań.

Znów ominęła go wzrokiem. Uzmysłowił sobie, że patrzy na właściciela gospody w głębi sali.

– Może spytamy naszego gospodarza? – Zajrzała Garethowi w oczy. – Jesteśmy tu od dwóch dni, a on i jego żona zachowywali się bardzo stosownie: okazywali miłe, lecz nienachalne zainteresowanie. Arnia i Dorcas świetnie się dogadują z gospodynią. Pomogła przyrządzić napar na ból głowy Jimmy'ego. – Na twarzy Emily pojawił się entuzjazm. – Nie zaszkodzi spytać.

Gareth patrzył na nią i usiłował pamiętać o potrzebie zachowania ostrożności.

– Będziemy musieli ich wtajemniczyć – rzekł. – A co, jeśli, gdy to zrobimy, uznają, że nasza dalsza obecność tutaj jest dla nich zbyt niebezpieczna?

– Nie wyrzucą nas, gdy należycie wyjaśnimy im sytuację. – Ostatecznie to ona ścisnęła jego palce. – Chodź, spróbujmy.

Wahał się jeszcze przez chwilę, lecz potem oddał uścisk, niechętnie puścił jej dłoń i wstał.

Zasiedli do kolacji stosunkowo późno, toteż inni goście, przeważnie miejscowi, już wyszli, nie licząc trzech mężczyzn przy dzbanie wina. Właściciel chętnie usiadł wraz z Garethem i Emily przy stoliku w rogu. Na sugestię Emily zawołał żonę, żeby do nich dołączyła. Nadeszła zaciekawiona.

Gareth rozpoczął od wyjaśnienia, że jest Anglikiem, podobnie jak większość jego towarzyszy, co wprawdzie nie wywołało zaskoczenia, niemniej – jako że od klęski Napoleona upłynęło zaledwie siedem lat –

przelotnie ochłodziło relacje. Na szczęście, sporo Francuzów, zwłaszcza tych parających się handlem, powróciło już do traktowania Anglików w tradycyjnie tolerancyjny, niekiedy trochę arogancki sposób. Tak czy owak, Gareth pominął milczeniem swój udział we wspomnianej wojnie, nadmieniając jedynie, że do niedawna służył w Indiach, obecnie zaś wypełnia misję, która zbiegła się w czasie z jego powrotem do Anglii.

W krótkich słowach opowiedział o podróży z Indii oraz członkach kultu i ich zamiarach.

Gospodyni z szeroko otwartymi oczami zapytała o kult. Emily nachyliła się ku niej, udzielając odpowiedzi. Zanim Gareth zdołał odzyskać kontrolę nad rozmową, przejęła relacjonowanie ich historii.

Jej opisy były barwniejsze, wyjaśnienia bardziej bez pośrednie i pełne emocji. Ani trochę nie podobała mu się obrona przez nią taktyka, zwłaszcza jej otwartość, kiedy jednak rzucił okiem na twarze gospodarzy, zamilkł i pozwolił Emily grać swoją rolę.

A dawała prawdziwe przedstawienie. Można by rzec, że dokładnie wiedziała, jakich słów użyć i jak reagować na liczne pytania gospodarzy. Nie chodziło zresztą wyłącznie o to, co mówiła, lecz także – w jaki sposób. Zarażała ich swoim nastawieniem.

Gareth musiał tylko siedzieć ze stosownie poważną stateczną miną oraz kiwać głową i rzucać potwierdzające monosylaby, kiedy odwoływano się do jego opinii.

Zanim Emily przystąpiła do wyłuszczenia bieżących potrzeb, gospodarze należeli już do ich zagorzałych popleczników. W ich grupie może i przeważali Anglicy, ale członkowie kultu byli poganami, dzikimi i okrutnymi. Właściciel gospody nie wątpił, z którą stroną winien trzymać.

Choć Gareth uważał za mało prawdopodobne, by po wiązania rodzinne tych ludzi wystarczyły do zapewnić im właściwego transportu, okazało się, że Emily miała rację. Rozgrzany ich opowieścią – w rzeczy samej, wyraźnie podekscytowany, że go wtajemniczono i poproszono o pomoc – właściciel gospody wezwał synów i rozesłał ich tam i sam.

Godzinę później w pustej już sali zgromadzili się liczni wujowie oraz kuzyni właścicieli i pośród narastającego gwaru spierali się, wykrzykując różne sugestie. Gareth nigdy czegoś podobnego nie oglądał. W zadziwiająco krótkim czasie zorganizowano dwa szybkie powozy oraz dwóch doświadczonych woźniców, nader chętnych przyczynić się do pokonania niecnego kultu.

Dwaj szpakowaci weterani wojenni zgłosili się na ochotnika, gotowi chwycić lejce i pognać na północ co koń wyskoczy. Gareth wymienił z nimi uściski dłoni.

– Dziękuję – rzekł, gdy umówili się co do wynagrodzenia. – Na koniec przewiduję dodatkową premię.

– Ech! – Jeden z mężczyzn machnął ręką. – Pieniądze to jedno, ale lepszą zachętą jest możliwość wzięcia znowu udziału w akcji przeciw godnemu przeciwnikowi.

Jego kuzyn z emfazą pokiwał głową.

– Ależ tak. Życie stało się nudne, rozumie pan. Trochę rozrywki, tego nam trzeba.

Pośród życzeń powodzenia i entuzjastycznych wyrazów poparcia ze strony krewnych właściciela gospody, termin wyjazdu ustalono na pojutrze.

– Zostanie państwu tylko dzień na przygotowania! wykrzyknął gospodarz. Wyrzucił w górę ramiona. – Nic nie szkodzi, pomożemy!

Zebranie przekształciło się w coś w rodzaju rodzinnego święta. Gareth na powrót przejął od Emily dowodzenie i zostali w sali jeszcze przez jakiś czas, gawędząc z tymi, którzy tak tłumnie przybyli na wezwanie krewniaka, chętni służyć im pomocą.

Nadal czuł się nieco zaskoczony ową gotowością do udzielenia jemu i jego ludziom wsparcia przeciw członkom kultu. Wyglądała ona jednak na szczerą i Gareth był za nią równie szczerze wdzięczny.

W końcu Emily życzyła towarzystwu dobrej nocy i udała się na spoczynek. Niedługo potem także i on wspiał się po schodach do swego pokoju. Dobiegający z dołu gwar przycichł, kiedy Gareth zamknął za sobą drzwi. Zapalił świecę na nocnym stoliku i rozebrał się cicho, nadal dumając nad przyjazną gadatliwością tych na parterze.

Zdmuchnął świecę i leżał nagi w pościeli, na plecach, z rękoma splecionymi pod głową, wpatrując się w ciemny sufit, kiedy poruszyła się gałka u drzwi.

Natychmiast się spał, lecz w tej samej chwili jakimś sposobem już wiedział.

I rzeczywiście, do środka wślizgnęła się Emily w białej koszuli nocnej i pelerynie. Cicho zamknęła za sobą drzwi, odwróciła się i, wyteżając wzrok, spojrzała na łóżko.

Pomimo mroku zobaczyła go i się odprężyła.

Jeszcze bardziej spięty i mocno zaintrygowany przyglądał się, jak Emily nad czymś deliberuje, a potem decyduje się podejść do łóżka ze strony bardziej oddalonej od drzwi.

Niezauważalnie napinając mięśnie, czekał, nieruchomy i milczący, żeby się przekonać, co ona zrobi, co powie. Zatrzymała się na tyle blisko, by posłać mu groźne spojrzenie.

– Ani słowa – ostrzegła.

Dziwił się, dlaczego sądziła, że będzie się spierał.

Zrzuciła pelerynę i wślizgnęła się pod pościel. Przesunął się, robiąc jej miejsce. Łóżko ugięło się pod jego ciężarem i Emily, tłumiąc pisk, stoczyła się na niego.

Otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie. Zanurzył nos w jej włosach, oddychając głęboko, chłonąc samą jej esencję. Odnalazł ustami jej ucho, delikatnie musnął je wargami. Zadrżała.

– Co teraz? – szepnął.

Zaczerpnęła tchu.

– Teraz... – Zajrzała mu w twarz, drobną dłonią ujęła jego szczękę. Podparła się na wolnym ramieniu, unosząc się nad Garethem. Popatrzyła mu w oczy. – Teraz to.

I pocałowała go.

Oddał pocałunek, niespiesznie smakował słodycz, którą bezwstydnie go obdarowywała. Ponieważ wyczuł, że ona sobie tego życzy, pozwolił jej zachować kontrolę. Na razie.

Naparła nań, miękka, ciepła i kobieca, a w jego wnętrzu, gdy tak pod nią leżał, coś zamruczało z zadowolenia. Zamknął dłonie na jej talii, uniósł ją i przesunął tak, że płaskim brzuchem przylegała do jego brzucha, a przystań między jej udami znalazła się tuż nad główką jego żarłocznej erekcji – obietnica i tortura, pokusa i zbawienie. Pamiętał jak przez mgłę, że postanowił w najbliższym czasie, dopóki podróżowali, wyrzec się Emily i tych przyjemności, lecz nie potrafił sobie przypomnieć żadnego istotnego uzasadnienia owej decyzji.

Żadnego przekonującego powodu, by odtrącić oferowane przez nią niebo... Zresztą przecież sama do niego przyszła.

Należała do niego, to nie ulegało wątpliwości, czemu więc nie miałyby się tym napawać? Napawał się zatem. Z narastającą zachłannością.

Stopniowo dotarło do niego, że jakkolwiek to ona zainicjowała zbliżenie i wybrała pozycję, nie do końca wiedziała, co robić dalej.

Pokazał jej. Gdy uklękła, dosiadając go okrakiem, pomógł jej zdjąć przez głowę koszulę nocną.

Odrzuciła ją na podłogę. Rozpalona, oddychała urywanie, boleśnie tęskniąc za tym, by ją wypełnił. Wyczytał to w spojrzeniu, którym go obdarzyła – jej oczy jarzyły się w ciemności.

Nim zdążyła po niego sięgnąć, czym dodatkowo skomplikowałyby sytuację, zaczerpnął tchu, ujął ją mocno dłońmi w talii, umieścił w odpowiedniej pozycji i wślizgnął się w nią.

Zamykając oczy, z rozkoszą malującą się na twarzy, opadła na niego. Nisko.

Wzięła go w siebie całego.

Z trudem nabrał powietrza i zamknął oczy, ogarnięty żądzą, kiedy, eksperymentalnie, zacisnęła się wokół niego. Potem zaczęła go ujeżdżać.

Zanim przypomniał sobie jej – jeśli wierzyć doniesieniom – szaleńczą i umiejętną jazdę z Puny, zredukowała go do poziomu zachłannej potrzeby, której prawie nie sposób było się oprzeć.

On jednak chciał więcej.

Zaciskając powieki, całkowicie skoncentrowana na miejscu ich połączenia, Emily czuła, jak żar, podniecające tarcie, wzbiera, drażni i kusi, narasta nieubłaganie... A potem on się pod nią poruszył.

Spojrzała spod opuszczonych rzęs, kiedy uwolnił jej biodra i zamknął dłonie na piersiach.

Igrał z nimi, aż pozbawił ją tchu.

Wtedy uniósł się, wziął w usta ściągnięty sutek... i ssał.

Z ledwością stłumiła okrzyk, lecz jego to nie powstrzymało. Ucztował, inaczej nie dało się tego określić. Wargami, językiem, zębami pieścił, a potem objął w posiadanie.

Znów zamknęła oczy, unosiła się nad nim i opadała coraz bardziej zdecydowanie, pragnąc, wspinając się, tak naprężona, że spodziewała się, iż lada moment rozpadnie się na kawałki, tak rozpalona, że czuła liżące jej ciało płomienie, które wnikały pod skórę.

Puścił jedną pierś i powiódł dłonią po łuku jej talii i biodra z leniwym, zaborczym podziwem. Potem ta poszukująca dłoń zboczyła do wewnątrz, wślizgnęła się między uda Emily i dotknęła jej w tym najwrażliwszym miejscu, gdzie, jak się raptem zdało, skupiło się całe jej jestestwo.

Bawił się z nią twardym palcem, a później nacisnął w tej samej chwili, kiedy po raz kolejny maksymalnie się połączyli... i Emily wessała go w siebie. Straciła wszelki kontakt z rzeczywistością, kiedy dojmująca rozkosz przeszła ją na wylot, rozjarzając każdy nerw, spływając wszystkimi żyłami, by zgromadzić się w pulsującym łonie.

Trzymał ją, gdy chłonęła to doznanie, całkiem jakby sam także go doświadczał.

Później przetoczył się, zabierając Emily ze sobą, przyspilił ją swym ciałem.

Uśmiechnięta, opłotła go ramionami za szyję i wygięła się pod nim w łuk, z westchnieniem odrzucając do tyłu głowę, kiedy wdarł się w nią głęboko.

Zdumiała się niebotycznie, gdy wycofał się z niej i ukląkł.

Otworzyła oczy, nim jednak zdołała zrobić coś więcej, chwycił ją za kolana i szeroko rozwarł jej nogi.

Popatrzył na nią, na jej najbardziej intymne miejsce. Mimo mroku Emily zarumieniła się, ale nie próbowała zewrzeć nóg.

Krew dudniła jej w żyłach, kiedy czekała, żeby się przekonać, czego on chce, co zamierza.

Nachylił się i przywarł tam do niej wargami. Nieomal krzyknęła.

Przeszyła ją rozkosz – inna, ostrzejsza, bardziej uderzająca do głowy. Naparł głębiej, lizał, naciskał językiem, aż desperacko wyszeptała jego imię – nie potrafiła jednak ubrać swych pragnień w słowa. Jego język krążył i napierał. Zatchnęła się, kurczowo przytrzymała głowę Garetha, ale zatopione w jego włosach palce okazały się wyzute z sił.

Jej zmysły szybowały, gdy tak ją eksplorował, smakował bezwstydnie.

Była jego, wiedziała to – i najwyraźniej on także, przynajmniej w tej chwili.

O tym świadczyło jego uctowanie, gdy przypiekał ją ustami niczym żagwią, gdy mistrzowsko chwycił w pułpkę jej zmysły, zawłaszczając je, podobnie jak całe jej ciało – jej nerwy, skórę, serce, każdą krągłość.

Należały do niego, mógł plądrować je i smakować wedle uznania.

Znów wydyszała jego imię w otwartym błaganiu – nie potrafiła dłużej podołać tej nicującej duszę rozkoszy.

Usłyszał ją, dzięki Bogu. Liznął przeciągle po raz ostatni, cofnął głowę, przez chwilę przyglądał się Emily, a potem niespiesznie uniósł się nad nią. Odnalazł wejście i naparł do środka, wolno i nieubłaganie, głęboko i pewnie, dając jej odczuć każdy centymetr swej długości aż znalazł się w niej cały, ujął jej nogę pod kolanem i oplótł nią swe udo. Wsparty na łokciach, spojrział na nią w mroku, a jego rysy wyrażały zdecydowanie, namiętność tak intensywną, że Emily czuła na skórze jej żar. Wycofał się i pchnął znowu.

Raz za razem, mocniej i mocniej, głębiej i głębiej, aż łkała jego imię i wreszcie, wygięta w łuk, wbijając mu paznokcie w ramiona, rozpadła się na kawałki.

Gareth zanurkował i nakrył jej wargi swoimi, spijając krzyk czystej rozkoszy.

I triumfował.

Prymitywny zaborczy byt w jego wnętrzu zamruczał z satysfakcją, która przeniknęła go do szpiku kości, gdy jeszcze przez chwilę trwał nieruchomo, chłonąc fale jej ulgi. Jej pochwa zacisnęła się na nim.

Ślepa potrzeba wbiła w niego szpony...

Poddał się jej żarłocznie, napełnił zmysły.

Zatracił się w niej, opuszczając powieki.

27 listopada 1822, wczesny wieczór

Mój pokój w gospodzie w Marsyli

Drogi pamiętniku,

Podjęte przeze mnie minionej nocy działania zwieńczył sukces. Nie, żebym oczekiwała ze strony Garetha szczególnego oporu. Teraz jednak muszę poczekać, by się przekonać, czy przynęta poskutkuje.

Dzień upłynął nam na przygotowaniach do podróży. Dzięki państwu Juneau, naszym gospodarzom, dopieśliśmy wszystko na ostatni guzik i jesteśmy gotowi, by jutro rano ruszyć z kopyta do Boulogne. Zgodnie z instrukcją to z tego portu powinien skorzystać Gareth. Muszę przyznać, że choć chętnie się tam znajdę i z radością ujrzę znów Anglię, postrzegam ten końcowy etap podróży jako ciąg okazji do nakłonienia Garetha, by uzmysłowił sobie i głośno wyznał swą miłość do mnie.

Najchętniej na wiele różnych sposobów.

Najchętniej zanim staniemy na angielskiej ziemi.

Czekam jak na szpilkach, żeby się przekonać, czy mój ubiegłonocny wybieg przyniesie pożądany rezultat – pierwszy postęp w mojej kampanii.

Jak zawsze pozostaję pełna nadziei.

E.

Dzień upłynął mu w zaabsorbowaniu ostatnimi kontrolami i decyzjami. Niemniej kiedy Gareth wspinał się tego wieczoru po schodach na piętro, towarzyszyła mu cicha pewność, że zadbali o wszystko, o co tylko się dało w rzeczy samej, dzięki pozyskaniu przez Emily rodziny Juneau mieli przed tym szalonym wyścigiem na północ, nad kanał, lepszą pozycję startową, aniżeli pierwotnie śmiał na to liczyć.

Kiedy znalazł się na korytarzu piętra, dopadło go szczególne napięcie, znajome, prawie że napełniające spokojem – napięcie, które nadciąga zwykle w noc poprzedzającą bitwę, gdy przekonanie o tym, że jest się w pełni przygotowanym, ściera się z udręką czekania aż do rana, nim zaczniesz się działać.

Gareth miał zbyt wiele doświadczenia, by czuć dyskomfort z tego powodu. W rzeczy samej, powitał owo napięcie z radością.

Pod tym pierwszym, znanym, przyczaiło się jednak inne, i to była już całkiem osobna kwestia.

Za to nowe napięcie w pełni odpowiadała Emily i jej wizyta minionej nocy. Więcej – jej poczynania i akty, którym wspólnie się oddali. Wolałby, żeby było inaczej, nie mógł jednak zaprzeczyć faktom – nie mógł udawać, że nie narasta w nim oczekiwanie, kiedy zbliżał się do drzwi sypialni.

Towarzyszyło mu ono, gdy zamykał dłoń na gałce.

Już na wpół z erekcją, z sercem tłukącym się w piersi tę wymowną odrobinę szybciej, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Jego wzrok natychmiast powędrował w stronę łóżka.

Było puste.

W mroku przyjrzał się raz jeszcze, uważnie, żeby się upewnić, czy jednak nie przeoczył jej ponętnego ciała, Ale nie.

Nie przyszła.

Zamknął za sobą drzwi, stał i gapił się na łóżko.

Część jego umysłu od razu zaczęła sypać oskarżeniami. Minionej nocy zrobił coś, co się jej nie spodobało, albo zaniedbał czegoś, czego oczekiwała. Albo...

Inna, bardziej racjonalna część ucięła tę tyradę bezużytecznych sugestii. Odzyskał w nim władzę doświadczony dowódca, kalkulując chłodno.

Dlaczego nie przyszła? Na to pytanie Gareth musiał znaleźć odpowiedź.

Chwilę trwało, nim cofnął się myślami na tyle, by przypomnieć sobie, z jakim szczególnym wyrachowaniem weszła do tego pokoju minionej nocy. Następnie powiązał to z szacującymi spojrzeniami, którymi obdarzała go w ciągu dnia, a zwłaszcza tego wieczoru.

Minionej nocy nie pojawiła się tu wiedziona kaprysem – przyszła z konkretnym planem. Jej wizyta stanowiła część planu. A polegał on na...?

Gareth zaklął.

Zacisnął wargi, podszedł do okna, wyjrzał na pustą ulicę, a potem pokręcił głową i zaczął spacerować.

Nie powinien tego robić, nie powinien się poddawać. Wiedziała, że on chce – zamierza – ją poślubić, i tyle wystarczyło. Gdyby poszedł do niej teraz, tej nocy... to by jej zdradziło coś więcej.

Ujawniło więcej.

Samą prawdę, owszem, lecz Gareth pragnął ukryć, zwłaszcza przed Emily, jak bardzo jej potrzebuje.

Na szebecie nie miał możliwości dołączyć do niej w nocy, a tutaj... Do tej pory mądrzej wydawało mu się zachować dystans. Chciał trzymać na dystans kwestię ich przyszłości, i samą Emily, dopóki nie znajdą się w Anglii, gdzie skryłby się za różnymi społecznie akceptowalnymi praktykami.

Żeby zataić, jak głębokie żywi wobec niej uczucia.

Nie wiedział nawet, skąd te uczucia się wzięły – z czego wynikały, kiedy zdążyły go dopaść i tak mocno zapuścić korzenie – lecz teraz były w nim, oczywista słabość, w każdym razie z jego punktu widzenia.

Jeśli zachowa dystans, będzie mógł uczepić się fikcji, że żeni się z Emily, gdyż ogólnie do siebie pasują, a do tego ją uwiódł, zatem małżeństwo stanowi konieczne następstwo zaistniałej sytuacji, które zresztą całkiem mu odpowiada.

Nie powinien iść do jej pokoju, nie powinien ujawniać, że potrzebuje jej choćby tylko w takim stopniu.

Za tym, żeby nie szedł, przemawiały względy bezpieczeństwa. Było bezpieczniej dla wszystkich, jeśli nie rozpraszał się jej obecnością u swego boku, o dzieleniu z nią łóżka nie wspominając.

Prędko jednak inna, bardzo zdecydowana i natarczywa część umysłu wytknęła mu, że Emily będzie o wiele bezpieczniejsza, spędzając noce w jego ramionach, przez co i on stanie się mniej rozkojarzony, nie będzie się już bowiem zadრęczał, czy nic jej nie grozi – mając ją tuż obok w łóżku, momentalnie uśmierzy swe obawy.

Biorąc pod uwagę, że od tej pory będą się zatrzymywać w gospodach podobnych do tej...

Skrzywił się, kiedy jego wymówka ostatecznie upadła

Iść czy nie iść?

Nie powinien. Nie pójdzie...

Może jeśli poczeka, ona się zniecierpliwi i jednak sama przyjdzie?

Upłynęło pół godziny, a Emily się nie pojawiła.

Gareth zaś odkrył, że miała znacznie więcej cierpliwości od niego.

Mamrocząc przekleństwo, skierował się do drzwi.

Jej pokój znajdował się za załomem korytarza, dalej od schodów. Gareth wszedł bez pukania, starannie zamknął za sobą drzwi i ruszył do łóżka.

Leżała tam, w pełni rozbudzona, wsparta na poduszkach, dzięki czemu mogła mu się przyglądać, gdy się zbliżał. Podciągnęła prześcieradła tak, że zakrywały jej piersi, ramiona miała jednak ponętnie obnażone.

Kiedy Gareth zatrzymał się przy łóżku, spojrzała nań szeroko otwartymi oczami, lecz z pewnością nie niewinnie. Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie niczym kot który właśnie dobrał się do śmietanki.

Gareth zmrużył oczy i wycelował w nią palec.

– Wiem, do czego zmierzasz, i nie gram w twoją grę.

Emily czuła się nader wyuzdana, gdy zaglądała w jego ciemne oczy. Bezczelnie uniosła brwi.

– Jesteś tu, nieprawdaż?

– Moja obecność tutaj nie znaczy tego, co myślisz.

– Ach tak? – Wbrew sobie uśmiechnęła się szerzej. – Co zatem oznacza?

Przyglądał się jej krótką chwilę, a potem zdjął surdut.

– Porozmawiamy o tym później – burknął.

Rzucił surdut na krzesło i sięgnął do halsztuka.

Emily uśmiechnęła się z jeszcze większym samozadowoleniem, czując, jak żar wzbiera w niej i rozlewa się po całym ciele. Osunęła się na poduszkach i czekała.

Aż jej kochanek – jej przyszły mąż – do niej dołączy.

Nie sprawił jej zawodu.

Dużo później, gdy leżała w skłębionej pościeli, ocieężała, wyciśnięta do cna i dogłębnie zaspokojona, Emily zdołała wreszcie zebrać myśli... i odkryła, że nadal się uśmiecha.

Jej plan się powiódł.

Co więcej, zyskała nieoczekiwaną dodatkową korzyść. Gareth przejrzał jej wybieg i z zemsty, lub by nie pozwolić jej pławić się w poczuciu triumfu, z zapalem poświęcił się zadaniu olśnienia jej czystą, absolutną rozkoszą.

Wiedziała teraz, że to, co zaszło między nimi minionej nocy, stanowiło zaledwie przedsmak. Zatraciła się w chaotycznej desperacji, dyszała, krzyczała, spazmowała, spustoszona ekstazą, do której doprowadził ją samymi tylko rękami, wargami i językiem.

Po tym zaś, co nastąpiło później, do tej pory nie rozprostowała w pełni palców u stóp. Nadal czuła drobne dreszcze rozkoszy, zamierające echo drugiego, wstrząsającego orgazmu.

Leżała na brzuchu. Minimalnie uchyliła powieki, żeby spojrzeć na Garetha, równie ocieężałego i wyczerpanego jak ona. Zapewnił, że porozmawiają, podejrzewała jednak, że jej siostry miały rację: po fakcie dżentelmeni nie wdają się w rozmowy, a po prostu zasypiają.

Nie, żeby jej to przeszkadzało, nie w tej chwili. Zamknęła oczy i zatopiła się w poczuciu zaspokojenia i jeszcze głębszej od niego satysfakcji. Jej plan poskutkował, Gareth przyszedł do jej sypialni, nie zdołał się po wstrzymać. Czyny mówią głośniej niż słowa, zwłaszcza w przypadku mężczyzn.

Jego czyny przemówiły na tyle głośnie, że na razie jej to wystarczyło.

Spod osłony rzęs Gareth przyglądał się, jak Emily od pływa w sen, i dziękował niebiosom. Postąpił głupio, sugerując, że porozmawiają później – owo „później” oznaczało bieżącą chwilę, a teraz... słowa wydawały się zbyt niebezpieczne.

Byłyby zdecydowanie nierozsądne.

Zaborczy byt w jego trzewiach leżał cicho, beztroski i zaspokojony, nasycony, ponieważ Emily oddała mu się bez zastrzeżeń. Opuszczając powieki, Gareth poczuł głębokie i przytłaczające zaspokojenie, jakiego nie doświadczył nigdy wcześniej. Uległ mu z nieomal grzesznym wrażeniem, że tonie. Za moment weźmie Emily w ramiona, przytuli ją do siebie.

Wówczas, gdy zniknie zagrożenie, że ona się obudzi i spojrzy nań w ciemności, dostrzegając zbyt wiele.

W tych ostatnich chwilach świadomości jego myśli krążyły swobodnie. Już dowiedziała się więcej, aniżeli by sobie życzył, lecz nie mógł cofnąć czasu. Dopóki jednak nie przyzna się do tego głośno, nie ubierze w słowa tego, co do niej czuje, tym samym czyniąc to rzeczywistym, jakoś podoła.

Podoła tej sytuacji. Być może Emily miała rację. Być może jeśli co noc będzie dzielił z nią łóżko, zaspokoi potrzebę, jaką zaczynał w niej wyczuwać. Potrzebę poznania jego uczuć, dotknięcia go i sprowokowania jego do tyku, by zyskać wiedzę...

Ani chybi chodziło o coś w tym rodzaju. Może zatem miała rację, może usatysfakcjonuje ją, jeśli będzie z nią sypiał.

Bóg świadkiem, że jego to satysfakcjonowało.

28 listopada 1822, wczesny ranek

Nadal w łóżku, gryzmołąc spieszenie

Drogi pamiętniku,

Trzymam kciuki, przynajmniej metaforycznie. Sprawy zdają się rozwijać po mojej myśli – moja kampania mająca zachęcić Garetha, by uzmysłowił sobie i zadeklarował swoje uczucia do mnie, jest w toku, i chyba położyłam podwaliny pod dalsze potyczki. Po ubiegłej nocy żywię nadzieję, że będzie wy-

starczająco zmotywowany, by przychodzić do mego łóża w trakcie przystanków w drodze przez Francję i, jeśli szczęście dopisze, także później.

Bez wątplenia takie knowania są niezwykle wyuzdane, lecz jak mus to mus. Zależy mi na tym, by usłyszeć deklarację jego prawdziwych uczuć, gdyż z każdym upływającym dniem narasta we mnie przekonanie, że jeśli mamy stworzyć partnerski związek, jakim w moim mniemaniu winno być małżeństwo, wówczas konieczne jest, dla nas obojga, żeby Gareth uzmysłowił sobie i głośno wyznał swą miłość do mnie.

Odnoszę wrażenie, że wszystko, co sobie wymarzyłam w związku z małżeństwem, majaczy na horyzoncie, nadal poza naszym zasięgiem, jeśli wszakże oboje wykażemy chęci, oboje nieco się wysilimy, zdobędziemy tę nagrodę.

Dorcas właśnie przyniosła mi wodę do mycia i muszę się pospieszyć, jako że opuszczamy Marsylię za niewiele ponad godzinę.

E.

Na niewielkim dziedzińcu na tyłach gospody panowało gorączkowe ożywienie. Gareth przebiegł wzrokiem po załadowanych powozach, przyglądał się, jak Mooktu i Bister podają Mullinsowi pistolety, proch i kule, żeby umieścić je pod siedzeniami na kozłach, obok wyczyszczonych przez siebie strzelb.

Lepiej przygotowani być nie mogli.

Wszędzie wokół na brukowanym dziedzińcu tłoczyli się członkowie rodziny Juneau, młodzi i starzy, chcąc pomachać na pożegnanie dwóm krewniakom i życzyć powodzenia angielsko-hinduskiej grupie, którą gadatliwy klan wziął pod swe skrzydła.

Gareth podszedł, żeby wyłuskać Emily z gromady Juneau. Było wśród nich wiele kobiet, które obdarzyły go pogodnymi, oceniającymi spojrzeniami.

Nie wątpił, jakie myśli snuły się im po głowach, zwłaszcza gdy jakaś staruszka teatralnym szeptem zauważyła, że tworzą śliczną parę

Udał, że tego nie słyszy.

Emily uśmiechała się radośnie. Kiedy się zbliżył, podniosła nań wzrok, a wtedy jej uśmiech się zmienił. Gareth nie umiałby sprecyzować, na czym owa zmiana polega; jakby zmiękł, stał się bardziej osobisty. Przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce obok siebie.

Zajął je, lecz tylko po to, by obdarzyć zebranych uśmiechem i przypomnieć jej:

– Musimy ruszać. – *Inaczej spędzimy tu cały dzień.*

Emily usłyszała ten niedopowiedziany komentarz i przyznała mu rację. Później jednak Gareth musnął dłonią jej plecy i z trudem zapanowała nad rozkosznym dreszczykiem – który to szczegół nie umknął uwagi zebranych wokół kobiet.

Uśmiechnęły się zachęcająco.

Odpowiedziała równie promiennym uśmiechem, w duchu przyznając, że cudownie być tą, po którą przyszedł Gareth, szeroki w barach, brązowowłosy przystojniak.

Znów jej dotknął w subtelnym ponagleniu. Tłumiąc swą reakcję, Emily odwróciła się do żony właściciela gospody i zaczęła się żegnać.

Ze wszystkich stron rozbrzmiewały okrzyki, życzenia powodzenia i wylewne podziękowania. Z dłonią wspartą na jej plecach, Gareth nieubłaganie pokierował Emily ku powozom. Gdy wreszcie dotarła do drzwi pierwszego, odwróciła się, by po raz ostatni pomachać na pożegnanie zgromadzonym na dziedzińcu, po czym przyjęła ofiarowaną przez Garetha dłoń, poczuła mocny i ciepły uścisk jego palców i raz jeszcze przeszył ją ów rozkoszny dreszczyk

dumy z faktu, że to jej mężczyzna. Odetchnęła dla uspokojenia i z jego pomocą wspięła się do eleganckiego powozu.

Gareth odwrócił się do tłumu, ukłonił ze szczerym, choć nieco wysiłonym uśmiechem i w bardziej formalnych słowach wyraził podziękowanie. Następnie wspiął się do powozu, złożył schodki i zamknął drzwi.

Bister i woźnica już czekali na koźle, Dorcas siedziała naprzeciw swej pani. Gareth zajął miejsce obok Emily. Teatralnie świsnął bat, powóz szarpnął i wytoczył się z dziedzińca na boczną uliczkę.

Żegnające ich radosne okrzyki stopniowo przycichały, kiedy wjechali między budynki. Gdy skręcali za róg, Gareth zerknął wstecz, upewniając się, że drugi powóz, wiozący Arnię, Mooktu, Watsona i Mullinsa, z Jimmym na koźle obok woźnicy, trzyma się tuż za nimi.

– Zapewne przez miasto musimy przejechać bez pośpiechu? – odezwała się Emily.

Spojrzał na nią i odkrył, że wygląda przez drugie okno.

– Tak. I lepiej trzymać się z dala od okien.

– Och. – Cofnęła się natychmiast. – Oni gdzieś tam są, prawda?

Przytaknął. Przez ostatnie półtorej doby udało im się p o tym zapomnieć. Młodszy członkowie rodu Juneau, nadzorowani przez Bistera i Jimmy'ego, zajęli stanowiska przy obu końcach uliczki, wypatrując wroga. Dawno nie

czuli się wszyscy tak bezpiecznie, jak pod opieką tego rodzinnego klanu.

Jeśli chodzi o Garetha, nie czuł się tak od momentu, gdy z tubą dłoni opuścił Czerwonego Indora, bombajską tawernę.

Emily i Dorcas podziwiałały widoki, kiedy powozy statecznym tempem przedzierały się przez poranny tłok na ulicach. Puszczając mimo uszu irytująco zwyczajne okrzyki zachwytu i paplaninę kobiet, Gareth pozwolił

sobie na coś, czego do tej pory unikał – oddał się rozmyśleniom o swych trzech przyjaciółach, zastanawiając się, gdzie są i jak sobie radzą.

Przez długi czas oni czterej byli razem na dobre i na złe, ramię w ramię walczyli w niezliczonych bitwach. Nawet w ostatnich latach, kiedy jako dowódcy często jeździli osobno, więź między nimi pozostała niezmiennie mocna – ta więź, która zrodziła się w ogniu bitew na Półwyspie ponad dekadę wcześniej.

Z wyboru żaden z nich nie znał trasy, jaką mieli podróżować pozostali. Gareth nie orientował się nawet kto przewozi niezwykle ważny oryginał listu, który, chcąc ukrócić rządy Czarnej Kobry, musieli dostarczyć księciu Wolverstone'owi – wiedział tylko tyle, że nie on jest tą osobą. Jemu przypadła w udziale rola wabika a pergamin w jego tubie, o treści identycznej jak trzy pozostałe, był tylko kopią.

Jednakże Czarna Kobra i członkowie kultu o tym nie wiedzieli. Uwzględniając, o co toczyła się gra, Gareth spodziewał się, że przeciwnik i tak będzie go ścigał. Nu zawiódł się, i dobrze.

Zarazem Wolverstone, człowiek znany przez lata wyłącznie jako Dalziel, wyznaczył mu na ten ostatni odcinek przed dotarciem do Anglii bardzo konkretne zadanie. Gareth i jego ludzie mieli uczynić, co w ich mocy. że by ściągnąć na siebie jak największe siły wroga i w miarę, możliwości je przerzedzić.

Wedle jego interpretacji te rozkazy wskazywały na to że kurier przewożący oryginał również będzie podróżował do Anglii przez kontynent. Którykolwiek z jego przyjaciół stał przed tym najgroźniejszym wyzwaniem, jego bezpieczeństwo po części zależało od Garetha – od tego, na ile skutecznie wypełni swoją misję.

Wyruszył z Indii z Bisterem, Mooktu i Arnią, przy czym cała ta trójka, z Arnią włącznie, potrafiła zadbać o siebie w walce. Gdyby towarzyszyli mu tylko oni, mógłby swobodnie ścierać się z wrogiem, w dowolnym miejscu i czasie.

Obecnie jednak wiózł ze sobą także Emily, Dorcas, Jimmy'ego, Mullinsa i Watsona. Mullins umiał się obronić, lecz czworo pozostałych, mimo sprytu i zaradności, nie było bezpiecznych w trakcie starcia. Należało ich chronić, przede wszystkim Emily.

Zwłaszcza Emily, zwłaszcza teraz... Teraz, gdy zaczęła tyle dla niego znaczyć.

O wiele więcej, niż uważał dotąd za możliwe.

Powóz toczył się przez miasto, a Gareth spoglądał niewidzącym wzrokiem przez okno i zastanawiał się, w jaki sposób zdoła wypełnić rozkazy, nie narażając jednocześnie na niebezpieczeństwo Emily oraz innych, bliskich jej osób, za które aktualnie odpowiadał.

Zostawili za sobą centrum Marsylii i sunęli niespiesznie przez północne przedmieścia, traktem, który miał ich zaprowadzić do Lyonu i dalej, kiedy Gareth poczuł na sobie spojrzenie Emily.

Wymiana zdań między kobietami ustala jakiś czas temu. Zerknąwszy na Dorcas, Gareth odkrył, że pokojówka już drzemie.

Odwrócił się i spojrzał w wyraziste oczy Emily.

– Zastanawiałam się... – Z uśmiechem przekrzywiła głowę. – Powiedziałeś mi, że jesteś jedynakiem, ale może masz kuzynów, innych krewnych?

Jako jego przyszła żona, powinna się dowiedzieć. Pokręcił głową.

– Nic. Zostałem tylko ja. Moi rodzice również nie mieli rodzeństwa. Pobrali się w późnym wieku, toteż byli już starsi, kiedy się urodziłem. Mój

ojciec był wikarym, ale takim, jakich archidiecezja używa na czasowe zastępstwa, dlatego nieustannie się przenosiliśmy. – Ciągłe patrzył jej w oczy. – Nie mam więc żadnej rodziny ani żadnego miejsca, które nazwałbym domem.

– Gdzie się urodziłeś?

– W Thame, w Oxfordshire. A ty? – Uznał, że może już odbić piłeczkę, zwłaszcza że wolał dowiedzieć się czegoś o niej aniżeli mówić o sobie. Na ten ostatni temat miał tak mało do powiedzenia.

– W Eldridge Hall, posiadłości moich rodziców – od parła z radością na twarzy. – To niedaleko Thornby, w Northamptonshire. Tam właśnie jest mój dom, mój i całego mojego rodzeństwa. A przynajmniej tak było, dopóki bracia i siostry nie pozawierali małżeństw. Obecnie w gnieździe zostaliśmy tylko Rufus i ja, ale pozostali często przyjeżdżają z wizytą.

– Masz siedmioro rodzeństwa, jeśli dobrze pamiętam Kuzynostwo pewnie też liczne?

Uzmysłowił sobie, że tym właśnie należy tłumaczyć swobodę i łatwość, z jaką poczyniała sobie wśród Juneau

– coś, czego jemu brakowało. Nie zdawał sobie sprawy z tego braku, dopóki nie zobaczył, jak ona wchodzi w interakcje z całą dużą rodziną, co jemu nie przyszłoby do głowy... co jemu by się zapewne nie powiodło, nawet gdyby zapragnął tak postąpić. Po prostu nie wiedziałby, jak się do tego zabrać.

– Tak, tworzymy prawdziwy klan, z hordami wujów, ciotek i kuzynów z obu stron.

Nie musiał pytać, jak układają jej się relacje z rodziną. – odpowiedź kryła się w czułym uśmiechu Emily, w blasku, który rozjaśnił jej oczy.

Garetha z nikim nie łączyła taka więź, kiedy był dzieckiem, ani też później... aż do czasu, gdy wstąpił do Gwardii i już na samym początku zaprzyjaźnił się z Rafe'em Rafe'em i Loganem.

– Nie mam rodzeństwa – znów spojrzał jej w oczy – lecz można powiedzieć, że mam braci krwi.

– Mówisz o tych trzech oficerach z kantyny? – spytała, przyglądając mu się z uwagą.

Przytaknął. Nie pytała, nie naciskała, a jednak gdy toczyli się traktem, zostawiając za sobą północne rubieże Marsylii, zrelacjonował jej, jak poznał tamtych trzech, podzielił się z nią opowieściami o ich wspólnych wyczynach i przygodach. Kiedy się roześmiała, zapytał ją o rodzeństwo, a wtedy zrewanżowała się historiami, które ukazały mu miłość, jakiej nigdy nie doświadczył. Najbliższe temu było łączące go z trzema towarzyszami poczucie koleżeństwa, lecz nawet jemu zdawało się brakować ciepła, głębi, rozmachu i bliskości, o jakich mówiła Emily, jakich doświadczyła na łonie rodziny.

Im dłużej opowiadała, tym bardziej tęsknił za czymś podobnym. Kiedy ją poślubi...

Ta myśl krążyła mu w głowie, kiedy wreszcie zamilkli oboje, a powóz równym tempem toczył się w dal.

– On sam jest jak kobra. – Najstarszy z trzech członków kultu, przysłany do obserwacji traktu wiodącego z Marsylii na północ, odchrząknął i splunął na skaliste podłoże. – Za nic nie chciałbym dziś zdenerwować Wuja. Był naprawdę wściekły, kiedy tamci z portu zameldowali mu wczoraj, że nie widzieli majora ani nikogo z jego kompanii.

Trzej obserwatorzy ulokowali się pośród skał i głazów przy trakcie, skąd mieli dobry widok na mijające ich pojazdy.

– Upiekło im się. – Najmłodszy z mężczyzn uśmiechnął się chytrze. – Słyszałem, jak Akbar mówił, iż Wuj stracił tylu ludzi, że przynajmniej na razie nie będzie nikogo karał zbyt surowo, bo potrzebuje jak najwięcej sprawnych rąk.

– Ach, to wszystko tłumaczy. – Trzeci mężczyzna po kiwał głową. – Nigdy dotąd nie widziałem, żeby Wuj był tak pobłażliwy. Zwykle jeden błąd i... – Przeciągnął palcem po gardle. – Kult nie toleruje porażki.

– To prawda. – Pierwszy trącił najmłodszego czubkiem buta. – Lepiej zapamiętaj to sobie, na wypadek gdyby, co wydaje się prawdopodobne, major wymknął się nam w mieście i pojechał tym traktem na północ. Jeśli tak się stanie, Wuj ruszy za nim w pościg, biorąc ze sobą większość z nas, a wiem na pewno, że Czarna Kobra rozmieścił wzdłuż tamtego kanału spore siły. Jeśli major tędy pojedzie, Wuj podaży za nim, a wraz z nim wielu ludzi, i ponownie karą za niepowodzenie będzie śmierć.

Najmłodszy wzruszył ramionami. Dwaj starsi wymienili spojrzenia.

Później najmłodszy uniósł do oka lunetę i wycelował ją w pierwszy z dwóch toczących się traktem na północ powozów.

Jego towarzysze oparli się o skały i powrócili do kontemplacji nieba: minęły ich już niezliczone powozy.

– Ha! – Podekscytowany okrzyk przerwał im ów relaks. Najmłodszy mężczyzna podskoczył z ożywieniem i podał lunetę kompanom. – To oni, jestem pewien. Po patrzcie na mężczyzn obok woźniców. Ten pierwszy to ordynans majora, zgadza się?

Najstarszy wziął lunetę. Po chwili skinął głową. Przekazał lunetę trzeciemu mężczyźnie i odwrócił się do najmłodszego.

– Zostaniesz tutaj, dopóki cię nie miną, a potem ruszysz za nimi, ale nie za blisko. Nie wjeżdżaj na traki nie dopuść, by cię zobaczyli. My –

spojrzeniem wskazał trzeciego – przekazemy dobre wieści Wujowi. Kiedy wszyscy cię dogonimy, otrzymasz od Wuja zasłużoną pochwałę.

W międzyczasie to ci dwaj, choć spędzili cały dzień gapiąc się w niebo, zbiorą owoce uznania Wuja. Jednak najmłodszy członek kultu wiedział, że taki już jest porządek rzeczy, dlatego skinął głową.

– Podążę za nimi i będę czekał, aż Wuj dołączy do mnie z resztą ludzi.

Bez dalszych ceregieli dwaj starsi przecisnęli się z powrotem przez skały do miejsca, gdzie zostawili skradzione wierzchowce.

TTLRR

Rozdział 14

30 listopada 1822, wczesne przedpołudnie

W powozie w drodze do Lyonu

Drogi pamiętniku,

Spieszę zapisać te słowa, podczas gdy Gareth wyszedł z powozu dopilnować wymiany koni. Ostatnie dwa dni – a jeszcze bardziej dwie ostatnie noce – z pewnością warte były moich wcześniejszych wysiłków. Do powodzenia mojej kampanii przyczyniają się skromne rozmiary wiejskich karczm, w których się zatrzymujemy. Jako że nieodmiennie otrzymuję tylko dla siebie największą i najwygodniejszą izbę, a Arnia z Mooktu oraz Dorcas zajmują przeważnie pozostałe dostępne pokoje, wydaje się niezaprzeczalnie bardziej sensowne, żeby Gareth dołączał do mnie w łóżku, za miast spać z innymi mężczyznami w stajni. A wtedy, oczywiście...

Jeśli pozostanę niezłomna, zrealizuję wszystkie swe pragnienia.

Wieczorem przybyli do Lyonu. Mieli wyśmienity czas Gareth dziękował losowi, że zesłał im jako woźniców kuzynów Juneau, Gustava i Pierre'a. Doświadczeni, wojowniczy akurat na tyle, na ile było trzeba, parli dziarsko naprzód, nie zważając na przeszkody w rodzaju tłoku na trakcie czy przewróconych bryczek.

Dotarli do pierwszego dużego miasta, nie napotykać po drodze ani śladu członków kultu.

Gareth był pewien, że akurat to ostatnie wkrótce – aż nazbyt szybko – ulegnie zmianie.

Z uroczą uśmiechniętą Emilią u boku wszedł do największego hotelu w mieście. Wybudowano go w przeważającej mierze z drewna. Gareth wolałby konstrukcję z kamienia, jednakże im dalej na północ się zapuszczali, tym

robiło się chłodniej i bardziej wilgotno, a poza tym mniejsze budynki niosły ze sobą innego rodzaju ryzyko, na przykład łatwy dostęp do górnych pięter.

Rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że w tym hotelu powinni być względnie bezpieczni. Z Emily wspartą na jego ramieniu podążył dalej, do lady recepcji w głębi westybulu.

Wolnych pokoi było mnóstwo. Gareth mógłby poprosić o dwie przylegające sypialnie, ale nie uczynił tego. Towarzysze podróży zorientowali się już, że oni dwoje dzielą łóżce, a napotykanii Francuzi brali ich za małżeństwo.

Ani Emily, ani on nie próbowali korygować tego założenia, nie było zatem sensu wynajmować osobnych pokoi.

Nawet gdyby to zrobił, spędziłby noc w jej łóżku.

Pomijając niepokojące rozważania, czy znalazłby w sobie dość siły, by oprzeć się pokusie, a także, czy gdyby mu się to powiodło, Emily zgodziłaby się na takie rozwiązanie i pozwoliła mu zachować dystans, nie dało się zaprzeczyć, że nie zasnęłyby, a przynajmniej nie spałyby dobrze, nie mając jej w zasięgu ramion.

Załatwiwszy kwestię zakwaterowania, Gareth spojrział na Emily. Pochwyciła jego wzrok, uśmiechnęła się z zachętą i aprobatą, jak to miała w zwyczaju, po czym odwróciła się do recepcjonisty i przystąpiła do zamawiania obiadu.

Gareth i Emily spożyli posiłek w komforcie pełnej złoceń jadalni. W przybytku takim jak ten zmuszeni byli przestrzegać podziałów klasowych, dlatego pozostali członkowie ich grupy jedli w hotelowym barze. Oni dwoje później do nich dołączyli.

Zamienili tylko kilka słów. Gareth naradził się z mężczyznami, ustalając kolejność pełnienia wart tej nocy, do którego to zwyczaju wrócili po opuszczeniu względnie bezpiecznej gospody państwa Juneau.

Niedługo potem wszyscy udali się na spoczynek. Gareth po raz ostatni omiół spojrzeniem hotelowy westybul i sale na parterze, odnotowując zamknięte na noc okiennice i mocne zamki w głównych drzwiach, po czym ruszył za Emily na górę.

Odezwała się w nim intuicja, przeczuwał nadciągającą bitwę.

Popatrzył na siedzącego w oknie wykuszowym przy końcu korytarza Mooktu, który pełnił wartę jako pierwszy.

– Zachowaj czujność.

Mocarny Pasztun z powagą skinął głową. On także zwietrzył niebezpieczeństwo.

Żywiąc nadzieję, że obaj się mylą, Gareth podążył za Emily do pokoju i cicho zamknął drzwi.

Atak – typowy dla członków kultu – nastąpił o najciemniejszej porze nocy. To właśnie Gareth, który stał przy oknie, podczas gdy Emily spała w wielkim łożu za jego plecami, spostrzegł na ulicy, blisko narożnika budynku, jakiś ruch, a potem migotanie pierwszych płomieni.

Gareth znalazł się na dole, z Mooktu u boku, waląc do drzwi kierownika hotelu, zanim ogień zdążył się rozprzestrzenić.

Kierownik błyskawicznie zwołał personel. Jego ludzie wypadli z kubłami przez frontowe drzwi, żeby ugasić płomienie.

Tymczasem Gareth i Mooktu, wraz z Mullinsem i Bisterem, przyczaili się w mroku nieoświetlonego westybulu – i powitali sześciu napastników, którzy wślizgnęli się przez niestrzeżone drzwi z połyskującymi w blasku księżycy kindzałami.

We czterech poradzili sobie z zagrożeniem z cichą, zabójczą, bezwzględną skutecznością, obserwowani przez przerażonego nocnego recepcjonistę, który pozostał za ladą.

Jednakże kiedy później – znajdowali się bowiem w Lyonie, a nie byle dziurze z dala od cywilizacji – przybył przedstawiciel władzy w postaci zbulwersowanego żandarma, recepcjonista ochoczo potwierdził, że członkowie kultu przyszli uzbrojeni, ewidentnie nosząc się z zamiarem dokonania mordu, a Gareth i jego ludzie zasługują na medal za to, że obronili zarówno jego, jak i licznych gości hotelu, którzy poruszeni zdążyli zebrać się w westybulu.

Wspomniani goście na widok egzotycznych strojów członków kultu hałaśliwie poparli recepcjonistę, na co żandarm sapnął z irytacją i rozkazał, żeby wywieziono ciała.

Gareth przystanął obok kierownika hotelu, przyglądając się zamieszaniu.

– Proszę się nie martwić – mruknął. – Wyjeżdżamy skoro świt.

Kierownik spojrzał nań z ukosa. Gareth napotkał jego wzrok.

–*Bon.* – Mężczyzna skinął głową. – Wydam polecenia, żeby kuchnia przygotowała wczesne śniadanie.

– *Merci* – odparł Gareth, tłumiąc cyniczny uśmiech.

Przecisnął się przez tłum, przyjmując podziękowaniu, i poinformował członków ich grupy, że wyruszają wcześniej. Uporawszy się z tym zadaniem, odnalazł Emily, W narzuconej na koszulę nocną pelerynie prowadziła ożywioną rozmowę z francuską damą, otuloną stylowym szalem, z papilotami w jasnorudych włosach. Gareth przeprosił obie panie, ujął Emily pod ramię i stanowczo pokierował ją ku schodom.

– Wyruszamy o świcie – wyjaśnił, kiedy spojrzała nań, unosząc pytająco brwi.

Jej wargi ułożyły się w „och”. Nie zatrzymała się.

Dotarli do pokoju. Gareth zamknął drzwi i obserwował Emily, gdy rzuciła pelerynę na taboret, przystanęła obok łóżka i spojrzała na niego.

Po pełnej napięcia chwili puścił gałkę u drzwi i wolno do niej podszedł.

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś zdjęła tę koszulę.

Z cienia pod drzewami w parku naprzeciwko hotelu Wuj przyglądał się, jak wóz zabiera ciała sześciu jego najlepszych zabójców.

Patrzył na to się beznamiętnie. Zgrzytanie zębami nie miało sensu. W tym kraju domy były solidnie zbudowane; nie płonęły łatwo, zwłaszcza przy takiej wilgoci w powietrzu.

A major wyraźnie spodziewał się ataku, miał SIĘ na baczności.

Nasuwał się oczywisty wniosek. Wuj potrzebował nowego planu, lepszego podejścia.

Stare kości dokuczały mu wskutek zimna, lecz nie była to jego największa bolączka. Jakkolwiek wypełniał rozkazy Czarnej Kobry, jego pościgiem za majorem kierowały emocje sięgające znacznie głębiej niż pragnienie zaszczytów.

Chciał – musiał – zadać zarozumiałemu majorowi taki sam ból, taką samą udrękę, jakie ten zgotował jemu. Oko za oko, życie za życie... ale czyje życie?

Tej kobiety?

Przez otwarte drzwi hotelu spostrzegł pannę Ensvorth, którą Czarna Kobra życzył sobie ukarać za to, że pomogła majorowi rozpocząć tę misję. Odwróciła się właśnie i uśmiechnęła do majora, gdy do niej dołączył. Chwilę później ujął ją pod ramię i oboje zniknęli Wujowi z oczu.

Czy była teraz kobietą majora?

Na myśl o tym, jak bardzo przywódcy spodobałaby się jej skóra – w sensie dosłownym – Wuj się uśmiechnął. To byłby stosowny prezent, zarówno dla przywódcy, jak i dla niego samego.

U jego boku pojawił się Akbar.

– Powinniśmy już iść.

Nadal wpatrzony w hotel, Wuj przytaknął.

– O tak. Mam sporo spraw do przemyślenia.

1 grudnia 1822, wczesny wieczór

Pokój w małej wiejskiej karczmie

Drogi pamiętniku,

Po gwałtownych zajściach minionej nocy (oraz ich niespodziewanych, lecz rozkosznie przyjemnych konsekwencjach) zwlekliśmy się z łóżka skoro świt i niedługo potem ruszyliśmy w drogę. Zgodnie z sugestią Garetha, kuzyni Juneau utrzymywali szybkie tempo – chcieliśmy jak najprędzej oddalić się od Lyonu, a przy okazji utrudnić ewentualny atak na trakcie.

Zgodnie z planem nie urządzamy żadnych dłuższych ani możliwych do przewidzenia postojów, a w porze lunchu i w ramach przekąsek korzystamy z prowiantu. Razem wzięwszy, nie tracimy ducha, ale... dlaczego ci przekłeci członkowie kultu po prostu nie zostawią nas w spokoju?

Mężczyźni, którzy już nieco się rozluźnili, znów trwają w gotowości bojowej. Jeśli chodzi o Garetha, powiedziałabym, że jest nawet bardziej spięty niż był. Kto by pomyślał, że macki wroga sięgną tak daleko od jego bazy w Indiach? Niemniej jednak, jako że do tej pory powinno już stać się dlań oczywiste, że jego ludzie nie odniosą sukcesu, można by sądzić, że zrezygnuje i ulotni się chyłkiem.

Niestety, chyba nikt z nas się tego nie spodziewa, a napięcie ciągle wzrasta. Przynajmniej, jak dotąd, sytuacja nie pogorszyła się na tyle, żeby Gareth czuł się w obowiązku odmówić sobie nocy ze mną.

W istocie, jeśli odczuwam jakąś zmianę, to raczej w drugą stronę, na co bynajmniej nie narzekam.

Po zastanowieniu stwierdzam, że dopóki członkowie kultu trzymają się od nas na dystans i nie próbują nikogo skrzywdzić, ich ciągła obecność aż tak mi nie przeszkadza.

E.

Następnego dnia wtoczyli się do Dijon. Kiedy ich powozy lawirowały brukowanymi ulicami, zagłębiając się w miasto, słońce już zachodziło, malowniczo kryjąc się za dachami.

Raz jeszcze poszukali schronienia w najlepszym hotelu. Trwając ciągle w stanie gotowości, zjedli obiad, rozdzielili warty, a potem udali się na spoczynek.

Przez dwa dni, które minęły od opuszczenia przez nich Lyonu, nic się nie wydarzyło. Wszyscy odnosili **wrażenie**, że ustawicznie oglądają się przez ramię.

Kiedy Gareth zamykał drzwi dużej sypialni, którą dzielił z Emily, nasunęła mu się myśl, że nie ma w ich kompanii nikogo, kto w głębi duszy nie czułby, że Czarna Kobra przyczaił się przed kolejnym uderzeniem.

W lesie pod Dijon Wuj ukradkiem ogrzewał sobie ręce przy rozpalonym przed stodołą ognisku. Okazywanie słabości nie popłaca, lecz chłód tutejszych nocy przenikał go do szpiku kości.

Zebrani wokół ognia pozostali przy życiu członkowie grupy, którą zabrał ze sobą z Marsylii – blisko dwudziestu; liczba w zupełności wystarczająca – wiercili się, posyłając w jego kierunku niepewne spojrzenia.

Wreszcie Akbar podniósł wzrok.

– Kiedy uderzymy? – zadał pytanie, które dręczyło wszystkich. – Jeśli zaatakujemy ich na trakcie, dużymi siłami...

– Nie. – Wuj nie podniósł głosu. Mówił cicho, tak by musieli wyteżać słuch, chcąc poznać jego mądrość. – Los pokazał nam, że nie tędy droga. Czyż nie próbowaliśmy po wielokroć i za każdym razem ucierano nam nosa? Nie, potrzebujemy nowego planu, lepszej taktyki. – Zrobił przerwę, by się upewnić, że podporządkują się jego nakazom. Kiedy nikt, nawet Akbar, nie zaprotestował, Wuj ciągnął: – Nieustannie mają się na baczności, wykorzystamy to więc na naszą korzyść. Zmęczymy ich. Każemy im czekać, czekać, czekać... a gdy znużeni i wyczerpani zamkną oczy, wówczas zaatakujemy!

Wuj zaczął się przechadzać, uderzając pięścią w otwartą dłoń i z uwagą lustrując twarze obecnych.

– Będziemy blisko, tak by czuli naszą obecność, wiedzieli, że obserwujemy każdy ich ruch. Będziemy obserwować, nic więcej, aż sami zmęczą się wyobrażaniem sobie, jak i kiedy uderzymy. Pozwolimy, by narastał w nich strach, by ich strawił.

Zadowolony z reakcji na jego słowa, Wuj zatrzymał się, ze znawstwem pokiwał głową i obwieścił swoją decyzję:

– Będziemy nadal podążać za nimi i uderzymy, kiedy nadejdzie stosowna chwila.

6 grudnia 1822, wieczór

Pokój w kolejnej malej wiejskiej karczmie

Drogi pamiętniku,

Jutro dojedziemy do Amiens. Im dalej na północ, tym pogoda robi się bardziej zimowa, wieje lodowaty wiatr, a niebo zasnuwają ciężkie, ciemne

chmury. Musieliśmy poszperać na dnie naszych kufrów; noszę teraz suknie, których nie miałam na sobie od wyjazdu z Anglii.

Moja kampania trwa i choć Gareth dotąd nie wyznał mi wielkiej i dozgonnej miłości, z przyjemnością donoszę, że bliskość między nami narosła, bez wątpienia za sprawą wspólnych nocy, ale również wskutek emocji, jakie wzbudza w nas najnowsza taktyka tych nikczemników.

Oczywiście, nieustannie zachowujemy czujność, nie licząc wszakże dostrzeżonego w oddali samotnego członka kultu, nie nawiązaliśmy z wrogiem bezpośredniego kontaktu – do czasu wyjazdu z Saint Dizier. Ów atak, przeprowadzony jawnie bez entuzjazmu, utwierdził nas w podejrzeniach, że względny spokój, jakiego aktualnie zaznajemy, wynika z tego, że wróg planuje dla nas coś znacznie gorszego i na tym skupia swą uwagę.

Chodzi o coś, co leży przed nami w drodze do Anglii.

Zamiast uspokoić, to zbyt łatwe zwycięstwo pod Saint Dizier jedynie bardziej nas rozdrażniło, zjednoczyło i napętniło jeszcze większą determinacją, żeby pokonać tych łajdaków i dotrzeć do wybrzeży Anglii.

Ujrzyć Anglię – to teraz nadrzędny cel nas wszystkich.

Co się tyczy mego drugiego celu, żałuję, że nie mogę poradzić się moich sióstr. Jak konkretnie wydusza się wyznanie z powściągliwego mężczyzny?

E.

Zmierzchało, gdy następnego dnia dotarli do Amiens. Było chłodno i robiło się coraz zimniej, kiedy Gareth po zarezerwowaniu pokoi wrócił, żeby dopilnować rozładunku bagaży. Uwijali się przy tym wszyscy, pragnąc jak najprędzej schronić się przed kąśliwym wiatrem. Nawet Gareth odnosił wrażenie, że po latach spędzonych w Indiach rozrzedziła mu się krew.

Kiedy bagaże znalazły się w budynku, kuzyni Juneau zaprowadzili konie do stajni, a Gareth podążył za innymi do ciepłego wnętrza.

Później on i Emily zjedli razem obiad. Przywykł do tych spokojnych chwil sam na sam z nią, kiedy mógł uporządkować myśli i wysłuchać jej opinii.

– Zaczynam podejrzewać, że nas zaganiają – mruknął, polewając pudding gęstym, słodkim sosem.

Otworzyła szerzej oczy i wsunęła do ust kawałek biszkoptu z kremem.

– To nie brzmi dobrze – stwierdziła, opuszczając łyżeczkę. – Zaganiają dokąd? Sądziś, że planują zasadzkę?

Po chwili namysłu pokręcił głową.

– Nie bardzo widzę możliwość. Na tym polega urok trasy Wolverstone'a. Możemy zdążyć do dowolnego portu nad kanałem. Nawet kiedy jutro ruszymy do Abbeville, pozostanie nam nadal do wyboru pięć dużych portów, w różnych kierunkach.

– Czyli nie są w stanie przygotować zasadzki, ponieważ poznają naszą trasę dopiero wtedy, gdy się na niej znajdziemy?

– Właśnie. – Skinął głową.

Emily skończyła deser, odłożyła łyżeczkę i przyjrzała się Garethowi z uwagą.

– Dlaczego więc zaganiają? Czym się gryziesz? Posłał jej cień uśmiechu, który wszakże prędko zbladł, pozostawiając na jego twarzy wyraz zawziętości.

– Ta utarczka za Saint Dizier była tylko na pokaz, by nam przypomnieć, że tam są, mają nas ciągle na oku.

Przypuszczam, że chcą nas przeczekać, zmęczyć ciągłym napięciem. To znana taktyka.

Kiedy umilkł, wspierając podbródek na dłoni, ponagliła:

– Jednak nie to cię trapi.

Spojrzał na nią.

– Postępując dalej zgodnie z planem Wolverstone'a – podjął – utrzymamy siły kultu w rozproszeniu, po winniśmy zatem bez problemów dotrzeć do Boulogne. Tyle że pogoda się pogarsza. Nie jestem ekspertem, ale rozmawiałem z Watsonem. Jeśli rozpęta się sztorm na co się zanoszą, porty nad kanałem mogą zostać na jakiś czas zamknięte.

– Innymi słowy, do Boulogne dostaniemy się bez trudu, za to opuszczenie jej...?

– Niewykluczone, że utkniemy tam na kilka dni. Dni, w trakcie których Czarna Kobra będzie mógł nacierać na nich raz po raz dużymi siłami.

Gareth nie powiedział tego głośno, nie musiał. Widział zrozumienie w jej oczach.

W oczach, w których zatapiał się co noc, gdy witała go w swych ramionach, w swym ciele. Oczach, które uwielbiał obserwować rankiem, kiedy w miękkim blasku świtu budziła się, gdy się w nią wsuwał.

Te oczy naprawdę go widziały; odnajdywały go za każdym razem, gdy wchodził do pomieszczenia, gdzie akurat przebywała.

Obecnie te właśnie oczy lustrowały jego twarz. Malował się na niej surowy, zawzięty wyraz, ale Gareth nie potrafił zdobyć się na to, by się roześmiać i poprawić nastrój.

Te oczy, ona cała, stały się dlań ogromnie, niewyobrażalnie wręcz ważne. Nie pojmował, jak do tego doszło wiedział tylko, że tak jest.

Nie mógł jej utracić. Jego przyszłość, która była czystą kartą, kiedy stał przy nadburciu w porcie w Adenie jawiła mu się teraz z pełną wyrazistością. A Emily stanowiła jej najważniejszy element. Bez niej...

Jakimś sposobem to wiedziała. Wiedziała, że znaczy dla niego o wiele więcej niż pierwsza lepsza dama, którą honor nakazywałby mu poślubić.

Mimo to nie naciskała, nie domagała się od niego deklaracji, jak zapewne postąpiłaby na jej miejscu inna kobieta. Po prostu była przy nim, była sobą... i pozwalała mu się zakochać. To mało powiedziane. Pozwalała mu się bardziej zakochać.

Zajrzał jej w oczy i zobaczył, że go obserwuje, czeka, z nieskończoną cierpliwością, nieskończoną wyrozumiałością... i politowaniem. A on zdawał sobie sprawę, na co.

Uniósł dłoń, obracając ją wnętrzem do góry. Kiedy położyła na niej swoją, zamknął w uścisku jej delikatne palce.

– Jeśli moja teoria jest słuszna – rzekł – aż do Boulogne raczej nic nam nie grozi.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Gareth nie potrzebował kolejnej zachęty. Pomógł jej wstać i poszli odnaleźć pozostałych, żeby ustalić porządek wart, zanim udadzą się do swego pokoju, do swego łóżka, do niewysłowionej rozkoszy swych objęć.

Na północ od Amiens, w opuszczonej chacie drwala Wuj spacerował po brudnej podłodze.

– Nie ma co do tego wątpliwości. – Z pewnością siebie potoczył wzrokiem po podwładnych. – Bez znaczenia, do którego portu czmychną. Kiedy tam dotrą, znajdą się w pułapce. – Machnął otrzymanym niedawno listem.

Nasi zgromadzeni wzdłuż wybrzeża bracia potwierdzała, że nadciąga potężny sztorm. Pozwólmy zwierzyńce umknąć do portu. Kiedy już tam będą, nie zdołają przeprowić się dalej, przez wodę. – Jego oczy płonęły złością.

– Będą musieli się zatrzymać. I poczekać. Stanął przed swymi ludźmi, unosząc ramiona.

– Bogowie pogody, moje dzieci, dają nam idealną sposobność do tego, by pojmać, a potem torturować majora i jego kobietę, ku chwale Czarnej Kobry!

– Ku chwale Czarnej Kobry! – powtórzyli za nim chórem, z ogniem w oczach, potrząsając pięściami.

– Tym razem opracujemy dobry plan. I tym razem zatriumfujemy! – Wuj czuł w sobie przyływ mocy. Trzymał ich wszystkich w garści, nawet cynicznego Akbara.

– Poczekamy, żeby się przekonać, dokąd udaje się zwierzyna, a wtedy sami też tam popędzimy. I tym razem się przygotujemy. Nieistotne, że być może nie zdołamy przy być do portu przed tamtymi, albowiem los wreszcie zaczął nam sprzyjać. Miejcie wiarę, moje dzieci, gdyż łaskawy los dał nam wreszcie dużo czasu.

8 grudnia 1822, wczesny ranek

Nasz pokój w Amiens

Drogi pamiętniku,

Kulę się w pościeli, czekając na pojawienie się Dorcas. Na dworze jest jeszcze ciemno i, co gorsza, pada śnieg z deszczem. Gareth już się ubrał i zszedł na dół. Przed nami przedostatni odcinek szalonej gonitwy ku wybrzeżu – droga do Abbeville. Stamtąd od Boulogne nad kanałem będzie dzielił nas już tylko dzień prędkiej jazdy. Jakkolwiek narasta we mnie niecierpliwość z racji tego, że jesteśmy nieomal u celu, wzięłam sobie do serca ostrzeżenia Garetha i szykuję się na frustrującą konieczność oczekiwania kilku dni na przeprawę.

Dopóki Gareth co noc dzieli ze mną łóżko, dopóki możemy spać bezpiecznie w swych objęciach, stawię czoło wszelkim przeszkodom ze stoicyzmem właściwym angielskiej damie.

E.

Opuścili Amiens w śnieżycy. Napięcie, i tak już ogromne, narastało z każdym pokonywanym kilometrem.

A jednak, zgodnie z przewidywaniami Garetha, w trakcie całodziennego podróży nic się nie wydarzyło. Kuzyni Juneau nadal umiejętnie wywiązywali się ze swego zadania, raz po raz popędzając konie. Za oknami powozów przesuwały się nieprzerwanie posępne zimowe pola, ciągnące się pod szarym niebem aż po horyzont.

Pomimo niezłego tempa dotarli do Abbeville dopiero pod wieczór. Zdążyli już nabrać wprawy, upłynęło więc mniej niż pół godziny, zanim znaleźli się wszyscy pod dachem, w ciepłe. Pozostali zasiedli do obiadu w hotelowym barze, a Gareth i Emily spożyli posiłek w powściągliwie wykwintnej, wielkiej jadalni.

Na dworze wył wiatr, grad grzechotał o szyby.

Wszyscy wcześniej udali się na spoczynek. Gareth, jak to miał w zwyczaju, wziął dla siebie wartę między drugą a czwartą rano. W ten sposób mógł zasypiać z Emily w ramionach i także budzić się obok niej.

Kiedy dotarł do sypialni, którą stanowił spory pokój na końcu korytarza, Emily kuliła się już pod ciężką, grubą kołdrą. Mocno napalono w kominku, dokładając drewna na noc. Przy zaciągniętych storach pokój wydawał się przytulny.

Ale z pewnością nie było tu ciepło.

Gareth rozebrał się prędko i dołączył do Emily, zostawiając płonącą na stoliku nocnym świecę.

Zadrzał, kiedy lodowata pościel zetknęła się z jego skórą, rozluźnił się jednak od razu, gdy Emily przytuliła się do niego, ciepła, jedwabista, tak kobieca. Przygarnął ją do siebie mocniej i obrócił się do niej twarzą.

– Nie pamiętam, żeby w Anglii było tak zimno.

– Nie zdarza się to często. – Oplotła go ramionami i wsunęła palce w jego włosy. Dopasowała się do niego, przylgnęła kragłosciami do jego ciężkiego, twardego ciała. – Jednak po Indiach to z pewnością jest wstrząs dla twojego organizmu.

Jego organizm rozgrzewał się w tej chwili całkiem sprawnie.

Zajrzał w jej ciemnozielone oczy. Spijał z nich spokój, pewność siebie, cierpliwe wyczekiwanie, z jakimi nań patrzyła.

Na jej ustach błąkał się delikatny uśmiech.

Gareth wolno nakrył je swoimi.

Płomienie przybyły na ich wezwanie, równe i pewne. Bardziej teraz doświadczeni, nie spieszyli się już, nie działali tak niecierpliwie – dłużej napawali się każdą chwilą, przeciągali każdy krok na ścieżce ku spełnieniu.

Wiedzieli bowiem, że je osiągną, że namiętność, satysfakcja i ostateczne zaspokojenie staną się ich udziałem, że doświadczą ekstazy bez względu na to, jaką trasę do niej podążą.

Bez względu na to, jak ta trasa będzie długa, czasochłonna i kręta.

Tym razem wybrali dłuższą drogę. Gareth utrzymywał niespieszne, przemyślane, zdecydowane tempo.

Skupiony.

Emily poddała się uporczywemu, miarowemu rytmowi jego pieszczot. Spod osłony rzęs z zadziwieniem przyglądała się jego twarzy, gdy składał hołd jej piersiom. Podniósł wzrok, spostrzegł, że go obserwuje, przelotnie zajrzał jej w oczy, a później, nadal poruszając się tak wolno, że jej nerwy napięły się w niecierpliwym oczekiwaniu, opuścił głowę i objął w posiadanie.

Dogłębnie, z pieczołowitą dbałością o szczegóły, która pozbawiła ją zmysłów, od której zawirowało jej w głowie

Każde muśnięcie paliło ją żywym ogniem. Palcami, wargami, zębami, językiem wygrywał koncert na jej ciele, aż śpiewało, aż namiętność i pożądanie wezbrały w słodkiej symfonii, unosząc ją na fali.

Rozlały się żarem w jej żyłach, zaogniły skórę.

Była gotowa, boleśnie stęskniona, rozpalona, kiedy wreszcie rozwarł jej uda, ulokował się ciężko między nimi i wypełnił ją.

Z odrzuconą do tyłu głową łapczywie zaczerpnęła powietrza, a potem z westchnieniem wypuściła je z płuc. Sięgnęła po niego swym ciałem, ramionami, nogami, całą sobą, otuliła go, witając radośnie.

Trzymała go, kiedy urywanym oddechem śpiewał pieśń przy jej uchu, kiedy poruszał się na niej i w niej. Mięśnie jego pleców pracowały, gdy wchodził w nią raz za razem, dając im obojgu to, czego pragnęli.

Czego potrzebowali.

Podczas gdy jego ciało dążyło do spełnienia, do zaspokojenia jej i zdobycia najwyższej nagrody, jakaś część umysłu Garetha przyglądała się temu oszołomiona – przepełniało go zadziwienie, swego rodzaju cicha trwoga.

Wiele się zmieniło, odkąd opuścili Marsylię, odkąd pod wpływem jej nalegań co noc dzielili łożę.

Każdej nocy ta rozkosz, pewność, zadziwienie narastały. Nabierały intensywności. Stawały się wymiennie silniejsze, nieskończenie bardziej uzależniające.

Akt zbliżenia, który niegdyś wydawał się Garethowi tak nieskomplikowany, przelotny i pozbawiony konsekwencji, raptem stał się czymś więcej. To doznanie... uderzało do głowy, odurzało. Kiedy wdarł się głębiej w jej rozpalone ciało i poczuł, jak Emily zaciska się na nim, przytrzymuje go, mocniej oplata ramionami, ściska nogami jego boki... zdało mu się, że karmi część jego duszy, której istnienia nie był dotąd nawet

świadom, tym bardziej więc nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest tak zła.

A jednak pragnął tego – nie tylko fizycznej rozkoszy i późniejszego błogostanu, lecz owej więzi, poczucia wspólnoty, błogosławionej bliskości drugiej osoby, posiadania kogoś... kto należał do niego.

Przestał się kontrolować. Kiedy oboje wirowali dziko, kiedy owładnęła nimi żądza, Gareth odnalazł wargi Emily i pocałował ją – objął w posiadanie, czcił, podziękował,

Zatracił się.

Oddał się jej i wziął ją w zamian. I nie wiedział już, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Runął na nich sztorm, spustoszył ich zmysły, aż wreszcie porzucił ich ciała unoszące się bezwolnie na morzu namiętności.

Stopili się w jedno.

Ich dusze się połączyły.

Nie byli już sami. Nie byli już oddzielnie.

Te myśli krążyły w głowie Garetha, kiedy niespiesznie spływał na ziemię, do ciepła ich łoża, do przystani jej ramion.

Ziszczone marzenia.

Tym dla niego była. Nigdy nie pozwoli jej odejść.

Opuścili Abbeville przed świtem. Panowało przenikliwe zimno, mróz skuł ziemię. Z ust ulatywały im obłoki pary, kiedy uwijali się przed stajnią w migotliwym świetle hotelowych pochodni.

Wyruszyli, nim na wschodzie pojawił się choćby po blask wstającego słońca. Zmierzali na północ szybkim tempem, zachowując podwyższoną czujność, mimo że Gareth był pewien, że nie napotkają przeszkód.

Rzeczywiście, dotarli do Boulogne-sur-Mer bez przygód i opóźnień. Dzięki temu, że znaleźli się w drodze przed brzaskiem, na ulice ruchliwego miasta wtoczyli się wczesnym popołudniem. Tym razem jednak nie zatrzymali się w centrum.

Kiedy minęli ratusz i zaczęli zjeżdżać ze wzniesienia, Emily spojrzała na Garetha pytająco.

– Szukamy gospody w pobliżu portu. – Pochylił się, żeby wyjrzeć przez okno. – Kuzyni Juneau mówią, że znają tamte rejony.

Im dalej jechali, tym większy panował ruch. W pobliżu placu targowego powozy sunęły żółwim tempem. Później potoczyli się szeroką ulicą, aż dotarli do kolejnego placu, gdzie ich woźnice wstrzymali konie.

Ledwie Gareth otworzył drzwi powozu i stanął na bruku, obrazy, odgłosy i zapachy morza przypuściły szturm na jego zmysły. Wyżej, w mieście, było nawet zacisznie, tutaj jednak dął porywisty wiatr. Słony i cierpki, niosący drobinki morskiej wody, smagał go po twarzy i targał mu włosy.

Emily zawahała się w drzwiach powozu, wyglądając na zewnątrz.

– Tam jest kanał?

Gareth przytaknął. Za nabrzeżami i basenem portowym, pogłębionym przez Napoleona w ramach przygotowań do inwazji na Anglię, której nigdy nie dokonano, za ochronnymi ramionami falochronów z latarniami morskimi, widać było morską kipieli. Fale pieniały się, obrzydliwie szarozielone pod ołowianym niebem.

Kilka mew odważnie krążyło pod szarymi chmurami, szybując z podmuchami wiatru. W oddali kłębiły się gęste, ciemne masy nadciągającego sztormu.

Ten ostatni widok przekonał Garetha, że spełniły się jego najgorsze obawy: utkną tutaj na najbliższe dni. Popatrzył na kotłujące się wody kanału i upewnił się, że żaden statek nie odważył się wyjść z portu.

Jedno spojrzenie na twarz Emily, która właśnie przystanęła obok niego, powiedziało mu, że nie musi jej wyjaśniać sytuacji.

Odwrócił się, kiedy Gustav Juneau zsiadł z kozła, żeby do nich dołączyć.

– Znamy tu jedną oberżę, tędy. – Wskazał batem wy lot odchodzącej od placu wąskiej uliczki. – Jest blisko portu, a właściciele to nasi znajomi. – Popatrzył na Garetha. – Ale proszę samemu się przekonać.

Gareth zaofiarował Emily ramię, zawołał Watsona i we troje w ślad za Gustavem zagłębili się w dzielnicę portową, zostawiając resztę grupy i Pierre'a Juneau, żeby pilnowali powozów.

Oberża, do której zaprowadził ich Gustav, okazała się idealnie odpowiadać ich potrzebom, również i dlatego, że wszystkie pokoje były akurat wolne. Gareth natychmiast wynegocjował wynajem całego piętra. Co więcej mieli stąd blisko do portu, mogli dojść bezpośrednio do głównego nabrzeża, a ze względu na usytuowanie oberży w sali na parterze zawsze przesiadywało wielu marynarzy.

Właściciel i jego żona, państwo Perrot, powitali ich z radością.

– Ta pogoda! – Monsieur Perrot zrobił wymowny gest

– Bardzo zła dla interesów.

– Rzeczywiście – zgodził się Gareth. – Niemniej zanim zdecydujecie się przyjąć nas w gościnę, powinniście o czymś wiedzieć.

Ponieważ nalegał, Perrotowie usiedli z nim, Emily i Gustavem przy stole w narożniku sali. Gareth rozpoczął opowieść, jak to zrobił w Marsylii. I

podobnie jak tam, Emily przejęła pałeczkę, tym razem wszakże wszakże wspomagana przez Gustava.

Co zrozumiałe, Perrotowie byli przerażeni, jednak Emily pozyskała ich sympatię, podczas gdy Gustav podsycił patriotyczny zapał, aż wreszcie Perrot walnął pięścią w stół.

– Muszą się państwo u nas zatrzymać! – oznajmił

– Pomożemy państwu, a tutejsi ludzie – gestem omiółł zatłoczoną salę – z chęcią przyczynią się do pokrzyżowania planów temu nikczemnikowi.

Madame Perrot przytaknęła z wojowniczym błyskiem w oku.

– Oberżę wybudowano z solidnego kamienia, ci poganie nie zdołają jej podpalić.

Kolejna z zalet tego miejsca. Mimo że Gareth ciągle się niepokoił, ów niepokój nieco zelżał. Nie wymarzyłby sobie lepszej kwatery, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że najwyraźniej spędzą w Boulogne kilka dni.

Emily udała się z madame Perrot na górę, obejrzeć pokoje. Gustav, zamieniwszy parę słów z Perrotem, wyszedł na dwór rzucić okiem na stajnie. Gareth uzgodnił z oberżystą wysokość opłaty. Połowę uiścił od razu, resztę miał uregulować w dniu ich odjazdu. Co do tego. kiedy to nastąpi...

Zagadnięty Perrot ściągnął usta w ciup i energicznie pokręcił głową.

– Trzy dni? Może więcej. Jeśli wybiera się pan dziś nieco później na nabrzeże, powiem panu, kogo spytać.

Tłumiąc irytację, Gareth skłonił głowę.

– Dziękuję. – Spojrzał przez salę, jako że Emily właśnie wróciła na dół.
– Pójdziemy po pozostałych.

Resztę popołudnia spędzili na lokowaniu się w pokojach. Gareth zasugerował, a Emily nalegała, żeby Pierre i Gustav zostali z nimi na noc i dopiero rano wyruszyli w długą podróż powrotną.

Po posiłku Pierre i Gustav najpierw spytali Perrota, najwyraźniej dalekiego krewniaka rodziny Juneau, a potem udali się do tutejszych składów, żeby sprawdzić, czy jakiś kupiec ma towary, które chciałby posłać na południe.

Niedługo później Gareth, wyposażony w szczegółowe wskazówki, wziął ze sobą Mooktu, Bistera oraz Jimmy'ego i poszli skonsultować się z lokalnym specjalistą od pogody, starym marynarzem, zdaniem miejscowych biegłym w odczytywaniu nieba, wiatrów i fal.

Na głównym nabrzeżu Jimmy otworzył szeroko oczy.

– Nigdy nie widziałem tylu statków rybackich jednocześnie. Nawet w Marsylii.

– Słyszałem, że to największy port rybacki we Francji – powiedział Gareth.

Mooktu skinął głową w kierunku zgrabnie ukształtowanego basenu portowego, gdzie kołysała się flota rybacka, najlepiej jak tylko się dało osłonięta przed szalejącym wiatrem.

– Dobrze przemyślane – stwierdził. – Bezpieczna przystań.

– W rzeczy samej. – Gareth miał nadzieję, że sprawdzi się to także w odniesieniu do ich grupy.

Odnaleźli starego marynarza. Rozmowa z nim popsowała im humor.

– Cztery dni! – powiedział Bister, powłócząc nogami u boku Garetha, kiedy wracali do oberży.

Nie było nic do dodania. Staruszek, nieomal głuchy lecz o sokolim wzroku, zawyrokował, że pogoda jeszcze bardziej się popsuje, zanim nastąpi poprawa, a choć najgorsze opady powinny ustać w ciągu doby, wiatr będzie dał przez trzy kolejne dni.

Czwartego dnia się rozpogodzi. Wtedy, jak zapewnił ich marynarz, będzie można wyjść w morze – lecz nie wcześniej

Kiedy zbliżyli się do oberży, Mooktu z uwagą przyjrzał się budynkowi.

– Całe szczęście, że będziemy czekać za porządnymi murami – skonstatował.

Także i w tej kwestii nie było nic do dodania. Pojmowali wszyscy, że przez następne trzy dni zasadniczo będą tkwić w pułapce, niezdolni ruszyć się z miejsca. Członkowie kultu wkrótce ich namierzą. A wtedy... należało się spodziewać spotkania z potęgą Czarnej Kobry.

Tego wieczoru, nim zasiedli do kolacji – wczesnej, tak by państwo Perrot oraz ich synowie i córki mogli potem zająć się obsługą wieczornych gości – Gareth i Emily znów porozmawiali z gospodarzami, po raz kolejny kładąc nacisk na prawdopodobieństwo napaści ze strony kultu.

– Nie ma szans na to, że zostawią nas w spokoju przestrzegł Gareth. – Może nie tej nocy, może nie kolejnej, lecz frontalny atak z całą pewnością nastąpi.

Zaczynał rozumieć, dlaczego w minionych stuleciach Francuzi i Anglicy tak często toczyli ze sobą wojny. Najwyraźniej Francuzi byli nie mniej niż Anglicy rozkochani w „dobrej walce” – takiej, której mogli się oddawać w imię sprawiedliwości.

Perrotowie okazali się nad wyraz chętni podjąć wyzwanie.

– Jeszcze tego wieczoru pomówię z przyjaciółmi obiecał Perrot. – Ich także uwięziła tu pogoda, z chęcią skorzystają więc z okazji do działania.

Choć niezbyt przekonany, na ile okaże się to dla nich użyteczne, Gareth skłonił głowę w podziękowaniu.

– Z radością przyjmiemy każdą pomoc, jaką mogą nam zaofiarować pańscy klienci.

Wieści się rozchodziły. Z początku niespiesznie, stopniowo nabierając rozpędu. Każdego krzepkiego osobnika, który tego wieczoru przekroczył próg oberży Perrotów, raczono opowieścią. Wersja podsłuchana przez Garetha, kiedy stał przy barze, czekając na dolewkę piwa dla wszystkich, choć solidnie ubarwiona i przekazana z dramatyzmem, a wręcz pasją, w swej istocie nie odbiegała od prawdy przystrojonej w barwną, egzaltowaną francuszczyznę.

Po powrocie do stołu w narożniku Gareth zastał Emily pograżoną w ożywionej rozmowie z dwiema starszymi kobietami.

Watsona zniosło w głąb sali, gdzie osaczyła go grupa smagłych marynarzy, którzy zapewne starali się wydobyć zeń informacje na temat wroga.

Gareth postawił pełne kufle przed Mooktu i Mullinsem i miał właśnie na powrót zająć miejsce, kiedy u jego boku pojawił się Jimmy.

– Jeśli pan pozwoli, majorze, ci ludzie tam chcieliby zamienić z panem kilka słów.

Gareth popatrzył we wskazanym przez Jimmy kierunku i ujrzał czterech mężczyzn, ewidentnie marynarzy, siedzących przy stole w tylnej części sali. Jeden z nich, w kapitańskiej czapce, spostrzegł, że się im przygląda, i uniósł kufel w geście pozdrowienia.

– Gdzie Bister? – Gareth odwrócił się znów do Jimmy'ego.

– Przy drzwiach. – Chłopak wskazał głową. – Tamto towarzystwo zna angielski na tyle, że idzie się dogadać.

Gareth pokiwał głową.

– Może do niego dołączysz?

Chłopak zawrócił ochoczo. Gareth wziął swój kufel, cicho wyjaśnił Mooktu i Mullinsowi, w czym rzecz, i ruszył na tył sali.

Później był z tego zadowolony. Okazało się, że wszyscy czterej mężczyźni to kapitanowie. Zaofiarowali się, że przyślą tyłu członków swoich załóg, bez ilu zdołają się obejść, żeby pomogli bronić oberży przed „poganami” Co jednak ważniejsze, jeden z nich – kapitan, który pozdrowił Garetha – dowodził dużym trawlerem.

– Kiedy się rozpogodzi, jeśli pan sobie życzy, zabiorę, was do Dover. Mój szwagier musi tam dostarczyć beczki z winem, więc będę tam szedł tak czy owak. Na moim statku wystarczy miejsca dla całej waszej grupy. Mówimy o dziewięciu osobach, zgadza się?

Gareth przytaknął.

– Muszę pana ostrzec – rzekł – że jakkolwiek nasz wróg ma nikłe doświadczenie w walce na morzu, nie da się wykluczyć, że zaatakują każdy statek z nami na pokładzie.

Kapitan prychnął, gestem pokazując, jak ocenia szanse przeciwnika.

– Możliwe, że opłacą kogoś, jakichś obeznanych z morzem Francuzów, żeby zaatakowali pański statek – nie ustępował Gareth.

– Żaden okoliczny Francuz nie odważy się zaatakować Jean-Claude'a Lavallo'a – odparł kapitan, szczerząc zęby w uśmiechu.

Gareth zerknął na jego towarzyszy. Oni również się uśmiechali. Jeden z nich otoczył Lavallo'a ramieniem.

– Niestety, ma rację – oznajmił. – Pan nie jest stąd, ale jego tu znają. Lavallo to stary wilk morski – z sympatią popatrzył na kompana – któremu żaden z nas nie poważy się rzucić wyzwania, nawet teraz, gdy już osiwił.

Lavallo sapnął, ale znów się uśmiechnął. Gareth także nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Kiedy wreszcie Gareth ruszył po schodach na piętro, znacznie później, niż ostatnimi czasy zwykł to robić, targaly nim sprzeczne uczucia. Swego

rodzaju pogoda ducha – efekt licznych otrzymanych propozycji wsparcia oraz wyśmienitego piwa Perrota – ścierała się w nim ze stanem podwyższonego napięcia, które mimo biesiadnego nastroju wieczoru nie zelżało ani na jotę.

Choć postawni synowie Perrota zaproponowali, że będą przez noc pełnić wartę, Gareth delikatnie odmówił, argumentując, że on i jego ludzie łatwiej rozpoznają członka kultu i wiedzą już, jak się zachować w takiej sytuacji. Zatem, jak zwykle, pierwszą wartę pełnił Mooktu, który usadowił się u szczytu schodów, skąd miał widok na całą salę na dole, w tym również na drzwi wejściowe. Gareth minął służącego, wymieniając z nim uśmiechy i skinienia głowy. Potem miejsce Mooktu zajmie Bister, jego z kolei zluzuje Gareth, a ostatnią, poranną wartę będzie pełnił Mullins Watson natomiast dostał pokoik przy tylnych schodach, gdyż, jak wieść niosła, cechował go bardzo lekki sen.

Widok Mooktu przypomniał Garethowi o wyzwaniu, które czekało go nazajutrz. Wszedł do reprezentacyjnej sypialni oberży i z roztargnieniem zamknął za sobą drzwi, w myślach żonglując możliwościami, jakie dawała mu pozyskana tego wieczoru zbieranina ochotników.

– O co chodzi?

Pytanie przywołało go z powrotem do rzeczywistości. Do Emily, podpartej na łokciu, z jednym ponętnie krągłym, nagim ramieniem wyzierającym spod pościeli. Za interesowanej, a zarazem żądającej odpowiedzi.

Zbliżając się do łóżka, zahipnotyzowany blaskiem świecy, połyskującym na idealnie jedwabistej skórze jej obnażonego ramienia, Gareth zdawał sobie sprawę, że Emily oczekuje informacji, spodziewa się, że on podzieli się z nią wiedzą i przemyśleniami. Że włączy ją we wszystko i wysłucha jej opinii, gdyby zdecydowała się takową wygłosić.

Dla mężczyzny jego pokroju, przez dekadę dowodzącego żołnierzami, omawianie tego typu spraw z kobietą, a co dopiero pytanie jej o opinię...

Zatrzymał się przy łóżku, pochylił z uśmiechem i pocałował ją.

Długo, głęboko, niespiesznie.

Wreszcie oderwał się od niej i usiadł na skraju łóżku, żeby zdjąć buty.

I opowiedział jej wszystko.

Wsparta na poduszkach, słuchała z typową dla niej koncentracją. Ekscytowała go świadomość, że kiedy z nią rozmawia, nawet na błahe tematy, może być pewien jej całkowitej uwagi.

Nigdy wcześniej nie pragnął kobiecej uwagi, lecz teraz się nią napawał.

Zwierzył się Emily ze swego dylematu: co począć jutro z różnymi ludźmi morza, młodymi i starymi, którzy ani chybi nawiedzą oberżę w nadziei na starcie z „poganami”.

Wstał i zdjął surdut.

– Będą plątać się Perrotom pod nogami, a choć z chęcią postawię im piwo, pijani na nic nam się zdadzą.

Zmarszczyła brwi.

– To sami marynarze, prawda? – spytała po chwili. Kiedy przytaknął, odwieszając na bok koszulę, zaczerpnęła tchu, z trudem przesunęła wzrok wyżej, na jego twarz, patrzyła na niego przez chwilę, aż w końcu zamruła i powiedziała: – Nie przywykli do musztry. Niekoniecznie dobrze strzelają. Nie dysponują... żadnymi z tych umiejętności, w których sierżanci szkolili zwykle twoich ludzi.

Rozpinając spodnie, uniósł brwi w namyśle.

– Masz Mooktu i Bistera, no i Mullinsa... mogliby cię wspomóc... – Zamilkła, kiedy rzucił spodnie na krzesło i pochylił się, żeby wsunąć się pod pościel.

Emily poruszyła się, przełknęła ślinę.

– Ale to jutro – szepnęła, sięgając po niego. Tej nocy należał do niej.

Wślizgnął się w jej ramiona, napełniając ją radością.

Ustami odnalazł jej usta. Pocałowała go i wszystkie dzisiejsze troski uleciały. Straciły znaczenie.

Oddała się bieżącej chwili, zatopiła w poczuciu spokoju i komfortu, w ciepłe i sile Garetha, kiedy otoczył ją ramionami, głaskał i pieścił, ona zaś odpowiadała tym samym.

Dłonie sunęły, palce wędrowały. Posypały się iskry podniecenia. Potrzeba zakiełkowała, puściła pędy, rosła.

Zapłonął ogień, buchnął w górę z rykiem płomieni, znajomy i wyczekiwany.

Emily powitała te płomienie, jego, z otwartymi ramionami, wzięła go w siebie, pozwoliła, by ją wypełnił, jej ciało i serce. Poruszał się coraz szybciej, namiętność przelewała się przez nich oboje, porywając ich ze sobą.

Zawładnęło nimi pożądanie, Ignęła doń kurczowo, a on przytrzymał ją, wdzierając się w nią raz po raz, aż oboje zadrżeli i krzyknęła jego imię.

Ekstaza runęła na nich potężną falą, unosząc oboje na owo odległe wybrzeże, gdzie legli otuleni błogością.

Nieważne, jakie czekały ich wyzwania, nieważne, co miało się zdarzyć – tego, co mieli teraz, nikt im nie odbierze.

Zaspokojenie zesłało na Emily sen, odpłynęła w niego spokojna.

Bez względu na niebezpieczeństwo, bez względu na ryzyko, Gareth będzie należał do niej, ona zaś na zawsze będzie jego.

Rozdział 15

10 grudnia 1822, rano

Nasz pokój w oberży Perrota w Boulogne

Drogi pamiętniku,

Doszłam do dwóch wniosków. Po pierwsze, że w istocie głęboko i nieodwołanie zakochałam się w Garecie Hamiltonie, przy czym wbrew rekomendacjom moich sióstr owo doświadczenie napędza mnie dyskomfortem. Cała ta gadanina o tym, że członkowie kultu szykują się do poważnego i nieprzerwanego (a więc potencjalnie zabójczego) ataku, niewyobrażalnie szarga mi nerwy. Z trudem radzę sobie z myślą, że Gareth mógłby zostać ranny, a cóż dopiero, gdyby miał podzielić los MacFarlane'a.

Wolałabym, żeby zabili raczej mnie niż jego. Wolałabym, żeby pojмали raczej mnie niż jego (a biorąc pod uwagę to, co wiem na temat praktyk kultu, śmierć jawi się lepszym rozwiązaniem).

Nigdy jeszcze nie czułam tak przejmującej troski, takiego niepokoju o inną osobę, jak teraz o niego. Dotąd udawało mi się ukrywać te emocje i zamierzam nadal tak postępować (żaden mężczyzna nie lubi, kiedy strachliwa kobieta uczepia się jego rękawa), lecz z każdym dniem kosztuje mnie to więcej wysiłku.

Nie miałam pojęcia, że taka będzie miłość. Zawsze szczyciłam się moim pragmatyzmem, a choć na zewnątrz, mam nadzieję, nadal sprawiam wrażenie osoby twardo stąpającej po ziemi, w środku... jakże mi teraz do niej daleko.

I w ten sposób dochodzę do drugiego wniosku: Gareth bez wątpienia mnie kocha.

Skąd owa pewność? Ponieważ rozpoznaję lęk w jego oczach, ilekroć jestem potencjalnie narażona na niebezpieczeństwo – ten sam lęk, który ja

odczuwam, kiedy coś grozi jemu. To dokładnie to samo, wynika z tej samej emocji. Trudno o lepszy dowód.

Bez wątpienia mnie kocha, jednak nie chce wyznać tego głośno, nawet tylko mnie, w cztery oczy. Biorąc pod uwagę, jakiego rodzaju jest człowiekiem – wojownikiem do szpiku kości – może i rozumiem, z czego wynika ta postawa, lecz nijak nie mogę jej zaakceptować.

Ze względu na powyższe wnioski, zanim pójdę z Garethem do ołtarza, muszę usłyszeć od niego słowo „kocham”.

E

Następnego ranka, w delikatnej mżawce, która zastąpiła padający w nocy śnieg z deszczem, zebrali się wszyscy na dziedzińcu stajennym, żeby pożegnać Gustava i Pierre'a Juneau.

Pomimo stosunkowo krótkiej znajomości ściskano się i żegnano szczerze, z uczuciem, z głębi serca napominając się nawzajem do zachowania ostrożności.

Gareth wręczył woźnicom sakiewkę z resztą należności oraz okazałym napiwkami. Poklepał Pierre'a po plecach

– Bez was nie poszłoby nam ani w połowie tak sprawnie

– W rzeczy samej. – Emily uśmiechnęła się promiennie do Gustava. –

Gdyby powoził kto inny, ciągle jeszcze bylibyśmy w drodze. Jesteśmy wam ogromnie wdzięczni

Kuzyni Juneau prychnęli lekceważąco, wymienili ostatnie uściski dłoni, po czym wspięli się na kozły.

– Miejcie się na baczności – przestrzegł raz jeszcze z powagą Gareth. Stał obok pierwszego powozu i spoglądał w górę na Gustava. – Przynajmniej dopóki nie znajdziecie się daleko na południu. Wątpię, by kult pozostawił wielu swych członków wzdłuż traktu, lecz dopóki nie opuścicie tych okolic,

bądźcie ostrożni. Nie będzie miało znaczenia, że już wam nie towarzyszymy: kult słynie z mściwości.

Gustav nasadził kapelusz na głowę. Obejrzał się na Pierre'a, który skinieniem potwierdził, że słyszał, a potem znów popatrzył na Garetha.

– Będziemy o tym pamiętać, a państwo także uważajcie na siebie. – Omiótł wzrokiem pozostałych, stojących za Garethem. – Żegnajcie wszyscy i oby się wam wiodło. A kiedy dotrzecie do Anglii, dopilnujcie, żeby wytrzebić te żmije.

Wokół rozbrzmiały zapewnienia. Potem Gustav trzasnął lejcami i powozy z turkotem wytoczyły się z dziedzińca.

Emily westchnęła. Ujęła Garetha pod ramię i skierowali się ku wejściu do oberży.

– Będę za nimi tęsknić, ale to rozstanie stanowi znak. Dotarliśmy do kresu podróży przez obce ziemie. Kiedy się przeprawimy przez kanał, znajdziemy się w domu.

Gareth chciałby móc pozwolić jej snuć wyobrażenia o tym, że wkrótce będą bezpieczni, ale...

– W Dover będą na nas czekać członkowie kultu. Zmarszczyła brwi.

– Chyba nie aż tylu co tutaj?

– Nie wiem, ilu, ale tam będą. Czarna Kobra to Ferrar. Anglia jest dla niego domem tak samo jak i dla nas.

– Zatem będziemy musieli mieć się na baczności również w Dover i później?

Przytaknął. Zakłęła cicho.

W opuszczonej stodole na wschód od Boulogne Wuj dokonywał przeglądu połączonych wojsk. Kiedy stało się jasne, że major zatrzymał się w

Boulogne, rozesłał gońców, by wezwali wszystkich członków kultu rozstawionych wzdłuż wybrzeża po tej stronie Calais.

Do Anglii zdążali czterej kurierzy, jednakże tylko major wybrał tę trasę. Z informacji, które dotarły do Wuja, wynikało, że jeden z trzech pozostałych oficerów znajduje się daleko na wschodzie, a dwaj kolejni podróżują morzem, opływając przylądek, i jeszcze nie zeszli na ląd.

Zgodnie z rozkazami miał pojmać majora i, przed wszystkim, odzyskać przewożoną przezeń tubę. Jak dotąd nie nadarzyła się sposobność do przeszukania bagaży wroga, niemniej Wuj tak czy owak chciał dopaść majora. Inne rozwiązanie go nie satysfakcjonowało ~ wy łącznie w ten sposób mógł pomścić syna.

– Moja przepowiednia się sprawdziła. – Wuj uśmiechnął się łaskawie do swych narzędzi, swej broni. – Nasze ptaszki znalazły się w potrzasku, sztorm spętał im skrzydła. Schroniły się w mieście, kula się tam, czekając, aż wybierzemy je z gniazda. – Przespacerował się wolno przed swymi ludźmi, zaglądając im w oczy, dając czas na to, by docenili geniusz jego planu. – Dopóki wieje tak silny wiatr, morze jest nie do przebycia. Nic na to nie poradzą, nie zdołają nam uciec. Teraz więc z poświęceniem zajmiemy się tymi obrazoburcami, jak życzy sobie tego nasz przywódca. Ku chwale Czarnej Kobry!

Rozległy się wiwaty. Ucichły, kiedy Wuj uniósł rękę. Nim zdołał kontynuować, Akbar, do tej pory stojący z boku, w cieniu, wystąpił naprzód.

– A co z woźnicami? Pomogli naszym ptaszkom uciec ich rodziny wsparły naszego wroga. – Wśród obecnych narósł gwar. Akbar patrzył na Wuja. – Powinniśmy zaprezentować woźnicom, jak mści się Czarna Kobra, kazać im zapłacić należną cenę.

Mężczyźni kiwali głowami i wydawali potakujące pomruki, z zapalem spoglądając na Wuja. Oczekiwali, że spuści ich ze smyczy.

Wuj uśmiechnął się dobrodusznie. Wspaniałomyślnym machnięciem ręki oszczędził woźniców.

– Mamy lepsze, ważniejsze sprawy do zrobienia, aniżeli zaprzętać sobie głowę pacholkami, których rola już się skończyła. Czarna Kobra domaga się służby najwyższego formatu. Nie wolno nam dopuścić, by pogoń za prywatną chwałą zwiódła nas na manowce.

Wuj uśmiechał się teraz do Akbara. Poczekał chwilę, żeby jego ambitny zastępca przemyślał sobie te słowa.

Nie dziw, że swą wypowiedzią Wuj odzyskał uwagę zebranych. Uniósł dłoń w geście błogosławieństwa i wydał rozkazy.

– Rozdzielcie się i przeszukajcie tereny wokół miasta. Musimy znaleźć idealne miejsce do tego, by przetrzymywać i dyscyplinować majora i jego kobietę.

Ku niejakiemu zdziwieniu Garetha dzień upłynął szybko i bez zawirowań. Z każdą godziną wieści docierały dalej i coraz więcej miejscowych, zwłaszcza mężczyzn, zaglądało do oberży Perrota. Niektórzy donosili, że w minionym tygodniu widzieli przyczajonych w mieście bądź w porcie członków kultu, ale wszystko wskazywało na to, że od tamtej pory „poganie” już się nie pokazywali.

Dwaj żandarmi zajrzeli do oberży, by wysłuchać ich historii, opowiedzianej z werwą przez jednego z młodych Perrotów. Pokiwali głowami, życzyli wszystkim szczęścia i poszli sobie. Gareth domyślił się, że członkowie pogańskiego kultu, podobnie jak Anglicy, nie wchodzą w zakres ich obowiązków.

Przez cały ranek do oberży napływali muskularni młodzieńcy, oferując swe usługi przy odpieraniu pogańskich hord. Jako że Gareth nie szczędził grosza na piwo dla wszystkich, a ponadto on, Bister. Mooktu i Mullins znali wiele ciekawych historii, utrzymanie zainteresowania rekrutów okazało się proste.

Kilku ochotników przyniosło zardzewiałe fuzje. Po krótkich oględzinach Gareth uznał, że nie warto ryzykować z użyciem broni palnej, zwłaszcza że napastnicy nigdy po nią nie sięgną, a skoro oni sami korzystali z pomocy miejscowych, szansa na to, że wróg zdoła tu kogoś nająć, była znikoma.

Zaraz po lunchu, kiedy w głównej sali zrobiło się tłoczno od umiejętnionych ochotników, Gareth wstał i za stukał o bar cynowym kuflem. Pozyskawszy uwagę zebranych, przemówił donośnym głosem:

– Wszyscy chętni do walki z poganami niech się zbiją na bocznym dziedzińcu. Za pięć minut rozpoczną się ćwiczenia z użyciem broni.

Podczas gdy mężczyźni hałaśliwą gromadą wylewali się z sali, Gareth przywołał Mooktu, Bistera i Mullinsa.

– Noże wszelkiego rodzaju, ale stosujcie tylko podstawowe pchnięcia. Kiedy się przekonamy, ile są warci, podzielimy ich na grupy.

Trzej byli żołnierze przytaknęli i podążyli za nim na dziedziniec.

Przetestowali zdolności rekrutów, w sporej mierze ku uciesze tłumu, który zebrał się, by obserwować i dopingować.

Wkrótce zrobiło się z tego prawdziwe widowisko, z wdzięczną publicznością, wśród której znajdowało się wiele kobiet. Początkowo wymieniane po cichu uwagi, chichoty i zalotne spojrzenia irytowały Garetha – dopóki, przechodząc obok grupy dziewcząt, nie usłyszał: "Pędzę do domu opowiedzieć o tym Hildzie".

Od tej pory z większą uwagą obserwował ciżbę i przekonał się, że dziewczęta ciągle się wymieniają. Nie zostawały długo, ponieważ oczekiwano ich w domach, a kiedy tam wrócą, będą mówić.

Gareth nie wymarzyłby sobie pewniejszego sposobu na rozpowszechnienie wieści o członkach kultu. Gdy uzmysłowił sobie ów fakt, zapomniał o tłumie i skoncentrował się na szkoleniu swego niedoświadczonego, lecz pełnego entuzjazmu wojska.

Dzień zakończył się śnieżną zamiecią. Członkowie kultu się nie pokazali. Pod koniec obiadu w głównej sali, gdy Bister, Jimmy i Mullins zabawiali obecnych przy stole opowieściami o zróżnicowanych umiejętnościach rekrutów, Gareth odpłynął myślami, raz jeszcze oceniając poczynione przez siebie przygotowania.

Tuba – obiekt pożądania członków kultu – była w miarę bezpieczna. Na początku podróży nosiła ją przy sobie Arnia, jednak w Aleksandrii, kiedy Gareth poznał już dobrze Watsona, pomówił z nim. Oprócz tego, że Watson był spokojny, lojalny, godny zaufania i do cna uczciwy, jako najstarszy członek grupy nie gonił za ryzykanckimi, heroicznymi czynami. Dlatego też od czasów Aleksandrii tuba znajdowała się w jego pieczy, a miejsca jej ukrycia nie znał nawet Gareth.

Gdyby ich grupę spotkało jakieś nieszczęście, Watson zbierze ocalałych i ruszy do Anglii. Miał pieniądze, listy polecające i instrukcje od Garetha. Oraz tubę. Bez względu na wszystko, tuba trafi do Anglii.

Gareth dał pieniądze i listy polecające także Arni. Gdyby kultowi udało się rozbić ich grupę, Arnia weźmie Dorcas i skierują się do Anglii. We dwie sobie poradzą, a kult zignoruje kobiety niskiego stanu.

Pozostali byli potencjalnymi celami. Członkowie kultu przyjdą po niego i Emily, potem zaś, gdy nie znajdą tuby, zainteresują się Mooktu, Bisterem i Mullinsem Niewykluczone, że również Jimmy zostanie wzięty pod uwagę.

Gareth starał się właśnie postawić na miejscu dowodzącego siłami wroga, kiedy Emily zamknęła dłoń na jego nadgarstku, przywołując go z powrotem do rzeczywistości. Popatrzył na nią.

Przez chwilę przyglądała mu się z powagą.

– Oni także będą spiskować i planować, prawda – odezwała się wreszcie cicho. – Gromadzić i organizować ludzi?

Pozostali, słysząc jej pytanie, zamilkli i czekali na od powiedź Garetha. Potoczył wzrokiem po obecnych przy stole, a w końcu znów spojrział na Emily i przytaknął.

– Mimo że samego Ferrara tutaj nie ma... a przynajmniej jego obecność wydaje mi się wielce nieprawdopodobna... będzie tu dowodził ktoś wyższy rangą. – Popatrzył na Bistera i Jimmy'ego. – Cokolwiek nas czeka na pewno nie przyjdzie nam się zmierzyć ze słabo zdyscyplinowaną grupą. Dowódca przyprowadzi ze sobą zabójców oraz innych lepiej wyszkolonych wojowników. Co do ich liczebności – ciągnął, przenosząc wzrok na Mooktu i Mullinsa – Ferrar wie, że najłatwiej zablokuje nam dostęp do Anglii, kontrolując porty nad kanałem. Słyszeliśmy przecież, że byli tu obserwatorzy, a Ferrar zapewne wysłał oddziały do każdego portu.

– Teraz, kiedy wiemy, że jesteśmy w Boulogne, wezwą pozostałych, żeby dołączyli do tutejszej grupy – stwierdził Mullins.

Gareth wahał się krótko, nim odpowiedział.

– Nie wiem, jaką trasą podróżują moi trzej przyjaciele, jeśli jednak żaden z nich nie znajduje się w pobliżu a wydaje się to mało realne... wówczas

tak, spodziewani się, że kiedy dojdzie do starcia, będziemy mieć przeciw sobie znaczne siły, większe niż dziesięciu czy nawet dwudziestu ludzi.

Dorcas zadrżała i szczerzej otuliła się szalem.

Gareth zrobił chwilę przerwy, by uporządkować myśli.

– Musimy pamiętać o moich rozkazach – podjął cicho, przez szacunek dla ich wspólnych przejść używając „my”. – Mam uczynić, co w mojej mocy, żeby wciągnąć w walkę i zlikwidować jak najwięcej członków kultu, zwłaszcza tutaj. Jakkolwiek wiem zbyt mało, by docenić wagę tego posunięcia, możemy całkowicie ufać Wolverstone'owi, że jego rozkazy mają sens. – Popatrzył na Bistera. – Dlatego też ta zbieranina ochotników jest darem niebios. Musimy się przyłożyć, żeby ich jako tako wyszkolić, przygotować do starcia z napastnikami, do ich pokonania.

– Jedno, co mi się nasuwa – odezwał się Mooktu – to że tamci walczą wyłącznie bronią białą, w zwarciu. Tymczasem wielu naszych rekrutów to marynarze i parobcy, a zatem przyzwyczajeni do walki na większą odległość.

Mullins mu potakiwał.

– Przy użyciu kijów, wideł i tym podobnych, a także proc – dodał teraz, patrząc na Garetha. – Może powinniśmy ich podszkolić właśnie w posługiwaniu się taką bronią?

– Z tego, co widziałem, nieliczni kiedykolwiek trzymali w ręku szablę. – Gareth zastanowił się, a potem skinął głową. – Jutro sprawdzimy, co faktycznie umieją, i będziemy ich w tym dalej ćwiczyć. – Raz jeszcze powiódł wzrokiem po zebranych przy stole. – Jednego możemy być pewni. Czarna Kobra wydał rozkaz, żeby nas zatrzymano. Tu, w Boulogne. Zatem po nas przyjdą, w znaczni j sile. To ich ostatnia szansa.

Otulony peleryną Wuj wolno wykonał obrót, lustrując wielkie pomieszczenie, oświetlone lampionami, które dwaj towarzyszący mu ludzie trzymali wysoko w górze. Uśmiechnął się.

– Nada się wyśmienicie.

Spojrzał na młodzika, który przybiegł z wiadomością o zrujnowanym dworze, ukrytym pośród zdziczałych ogrodów niedaleko od miasta.

– Dobrze się spisałeś, synu – rzekł, unosząc dłoń w błogosławieństwie.

Popatrzył pytająco, kiedy do pomieszczenia weszli kolejni członkowie kultu.

– Szukaliśmy, o wspaniały, nikogo tu nie ma – zameldował z ukłonem jeden z nich. – Dwór jest opuszczony

– A dostatecznie duży i w na tyle dobrym stanie, żeby urządzić tu kwatery główną?

– Wydaje się bardzo stosowny, Wuju.

– Doskonale. Zajmijcie się przeniesieniem bagaży i zbierzcie wojowników. Od tej pory będzie to nasza kwatera główna.

Mężczyźni złożyli mu pokłon.

Na odgłos szybkich kroków na korytarzu wszyscy odwrócili się ku drzwiom.

Ukazał się w nich Akbar. Przystanął, omiatając wzrokiem pełne zdobień pomieszczenie – salon, jak zdaniem Wuja nazywano tu takie pokoje – po czym wszedł do środka. Zdejmując rękawice, napotkał spojrzenie Wuja i ukłonił się płytko.

– Ludzie obserwujący gospodę donoszą, że major zaczął musztrować miejscowych na dziedzińcu.

– To żołnierze? Milicja? – Wuj zmarszczył brwi.

– Nie. Marynarze, chłopci. W większości młodzi, starszych tylko kilku.

Na twarzy Wuja odmalowała się wzgarda.

– Niskie kasty. – Lekceważąco machnął ręką. – Nie zagrażają nam. Nie leży w naturze wieśniaków powstawać przeciw lepszym od nich.

–Ale...

– Bez wątpienia major próbuje zbić nas z tropu, udając, że ma wielu wojowników. Nie ma. – Wuj spojrział Akbarowi w oczy i cicho oświadczył: – Nie zdoła zawrócić nas ze ścieżki, którą przeznaczenie nakazuje nam podążać. Którą każe nam podążać Czarna Kobra.

Akbar nie miał innego wyboru, jak tylko przełknąć słowa protestu. Sztywno skłonił głowę i odstąpił. Wuj odwrócił się do pozostałych.

– Zgromadźcie wszystko, co potrzebne, żeby przekształcić to miejsce w wygodną kwaterę. Znajdźcie mi też narzędzia, abym mógł należycie ukarać kobietę majora i, później, jęgo samego. – Na twarz Wuja wypłynął mściwy uśmiech. – Wiecie, o co mi chodzi? – zapytał cicho.

Mężczyźni skłoniłi się do ziemi.

– Tak, Wuju – rzekł dowódca. – Przyniesiemy niezbędne przybory.

– Dobrze. – Nadal uśmiechnięty. Wuj odwrócił się tyłem do nich.

Akbar odczekał chwilę, a potem płytko ukłonił się plecóm Wuja, okręcił się na pięcie i wyszedł.

Za drzwiami czekał na niego zastępcą; zrównał się z nim, kiedy Akbar kroczył korytarzem.

– No i, co powiedział? Mamy zniechęcić tych miejscowych, żeby nie przyłączali się do majora?

Akbar pokręcił głową z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie. – Zrobił krótką przerwę. – Starzy ludzie i ich urojenia. Doprowadzą nas do zguby.

Noc upłynęła bez perturbacji, dzień także mijał spokojnie.

Zbyt spokojnie, żeby się to Garethowi podobało.

Deszcz i grad ustały, lecz pogoda była nadal sztormowa. Na szczęście, dziedziniec oberży osłaniały od wiatru okoliczne budynki. Od rana aż do popołudnia Gareth, Mooktu, Mullins i Bister pracowali z ochotnikami, improwizując zarówno w kwestii broni, jak i technik walki, starali się zaszczepić im podstawową sprawność w wykonywaniu rozkazów.

Jednakże im dalej w dzień, tym więcej rekrutów dopytywało się, kiedy wreszcie staną do prawdziwej walki. Gdy nie otrzymywali precyzyjnej odpowiedzi, z godziny na godzinę coraz trudniej było utrzymać ich uwagę.

Wieczorem, krążąc po głównej sali, Gareth podsłuchiwał zbyt wiele komentarzy na temat „szalonych pomysłów Anglików”, by wątpić w to, że ekscytacja wywołana obiecanym starciem z poganami się ulatnia.

Zajął na powrót miejsce przy stole obok Emily i popatrzył na towarzyszy.

– Ktokolwiek dowodzi kultem, wyjątkowo robi użytek z mózgu. Od naszego przybycia członkowie kultu nie pokazali się ani razu. Miejscowi zaczynają sądzić, że oni istnieją: że ruszyli dalej albo od początku stanowili w\ twór naszej wyobraźni.

– Założę się, że do jutra zostanie nam mniej niż połowa ludzi – stwierdził ponuro Mullins.

– Niewiele możemy zdziałać, dopóki nas nie zaatakują, zgadza się? – Bister się skrzywił.

Gareth pokręcił głową.

– Pozostaje nam liczyć na to, że kiedy nastąpi atak, Będziemy mieć przy sobie dostatecznie sensowne siły, żeby powstrzymać pierwszą falę na tyle długo, by wątpiący zdążyli nadbiec z odsieczą.

Watson zasugerował, żeby znaleźli w pobliżu pałacu dzwon lub coś w tym rodzaju, czego mogliby użyć do zwania ludzi.

Podczas gdy pozostali omawiali tę propozycję, Gareth pochylił się ku Emily. Nakrył jej dłoń swoją.

– Nie wolno ci zapominać – rzekł, zaglądając jej w twarz – że od samego początku, od Adenu, wróg ma na ciebie oko. Wiedzą, że to ty dostarczyłaś nam list, dlatego jesteście ich celem w takim samym stopniu jak ja.

Uniosła brwi.

– Ale to nie ja przewożę tubę. Skoro to ich ostatnia szansa, by uniemożliwić dostarczenie jej do Anglii, skupię się na tym zadaniu, nie zaś – machnęła wolną ręką – na kwestiach pobocznych.

– Nie uważają cię za kwestię poboczną – odparł Gareth, ciągle na nią patrząc. – Branie zakładników to ich typowa taktyka. – Zawahał się, lecz po chwili ciągnął:

– A przypuszczam, że wiedzą, iż oddałbym wszystko, by cię ocalić.

Odwróciła dłoń i ścisnęła jego palce. Przez chwilę zaglądała mu w oczy, a potem skinęła głową.

– Będę ostrożna.

Oboje spojrzeli wzdłuż stołu, kiedy Dorcas odezwała się głośniejszym głosem, wykazując, że gdzieś w okolicy na pewno jest kościół z dużym dzwonem.

Podczas gdy Dorcas i Arnia zgłosiły się na ochotnika, że znajdą i pozyskają księdza oraz jego dzwon, Gareth usiłował się rozluźnić, głęboko pogrzebać świadomość, jak wiele Emily dlań znaczy – zdradliwą wiedzę o tym, że stanowiła jego wielką słabość.

Nauczył się żyć z obawą o samego siebie. Obawa o nią... była czymś całkiem odmiennym.

W kuchni opuszczonego dworu, gdzie jego ludzie zebrali się na wieczorny posiłek, Wuj wstał z miejsca u szczytu głównego stołu. Poczekał, aż wszystkie głowy zwrócą się w jego kierunku i zapadnie cisza. Wówczas z uśmiechem uniósł ramiona.

– Moje dzieci, czas nadszedł. Jutro nastanie nasz dzień.

Wszystkie twarze promieniały gotowością. Niecierpliwość sięgała zenitu. Wuj nieomal ją smakował.

– Jutro zatriumfujemy. Zadziałamy zdecydowanie chwytając majora i jego ludzi w naszą sieć. Zwabimy ich tutaj, w to miejsce, prosto w pułapkę. – Popatrzył na Akbara siedzącego po jego lewej. – Ty, Akbarze, weźmiesz pięciu ludzi i ustawisz czujki przy prowadzącej tu drodze w pobliżu miasta. Kiedy major i jego poplecznicy cię miną, przyślesz nam wiadomość.

Oczywiście, Akbar rozumiał, że rozmyślnie odsuwa się go od udziału w akcji – od szansy na zdobycie chwały. Wytrzymał spojrzenie Wuja; w jego ciemnych oczach impuls, by zaprotestować, zmagął się ze świadomością, że jest poddawany próbie posłuszeństwa. Zwyciężyła ostrożność. Akbar beznamiętnie skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, Wuju.

Wuj się uśmiechnął. Znów zwrócił się do pozostałych

– Słuchajcie uważnie, a powiem wam, jak złapiemy nasze ptaszki.

12 grudnia 1822, rano

Mój pokój w oberży Perrotów

Drogi pamiętniku,

Nie wiem, jakim sposobem cisza i spokój, kiedy nic się nie dzieje, mogą być tak przerażające. Niemniej tak właśnie jest. Towarzyszy nam uczucie, że wisi nad nami jakaś katastrofa, że lada moment zwali się nam na głowy.

Jeśli wszakże miejscowi się nie mylą, musimy przetrwać jeszcze tylko ten ostatni dzień. Kapitan, który zgodził się zabrać nas do Dover, mówił z Garethem minionej nocy, potwierdzając, że spodziewa się, iż jutro będzie mógł wyjść z portu. Skoro tak, opuścimy Boulogne i nic nie szkodzi, że w Anglii przypuszczalnie czekają na nas członkowie kultu – sam fakt, że znajdziemy się w domu, podniesie nas wszystkich na duchu.

Tymczasem spędzę ten dzień podobnie jak dwa poprzednie, starając się na różne sposoby wesprzeć wysiłki Garetha. Nawet jeśli, jak wszystko na to wskazuje, nie będziemy potrzebować naszej prowizorycznej armii, wzniesienie jak najlepszych umocnień, po prostu na wszelki wypadek, stanowi bez wątpienia mądre posunięcie. Takiej decyzji należy oczekiwać po doświadczonym dowódcy, którym Gareth wszak jest. Choć cały mój udział sprowadza się do dopingowania go, również jest to jakiś wkład.

Nie przypominam sobie, że bym kiedykolwiek wcześniej czuła się do tego stopnia osobiście oddana realizacji cudzego celu, jak ma to miejsce w przypadku misji Garetha. To tak, jakby jego cel jakimś sposobem stał się moim – jakby moja miłość do niego wymagała, że bym z entuzjazmem zaakceptowała każdy aspekt jego życia, nawet ten. Jakkolwiek fakt, że dostarczyłam list MacFarlane'a do Bombaju, wzbudził we mnie pragnienie, by sprawiedliwości stało się zadość, aktualnie z oddaniem staram się przyczynić do przekazania tuby w ręce odpowiedniej osoby w Anglii w przeważającej mierze ze względu na to, że chcę pomóc Garethowi odnieść sukces, nie zaś by zaspokoić własne potrzeby.

Miłość, jak się przekonuję, pociąga za sobą poważne reperkusje.

Gareth, kochając mnie, martwi się o moje bezpieczeństwo, jednakże jego troska nie da się nawet porównać z moim niepokojem o niego. Wiem, jakim jest mężczyzną, jakim żołnierzem. Pod tym względem przypomina

MacFarlane'a. Ruszy do boju na czele tej zbieraniny marynarzy i parobków uzbrojonych w widły i grabie.

Jeśli wróg zaatakuje nas tutaj, w Boulogne, Gareth stanie z nim twarzą w twarz.

Miłość, jak się przekonuję, może rodzić strach. Mam znacznie więcej powodów, żeby bać się o niego, aniżeli on, żeby bać się o mnie.

E.

Dzień zaczął się spokojnie, jednak Gareth nie potrafił się uwolnić od poczucia nadciągającej katastrofy.

Nie ucieszył się, delikatnie mówiąc, kiedy sprawdzili się przewidywania Mullinsa na temat tego, ilu z przypadkowych rekrutów zamelduje się znów na służbę. Jedynie dwunastu takich, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, wtoczyło się niemrawo do sali głównej, a malująca się na ich twarzach niefrasobliwość wskazywała, że przyszli tu raczej dla rozrywki niż w nadziei na udział w walce.

Jako że niebo się przejaśniło, Bister i Mooktu wzięli większą część tej grupy – dziesięciu młodzieńców – oraz Jimmy'ego na duży dziedziniec z boku oberży, żeby sprawdzić, na ile umięją się oni bronić przed napastnikami uzbrojonymi w kindżały. Każdy młodzian dzierżył widły, łopatek albo długi kij. W tym czasie Gareth ćwiczył z dwoma pozostałymi, mającymi jakieś takie pojęcie o władaniu szablą.

Ustawił ich, żeby walczyli przeciw sobie, sam zaś stał i obserwował, komentując i korygując. Od czasu do czasu przerywał im, by zademonstrować pchnięcie albo pa radę.

Przyglądał się krytycznie swym podopiecznym, kiedy u jego boku pojawiła się Emily. Omiotła spojrzeniem dziedziniec.

– Niewielu dzisiaj. – Pochwyciła jego wzrok, kiedy popatrzył na nią przelotnie. – Może nic się nie wydarzy? Niewykluczone, że postanowili uderzyć na nas w Dover.

– To możliwe. – Skrzywił się. – Ale mało prawdopodobne. Dorcas i Arnia już wróciły?

– Tak. Ksiądz z radością uderzy w dzwon, jeśli zajdzie laka potrzeba. Zdaje się, że w tej części miasta to tradycyjny sygnał w razie niebezpieczeństwa.

Gareth przytaknął w rozkojarzeniu, a potem wystąpił do przodu, żeby skorygować chwiejne pchnięcie.

– Powodzenia w treningu – powiedziała cicho Emily, kiedy się cofnęła.

Nie odrywając wzroku od dwóch aspirujących do miana szermierzy, Gareth skinął głową.

Emily odstąpiła z uśmiechem. Przez chwilę obserwowała rekrutów, z którymi pracowali Mooktu i Bister, a potem przyjrzała się gapiom – przeważnie starszym mężczyznom i dziewczętom – zgromadzonym na trotuarze tam, gdzie dziedziniec przylegał do ulicy. Było ich o wiele mniej niż pierwszego dnia, niemniej miejscowi ewidentnie wiedzieli, że ich grupa nadal przebywa w oberży.

Nie chcąc przepychać się między starszymi gapiami, żeby dostać się do wejścia od frontu, Emily zawróciła i podążyła wzdłuż bocznej ściany oberży, kierując się ku tylnym drzwiom. Znajdowały się tuż za narożnikiem budynku, wychodziły na dziedziniec stajenny.

Bruk był tu wyślizgany, tak że musiała patrzeć pod nogi. Skręciła za róg, rozważając leniwie, jaką pogodę zastaną w Anglii... i nieomal zderzyła się z jakimś mężczyzną.

– Och! – powiedziała, podnosząc wzrok.

Zatchnęła się, kiedy nie jeden mężczyzna lecz dwaj mocno chwycili ją za ramiona.

Ten po lewej, czarnowłosy, ciemnooki, o śniadej skórze, spojrzał na nią pożądliwie, przybliżył się i przytknął jej do boku nóż.

– Bądź cicho.

Nie poruszyła się, nawet nie mrugnęła. Czuła chłód ostrza na skórze: wystarczyło lekkie dotknięcie, by przecięło jej suknię. Jeśli napastnik pchnie, choćby najdelikatniej, zrani ją.

Wyraźnie usatysfakcjonowany, że Emily pojmuje niebezpieczeństwo, mężczyzna – bez wątpienia członek kultu, mimo że nie nosił turbanu, a zamiast tego miał na sobie popularną w tych okolicach pelerynę z kapturem – spojrzał na czekającego po drugiej stronie dziedzińca trzeciego członka kultu, także w przebraniu.

Ten trzeci skinął głową. Mężczyzna po lewej popchnął Emily naprzód.

– Idź spokojnie. Nie hałasuj, jeśli chcesz żyć. Módl się, by żaden z twoich przyjaciół niczego nie zauważył, bo będziemy musieli go zabić.

Nie miała wyboru. Nawet gdyby zemdląła, po prostu powlekliby ją ze sobą. Kiedy jednak znajdą się na ulicy, ktoś ich zobaczy, zorientuje się...

Jej nadzieje spełzły na niczym, gdy skręcili za przeciw legły narożnik oberży i ujrzała czekającą dwukólkę. Porywacze na poły podnieśli, na poły wepchnęli ją na przed nią ławkę. Mężczyzna z nożem zajął miejsce obok niej. Ten trzeci chwycił lejce, siadając po drugiej ręce Emily, a ostatni z napastników wspiał się na tył pojazdu.

Unieruchomiona między nimi, z nożem ostrzegawczo dociśniętym do boku, musiała siedzieć cicho, kiedy powieźli ją z uliczki na plac i dalej.

Gareth szykował się do zarządzenia przerwy na lunch kiedy na bocznym dziedzińcu pojawiła się Dorcas. Rozejrzała się. Na jej czole pojawił się mars.

Kiedy znów na niego spojrzała, Gareth uniósł pytająco brwi. Podeszła do niego.

– Widział pan pannę Emily?

– Nie ostatnio. Była tu jakąś godzinę temu, ale potem wróciła do środka.

Dorcas pokręciła głową, spoglądając w stronę ulicy.

– Nie możemy jej znaleźć. Nikt jej nie widział od... no cóż, najwyraźniej od czasu, kiedy rozmawiała z panem.

Chłód rozlał mu się w żyłach, Gareth napomniał się jednak, żeby nie wyciągać przedwcześnie wniosków.

– Jeżeli nie ma jej w pokoju... Dokąd jeszcze mogłaby się udać, by wypełnić sobie czas?

– Nic mi nie przychodzi do głowy. No i... Ale nie chcę niepotrzebnie robić zamieszania. – Dorcas spojrzała mu w oczy. – Członkowie kultu nie pokazywali się w okolicy od kilku dni, nikt nie donosił, żeby ich widział.

– My także nie zauważyliśmy, by ktokolwiek czaił się w pobliżu.

– Nie ma więc powodu zakładać, że stało się coś strasznego. – Dorcas popatrzyła na drugą stronę dziedzińca, a potem zaczerpnęła tchu i spiesznie dodała: – Jednak pójść gdzieś sobie, nie mówiąc nic panu albo mnie, zwłaszcza teraz, kiedy żyjemy wszyscy w takim napięciu... to bardzo niepodobne do panny Emily. Mimo to, być może...

– Nie. – Gareth spojrzał na nią chmurnie. – Masz rację. Nie zniknęłaby sama z siebie. A to znaczy... – Uciał tę myśl i zamiast tego rzekł: – Szukamy. Weź kogoś do pomocy i dokładnie przeszukajcie piętro. Poślę Bistera i rekrutów, żeby sprawdzili na zewnątrz, a Mooktu i ja porozmawiamy z Perrotami i przeszukamy parter. Spotkamy się w głównej sali, kiedy tylko każdy upora się ze swoim zadaniem.

Otwierając szeroko oczy, Dorcas przytaknęła i pospieszyła z powrotem do oberży.

Gareth z ponurym wyrazem twarzy zwrócił się ku mężczyznom na dziedzińcu.

Poszukiwania nie trwały długo. Dziesięć minut później Gareth wszedł do sali głównej i zastał tam już Dorcas. Pokojówka, zwykle nader spokojna, załamywała ręce. Obok niej stała zmartwiona Arnia.

– Na górze jej nie ma – powiedziała ta ostatnia. Gareth odwrócił się, kiedy dołączył do nich Perrot,

który sprawdzał piwnicę, podczas gdy jego synowie zaglądali do stajni i budynków gospodarczych.

– Ani śladu – obwieścił oberżysta, rozkładając ręce.

– Wszystkie nasze powozy i konie są na miejscu – do dał jeden z jego synów.

Przybył Mooktu, który dokonywał inspekcji kuchni i składzików. Ponuro pokręcił głową.

Czekający dotąd przy stole Watson i Mullins podnieśli się z miejsc.

Raptownie otworzyły się drzwi wejściowe i do środka wparował Bister, a tuż za nim Jimmy.

– Zabrali ją trzej mężczyźni dwukólką – zameldował Bister. – Kierowali się na południe.

– Kto ich widział? Kiedy? – Gareth podszedł do niego

– Dwóch starych przyków na zewnątrz. – Bister z trudem łapał oddech. – Około godziny temu. I tak, są pewni: zapamiętali, ponieważ zdziwiło ich, że przy takiej pogodzie kobieta miała na sobie tylko szal narzucony na suknię, nic cieplejszego, gdy tymczasem mężczyźni by li szczelnie opatuleni. Naciągnęli na głowy kaptury, tak *iv* nikt nie widział ich twarzy. – Bister

spojrzał na Dorcas – Mówili, że kobieta była w różowej sukni i miała purpurowy szal. Jasne włosy upięte w górze.

Dorcas zbladła.

– Była w lawendowej sukni.

– Czyli tak jak mówili, w różowej. – Bister skinął głową i spojrział na Garetha. – To była ona.

Gareth przytaknął, zaciskając wargi.

– Coś więcej na temat „na południe”?

– Bister i ja pobiegliśmy na koniec ulicy – włączył się Jimmy. – Na rogu było tam paru młodych wałkonii. Przypomnieli sobie i pokazali nam, którą pojechała dwukółka. Nie główną drogą, ale taką prowadzącą chyba na południe, jakby wzdłuż wybrzeża.

Wśród tubylców od jakiegoś czasu narastały gniewne pomruki. Szok prędko ustępował miejsca wściekłości.

– To droga Virgejoie! – wykrzyknął ktoś teraz. Gareth popatrzył na Perrota.

– Prowadzi do jednej ze starych arystokratycznych siedzib, do *chateau* – wyjaśnił oberżysta.

– Kto tam teraz mieszka?

– Nikt. – Perrot rozłożył ręce. – Stoi pusty, odkąd rodzina uciekła w czasach terroru.

– W jakim jest stanie? Da się tam mieszkać? – dociekał Gareth.

Wielu miejscowych ściągnęło usta, spuszczać głowy. Wreszcie ktoś raczył udzielić mu odpowiedzi:

– Budynek gospodarcze i stodoła się zawaliły, ale sam dom nadal ma ściany, okiennice i drzwi, a także większą część dachu.

– Oraz kominki – wtrącił ktoś inny. – Nawet przy takiej pogodzie można się tam schronić. Cyganie niekiedy tak robią.

Wśród zebranych znów narósł gwar, rozległy się okrzyki. Gareth wymienił spojrzenia z Mooktu.

– Tam będą – orzekł. Mooktu przytaknął.

– Zabrali ją, żeby pan po nią przyszedł. Poczekają, aż się pan pojawi.

Chciał przez to powiedzieć: „Poczekają, nim zrobią coś drastycznego”. Kult słynął ze zmuszania mężczyzn do tego, by oglądali, jak torturuje się ich bliskich. Gareth z ciężkim sercem skinął głową; starał się na tyle wytłumić swoje reakcje, swoje emocje, żeby móc myśleć.

Musiał myśleć, inaczej ją straci. Nie zamierzał jej stracić. Perrot pociągnął go za rękaw.

– Musi pan przyjąć naszą pomoc. – Oberżysta gestem ogarnął zapelniający salę główną tłum. Do gości przybyłych na lunch dołączali napływający stopniowo inni miejscowi, powiadomieni przez osoby, które poszły rozpuścić wieści. – Ci poganie zrobili z nas głupców. Zaatakowali i uprowadzili damę, kiedy przebywała tutaj, pod moim dachem, a my pokpiwaliśmy sobie z nich, przekonani, że nic wam nie grozi. – Perrot wyprężył pierś niczym pod starzały kogut. – Musi nam pan pozwolić wymazać tę plamę na honorze, przyjmując teraz naszą pomoc. Odbijemy ją wspólnie.

Wielu miejscowych, młodych i starych, hałaśliwie poparło Perrota.

Gareth zerknął na czekających z boku, gotowych do akcji Mooktu, Bistera i Mullinsa. a potem uniósł ręce, by uspokoić tłum.

– Każdy, kto chce pomóc – przemówił, gdy zebrani umilkli – będzie mile widziany. Jednakże – podniósł głos, żeby przekrzyczeć i uciszyć narastające znów wiwaty – nie wolno nam uczynić nic, czym narazilibyśmy

życie panny Ensworth na niebezpieczeństwo. Zatem. – Przerwał na krótko, czując, jak na jego barki opada znajomy ciężar dowodzenia, któremu towarzyszy przenikliwa świadomość ryzyka. Myśli pędziły mu w głowie. Po chwili już wiedział. – Zrobimy tak.

Oddelegował Bistera, Mooktu i Mullinsa, żeby ominęli czujki wroga.

– Rozstawili co najmniej kilku ludzi przy drodze do posiadłości, na tyle blisko miasta, by zdążyli pognać do *chateau* i ostrzec kompanów, że nadciągamy. Odetnijcie im drogę, zajmując pozycje jak najbliżej dworu, al. tak, żeby ci w środku was nie zauważyli. Zatrzymajcie każdego posłańca, każde ostrzeżenie. Spotkamy się tam, kiedy zbiorę nasze siły.

Trzej mężczyźni przytaknęli i wyszli.

Dorcas i Arnia pospieszyły ich śladem, odnaleźć księdza i poprosić go o uderzenie w dzwon.

Gareth popatrzył na Watsona.

– Ty musisz tu zostać. Wiesz, co robić.

– Wiem. Tak zrobię. – Watson skinął głową. Gareth odwrócił się znów do gromadzącej się ciżby.

Było tu sporo starszych osób, ale napływało też coraz więcej marynarzy i parobków, którzy parę dni wcześniej wchodzili w skład ich prowizorycznej milicji.

– Wyjdźmy na zewnątrz. – Gareth machnął ku drzwiom. – Uformujcie szyk, powiem wam, co musimy zrobić.

Musimy. Właśnie tak Potrzebował tych ludzi, jeśli wszakże nie zdoła nad nimi zapanować, ani Emily, ani on nie ujrzą ponownie Anglii.

Rozdział 16

Przywiązana mocno do niegdyś eleganckiego krzesła, ustawionego na środku zrujnowanego, zakurzonego salonu, Emily zogniewionymi oczami wpatrywała się w starego Hindusa, któremu dostarczyli ją porywacze. Ubrany w tradycyjny indyjski strój – ciemnobrązowi szarawary i kurtę, w barwnej wełnianej kamizelce, kapeluszu i szalu, chroniącymi go przed chłodem, wyglądał nieomal dobrotliwie, dopóki nie zajrzało się w jego ciemne, płonące fanatyzmem oczy.

Emily zastanawiała się, czy ten człowiek pozostaje w pełni przy zdrowych zmysłach.

Bez wątpienia jednak to on tu dowodził. Ci trzej, którzy ją przywieźli, przez całą drogę groząc nożem, pokłonili się starcowi, szurali nogami i zdawali się zachwyceni uzyskawszy krótką pochwałę.

Starzec – nazywali go Wujem – był owym dowódcą, którego istnienia domyślał się Gareth, człowiekiem mającym za zadanie przeszkodzić mu w wypełnieniu misji. Kiedy prowadzono ją przez dwór, Emily widziała wielu członków kultu czekających w gotowości, pod bronią, niekiedy ostrzących kindżały. Zerkali na nią, lecz ich myśli zaprzętało już co innego. Zabijanie.

Zabicie Garetha i pozostałych; Emily wiedziała, że on, i wszyscy inni, przyjdą tu jej śladem.

Na tym najwyraźniej polegał plan starca.

Przerażała ją jednak – wręcz wprawiła w otępienie ze strachu – wizja tego, w jaki sposób Wuj planował wypełnić sobie czas oczekiwania.

Zwrócony do niej tyłem, doglądał zestawu przyborów – całkowicie zwyczajnych przyborów z kuchni, kuźni i obory, których widok nie wywołałby u Emily zdenerwowania, gdyby nie fakt, że leżały na ruszcie

rozgrzanego żeliwnego piecyka, ustawionego przed rozpadającym się kominkiem.

Jakby tego było mało, przy jednym końcu niegdyś wspaniałego stołu do gry w karty ułożono w szyku noże. Nie zwyczajne, powszechnie używane noże. Wiele z nich Emily widywała tylko sporadycznie, w porcie, u sprzedawców ryb bądź rzeźników. Noże do filetowania. Noże do zdejmowania skóry.

Krew już dawno stężała jej w żyłach. Kiedy popatrzyła na noże, zrobiło jej się niedobrze.

Nie wiedziała, co począć. Starymi sznurami do zasłon skrepowano jej nogi, ręce przywiązano do podłokietników fotela na wysokości łokci i nadgarstków, była więc całkowicie unieruchomiona, niemniej ani myślała po prostu siedzieć, dając się przypiekać i ciąć.

Sporo wysiłku kosztowało ją, żeby zmusić umysł do pracy – do zastanowienia się, co mogłoby odwrócić uwagę tego mężczyzny, Wuja, od jego drapieżnej rozrywki, aż do chwili, gdy dotrze tu Gareth.

Nie potrafiła sięgnąć myślami poza ten moment. Nie musiała. Kiedy już Gareth się tu znajdzie, nic go nie powstrzyma. Razem zwyciężą.

Jak jednak zyskać na czasie?

Czy mogła jakoś ułatwić Garethowi odnalezienie jej?

Przypomniała sobie widok dworu od strony podjazdu. Z wyjątkiem tego pokoju wszystkie okna miały zamknięte okiennice. Tutaj otworzono zarówno okiennice, jak i same okna, żeby wypuścić dym z płonącego na kominku ognia i żarzących się w piecyku węgli. Podobnie jak z innych pomieszczeń od frontu na parterze, można było stąd wyjść na wyłożony płaskimi kamieniami taras, ciągnący się przez całą długość domu.

Najlepszym rozwiązaniem wydawała się rozmowa.

Odkasznęła.

– Przepraszam pana?

Obejrzał się i wpatrzył w nią, jakby zaskoczony, że Emily potrafi mówić.

Z niewinną miną uniosła brwi.

– Czy byłby mi pan łaskaw wytłumaczyć, co się dzieje?

Nasrożył się i wyprostował z gorącymi obcęgami w dłoni.

– Ja – przyłożył do piersi zaciśniętą w pięść drugą dłoń – reprezentuję wspaniałą i potężną kult Czarnej Kobry Znalazłaś się tutaj z rozkazu mego pana i wkrótce umrzesz w mękach, ku chwale Czarnej Kobry!

Emily starała się zignorować wywołaną słowami starca wizję, zignorować trzymane przezeń gorące obcegi. Zmusiła się, by przybrać skonfundowany wyraz twarzy.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli wydam się odrobinę nierozgarnięta, ale... nigdy nie spotkałam tego człowieka. Dlaczego miałoby mu zależeć na mojej śmierci?

Wuj zamrugął zdziwiony.

– Przecież... – Wziął się w garść. – Dostarczyłaś pułkownikowi Delboroughowi w Bombaju list, który kapitan MacFarlane ukradł w Punie.

– Chodzi o ten list? – Otworzyła szeroko oczy. – Był ważny? Nie miałam pojęcia. Myślałam, że to prywatna wiadomość od kapitana do jego dowódcy. – Postarała się wyglądać na zaintrygowaną. – Co on zawiera?

– Nie wiem – odparł po krótkim wahaniu Wuj.

– Chce pan powiedzieć, że mnie zabije – zdumiała się jeszcze mocniej marszcząc brwi – i przypuszczalnie tak że wiele innych osób, nawet nie wiedząc, dlaczego?

Zachnął się, a jego ciemne oczy zapłonęły.

– Tak rozkazał mój pan.

– Czyli on wydaje rozkazy, a pan je wypełnia, choć nie ma pojęcia, o co chodzi?

– Takie są prawa kultu – odrzekł Wuj, patrząc na nią z wyższością. – Każdego kultu.

Nie musiała się wysilać, by pokazać, że nie wywarło to na niej wrażenia.

– Tak czy owak, nie rozumiem, w jaki sposób moja śmierć pomoże pańskiemu przywódcy. Nie wiem nic o liście, z pewnością też go nie mam. Oddałam go pułkownikowi Delboroughowi kilka miesięcy temu.

– Ty go nie masz, ale być może jest w posiadaniu majora Hamiltona!

– U Garetha? Jest pan pewien? – Wyglądała na nieprzekonaną. – Nic mi o tym nie wspominał.

– Ma list lub jego kopię. Dlatego mnie wysłano.

– Żeby znalazł pan kopię? – Tak.

– Zatem to przez cały czas był pan, jeszcze w Adenie i na Morzu Czerwonym?

Odpowiedział i Emily pojęła, że przez jakiś czas nic jej nie grozi – tak długo, jak długo potrwa relacjonowanie podróży i licznych posunięć kultu. Podobnie jak wielu ludzi tego pokroju, Wuj był na tyle próżny, że pragnął przypisać sobie jak najwięcej zwycięstw. Emily starała się reagować stosownie niewinnie, zachęcając go, by zaimponował jej opowieściami o swej przebiegłości i reputacji.

Perorował donośnie, sypiąc górnolotnymi stwierdzeniami.

Zadawała pytania jak najgłośniej. Przez cały czas wyteżala słuch, usiłując wychwycić jakiś ruch na zewnątrz. Na razie nic nie wskazywało na przybycie odsieczy. Modliła się w duchu.

Gdyby stacjonujący w *chateau* członkowie kultu ujrzeli maszerującą podjazdem prowizoryczną armię Garetha. natychmiast poderznąłoby Emily gardło.

Gareth nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlatego też niezłomnie narzucał zbieraniu ochotników wymóg całkowitego posłuszeństwa.

Zgromadził przy sobie tych, którzy znali tereny wokół *chateau*, i szedł wraz z nimi na czele grupy, kiedy spraw nie wymaszerowali z miasta. Zatrzymał wszystkich na początku prowadzącej do dworu długiej alei i podkreślił konieczność zachowania od tej pory absolutnej ciszy

Z godną podziwu ostrożnością zaczęli się skradać aleją. Mężczyźni obeznani z terenem poinformowali Garetha, jak daleko mogą dojść bez ryzyka, że ktoś zobaczy ich z okien albo nawet z dachu dworu.

Mullins czekał na nich w tym właśnie miejscu, usadowiony na płaskim kamieniu na skraju alei. Wstał i zaszalutował Garethowi.

– Złapaliśmy dwóch gagatków, kiedy spieszyli z powrotem ostrzec swoich kumpli – zameldował, a potem zagwizdał, naśladując ptasi trel.

Moment później z jednej strony podjazdu ukazał się Bister, z drugiej zaś z krzaków wyłonił się Mullins.

Gareth skinął głową. Nadeszła pora na najtrudniejszą część planu. W trakcie marszu tutaj żonglował możliwościami, sprawdzając, czy przypadkiem jakaś inna lepiej nie pasuje do sytuacji, ale... Spojrzał na pięciu mianowanych przez siebie „poruczników”, z których każdy dowodził grupą ludzi.

– Zrobimy tak. – Każdej z pięciu grup wyznaczył pozycję: dwie miały okrążyć dwór i zaatakować od tyłu, ko lejne dwie uderzyć od frontu i z boków, ostatnia zaś rozproszyć się i powstrzymać ewentualny atak na ich tyły gdyby się okazało, że pod miastem została większa liczba członków kultu. –

Na razie jednak zachowajcie ciszę, tak długo, aż ja i moi ludzie wejdziemy do środka, odnajdziemy i uratujemy pannę Ensworth.

– Od frontu otwarto okiennice kilku sąsiadujących ze sobą okien – zameldował Bister. – Poza tym cała aktywność odbywa się w tylnej części budynku.

Gareth skinął głową i znów skupił uwagę na zgromadzonych wokół mężczyznach.

– Wezmę dwóch ludzi, wejdziemy i uwolnimy pannę Ensworth. – Znając metody działania kultu, nie wątpił, że ona nadal żyje. Modlił się natomiast, żeby nie była ranna. – Kiedy panna Ensworth będzie bezpieczna, Bister da znak Mullinsowi tutaj. – Gareth wskazał głową szpakowatego weterana. – Wtedy Mullins da sygnał do ataku. Dopiero po tym sygnale uderzycie na dwór. Walczcie bez zahamowań. Zapewniam was, że oni nie będą ich mieli. Będą walczyć na śmierć i życie, ponieważ zawsze tak robią. Nie spodziewajcie się po nich przestrzegania naszych zasad. Wyznają własne i czczą śmierć. – Omiótł spojrzeniem pełne zapału twarze, wyczytał z nich determinację i zdecydowanie. Skinął głową. – Powodzenia.

Wielu cicho życzyło mu tego samego, kiedy zwrócił się w stronę dworu. Zerknął na Mooktu. Krzepki Pasztun przytaknął i dołączył do niego.

– Gotowi? – Bister przestępował z nogi na nogę. Gareth potwierdził i machnął ręką.

– Prowadź.

Bister odwrócił się i w cieniu starych drzew powiódł ich wzdłuż niewielkiego wzniesienia, które zasłaniało widok z *chateau* na obniżenie terenu, gdzie zebrała się ich armia. Potem je przekroczyli.

Dwór był typową prostokątną konstrukcją z kamienia. Szeroki klomb przed nim całkiem zarósł chwastami. Bister poprowadził ich do lewego

narożnika budynku. Wzdłuż frontowej ściany ciągnął się wyłożony kamieniami otwarty taras, wznoszący się ponad poziom gruntu. Jako że okiennice większości okien były zawarte, mogli się zbliżyć i wejść na taras praktycznie bez ryzyka, że ktoś ich zauważy.

Kiedy znaleźli się na tarasie, Gareth przytrzymał Bistera na ramię.

– Żadnych straży? – szepnął, nachylając się ku niemu. Ordynans pokręcił głową.

– Wygląda na to, że polegają na czujkach przy drodze. Widzieliśmy wzdłuż niej sześciu ludzi, ale tylko dwaj wrócili tu z meldunkiem.

Gareth skinął głową. Przez chwilę omiatał wzrokiem taras, nasłuchując... Do jego uszu dotarł cichy pomruk głosów. Ktoś przebywał w pokoju o otwartych oknach. Nos Garetha podrażniła delikatna woń dymu.

Wyjął z pasa nabity pistolet, odwiódł kurek i z gotową do strzału bronią w ręku zaczął się skradać, krok za krokiem, wzdłuż ściany dworu, w kierunku otwartych okien.

Taras był zawalony gruzem. Gareth baczył, żeby na nic nie nastąpić. Nie musiał się oglądać, czy Mooktu i Bister postępują podobnie ani czy w ogóle podążają za nim. Walczyli razem od tak dawna, że w tego rodzaju sytuacjach funkcjonowali jak jeden organizm.

Zatrzymał się o krok od uchylonego okna, a ściślej mówiąc – drzwi tarasowych, za których obecność podziękował w duchu. Nasłuchiwał. Wtargnie do pokoju z łatwością, najpierw jednak musiał się upewnić, czy Emily jest w środku oraz ilu przeciwników powinien się tam spodziewać.

Do jego uszu dotarł głos starszego mężczyzny o wyrażnie indyjskim zaśpiewie.

– Wiedzieliśmy zatem, że major i jego grupa utkną na wybrzeżu... i tym sposobem tu jesteś.

Nastąpiła chwila złowroziej ciszy. Garethowi podniosły się włoski na karku. Czy to do Emily mówił nieznajomy?

– I wkrótce – podjął głos, zawodząc teraz odrażająco – już niedługo, przybędzie major, a wówczas poznasz swoją rolę.

– Zamierza mnie pan wykorzystać, torturować, żeby Gareth oddał panu list? – To była Emily, a jej głos brzmiał mocno.

– Ależ tak, moja droga. Nie sądzisz, że to poskutkuje?

Gareth dał znak Mooktu i Bisterowi, a potem z uniesioną bronią stanął na wprost drzwi tarasowych, kopnięciem rozwarł je na oścież i wparował do pokoju.

Emily, na pierwszy rzut oka cała i zdrowa, siedziała przywiązana do krzesła. Starszy, czarnobrody mężczyzna – dowódca kulu, którego Gareth widział w Adenie – stał, zaskoczony, przy kominku, obok żeliwnego piecyka.

Gareth zlustrował pomieszczenie, mierząc z pistoletu, gotów wypalić do ewentualnego strażnika, ale nikogo więcej tu nie było. Zatrzymał się między Emily a starcem i opuścił broń. Za jego plecami Bister i Mooktu przecinali krepujące Emily więzy.

Mężczyzna, nadal zaskoczony, przeniósł wzrok z Garetha na okna.

– Gdzie są moi ludzie?

Emily wstała energicznie, rozmasowując nadgarstki i strząsając z nóg pozostałości pęt. Starzec spojrział znów na nich, na Garetha. Na jego twarzy odmalowało się zrozumienie.

Potem zrobił coś, o co żadne z nich by go nie podejrzewało – ryknął. Nie krzyknął, lecz wydał z siebie ryk czystej furii, który przedarł się przez ściany i odbił echem w korytarzach.

Gareth poderwał pistolet i wypalił.

Jednak mężczyzna moment wcześniej rzucił się po broń, leżącą na ruszcie nad rozżarzonymi węglami; kula trafiła go w ramię, aż nim szarpnęło. Zachwiał się do tyłu i usiadł ciężko na podłodze przed paleniskiem.

W tejże chwili raptownie otwarty się drzwi i do pokoju wpadło sześciu członków kultu.

Gareth zaklął i dobył szabli. Mooktu już wywijał swoim bułatem. Za ich plecami Bister doskoczył do okna. Wsunął palce do ust i gwizdnął przeszywająco, a zaraz potem zrobił unik przed cięciem i wrócił pędem, by zająć miejsce u boku Garetha. Dobywając szabli, obrócił się w stronę wroga.

Uwięziona za plecami trzech mężczyzn, Emily zazgrzytała zębami. Znowu krew, kindzały i ci przekłęci członkowie kultu. Walka toczyła się mniej więcej na środku pomieszczenia. Emily wyczuwała, że jej mężczyźni usiłują się wycofać, że są do tego zmuszani, gdy próbują zapobiec przedostaniu się przeciwników za linię ich obrony. Chwyciła krzesło, do którego wcześniej ją przywiązano. Zamierzała zepchnąć je na bok, gdy jednak zobaczyła, że członek kultu stara się ominąć Bistera, podniosła je i rzuciła nim w mężczyznę, przewracając go na plecy.

Bister zmienił pozycję, żeby lepiej bronić tego narożnika. Gareth i Mooktu się cofnęli.

Plecami zasłaniali jej widok, niemniej Emily walczyła już u ich boku przeciw członkom kultu i rozumiała, że to starcie jest inne.

Ci przeciwnicy byli silniejsi, lepiej wyszkoleni. Przypomniła sobie, jak Gareth mówił, że przywódcy będą towarzyszyć wzbudzający postrach zabójcy. Mooktu i Gareth nieco się przesunęli. Emily zdołała zerknąć przez szparę między nimi i uzmysłowiła sobie, że sprawy stoją nawet gorzej: do pokoju wlewali się kolejni.

Gorączkowo rozejrzała się za jakąś bronią.

Ale niczego tu nie było. Niczego...

Poza starą, zapleśniałą zasłoną.

Dwa kroki i znalazła się przy wysokim oknie. Oburącz chwyciła zasłonę, szarpnęła. Materiał uwolnił się z zaczepów i spadł, pokrywając ją kurzem oraz stęchłym, rozpadającym się jedwabiem, jednakże bawełniane podbicie, choć cienkie, pozostało w całości.

A w każdym razie wystarczająco siętrzymało. Emily strzepnęła zasłonę, rozpostarła ramiona, szybko zebrała materiał w obie ręce i pospieszyła za plecy Garetha. Modląc się...

Zatrzymała się tuż za nim.

– Gareth, unik!

Poczekala tylko do chwili, gdy zaczął się schylać, a potem z całej siły wyrzuciła zasłonę w górę i do przodu.

Mooktu uchylił się, kiedy materiał z furkotem przelatywał obok niego. Zasłona spadła na trzech zabójców, walczących z nim i Garethem; zaplątali się w jej fałdy.

Moment później było o trzech członków kultu mniej.

Natarło na nich czterech kolejnych, ale przeszkodziło im kłębowisko ciała.

Za tymi czterema inny członek kultu podskoczył i rzucił sztyletem – w Emily. Wrzasnęła i zrobiła unik; poczuła, że ostrze rozcięło jej rękaw i drasnęło ramię.

– Nic mi nie jest!

Gareth powstrzymał się przed instynktownym obrotem ku niej. Zaciskając zęby, ze wzmożoną zajadłością powitał atakujących.

Nigdy wcześniej nie walczył z tak nieokiełznaną brawurą. Nigdy nie znalazł się do tego stopnia we władzy furii i strachu.

Ciął, parował... i kłął w duchu. Bister ryzykował życie, żeby dać sygnał. Gdzie, u diabła, podziewała się reszta jego wojska?

Ledwo to pomyślał, wyczuł jakąś zmianę – bieg bitwy się odwrócił. Członkowie kultu na tyłach nacierającej na nich gromady cofnęli się, nasłuchiwali przez chwilę, a później popędzili do drzwi.

Garethem owładnęła ponura determinacja. Z Mooktu i Bisterem u boku zdwoił wysiłki, odpierając wroga.

On i Mooktu w tym samym czasie powalili każdy swojego przeciwnika, a kiedy podnieśli wzrok, przekonali się, że pozostali znajdują się przy drzwiach, przepychając się do wyjścia. Ostatni był poruszający się zadziwiająco żwawo starzec.

W progu odwrócił się z wykrzywioną twarzą i ogniem w ciemnych oczach.

Cisnął nożem. Nie w Garetha. Obok niego.

Gareth rzucił się do tyłu i w bok, przewracając Emily na podłogę.

Poczuł uderzenie ostrza. Upłynęła pełna przerażenia i desperacji sekunda, zanim przeszył go ból i Gareth po jął, że wbiło się w jego ramię, nie zaś w nią. Odetchnął.

– Dzięki Bogu. – Ze zwieszoną głową nieomal załkał z ulgi.

Emily wykręcała się, krzyczała coś, odpychała go. Podniósł się z niej wolno i usiadł.

– Mój Boże! Łajdak cię trafił! – Jej głos brzmiał tak, jakby chciała rozerwać starca na strzępy. Popatrzyła na Mooktu i Bistera. – Na co czekacie? Za nim!

Mooktu i Bister aż się palili do tego, by ruszyć za zabójcami.

– Nie! – Stanowczy rozkaz powstrzymał ich w pół drogi do wyjścia. Gareth, przyciskając mocno do boku lewe ramię, pomógł sobie prawym, żeby

się podnieść. – Nie wiemy, czy gdzieś w pobliżu nie przyczaili się kolejni. Musimy zostać tutaj i pozwolić innym dokończyć dzieła. Po to tu przyszli, do tego ich szkoliliśmy. W ten sposób ocalą honor swego miasta. – Przerwał, by odetchnąć, gdyż dokuczał mu ból, zdołał jednak dodać równie pewnym głosem: – Poczekamy tu, aż zakończą sprawę.

Mooktu i Bister zrozumieli. Zawrócili. Emily spiorunowała Garetha wzrokiem, a potem, za ciskając usta, spojrzała na Mooktu.

– Wobec tego pomożesz mi to wyjąć.

Kiedy odgłosy bitwy wreszcie ustały, Gareth, z obwiązany mocno ramieniem, siedział na chybottliwym krześle, które Bister przyniósł z innego pomieszczenia. Sztylet – długi, szlachetny, podobny do krisu – na szczęście nie uszkodził niczego istotnego. Gdy Mooktu wyrwał go z rany, Gareth nadal mógł poruszać ręką.

Zanim w ogóle pozwolił zająć się sobą, nalegał, by najpierw obejrzyć ranę Emily. Ustąpiła zniecierpliwiona. Drgnęła, kiedy rozchylił rozcięty materiał jej rękawa, lecz skóra pod spodem była jedynie zadrapana.

Dla odmiany jego rana, oczywiście, krwawiła. Emily zakłęła i przewiązała ją mocno, używając pasów oderwanych z falban halki.

– Trzeba ją jak najprędzej oczyścić. – Stojąc przy jego krześle, spiorunowała Garetha wzrokiem. – Skoro nie mamy tu nic więcej do roboty, może byśmy już poszli?

Spojrzał na nią z uśmiechem, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Dziękuję. Ale jeszcze nie teraz. Prychnęła, lecz nie cofnęła ręki.

Nadal stała obok Garetha, z dłonią w jego dłoni, kiedy drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wkroczył Mullins. Szeroki uśmiech na jego twarzy powiedział im wszystko, co najważniejsze, niemniej stary wiarus zasalutował

i złożył raport, podczas gdy za jego plecami stopniowo gromadzili się ochotnicy z ich prowizorycznej armii – Perrot z synami, marynarze i parobcy.

Wielu odniosło rany, niekiedy wcale nie tak powierzchowne, lecz wszyscy sprawiali wrażenie ogromnie zadowolonych. Zwycięskich.

Najistotniejszą przekazaną przez Mullinsa informacją było to, że – zgodnie z oczekiwaniami – większość członków kultu walczyła na śmierć i życie. Ocaleli tylko trzej:

dwaj młodzieńcy stojący nisko w hierarchii kultu oraz starzec.

– Zwracali się do niego: Wuju – powiedziała Emily. – Był ich przywódcą.

– Wprowadzić go? – spytał Perrot.

Gareth zastanowił się, a potem wstał z krzesła.

– Nie. Przesłuchamy go w mieście.

Zgodnie z jego sugestią Perrot i inni starsi ochotnicy oddelegowali grupę ludzi do pogrzebania poległych i drugą, żeby eskortowała trzech jeńców do miasta. Kiedy się z tym uporano, a ciężiej rannych posłano przodem, pozostali bez pośpiechu ruszyli podjazdem i dalej drogą.

Gdy Emily szła tuż przy nim, trzymając go pod ramię, gdy czuł uścisk jej palców, Gareth odkrył, że choćby nie wiadomo jak się starał, nie potrafi przestać się uśmiechać.

Wokół nich przerzucano się opowieściami o pokonanym wrogu, o bohaterskich czynach, dla Garetha wszak że liczyło się w tej chwili tylko jedno.

Była z nim. Żywa, zdrowa, nietknięta.

On zaś żył i mógł się z tego cieszyć.

Dla niego, w tym momencie, nic więcej nie grało roli.

Z uśmiechem kroczył niespiesznie drogą u jej boku.

Po powrocie do oberży ramię Garetha umyto i na nowo opatrzone, a uczestnicy bitwy złożyli relację z wydarzeń, przyjętą pełnymi emocjami okrzykami. Zmierzchało już, kiedy w sali głównej zebrała się spora grupa osób ciekawych posłuchać, jak Gareth przepytuje więźniów.

Tak jak się spodziewał, dwaj młodszy byli zaledwie przerażonymi chłopcami. Nic nie wiedzieli, nie mieli więc nic do wyjawienia. Idąc za radą Perrota, wyprowadzono ich i przekazano żandarmom pod zarzutem ataków na różnych miejscowych.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z dowódcą kultu, Wujem. Gareth powierzył Mooktu zadawanie pytań, sam zaś siedział i słuchał.

Pokonany, z opatrzoną naprędce raną, Wuj był przygaszony, zagubiony i wyraźnie niezdolny uwierzyć, że on i jego ludzie nie zatriumfowali, zarazem jednak wrogość aż się zeń wylewała, a zebranych w sali słuchaczy uderzyło czyste zło, kryjące się pod powierzchnią jego odpowiedzi.

Mooktu nakłonił jeńca do opisanego jego misji i wszystkich poczynań w trakcie pościgu za Garethem i jego ludźmi. Wuj ochoczo opowiadał o tym, co postrzegał jako dowody swego sprytu, lecz nie ujawnił nic, o czym już by nie wiedzieli albo czego by się nie domyślili. Z każdym wypowiedzianym słowem Wuj mocniej zaciskał sobie pętlę na szyi; zdawał się nie rozumieć, że słuchacze nie podzielają jego przekonania o tym, jak jest wielki, a tym bardziej jego wiary w to, że chwała Czarnej Kobry uświęca każdą podjętą przezeń decyzję.

Tłum często poruszał się niespokojnie, wymieniano spojrzenia.

Przeświadczony już, że Wuj nie posiada żadnych cennych dla nich informacji, Gareth zaczął się zastanawiać, co zrobić z jeńcem.

– Czy ten człowiek zaatakował kogokolwiek z was? – zwrócił się do tłumu, kiedy Mooktu zakończył przesłuchanie.

Tak jak podejrzewał, odpowiedziano mu przecząco. Popatrzył na Perrota.

– Wuj zaatakował mnie, rozkazał porwać pannę Ensworth i groził jej śmiercią, a także, jak sami słyszeliście, w trakcie pościgu za nami wydał wiele znacznie gorszych rozkazów. Niemniej, przy odrobinie szczęścia, jutro przekroczymy kanał. – Spojrzał pytająco na kapitana Lavallo'a, który kilka dni temu zaproponował, że zabierze ich na pokład.

Lavallo przytaknął.

– Wiatr się zmienił. Jutro możemy wyjść w morze. Gareth znów skierował wzrok na Perrota.

– Nie możemy zatem przekazać tego człowieka żandarmom, ponieważ nie będzie tu nikogo, kto by przedstawił przeciw niemu zarzuty.

Przez salę przetoczyły się gniewne pomruki. Zanim doszło do wybuchu niezadowolenia, Gareth oświadczył:

– Jednakże, kiedy już pożeglujemy do Anglii – spojrzał na Wuję – jego misja zakończy się niepowodzeniem. A jego pan, i kult jako taki, mają ugruntowaną praktykę karania porażek śmiercią.

Gareth nie musiał prosić Wuję o potwierdzenie. Rodzące się na jego twarzy przerażenie wystarczyło wszystkim za odpowiedź.

– Sugeruję – ciągnął Gareth – żeby przetrzymać tego nikczemnika tutaj, w piwnicy oberży, aż do jutra. Kiedy nasza grupa znajdzie się daleko stąd. bezpieczna, w drodze do Anglii, uwolnicie go i wywieziecie z miasta. Tak będzie najlepiej. – Gareth omiół spojrzeniem zebranych. – Po okolicy ciągle wałęsają się członkowie kultu. Odnajdą go i wymierzą mu dokładnie taką karę, jaką on w razie porażki uraczyłby każdego ze swoich ludzi. – Znów skierował wzrok na Wuję. – Nie ma potrzeby, żeby ktokolwiek z nas kłał sobie ręce, zajmując się takim człowiekiem.

Narosły pomruki, niektórzy domagali się krwi, ale w tłumie znalazło się dostatecznie wielu rozsądnych, żeby propozycja spotkała się z aprobatą. Gdy Wuj uzmysłowił sobie, co planują, co go czeka... jakby się skurczył.

Kiedy Perrot, po naradzie z sąsiadami, odwrócił się i uderzył pięścią w stół, obwieszczając: „Tak właśnie zrobimy!”, Wuj się skulił.

Gareth to zauważył. Skinął Perrotowi głową, wyprostował się i właśnie miał wstać z krzesła, kiedy ręka Wuja wystrzeliła niczym atakujący wąż, zaciskając się na jego nadgarstku.

Garetha zamrowiła skóra. Zamarł.

– Proszę... – zaskamlał Wuj.

Siedząca tuż obok Emily chwyciła drewniany półmisek i uderzyła nim Wuja w przedramię.

Gwałtownie cofnął rękę. Tuląc ją do piersi, posiał Emily spojrzenie raczej przestraszone i zszokowane aniżeli groźne, zaraz jednak znów odwrócił się do Garetha, kiedy ten wstał, pomagając jej w tym samym.

– Nie! Proszę... – Wuj błagalnie wyciągnął drugą rękę. – Nie rozumiecie. Oddajcie mnie Kобрze, zasłużyłem na to, lecz proszę... powiedzcie mi, gdzie jest mój syn? Gdzie jest jego ciało?

– Twój syn? – Gareth zmarszczył brwi.

– Dowodził grupą, która wraz z Berberami zaatakowała was na pustyni.

– Jakież koncepcje? – Gareth spojrzał na Mooktu, Bistera i innych.

– On dowodził tą bandą, członkami kultu, którzy dołączyli do Berberów? – zwrócił się do jeńca Mullins.

Wuj potwierdził.

– Proszę, powiedzcie mi, gdzie spoczęło jego ciało?

– Bóg jeden wie – prychnął Mullins. Popatrzył na Garetha. – Wydaje mi się, że pojmano go razem z innymi.

– Pojmano? – Wuj przenosił spojrzenie z jednego z nich na drugiego. –

On żyje?

Gareth spostrzegł nadzieję w oczach tego człowieka.

– Posłałeś go, żeby na nas najechał?

– To była jego szansa na zdobycie chwały. Takie są prawa kultu.

– Wobec tego ty i twój kult uczyniliście twego syna niewolnikiem.

Obiecał Berberom, że będą mogli nas sprzedać. Zamiast nas Berberowie wzięli jego i jego ludzi.

Twarz Wuja straciła wszelki wyraz.

– Mój syn... niewolnikiem? – wyszeptał po chwili. Wyraźnie nie potrafił tego ogarnąć. – Nie. – Pokręcił wolno głową. – Nie, nie, nieeee! – Objął się ramionami i zaczął kołysać, zawodząc cicho.

– Zabierzemy go na dół i zamkniemy – powiedział Perrot, stojący w grupie innych mężczyzn.

– Najlepsze warunki do wyjścia z portu będą jutro o dziesiątej rano – rzekł Laval, występując naprzód.

Gareth westchnął i spojrzał na Emily.

– To jeszcze nie koniec. – Popatrzył na Wuja, którego postawni synowie Perrota odprowadzali właśnie do piwnicy. – Gdzieś tam nadal są nasi wrogowie. On to wie. – Odwrócił się do Bistera, unosząc pytająco brew. Ordynans ponuro przytaknął. – I my to wiemy. Nie zgarnęliśmy wszystkich rozstawionych przy drodze czujek. – Gareth pochwycił wzrok kapitana. – Musimy poczynić przygotowania, żeby bezpiecznie wejść na pokład.

Kapitan z szerokim uśmiechem poklepał go po plecach.

– Dostarczyliście nam nie lada rozrywki w czasach nudy. Chodźcie, usiądziemy i wypijemy za wasze zdrowie, zdrowie was wszystkich. A potem ułożymy plany.

Kilka godzin później, rozochocony dobrym koniakiem i słodkim smakiem zwycięstwa, nieważne, że tymczasowego, Gareth podążył za Emily po schodach do ich sypialni.

Pozostali udali się na spoczynek trochę wcześniej, kiedy uzgodniono plany na następny dzień. Sala główna opustoszała, jako że opowiedziano już wszystkie historie.

Nazajutrz opuszczą to miejsce. Przetrwali nieznany, najbardziej nieprzewidywalny i niebezpieczny etap podróży. Jutro rozpoczną kolejny, przy odrobinie szczęścia nieniosący aż tylu groźnych wyzwań.

Jednak tej nocy był czas na...

Wdzięczność. Radość. Świętowanie.

Emily słyszała, jak Gareth zamyka drzwi, odcinając ich dwoje od świata. Przystanęła przy łóżku, poczekała, aż do niej podejdzie, i odwróciła się prosto w jego ramiona.

Uśmiechnął się. Chwycił ją dłońmi w talii i nachylił głowę, żeby pocałować...

– Nie, poczekaj. – Położyła mu palce na ustach. – Muszę coś powiedzieć.

Zajrzał jej w oczy, unosząc brwi.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś – rzekła, wspierając dłonie na jego piersi.

Znów się uśmiechnął.

– Niemniej – ciągnęła z większą powagą – jakkolwiek szczerze doceniam fakt, że mnie ocaliłeś, czy następnym razem mógłbyś się postarać nie odnieść żadnej rany? – Chwyciła go za klapy surduta i wspięła się na palce, żeby lepiej do niego trafić. – Nie podoba mi się, kiedy zostajesz ranny. Twoje rany bolą mnie bardziej niż te, które sama mogłabym odnieść, choć

nieco inaczej. Wpadam wtedy w panikę, a ja zwykle nie panikuję. Jestem nieustraszoną Angielką, która przemierzyła pół świata, lecz nie potrafię znieść twoich ran. – Z bliska zajrzała mu w oczy, najpierw w jedno, potem w drugie, aż wreszcie kategorycznie oświadczyła: – Kocham cię. Rozumiesz? Kocham cię, dlatego nie wolno ci odnosić ran. Nigdy więcej.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a później oplótła ramionami jego szyję, jeszcze odrobinę bardziej wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego ust.

– Ale dziękuję. – Pocałowała go. – Dziękuję. – Kolejny pocałunek. – Dziękuję – szepnęła po raz ostatni, z ustami tuż przy jego ustach, a potem wpiła się w niego w pocałunku, który tym razem trwał, długi, głęboki.

Gareth przejął dowodzenie, a ona mu się poddała.

– Nie waż się śmiać – mruknęła, kiedy oderwał się od jej ust i muskał wargami jej szyję.

– Nie śmieję się. – Łaskotał oddechem delikatną skórę u nasady jej szyi. – Jestem... oszołomiony.

Zaśmiała się, krótko i niedowierzająco, kończąc sykiem, kiedy zamknął dłonie na jej piersiach. Potem konwersacja znalazła się poza obszarem zainteresowań obojga. Liczyło się tylko jedno.

Jedna potrzeba, jedno pragnienie.

Jedna namiętność, jeden żar.

Jedna wszechogarniająca żądza.

Gareth spodziewał się tego – owej starej jak świat potrzeby ukoronowania triumfu nad śmiercią poprzez celebrację życia, samej jego istoty.

Miłości.

Miłości do niej ...i świadomości, że ona go kocha. Z tą wiedzą jej dotykał, za jej sprawą każda pieszczota, którą obdarzała go Emily, przynosiła mu niepowtarzalną rozkosz.

Ubrania spłynęły na podłogę. Nieskładne pomruki narastały i przycichały, kiedy odsłaniali, eksplorowali, ucztowali. Upadli na łóżko, ich ciała się zetknęły, a wtedy rozkwitła namiętność i załśniło pożądanie, sypiąc iskrami i porywając ich ze sobą.

W znajomy wir doznań, w złąknioną radość.

W rozkosz, przyjemność, dawanie.

Tej nocy się kochali.

Kochali inaczej niż dotąd, głębiej, w większym porozumieniu, lepiej do siebie dostrojeni. Ich wymiana była bogatsza, bardziej ekscytująca, żywsza, z każdą chwilą nabierając znaczenia.

Żyli, to był cud, siłowali się nadzy, brali, dawali, pragnęli, dyszeli, poddawali się.

Wzięła go w siebie i ujeżdżała w dzikim zatraceniu. Srebrzysty blask księżycy całował jej perłową skórę, pełne piersi sterczały, gdy z koncentracją na twarzy wznosiła się i opadała, i zadowalała go, zadowalała.

Kochała go, kochała...

Uniósł się z jękiem, przechylił i przetoczył wraz z nią, znów zatapiając się w jej przyjazne ciepło, kiedy objęła go ramionami. I teraz on ją zadowalał.

Oddawał jej tę miłość.

Aż spożytkowali całą namiętność, starli na proch pożądanie, osiągnęli spełnienie, szczytowali. Krew łomotała im w żyłach, ekstaza pochwyciła ich, porwała, roztrzaskała na kawałki.

Spustoszyła.

Spętała ich ze sobą jedwabnymi więzami i wolno opuściła z powrotem na ziemię, w skotłowaną pościel, do przystani ramion tego drugiego.

Leżeli tak, spleceni ze sobą, niezdolni się ruszyć, niechętni się rozdzielać. Serca tłukły im się w piersiach, na skórze perlił się pot, dyszeli wyczerpani, tuląc się do siebie spokojnie, ostrożnie, mocno.

Czas upływał. Mięśnie się rozluźniły, nadeszło kojące zaspokojenie. Wreszcie Emily westchnęła, a Gareth okrył ich oboje i przytulił ją do swego boku, gdzie teraz sypiała, gdzie teraz było jej miejsce.

Gdzie od tej pory już zawsze będzie jej potrzebował.

Z ramieniem pod głową zapatrzył się w sufit; drugim przygarniał ją do siebie. Po chwili relaksującej ciszy zaryzykował pytanie:

– Zatem... czy to znaczy: „Tak, wyjdę za ciebie”? Uśmiechnęła się – poczuł ruch jej warg na swej piersi.

– Być może. Moja odpowiedź nadal brzmi: być może. Nie chciał o to pytać, ale...

– Dlaczego: być może?

– Ponieważ... chcę czegoś więcej.

Nie dociekał, czego chce – wiedział to. „Kocham cię”. Nie odplącił jej tym samym, ani nawet jakimś równoważnym stwierdzeniem. Powiedział jej prawdę: poczuł się oszołomiony. Zadziwiła go pewność, z jaką Emily wyrzekła owe słowa – owe nieskończenie potężne dwa słowa.

Słyszał, że kobiety takie są: mocne w tego rodzaju sprawach, pewne swych uczuć.

Mężczyźni, zwłaszcza jego pokroju...

Nawet teraz poczuł dreszcz na samą myśl o tym, że te słowa miałyby przejść mu przez gardło. Dostatecznie źle, że wiedział, iż są prawdą. Oraz że jego wewnętrzne ja, jego serce – jego dusza – już tę prawdę zaakceptowały.

Zarazem do tego, by powstrzymać się przed wypowiedzeniem owych słów, wystarczyło mu, gdy sobie przypominał, jak czuł się wcześniej tego dnia. Kiedy usłyszał, że ją porwano, poczuł się... wypatroszony. Jakby ktoś dosłownie wyrwał mu serce z piersi. Pozostała tam pustka, jakby stracił coś tak ważnego, że już nigdy nie miał zaznać ciepła ani szczęścia.

To doznanie było przenikliwe, absolutne, niezachwiane.

Jeśli coś nakazywało mu ostrożność w sprawach miłości – zniechęcało do jej głośnego wyznania – to właśnie to. Prawie nie był wtedy zdolny funkcjonować, a przecież musiał przejąć dowodzenie, by ją odbić.

Przez całe dorosłe życie był żołnierzem. Nigdy wcześniej nie czuł się słaby. Zawsze ruszał do boju nieustraszony, jak każdy dobry dowódca, jak gdyby chroniła go zbroja nie do przebicia. Dzisiaj miał wrażenie... jakby ktoś zrobił w tej zbroi dziurę dokładnie na wysokości jego serca.

To uczucie słabości nie opuściło go, dopóki znów nie trzymał jej w ramionach, dopóki nie upewnił się, że nic jej już nie grozi.

Nawet wówczas...

Zasnęła. Wsłuchiwał się w rytm jej oddechu, zdumiewając się, jak kojąco nań działa. Jak ten cichy dźwięk go uspokaja, jak jest mu bliski, znany w sposób, którego Gareth nie potrafił wytłumaczyć.

Znajdował się na krawędzi snu, kiedy coś sobie uzmysłowił.

Dzisiaj to Emily zdominowała jego myśli – nie dbał o tubę, o to, czy jest bezpieczna. Nie dbał o misję jako taką.

Przez wiele dni – tygodni – Emily zajmowała nadrzędne miejsce w jego myślach. Ona, jej bezpieczeństwo, a zwłaszcza jej szczęście.

Był człowiekiem obowiązkowym, żył wedle tej zasady.

A jednak postawił ją ponad obowiązkiem – obowiązkiem wobec przyjaciół, kraju, króla. I zawsze będzie tak robił.

I to, pomyślał, zapadając w sen, mówiło wszystko.

– Musimy uderzyć jutro, kolejna szansa już nam się nie trafi.

Akbar spojrział na swego zastępcę, a potem na dwóch innych członków kultu, którzy obserwowali drogę i dzięki temu również ocaleli. Siedzieli teraz wszyscy w zrujnowanej kuchni starego dworu.

– A co z Wujem? – spytał jeden z tych dwóch. – Przecież powinniśmy go uwolnić?

– To Wuj sprowadził na nas tę straszną klęskę. – Akbar wyrzucił w górę ramiona. – Jak wielu towarzyszy straciliśmy już w trakcie tej kampanii, i to z jego winy? – Po chwili splótł ręce na piersi i kontynuował: – Musimy pamiętać, że Czarna Kobra żąda absolutnego posłuszeństwa, a nasze rozkazy nie obejmują ratowania Wuja. Zasłużył sobie na karę naszego pana, lecz nie nam ją wymierzać, nie jutro, nie w sytuacji, gdy major nadal znajduje się po tej stronie morza, nadal nie wsiadł na statek.

– Nasze rozkazy są jasne – poparł go zastępca. – Zawsze takie były.

Akbar przytaknął.

– Musimy za wszelką cenę powstrzymać majora i odzyskać przewożoną przez niego tubę.

Tamci dwaj pokiwali głowami.

– Masz rację. Jak to zrobimy?

Dyskutowali i dyskutowali, aż wreszcie prawda stała się oczywista.

– Nie zdołamy wypełnić obu zaleceń – oświadczył zastępca. – Możemy powstrzymać majora albo odzyskać tubę, ale ponieważ jest nas tylko czterech... nie damy rady zrobić jednego i drugiego.

Akbarowi nie podobało się, że musi dokonać wyboru, lecz... Skinął głową.

– Jeśli zabijemy majora i jego kobietę. Czarna Kobra przyjmie to z zadowoleniem, a nasi bracia w Anglii będą mieli większe szanse na odzyskanie tuby.

TTLR

Rozdział 17

15 grudnia 1822, rano

Nasz pokój w oberży Perrotów

Drogi pamiętniku,

Jestem nieomal u celu. Już prawie czuję smak zwycięstwa – radość, jakiej doświadczę, gdy Gareth wreszcie, wreszcie wyzna mi, że mnie kocha. Słowami. Na głos.

Powiedział mi to minionej nocy, nie słowami, lecz czynami. Czynami, których donośnego przesłania nie dało się zrozumieć opacznie.

Zatem tak, Gareth jest moim „jedynym”, teraz i na zawsze, i tak, pobierzemy się. Podczas gdy on duma nad tym, jak dać mi owo „więcej”, którego się domagam, zanim wyrażę zgodę na nieuniknione, ja przyłapuję się na rozmyślaniach, jaki będzie nasz związek, na czym będzie polegał. Tak ogólnie. Jakiego rodzaju małżeństwa pragnę? W jakim najlepiej się odnajdziemy?

Cztery miesiące temu nie wiedziałam nawet, że można zadawać sobie takie pytania.

Ekscytuje mnie to nowe życie, jakie widzę przed sobą.

E.

Dla mieszkańców dzielnicy portowej ich wyjazd stanowił nie lada wydarzenie. Wieści się rozeszły i o wpół do dziesiątej tego ranka, kiedy Gareth i jego ludzie opuszczali gospodę, żeby zaokrętować się na statek, po obu stronach wąskich uliczek zgromadzili się uśmiechnięci gapie, klaszcząc i wiwatując.

Tłumy miejscowych gwarantowały, że żaden członek kultu nie zdoła się do nich zbliżyć.

Gareth posłał przodem bagaże, a za nimi, dwójkami i trójkami, kolejnych członków grupy. Ulicą na wprost oberży mieli dojść bezpośrednio do głównego nabrzeża, tam skręcić w lewo i przejść kawałek do jednej z pomniejszych kei. Statek kapitana Lavallo'a cumował w połowie jej długości.

Niebo zasnuwały szare chmury, ale nie zanosilo się na opady śniegu bądź deszczu, ani też na to, że znów rozpęta się sztorm. Ulice już częściowo wyschły, wiatr wiał od lądu.

Gareth i Emily opuścili oberżę jako ostatni, pożegnawszy się serdecznie z Perrotami.

Uśmiechnięci, pozdrawiając skinieniem głowy znajome osoby w tłumie, prędko szli ulicą, nabrzeżem i wreszcie keją, przy której cumował statek Lavallo'a.

Od celu dzieliło ich jakieś pięćdziesiąt kroków, gdy przystanęli na chwilę, żeby pożegnać się z grupą marynarzy. Właśnie ruszali dalej, kiedy Gareth usłyszał charakterystyczny świst.

Pchnął Emily na deski, nakrywając ją swym ciałem, jednak pierwsza strzała okazała się szybsza – zraniła ją w przedramię. Kolejna uderzyła głucho o keję obok Emily.

Dwie następne trafiły Garetha w plecy, ale już na tyle wytraciły impet, że zdołały jedynie uszkodzić skórę.

Na kei rozpętało się pandemonium. Z nieba posypało się więcej strzał, jedna nawet rozcięła Garethowi ramię, jednakże łucznicy źle ocenili swą siłę rażenia – strzały mogły zranić, ale trzeba by sporego zbiegu okoliczności, żeby kogoś zabiły. Gdy marynarze to sobie uzmysłowili, kilku chwyciło pokrywy wiklinowych koszy i podobne prowizoryczne tarcze, formując ochronny mur, by osłonić Garetha i Emily. Inni wspięli się na pokład dwóch statków, gdzie na bocianich gniazdach ulokowali się łucznicy.

Gareth pomógł Emily wstać i powiódł ją w kierunku trapu, a potem na statek. Kiedy znaleźli się na pokładzie, obejrzał się i zobaczył, że jeden z łuczników skacze z bocianiego gniazda w wody portu, podczas gdy drugiego marynarze właśnie brutalnie ściągali z masztu.

Nadszedł kapitan Lavallo. Trap już wciągnięto. – Odchodzimy. Odetchniecie od napastników... Szczęknęła stal. Lavallo okręcił się na pięcie. Gareth wyjrzał zza jego pleców i zobaczył na dziobie dwóch ociekających wodą członków kultu, którzy zajadłe siekli kindżałami uzbrojonych jedynie w noże marynarzy. Przekazał Emily w ręce Arni i Mooktu. – Opatrzcie jej ranę!

Lavallo zaklął i popędził do boju. Gareth ruszył za nim, dobywając szabli. Odczuwał mroczne zadowolenie, mogąc ulżyć buzującym w nim emocjom związanym – z faktem, że Emily została ranna, w dodatku w chwili, kiedy stał tuż przy niej.

Wtedy był bezsilny, obronił ją najlepiej, jak umiał, i nie mógł zrobić nic więcej. Teraz sytuacja się zmieniła i jeden członek kultu poniósł zasłużoną karę. Lavallo powalił drugiego.

Kiedy już Gareth wypełnił swój obowiązek – i przy okazji zaspokoił żądzę mordy – odstąpił, a marynarze zabrali się do dzieła. Gdy statek wyszedł z portu, ciała wyrzucono za burtę.

Gareth odwrócił się. Tuż za nim stała Emily. Gniewnie zajrzała mu w oczy, a potem, zaciskając usta w wąską kreskę, pociągnęła go za rękaw zdrowego ramienia.

– Chodź, opatrzę te rany.

Zmarszczył brwi.

– A co z twoją ręką?

Dotąd nie zajęła się swoim przedramieniem; w rozcięciu na jej rękawie widział cienką krwawą linię.

– To zwykle draśnięcie. – Szarpnęła go mocniej, groźnie zaciskając szczękę. – Chodź. Nie kłóć się.

Nie opierał się dłużej, gdy pociągnęła go za sobą.

– Moja to też tylko draśnięcie – powiedział.

– Mnie naprawdę drasnęli, prawie nie krwawiłam.

– To gorzej niż ja. – Zatrzymał się. – Powinnaś... Odwróciła się do niego gwałtownie.

– Masz w plecach dwie strzały! – wykrzyczała mu stłumionym głosem w twarz, wspinając się na palce. – Nie opowiadaj mi tu o draśnięciach! Obiecałeś nigdy więcej nie odnieść rany, pamiętasz?

Zapomniał o tych strzałach. Sięgnął na plecy, znalazł je i wyszarpnął z grubego materiału płaszcza, a później pokazał Emily groty.

– Widzisz? Prawie nie ma na nich krwi. Zaledwie rozcięły skórę.

Obejrzała z uwagą groty i sapnęła.

– Być może. Tak czy owak, zejdziesz teraz ze mną na dół i opatrzę ci rany.

Zajrzał jej w twarz, odnotował ton, jakim to powiedziała – zdeterminowany i bliski krzyku – po czym skinął głową, a kiedy odwróciła się i ruszyła przodem, podążył za nią pokornie do zejściówki na rufie.

Pół godziny później Gareth zamienił parę słów z Lavallem, a następnie podszedł do stojącej na rufie Emily. Przyglądała się, jak Boulogne znika za horyzontem.

Nie odezwała się, nie spojrzała na niego, a jedynie wystawiła twarz na wiatr. Westchnęła.

– To byli mili ludzie, Perrotowie i inni, mimo że Francuzi.

– Rzeczywiście – przyznał z uśmiechem. Potem spoważniał i dodał cicho: – Wątpię jednak, żebym palił się do powrotu w tamte strony, w każdym razie nie w najbliższej przyszłości.

– Hmm.

Milczeli dłuższą chwilę.

– Mam już dosyć podróży – odezwał się wreszcie półgłosem Gareth. Popatrzył na nią. – A ty?

Zajrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

– Ja też. – Znow zwróciła się ku morzu. – Mam dosyć przygód, życia w ciągłym zagrożeniu. Zwłaszcza teraz, kiedy znalazłam to, czego szukałam.

Oboje zadumali się nad tym, o czym mówiła. Mad konsekwencjami owego faktu.

Morze zrobiło się bardziej wzburzone i Gareth stanął za Emily, obejmując ją ramionami dla osłony przed smagającym wiatrem. Przyglądali się znikającej za horyzontem Boulogne, wraz z którą zostawiali za sobą przeszłość – oddalała się od nich na kilwaterze statku, oni dwoje zaś z pełną świadomością zwrócili myśli ku przyszłości. Ku wspólnemu życiu, czekającym ich wspólnym doświadczeniom.

13 grudnia 1822, po południu

Na pokładzie statku Lavallo'a, kołyszące się na wodach kanału

Drogi pamiętniku, Nadal nie powiedział mi, że mnie kocha, byłabym jednak zaiste głupia, gdybym w to wątpiła. Bardziej nawet niż czyni, o prawdziwych uczuciach Garetha świadczą jego motywacje, reakcje, które przez wiele tygodni pozostały niezachwianie takie same.

Pod tym względem nie mogę dłużej w niego wątpić, tak więc aktualne pytanie brzmi, ile jeszcze – co jeszcze – powinnam od niego uzyskać, żeby wnieść nasze małżeństwo na jak najlepszym fundamencie?

Znów rozpaczliwie brakuje mi porady moich sióstr.

Tak czy owak, wytrwam.

E.

Zmierzchało, kiedy białe klify Dover wyłoniły się z morza na ich powitanie. Gareth stał wraz z Emily na dziobie, przyglądając się, jak biała linia poszerza się i przybliża. Pozostali członkowie ich grupy znajdowali się pod pokładem, gawędząc o domu i nadziejach na przyszłość.

W jego przypadku... przyszłość musiała jeszcze trochę poczekać.

Dzięki Bogu, Emily to rozumiała. Opierała się o niego, trzymając go pod ramię.

– Wkrótce znów będziemy uciekać przed członkami kultu, prawda?

Przytaknęła.

– Widzę Anglię po raz pierwszy od siedmiu lat i... – Kiedy w milczeniu czekała na ciąg dalszy, Gareth zaczerpnął tchu i kontynuował: – Nie mogę przestać myśleć o tym, jakim jestem szczęściarzem, pomimo tych napastników i całej reszty. MacFarlane już nie zobaczy domu. Nie wiem też, gdzie są pozostali, czy zdołają się przebić.

Ścisnęła jego dłoń.

– Przecież znasz swoich przyjaciół. Widziałam ich, pamiętasz? Mają tyle samo determinacji co ty. Będą walczyć i zwyciężą. Zawsze zwyciężają, nieprawdaż?

Wargi zadrgały mu w uśmiechu. Skłonił głowę.

Spoglądając na odległy nadal ląd, zmusił się do skupienia myśli na najbliższej przyszłości.

– Czarna Kobra rychło dowie się o naszym przybyciu. A wtedy wyśle przeciw nam jeszcze większe, groźniejsze siły. Zrobi wszystko, by nas powstrzymać, by przewożony przeze mnie list nie dostał się w ręce

Wolverstone'a. – Gareth urwał na chwilę, a potem mówił dalej: – Nawet kiedy już przekażę list, nikt z nas, z całej naszej grupy, nie będzie bezpieczny. Nie, dopóki nie zostanie pokonany sam Czarna Kobra.

– Wygramy – oświadczyła, mocniej ściskając jego dłoń. – Przetrywamy, a potem...

„Być może”. Zacisnął szczękę.

– Kiedy to wszystko się skończy, porozmawiamy o tym... co dalej – rzekł.

O ich małżeństwie. Wiedział teraz ponad wszelką wątpliwość, że uczyni, cokolwiek okaże się konieczne, by zagwarantować sobie jej „tak”. Zagwarantować, że Emily pozostanie jego – jego kochanką, żoną i kimś znacznie więcej.

Powrót do domu z nią u boku był jednocześnie radością i obciążeniem. Fakt, że Gareth ją odnalazł, jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek zapragnął poślubić, że była z nim i miała z nim pozostać, stanowił spełnienie wszelkich jego fantazji na temat radosnego powrotu do domu. Zarazem jednak świadomość, że przybywając do Anglii wraz z nim, Emily będzie narażona na niebezpieczeństwo, przytłumiała tę radość, składała na barki Gareth a ciężkie brzemie i ścisnęła go za serce.

Zamknął jej dłoń w swojej i poprzysiął sobie w duchu, że cokolwiek się zdarzy, zapewni jej bezpieczeństwo. Musiał o nie zadbać, jeśli pragnął jakiegokolwiek przyszłości – bez Emily nie miałby żadnej.

Zeszli z trapu i ruszyli przez okryty całunem mgły port. Szybko zapadała noc. Otuleni ciężkimi płaszczami i ciepłymi pelerynami podążali w kierunku miasta w ślad wózkiem z bagażem.

U boku Garetha pojawił się Bister.

– Członek kultu po lewej, daleko na rogu. Widział nas. Gareth spojrzął przez wilgotny welon mgły i zobaczył

zszokowaną śniadą twarz gapiącego się na nich mężczyzny.

– Nie spodziewali się, że przedrzemy się przez ich blokadę, a to oznacza, że nie musimy się obawiać hucznego powitania tuż za węglem.

– I dobrze. – Bister zadrżał teatralnie. – Musimy się schronić przed tą wilgocią, zanim przemarzniemy do szpiku kości.

Wszyscy zdążyli zapomnieć o urokach angielskiej po gody.

Wolverstone polecił im zatrzymać się w gospodzie Pod Wodnikiem przy Castle Street. Dotarli tam bez przygód. Kiedy Gareth podał przy kontuarze swoje nazwisko, okazało się, że zarezerwowano dla nich pokoje, a konkretnie – całe pierwsze piętro jednego skrzydła.

– Zamówił je dżentelmen, co to tera czeka w barze, *sir*. – Właściciel gospody wskazał głową drzwi po prawej. – On albo jego przyjaciel zachodzą tu codziennie od tygodnia. Życzy pan sobie, cobym po niego poszedł, czy...?

– Nie ma potrzeby. – Gareth odwrócił się, by spojrzeć na stojącą obok niego Emily. – Obstawa przysłana przez Wolverstone'a, jak miemam.

Dołączyli do reszty grupy i rozdzielili pokoje. Kiedy pozostali ruszyli po schodach, doglądając wyrostków taszczących na górę ich skrzynie i torby, Gareth spojrzął pytająco na Emily.

– Chcesz iść do pokoju się przebrać czy – wskazał głową w kierunku baru – najpierw tam zajrzemy?

W odpowiedzi zwróciła się ku wejściu do baru. Razem wkroczyli przez otwarte drzwi.

Było tu sporo osób, okupujących rozsiane po sali stoliki albo boksy – pary i przyjaciele, którzy wpadli napić się czegoś na zakończenie zimowego dnia. Na kominku wesoło trzaskał ogień. Gareth przystanął tuż za progiem i

omiół spojrzeniem obecnych. Zatrzymał wzrok na szatynie, który siedział w boksie przy bocznej ścianie, usiłując czytać wiadomości w blasku płonącej w kinkiecie świecy.

Kiedy Gareth na niego patrzył, mężczyzna rzucił okiem w ich stronę – i owo leniwe zerknięcie natychmiast przekształciło się w skupione spojrzenie.

Gareth z uśmiechem pokierował Emily do boksu.

Gdy się zbliżyli, mężczyzna wolno podniósł się z miejsca. Okazało się, że dorównuje wzrostem Garethowi.

– Major Hamilton – stwierdził z taką samą pewnością, z jaką Gareth doń podszedł.

Swój rozpoznał swego. Ten mężczyzna także służył w Gwardii; nikt inny spośród gości baru nie pasował na byłego szpiega Dalziela.

– Gareth. – Gareth z uśmiechem wyciągnął rękę, – Wolverstone nie podał żadnych nazwisk.

– Nigdy tego nie robi. – Ich nowy sojusznik uścisnął dłoń Garetha, także uśmiechnięty. – Jack Warnefleet. Mam za zadanie dopilnować, byście cali i zdrowi dotrwali do końca podróży.

Gareth przedstawił Emily. Jack przywitał się z nią, a potem gestem zaprosił oboje do boksu. Gdy siadali, zapytał, czego się napiją, i poszedł po zamówienie – grzane wino dla Emily, piwo dla siebie i Garetha.

Kiedy wrócił ze szklankami, Gareth z uśmiechem łyknął piwa. Zerknął na Emily, po czym spojrzał na nowego znajomego.

– Skoro mowa o dalszej podróży...

– Oczywiście, najpierw jednak powiedzcie, czy wszystko wam tu odpowiada? Ilu macie ze sobą ludzi?

Gareth podał mu liczbę.

– Zarezerwowaliśmy wystarczająco dużo pokoi. – Jack pokiwał głową. – Nim przejdziemy do kwestii dalszej podróży, opowiedzcie, jak wam się wiodło. – Popatrzył na Emily.

A Gareth uzmysłowił sobie, że przecież nikt nie ma pojęcia, iż ona mu towarzyszy.

– Nie wiem, na ile się orientujesz, od czego zaczęło się nasze przedsięwzięcie, ale to właśnie panna Ensworth dostarczyła nam do Bombaju ów nader ważny list, zdobyty przez MacFarlane'a.

– Wspomniano mi, że zrobiła to jakaś dama. – Jack spoglądał na Emily z rosnącym szacunkiem. Uśmiechnął się czarująco. – Tym większa to dla mnie przyjemność poznać panią, panno Ensworth.

– Jak się okazało, Emily opuściła Bombaj w tym samym czasie co ja, a nasze ścieżki skrzyżowały się w Adenie. I całe szczęście, bo członkowie kultu ją również śledzili. Od tamtej pory... – Gareth krótko zrelacjonował ich podróż, ograniczając się do informacji istotnych z punktu widzenia misji.

Kiedy Jack poznał szczegóły ich niedawnych starć w Boulogne, na jego twarzy odmalowała się satysfakcja.

– Tradycyjnie nie wiem, co planuje Royce, to znaczy Wolverstone, podejrzewam jednak, że liczbę przeciwników wyeliminowanych przez ciebie w okolicach Boulogne uzna za ważne zwycięstwo. Pełnisz rolę wabika, toteż skupiając na sobie uwagę wroga i redukując jego siły wypełniłeś swoje zadanie.

– Słyszałeś cokolwiek o pozostałych kurierach? – spytał Gareth.

– Delborough jest już tutaj, dwa dni temu zszedł na ląd w Southampton. Zdaje się, że ma podróżować przez Londyn, a potem ruszyć dalej do Cambridge, do Somersham Place. O dwóch pozostałych nie mam na razie wieści.

– Jaką trasę obierzemy?

– Pierwszy przystanek to Mallingham Manor. – Jack wyszczerzy i zęby w uśmiechu. – To rodzinna posiadłość Trenthama, drugiego członka waszej obstawy. Znajduje się w Surrey, niedaleko stąd. Kiedy już was tam bezpiecznie ulokujemy, mamy oczekiwać dalszych rozkazów. – Wyprostował się. – Zrobiło się późno, a pewnie chcecie zjeść obiad i dobrze się wyspać. Jak sami widzieliście, w mieście są członkowie kultu. Niewielu, zależy nam jednak na tym, by powiadomili swego pana o waszym przybyciu. Jeśli wystarczy wam ludzi do pełnienia warty przez noc...?

Gareth przytaknął.

– Przywykliśmy do tego.

– Dobrze. W takim razie zawiozę Trenthamowi wiadomość, że dotarliście, i od razu pchniemy umyślnego do Royce'a. Jutro rano dołączymy do was obaj przy śniadaniu i wspólnie opracujemy plan działania. – Spojrzał na Emily, a potem znów na Garetha. – Jeśli tylko będziecie gotowi do dalszej drogi?

Gareth stanowczo skinął głową; kątem oka dostrzegł, że Emily zrobiła to samo.

– Będziemy – rzekł.

– Doskonale. – Jack wstał, a oni w ślad za nim. Wymienili uściski dłoni, po czym Jack machnął im obojgu na pożegnanie. – Do jutra.

Wyszedł drzwiami od ulicy. Gareth zaofiarował Emily ramię i razem poszli do pokoju.

Wuj brnął drogą, nie orientując się nawet, dokąd ona prowadzi. Zrobiło się już ciemno; musiał znaleźć jakieś schronienie, żeby przetrwać mroźną noc.

Mieszkańcy Boulogne przepędzili go z miasta. Nadal czuł się oszołomiony tym, że ośmielili się podnieść rękę na jego dostojną osobę. Udał

się do dworu, oczekując, że zastanie tam ludzi, broń i ukrytą sakiewkę z monetami, ale budynek był opuszczony. Ktoś znalazł i zabrał pieniądze.

Wuj bez zastanowienia skierował się na południe. Nie pozwalał sobie na myśli o synu; major na pewno skłamał. Jego oprawcy powiedzieli mu, że jacyś członkowie kultu zaatakowali grupę majora w porcie, lecz znów ponieśli klęskę. Zostali zabici. Czy nikt nie ocalał?

Ledwo zadał sobie to pytanie, od drzew przed nim oderwał się jakiś cień. Wuj sięgnął po nóż, lecz przecież mu go odebrano. Później rozpoznał okutanego w pelerynę mężczyznę. Rozpromienił się.

– Akbar! – Przyspieszył kroku, zawczasu snując plany. – Ilu mamy ludzi?

Akbar się nie poruszył, nie odpowiedział, dopóki Wuj nie zatrzymał się tuż przed nim, zagładając mu w twarz.

– Żadnego – rzekł wtedy.

– Wszyscy polegli? – Wuj nie potrafił uwierzyć w taką klęskę. Spojrzał przed siebie, zwięzając oczy. – Będziemy musieli przeprowić się przez kanał i dołączyć...

–Nie.

Wuj zamrugał i znów z uwagą przyjrzał się Akbarowi.

– Co rozumiesz przez „nie”?

Akbar zimno, beznamiętnie patrzył mu w oczy.

– Rozumiem przez to...

Wuj poczuł, jak stal przecina skórę, zagłębia się w ciało, wślizguje między żebra...

– Czekałem na ciebie, starcze, jedynie w tym celu, by ci powiedzieć, że to – Akbar z okrutnym uśmiechem wepchnął nóż aż po rękojeść – jest ostatni czyn, jakiego dokonuję w imię Czarnej Kobry.

Akbar wyrwał nóż i odstąpił. Przyglądał się, jak Wuj osuwa się na ziemię.

– Ku chwale Czarnej Kobry.

Dla Garetha i Emily ten wieczór oznaczał powrót do angielskich zwyczajów, które z odprężeniem rozpoznawali i do których na nowo się dostosowywali. Obyczaj raz jeszcze wymusił na nich spożycie obiadu w oddzieleniu od reszty grupy, w prywatnym saloniku. Najwięcej zabawy mieli przy ponownym zaznajamianiu się z angielskim jadłospisem.

Potem, ustalwszy kolejność wart, wszyscy udali się na spoczynek, szczęśliwi, że wreszcie znaleźli się wśród swoich.

Znacznie później, niedługo po północy, Gareth wyslizgnął się z pościeli, ubrał po cichu i wyszedł objąć wartę.

Od pół godziny siedział w gęstym mroku na podeście schodów, z nogami na stopniach poniżej, kiedy w głębi korytarza rozległ się jakiś dźwięk. Obejrzał się. To Emily zamknęła drzwi ich wspólnej sypialni. Podeszła do Garetha w narzuconej na koszulę nocną pelerynie i rannych pantoflach. Bez słowa usiadła obok niego, na najwyższym stopniu schodów, i przytuliła się. Objął ją ramieniem. Wsparła się o niego głową i tak siedzieli.

Otaczała ich nocna cisza. W powietrzu nie wyczuwało się niebezpieczeństwa.

– Pojechałam do Indii, żeby znaleźć inny typ dżentelmena – odezwała się cicho, prawie że szeptem, wpatrzona w mrok na dole. – Mam dwadzieścia cztery lata. Bardzo długo szukałam męża, tego się bowiem oczekuje od młodych dam o mojej pozycji, lecz nie napotkałam ani jednego mężczyzny, który by przyciągnął moją uwagę, pozostał w moich myślach po tym, jak zniknął mi z oczu.

Gareth ani drgnął. Nie przerywał jej.

– Uznano mnie za wybredną, całkiem słusznie. Jednak rodzina mnie rozumiała, dlatego też, kiedy mojego stryja wysłano do Indii, rodzice zasugerowali, żebym złożyła mu wizytę i dzięki temu poznała szersze grono mężczyzn. Być może dżentelmena innego niż ci, których spotykałam dotąd. – Skinęła głową w kierunku ich pokoju. – Rozmyślałam właśnie, przypominałam sobie, jaką miałam wizję, wyruszając do Bombaju. Jaki cel chciałam osiągnąć, czego poszukiwałam. Dobrze wtedy wiedziałam, że szukam mężczyzny, z którym będę mogła dzielić życie. Nie moje życie, nie jego życie, ale nasze wspólne życie. Takie, które my, razem, stworzymy dla nas dwojga. – Urwała na chwilę, po czym kontynuowała: – Kiedy już to sobie przypomniałam, odkryłam, że nic się nie zmieniło. Nadal chcę właśnie tego. – Zajrzała mu w oczy. – Tego chcę z tobą.

W ciemności nie potrafił nic wyczytać z jej spojrzenia, lecz mimo to na nią patrzył. I czuł, jak w nim samym formują się słowa, jak czekają, by opuścić jego usta – odpowiedź, której nie przemyślał, nie ocenzurował, która po prostu się pojawiła. Po prostu była.

– Mój dom... cóż, nie posiadam niczego takiego. Moja rodzina nie przypominała twojej. Nie mam ciepłych wspomnień o braciach i siostrach, żadnych doświadczeń związanych z posiadaniem licznej rodziny. Byłem sam. Aż do niedawna, dopóki nie spotkałem ciebie, zawsze byłem sam. Kiedy złożyłem rezygnację i zwróciłem myśli ku powrotowi do Anglii, nie sięgałem nimi dalej aniżeli do końca misji. Nie widziałem żadnej przyszłości, w tym miejscu ziała pustka. Nie miałem żadnego planu, żadnych pomysłów, choćby zarysu jakiejś koncepcji. Aż do niedawna, do spotkania ciebie, moja przyszłość nie istniała.

A teraz?

Ciągle na niego patrzyła. Nie wyrzekła tych słów, lecz usłyszeli je oboje.

Zaczerpnął tchu i rzucił się na głęboką wodę.

– Gdzie wolałabyś mieszkać? W pobliżu rodzinnego domu czy w mieście? – Nim zdążyła spytać, dodał: – Mnie to obojętne. – *Bylebyś ty mieszkała ze mną.*

Wolno skinęła głową, jakby usłyszała to niewypowiedziane zdanie.

– Nie w mieście. Niedaleko domu moich rodziców, ale też nie nazbyt blisko. W jednym z okolicznych hrabstw, tak żeby łatwo było ich odwiedzać.

Przytaknął.

– Wieś czy miasteczko?

– Wieś – odparła z uśmiechem. – Ale w pobliżu miasta z placem targowym.

– Dwór czy pałacyk?

– Mogę wybrać? – Emily otworzyła szeroko oczy. Schwycił jej spojrzenie w pułapkę.

– Możesz wybrać, cokolwiek zechcesz. Czegokolwiek pragniesz. To nasza przyszłość. Na coś musimy się zdecydować, a jako że ja dotąd widziałem w tym miejscu czystą kartę...

Moment wcześniej wstrzymała oddech i teraz z trudem zaczerpnęła powietrza.

– Wobec tego dwór, otoczony zarośniętymi ogrodami, w jakich uwielbiają się bawić dzieci.

– Dzieci?

Przytaknęła.

– Mnóstwo.

To go przystopowało. Przez długą chwilę wpatrywał się w nią w ciemności, zanim wreszcie skinął głową.

– Dobrze.

Nie rzekł nic więcej, o nic więcej nie pytał, lecz po prostu przygarnął ją do siebie, opierając podbródek na jej głowie.

Przez jakiś czas siedzieli wsłuchani w nocną ciszę.

– To początek – odezwał się w końcu półgłosem Gareth. – Zaczęłaś zamalowywać moją czystą kartę. Kiedy ta misja się zakończy...

– Kiedy ta misja się zakończy – zmieniła pozycję w jego ramionach, żeby zajrzeć mu w oczy – wspólnie dokończymy malowanie.

Delikatnie pocałowała go w usta i na powrót ułożyła się w jego objęciach.

Trwali tak do końca jego warty.

14 grudnia 1822, rano

Nasz pokój w gospodzie Pod Wodnikiem, Dover

Drogi pamiętniku,

Gdyby minionej nocy Gareth poprosił, żebym za niego wyszła, zgodziłabym się, nie oglądając się na nic. Mamy, dosłownie, tę samą wizję przyszłości. Czegóż jeszcze może pragnąć kobieta?

Wiem, że mnie kocha (pokazał mi, że tak jest, więcej razy, aniżeli umiem zliczyć, i zresztą wciąż to robi), a choć nadal chciałabym usłyszeć owe słowa, płynące z serca wyznanie, zaczynam się wahać, czy ma to istotne znaczenie. A przynajmniej, czy tak istotne jak wcześniej.

Kiedy zastanawiam się nad tym, co jest dla mnie w małżeństwie najważniejsze, na szczycie tej listy musi się znaleźć świadomość, że należę do niego, a on do mnie.

O tym zaś, drogi pamiętniku, jestem przekonana do głębi duszy.

Cokolwiek zdarzy się w nadchodzących dniach, Gareth Hamilton, mój „jedyne”, już mi się nie wymknie.

E.

– Royce chce, żebyśmy zwabili i wyeliminowali jak najwięcej członków kultu, ale, co najważniejsze, na ściśle określonym terenie. – Tristan Wemyss, hrabia Trentham, spojrzął na Garetha, kiedy wspólnie jedli śniadanie. – A konkretnie, na obszarze między Chelmsfordem a jego rezydencją w Elveden, na północ od Bury St. Edmunds.

Gareth pokiwał głową.

– Mamy zatem udawać zajęce, żeby skusić lisa, czyli w tym wypadku ludzi Czarnej Kobry.

– Oraz – Jack podniósł palec – jeśli to możliwe, samego Kobrę. Ferrar zna tamte okolice, jego ojciec ma dom w Norfolk.

Zgodnie z obietnicą, Jack wrócił rankiem i przyprowadził ze sobą Tristana. Po dokonaniu prezentacji zasiedli we czworo do obfitego i urozmaiconego śniadania. Mężczyźni pałaszowali z entuzjazmem.

Emily przeniosła wzrok z Jacka na Tristana, a potem na Garetha i w duchu pokręciła głową. Pomijając oczywiste fizyczne podobieństwo wynikające z faktu, że służyli niegdyś w Gwardii, wszystkich trzech cechowała zadziorna postawa wobec kultu, jakby nie mogli się doczekać starcia.

– Niestety – ciągnął Tristan – Royce chce, żebyśmy na razie wstrzymali się z podróżą na północ. Chwilowo macie zniknąć, usunąć się wrogowi z oczu.

– Jak? – Gareth uniósł brwi.

– Mamy przenieść całą waszą grupę do Mallingham Manor. – Jack uśmiechnął się drapieżnie. – W taki sposób, żeby was tam nie wyśledzono.

– Jakkolwiek nie zawsze okazują się dobrymi wojownikami, niepokojąco skutecznie tropią i namierzają – stwierdził Gareth, krzywiąc się sceptycznie.

Tristan uśmiechnął się równie drapieżnie jak Jack. Wskazał głową przyjaciela.

– Podobnie jak my. A gdy już kogoś namierzemy, eliminujemy go.

– Rozumiem – rzekł Gareth, unosząc brwi. Wsunął do ust ostatni kęs umoczonego w sosie chleba, przeżuł, przełknął i skinął głową. – W porządku. Jak zatem to zrobimy?

14 grudnia 1822, wczesny wieczór

Nasz pokój w gospodzie w Dover

Drogi pamiętniku,

Muszę się przebrać do kolacji (po raz pierwszy od dawien dawna), lecz korzystam z tych kilku chwil, żeby zanotować najistotniejsze osobiste refleksje, jakie mi się nasuwają w związku z przenosinami do Mallingham Manor.

Przede wszystkim, nie jesteśmy już osamotnieni w walce przeciw siłom tego nikczemnika. Trentham i Warnefleet niezaprzeczalnie znają się na rzeczy – przypominają pod tym względem Garetha. Wzmocniona o tych dwóch mężczyzn nasza grupa stała się prawie nie do zwyciężenia. To dla mnie ogromna ulga.

Jeszcze bardziej pokrzepiła mnie uzyskana od Trenthama informacja, że w jego rezydencji są kobiety, nie tylko żony jego i Jacka, lecz także starsze ciotki, kuzynki i inne osoby na jego utrzymaniu. Wszystko wskazuje więc na to, że po raz pierwszy od rozstania z ciocią Selmą w Punie dane mi będzie porozmawiać z damami, dzięki czemu być może zyskam lepsze pojęcie o tym, jak wygląda życie i małżeństwo z mężczyzną pokroju Garetha. Z chęcią skorzystam z takiego dobrodziejstwa. Nigdy nie należy zatykać uszu na rady osób o większym doświadczeniu.

Ponadto czuję się podniesiona na duchu, gdyż narasta we mnie pewność, że misja Garetha (utrudniona z racji tego, że przypadła mu rola wabika)

zakończy się sukcesem na tyle znaczącym, by go usatysfakcjonować, dzięki czemu, kiedy już będzie po wszystkim, Gareth zdoła zostawić niedawną przeszłość za sobą i całym sercem skupi się na budowaniu naszej wspólnej przyszłości. Wiem, że śmierć MacFarlane'a głęboko go dotknęła i tylko sukces tej misji może przynieść mu ukojenie, pozwalając zostawić za sobą tę ostatnią część przeszłości.

Właśnie po raz kolejny westchnęłam ze szczęścia i ulgi. Po niezliczonych dniach pełnych trwogi i napięcia niesamowicie jest wypatrywać jutra wyłącznie z niecierpliwością i zaciekawieniem.

Mój nastrój psuje jedynie mgliste, acz dręczące poczucie, że Gareth w jakimś sensie nadal ma wątpliwości. Nie co do mnie, nie co do naszej przyszłości, lecz w kwestii czegoś między nami. Nie potrafię sprecyzować, w czym rzecz, lecz dojdę do tego.

Teraz jednak muszę wreszcie się przebrać!

E.

Ich przenosiny do Mallingham Manor dokonały się w trzech etapach ponurym, szarym, zimnym rankiem. Przynajmniej nie padało. O dziesiątej Mullins, Dorcas i Watson odjechali należącym do gospody gigiem, jakby wybierali się z wizytą gdzieś na wieś, na zachód od Dover. Dwadzieścia minut później Mooktu, Arnia i Jimmy wyruszyli na północ wozem wyładowanym wszystkimi torbami i kuframi. Po kolejnej półgodzinie Gareth, Emily i Bister w drugim gigu skierowali się na drogę do Londynu.

Obecni w Dover członkowie kultu, którzy z trudem się zreorganizowali, zaskoczeni ich przybyciem, teraz musieli zrobić to ponownie. Niemniej dwóm mężczyznom udało się ruszyć w ślad za pierwszym gigiem, kolejny podążył za wozem z bagażami, a czwarty śledził gig Garetha.

Tristan i Jack obserwowali, a potem działali. Powożący – Mullins, Mooktu i Gareth – zostali poinstruowani, żeby nie jechali zbyt szybko i po jakimś czasie zmienili kierunek podróży. Ostatecznie, po postoju na lunch, wszyscy mieli wjechać na pewne wzgórze w hrabstwie Surrey, niedaleko Mallingham Manor.

Tristan i Jack, na dobrych koniach, usunęli członków kultu, a następnie popędzili ku wspomnianemu wzgórzu. Wczesnym popołudniem, kiedy powożony przez Mullinsa gig wspiął się rozległym, nagim zboczem, obaj byli już na miejscu, ze szczytu wzniesienia lustrując okolicę. Rozciągał się stąd doskonały widok na wszystkie strony świata.

Kiedy godzinę później również Gareth wstrzymał wreszcie konie na szczycie wzgórza, Tristan i Jack wyprowadzili swoje wierzchowce z zagajnika. Na twarzach obu mężczyzn malowała się głęboka satysfakcja.

– Prosto i pierwsza w prawo. – Tristan wskazał majaczące na horyzoncie skupisko starych, potężnych drzew.

– Mallingham Manor stoi w tamtym parku, znikąd go nie widać, tak więc kiedy już wjedziecie między drzewa, nikt was nie wypatrzy. Pozostali was wyprzedzają. Jack i ja poczekamy tutaj chwilę, na wszelki wypadek, nim za wami podążymy.

Gareth skinął głową, a potem spojrzał na Jacka.

–Ilu?

– Dorwałem dwóch. – Jack zerknął na Tristana.

– A on dwóch kolejnych. W sam raz, żeby zaostrzyć nam apetyty, nie sądzę jednak, by napatoczyli się następni, zatem wkrótce was dogonimy.

Gareth przytaknął, trzasnął lejcami i gig potoczył się dalej.

Rzeczywiście, zatrzymali się na dziedzińcu stajennym za domem i zstąpili na plac pełen stajennych, służby oraz kobiet, dwóch młodszych i wielu

starszych, z których wszystkie coś mówiły lub wykrzykiwały, kiedy nadjechali Tristan i Jack.

Gdy oni dwaj zsiadali z koni i przekazywali je stajennym, jedna z młodszych pań, dostojna, pewna siebie, ciemnowłosa dama, podeszła do Garetha i Emily.

– Witajcie. Jestem Leonora, żona Tristana. – Z pięknym uśmiechem wymieniła z nimi uściski dłoni. – Rade was widzimy, także i dlatego, że ci dwaj – wskazała głową Jacka i Tristana – przez ostatni tydzień siedzieli jak na szpilkach, oczekując waszego przybycia.

– W istocie. – Druga dostojna dama, wyższa od towarzyszki, cokolwiek majestatyczna i władcza w obejściu, o włosach barwy mahoni, dołączyła do nich, wyciągając rękę. – Jestem Clarice, żona Jacka. Przypuszczam, że macie sporo do opowiedzenia. Wejdźcie do środka, zrelacjonujecie nam swoje przygody.

Te słowa okazały się prorocze. Emily zdążyła zaledwie przedstawić się i uścisnąć palce Clarice, kiedy ona i Gareth zostali porwani przez falę starszych dam pod wodzą wiekowych ciotek Tristana, lady Hermione Wemyss i lady Hortense Wemyss. Wprowadzono ich do wielkiego domu i ulokowano w przestronnej, długiej rodzinnej bawialni, która ewidentnie stanowiła królestwo staruszek.

– Obawiam się – Leonora nachyliła się ku Emily, kiedy usiadły obok siebie na jednym z licznych szezlongów że najlepiej, a w każdym razie najprościej będzie spełnić ich zachcianki. Nie mają złych intencji. Jeśli jakieś pytanie okaże się dla ciebie zbyt kłopotliwe, popatrz na mnie albo Clarice, a my cię uratujemy. – Z uśmiechem spojrzała na Garetha. – Pan, majorze, również może bez skrupowania wzywać nas na pomoc. Gareth skłonił głowę.

– Proszę mi mówić Gareth.

Kiedy wszystkie kobiety usiadły, zajął miejsce w fotelu obok szezlonga. Emily rozejrzała się po pokoju. – Jack i Tristan? – spytała.

– Uciekli. – Clarice posłała jej uśmiech z fotela naprzeciw.

– Nie potrzebujemy ich. – Lady Hortense zbyła obu dżentelmenów aroganckim machnięciem ręki. Utkwiła wiekowe, lecz nadal bystre oczy w Emily i Garethcie. – To o was chcemy się czegoś dowiedzieć, a jesteśmy za stare na to, by tracić czas na subtelności. Zatem, jak to się w ogóle stało, że znaleźliście się w Indiach?

Starsze damy okazały się uparte, zdeterminowane i szokująco bezpośrednie, a przy tym szczerze nimi zainteresowane i bez wątpienia bystre. Łącznie było ich czternaście, w tym gronie Ethelreda, Millie i Flora. Wszystkie miały pytania, zaś wobec tak wielu umysłów skupionych na realizacji tego samego zadania, z Emily i Garetha wyciśnięto, a następnie poddano analizie i skomentowano każdy, najdrobniejszy nawet szczegół.

Powinno ich to wytrącić z równowagi i odstręczyć, jednakże starsze damy emanowały taką sympatią i zrozumieniem, że owo przesłuchanie bardziej przypominało spowiedź z rozgrzeszeniem.

Nieomal egzorcyzm.

Emily odkryła, że coraz swobodniej reaguje na pytania. Podejrzewała, że również Gareth ujawnił więcej, niżby się tego po sobie spodziewał – uległ naciskom dam bardziej, aniżeli by mu to odpowiadało. W każdym razie, kiedy pół godziny później, korzystając z faktu, że uwagę pań na moment odwrócił wózek z herbatą, do bawialni zajrzeli Jack i Tristan, Gareth prędko salwował się ucieczką.

Clarice pochwyciła spojrzenie Emily i uniosła brew.

Emily uśmiechnęła się i ledwie zauważalnie pokręciła głową. Przyjęła filiżankę prawdziwej angielskiej herbaty oraz talerz z prawdziwymi

babeczkami, powidłami śliwkowymi i świeżą śmietaną, usiadła wygodniej na szeszlunku i odwróciła się, żeby odpowiedzieć na kolejne pytanie Ethelredy.

Za oknami bawialni zapadł zmierzch. Zaciągnięto story, dorzucono do ognia, a przesłuchanie wreszcie się skończyło.

– No cóż – oznajmiła Hermione – ty i major z pewnością wiele razem przeszliście, przeżywając wzloty i upadki. Kiedy usłyszymy bicie weselnych dzwonów?

– Ciociu! – Leonora srogim spojrzeniem usiłowała przywołać do porządku swoją krewną–skandalistkę.

Ta prychnęła i lekceważąco machnęła ręką.

– Jasne jak słońce, w jakim zacierają kierunku. Zresztą, widzisz? – Hermione skinęła ku Emily. – Nie zaprzecza. – Nachyliła się i przyjrzała jej się z uwagą. – W rzeczy samej, nawet się nie rumieni.

Emily uzmysłowiła sobie, że istotnie tak jest. Prawdę mówiąc, nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Zerknęła na Leonorę.

– Nic nie szkodzi. – Popatrzyła znów na Hermione i pozostałe starsze damy, niecierpliwie wyczekujące odpowiedzi. – Jeszcze nie ustaliliśmy daty. Nadal omawiamy przeróżne szczegóły, jak to pewnie zwykle się praktykuje.

– Zuch dziewczyna! – Hortense z aprobatą pokiwała głową. – Uzgodnij najważniejsze kwestie, zanim oddasz mu swoją rękę.

Przez dom przetoczył się głośny dźwięk gongu.

– Czas przebrać się do kolacji – obwieściła Leonora.

Starsze damy wyprostowały się w fotelach, zebrały długie szale oraz chustki i chwyciły gałki lasek, żeby wesprzeć się na nich przy wstawaniu. Leonora stanęła obok Emily.

– W samą porę – odezwała się cicho – bo zaczęłyby udzielać ci rad, jak przetrwać noc poślubną.

Clarice zachichotała, dołączając do nich.

– Ciekawi mnie, co miałyby na ten temat do powiedzenia.

Również Emily była tego ciekawa.

One trzy podążyły za starszymi damami po schodach, w razie potrzeby służąc im pomocą. Na piętrze starsze panie rozeszły się do swoich pokoi pod dyskretnym nadzorem Clarice, a Leonora poprowadziła Emily do pięknej sypialni z widokiem na park. Dorcas już tam była, szykując jedną z nielicznych sukni wieczorowych Emily.

Obok kominka zaś – cóż na rozkosz – stała balia z parującą wodą.

Leonora roześmiała się na widok zachwytu na twarzy Emily.

– Nie spiesz się, poczekamy na ciebie z obiadem. – Pochwyciła wzrok Emily. – A jeśli będziesz czegoś potrzebować, czegokolwiek, proś bez wahania.

W jej niebieskich oczach Emily wyczytała potwierdzenie szczerości i uniwersalności tych słów i poczuła, że między nią a Leonorą rodzi się więź, jaka dotąd łączyła ją tylko z siostrami.

– Dziękuję – odparła i szczerze zapewniła: – Tak zrobię.

Leonora uśmiechnęła się promiennie. Uścisnęła jej rękę.

– Dobrze. Zostawię cię teraz.

Kolacja w gronie czternastu starszych dam oraz dwóch par okazała się miłym i odprężającym doświadczeniem. Emily czuła, jak wyparowuje z niej napięcie, w ostatnich tygodniach tak niezmiennie uporczywe, że aż do niego przywykła.

Choć, w przeciwieństwie do niej, Gareth nie nawykł do tego rodzaju ożywionych – żeby nie rzec: sprośnych – zdominowanych przez kobiety dyskusji, ani też do pełnej ciepła i wsparcia atmosfery, również i on opuścił

gardę. Musiał wręcz przypominać sobie o tym, że członkowie kultu nadal kręcą się po okolicy i nie da się wykluczyć, że ich tu odnajdą.

Kiedy zorientował się, że damy nie zamierzają opuścić dżentelmenów, by ci mogli w samotności uraczyć się portem i brandy, lecz przeciwnie, planują uczestniczyć w konsumpcji rzeczonych trunków, cicho napomknął Tristanowi o konieczności rozstawienia na noc wart.

Usłyszała to usadowiona między nimi lady Hermione.

– Och, proszę nie zawracać sobie tym głowy, ani swoim ludziom – oznajmiła. – Z chęcią będziemy pełniły wartę.

Nim Gareth zdążył choćby zamrunąć ze zdumienia, inne damy poparły koncept. Chwilę później rozdzielały między siebie pory czuwania.

Oszołomiony, spojrział na Tristana, ten zaś odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Bez obaw, zajmą się tym i biada członkowi kultu, który spróbuje się tu wślizgnąć.

Siedząca naprzeciw Garetha lady Hortense dostrzegła jego sceptycyzm.

– Trentham dobrze mówi – oświadczyła. – W naszym wieku tak czy owak potrzebujemy niewiele snu, a ponadto będziemy mieć Henriette i Clithertoe'a jako wsparcie. W razie czego podniosą alarm.

Gareth popatrzył na Clithertoe'a, podstarzałego kamerdynera. Ten ukłonił się lady Hortense.

– Jak pani sobie życzy, *milady*.

– Henrietta to wilczarz Leonory – wyjaśnił siedzący dalej Jack. – Poznała już waszych ludzi, wy jeszcze jej nie widzieliście.

– W nocy pilnuje domu – dodała Leonora. – Jest bardzo opiekuńcza.

– Mówiąc bez ogródek – wtrącił Tristan – pokiereszuje każdego, kto spróbuje się włamać do domu.

Później, kiedy towarzystwo przeniosło się do salonu, zawołano Henriette i przedstawiono ją Garethowi i Emily. Wtedy też Gareth porzucił wszelkie obiekcje co do ustaleń starszych dam. Gdy usiadł, kosmaty łeb Henrietty oraz jej wielce imponujące szczęki znalazły się na wysokości jego głowy.

Jakiś czas potem, kiedy już Gareth, Tristan i Jack upewnili się, że parter jest zabezpieczony, a pełniące pierwszą wartę Ethelreda, Edith i Flora radośnie usadowiły się przy kominku w holu, z warującą u ich stóp Henrietta, oni trzej ruszyli po schodach na piętro.

– Upłynęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni nie towarzyszyło mi poczucie, że naszej grupie coś grozi – przyznał Gareth. – Trudno mi się do tego przyzwyczaić.

Jack sapnął.

– Trwało ponad rok, zanim przestałem sprawdzać każdą osobę w każdym pomieszczeniu, do którego wchodziłem. Spuścizna po działalności szpiega.

– Co najmniej rok – przytaknął mu Tristan. – Coś w środku ci mówi, że nadal musisz się mieć na baczności. Trzeba czasu, żeby ten przymus stracił na sile.

– Zwłaszcza gdy wokół są damy. – Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu, zasalutował zawadiacko i odszedł korytarzem.

Gareth z uśmiechem pożegnał się z Tristanem i ruszył galerią do swego pokoju. Pokój Emily znajdował się tuż obok, nader praktycznie łącząc się z sypialnią Garetha wewnętrznymi drzwiami.

Dziesięć minut później, ubrany tylko w płaszcz kąpielowy, Gareth sprawdził te drzwi, odkrył, że nie są zamknięte na zamek, i wszedł do jej sypialni. Emily leżała już w łóżku, ale nie spała. Nie zaciągnęła stor; blask

księżycyca sączył się przez okna, a na podłodze i ścianach tańczyły cienie, kiedy wiatr kołysał nagimi gałęziami drzew.

Gareth odłożył na bok płaszcz kąpielowy i wsunął się między prześcieradła. Usłyszał stłumiony chichot Emily, kiedy, jak zwykle, materac się ugiął i przetoczyła się ku niemu. Złapał ją i przygarnął do siebie, obejmując ramionami.

– O czym myślałaś? – *Leżąc tak tutaj w ciemności.* Umościła głowę na jego ramieniu.

– O tym domu, jego mieszkańcach, wszystkich tych starszych paniach. To takie angielskie, takie kojące. Teraz, po powrocie do kraju, mam wrażenie, że muszę się na nowo nauczyć, przypomnieć sobie, co najbardziej tu lubię i cenię.

– Ach tak?

W tych dwóch słowach skomasowało się tyle ostrożności, że Emily uniosła się na łokciu, żeby zajrzeć mu w twarz.

– Myślałam o relacjach między ludźmi. O rodzinnej atmosferze i komforcie.

– Rozumiem. – W ciemności usiłował wyczytać coś z jej oczu. – Czyli nie rewidujesz poglądów na temat tego, co ci się podoba w mężczyznach?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Aczkolwiek... – Pochyliła się nad nim, niemalże dotykając wargami jego ust. – Być może powinnam na nowo przeanalizować wszystkie rzeczy, które lubię w tobie, jedynie po to, by się upewnić, że po powrocie tutaj nadal odpowiadają moim standardom.

Jego tors zatrząsł się pod nią, kiedy Gareth się roześmiał. Nadal uśmiechnięta, pocałowała go.

I przystąpiła do przeprowadzania szczegółowego remanentu, dostarczając im obojgu wielkiej satysfakcji.

W prywatnym saloniku niewielkiej gospody trzy kilometry dalej Roderick Ferrar skończył przeklinać i pociągnął spory łyk francuskiej brandy, którą gospodarz zdołał skądś wygrzebać. Spojrzał na bursztynowy trunek w szklaneczce.

– Ta brandy to jedyna dobra wiadomość dzisiaj – oznajmił i ciężko odchylił się na oparcie jednego z dwóch foteli, przyciągniętych do okrągłego stolika na środku pokoju.

Rozparty w drugim fotelu Daniel Thurgood wzruszył ramionami.

– Mogło być gorzej. Nie znamy wprawdzie dokładnego miejsca pobytu Hamiltona, wiemy jednak, że ukrył się gdzieś w tej okolicy oraz że, jak wykazał Alex, kurierzy prawdopodobnie kierują się do jakiegoś celu w Norfolk. Nasi obserwatorzy przy drogach stąd do Norfolk podejmą śledzenie Hamiltona i jego towarzyszy, kiedy tylko ci się ruszą. Mamy więcej ludzi niż trzeba, żeby zostawić tu pokazną grupę, która zajdzie ich od tyłu w chwili, gdy będą przekraczać Tamizę.

Daniel przyglądał się, jak Roderick marszczy brwi, nadal wpatrzony w brandy w szklaneczce. Czekał.

Oni trzej – Daniel, Roderick i Alex – potomkowie arystokratycznego rodu Shrewtonów, synowie obecnego hrabiego, przed kilku laty odszukali się nawzajem. Za sprawą wspólnego ojca lubili i cenili to samo, pożąдали tego samego – głównie pieniędzy i władzy. Władzy nad innymi, władzy, którą mogliby sprawować z dowolnym okrucieństwem, w zależności od kaprysu.

Kiedy Roderick objął stanowisko w Bombaju, Daniel i Alex pojechali za nim. Wszystkim trzem bardzo przypadły do gustu oferowane przez subkontynent możliwości.

Stworzyli kult Czarnej Kobry i opływali w dostatki.

Dopóki w ręce grupy oficerów oddelegowanych do tego, by zidentyfikowali i zdemaskowali przywódcę kultu Czarnej Kobry, nie wpadł pewien zbłąkany list, napisany w imieniu kultu i podpisany charakterystycznym dla niego symbolem, lecz wskutek pechowego zbiegu okoliczności zapieczętowany przez Rodericka przy użyciu rodowego sygnetu z tłokiem, którego nigdy nie zdejmował z małego palca.

Ci czterej oficerowie oraz ich przyjaciele wiedzieli zatem, że Czarna Kobra to Roderick. Nie wiedzieli natomiast – nie wiedział tego nikt z wyjątkiem najwyższych rangą członków kultu – że oprócz Rodericka organizacja ma jeszcze dwóch innych przywódców. Niemniej, jeśli chcieli zachować władzę zdobytą przez Czarną Kobrę, Daniel i Alex potrzebowali Rodericka.

Niestety, wieść o liście i związanym z nim zagrożeniu dotarła do nich zbyt późno, by zdążyli dopaść czterech oficerów, zanim ci opuścili Bombaj, wyruszając w drogę do Anglii. Do tego, żeby z sukcesem postawić w stan oskarżenia Rodericka, hołubionego syna hrabiego Shrewtona – sprytnego arystokraty i polityka, niezastąpionego sprzymierzeńca samego Księciunia – potrzeba było właśnie takiego dowodu jak ów list z jego demaskującą pieczęcią.

Owo zagrożenie – oryginał listu – znajdowało się w rękach jednego z czterech oficerów. Pozostali pełnili rolę wabików. Który z kurierów przewoził oryginał, tego trzech przywódcy Czarnej Kobry nie wiedzieli, podobnie jak nie odkryli jeszcze, kto w Anglii podjął się wyzwania, by przedłożyć rzeczony dowód sądowi oraz Izbie Lordów.

Dlatego też posłali szeregowych członków kultu i zabójców śladem czterech oficerów, sami zaś wrócili do Anglii, gromadząc pokaźne siły fanatycznych wyznawców. Los się do nich uśmiechnął, wiatry im sprzyjały,

tak że zdołali wyprzedzić czterech kurierów i przyczaili się, by zgarnąć ich jednego po drugim, kiedy pokażą się w Anglii, i tym samym zlikwidować ryzyko demaskacji.

Pułkownik Derek Delborough, najstarszy rangą z tego grona, cztery dni temu zszedł na ląd w Southampton. Podjęta od razu próba zabójstwa została pechowo udaremniona i pułkownik dotarł do Londynu. Nie przekazał jednak dotąd nikomu przewożonego przez siebie listu, kopii bądź oryginału, im trzem zaś udało się umieścić wśród jego ludzi złodzieja. W ten lub inny sposób wkrótce zdobędą list pułkownika.

Załatwiwszy przynajmniej tę sprawę, Daniel i Roderick pojechali konno do Dover, dowiedzieli się bowiem, że pojawił się tam Hamilton. Ich pierwotny plan zakładał, że Hamilton w ogóle nie przeprawi się przez Kanał, najwyraźniej jednak zawiódł dowodzący pościgiem za nim starszy rangą członek kultu.

Nim wszakże Daniel i Roderick dotarli do Dover, grupa Hamiltona rozdzieliła się i opuściła miasto. Przywódca oddelegowanych tam członków kultu wyznaczył ludzi do śledzenia każdego z trzech pojazdów, ale wszyscy czterej tropiciele zniknęli. Na szczęście, na angielskiej wsi Hindusi w czarnych turbanach rzucali się w oczy. Nie było trudno wyśledzić tropicieli, lecz trzy tropy urywały się tajemniczo niedaleko gospody, którą Roderick zaszczycał właśnie swą obecnością.

Roderick obracał w dłoniach szklaneczkę, ponuro wpatrując się w brandy.

– Jeśli będziemy siedzieć i czekać, aż Hamilton się pokaże, kto wie, czy nie utkniemy tu na wiele dni – odezwał się. – Być może tego właśnie chcą: żebyśmy skupili się na nim i przeoczyli przybycie dwóch kolejnych kurierów.

– Bardzo prawdopodobne. – Daniel osuszył swoją szklaneczkę. – Rozstawiliśmy wzdłuż tutejszych dróg wystarczająco wielu ludzi, by mieć pewność, że dowiemy się, jeśli Hamilton wychynie z ukrycia i podąży na północ bądź gdziekolwiek indziej. Jeżeli wyruszymy teraz, możemy jechać przez całą noc i dogonić Aleksa. Zobaczmy, czy Creighton znalazł nam nową bazę w Bury.

Tego ranka za pośrednictwem Larkinsa, osobistego lokaja Rodericka i jego prawej ręki, uzyskali informację, że Delborough kieruje się do Cambridgeshire, znajdzie się więc w pobliżu rozsiansych po hrabstwie Norfolk rezydencji, w których wielu możnych i wpływowych ludzi spędzało święta Bożego Narodzenia. Alex, z nich trzech najlepszy taktyk, zdecydował, że powinni przenieść bazę z londyńskiego Shrewton House w inną lokalizację, skąd łatwiej im będzie przechwytywać kurierów.

Creighton, człowiek Daniela, zasugerował, by poszukać odpowiedniego domu w Bury St. Edmunds. Alex przystał na tę propozycję. Podczas gdy Roderick i Daniel pojechali na południe, zająć się Hamiltonem, Creighton udał się do Bury, Alex zaś pozostał w Londynie, żeby zorganizować przenosiny.

– Muszę też sprawdzić, co u Larkinsa. – Roderick wychylił ostatni łyk brandy. – Chcę być na miejscu, gdy ten mały złodziej będzie mu przekazywał list Delborougha.

– Pochwycił spojrzenie Daniela. – Jako że na razie nie mamy wieści o pozostałych dwóch kurierach, w tej chwili interesuje nas przede wszystkim Delborough.

Daniel podszedł do okna. Odchylił zasłonę i wyjrzał na dwór.

– Nadciąga śnieżycy. Jeśli tu zostaniemy, jutro możemy się stąd nie wydostać, a z kolei umyślni Aleksa nie przedrą się do nas.

– Pora ruszać. – Roderick zaszurał fotelem. Daniel przytaknął, puszczając zasłonę.

– Hamilton nie zaryzykuje podróży w śnieżnej zawiei – orzekł. – Mamy czas, żeby udać się na północ, załatwić sprawę z Delboroughem, a potem zająć stanowiska, kiedy także Hamilton ruszy w tę stronę. Pozwólmy mu do nas przyjść, na teren, gdzie będziemy mogli skierować przeciw niemu większe siły. Dzięki temu będziemy świetnie przygotowani również na przyjęcie Monteitha i Carstairsa, kiedy ci się zjawią. – Napotkał spojrzenie Rodericka i skinął głową. – Jedźmy.

Pięć minut później gnali drogą do Londynu.

Rozdział 18

16 grudnia 1882, ranek

Moja sypialnia w Mallingham Manor

Drogi pamiętniku, Los mi sprzyja. Zanosi się na to, że zyskam dziś doskonałą okazję do drobiazgowego przyjrzenia się temu, co może się okazać idealną formą małżeństwa dla mnie i Garetha.

Wystarczyła kilkuminutowa konwersacja z Leonorą i Clarice, żebym uzmysłowiła sobie, iż zapatrują się na życie i mężczyzn podobnie jak ja. Z moich obserwacji minionego wieczoru wynika zaś, że ich małżeństwa (przynajmniej na pierwszy rzut oka) zawierają wszystkie te elementy, wszystkie te korzyści, których życzylabym sobie w moim własnym. Dlatego zamierzam poświęcić ten dzień na uzyskanie maksimum informacji.

A propos mojego celu, w nocy napadało sporo śniegu. Nie zdołalibyśmy jechać dalej, nawet gdyby taki był nasz pierwotny plan. Spędzimy cały dzień zamknięci w domu.

W moim przypadku, prowadząc subtelny wywiad.

E.

Zanim nastąpiło późne popołudnie, kiedy to Emily, Leonora i Clarice wślizgnęły się do saloniku i ze śmiechem opadły na sofy, Emily dowiedziała się już wszystkiego, na czym jej zależało, a nawet o wiele więcej.

– Wasze dzieci są cudowne. – Uśmiechnęła się promiennie do Clarice i Leonory. – Również małżeństwa są doskonałe.

– Nie zamierzamy się z tobą spierać, choć, naturalnie, nie jesteśmy obiektywne. – Leonora uśmiechnęła się z czułością. – W każdym razie cieszę się, że były grzeczne.

– Wystarczyło wspomnieć o małpkach, żeby je oczarować. – Clarice leniwie machnęła ręką. – Caleb i Robert planują już, jak przekonać Jacka, żeby im taką sprawił.

– Zmarszczyła brwi. – Muszę pamiętać, by napomknąć mojej drugiej połowie, że nie życzę sobie w domu małpy.

– Na pewno nie! – zgodziła się Leonora. – Z drugiej strony, sama mam już trzy. – Spojrzała na Emily. – Rozmawialiście z Garethem na temat dzieci? Ile byście chcieli mieć?

Emily przytaknęła.

– Powiedziałam „mnóstwo”. Wywodzę się z licznej rodziny. – Potem na jej czole pojawił się mars. – W przeciwieństwie do Garetha. Jest jedynakiem.

– To o niczym nie świadczy – stwierdziła Leonora.

– Tristan to także jedynak, a obstaje przy tym, żebyśmy mieli jak najwięcej dzieci. Jak sądzę, by wypełnić pustkę, kiedy zabraknie starszych pań. Czułby się zagubiony, gdyby w którymkolwiek z jego domów panowała cisza.

Clarice jej przytakiwała.

– Mam trzech chłopców i w istocie zastanawiałam się, jak Jack zniesie taki jazgot, a tymczasem on zdaje się przy nim kwitnąć. Najwyraźniej wrzaski własnego potomstwa brzmią dla niego jak muzyka.

Roześmiały się wszystkie i dalej gawędziły o tym i owym. Clarice i Leonora dzieliły się doświadczeniami, a także wypytywały Emily o relacje z Garethem, dotykając kwestii jej oczekiwań względem małżeństwa. Dokładnie takiej rozmowy w kobiecym gronie Emily potrzebowała.

Kiedy rozbrzmiał pierwszy gong i one trzy rozstały się, żeby przebrać się do obiadu, miała znacznie lepsze pojęcie o dynamice małżeńskiego życia – konkretnie takiego, jakiego pragnęła dla siebie i Garetha. Z pomocą tych

dwóch kobiet zdefiniowała swój kanon: określiła, jakie podstawowe elementy są niezbędne w związku, by zagwarantować jej i Garethowi wymarzoną przyszłość.

Godziny spędzone z Leonorą i Clarice utwierdziły ją w przekonaniu, że po dżentelmenach nie należy oczekiwać, iż sami osiągną ów szczytny cel. W sprawach uczuć potrzebowali wsparcia, przewodnictwa. Emily będzie musiała nim sterować, poszturchiwać go i namawiać, nie wątpiła jednak, że Gareth pragnie w istocie dokładnie takiego samego małżeństwa, na jakie sama się nastawiła.

W swoim pokoju zastała Dorcas, szykującą dla niej kolejną suknię na wieczór. Kiedy Emily się przebierała, omawiały różne kwestie organizacyjne. Gdy usiadła na stołku i Dorcas rozczesała, a następnie zaczęła upinać jej włosy, zamilkły obie, Emily zaś powróciła myślami do najbardziej zajmującego ją tematu.

Być może tego właśnie dotyczyła niepewność, którą nadal wyczuwała u Garetha – nie wiedział, jakiego małżeństwa ona pragnie. Mężczyzna taki jak on, wojownik, który spędził tyle lat z dala od towarzystwa, ani chybi błądził w tych sprawach po omacku. Zważywszy jego dzieciństwo, miał okazję przyjrzeć się w życiu znacznie mniejszej liczbie małżeństw niż ona.

Powinni usiąść i porozmawiać – ale kiedy?

Może i spędzą tu jeszcze jeden dzień względnie bezpieczni, lecz jego misja nadal ciążyła nad obojgiem. Emily czuła się osobiście zainteresowana pomszczeniem MacFarlane'a. Kiedy znów wyruszą w drogę... Nie chciała zaprzętać uwagi Garetha, ani własnej, zagadnieniami tak głęboko absorbującymi, jak małżeństwo.

Ten problem zasługiwał, wręcz wymagał, żeby skupić się na nim w pełni.

Zatem... jeszcze nie. Emily wykorzysta ten czas, by sprecyzować swoje pomysły i wizje, a także znaleźć najlepsze słowa na opisanie tego, za czym tęskniła, a co, jak wierzyła, znajdowało się w zasięgu ich możliwości.

– Proszę. – Dorcas poklepała opuszkami palców jej kok i odstąpiła. – Wygląda panienka jak się patrzy. – Pochwyciła w lustrze spojrzenie Emily. – Ostrzegam jednak, że jeśli zabawimy tu dłużej, skończą się panience wieczorowe suknie.

Później tego wieczoru, kładąc się do łóżka, Emily wyobraziła sobie reakcję towarzystwa, gdyby wystąpiła w wersji sukni wieczorowej preferowanej przez begam.

Uśmiechnęła się na tę myśl; nawet teraz aż nie mogła uwierzyć, że odważyła się włożyć tak skandaliczny strój.

Gareth zastał ją pogrążoną w zadumie. – Dam grosik za twoje myśli – powiedział, kładąc się obok niej.

Wsunęła się w jego ramiona jak co noc; uwielbiała ten moment, głównie dlatego, że tak ochoczo ją chwycił i tulił do siebie, jakby tam było jej miejsce.

– Myślałam o... W trakcie tej podróży robiłam rzeczy, o które nigdy bym się nie podejrzewała, których nie miałabym odwagi zrobić tutaj, w Anglii. – Obróciła się, oparła łokciem o jego pierś i uniosła na tyle, by przyjrzeć mu się w ciemności. – Czy to znaczy, że po powrocie do kraju straciłam odwagę?

Uśmiechnął się niespiesznie i bardzo pokrzepiająco.

– Nie, wykluczone. Masz odwagę we krwi, nie możesz jej stracić. Natomiast przystosowanie się do społecznej rzeczywistości, wiedza i zrozumienie, jak daleko wolno ci się posunąć, nie narażając się na towarzyski ostracyzm, to twoja siła, a nie słabość.

Po chwili odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie patrzyłam na kwestię pod tym kątem.

Gareth zajął jej oczy, lecz w mroku nie zdołał nic z nich wyczytać. Ten jej nastrój zadumy stanowił dlań nowość, jednak tylko bardziej go intrygował – kolejny aspekt tajemnicy, jaką mu się jawiła. Była diamentem o wielu fasetach, wabiącym go nieodparcie. Każdego dnia dowiadywał się o niej czegoś nowego, a przy okazji także o samym sobie.

Odkrył na przykład, za jakiego rodzaju małżeństwem tęskni, pojmował też, jak wiele trudów, prób i utrapień będzie musiał znieść, by osiągnąć cel. Nie był pewien, czy mu się to uda, a w dodatku nie wiedział, czy ona zaakceptuje takie małżeństwo, czy to właśnie rozumiała przez „więcej”.

Sądził jednak, że będzie jej ono odpowiadać – małżeństwo takie jak Jacka i Clarice, Tristana i Leonory. Nie miał wielkiego pojęcia o nowoczesnych obyczajach, ale z tego, co zaobserwował w tych dwóch związkach... takie rozwiązanie by mu odpowiadało. Podejrzał, że zbudowanie tego rodzaju małżeństwa stanowi nie lada sztukę, lecz korzyści były warte wysiłku.

Co więcej, oczyma wyobraźni widział siebie i Emily w takim związku, tyle że nie wiedział – zaiste nie miał pojęcia – jak tę wizję urzeczywistnić, na czym opierają się podobne relacje. Jakie ustalenia są konieczne, żeby stworzyć dla nich podwaliny.

– Ja... – Co? Co mógł powiedzieć? „Chcę tego, co mają Jack i Clarice”?

Byli sobą, nie Jackiem i Clarice.

No i nie był pewien, czy Emily kocha go dostatecznie mocno. Gnał naprzód, w pośpiechu potykając się o własne nogi, byleby jak najszybciej ją do siebie przywiązać, odkryć to „więcej”, którym mógłby zastąpić owe dwa słowa, a tymczasem powinien raczej działać powoli, ze zdecydowaniem, krok po kroku.

Wsunął dłoń w jej jedwabiste włosy, by przyciągnąć ją do siebie, ale zaparła się ramieniem o jego pierś.

– Co chciałeś powiedzieć?

Pokręcił głową.

– Później. – Kiedy lepiej to sobie poukłada.

Otworzyła usta, ale pocałował ją, nim zdążyła znów się odezwać.

Powiódł ją w namiętność, zawirowali niespiesznie pośród płomieni.

Tutaj, na tej płaszczyźnie, wszystko było proste, Gareth znajdował się na dobrze sobie znanym terenie. Wiedział, jak wyrwać z niej westchnienie, a jak jęk – wiedział, co ona lubi.

Czego pragnie.

To właśnie chciał jej dać, i jeszcze więcej. Starał się pokazać jej to, na powiedzenie czego musiał dopiero znaleźć odpowiednie słowa.

Leniwie smakował jej usta, wolno brał w posiadanie słodkie zagłębienia, soczystą miękkość, które tak chętnie mu ofiarowała. Ślizgał się językiem po jej języku i czuł, jak Emily mięknie. Jak narasta pożądanie.

Nie spieszył się. Leżała na nim, a on sunął dłońmi po jej ramionach, po plecach pod szlachetnym materiałem koszuli nocnej, rzeźbił jej ciało, piersi, talię, biodra, sprężyste uda, krągłe pośladki, na nowo ucząc się jej kształtów, na nowo je zawłaszczając.

Pierwszy krok z wielu.

Coraz bardziej się niecierpliwiła, żądała bezgłośnie. Przetoczył się wraz z nią, legła pod nim w skotłowanej pościeli. Nie odrywał się od jej ust, utrzymywał jej uwagę, sycąc się i pojąc, podczas gdy jego palce rozpinają guziki.

Wreszcie mógł rozchylić stanik koszuli nocnej na tyle, by obnażyć jej piersi. Zamknął dłonie na jędrnych wzniesieniach i pieścił. Brał w posiadanie. Ugniatał, aż wygięła ciało w łuk, jęknęła mu prosto w usta i uległa.

Pierwszy z wielu takich momentów.

Przerwał pocałunek, w mroku nocy przyjrzał się wypełniającym jego ręce darom, a potem przyłgął ustami do ściągniętych pąków i ucztował. Zaciśnęła w pięściach jego włosy, wyprężyła się, niezdolna zaczerpnąć tchu przyjmowała pieśczętę i prosiła o więcej.

Błagała, jej ciało wzbierało pod nim, drażniło go, ponaglało.

Mimo to nadal działał bez pośpiechu. Starannie obmył nabrzmiałe wzniesienia, nim wreszcie, centymetr po centymetrze, uwolnił ją z koszuli nocnej, dotykając, smakując każdy odsłaniany skrawek skóry.

Gdyż miał do tego prawo.

Rozpalał ją, centymetr po centymetrze wsączał jej ogień pod skórę.

Emily wiła się pod nim, jej zmysły wirowały, sensacyjne doznanie przetaczało się przez nią potężnymi falami. Minionej nocy to ona przejęła dowodzenie. Dzisiaj on trzymał wodze, on nią sterował.

Konsekwentny i natarczywy, wspinał się z nią na znajomy szczyt długą, krętą, nieznaną dotąd ścieżką i jednocześnie szacował, ważył, czcił.

Pod jego dotykiem czuła się jak cenny skarb. Każdym ruchem palców na jej skórze prymitywnie ją zawłaszczwał, podczas gdy każde muśnięcie warg, każda delikatna pieśczęta były przepelnione czcią.

Czuła się boginią, kiedy ją obnażał, kiedy odsunął się, rozchylił jej uda i pocałował ją tam, a potem wargami, językiem, rozpalonymi, pożądanymi ustami doprowadził do szaleństwa. Spokojny i pewny siebie pchnął ją jeszcze wyżej. Z całej siły zaciśnęła w pięściach jego włosy, z gardła wyrwał jej się cichy krzyk, gdy wstrząsnął nią potężny orgazm.

Lizał, sycił się, smakował ją, dopóki bezwładnie nie opadła z powrotem na łóżko.

Wtedy twardymi dłońmi pogładził jej rozpaloną skórę, prymitywnie zawłaszczając i obiecując więcej. Uniósł się nad nią, szerzej rozwarł jej uda i wszedł w nią.

Wolno, głęboko, całkowicie.

Miała go w sobie, rozciągał ją, twardy niczym powleczone gorącym aksamitem stal, a jej umysł zanurzył się w tym doznaniu. W tej chwili nie liczyło się nic poza tym, że ją wypełniał, wyгнаł z jej wnętrza palącą, bolesną pustkę, uzupełniał ją, należał do niej, a ona do niego.

Wycofał się i pchnął znowu, głębiej, zdecydowanie.

Bezwiednie przesunęła dłońmi po jego piersi, a potem mocno objęła go ramionami, złapała jego rytm, wyszła mu naprzeciw i dopasowała się doń w tym niekontrolowanym tańcu.

Ich ciała oddawały cześć sobie nawzajem. Emily odchyliła głowę, odnalazła jego usta i pocałowała go.

Wciągnęła go w pojedynek równie namiętny jak zmagania ich ciał. Znalazła się na skraju wytrzymałości, gdy jego umięśniony tors, rozpalony i twardy, poruszał się miarowo nad jej satynową skórą, a szorstkie włosy pocierały boleśnie uwrażliwione sutki. Wdzierał się w nią rytmicznie, kołysał ją. Razem wspinali się na szczyt, aż wreszcie wbiła mu paznokcie w plecy i jej napięte do granic nerwy pękły.

Pchnął po raz ostatni, mocno, głęboko, a ona się rozpadła.

I runęła w dół, z samego szczytu, roztrzaskując się na kawałki.

Zalała ją ekstaza, wypełniła, ukołysała.

W ślad za nią nieuchronnie nadpłynęła radość, kiedy poprzez łomot własnego serca Emily usłyszała jego urywany jęk. Kiedy zeszywniał w jej

objęciach, nadal tkwiąc w niej głęboko, podczas gdy nasienie zalewało jej łono.

Wreszcie stopniowo poddał się temu, co nieuniknione, i opadł na nią, przygniatając ją swym ciężarem.

Uśmiechnęła się, tuląc go do siebie, kiedy spływało na nich zaspokojenie.

17 grudnia. 1822, wczesny wieczór

Moja sypialnia, w Mallingham Manor

Drogi pamiętniku,

Mam chwilkę, zanim będę musiała przebrać się do kolacji. Dzień upłynął nam na regenerowaniu sił i czekaniu. Kiedy obudziłam się rano, Garetha tradycyjnie już nie było; ostatnio nabrał zwyczaju wyczerpywania mnie, by później o świcie wyslizgnąć się z łóżka. Jednakże wydarzenia minionej nocy potwierdziły mój pogląd, że więź między nami sięga tak głęboko, iż żadne z nas nie potrafi oprzeć się temu drugiemu. W rzeczy samej, kiedy dochodzi między nami do zbliżenia, wzajemna fascynacja i oddanie sobie narastają. Razem akceptujemy, przyjmujemy, czcimy. Przynajmniej w tej sferze nasza przyszłość jawi się jasno.

Nie pisałam tego ranka, gdyż odnośnie do szerzej rozumianej kwestii naszego małżeństwa nadal porządkowałam myśli. A ponieważ śnieg, jakkolwiek topniejący, ciągle więzi nas w tym domu, miejscu na tyle bezpiecznym, by zapomnieć o zagrożeniu, zdołałam (nareszcie!) poczynić jakieś postępy.

Dzięki rozmowom ze starszymi damami (są doprawdy kochane), a także dalszym obserwacjom Leonory i Tristana oraz Jacka i Clarice, zdołałam sprecyzować, co stanowi niezbędne podwaliny pod udane małżeństwo Garetha i moje.

Zaufanie. Partnerstwo. Docenianie silnych stron oraz gotowość do zaakceptowania słabości tego drugiego. Dzielenie się wszystkim, w każdej sferze życia, swobodne dawanie i przyjmowanie, wspólne radzenie sobie z ciężkimi sytuacjami, wzajemna pomoc w pokonywaniu wyzwań oraz wspólne przeżywanie triumfów.

Muszę wyłuszczyć mój pogląd Garethowi, tak by zrozumiał, jak ważne są te elementy oraz jak wspaniałe będą nasze małżeństwo i przyszłość, jeśli zdołamy połączyć siły, żeby je wdrożyć.

Nie oczekuję, że zadanie okaże się proste, lecz, z drugiej strony, wartościowe rzeczy zawsze wymagają wysiłku.

Teraz zatem, drogi pamiętniku, uporządkowałam już myśli, jestem zdecydowana i czekam (ach, to czekanie!) wyłącznie na jedno. Na zakończenie misji Garetha. Na koniec Czarnej Kobry. Jak dla mnie, mogłoby to nastąpić choćby i jutro.

Z tego zdecydowania i jasności myśli zrodziła się we mnie ogromna gorliwość. Odnoszę wrażenie, że stoję u progu nie tylko wielkiego szczęścia, lecz także ekscytującej podróży, jaka wypełni resztę mego życia – nie mogę jednak wykonać pierwszego kroku na owej drodze, dopóki ten nikczemnik Czarna Kobra nie zostanie złapany i obalony.

Liczmy na rychłą wiadomość od Wolverstone'a.

Modłę się, by nadeszła.

E.

Umyślny od Wolverstone'a nadszedł późnym wieczorem tego samego dnia.

W holu odziany w płaszcz posłaniec wręczył Tristanowi przesyłkę.

– Dotarłbym wcześniej, milordzie, ale w całym Suffolk nadal leżą spore zaspasy. Jednak mam panom przekazać, że stosując się do tych rozkazów –

wskazał głową pakunek – nie powinni mieć panowie kłopotu z przedostaniem się powozami, bo już przestało sypać.

– Dziękuję. – Tristan powierzył mężczyzną opiece Clithertoe'a, sam zaś w ślad za innymi wrócił do salonu, gdzie do tej pory gawędzili przy płonącym żywo na kominku ogniu.

Wszyscy na powrót zajęli miejsca i czekali niecierpliwie, kiedy Tristan otwierał pakunek. Marszcząc brwi, wyjął dwie złożone kartki. Jedną wręczył Leonorze.

– Od Minervy. – Popatrzył na Garetha i Emily. – Żony Royce'a.

Otworzył drugi list i przeczytał go szybko, a potem z uśmiechem podniósł wzrok.

– Jutro mamy pojechać przez Gravesend do Chelmsfordu, po drodze starając się przyciągnąć uwagę członków kultu, zwłaszcza tych na północ od Tamizy. Noc spędzimy w gospodzie Zbrojownia w Chelmsfordzie, kolejnego dnia ruszymy do Sudbury, tam zjemy lunch i pojedziemy dalej, przez Bury St. Edmunds do Elveden. – Podał list Garethowi. – W Elveden możemy się spodziewać Delborougha.

– Wspaniałe wieści. – Gareth wziął list i przebiegł wzrokiem instrukcje. Spojrzał na Jacka i Tristana. – Jak zorganizujemy podróż?

Omówili rozmaite możliwości, przy czym damy uczestniczyły w dyskusji na równi z dżentelmenami, jako że Minerva w liście zaprosiła do Elveden Leonorę i Clarice wraz z rodzinami. Jack i Tristan wymienili spojrzenia, nie sprzeciwili się jednak, najwyraźniej uważając Elveden za miejsce dostatecznie bezpieczne, tym bardziej że podróż nie miała trwać długo.

W końcu postanowiono, że Leonora i Clarice wraz z dziećmi pojedą dwoma własnymi powozami, w towarzystwie tradycyjnego orszaku złożonego ze stangretów, stajennych i konnej obstawy, biorąc ze sobą Dorcas, Arnię,

Watsona i Jimmy'ego. Będą podróżować przez Londyn, uczęszczaną drogą, a później przez Cambridge i Newmarket dotrą do Elveden.

Gareth i Emily pojedą oddzielnym powozem, z Mullinsem w roli woźnicy i Bisterem oraz Mooktu jako obstawą. Podążą trasą wyznaczoną przez Wolverstone'a, dyskretnie osłaniani przez jadących wierzchem Jacka i Tristana.

– Dzięki temu sprawniej wyeliminujemy każdego członka kultu, jaki się napatoczy – oświadczył Jack.

Rodzinne powozy opuszczą Mallingham Manor trzy godziny po odjeździe Garetha i Emily, ponieważ jednak będą podróżować głównymi drogami, prawdopodobnie dotrą do Elveden jako pierwsze.

Leonora zerknęła na zegar, a potem spojrzała na Clarice i Emily.

– Zrobiło się późno – oznajmiła, wstając – a jutro powinniśmy wyruszyć jak najwcześniej. – Popatrzyła na mężczyzn. – Zostawiamy wam kwestię powozów i koni, a same zajmiemy się ludźmi.

Mężczyźni przytaknęli i wrócili do układania planów.

Leonora w towarzystwie Emily i Clarice wyszła do holu, gdzie zadzwoniła po Clithertoe'a.

Emily miała najprostsze zadanie. Wyjaśniła Watsonowi, jakie poczyniono ustalenia, pewna, że może na nim polegać w kwestii powiadomienia pozostałych, by rankiem wszyscy byli gotowi do wyjazdu. Zostawiła pograżoną w dyskusji z gospodynią Leonorę oraz wydającą instrukcje głównej piastunce Clarice i podążyła do swego pokoju.

Nim dotarła do celu, czuła się już bardzo podekscytowana. Z uśmiechem weszła do środka.

Ostatni skok z Mallingham Manor do Elveden i ich podróż dobiegnie końca. Jeszcze dwa dni, a ona i Gareth będą mogli poświęcić uwagę wspólnej przyszłości, małżeństwu, snuciu związanych z tym planów.

Przebrała się w koszulę nocną, czuła się jednak zbyt podekscytowana, żeby usiąść, a cóż dopiero położyć się do łóżka. Otulona szalem spacerowała przed kominkiem, snując wizje, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Gareth. Przystanąła i popatrzyła na niego z zapalem.

Zamknął drzwi, pochwycił jej spojrzenie, odczytał wyraz twarzy i uśmiechnął się. Jednakże kiedy się do niej zbliżył, spoważniał. Zatrzymał się przed nią i zajrzał jej w oczy.

– Jeszcze dwa dni. – Zawahał się, a potem, ku zaskoczeniu Emily, ujął jej dłoń.

Milczała, gdy przyglądał się jej badawczo. Zastanawiała się, o co mu chodzi.

Wreszcie z dziwnym trudem zaczerpnął tchu.

– Nie zamierzałem nic mówić, przynajmniej dopóki to wszystko się nie skończy. Ale... zanim będziemy kontynuować misję przez dwa kolejne dni, muszę rzec choć tyle. Tam na dole dopiero co opracowywaliśmy plany i sprawa wydawała się prosta: robimy to i to, jedziemy tą trasą, przybywamy do Elveden i po kłopotach. – Patrzył jej w oczy. – Jednak nie pójdzie nam tak łatwo. Czarna Kobra zbierze ludzi, by odciąć nam drogę do Elveden, będą na nas czekać jego najlepsi wojownicy, elita. Będzie, powinien być, zdesperowany, gotów przechwycić tubę za wszelką cenę. Liczymy na tę jego desperację, na to, że pchnie do walki znaczne siły, które będziemy mogli przetrzebić, jak również, że w pewnym momencie popełni błąd, który wskaże na niego jako Czarną Kobrę jeszcze wyraźniej niż przewożony przez jednego z moich przyjaciół list. Wszystko to wymaga działania i wiąże się z

prawdziwym niebezpieczeństwem. Nad naszą na pozór prostą drogą majaczy widmo śmierci.

Gareth zrobił krótką przerwę. Ciągłe patrząc jej w oczy, szukał właściwych słów, słów, które musiał powiedzieć.

– Nie poprosiłem cię jeszcze o rękę. – Mocniej ścisnął dłonie Emily, ale gdy poczuł, jak kruche są jej kości, poluzował uchwyt. – Nie tak, jak należy. Pragnę, zamierzam to zrobić, lecz nadal jeszcze mogę zostać zabity albo ciężko ranny, a gdyby tak się stało, nie chciałbym, żebyś była do mnie uwiązana.

Zmarszczyła brwi i otworzyła usta do protestu, ale ją ubiegł.

– Nie chciałbym, żebyś trwała u mego boku, jeśli nie będę mógł ci ofiarować godnego życia. Jednakże... – To była ta trudna część, lecz przynajmniej Emily milczała, słuchając go w całkowitym skupieniu. Z ciemnej zieleni jej oczu Gareth czerpał siłę i spokój. – Pragnę cię poślubić, pragnę małżeństwa takiego jak małżeństwo Jacka i Clarice, jak Tristana i Leonory. Nie wiem, czy to możliwe, czy potrafię zbudować podobny związek, sądzę jednak, że mi się uda, dlatego chcę spróbować. Z tobą. Ponieważ chcę, abyśmy to mieli, nawet jeśli nie umiem sprecyzować, czym owo to jest.

W jej spojrzeniu lśniło zrozumienie, twarz jaśniała szczęściem. Ucisk w piersi Garetha zelżał.

Przybliżyła się o krok i przytuliła dłoń do jego twarzy.

– Ja umiem to sprecyzować. W ostatnich dniach nie myślałam o niczym innym. Patrzyłam i analizowałam, starając się ustalić, co przesądza o tym, że małżeństwo funkcjonuje tak, jak u Jacka i Clarice, u Tristana i Leonory. Wiem, jak musimy postępować: musimy sobie ufać, cenić się nawzajem i dzielić ze sobą wszystko, co nas w życiu spotka. I tak, ja również tego chcę. –

Uśmiechnęła się i w tej cudownej chwili Gareth widział w jej oczach miłość. – Niczego nie pragnę bardziej niż takiego małżeństwa, z tobą – rzekła.

Jego serce podskoczyło z radości, położył jednak palec na jej ustach.

– Nie mów nic więcej.

Otworzyła szeroko oczy, przekrzywiając głowę w niemym pytaniu.

– To stary... chyba można powiedzieć, że przesąd. Żołnierski przesąd, za którym kryje się wszak pewna logika. Kiedy ruszasz do bitwy, jakiegokolwiek bitwy, zabiegasz o to, by w wymiarze osobistym mieć jak najmniej do stracenia. Branie udziału w starciu ze świadomością, że kładziesz na szalę coś bardziej wartościowego aniżeli tylko własne życie, jest kuszeniem losu. Co więcej, to niebezpieczne, ponieważ w takim przypadku, gdy ataku jesz. nieuchronnie odzywają się w tobie instynkty obronne, tak że w najgorszym możliwym momencie czujesz się rozdarty. Jeśli stajesz naprzeciw wroga ze świadomością, że możesz utracić coś o ogromnej, zadziwiającej wartości, masz słaby punkt, którego twój wróg nie ma. To swego rodzaju ułomność, utrudniająca skupienie się na walce. I dlatego właśnie zależy mi na tym, żebyś wiedziała, o czym marzę w związku z nami, lecz nie chcę, żebyśmy na ten temat rozmawiali, żebyśmy teraz coś deklarowali albo podejmowali decyzje. – Badawczo zajrzał jej w oczy.

– Rozumiesz?

Emily nadal się uśmiechała, tyle że z większą pewnością siebie. Przyłgnęła do niego, a on instynktownie otoczył ją ramionami. Ujęła jego twarz w dłoń.

– Rozumiem: żadnych deklaracji, szczegółów, wspólnych ustaleń. Ty jednak też powinienes coś zrozumieć: już osiągnęliśmy ten etap. Słowa są niezbędne, lecz głośniejsze od nich mówią czyny, a nasze od tygodni opowiadają prawdę o nas, choć dotąd nie zwracaliśmy na to uwagi. Co do tych rzeczy,

których potrzebujemy, żeby zbudować upragnione przez nas małżeństwo, czyli zaufania, cenięcia się nawzajem, dzielenia wszelkich aspektów życia, partnerstwa we wszystkich sferach, to nad nimi przez cały ten czas pracowaliśmy i znajdujemy się blisko osiągnięcia celu. Jeśli utrzymamy ten kurs, zwycięsko do trwamy do końca. Do tego finału, jakiego oboje pragniemy. Musimy wierzyć w nas, w to, czym jesteśmy i czym możemy być razem. A wówczas nic ani nikt, nawet Czarna Kobra, nie zdołają nam przeszkodzić.

Uśmiechnęła się, pewna siebie, pełna wiary i nieskrępowanej radości. – Razem jesteśmy silniejsi – kontynuowała.

– Razem przetrwamy dwa najbliższe dni, cokolwiek przyniosą, a potem...

– Porozmawiamy o przyszłości. O naszych oczekiwaniach.

– Jaki chcemy jej nadać kształt, co chcemy w niej zawrzeć – mówiła z coraz większym zapalem.

– O jakim „my” oboje marzymy – dodał, nachylając głowę.

Uśmiechała się szeroko, kiedy nakrył jej usta swoimi. Oddała mu pocałunek z niepohamowaną namiętnością, w euforii i zatraceniu. Jej radość, wzbierające w niej poczucie szczęścia, były tak dogłębne, tak potężne, że nie potrafiła zatrzymać ich w sobie. Musiała dać im wyraz.

Bezwzględnie musiała go wynagrodzić. Ten mężczyzna – jej mężczyzna, jej „jedyne” – wcale nie był ślepy. Dzięki Bogu. Gdyby musiała go popychać, przekonywać, pracować nad nim, żeby pojął, co będzie najlepsze... Przygotowała się na to, jednak z całego serca doceniała fakt, że odważył się zmierzyć z prawdą i ją zaakceptować.

Tym właśnie byli. Takiego małżeństwa chcieli. Ze śmiechem, zdyszana, przerwała pocałunek i pokierowała Garetha w stronę łóżka, po drodze pomagając mu się pozbyć surduta i kamizelki, gdy tymczasem on mocował się

z halsztukiem. Zatrzymał się, kiedy dotknął nogami skraju materaca. Ślinka pociekła jej do ust, gdy Emily rozchyliła poły jego koszuli. Delektowała się nim, patrząc i dotykając, on zaś z cichym pomrukiem rozpiął sobie mankiety za jej plecami.

Powiodła dłońmi w dół, po jego gorącej, sprężystej skórze, prześlizgując się po mięśniach, które napinały się pod jej dotykiem, aż dotarła do spodni. Dwoma szybkimi ruchami odpięła guziki. Nim jednak zdążyła sięgnąć do środka, zaśmiał się cicho, na bezdechu.

– Najpierw buty – wydusił.

Z oczami pociemniałymi z pożądania odstąpił i bez schylania się zdjął buty, a później znów sięgnął po Emily. Odrzuciła szal i radośnie zagłębiła się w jego objęcia, spragniona jego żaru.

Uniosła twarz, bez słów ofiarując mu usta. Przyjął je, zawłaszczył, wypełnił. Odpowiedziała, a wtedy zafascynowały i porwały ich znajome doznania – wzbierające pożądanie, rozkwitający smak namiętności, narastająca niecierpliwość i potrzeba.

Tymczasem Emily knuła, planowała.

Już wcześniej pozwalał jej na eksplorację, niemniej rozkosz, jakiej doświadczała, ilekroć czcił ją ustami, skłoniła ją do rozważań, czy nie nastąpiła pora, by mu odpłacić. By to ona dostarczyła podobnej rozkoszy jemu.

Wydawało jej się, że potrafi to zrobić, lecz pewność mogła zyskać tylko w jeden sposób. Nie przerywając coraz bardziej namiętnego pocałunku, sięgnęła w dół i zsunęła mu spodnie.

Garetha tymczasem zaabsorbowały guziki z przodu jej koszuli nocnej. Zapięła je wyłącznie dlatego, by mógł je rozpiąć. Lubiła, gdy głód w jego dotyku podsycił jej własny, jeszcze odrobinę bardziej podkrecając w nich pożądanie.

Kiedy był tak zajęty, sięgnęła między nich, odnalazła sztywny członek, śmiało ujęła go w dłoń i pogładziła. Gareth gwałtownie nabrał powietrza; natychmiast pozyskała jego uwagę.

Potem jednak znów się nią zajął, na nowo zaabsorbowany i niecierpliwy. Jeszcze bardziej złakniony.

Szarpnięciem rozwarł stanik jej koszuli nocnej, obnażając piersi, zamiast jednak przyłgnąć do nich ustami, otoczył Emily ramieniem na wysokości ud i poderwał z ziemi.

Zamrugnęła... i już leżała na plecach na środku łóżka, Gareth zaś pochylał się nad nią, gorącym spojrzeniem parząc jej biust, udem unieruchamiając nogi.

Zamknął twardą dłoń na jej piersi, obejmując w posiadanie. Emily przymknęła powieki i jęknęła z czystej rozkoszy, kiedy ugniatał nabrzmiałe ciało, torturował ściągnięty sutek...

Lada moment straci jakąkolwiek szansę na przejęcie kontroli.

Położyła mu dłonie na ramionach, przesunęła je niżej, opierając płasko na jego klatce piersiowej, i pchnęła.

– Później – mruknął. Po jego tonie poznała, że ma na myśli „znacznie później”.

– Nie, teraz. – Naparła. – Połóż się na plecy.

Z gardłowym pomrukiem frustracji spełnił polecenie, pociągając ją za sobą, tak że znalazła się na nim. Ich oczy się spotkały.

– Dobrze – powiedziała.

Nim zdążył na nowo ją rozkojarzyć, czyniąc użytek ze spoczywających nadal na jej piersiach dłoni, wpiła mu się w usta – żarłocznie, chciwie, nienasycenie. Włożyła w ten zachłanny pocałunek całą swą namiętność i zdołała przykuć jego uwagę, złapać ją w sidła tej wymiany i tam zatrzymać.

Przesunęła dłoń w dół jego torsu, wzdłuż boku, a wreszcie sięgnęła między nich, zamykając ją władczo na jego erekcji.

Zamarł, a ona oderwała się od jego ust.

– Poczekaj tylko – mruknęła, przesuając się do tyłu, podczas gdy jej palce pieściły, gładziły, obiecywały.

Bawiła się z nim ręką, jednocześnie pokrywając gorącymi, wilgotnymi pocałunkami jego obojczyk. W gąszczu czarnych kręconych włosów odnalazła płaski sutek, ucałowała, polizała, uszczypnęła zębami.

Poruszył się pod nią. Wsunął dłoń pod jej włosy, przeciągnął po karku i wreszcie delikatnie ujął od tyłu jej głowę.

Jego oddech przyspieszył, kiedy przesunęła się niżej i w zapamiętaniu pokrywała go pocałunkami, palcami jednej ręki delikatnie wykreślając ścieżkę, gdy tymczasem druga dłoń nadal w pełni poświęcała się zadowalaniu obrzmiałego członka.

Kiedy dotarła jeszcze niżej, całując jego pępek, Gareth zaczerpnął powietrza i nie potrafił wypuścić go z płuc. Zapało mu dech.

Z potrzeby. Z nadziei.

Czekał, niecierpliwy i chciwy.

Złakniony.

Upłynęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni kobieta dogadzała mu w sposób, w jaki robiła to teraz ona... jak obiecywała to zrobić. Jeśli wszakże nie potrafił się ruszyć, przez co mogła go drażnić i zadowalać wedle woli, na wiele sposobów, tak długo, jak tylko zechce, wynikało to z prostego faktu, że chodziło o nią, Emily, kobietę, z którą pragnął się ożenić, że to właśnie ona postanowiła dać mu rozkosz.

Zdumienie – i wiele innych uczuć – trzymały go w potrzasku. Unieruchomiły, kiedy zsunęła się niżej i jej wargi nareszcie – nareszcie! – otarły się o obolałą żołądz.

Instyktownie przytrzymał mocniej jej głowę, zaciskał w palcach jedwabiste włosy, walcząc o to, by wytrwać w bezruchu, powstrzymać się przed wyrzuceniem w górę bioder z chciwą gotowością.

Odrzucił w tył głowę, niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w sufit, zastanawiając się, co ona robi – pragnąc, żywiąc nadzieję, modląc się... Poczuł, jak jej wilgotny język węzowym ruchem sunie wolno w górę, od nasady członka do wrażliwej żołądzi.

Przymknął powieki. Zacisnął szczęki. Koniuszkiem języka okrążyła boleśnie uwrażliwione obrzeże i Garethowi zaparło dech.

Gorącym oddechem delikatnie omywała jego wilgotne ciało. Każdy jego nerw, każda cząstka świadomości skupiły się na niej, na tym, co ona teraz robi.

Kiedy te miękkie wargi i soczyste usta prześlizgnęły się po nim, biorąc go w siebie, głęboko w ów śliski żar, wyrwał mu się jęk.

Dla niej stanowił on jedynie zachętę. Zabrała się do dzieła z oddaniem, w zapamiętaniu, które cechowały wszystko, czego się podejmowała. Może i brakowało jej doświadczenia, niemniej rychło zredukowała go do stanu prymitywnej potrzeby. Z dłońmi zatopionymi w jej włosach, walącym głośno sercem, krwią piętrzącą się w żyłach, oddychając coraz bardziej urywanie, starał się zachować trzeźwość umysłu – jakieś pozory samokontroli – podczas gdy za jej sprawą przetaczały się przezeń potężne fale rozkoszy.

Zniweczyła jego wysiłki, zdarła z niego wszystkie pozory, pozostawiając jedynie prymitywną potrzebę i pierwotną namiętność.

Emily wyczuła tę zmianę – eskalację napięcia, napędzaną żądzą siłę, która wlała się w umięśnione ciało pod nią.

Napawała się tym. Było nawet lepiej, niż to sobie wyobrażała. Nie sądziła, że dawanie Garethowi rozkoszy sprawi jej tyle radości.

Przyniesie jej tyle satysfakcji, nader kobiecego triumfu płynącego z wiedzy, że to ona tego dokonała – że miała moc doprowadzania go do szaleństwa.

Coraz większego. Znów jęknął, kiedy w ramach eksperymentu, testując tę nowo odkrytą moc, przylgnęła doń zwiniętym językiem i przeciągnęła nim górę, a potem znów wzięła go w usta i zaczęła ssać, co zdawało się sprawiać mu szczególną przyjemność.

Jak głęboko mogła go wziąć? Z wielkim zaangażowaniem starała się uzyskać odpowiedź na to pytanie.

Aż gardłowo oznajmił:

– Dosyć!

Wsunął palec między jej wargi, wycofał się z jej ust, ujął Emily za ramiona i jednym płynnym ruchem podniósł ją, samemu też się unosząc. Spodziewała się, że przetoczy ją na plecy i runie w ślad za nią, lecz zamiast tego ulokował ją na kłęczkach. Sam również ukląkł i zdjął jej przez głowę koszulę nocną.

Uwolniła ręce z długich rękawów. Włosy przesłoniły jej twarz; odgarnęła je, żeby cokolwiek widzieć.

Łoże zakołysało się wokół niej. Byłaby się przewróciła, jednak silne ramię otoczyło ją w talii i przytrzymało. Zobaczyła, jak jej koszula nocna opada na podłogę za łóżkiem... i nic poza tym. Uzmysłowała sobie, że Gareth klęczy za jej plecami.

Unieruchomił ją ramieniem i przysunął się bliżej, aż Emily, z uniesioną głową, wyprostowana jak struna, poczuła na plecach żar jego ciała, rozlewający się od jej ramion aż do tylnej strony ud.

Musnął wargami jej ucho.

– Możesz być moją odaliską, każdego dnia, każdej nocy. W tych słowach kryła się obietnica, za której sprawą wzdłuż kręgosłupa Emily powędrował dreszcz oczekiwania. Czowała na szyi gorący oddech Garetha. W ślad za nim podążyły jego wargi. Zamknęła oczy, gdy narastało w niej znajome podniecenie.

Rozpalonym członkiem natarczywie poszturchiwał jej pośladki. Wsparł ciężką dłoń na jej biodrze. Cofnął opasujące ją dotąd ciasno w talii ramię i położył dłoń płasko na jej brzuchu.

– I jak każdy dobry pan – szepnął jej do ucha – będę się cieszył moją niewolnicą.

Wstrzymała oddech. Oparła rękę na obejmującym ją ramieniu. Zacisnęła palce, wbijając paznokcie w jego skórę, gdy przesunął dłoń z jej brzucha niżej, gdy jego palce szukały.

Znalazły. Pogładziły. Nacisnęły.

Naparły i zawłaszczyły.

Wygięła ciało w łuk, łkając i dysząc, pragnąc znacznie więcej.

Przytrzymał przy sobie jej biodra i nacisnął na jej plecy, popychając ją w dół, aż z westchnieniem podparła się na rękach.

Wtedy wślizgnął się w nią od tyłu.

Szeroko rozwarła niewidzące oczy, jej zmysły znalazły się w pułapce, skupione na miejscu ich połączenia, na uczuciu pełni, kiedy jego członek rozpierał ją, wchodząc w nią głęboko.

Usłyszała jego drżące westchnienie, a potem cichy jęk, kiedy wolno się z niej wycofał. Zaraz jednak pchnął znowu i niemalże załkała.

To było przenikliwe doznanie, kiedy tak ją wypełniał, brał, zawłaszczał bardziej niż kiedykolwiek prymitywnie, żarliwie, prawdziwie... Aż cały jej rozsądek stopniał w ogniu pierwotnej namiętności, zmysły poddały się wszechogarniającej żądzy spółkowania, natarczywemu pulsowaniu krwi.

Wdzierając się w nią miarowo, raz za razem, Gareth nachylił się i ujął w dłonie jej piersi. Ugniatał, odnalazł skurczony sutek i ścisnął.

Ich głowy poruszały się obok siebie. Była tak blisko, niemalże u celu.

Poczuł, że także on lada moment nieuchronnie zazna ulgi. Jedną ręką sięgnął w dół, odnalazł pulsującą grudkę między jej udami i pogładził, nacisnął.

Rozpękła się, ledwie tłumiąc okrzyk, jej ciało zmieniło się w ramionach Garetha w płynny ogień, zacisnęła się na nim, rozpalona, jej zalane żarem łono kusiło... Z przeciągłym jękiem pchnął głęboko i odpuścił. Spadła na niego ulga, przetoczyła się przezeń, gdy mocno napierał biodrami na jej pośladki, wlewając w nią nasienie.

Zwaliła się na łóżko, pociągając go za sobą. Serce tłukło mu się w piersi, gdy legł na niej, niezdolny się poruszyć, niezdolny myśleć, zadowolony.

Jego bardziej prymitywne ja było bezwolne, zaspokojone do szpiku kości, usatysfakcjonowane ponad wszelkie wyobrażenie.

Z wysiłkiem wysunął się z Emili i padł u jej boku. Odwróciła ku niemu głowę. Spod osłony rzęs błysnęły zielenią jej oczy. Potem się uśmiechnęła.

– Chyba podoba mi się bycie twoją odaliską.

Rozdział 19

19 grudnia 1822, bardzo wcześnie rano

Moja sypialnia w Mallingham Manor

Drogi pamiętniku,

Kulę się w pościeli, skrobiąc prędko, zanim pojawi się Dorcas z wodą do mycia. Gareth dopiero co wyszedł. A jaka to była noc, jaki ranek! Przede wszystkim mam do przekazania ważną wiadomość: zgadzamy się (całkowicie!) co do wizji naszego przyszłego życia.

On także dostrzegł możliwości i pragnie dokładnie takiego małżeństwa jak ja, równie mocno jak ja.

Ziściły się wszystkie moje nadzieje, wszystkie moje marzenia łąda moment się spełnią. Owszem, nadal nie wyznał mi miłości słowami, lecz uwzględniając wszystko, czego się dowiedziałam od Berberyjek oraz od Clarice i Leonory na temat tego, jak interpretować czyny mężczyzn pokroju Garetha, prawda nie mogłaby być bardziej oczywista.

Wiemy, co musimy zrobić, jak powinniśmy dalej postępować, by zapewnić sobie wspólne życie, jakiego oboje pragniemy.

Na naszej drodze do szczęścia stoi jeszcze tylko ten nikczemnik Czarna Kobra, lecz kiedy minie jutro... Pojutrze będziemy mogli swobodnie oddać się realizacji wspólnych marzeń. Nie mogę się już doczekać.

E.

Wyruszyli o pierwszym brzasku, kiedy niebo zaczęło już szarzeć, a lodowaty wiatr smagał śniegiem z zalegających wzdłuż drogi zasp.

Otulona podróżnymi kocami, mając pod stopami dwie gorące cegły. Emily obserwowała przesuający się za oknem powozu zimowy krajobraz i wypatrywała śladów obecności członków kultu. Gareth siedział obok niej, trzymając ją za rękę, i wyglądał przez drugie okno. Wszyscy byli

podenerwowani, z jednej strony przygotowani do odparcia ewentualnego ataku, z drugiej – przekonani, że choć członkowie kultu zapewne ich śledzą, raczej nie uderzą po tej stronie Tamizy.

– Pomijając inne kwestie – zauważył Tristan, kiedy szykowali się do wyjazdu – lasy na północ od rzeki gwarantują znacznie lepszą osłonę i dostarczają wielu miejsc idealnych na zasadzkę.

On i Jack jechali wierzchem, gdzieś tam w tej zimnicy.

Podróżowali już od kilku godzin i, jak sugerowały drogowskazy, zbliżali się do Gravesend, kiedy Emily nachyliła się do okna i wyrzała na zewnątrz.

– Ani razu nie widziałam Jacka ani Tristana.

– I nie zobaczysz. Bez wątpienia mają doświadczenie w tego typu sprawach. Chcą wypatrzeć śledzących nas członków kultu, pozostając niewidoczni. Może uda ci się ich przelotnie dostrzec, kiedy miną nas w Gravesend.

Zgodnie z ustaleniami zatrzymali się w gospodzie Lord Nelson, oferującej także wynajem powozów, i weszli do środka, by się odświeżyć. Spędzili pełne napięcia pół godziny przy herbacie i babeczkach, dając Tristanowi i Jackowi czas na wysforowanie się naprzód, do nabrzeża na północy miasta.

Kiedy, znów w powozie, również znaleźli się na nabrzeżu, nie wypatrzyli nigdzie Jacka ani Tristana, lecz prom już czekał, żeby przewieźć ich do Tilbury na przeciwległym brzegu Tamizy. Przewoźnik potwierdził, że dżentelmen, który zamówił usługę, oraz jego towarzysz przepawili się wcześniej na innej barce.

Przeprawa była krótka, lecz trudna, płaski prom kołysał się bowiem niebezpiecznie, jednak przewoźnik i jego załoga wprawnie poradzili sobie ze

wzburzoną, wartką rzeką. Bez przygód dotarli do nabrzeża w Tilbury, niedaleko bogato zdobionej bramy wodnej fortu.

Gdy powóz zjechał na ląd, Gareth pomógł Emily wsiąść, zamknął za nią drzwi i poszedł wesprzeć uspokajającego konie Mooktu. Mullins siedział już na koźle i z lejcami w ręku sprawdzał upchnięte pod siedziskiem pistolety.

W tym czasie Bister udał się na zwiad. Nadbiegł z powrotem, akurat kiedy Mooktu wspinał się na kozioł, żeby zająć miejsce obok Mullinsa. Gareth przystanął przy drzwiach powozu.

Bister minął go, salutując krótko, i po pasach z tyłu zwinnie wspiął się na dach.

– Zauważyłem trzech, może być ich więcej. Zrobili sobie punkt obserwacyjny na wzgórzu za miastem. Za nimi, dalej, jest dużo lasów.

Unosząc brwi, Gareth otworzył drzwi powozu i wsiadł. Ze względu na te wieści mitrężyli przy lunchu w największej gospodzie w Tilbury, chcąc dać Tristanowi i Jackowi dość czasu, żeby oni również się posilili, nim na powrót dosiędą koni.

Po kolejnej godzinie Gareth, poklepując kieszeń płaszcza, w której ukrył odebraną rankiem od Watsona tubę, podążył za Emily z powrotem do powozu i ruszyli dalej.

Na tym odcinku podróży spodziewali się ataku. Droga wiła się przez podmokłe tereny na północ od Tilbury, nim wreszcie wspięła się wyżej.

Kiedy teren znów się wyrównał, Gareth prychnął.

– To było idealne miejsce na zasadzkę: gdy dotarliśmy do szczytu tego wzniesienia.

– Być może nie chcą, żeby ktoś ich zobaczył. – Emily wskazała mijający ich akurat powóz.

– Racja. Im dalej na północ, tym mniejszy będzie ruch na drodze. Pewnie dlatego na razie nie atakują.

Jednakże popołudnie upływało, podróżowali niespiesznie, często pokonując długie, wiodące przez las odcinki, kiedy to nie napotykali żadnych innych pojazdów, atak zaś nie następował. W pewnym momencie Bister, zajmujący miejsce na dachu między bagażami, zwiesił głowę z jednej strony powozu i zameldował, że jakkolwiek bez wątplenia ktoś ich śledzi, nie zauważył nic wskazującego na to, że członkowie kultu starają się ich otoczyć albo wyprzedzić, by przygotować zasadzkę.

– Musi istnieć ku temu powód – stwierdził Gareth, marszcząc brwi.

– Może Jack i Tristan będą wiedzieć więcej, kiedy do nas dołączą. – Emily pochyliła się, spoglądając naprzód, gdzie w oddali, na otwartej przestrzeni, majaczyły dachy domów. – Przed nami chyba Chelmsford.

Nie myliła się. Wtoczyli się do miasta i minąwszy duży kościół przy High Street, dotarli do gospody, w której zgodnie z zaleceniami Wolverstone'a mieli spędzić noc. Po raz kolejny okazało się, że ich oczekiwano. Biorąc pod uwagę, jak zaczęto się wokół nich uwijać, kiedy Gareth się przedstawił, wydawało się prawdopodobne, że Wolverstone osobiście dokonał rezerwacji.

Obejrzawszy zamówione dla nich pokoje – cztery pomieszczenia na pierwszym piętrze, zajmujące całe jedno skrzydło, z oknami na obie strony – Gareth nabrał jeszcze większego przekonania, że książę maczał w tym palce. Nim zapadł zmierzch, on, Mooktu i Bister zrobili obchód na zewnątrz budynku, odnotowując potencjalne kryjówki i sprawdzając, przez które okna bądź drzwi napastnicy mogliby się dostać do środka.

Gospoda, wybudowana z kamienia, z porządnym dachem łupkowym, gwarantowała bezpieczeństwo – była to kolejna dogodność. Jakkolwiek Gareth z całego serca pragnął starcia z członkami kultu, by móc przetrzebić

ich szeregi i wypełnić tę część misji wabika, nie potrafił zapomnieć, że ma ze sobą Emily. Misja czy nie, za nic nie chciał jej narażać.

Kiedy już Emily rozgościła się w pokoju, który miała dzielić z Garethem, zeszła na dół, gdzie w wynajętym dla ich grupy prywatnym saloniku zastała czekającego Mullinsa. Gareth pojawił się, nim zdążyła o niego spytać. Tuż za nim przybyła taca z herbatą, a jakiś czas potem do nich trojga dołączyli Mooktu i Bister. Czekali teraz jeszcze na Jacka i Tristana.

Zrobiło się całkiem ciemno, zbliżała się pora obiadu, kiedy wreszcie otworzyły się drzwi i wszedł Jack. Posłał im na powitanie zmęczony uśmiech i skinął głową, kiedy Gareth podniósł napoczętą butelkę wina.

Podczas gdy Gareth napełniał mu kieliszek, Jack z jękiem opadł na krzesło przy stole.

– Od lat nie spędziłem całego dnia w siodle.

Wszedł Tristan, chuchając w dłonie.

– Chodzi nie tyle o długie godziny w siodle, ile o ten przekłety wiatr – stwierdził.

On także przyjął kieliszek wina. Gareth poczekał, aż obaj usiedli wygodnie i zregenerowali się łykiem trunku, nim zapytał:

– Gdzie więc, u diabła, są członkowie kultu?

– Tam. – Jack wskazał na południe. – I tak, są tam na pewno, w zaskakująco sporej liczbie.

– Zaczynając od początku – rzekł Tristan – jeden przykleił się do powozu niedaleko Mallingham, a kiedy wyjechaliście na główną drogę, dołączyli do niego dwaj kolejni. Ci trzej śledzili was aż do Gravesend, gdzie jeden pojechał naprzód i przeprowił się do Tilbury. Nie wrócił. Naszym zdaniem dwaj pozostali nie przekroczyli Tamizy, lecz zawrócili, kiedy wiedliście na prom.

– Zapewne żeby pilnować wybrzeża. – Gareth pokiwał głową.

Jack się z nim zgodził.

– Namierzyliśmy tego, który przeprowił się przez rzekę, z grupą ośmiu innych. To właśnie im zaniósł wieści. Przybyliśmy akurat w porę, żeby zobaczyć, jak wysyłają kolejnego posłańca na północ. Rzecz godna uwagi, skoro Wolverstone przebywa na północy i tam też wiedzie nasza trasa. Jeśli również Czarna Kobra gdzieś tam się ulokował...

– Odniosłem wrażenie, że ci za nami nie chcieli nas zatrzymać – rzekł Gareth. – Przepuścili liczne doskonałe okazje do urządzenia zasadzki.

Tristan przytaknął.

– Jest ich ośmiu. Dziewięciu, jeśli posłaniec wróci. Powóz ma trzech obrońców na zewnątrz i jednego w środku. Można by sądzić, że proporcje wydają się im nęcące.

– Widocznie dostali rozkazy, żeby śledzić i słać wieści naprzód, ale nie wdawać się w potyczki, to znaczy jeszcze nie teraz. – Jack uśmiechnął się drapieżnie. – Zaczyna się robić interesująco.

– W jakim sensie? – Emily zmarszczyła brwi.

– Ponieważ najwyraźniej znów nas zaganiają – odparł Gareth. – Dopóki zdążamy na północ, ci z tyłu będą zachowywać dystans, ograniczając się do śledzenia, gdyż przed nami znajdują się większe siły, którym łatwiej będzie nas przechwycić.

– Wygląda na to, że Czarna Kobra nie chce ryzykować – stwierdził Jack.

– Moim zdaniem szykuje dla was na jutro pułapkę na drodze, taką, z której nie zdołacie się wydostać. A przynajmniej tak mu się zdaje.

– W rzeczy samej – zgodził się z błyskiem w oku Tristan. – Ktoś chętny się założyć, że dokładnie to Royce zamierzał osiągnąć swoim planem? Bardzo

się ucieszy na wieść, że Czarna Kobra przyczał się między nim a nami, gdzieś na terenie hrabstw Essex albo Suffolk.

– Nic przyjmuję zakładu. – Jack wykonał gest kieliszkiem. – Wyznaczenie takiego celu bardzo pasuje do Royce'a. – Pochwyił wzrok Garetha. – Ty i twoi towarzysze podjęliście wyśmienitą decyzję, mianując Wolverstone'a waszym aniołem stróżem.

– Bez wątpienia przykłada wagę do detali. – Gareth w skrócie przedstawił obserwacje poczynione w trakcie wcześniejszego rekonesansu. – To miejsce idealnie nadaje się do obrony.

Pukanie do drzwi obwieściło, że przybył właściciel gospody z obiadem. Mooktu, Bister i Mullins udali się do baru, by także coś zjeść.

Kiedy we czworo w saloniku skończyli posiłek, a gospodarz sprzątnął ze stołu, Gareth wyszedł i zaprosił trzech mężczyzn, żeby znów do nich dołączyli.

Właśnie zajęli wszyscy miejsca, kiedy do pokoju po raz kolejny zajrzał właściciel gospody.

– Posłaniec do lorda Warnefleeta.

Jack wykonał zapraszający gest i gospodarz cofnął się, przepuszczając stajennego w średnim wieku. Mężczyzna pokłonił się, wyjął z kieszeni zapieczętowany list i wręczył go Jackowi. Ten złamał pieczęć i przebiegł wzrokiem treść wiadomości.

Stajenny odkaszlnął.

– Mam zapytać wasze lordowskie mości o sytuację tutaj.

W paru zwięzłych zdaniach Tristan przekazał mu ich obserwacje wraz z wnioskiem, że są zapędzani w zasadzkę.

Stajenny powtórzył najważniejsze punkty. Tristan z aprobatą skinął głową.

Jack podał Garethowi wiadomość od Wolverstone'a, a sam spojrział na posłańca.

– Przekaż także swemu panu, że zastosujemy się do jego zaleceń i sporządzimy kopię listu.

Mężczyzna się pokłonił.

– Jeśli wasze lordowskie mości nie mają nic więcej do dodania, od razu ruszam w drogę.

Nie mieli. Kiedy Tristan go zwolnił, stajenny odwrócił się i wyszedł.

Tymczasem Emily czytała wiadomość od księcia, zaglądając Garethowi przez ramię.

– Pójdę po papier i atrament, żeby sporządzić kopię. – Wstając, spojrziała na Jacka. – Na co ona księciu?

– Szczegóły – odparł Jack. – Ponieważ Delboroughowi opłaciło się poświęcić kopię, niewykluczone, że my też się na to zdecydujemy, a wówczas Royce nie miałby czego analizować. Zechce się upewnić, czy w samej treści listu nie kryje się dodatkowy ślad. Może nawet szyfr. Na pewno wziął to pod uwagę, a przy tym lepiej niż ktokolwiek inny wie, czego szukać.

– Nie będzie jednak mógł tego zrobić – Tristan przyjął podaną mu przez Garetha wiadomość od księcia – nie mając przed sobą listu, a przynajmniej jego wiernej kopii.

Emily ze zrozumieniem skinęła głową i wyszła.

– Cieszę się, że Delborough się przedarł i nic mu nie grozi oraz że Monteith także jest już w Anglii – rzekł Gareth i umilkł.

– Kto jest czwarty? – spytał Jack.

– Carstairs. – Gareth zerknął na Jacka. – Kapitan Rafe Carstairs, inaczej zwany Narwańcem.

– Jeżeli przybywa jako ostatni... – Tristan uniósł brwi.

Skoro Rafe miał dotrzeć do Anglii jako ostatni, zdawało się niemal pewne, że to on przewozi oryginał. Wszyscy doszli do takiego wniosku, lecz nikt nie wypowiedział owej myśli głośno. Gareth jedynie skinął głową.

– Co z wartami? – spytał. – Musimy zachować czujność.

Wróciła Emily, niosąc damski sepet* podróżny z wiekiem inkrustowanym masą perłową. Postawiła go na stole i otworzyła, przysuwając bliżej lampę olejową.

– List?

Gareth wyjął tubę z wewnętrznej kieszeni surduta i, obserwowany z fascynacją przez troje pozostałych, odblokował skomplikowany system dźwigiemek. Otworzył wieczko, wyjął z tuby list i podał go Emily.

Wyglądziła pojedynczą kartkę, usiadła, zamoczyła pióro w atramencie i zaczęła przepisywać.

– Mogę zobaczyć? – Jack wskazał głową tubę.

Gareth podał mu ją z uśmiechem.

Podczas gdy Tristan i Jack bawili się, otwierając i zamykając tubę, oraz wypytywali Garetha o tego rodzaju orientalne wynalazki, Emily z opuszczoną głową skupiała się na swym zadaniu.

Z chęcią skorzystała z okazji, żeby wnieść wkład do misji Garetha – zrobić coś, jakkolwiek drobnego, co mogło pomóc w pokonaniu Czarnej Kobry. Przewidywane szczęście jej i Garetha tylko uwypukliło smutek Emily z powodu śmierci MacFarlane'a; teraz lepiej pojmowała, jak wiele mu odebrano, jak wiele odebrał mu Czarna Kobra.

Jeśli tylko będzie mogła w jakiś sposób przyczynić się do postawienia tego nikczemnika przed obliczem sprawiedliwości, zrobi to.

**Sepet – rodzaj ozdobnego kufra, skrzyni z otwieranymi drzwiczkami i szufladkami – przyp. red.*

Nim wreszcie, najlepiej jak umiała, skopiowała symbol, którym podpisywał się Czarna Kobra, a potem osuszyła sporządzoną kopię, mężczyźni zdążyli już uzgodnić porządek wart. Zwróciła Garethowi jego kopię. Zwinął ją i wsunął z powrotem do tuby, którą następnie zamknął i upchnął w wewnętrznej kieszeni surduta. Teraz, kiedy Emily wiedziała, gdzie znajduje się tuba, dostrzegła wybrzuszenie, lecz nie rzucało się ono za bardzo w oczy; stawało się jeszcze mniej widoczne, kiedy Gareth nosił tubę w kieszeni płaszcza.

Gdy ustalili godzinę odjazdu – nazajutrz rano – wstali i udali się na spoczynek. Mullins objął pierwszą wartę. Zostawili go, siedzącego na krześle przy końcu korytarza, zwróconego twarzą ku schodom.

Pierwszy alarm nastąpił o północy. Bister zniecka zapukał do drzwi ich sypialni. Gareth dopadł do nich przed Emily. Narzucając pelerynę na koszulę nocną, pospieszyła za nim.

Spojrzał na nią.

– Ktoś usiłuje się włamać do saloniku na dole. Bister i ja zejdziemy to sprawdzić. Ty tu zaczekaj.

– Nie ma mowy. – Chwyciła gałkę u drzwi. – Wy dwaj idźcie przodem, będę za wami.

Gareth zawahał się, jednak, prawdę mówiąc, wolał mieć ją przy sobie. Kult mógł przypuścić atak jednocześnie na dole i od strony dachu. Krótko skinął głową.

– Ale trzymaj się z tyłu.

Udał, że nie widzi, jak Emily przewraca oczami.

Jack, Tristan, Mullins i Mooktu byli już na korytarzu. Jack przyłożył palec do ust a potem na migi pokazał, że on i Tristan zejną tylnymi schodami,

okrażą budynek i zajdą włamywaczy od tyłu. Mooktu i Mullins zostaną przy sypialniach, na wypadek gdyby ktoś usiłował wtargnąć także i tutaj.

Gareth skinął głową i rozeszli się w ciszy.

Bister podążył za Garethem na parter. Idąca tuż za ordynansem Emily stawiała kroki przy samej ścianie, żeby schody nie skrzypiały. W połowie drogi na dół Bister po omacku odnalazł jej rękę i wcisnął w nią rękojeść noża. Emily chwyciła ją mocno i podziękowała mu skinieniem głowy, kiedy się obejrzał.

Ściskając nóż, poczuła się mniej bezbronna, martwiła się jednak przede wszystkim o Garetha, który w ciemności skradał się przez westybul do drzwi saloniku. Skinieniem polecił jej i Bisterowi, żeby zostali z tyłu. Odrobinę uchylił drzwi, przez moment nasłuchiwał, a potem wolno otworzył je szerzej.

Zniknął w mroku za nimi.

Bister dopadł drzwi pierwszy. Emily podążyła za nim do środka i w ciemności wypatrzyła Garetha, duży, odcinający się od otoczenia cień. Czekał przy oknie, nasłuchując.

Solidne drewniane okiennice były zamknięte i zabezpieczone od środka, podobnie jak i samo okno. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby członkowie kultu zdołali sforsować tę przeszkodę.

Kiedy Emily zbliżyła się do okna i wyteżyła słuch, usłyszała szepty; charakterystyczny zaśpiew wskazywał, że rozmówcy są Hindusami.

Raptem szepty stały się głośniejsze, po czym zamarły.

– Do diabła! – Gareth otworzył okno, odbezpieczył okiennice i mocno pchnął je na zewnątrz.

Po drugiej stronie dziedzińca gospody w nikłym blasku księżyca ujrzeli dwie zwrócone ku nim, zszokowane twarze. Potem członkowie kultu wzięli nogi za pas.

Moment później przy oknie pojawili się Jack i Tristan, spoglądając w kierunku drzew, między którymi zniknęli członkowie kultu.

– Co się stało? – spytał Tristan.

– Zrezygnowali – odparł zde gustowany Gareth.

Tamci dwaj chrząknęli z niezadowoleniem. Przez chwilę patrzyli na las, opierając dłonie na biodrach. Wreszcie pokręcili głowami, machnęli rękami z rezygnacją i powlekli się z powrotem do tylnego wejścia.

Gareth na nowo zabezpieczył okiennice, a potem za mknął okno. Nim się odwrócił i skinął na pozostałych, by wracali na górę, Bister zdążył odebrać od Emily swój| nóż.

Wspięli się na piętro, nie zwracając sobie dłużej głowy zachowaniem ciszy.

Emily obudziła się parę godzin później. Niepewna, co takiego zakłóciło jej sen, przez chwilę leżała nieruchomo, po czym nagle usiadła.

Ten ruch zbudził Garetha. Spojrzał na nią.

– Co się stało?

Nabrała powietrza i szybko wypuściła je z płuc.

– Dym. Jestem pewna.

Gareth już wstawał z łóżka.

Szamocząc się z peleryną, Emily dołączyła do niego przy drzwiach, lecz zaraz zmarszczyła brwi i zawróciła.

– Tutaj tak tego nie czuć. Spała bliżej okna.

Tymczasem Gareth wyszedł już na korytarz. Mooktu pełnił wartę, siedząc w pobliżu schodów, żeby usłyszeć ewentualne hałasy z dołu. On także nie wyczuł dymu.

Dach pokryto łupkiem, z tej strony nie było więc zagrożenia. Zdezorientowany Gareth wrócił do sypialni – i zastał Emily przy oknie, gdzie mocowała się z klamką.

Dopał do niej w okamgnieniu, chwycił za ramiona i odciągnął od szyby.

– Uważaj! Masz białą koszulę nocną, zobaczą cię.

– Tak, ale...

– Wiem. – Przy oknie zapach dymu był lepiej wyczuwalny. – Pozwól, że ja to zrobię.

Puścił ją, zebrał surdut pod szyją i otworzył okno.

Z podmuchem wiatru wdarła się do pokoju gryząca woń dymu z palącego się drewna.

Gareth otworzył okno szerzej, wykorzystując okienne skrzydło jako swego rodzaju tarczę, aż wreszcie mógł spojrzeć w dół, wzdłuż ściany. Ogień snuł się skądś na tyłach budynku. Śledząc wzrokiem jego trasę... w mroku Gareth wypatrzył trzech mężczyzn, którzy stali, gapiąc się na stos drewna pod ścianą gospody.

Planowali rozpalić ogień, który sięgnąłby okiennic lecz w grudniu, w Anglii, drewno było mokre. Zdołali rozniecić zaledwie maleńki płomień u dołu stosu. Jeden członek kultu przykucnął i dmuchnął – akurat kiedy zaczęła się nawałnica. Deszcz lunął na mężczyzn i zgasił rodzący się ogień, powodując jeszcze więcej dymu.

Trzej niedoszli podpalacze odstępili, kaszląc i machając rękami. Zamienili ze sobą półgłosem kilka słów, po czym odwrócili się i zniknęli między drzewami.

Gareth patrzył z góry, jak odchodzą.

– Co się dzieje? – syknęła Emily.

Deszcz się wzmógł. Gareth spojrzął na całkiem już przemoczony stos drewna i zamknął okno.

– Poszli sobie. – Odwrócił się do Emily i Mooktu. – Usiłowali podpalić gospodę, ale nieszczęśliwie się do tego przyłożyli.

– Ty odzyskasz te przeklęte listy! – W głosie Aleksa pobrzmiwała lodowata furia. – Każdą kopię, co do jednej !

W salonie domu, który zarekwirowali na swoją kwaterę w Bury St. Edmunds, Daniel spojrzął na Rodericka, czekając na jego odpowiedź.

On i Alex przeżyli właśnie paskudny szok. Okazało się, że list, który przyjechali tu przechwycić, stanowi dla nich o wiele większe zagrożenie, niż pierwotnie sądzili. Roderick, ten idiota, w roztargnieniu wymienił w nim prawdziwe nazwiska Daniela i Aleksa. Jakkolwiek mało kto, czytając treść, zauważyłby związek, gdyby ów list, choćby tylko jego kopia, trafił w ręce hrabiego Shrewtona, ich ojciec rozpoznałby, że mowa o jego bękartach. Roderick był ukochanym synem z prawego łóża. Jak przed chwilą zauważył Alex, jeśli pojawią się naciski, by ukarać odpowiedzialnych za kult Czarnej Kobry, hrabia bez wahania poświęci swe bękarty, żeby ocalić Rodericka – to nie ulegało wątpliwości.

Jednakże Roderick nie mógł funkcjonować jako Czarna Kobra bez Daniela i Aleksa. I wiedział o tym.

Oczy Rodericka zwęziły się tak, że przywodziły na myśl dwa okruchy błękitnego lodu.

– W porządku. – Skinął krótko głową z zaciętym wyrazem twarzy. – Tak zrobię.

– W jaki sposób? – Spoglądając nań jeszcze bardziej lodowato, Alex zajął miejsce przed kominkiem. – Powiedz nam, jak tego dokonasz, braciszku.

Roderick zerknął na przewożoną przez Delborougha kopię listu, dla odzyskania której zmuszony był zabić własnego człowieka, Larkinsa.

– Hamilton jest w Chelmsfordzie. Wysłałem ośmiu ludzi, żeby śledzili i nękali jego grupę, nie spuszczając jej z oczu. Jutro dołączę do nich z większymi siłami, z częścią naszej elity. Będziemy dysponować przewagą liczebną: Hamilton ma ze sobą tylko trzech mężczyzn, a do tego ochrania kobietę. Dopadniemy ich, pojmy my jego oraz tę kobietę i przywieziemy tutaj.

– Roderick posłał Aleksowi jadowite spojrzenie. – Będę zmuszony powierzyć ich waszemu miłosierdziu, gdyż właśnie otrzymałem wiadomość, że Monteith jest już w kraju. Co więcej, także zdąża w tym kierunku, tyle że od strony Bath. Podobnie jak Delborough, ma dwóch ludzi obstawy, towarzyszy mu też jakiś pirat. Będę musiał udać się na zachód, żeby utrzymać go z dala od Cambridgeshire.

– To się szybko przekształca w najgorszy możliwy scenariusz – skonstatował Daniel. – Czterej kurierzy schodzą na ląd w odległych od siebie portach. Nasi obserwatorzy na wybrzeżu są rozproszeni. Jakkolwiek, mimo poniesionych strat, nadal mamy wielu ludzi, uzyskanie w porę informacji, dokąd ich posłać...

– Tym lepiej – z wyższością wpadł mu w słowo Alex – że nasze cztery ptaszki lecą na tę samą grzędę, a ktokolwiek pociąga w tej sprawie za sznurki, znajduje się w pobliżu. – Spojrzał nienawistnie na Rodericka. – Dla tego właśnie zasugerowałem, żebyśmy się tu przenieśli. Ja będę strzegł naszego fortu tutaj, z M'wallahem i moją strażą, wy dwaj zaś będziecie musieli objąć dowodzenie w polu.

Alex przeniósł spojrzenie na Daniela, który w milczeniu, prawie że niezauważalnie skinął głową. Oni dwaj ufali Roderickowi mniej więcej tak samo jak ojcu.

Nieświadom tej wymiany, Roderick krótko skinął głową.

– Jutro zdejmę Hamiltona. Część naszych sił stacjonuje już po drugiej stronie Cambridge. Wystarczą do tego, by zająć się Monteithem. – Roderick spojrział na Daniela. – Mógłbyś...

– Nie – przerwał mu Alex. – Monteitha na razie zostawmy. Nie zbliżył się jeszcze na tyle, żeby trzeba było działać natychmiast. Poczekamy na więcej szczegółów na jego temat, nim coś zaplanujemy. Jak mówisz, mamy już w tamtej okolicy ludzi. Jakies wieści o Carstairsie?

– Nie, odkąd opuścił Budapeszt. – Roderick przecesał palcami włosy. – Nadal przebywa gdzieś na kontynencie, nie dotarł jeszcze do wybrzeża.

– O ile wiemy – dorzucił z przekąsem Alex.

Daniel wstał.

– W takim razie wesprę cię przy Hamiltonie.

Roderick skłonił głowę, przyjmując tę, jak mniemał, propozycję pomocy.

– Wyruszymy o pierwszym brzasku, kierując się na Chelmsford. Posłaniec wyjedzie nam naprzeciw i po twierdzy ich trasę. Przy odrobinie szczęścia będą zmierzać prosto ku nam, drogą przez Sudbury. Kiedy namierzemy powóz i połączymy się z tymi ośmioma, którzy go śledzą, wybierzemy miejsce do ataku. – Roderick spojrział na Aleksa. – Jako że jutro pojedzie z nami elita, bez trudu pojmy Hamiltona oraz tę wtrącającą się w nieswoje sprawy pannę Ensworth i odzyskamy list.

Na twarz Aleksa powrócił typowy dlań wyraz eleganckiego spokoju.

– Brzmi świetnie. – Alex pochwycił wzrok Rodericka i nieznacznie się uśmiechnął. – Nie mogę się już doczekać, by uczcić twój sukces.

20 grudnia 1822, nadal noc

Nasz pokój w gospodzie w Chelmsfordzie

Drogi pamiętniku,

Oto zbliża się ostatni dzień naszej podróży. Nigdy w życiu nie czułam się tak rozdarta. Tak bardzo pragnę, abyśmy wszyscy dotarli cali i zdrowi do Elveden, że gdybym tylko mogła, przeniosłabym nas tam myślami... lecz wtedy stracilibyśmy ostatnią i zapewne najlepszą okazję do starcia z wrogiem i przetrzebienia jego sił w tej okolicy, co najwyraźniej stanowi sedno planu Wolverstone'a.

Ponieważ Tristan i Jack, a nawet Gareth, ogromnie poważają Wolverstone'a, po prostu muszę wierzyć, że jego plan jest zarazem sensowny i wart zachodu. Że skoro oni trzej traktują wyeliminowanie członków kultu jako swój obowiązek, skoro są przeświadczeni o wadze tego posunięcia, to rzeczywiście wiele od tego zależy.

Muszę wierzyć (i w głębi serca wierzę), że zadanie ciosu kultowi jest warte każdego związanego z tym ryzyka.

Cokolwiek się wydarzy, jako nieustraszona Angielka, która przemierzyła pół świata, a w ostatnich tygodniach przetrwała niezliczone ataki, zamierzam odegrać w tym swoją rolę. Nieomal żywię nadzieję, że stanie się coś, co mi to umożliwi, tak bym zdołała istotnie przyczynić się do pomszczenia nieszczęsnego MacFarlane'a.

Ciągle staje mi przed oczami jego twarz. Wspomnienie jego odwagi zawsze będzie mi towarzyszyć.

Ani myślę pozwolić Garethowi zginąć z rąk Czarnej Kobry.

E.

Kiedy jedli śniadanie przy świetle olejowej lampy, Gareth opowiedział pozostałym o próbie podłożenia ognia pod gospodę.

– Standardowa praktyka kultu, w Anglii nieprzydatna.

Później, gdy Mooktu, Mullins i Bister szykowali powóz do drogi, Gareth pokazał Jackowi i Tristanowi dowody nieudanych wysiłków wroga. Znaleźli trzy różne miejsca, w których usiłowano rozniecić ogień.

– Zdeterminowani goście, nieprawdaż? – Tristan roztrącił butem popiół.

– Może jednak osiągnęli cel, na którym im zależało.

– Też mi to przyszło do głowy. – Gareth odchrząknął. – Raczej nie sądzili, że ogień utrzyma się na tyle długo, by wyrządzić realną szkodę. Chcieli jedynie dać nam się we znaki.

Jack popatrzył na osmalone kłody.

– Ktoś się założy, że czeka nas dziś starcie?

– Nie przyjmuję zakładu – odparł Tristan. – Dziś bez wątplenia będzie nasz dzień.

Głośne nawoływanie ściągnęło ich z powrotem na dziedziniec przed gospodą. Na użytek członków kultu, którzy ani chybi ich obserwowali, Jack i Tristan wymienili z Garethem uściski dłoni, a potem, machając radośnie na pożegnanie, niespiesznie odjechali na południe, przez miasto, jakby zmierzali w innym kierunku niż powóz.

Tak naprawdę zatoczą koło i, podobnie jak poprzedniego dnia, zajmą pozycję na tyłach śledzącej pojazd grupy członków kultu.

Emily siedziała już w powozie, skulona pod stosem koców. W mroźnym powietrzu z ust Garetha unosiły się obłoczki pary, kiedy spoglądając na Bistera na dachu oraz Mooktu i Mullinsa na koźle, powiedział:

– Bądźcie gotowi. Dzisiaj, gdzieś po drodze, uderzą.

Wyraz, jaki odmalował się na trzech zwróconych ku niemu twarzach, odzwierciedlał jego własne uczucia: „Nareszcie!”.

Gareth wspiał się do powozu, zamknął drzwi i ruszyli. Bez pośpiechu wytoczyli się z miasta, kierując się na północ, drogą do Sudbury i Bury St. Edmunds. Kiedy ostatnie domy zostały za nimi, Mullins trzasnął lejcam i konie wydłużyły krok.

Ściskając oburącz dłoń Emily, Gareth spoglądał na przesuwane się za oknem monotonne zimowe pola i czekał.

Nadal czekał, podobnie jak i pozostali, kiedy powóz wtoczył się do Sudbury. Gareth rozpoznawał tę taktykę, jakże często stosowaną przez przywódców kultu – kazać zwierzynie czekać, czekać i czekać, a gdy wreszcie, w sposób nieunikniony, straci czujność, zaatakować zniemacka – lecz mimo to dawała mu się ona we znaki. „Kiedy?”, to pytanie zaprzętało myśli wszystkich.

Gdy przejechali przez most nad rzeką Stour, Mullins wstrzymał konie na placu targowym, żeby spytać o drogę, po czym ruszył dalej i wkrótce skręcił na dziedziniec gospody Pod Kotwicą.

Gareth stanął na bruku, omiół spojrzeniem przybytek, do którego skierował ich Wolverstone, i poczuł, że gwałtownie narasta w nim wyczekiwanie. Gospoda była tak stara, że stanowiła zlepek rozmaitych wznoszonych przez wieki dobudówek, z wieloma skrzydłami i licznymi wejściami – zdawała się wręcz stworzona dla osób chcących dyskretnie wślizgnąć się do środka.

Zostawił Mooktu, Bistera i Mullinsa, żeby pilnowali powozu i zorganizowali wymianę koni, a sam wraz z Emily skierował się ku frontowym drzwiom.

W środku natychmiast pojawił się przed nimi właściciel.

– Major Hamilton? – spytał i rozpromienił się, kiedy Gareth przytaknął.

– Proszę, tędy. Są państwo oczekiwani.

Raźno podążyli za nim wąskim korytarzem. Mężczyzna zatrzymał się, zapukał, po czym otworzył drewniane drzwi, wnosząc z ich masywności. pochodzące jeszcze z czasów elżbietańskich. Z ukłonem zaprosił oboje do środka.

Emily weszła pierwsza, zastanawiając się, kto też ich oczekuje. Szeroko rozwarła oczy ze zdumienia, kiedy poznała odpowiedź.

W pokoju tłoczyli się postawni dżentelmeni, a nie chodziło o byle salonik, lecz o jedno z głównych pomieszczeń reprezentacyjnych gospody. Szybko policzyła: było ich dziesięciu, przy czym, sądząc z wyglądu, wszyscy służyli niegdyś w Gwardii. Wszelako to mężczyzna pośrodku owej grupy, ten, naprzeciw którego dziwnym trafem się znalazła, w pełni przykuł jej uwagę.

Miał ciemne włosy, lecz wielu innych także. Nie był również najwyższy spośród obecnych. A jednak nie ulegało wątpliwości, że jest w tym gronie najpotężniejszy.

Twarz miał surową, o wyrazistych rysach, niemniej wargi wygięły mu się w uśmiechu, kiedy Emily dygnęła odruchowo.

– Jestem Wolverstone. Panno Ensworth, miło mi panią poznać. – Ukłonił się nad jej dłonią. – Jak rozumiem, odegrała pani kluczową rolę w dostarczeniu listu Czarnej Kobry obecnemu tu Delboroughowi.

Emily zerknęła na mężczyznę u boku słynnego Wolverstone'a i rozpromieniała się.

– Pułkownik Delborough, z radością znów pana widzę.

– A ja panią, panno Ensworth. – Delborough się pokłonił. Gdy się wyprostował, spojrzął za Emily i twarz mu się rozjaśniła. – Gareth!

Emily odsunęła się na bok, autentycznie szczęśliwa, że może się przyglądać, jak Gareth i Delborough podają sobie ręce, a potem obejmują się serdecznie.

– Logan i Rafe? – spytał Gareth, cofając się o krok. – Logan zszedł na ląd w Plymouth i zmierza w tym kierunku. Powinien dotrzeć tu jutro. Rafe... – Delborough się skrzywił. – Nie mamy o nim wieści, ale znasz Rafe'a. Całkiem możliwe, że pojawi się na progu Wolverstone'a niezapowiedziany, z uśmiechem przepraszając za to, że niechcący ominął wszystkie punkty, w których miał się zameldować.

– Byleby się przedarł. – Gareth wyciągnął rękę do Wolverstone'a. – To dla mnie zaszczyt poznać pana, wasza łaskawość.

Wolverstone z uśmiechem uściśnął jego dłoń.

– W tym towarzystwie po prostu Royce. Pomijając inne kwestie, nie jestem w tym gronie jedyną „łaskawością”. – Uniesieniem brwi wskazał mężczyznę po swojej prawej.

– Diabeł! – Gareth uściśnął dłoń rzeczzonego dżentelmena, pokleпали się po plecach. Później przypomniał sobie, że powinien przedstawić Emily. – Diabeł Cynster, księżę St. Ives.

Tym sposobem Emily rozpoczęła rundę prezentacji. Gareth z entuzjazmem odnowił znajomość z hordą Cynsterów oraz hrabią imieniem Gyles, zaś Delborough przedstawił ich oboje dwóm nieznanym wcześniej Garethowi mężczyznom, którzy okazali się dawnymi kolegami Jacka i Tristana, a zarazem, podobnie jak ci dwaj, byłymi szpiegami Dalziela, czyli Royce'a.

Wirowało jej już w głowie, kiedy do pokoju wmaszerował właściciel gospody z kompanią niosących półmiski pomocników. Tuż za nimi weszli Jack i Tristan; zgotowano im entuzjastyczne powitanie.

Obsługa się wycofała, a ich grupa, licząca teraz czternaście osób, zasiadła do stołu, z Royce'em u szczytu i St. Ivesem naprzeciw niego. Royce posadził Emily po swojej prawej. Nieco jej ulżyło, kiedy Gareth zajął miejsce

obok niej. Od niego, Jacka i Tristana usłyszała dostatecznie dużo, by się spodziewać, że Wolverstone jej zaimponuje, lecz rzeczywistość znacząco przerosła jej wyobrażenia.

Półmiski krążyły wokół stołu. Emily namawiano, żeby spróbowała tego czy owego, później jednak uwaga wszystkich skupiła się na talerzach. Przez jakieś dwie minuty panowała cisza. Wreszcie Gareth spojrzął na siedzącego naprzeciw Delborougha.

– Słyszeliśmy, że poświęciłeś swój list. Co się stało? Delborough przytaknął i złożył relację z tego, jak zamieszanie wynikłe z połączenia jego ludzi ze służbą damy, którą, jak się niespodziewanie dowiedział, miał eskortować na północ, pozwoliło Czarnej Kobrze wprowadzić między nich złodzieja – zastraszonego hinduskiego chłopca. Kiedy już Del, wspomniana dama i towarzysząca im obstawa pokonali siły Czarnej Koby i dotarli do celu podróży, czyli wiejskiej rezydencji St. Ivesa, ów chłopiec, Sangay, ukradł tubę, lecz ze względu na niedawne obfite opady śniegu nie mógł wydostać się z nią z budynku.

– Po nienaruszonym śniegu poznaliśmy, że nikt nie wchodził do domu ani go nie opuszczał, zaczęliśmy więc szukać i w końcu znaleźliśmy chłopca. Kiedy przekonaliśmy go, że potrafimy zapewnić bezpieczeństwo jemu i jego matce, pomógł nam zastawić pułapkę na Czarną Kobrę. – Delborough prychnął. – Gdzieżby indziej, jeśli nie w katedrze w Ely.

Następnie opowiedział, jak Czarna Kobra, Ferrar, z rozmysłem zabił własnego człowieka, żeby samemu uciec z tubą.

– Zawierała ona wszakże jedynie kopię. – Wolverstone spojrzął na Garetha. – Dlatego właśnie tu jesteśmy: ponieważ Ferrar już to stwierdził, a skoro udało mu się zdobyć tubę Delborougha, spróbuje przejąć również tę przewożoną przez ciebie. To więcej niż pewne. – Potoczył wzrokiem po

obecnych. – A nam dokładnie na tym zależy, ponieważ musimy zredukować siły kultu, szczególnie w tej okolicy. Mój plan miał na celu doprowadzenie do tego, by Ferrar miotał się wte i wewte po okolicznych hrabstwach, przy każdej okazji tracąc ludzi. Delborough zgarnął czternastu. Mam nadzieję, że zlikwidujemy dziś podobną liczbę, a jutro Monteith i jego towarzysze dopadną kolejnych.

– Zatem Rafe...? – spytał cicho Gareth.

Royce jedynie się uśmiechnął.

– Wiesz tylko tyle, ile trzeba. – Jack pochwycił wzrok Garetha. – Tak to się zawsze odbywa.

– W rzeczy samej. – Royce odsunął na bok pusty talerz. – Przekonajmy się więc, ile uda nam się dzisiaj osiągnąć. – Spojrzał pytająco na Jacka i Tristana. – Jak wygląda sytuacja?

– Są tutaj, i to w sporej liczbie. – Jack wyprostował się na krześle. – Śledziliśmy ośmiu, którzy podążali za powozem od Tilbury. Dzisiaj, na północ od Braintree. dołączyło do nich dziesięciu kolejnych. Nawiasem mówiąc, nadjechali z północy. Dla nas szczególnie interesujące jest, że dwaj z tej grupy to Anglicy. Nie znam Ferrara. więc trudno mi orzekać z całą pewnością, ale przypuszczam, że jeden z nich to on. Ten drugi jest podobnej budowy, ma ciemniejsze włosy.

– Bardzo dobrze się znają – wtrącił Tristan. – Przy czym ten drugi jest równy pozycją Ferrarowi, to na pewno nie służący. Dało się to stwierdzić, obserwując, jak się do siebie odnoszą.

– Ciekawe wieści. – Royce uniósł brwi. – Mamy zatem potencjalnego... powiedzmy, że zastępcę. W dodatku Anglika. Jeśli nadarzy się okazja, musimy go schwytać.

– Spojrzał na Tristana i Jacka. – Zatem w pobliżu Braintree było ich osiemnastu przeciw powozowi z czterema obrońcami. Co się stało? Jak daleko stąd do Braintree? Dwadzieścia kilometrów?

– Coś około tego – odparł Jack. – Nie zbliżyłem się do nich na tyle, by podsłuchać rozmowę, wydaje mi się jednak, że ten ciemnowłosey chciał atakować, lecz Ferrar się nie zgodził. Całą bandą podążali za powozem, niemalże go osaczając, i tak aż do Sudbury.

– Kiedy powóz przejechał przez most, porzucili go i okrążyli miasto. – Tristan wskazał głową na północ.

– Zostawiliśmy ich, kiedy ulokowali się na wzniesieniu, skąd mogą obserwować drogi do Bury i Lavenham.

Royce skinął głową.

– Odgadli, że Hamilton skieruje się na północ, jak to wcześniej zrobił Delborough, ale nie wiedzą, dokąd konkretnie. Zajęli więc pozycję, która pozwoli im ruszyć znów za powozem, kiedy ten opuści Sudbury. Jakies domysły co do tego, czemu odłożyli atak? – zapytał, spoglądając na Demona Cynstera.

Wszystkie oczy zwróciły się w ślad za jego spojrzeniem.

– Wydaje mi się – rzekł Demon – że Ferrar, znając trochę te tereny, orientuje się, że odcinki dróg z Sudbury do Bury, podobnie jak z Sudbury do Lavenham, lepiej nadają się do przeprowadzenia ataku.

– Ktoś wziął ze sobą mapę? – spytał Royce.

Okazało się, że Vane Cynster o tym pomyślał. Wyjął z kieszeni i rozwinął dużą mapę, obejmującą większość wschodnich hrabstw. Liczne ręce pomogły wygładzić ją i unieruchomić przed Royce'em i Garethem. Demon pochylił się nad nią.

– Tu jest Sudbury. A tutaj – wskazał punkt tuż obok, na północ od miasta – czeka Ferrar.

– Gdybyś był nim, gdzie urządziłbyś zasadzkę na powóz? – spytał Royce, studiując mapę.

– Tutaj. – Demon puknął palcem bez chwili namysłu. – Kawalek za skretem na Glemsford i Clare. Jeśli pojedzie się tą odnogą, nieco dalej jest polna dróżka prowadząca do Bury. To miejsce wręcz wymarzone na atak.

– Pamiętaj, że Ferrar i kult zwykli polegać na przewadze liczebnej. – Del spojrzał na Demona. – Zdoła zaatakować stamtąd, wykorzystując wszystkich swoich ludzi?

Demon potwierdził.

– Rośnie tam dość drzew, żeby ich ukryć, a przy tym akurat w tym miejscu ciągnące się zwykle wzdłuż drogi żywopłoty cofają się, zaś szerokie, płytkie rowy, otwarte i niezarośnięte, idealnie nadają się do przeprowadzenia ataku na stojący powóz. Wystarczy, że Ferrar pošle kilku ludzi na drogę, by zatrzymali powóz, a wtedy znajdziecie się w pułapce, zdani na jego łaskę.

– My zaś mu na to pozwolimy. Wyśle swe sity przeciw powozowi, a wówczas uderzymy na nie od tyłu i zmieciemy z powierzchni ziemi. – Diabeł Cynster się uśmiechnął. – Proste.

Zewsząd rozległy się entuzjastyczne okrzyki poparcia.

– Tak, ale czy to najlepsze, co możemy zrobić? – mruknął Royce.

Wszyscy zamilkli.

Diabeł spojrzał na niego przez długość stołu.

– Cóż znowu, wasza przebiegłość?

Zebrani uśmiechnęli się, nie wyłączając Royce'a, ten ostatni jednak prędko spoważniał.

– Jak wielu z was zapewne odgadło, cały plan służy nie tylko temu, żeby oryginał listu Czarnej Kobry trafił w moje ręce. Ma on także na celu, jeśli to możliwe, dostarczenie nam kolejnego, bardziej oczywistego i obciążającego dowodu winy Ferrara. Idealem byłoby złapać go dosłownie z tubą w dłoni, tak by widziało go wtedy co najmniej kilku z nas, dzięki czemu zyskalibyśmy wielu świadków. Jeśli będę musiał go oskarżyć, dysponując jedynie listem, zrobię to, wolałbym jednak mieć na dowód coś więcej, coś, czego nie da się tak po prostu zniszczyć.

Przez chwilę wszyscy dumali nad tą kwestią, aż wreszcie Del skinął ku mapie.

– Twoim zdaniem dzisiaj mielibyśmy szansę zdobyć taki dowód?

Royce przytaknął wolno, wpatrzony w mapę.

– Sądzę, że to możliwe, jeśli tylko obmyślimy sposób. – Spojrzał na Garetha. – Gdzie masz tubę?

Gareth sięgnął do kieszeni przewieszzonego przez oparcie krzesła płaszcza i wyjął tubę. Postawił ją na mapie, na południe od Sudbury.

– W porządku. – Royce skinął głową. – Mamy więc na miejscu Ferrara, czyli pierwsze, czego nam trzeba. Mamy tubę, czyli przedmiot, który chcemy zobaczyć w jego rękach. Jeśli wjedziemy w przygotowaną przez niego zasadzkę, sam Ferrar się nie pokaże. Będzie trzymał się z tyłu, obserwując starcie. Kiedy pokonamy jego siły, zawróci i odjedzie. Nawet gdyby udało nam się zostać świadkami tego, jak posyła członków kultu do ataku na powóz... – Pokręcił głową. – Z tego zbyt łatwo się wytłumaczyć. Zaprzeczy jakimkolwiek związkom z kultem, a bez listu... ba, również z nim... niewykluczone, że on lub, co bardziej prawdopodobne, jego ojciec, pokona nas i Ferrarowi wszystko ujdzie płazem. Jeśli zatem zrobimy to, co oczywiste,

mianowicie po prostu ruszymy dalej i pozwolimy im zaatakować, wprawdzie przetrzebimy siły kultu, nie zyskamy jednak nic więcej.

– Alternatywą jest...? – ponaglił Diabeł, kiedy Royce umilkł.

– Musimy doprowadzić do tego, żeby tuba znalazła się w rękach Ferrara.

– Royce zmarszczył brwi. – Jeśli zdołamy nakłonić członków kultu, by ją wzięli, w taki sposób, że nie wzbudzimy podejrzeń ani w nich, ani w Ferrarze, przekażą mu ją, a wtedy będzie nasz. – Popatrzył na tubę. – Jednakże jak oddać im niewinnie to diabelstwo, po tym jak Hamilton i jego ludzie zażarcie walczyli, żeby dowieźć je aż tutaj?

To bez wątpienia był problem.

Mężczyźni zbili się w gromadę, wysuwając sugestie, wygłaszając opinie, rozważając możliwości.

Po chwili Emily odchyliła się na oparcie krzesła, izolując się od trwającej dyskusji. Zaświtał jej pewien pomysł, lecz potrzebowała spokoju, żeby go przeanalizować – na tyle, by przynajmniej usłyszeć własne myśli.

Gareth spojrział na nią, kiedy się poruszyła, i z bladym uśmiechem odsunął dla niej krzesło.

Podziękowała mu i wycofała się na siedzisko przy oknie po drugiej stronie pokoju. Usiadła we wnęce i wyjrzała na dwór, metodycznie opracowując swój koncept.

Gdy w końcu wstała i wróciła do stołu, mężczyźni rozważali sposoby „przypadkowego” zgubienia tuby. Jeden z Cynsterów, Gabriel, właśnie pokręcił głową.

– Zgubienie jej niby to przypadkiem nie odniesie skutku – orzekł. – Kiedy tylko to zrobisz, będą wiedzieli, że zawiera kopię, nieprzedstawiającą żadnej wartości, inaczej bowiem strzegłbyś jej jak oka w głowie. Domyśla się

zatem również, że to przynęta. A przynęta oznacza pułapkę, wezmą więc nogi za pas i stracimy nawet szansę na przetrzebiecie ich sil.

– Jeśli nie damy rady zgubić tuby tak, by wyglądało to wiarygodnie... – zaczął Royce, krzywiąc się.

– Ja mogłabym to zrobić. – Emily przystanąła za krzesłem, które zajmowała wcześniej.

Mężczyźni spojrzeli na nią.

– Zrobić co? – spytał Gareth. Popatrzyła na niego.

– Mogłabym zostawić tubę dla członków kultu w żywopłocie, w taki sposób, że nie wydałoby im się to podejrzane czy groźne. – Zerknęła na Jacka i Tristana, a potem znów spojrzała na Garetha. – Wyglądałoby to tak, jakbyście ty oraz Jack i Tristan, jeśli tamci zdają sobie sprawę z ich obecności, o niczym nie wiedzieli.

– Jak? – zapytał Royce.

Nadal stojąc. Emily zaczerpnęła tchu, wzięła do ręki tubę i, uderzając nią lekko o drugą dłoń, przedstawiła swój plan, punkt po punkcie.

Oczywiście, żadnemu z obecnych nie przypadł on do gustu, ale... musieli przyznać, że było to tak nieoczekiwane, iż mogło się udać.

– Ponadto wszyscy tam będziecie, co najmniej w zasięgu głosu – argumentowała z przykładną cierpliwością Emily. – Nie, żeby istniało prawdopodobieństwo, że coś pójdzie źle. Nie ma powodu podejrzewać, że znajdę się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Wielu z nich nadal sprawiało wrażenie, jakby lada moment mieli zacząć utyskiwać, ale Royce tylko spojrział na mapę.

– Zakładając, że tak zrobimy, gdzie najlepiej byłoby odegrać przedstawienie?

– Potrzebujemy żywoplotu – rzekł Demon – a to oznacza miejsce na trasie wcześniejsze od tego, gdzie atak wydaje się najbardziej prawdopodobny. I świetnie.

Gareth wstał z krzesła i pociągnął Emily za rękaw. Kiedy uniosła brwi, ujął ją za łokieć i poprowadził do siedziska przy oknie.

Zatrzymał się na wprost okna, zwrócony plecami do pokoju, z Emily u boku. Jego twarz wyglądała jak wykuta w kamieniu.

– Nie możesz tego zrobić – odezwał się cicho, ale nawet on słyszał napięcie we własnym głosie. – To zbyt niebezpieczne.

Przekrzywiła głowę i przez chwilę mu się przyglądała.

– Tak, koncept zawiera element niebezpieczeństwa, lecz tylko z tego względu, że zawsze może się zdarzyć coś nieprzewidzianego – przyznała wreszcie równie cicho.

– Ważąc wszystkie za i przeciw... to najlepsze rozwiązanie i dobrze o tym wiesz.

– Może i wiem, ale nie w tym rzecz. – Poruszył się niespokojnie. – Rozmawialiśmy o naszej przyszłości. Zdajesz sobie sprawę, jak wiele dla mnie znaczysz...

Emily przerwała mu, kładąc dłoń na jego ramieniu, mimo że te słowa brzmiały w jej uszach jak muzyka.

– Pamiętam tę rozmowę. Zaufanie. Partnerstwo. Dzielenie się wszystkim. – Poczekała, aż spojrzy jej w oczy. – Muszę to zrobić, Gareth, dla siebie samej i żeby pomóc tobie i pozostałym, a ty musisz mi na to pozwolić. Tym razem musisz mnie wesprzeć, a nie prowadzić. Musisz udzielić mi wsparcia w tym, czego wyłącznie ja mogę dokonać.

Zacisnął szczęki, ale nie odwrócił wzroku.

– Mówiłam ci: nasze wspólne życie już się zaczęło. Już zawiązało się między nami życiowe partnerstwo i musisz je uznać także w tej sprawie. – Chwyliła go za ramię, bez zdziwienia odkrywając, że mięśnie pod ubraniem są twarde jak stal. – Zwykłeś zawsze kierować się honorem, a dzisiaj, w tej sprawie, honor nakazuje, byś pozwolił mi świadomie podjąć to wyważone ryzyko.

– Nie podoba mi się, że na siłę poddaje się mnie... jakiemuś testowi.

Skłoniła głowę.

– Mnie także nie. Nie wybrałam tej sytuacji. Winien jest Czarna Kobra i jego knowania. Cała nasza podróż, wszystkie ataki, starcia i ucieczki okażą się bez znaczenia, jeśli nie doprowadzimy tej rozgrywki do końca, jeśli nie wyciśniemy, ile tylko można, z tego ostatniego rozdania.

Badawczo zaglądał jej w oczy; wyczuwała, że jego opór słabnie.

Uśmiechnęła się, nieco krzywo, lecz czule, i nachyliła ku niemu.

– Jesteśmy oboje dość silni, żeby tego dokonać – powiedziała – a nigdy byśmy sobie nie wybaczyli, gdybyśmy nie spróbowali.

Jeszcze przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem Gareth westchnął. Zaciskając wargi w wąską kreskę, skinął głową.

– W porządku.

Gdy wrócili do stołu, okazało się, że już wyznaczono miejsce jej eskapady: tuż za skrajem na Glemsford i Clare, a zarazem tuż przed odcinkiem drogi, który Demon opisał wcześniej jako idealny do przeprowadzenia ataku.

– Prawdopodobnie będą między tymi drzewami, zaraz tutaj – rzekł Demon – dzięki czemu wyraźnie cię zobaczą.

Emily spojrzała na mapę, a później na zegar na kominku. Omiotła wzrokiem obecnych przy stole.

– Czas ucieka, panowie. Kontynuujemy?

TTLR

Rozdział 20

Jechali w milczeniu. Kiedy Bister i Mooktu usłyszeli, jaki jest plan, zagapili się na Garetha, jakby postradał rozum, ale Mullins, który znał ją najlepiej, skinął głową.

– Warto spróbować – orzekł i wgramolił się na kozioł.

Emily życzyłaby sobie, by towarzysze wykazali nieco więcej wiary w jej aktorskie umiejętności, gdy jednak powóz toczył się miarowo na północ, ku Bury St. Edmunds, stanowczo wyrzuciła z myśli ich postawę i skupiła się na czekającym ją zadaniu.

Na tym, co miała zakomunikować nie słowami, lecz zachowaniem.

Jeśli jej się powiedzie, w istotny sposób przyczyni się do sukcesu misji Garetha. Odegra znaczącą rolę w doprowadzeniu tego nikczemnika przed oblicze sprawiedliwości; zwłaszcza ze względu na MacFarlane'a była zdeterminowana zrobić, co w jej mocy. Dać z siebie wszystko.

Wypatrzyła drogowskaz na Glemsford.

– Już prawie jesteśmy. Zatrzymaj powóz.

Kiedy tylko po ich lewej mignęła polna droga, Gareth zastukał w dach. Konie natychmiast zwolniły.

Gdy pojazd zakołysał się i stanął, Emily wyjrzała na zewnątrz. Pobłogosławiła w myślach Demona Cynstera: w tym miejscu wzdłuż drogi rósł wysoki, zwarty żywopłot z głogu. Choć o tej porze roku pozbawiony liści, był dostatecznie gęsty dla jej potrzeb. Kilka kroków w tyle znajdował się przejazd.

Spojrzała na Garetha i ścisnęła jego dłoń. Oddał ten uścisk, a potem z oporami ją puścił.

– Życz mi powodzenia.

Oczy mu pociemniały.

– Wracaj prędko i ukróć moje męki.

Z trudem stłumiła uśmiech, otworzyła drzwi i niezgrabnie wysiadła z powozu. Dzierżąc mufkę, w której idealnie zmieściła się tuba – dzięki Bogu, że była zima – cofnęła się kilka kroków drogą do przełazu. Zbliżywszy się do niego, obejrzała się i władczym gestem nakazała Mooktu oraz Bisterowi, żeby się odwrócili, ci bowiem, zgodnie z rozkazem, spoglądali w ślad za nią.

Gdy niechętnie posłuchali. Emily, marszcząc brwi i zaciskając usta w wąską kreskę, przedostała się przełazem na drugą stronę żywopłotu, jakby się udawała za potrzebą.

Ledwie jednak żywopłot zasłonił ją przed widokiem z drogi, jej zachowanie diametralnie się zmieniło. Zniknęła cała pewność siebie. Emily zagryzła wargę, rozejrzała się ukradkiem. Zaczepnęła tchu i pobiegła kawałek wzdłuż żywopłotu, byle dalej od powozu.

Zatrzymała się. Podniosła głowę, lecz zaraz ponownie się przygarbiła i zaczęła spacerować. Tam i z powrotem, gestykulując jedną ręką, jakby spierała się sama ze sobą. W rozpacz, wyraźnie nie wiedząc, co powinna zrobić, którą z dwóch równie złych opcji wybrać.

Po raz kolejny przystanąła. Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko, wyjęła tubę z mufki i, nie poświęcając jej choćby jednego spojrzenia, na użytek potencjalnych obserwatorów z rozmachem uniosła ją nad głowę, po czym wepchnęła głęboko w żywopłot.

Zebrała spódnice i spiesznie wróciła do przełazu. Przedostała się na drogę. Znów przybierając władcą postawę, ruszyła w kierunku powozu.

W jego wnętrzu Gareth czekał z dłonią zaciśniętą na klamce, spięty i gotów do działania, licząc minuty – nasłuchując jej krzyku. Umysł podsuwał mu wizje rozmaitych potwornych scen. Członkowie kultu ostrzelali ją z

łuków. Nadjechali grupą, z dobytymi kindzalami... Prędko wymazał z myśli następujący po tym obraz. Zaklął. Niemniej w przypadku Czarnej Kobry niczego nie dało się wykluczyć.

Dosłownie drżał z wysiłku wkładanego w zachowanie spokoju, powstrzymywanie się, by nie wypaść na drogę sprawdzić, gdzie ona jest, kiedy usłyszał jej kroki. Wracała.

Z ulgi niemalże osunął się na kolana. Poruszyła się klamka. Puścił ją i cofnął się głębiej na siedzenie.

Drzwi się otworzyły i to była ona, patrzyła na niego pytająco. Nie wiedział, co malowało się na jego twarzy. Z wysiłkiem uniósł rękę i gestem zaprosił ją do środka.

Wspięła się na stopień, a potem odchyliła, każąc Mullinsowi ruszać. Następnie weszła do powozu, zatrzasnęła za sobą drzwi i opadła na siedzenie naprzeciw Garetha.

Uśmiechnęła się promiennie.

Powóz szarpnął i potoczył się, nabierając prędkości. Gareth odkaszlnął.

– Wszystko w porządku?

Wyprostowała się na siedzeniu, nadal radośnie uśmiechnięta.

– Chyba właśnie odegrałam przedstawienie mojego życia.

Pożerał ją wzrokiem, zmusił się jednak, by poczekać, aż powóz pokona następny zakręt i opuści odcinek idealny do przeprowadzenia ataku. Ani śladu członków kultu. Dopiero wówczas pochylił się, chwycił ją w pól, posadził sobie na kolanach i gwałtownie wpił się w jej usta.

Royce, Del, Diabeł i wszyscy pozostali – z wyjątkiem Jacka i Tristana, którzy podążali wzdłuż drogi śladem powozu jako jego obstawa – czekali na wzgórzu na południowy zachód od miejsca nowej lokalizacji tuby. Obserwowali.

Z krytycznym dystansem obejrzeni przez lunety odegrane przez Emily przedstawienie.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły i powóz potoczył się dalej, mijając obszar prawdopodobnego ataku, a wreszcie, nieniekpokojony, zniknął im z oczu, Royce opuścił lunetę.

– Gdybym nie znał prawdy, byłbym skłonny uwierzyć, że puściły jej nerwy i wyrzuciła to, co w jej mniemaniu stanowi przyczynę ich kłopotów.

– Czarna Kobra lubuje się w łamaniu ludzi, mężczyzn i kobiet, terroryzowaniu ich, aż wreszcie każdy robi dokładnie to, czego on sobie życzy. Dlatego jej wybieg ma sporą szansę odnieść sukces. – Del wycelował lunetę w ukrytą w żywopłocie tubę. – Ferrar przywykł, że ludzie dają mu wszystko, czego się od nich domaga.

– A oto Jack i Tristan. – Lucyfer Cynster wskazał dwóch członków obstawy, widocznych przez chwilę, kiedy pokonywali wzniesienie, zdążając na północ śladem powozu.

– Gdziekolwiek przyczał się Ferrar, nie powinien ich przeoczyć – skomentował Diabeł.

– W istocie. – Royce znów skierował lunetę na interesujący ich odcinek żywopłotu. – Ferrar wie zatem tyle, że tuba czeka sobie spokojnie, aż pośle kogoś, by mu ją przywiózł. Nawet jeśli ma jakieś wątpliwości, nie sądzę, żeby ją zostawił. Pragnienie zdobycia jej, przekonania się, czy zawiera kopię, czy oryginał, ani chybi okaże się zbyt wielkie, by człowiek jego pokroju zdołał się oprzeć.

– Zawsze dostawał to, czego chciał – prychnął Del. – Nie oprze się pokusie. Musimy tylko poczekać.

Roderick i Daniel, ukryci w gęstwie drzew na wzniesieniu na wprost odcinka drogi, który został uznany za idealne miejsce do przeprowadzenia

ataku, ze zdumieniem przyglądali się przez lunety, jak Emily wpycha tubę w żywopłot.

Za ich plecami członkowie kultu, wszyscy w siodłach, pełni zapału, czekający tylko na rozkaz do ataku, niecierpliwili się coraz bardziej. Pobrząkiwała uprząż, konie dreptały w miejscu. Wreszcie dowódca ośmielić się spytać:

– Sahibie, powóz...?

Roderick nie oderwał wzroku od żywopłotu.

– Mniejsza o niego – rzucił i dodał obojętnie: – Stąd do Bury jeszcze długa droga. Co myślisz? – mruknął do Daniela.

– To oczywiście pułapka – prychnął Daniel, opuszczając lunetę. – Ta przeklęta kobieta gnała jak sam diabeł, żeby przewieźć list z Puny i przekazać go Delboroughowi. A potem dołączyła do Hamiltona, bez wątpienia pragnąc pomścić MacFarlane'a. Czemu więc teraz miałyby się nagle poddać, porzucić list?

– Ponieważ znalazła się u granic wytrzymałości – odparł rzeczowym tonem Roderick. – Nie pierwszy taki przypadek. Atakujemy raz za razem, bez ustanku, aż wreszcie ofiara się załamuje. Dotarli niemal do kresu podróży, tak niewiele brakuje, żeby byli bezpieczni. W dodatku to akurat ona wyrzuciła tubę. Gdyby zrobił to Hamilton albo jeden z jego ludzi, miałbym podejrzenia. Co więcej, ci dwaj, ich obstawa, także nas minęli.

– Roderick opuścił lunetę i uśmiechnął się do Daniela.

– Jeśli więc to pułapka, kto pozostał, by ją za nami zatrzasnąć?

– A co z tymi, którzy zaczęli się na Larkinsa w katedrze? – spytał Daniel, nieprzekonany.

– Są gdzieś z okolic Cambridge. – Roderick machnął ręką na północny zachód. – Zauważylibyśmy ich, gdyby nadjechali tu galopem.

Daniel nie był tego aż tak pewien, kiedy jednak czas upływał, a tuba nadal tkwiła w żywopłocie w bladym świetle zimowego popołudnia, zrozumiał, że pozostawienie jej tam nie wchodzi w rachubę.

– Co proponujesz? – spytał.

– Wyślę po nią człowieka, będziemy go stąd obserwować. Jeśli nie zdarzy się nic podejrzanego, przywiezie mi tubę, a ja wezmę jej zawartość i pojedę do Bury. – Roderick zerknął na Daniela. – Polną dróżką. Jeśli czekają gdzieś z przodu, na głównej drodze, aż nadciągnę dumnie z listem w dłoni, to się zawiodą.

Właśnie tego Daniel najbardziej się obawiał. Zdawało się, że Roderick rozwiązał ów problem, ale... Daniel nadal czuł niepokój.

– W porządku. – Złożył lunetę i upchnął ją w sakwie. – Pojadę przodem i opowiem Aleksowi o twoim nieoczekiwanym sukcesie: jak odzyskałeś list, nie tracąc kolejnych ludzi.

– Istotnie – mruknął Roderick. – Alex będzie pod wrażeniem.

Daniel wskoczył na siodło i zebrał wodze. Roderick pochwycił jego wzrok.

– Przy okazji, kiedy już będziesz omawiał sprawy z Alekssem, możesz mu napomknąć, że ucieszyłoby mnie godne powitanie. Powiedziałem, że nas z tego wydobędę, i to właśnie robię. Alex, a czasem, niestety, również i ty, Danielu, zdajecie się zapominać, kto z nas trzech jest prawowitym synem Shrewtona.

Daniel spojrział w lodowate oczy Rodericka. Najwyraźniej on i Alex mylili się, sądząc, że przyrodni brat jest nieświadom stosunku, jaki mają do jego osoby. Zaiste, była to kwestia warta przedyskutowania: jeśli Roderick odzyska wszystkie cztery listy, zacznie się puszyć i spróbuje stać się

niepodzielnym władcą w królestwie Czarnej Kobry. A to nie wróżyło dobrze – nie Roderickowi.

Teraz jednak Daniel tylko skinął głową, nie dając po sobie poznać, o czym myśli.

– Alex i ja będziemy czekać na ciebie w Bury. – Już miał ruszać, ale wstrzymał się i dodał: – Pamiętaj, żeby wejść od tyłu.

Roderick zbył go machnięciem ręki, na powrót skupiony na tkwiącej w żywopłocie tubie.

– Bez obaw, przyjdę od strony ruin.

Daniel przyglądał mu się przez chwilę, dumając nad zmianą, jaka nastąpiła w relacjach między nimi, odkąd oni trzej stanęli na angielskiej ziemi. Potem zawrócił konia i skierował go na boczną dróżkę wiodącą na północ, do Bury.

Z gęstwy drzew na północ od ich stanowiska, w miejscu, skąd zdaniem Demona atak na powóz wydawał się najbardziej sensowny, wyłonił się członek kultu.

Bez pośpiechu, przeczesując wzrokiem puste pola i pobliskie zagajniki, mężczyzna podjechał do miejsca ukrycia tuby, nachylił się w siodle i wy dobył ją z zarośli.

Wetknął zdobycz za pazuchę płaszcza, wyprostował się i bacznie rozejrzał.

– Zamienili turbany na kapelusze – mruknął Del.

– Zachowali jednak czarne jedwabne chusty. – Gabriel z uwagą przyglądał się mężczyźnie. – Ma też przy sobie sporo broni i wygląda na to, że dobrze o nią dba.

– Do tej pory natykaliśmy się przeważnie na piechurów, niezbyt wprawnych w walce, ale Ferrarowi ani chybi towarzyszy jego osobista straż,

elita kultu – rzekł Del. – Ci ludzie otrzymali kawaleryjskie przeszkolenie, sprawnie władają szablami, jednak walczą na nasz sposób; z ich strony nie spotka was żadna niespodzianka. Co innego zabójcy. Oni używają kindżałów i noży. W starciu z nimi spodziewajcie się wszystkiego. Pragną zwyciężyć za wszelką cenę.

– W zagajniku, skąd wyjechał, bez wątpienia są jeszcze inni jeźdźcy – zameldował Demon. – Nie potrafię ocenić, ilu dokładnie, ale spora liczba.

– Szukamy osiemnastu – rzekł Royce. – Ukryłoby się tam aż tylu?

– Z łatwością – potwierdził Demon.

Raptem pojawił się przy nich Gervase, który wcześniej wybrał się na pola, żeby spojrzeć z innej strony.

– Jeden z Anglików właśnie odjechał, pogalopował tamtą dróżką. – Wskazał na zachód od domniemanej pozycji Ferrara.

– Prowadzi do Bury – stwierdził Royce.

– Zaczyna się – odezwał się Diabeł.

Przekazując sobie z rąk do rąk sześć lunet, przyglądali się, jak członek kultu otwarcie wiezie tubę przez pola, a następnie wspina się na porośnięte drzewami wzniesienie, wracając do swego pana.

– Widzę stąd Ferrara! – zawołał Lucyfer. Pozostali przemieścili się i znów skupili na obserwacji. Akurat w porę, by zostać świadkami tego, jak Ferrera otrzymuje od swego człowieka tubę i natychmiast ją otwiera. Ci z lunetami cicho składali relację z wydarzeń.

– Wyjmuje list, rozwija go. – Royce się uśmiechnął.

– Kiedy tylko zda sobie sprawę, że to kopia...

Jego głos stopniowo zamarł. Ci bez lunet poruszyli się niespokojnie.

– Co się dzieje? – spytał Gabriel Cynster.

– Uśmiecha się. Z wielkim zadowoleniem. – Diabeł przekazał lunetę Gabrielowi i spojrzął na Roycc'a.

– Skoro to kopia, dlaczego tak się cieszy, że ją zdobył?

Z marsem na czole Royce opuścił lunetę i podał ją Gervase'owi.

– Jeżeli zależy mu na kopiach nie mniej niż na oryginale, widocznie coś jeszcze w tym liście mu zagraża, coś w samej jego treści, co nam umknęło. Dobrze, że Hamilton sporządził dodatkową kopię.

– Bez wątpienia o to właśnie chodzi. – Del przekazał swoją lunetę dalej.

– Wystarczy spojrzeć na jego minę.

– Zdecydowanie coś nam w tej sprawie umyka. – Royce zmrużył oczy. – Jakiś ważny szczegół.

– Odjeżdża – zameldował Gabriel. – Wyrzucił tubę, a list schował do wewnętrznej kieszeni. Jedzie polną drogą do Bury. A za nim tylko ośmiu ludzi – dodał moment później. – Pozostali ruszają na południe.

– Zapewne wracają na północny brzeg Tamizy – stwierdził Del.

Obserwowali ośmiu jeźdźców, kiedy ci z wielką pewnością siebie mijali ich kryjówkę.

– Niech jadą. – Royce spojrzął na północ, gdzie ośmiu innych członków kultu, wyszkolonych strażników i zabójców, kłusowało w ślad za Ferrarem. – Musimy przetrzebić ich siły tutaj, a nie dalej na południu.

Diabeł zerknął na swoich kuzynów i Gylesa.

– Sześciu Cynsterów, jeden Rawlings, razem siedmiu. Zgłaszamy się na ochotnika.

– Musimy brać jeńców? – spytał Lucyfer.

– Nie, nie ma sensu. – Royce zawahał się, a potem rzekł: – Sprawuję nadzór nad organami porządku publicznego na tym terenie, powierzam zatem wam siedmiu, byłym gwardzistom i parom Anglii, zadanie likwidacji tej

grupy członków kultu. Wiemy, że dopuścili się bestialskich czynów w Indiach. Moglibyśmy pojmać ich, osądzić i powiesić, wymagałoby to jednak nakładu czasu i pieniędzy. Ci łajdacy kosztowali już Anglię dostatecznie dużo. Dyskretne usunięcie ich wydaje się najlepszym rozwiązaniem.

– Przekonałeś nas. – Diabeł błysnął zębami w uśmiechu. Ochotnicy podeszli do swoich koni.

– Jedna kwestia – zatrzymał ich Royce. Pochwyił wzrok Diabła. – Delborough, Gervase, Tony i ja będziemy śledzić Ferrara do Bury i dalej. Jeśli się nam poszczęści, aż do jego kryjówki. Spotkamy się w Elveden, żeby podzielić się wieściami. Jednakże.. – Spojrzał na ośmiu członków kultu, bez pośpiechu jadących polną dróżką do Bury. – Ferrar wysforował się naprzód. Zatoczmy koło i dogonimy go, ale jako że odległość między nim a jego ludźmi nie jest znaczna, zależy mi, abyście usunęli ich po cichu, tak by się nie zorientował.

Diabeł popatrzył na zmierzających na północ członków kultu. Również jadący beztrąsko przodem Ferrar nadal był widoczny.

– Lubisz utrudniać – skomentował.

– Spełnienie tej prośby nie powinno przekraczać zakresu waszych możliwości. – Royce spojrzał na Demona. – Obaj dobrze znacie te okolice, w przeciwieństwie do nich. Inaczej nie zostaliby tak daleko z tyłu, skoro są osobistą strażą Ferrara.

– Zakręt przed wiatrakami? – Demon popatrzył na Diabła.

– O tym samym myślałem – przytaknął Diabeł.

Chwilę później ich siedmiu zjeżdżało już konno ze wzniesienia, żeby zatoczyć koło od zachodu, odciąć Ferrara od jego eskorty i z zaskoczenia uderzyć na członków kultu.

Jack i Tristan dogonili powóz niedaleko Bury St. Edmunds.

– Ani śladu członków kultu – zameldował Jack. – Musieli połknąć przynętę, a to oznacza, że powinni nadjechać drogą za nami.

– Nie wiem, jak wy – Tristan objął spojrzeniem także Mullinsa, Mooktu i Bistera – ale po tym wszystkim ja chciałbym wziąć udział w finale.

– Ja też – powiedział Jack. – Głosujemy za tym, by zatrzymać się w jakiejś gospodzie w Bury, ukryć powóz i poczekać, aż miną nas Ferrar i jego sługusy. Wówczas dołączymy do pozostałych, by wspólnie śledzić przeciwnika.

Nikt nie zaprotestował. Znaleźli idealną do ich celów gospodę na Westgate Street i wynajęli salonik od frontu, skąd mieli widok na drogę, którą przyjechali, a także na najbliższą okolicę. Bez względu na to, jaką trasę obierze Ferrar, powinien ich minąć. Usadowili się wygodnie i czekali.

Kwadrans później Ferrar, sam, nadjechał rażno Westgate Street, z uśmiechem lawirując w popołudniowym ruchu. Pojawił się z prawej strony. Emily chwyciła Garetha za rękaw.

– Nie przybył tą samą drogą co my.

Jack i Tristan stłoczyli się przy oknie, wyglądając w ślad za Ferrarem.

– Musiał wybrać polną dróżkę. – Tristan popatrzył w drugą stronę, w kierunku, skąd nadciągnął Ferrar. – Gdzie są pozostali?

Przez pełną minutę spoglądali raz w jedną, raz w drugą stronę, za oddalającym się Ferrarem i w przeciwnym kierunku, licząc na to, że spostrzegą śledzących go towarzyszy.

– Do diabła! – powiedział Jack. – Zgubił ich.

On i Tristan wypadli z saloniku. Gareth pospieszył za nimi, Emily pobiegła jego śladem. Wierzchowce Jacka i Tristana były nadal osiodłane. Wskoczyli na nie i wyjechali z dziedzińca gospody.

Gareth wojskowym tonem zarekwiował jednego z koni zaprzężonych do powozu. Zwierzę nie miało siodła, jedynie długie lejce. Złapał się grzywy i wskoczył na jego grzbiet.

– Gareth!

Spojrzał w dół, prosto w oczy Emily.

– Nie możesz mnie tu zostawić!

Owszem, mógł. Jednak... Zgrzytnął zębami, skinał na nią, by podeszła bliżej, schylił się i poderwał ją w górę, sadowiąc przed sobą na końskim grzbiecie.

– Trzymaj się. Ale jeśli wyniknie z tego jakiś pościg, będę musiał cię zsadzić.

– Nie, nie zsadzisz. – Mocno chwyciła się końskiej grzywy i oświadczyła: – Wiem z pewnego źródła, że jestem piekielnie dobrym jeźdźcem.

Tak czy owak... Wprowadził konia, spokojne zwierzę, w ruch uliczny na Westgate Street. Bury było miastem targowym, a na ile zaobserwowali wcześniej, akurat tego dnia odbywał się targ. Ta okoliczność im sprzyjała: tłok na ulicy zmuszał Ferrara do poruszania się stępą, a z kolei im, śledzącym, zapewniał doskonałą osłonę.

– Nie wygląda na to, żeby cokolwiek podejrzewał – skomentował Gareth. – Ani razu się nie rozejrzał.

– Jest zadufany w sobie – orzekła Emily. Musiał się z nią zgodzić.

Ominął kariolkę i raptem tuż obok nich pojawił się potężny siwek. Zanim Gareth zdążył podnieść wzrok na jeźdźca, Wolverstone wycedził:

– Powinienem był się domyślić. – Patrzył przy tym na Emily.

Gareth posłał mu spojrzenie, które jasno stwierdzało, że i owszem, powinien. Emily to zignorowała.

– Myśleliśmy, że go zgubiliście. – Wykręciła się, usiłując spojrzeć wstecz. – Gdzie pozostali?

Wolverstone przyglądał się jej przez chwilę, lecz ostatecznie zdecydował się pominąć milczeniem pierwsze zdanie.

– Delborough, Gervase i Tony są tuż za mną. Cynsterowie i Chillingworth zostali, żeby zająć się członkami kultu. Niestety, tylko ośmioma, reszta odjechała.

Emily zajrzała w jego oczy i odniosła wrażenie, że znalazła się bardzo blisko jakiejś krawędzi. Popatrzyła przed siebie i skinęła głową w tym kierunku.

– Jack i Tristan trzymają się Ferrara. Wiadomo, dokąd on się udaje?

–Nie.

W tejże chwili Ferrar skręcił do publicznej stajni. Royce zagroził swoim wierzchowcem drogę Garethowi i Emily, sterując ich w stronę krawężnika.

– Poczekamy tutaj i zobaczymy, co zamierza – rzekł.

Dalej przed nimi Jack i Tristan również wstrzymali konie, tyle że po przeciwnej stronie ulicy. Gawędzili jak sąsiedzi, którzy spotkali się przypadkiem. Royce spojrzał na Emily i Garetha.

– Jeśli Ferrar wyjdzie, spuście głowy, żeby was nie rozpoznał. Aczkolwiek muszę przyznać, że dotąd poczynął sobie niezwykle beztrasko.

Emily była zbyt spięta, żeby choć pozorować towarzyską pogawędkę. Później Ferrar dziarskim krokiem opuścił stajnię i przeciął ulicę. Przeszedł zaledwie kilka kroków od Tristana i Jacka. Zmienił pozycję, by ukryć przed nim twarz, ale nawet nie zerknął w ich stronę.

Gdy Emily popatrzyła na Royce'a, przekonała się, że ten siedzi w siodle wyprostowany, spojrzeniem zbierając ludzi.

Ferrar kroczył dalej, niczego nieświadom, oddalając się od centrum miasta, a potem, nie zmieniając tempa, skręcił w szeroką bramę w grubym kamiennym murze, który ciągnął się wzdłuż ulicy.

– Za tym murem są ruiny opactwa – powiedział Royce, marszcząc brwi.

Ledwie Ferrar zniknął im z oczu, pospieszyli na drugą stronę ulicy, by dołączyć do czekającego w cieniu bramy Tristana. Jack wślizgnął się przez nią w ślad za Ferrarem.

Kiedy zatrzymali się obok Tristana, nadjechali także Delborough, Gervase i Tony.

Wrócił Jack. Wyglądał na nieco zdziwionego.

– On... chodzi sobie. Przechadza się bez celu, zrelaksowany, jakby wybrał się na spacer pośród ruin. nawiasem mówiąc, podobnie jak całkiem sporo innych osób.

– Zajrzał znów przez bramę. – Nie miałem pojęcia, że ruiny o zmierzchu zimową porą są tak modne.

– Powinieneś czytać „Ladies Gazette” – powiedziała Emily, spoglądając nań surowo.

Zagapili się na nią wszyscy.

– Przyszedł za wcześnie na spotkanie? – spytał po chwili Royce. – Czy też... fascynują go ruiny?

– Zostawił konia w stajni, więc jego kryjówka musi znajdować się w pobliżu – zauważył Delborough.

– Na tyle blisko, żeby dotarł tam pieszo.

– Co oznacza dowolny punkt w mieście. – Royce przekroczył bramę, rozejrzał się szybko i wrócił. – Oto, co zrobimy.

Polecił Emily i Garethowi, by za bramą, niczym para spacerowiczów, ruszyli wzdłuż muru do miejsca, skąd będą widzieć trawiastą aleję po

zachodniej stronie, na tyłach wbudowanych w stare arkady domów oraz miejskiego kościoła św. Jakuba, którego dzwonnica pełniła niegdyś funkcję głównej bramy opactwa.

– Będziecie mogli utrzymywać dystans, a w razie czego i tak zobaczycie, jak wchodzi do któregoś z domów albo kościoła, skąd może się dostać do dowolnego punktu w mieście. – Royce z drapieżnym wyrazem twarzy spojrzął na pozostałych. – Niewykluczone, że was wszystkich już widział, ale mnie nie zna. Będę śledził go z bliska, to znaczy na tyle, by nie wzbudzić jego podejrzeń, a was pięciu niech obstawi teren wokół. Jeśli Ferrar przyszedł tu na spotkanie, chcę wiedzieć, na kogo czeka.

Wszyscy pokiwali głowami i ruszyli do akcji, prędko znikając między wielkimi kamiennymi blokami, którymi usiany był nader, jak się okazało, rozległy obszar. W gęstniejącej szarówce rozglądali się za Ferrarem.

– Co za przekłety idiota!

Ze szczytu pełniącej niegdyś funkcję głównej bramy opactwa, normańskiej wieży kościoła, skąd roztaczał się wyśmienity widok na ruiny poniżej, Alex wpatrywał się w spacerującego na dole Rodericka. W niego i złowieszczo otaczających go półkolem mężczyzn.

– Spójrz tylko, jaką świtę udało mu się zgromadzić!

– Nawet nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. – Daniel patrzył z niedowierzaniem.

Przerażeni przyglądali się z góry, jak Roderick przystaje, opiera się plecami o potężny głaz, sięga za pazuchę płaszcza i wyjmuje zwiniętą w rulon białą kartkę.

– Ma list, kopię lub oryginał, to akurat bez znaczenia. – Alex rzucił na dół ostatnie mordercze spojrzenie, okręcił się na pięcie i ruszył ku schodom. – Chodź!

Kiedy zbiegali po tonących w mroku kamiennych stopniach, Alex myślał intensywnie.

Na dole, gdy znaleźli się w kościelnym westybulu, przytrzymał Daniela za ramię. Rozejrzał się szybko, by się upewnić, że nikt ich nie widział, i z pochyloną głową pociągnął brata ku wyjściu z kościoła, a następnie wąskim przejściem wzdłuż bocznej ściany.

– Roderick przepadł – syknął, nachylając się ku Danielowi. – Nie zdołamy go już ocalić. Ma list, a ci, którzy go śledzą, wiedzą o tym. Przyjrzałeś się tym ludziom? Zauważyłeś, jak się poruszają, widziałeś ich twarze?

Kiedy Daniel odpowiedział skonfundowanym spojrzeniem, Alex nim potrząsnął.

– Twarze arystokratów! Twarze ludzi mających władzę, ludzi z towarzystwa, których słowom daje się wiarę.

Znaleźli się na trawiastej alei na tyłach kościoła i spiesznie przeszli do ruin. Alex przeszukiwał wzrokiem gęstniejący mrok.

– Złapią Rodericka – podjął jeszcze ciszej – i tym razem się z tego nie wywinie. Nawet nasz ojciec nie zdoła wytłumaczyć, dlaczego Roderick miał w ręku ten list. Lada moment go dopadną. – Alex przystanął i zajrzał w ciemne oczy Daniela. – Nikt nie wie o naszym zaangażowaniu w tę sprawę. Możemy po prostu odejść. Roderick nie. Nie tym razem. – Zrobił krótką przerwę, a potem spytał tonem bardziej lodowatym aniżeli narastający chłód zimowej nocy: – Jak ci się zdaje, czy kiedy go złapią, pozwoli nam dwóm się wymknąć?

Zaciskając wargi, Daniel pokręcił głową.

– Mnie też nie. A nie zamierzam dopuścić, żeby wszystko, na co pracowaliśmy jako Czarna Kobra, zostało zaprzepaszczone z powodu

nieznośnego przeświadczenia Rodericka o jego własnej wyższości. – Alex odwrócił się i zagłębił między ruiny. – Chodź. Mamy jedną, tylko jedną szansę na to, by uciec.

Daniel mógłby wyrazić wątpliwość, jakim cudem tego dokonają, jednak Alex zawsze myślał szybciej od niego. O wiele szybciej niż Roderick. A on był już oto przed nimi. Przechadzał się z jakże ważnym dla nich listem w ręku, uderzając nim nonszalancko o wnętrze drugiej dłoni. Pomachał im listem na powitanie.

Alex zatrzymał się pod łukowym przejściem, trzy stopnie powyżej zawalonej podłogi, po której spacerował Roderick. Daniel przystanął krok za nim.

Roderick ruszył ku nim, uśmiechając się wyniośle.

– O, niedowiarki – rzekł, zbliżając się. – Nie macie pojęcia, jakie to było proste.

Spojrzał pod nogi, kiedy wchodził po schodkach.

Gdy pokonywał ostatni stopień, Alex wystąpił naprzód. Roderick podniósł wzrok.

W tej samej chwili rozśpiewały się dzwony, wzywające wiernych na wieczorne nabożeństwo.

Wykorzystując impet idącego, Alex wbił mu sztylet między żebra, prosto w serce.

Na widok dogłębnego zdumienia i niewiary, jakie pojawiły się na twarzy Rodericka, Daniel wstrzymał oddech. Alex przysunął się, wbijając nóż głębiej.

– Ty głupcze! – Obrócił sztylet w ranie. – Deptali ci po piętach, a niczego nie zauważyłeś.

Śmierć zaczęła wyplukiwać z twarzy Rodericka wszelki wyraz.

Alex odstąpił, wyrywając Roderickowi list z ręki. Nóż zostawił. Zawahał się, a potem znów nachylił ku bratu.

– Prowadziłeś ogary prosto do nas – szepnął zjadliwie. – Tym razem nie było dla ciebie ucieczki.

Okręcił się na pięcie, odetchnął, chwycił Daniela za rękaw i pociągnął za sobą.

– Idziemy wolno, statecznie – mruknął, przybliżając ku niemu głowę. – Udajemy dwóch wiernych, zmierzających do kościoła na wieczorne nabożeństwo.

Obejrząwszy się, Daniel zobaczył, jak Roderick zwała się na ziemię z szeroko otwartymi lodowato niebieskimi oczami.

Te oczy się zaszklily; tak odszedł najbardziej hołubiony syn hrabiego Shrewtona.

Dźwięk dzwonów stopniowo zamierał. Szybko zapadał zmrok. Emily szarpnęła Garetha za rękaw.

– Chodź, musimy podejść bliżej, bo nam się wymknie w tej ciemności.

Gareth nie zaprotestował. Szli aleją na tyłach budynków, przepatrując ruiny na tyle, na ile byli w stanie przy tak słabym świetle. Raptem Emily się zatrzymała.

– Co to takiego?

Podążył za jej wzrokiem. Przed nimi, po skosie, zobaczył... ciemny materiał rozpostarty na jasnych kamiennych stopniach.

– Ciało.

Pobiegli aleją, nim jednak dotarli na miejsce, ukazał się Royce. Ominął trupa, przeszedł pod łukowym przejściem i przykucnął.

Delborough, Tristan, Jack, Gervase i Tony dopadli go równo z Garethem i Emily. Royce podniósł wzrok.

– To się stało przed chwilą – stwierdził z nieprzeniknioną twarzą. –
Widzieliście, żeby ktoś uciekał?

Pokręcili głowami.

Royce zacisnął wargi i wstał.

– Szukajcie!

Przemierzali okolicę, dopóki nie zrobiło się całkiem ciemno, lecz bez skutku. Wrócili do ciała, zastanawiając się i analizując.

Z rękoma wspartymi na biodrach Royce stał nad trupem, teraz już ledwie widocznym. Spojrzał na Delborougha.

– Sztylet... Wygląda podobnie jak ten, od którego zginął Larkins.

Del przykucnął, obejrzał rękojeść z okładziną z kości słoniowej i pokiwał głową.

– Takich używają zabójcy kultu.

– List? – spytał Jack.

– Zniknął. – Royce potoczył wzrokiem po twarzach zebranych wokół niego osób. – Nie zauważyliście nikogo choć trochę podejrzanego?

Pokręcili głowami.

– Widzieliśmy opuszczające ruiny pary i licznych wiernych udających się na wieczorne nabożeństwo – rzekł Tristan – ale nikt się nie spieszył, nikt nie starał się prędko stąd wydostać. Nikt się nie rozglądał.

Royce się skrzywił. Wraz z pozostałymi wpatrywał się w ciało Rodericka Ferrara.

– Zatem – powiedział, cedząc słowa – mamy tu człowieka, co do którego byliśmy pewni, że jest Czarną Kobrą, ale został wyeliminowany. Pozostawia nas to z dwoma istotnymi pytaniami: Kto go zabił? I dlaczego?

Rozdział 21

20 grudnia 1822, późne popołudnie

Mój pokój w Elveden Grange

Drogi pamiętniku,

Udałam się na górę odświeżyć się po podróży, zanim dołączę do pozostałych w salonie. Co za dzień! Dotarliśmy do kresu naszej przygody, Gareth wypełnił swoją misję, wszelako Ferrara znaleźliśmy martwego i nikt do końca nie wie, co o tym myśleć.

Co jednak bardziej ekscytujące, zaistniała dziś sytuacja wystawiła na próbę oddanie Garetha dla idei naszego partnerstwa – i mój ukochany przeszedł ów test celująco! Spuścił mnie z oczu, zgodził się, bym podjęła ryzyko i zostawiła tubę jako przynętę dla Ferrara, czego tylko ja jedna mogłam dokonać. Zrobił to, mimo że (jak później dał mi dobitnie do zrozumienia) te chwile sporo go kosztowały. Co więcej, nie zostawił mnie w gospodzie, lecz przystał na to, bym uczestniczyła w polowaniu na Ferrara.

Po dzisiejszym dniu nie mogłabym dłużej wątpić w siłę jego oddania dla naszej przyszłości – przyszłości, której nie mogę się już doczekać! Przepelnia mnie szczęście.

Najpierw jednak musimy się zająć nieoczekiwanym zakończeniem misji Garetha, spieszę więc na dół, żeby mieć w tym swój udział.

E.

– Pytanie brzmi zatem, kto i dlaczego zabił Ferrara. Royce stał przed kominkiem w wielkim salonie Elveden Grange, Podniósł wzrok, kiedy Emily na powrót dołączyła do towarzystwa. Właśnie skończył relacjonować wydarzenia dnia zebranych w pokoju damom – Delii Duncannon, która przyjechała z Delboroughem, Alicji, żonie Tony'ego, Madeline, żonie Gervase'a, Leonorze i Clarice, Kit, żonie Jacka Hendona, Latitii, żonie

Christiana Allardyce'a, markiza Dearne, oraz swojej własnej małżonce Minervie, która, jak dopiero co się dowiedział, zaprosiła do nich na święta Bożego Narodzenia wszystkie rodziny jego dawnych towarzyszy.

Zagapił się na nią oniemiały, gdy o tym usłyszał, Minerva zaś z uśmiechem poklepała go po piersi.

– Wasz harmonogram prawie zahacza o święta. Nie ma pewności, czy mężczyźni zdążą wrócić do domów na czas, a wszyscy mają dzieci.

Wystarczyło mu rozsądku, żeby się nie spierać. Niektóre bitwy mógł wygrać, innych nie. Taka, jak zdążył się przekonać, jest natura małżeństwa. Jego dawni towarzysze, zgromadzeni w salonie, bez wątplenia także już poznali tę prawdę.

Christian i Jack Hendon czekali w Elveden, żeby za parę dni odegrać wyznaczone im role. W trakcie do zebranych dołączyli ponadto Cynsterowie i Chillingworth, wszyscy bardzo zadowoleni. Wypełnili swą misję, a choć dorobili się kilku rozcięć i zadrapań, żaden nie odniósł poważniejszej rany.

– Sądzę – rzekł Royce, kiedy Emily usadowiła się na szeszlunku, obok zajmowanego przez Garetha fotela – że musimy skorygować nasze zapatrywania w kwestii tego, kto jest Czarną Kobrą.

Delborough przytaknął.

– Ferrar albo nie był Czarną Kobrą, albo stanowił jedynie część większej całości.

– Zgadza się. – Gareth zmarszczył brwi. – Jeśli nie był nim Ferrar, wówczas przypuszczalnie to właśnie Czarna Kobra go zabił albo wydał stosowny rozkaz, co z kolei oznacza, że Czarna Kobra tak czy owak jest tutaj, w Anglii.

– W Suffolk albo gdzieś blisko – doprecyzował Tony.

Po chwili Delborough pokręcił głową.

– Ferrar musiał zajmować bardzo wysoką pozycję w hierarchii kultu – orzekł. – Dzięki stanowisku w biurze gubernatora odgrywał kluczową rolę w zapewnieniu kultowi sukcesu, a ze względu na jego charakter nie wyobrażam sobie, by mając świadomość tego, jak wiele od niego zależy, zgodził się zostać czyimkolwiek podwładnym.

– Spojrzał na Royce'a. – Widzieliśmy, jak Ferrar wydaje rozkazy, a wyselekcjonowani członkowie kultu, w tym także zabójcy, je wypełniają. Moim zdaniem, w oparciu o to, co już wiemy, za najbardziej prawdopodobną należy uznać koncepcję, że Czarna Kobra to grupa osób. Ilu, tego nie umiemy stwierdzić, ale Ferrar należał do tego grona. Kolejnym członkiem grupy jest przypuszczalnie ten drugi widziany przez nas Anglik.

– Przy czym ten drugi Anglik, wyraźnie równy pozycją Ferrarowi, mógł go zabić albo wydać stosowny rozkaz – skonstatował Royce, kiwając głową.

– Jeżeli przyjmiemy, że Czarna Kobra to wielogłowa hydra – odezwał się Gyles Rawlings – uważam za bardzo prawdopodobne, że pozostali członkowie tej grupy są znajomymi Ferrara także oficjalnie.

Royce spojrział na niego, przytaknął i zerknął ku oknom, za którymi zapadł już zmrok.

– Zrobiło się późno, ale chyba pora złożyć wizytę hrabiemu Shrewtonowi. Jeśli wyruszymy od razu, powinniśmy dotrzeć do Wymondham, nim zasiądzie do obiadu.

Przywieźli na wozie ciało Ferrara do Elveden, żeby przekazać je jego ojcu w Shrewton Hall.

– A co z Larkinsem? – spytał Diabeł. – Zabił go Ferrar czy ktoś inny?

– W oparciu o to, co od was wiem, stawiam na Ferrara – odparł Royce. – Zrobił to ktoś, komu Larkins ufał bezwarunkowo, jest więc mało prawdopodobne, by stał za tym jeden z przyjaciół Ferrara. Teraz, kiedy Ferrar

nie żyje, to już nieistotne, niemniej weźmiemy ze sobą również ciało Larkinsa. Niewykluczone, że dzięki niemu łatwiej przekonamy hrabiego, iż powinien uczynić wszystko, co w jego mocy, by udzielić nam wsparcia.

Zgłosiło się wielu ochotników, gotowych pomóc w przekonywaniu hrabiego, Royce zarządził jednak, że pojedzie czterech ludzi: on, Christian, czyli kolejny najstarszy pod względem pozycji par Anglii, a także Delborough i Gareth, którzy mogli wiarygodnie zaświadczyć o czynach Ferrara oraz dokonaniach Czarnej Kobry w Indiach.

Kiedy Diabeł spróbował nalegać, że on także powinien jechać, Minerva spojrzała nań zmrużonymi oczami.

– Wy wszyscy – zatoczyła władczo palcem, pokazując na Cynsterów i Gylesa Chillingwortha – natychmiast pojedziecie z powrotem do Somersham Place, Może i żaden z was nie został poważnie ranny, ale widzę rozcięcia... wielkie nieba!, nawet krew. Wasze żony nigdy by mi nie wybaczyły, gdybym nie odesłała was do domu, żeby mogły was opatryć. Teraz.

Siedmiu potężnych mężczyzn zagapiło się na nią. Minevrze nie drgnęła nawet powieka.

Podobnie jak zebrany wokół niej damom, które, kiedy cisza się przedłużała, również skierowały wzrok na krnąbrnych mężczyzn... aż wreszcie się złamali.

Diabeł posłał paniom ostatnie mroczne spojrzenie i skłonił głowę.

– W porządku. – Popatrzył na Royce'a, który przez cały ten czas z uwagą studiował sufit, – Jak mi nie mam, zobaczymy się jutro.

– Wyślę ci wiadomość, kiedy już wydobędziemy od Shrewtona, ile się da, i, mam nadzieję, otrzymamy wieści od Monteitha i jego towarzyszy. Powinni być tej nocy w Bedfordzie.

Diabeł uniósł dłoń w geście pozdrowienia i wyszedł, a inni za nim.

Royce, Delborough, Gareth i Christian wyruszyli do Shrewton Hall.

Pozostali członkowie Klubu Niezdobytch oraz Jack Hendon wymienili spojrzenia, przeprosili damy i wycofali się do pokoju bilardowego, bez wątpienia po to, żeby przeanalizować wydarzenia dnia, uderzając w bile.

Minerva i inne damy z aprobatą przyglądały się odwrotowi mężczyzn. Kiedy za ostatnim zamknęły się drzwi, odwróciły się zgodnie do Emily.

– Z wielką chęcią wysłuchałybyśmy relacji z waszej podróży – powiedziała Minerva.

Letitia zagłębiła się w zwolnionym przez Garetha fotelu.

– Opowiedz wszystko – poradziła. – Zaczynj od początku. Kiedy wyjechałaś do Indii? I, co ważniejsze, dlaczego?

Emily potoczyła wzrokiem po wyrażających szczere zainteresowanie twarzach i uznała, że nie widzi powodu, by nie spełnić prośby.

Niedaleko Wymondham, w zimnym kamiennym pomieszczeniu przylegającym do pralni Shrewton Hall hrabia Shrewton stał, patrząc na zwłoki ukochanego syna.

Rodericka Ferrara ułożono na wznak na jednej ze znajdujących się w pomieszczeniu ław. Na drugiej ławie, tuż obok, służdy hrabiego złożyli ciało Larkinsa, lecz ich pan zdawał się go nawet nie zauważać. Od chwili, gdy wprowadził tu Royce'a, Christiana, Delborougha, Garetha i swego starszego syna, wicehrabiego Kilwortha, całą uwagę skupił na szczątkach Rodericka.

Na jego twarzy malował się szok.

Także Kilworth wyglądał na wstrząśniętego.

– Nie wiedzieliśmy nawet, że jest w kraju – rzekł.

– Kto to zrobił? – Hrabia odwrócił się do Royce'a.

– Kto zabił mojego syna?

– Jego przyjaciel, znany jako Czarna Kobra. – Royce zwięźle wytłumaczył, dlaczego interesuje ich kult Czarnej Kobry oraz jego przywódcy. – Śledziliśmy pańskiego syna, ponieważ wiózł kopię listu Czarnej Kobry, który ten ostatni chce odzyskać. Oryginał podpisano charakterystycznym symbolem Czarnej Kobry, ale zapieczętowano pańską rodową pieczęcią. – Royce wskazał sygnet z tłokiem pieczętnym na palcu Ferrara.

Hrabia zwiesił głowę, tak że nie widzieli jego oczu, lecz nic nie powiedział

– Dzień wcześniej Larkins – Royce odwrócił się w stronę drugiego ciała – sługa pańskiego syna, zdobył inną kopię tego listu i również zginął.

Hrabia zbył tę informację machnięciem ręki.

– Chcę wiedzieć, kto zabił mojego syna.

– Zabito ich identycznymi sztyletami – rzeki Royce – takimi, jakich używają zabójcy kultu Czarnej Kobry. Czarna Kobra zabił pańskiego syna osobiście lub wydał stosowny rozkaz. Obu nam zależy więc na poznaniu jego tożsamości. – Royce zrobił krótką przerwę, po czym, zwracając się także do Kilwortha, spytał: – Wiecie, kto jest Czarną Kobrą?

– Oczywiście, że nie – prychnął hrabia. – Nic mnie nie obchodzi jakieś egzotyczne zabobony.

– Kult Czarnej Kobry też nie poświęca im wiele uwagi. Interesują go głównie pieniądze i władza, dla ich zdobycia z ochotą dopuszcza się okrucieństw. – Royce nie odrywał oczu od hrabiego. – Czy pan lub Kilworth znacie nazwiska przyjaciół Rodericka w Bombaju? Wspominał kiedykolwiek o jakimś wspólniku lub przyjacielu, który mógłby być zamieszany w tę sprawę albo wiedzieć coś więcej?

Hrabia zeszywniał i uniósł głowę.

– Nic nie wiem o żadnym kulcie. Za niedorzeczną uważam samą sugestię, że mój syn zadawał się z takimi ludźmi.

– Na liście znajduje się pieczęć pańskiego syna – przypomniał mu chłodno Royce. – Nie ulega wątpliwości, że był w to zaangażowany. Oryginał, z pieczęcią Rodericka, trafi wkrótce w moje ręce, biorąc zaś pod uwagę, jak wiele wysoko postawionych osób zainteresowało się dokonywanymi przez kult Czarnej Kobry grabieżami, prędzej czy później zostanie upubliczniony. Naturalnie, jeśli pańska rodzina zechce udzielić pomocy przy identyfikacji Czarnej Kobry, człowieka, który zabił pańskiego syna, z pewnością złagodzi to nieprzyjemne konsekwencje, jakie pociągnie za sobą ujawnienie listu.

Gareth spojrzął na stojących obok Delborougha i Christiana i odkrył, że podobnie jak on starają się stłumić uśmiechy satysfakcji. Pod powierzchnią wygłaszanych przez Royce'a gładkich zdań kryła się stal, tak że nie było wątpliwości, co się stanie, jeśli rodzina odmówi współpracy. Zarazem nie padła żadna jawna groźba.

Hrabia, wprawny w odczytywaniu takich subtelności, usłyszał ostrzeżenie. Spiorunował ich wzrokiem, jego twarz pokryły czerwone plamy.

– Nonsens! Mój syn został zabity, i to wszystko. – Odwrócił się na pięcie, przepchnął obok Christiana i sztywnym krokiem opuścił pomieszczenie.

Tym sposobem pozostawił załagodzenie sytuacji Kilworthowi, który nie przypominał swego rodzica nawet z wyglądu. Bardzo wysoki i szczupły, w przeciwieństwie do ojca i brata miał ciemne, nie zaś lodowato niebieskie oczy.

– Doznał szoku – powiedział Kilworth, jakby tytułem usprawiedliwienia, po czym dodał: – No cóż, ja też.

– Przeczesał palcami włosy. – Ale, widzą panowie, Roderick był jego ulubieńcem. – Z tonu Kilwortha jasno wynikało, że wątpi, czy jego ojciec byłby choć w połowie tak udęczoney, gdyby to on leżał martwy na tej ławie.

– Chodźmy. Odprowadzę panów do koni.

Idąc obok Royce'a długimi korytarzami, Kilworth ciągle mówił; był typem gaduły. Oni czterej radzi go słuchali.

– Widzą panowie, o niczym nie wiedzieliśmy. Po raz ostatni odezwał się, kiedy wyruszał do Indii w poszukiwaniu szczęścia. Nie miał w zwyczaju pisać listów. No cóż, nawet nie mieliśmy pojęcia, że wrócił do kraju.

– Kilworth spojrział na Royce'a. – Przybył niedawno?

– Zszedł na ląd w Southampton szóstego tego miesiąca – odparł Delborough.

– Och. – Twarz Kilwortha przygasła. Potem się skrzywił. – Sami panowie widzą, że nie jesteśmy ze sobą blisko. Nie byliśmy. Roderick i ja. Mimo to... dziwi mnie, że nie skontaktował się z ojcem.

– Na pewno tego nie zrobił? – spytał Christian.

– Tak, na pewno. – Kilworth dostrzegł ich sceptycyzm i uśmiechnął się. – Służący nigdy nie przepadali za Roderickiem, mnie jednak lubią, dlatego zawsze mi mówią... o tego rodzaju sprawach. Jestem całkowicie pewien, że nikt w tym domu nie wiedział o powrocie Rodericka do Anglii.

Dotarli na boczny dziedziniec, gdzie stajenni przytrzymywali dla nich wierzchowce.

Kilworth przystanął, poczekał, aż oni czterej znaleźli się w siodłach, po czym spojrział na Royce'a.

– Wątpię, żebyście wydobyli cokolwiek od ojca, a im mocniej będziecie naciskali, tym bardziej on będzie się opierał i awanturował. Jednak... Skontaktuję się z osobami, które, na ile mi wiadomo, znały się blisko z

Roderickiem tu w Anglii, i wypytam je, czy słyszały cokolwiek o jego poczynaniach w Indiach oraz czy wspominał, z kim tam najbardziej się zaprzyjaźnił.

– Dziękuję. – Royce skłonił głowę. – Dopóki ta sprawa się nie zakończy, znajdzie mnie pan w Elveden Grange.

– To jeszcze nie koniec? – Kilworth zmarszczył brwi.

Royce pokręcił głową, zwracając konia.

– Do końca nadal daleko.

Po powrocie do Elveden przekonali się, że damy czekały na nich z obiadem. Kiedy tylko weszli do salonu, Minerva wstała i powiodła całe towarzystwo do jadalni. Przy odprężającym posiłku opowiedzieli o niechęci hrabiego do współpracy oraz obietnicy Kilwortha, że spróbuje zdobyć jakieś informacje.

– Hrabina od dawna nie żyje, a siostry Rodericka są starsze od niego, zamężne i od lat mają własne rodziny – powiedziała Minerva. – Wątpię, żeby cokolwiek wiedziały.

– Roderick nie bez przyczyny był ulubieńcem hrabiego, zostali ulepieni z tej samej gliny. – Letitia odchyliła się na oparcie krzesła. – Ferrar całego swego okrucieństwa nauczył się od ojca. Z kolei Kilworth jest znacznie łagodniejszy, ma naturę uczonego. Wdał się w hrabinę, a Shrewton nie ukrywa odrazy z tego powodu. Toleruje Kilwortha wyłącznie dlatego, że to jego dziedzic.

– A obecnie również jedyny żyjący syn. – Minerva wstała, a w ślad za nią inne damy.

Royce spojrział na mężczyzn i wyczytał z ich twarzy, że myślą o tym samym, co on. Odsunął swoje krzesło.

– Dołączymy do was w salonie. Trzeba przedyskutować jeszcze wiele kwestii.

Gdy mężczyźni podążali za damami przez hol, do Royce'a zbliżył się kamerdyner z listem na tacy. Royce otworzył go, przeczytał, wsunął do kieszeni i ruszył dalej, wchodząc do salonu jako ostatni.

Począł, aż wszyscy zajmą miejsca w wygodnych fotelach i na szeszlonych, po czym zabrał głos.

– Kiedy rozpoczynaliśmy te misję, kiedy skontaktowaliśmy się ze mną – skinął głową ku Delowi i Garethowi – a następnie opuściliśmy Bombaj z czterema tubami, każdy z nas powiedziałby, że śmierć Ferrara oznaczać będzie koniec naszego zadania. Tymczasem Ferrar nie żyje, a Czarna Kobra nadal gdzieś tam jest. Przypomina to raczej koniec pierwszego aktu sztuki, która jeszcze trochę potrwa.

– Myślałem o tym – odezwał się Gareth – że wraz ze śmiercią Ferrara pieczęć na oryginale listu straciła znaczenie. Ferrar nie może już wyjawiać, kto jest Czarną Kobrą. Zarazem mówicie, że bardzo się ucieszył z odzyskania kopii, a to by sugerowało, że list zawiera coś więcej, czego dotąd nie dostrzegliśmy. Tak czy owak, jeśli po dzisiejszych wydarzeniach Czarna Kobra nie odwoła członków kultu nękających Monteitha, zyskamy pewność, że list kryje jakieś inne zagrożenie dla prawdziwego przywódcy.

– W rzeczy samej. – Royce ze zdecydowaniem skinął głową i spojrzał na Emily. – Mogę prosić o waszą kopię?

Nosiła ją w kieszeni, spodziewając się takiej prośby. Teraz wyjęła kartkę, rozłożyła ją i podała Royce'owi.

Royce odczytał na głos treść listu, a potem puścił go w obieg.

Del przyglądał mu się przez chwilę.

– Z wszystkich tu obecnych masz największe doświadczenie w rozpoznawaniu, czy tekst zawiera ukryte przesłanie – rzekł wreszcie. – Co myślisz?

Royce popatrzył na krążącą akurat między damami kartkę.

– Rozumiem, czemu służy druga część listu, gdzie Czarna Kobra otwarcie czyni awanse adresatowi. Dlaczego jednak zawracał sobie głowę całym tym wstępem, towarzyskimi ploteczkami?

W międzyczasie kopia trafiła do rąk Minervy.

– Ktoś powiedziałby, że to tylko kamuflaż – Minerva oderwała wzrok od tekstu, by spojrzeć na Royce'a – ale nie ty.

– Nie, nie ja – rzekł z uśmiechem. Potoczył wzrokiem po zebranych. – Pierwsza część niemal na pewno ma ukryty cel.

– Wielu radzów – odezwał się Gareth, marszcząc brwi – marzy o wejściu do wyższych sfer lokalnej angielskiej socjety, a Govind Holkar, adresat tego listu, stanowi typowy przykład takich aspiracji. Ja... – zerknął na Dela – my wszyscy zinterpretowaliśmy pierwszą część listu w ten sposób. Jako swego rodzaju towarzyską łapówkę.

– To niewykluczone – powiedział Christian, biorąc list – jednak w takim wypadku ten Govind Holkar byłby szczególnie zainteresowany informacją, że choć jedna z dziesięciu wymienionych tu osób odwiedzi Pune. Skoro negocjował z Czarną Kobrą, jak wiemy od niedawna, bestią o kilku głowach, jakie są szanse, że przynajmniej jedno z tych nazwisk należy do przywódcy kultu?

– Jeśli ataki na Monteitha nie ustaną, te szanse znacznie wzrosną. – Royce spojrział na Dela. – Jak rozumiem, Puna leży w górach?

– W praktyce pełni rolę monsunowej stolicy dla wyższych sfer Bombaju – odparł Del. – Wszyscy Anglicy, którzy tylko mogą, włączając w to

gubernatora i jego personel, przenoszą się na tę część roku do Puny. Żony i rodziny spędzają tam zwykle całą porę monsunową, mężczyźni natomiast często przemieszczają się między Puną a Bombajem. Zarazem Puna była niegdyś stolicą Imperium Marathów i wielu marathijskich radźów, w tym Govind Holkar, mieszka tam przez większość czasu. Dlatego też, kiedy sądziliśmy, że Czarna Kobra to tylko Ferrar, potraktowaliśmy pierwszą część listu jako... no cóż, garstkę informacji, które, zdaniem piszącego, powinny zaciekawić Holkara i sprawić mu przyjemność.

– Gdybyśmy podejrzewali, że te nazwiska mogą mieć istotne znaczenie, z łatwością zrobilibyśmy na temat tych ludzi wywiad przed wyjazdem. – Gareth się skrzywił.

– Trudno, przepadło – rzekł Royce. – Teraz, kiedy już to wiemy, jak możemy uzyskać więcej informacji?

Gareth popatrzył na Emily.

– Znasz którąś z wymienionych tu osób?

Christian podał jej list. Wzięła go i przejrzała nazwiska, które przepisywała dzień wcześniej.

– Spędziłam w Indiach zaledwie pół roku, choć, z drugiej strony, jako członek rodziny gubernatora. – Urwała, wpatrzona w kartkę, a potem ściągnęła usta. – Na tyle, na ile pamiętam, wszystkie te osoby należą do grupy nazywanej potocznie koterią pałacu gubernatora, aczkolwiek zapewniam was, że gubernator nie ma z nimi nic wspólnego. To młodzi ludzie, dość nieokiełznani, wśród których Ferrar wiódł prym.

– Znał więc każdego z nich osobiście? – spytał Royce.

– Trudno powiedzieć. – Emily się skrzywiła. – Z całą pewnością spotykał się z nimi na gruncie towarzyskim, na ile jednak blisko znał się z

poszczególnymi osobami... W zasadzie nie zadawałam się z tymi ludźmi. Cytując moją ciotkę, są dość szybcy, a ona jest mistrzynią eufemizmów.

– To by uwiarygadniało teorię, że ta część listu stanowi towarzyską łapówkę – powiedziała Clarice, unosząc brwi.

Royce odebrał od Emily kopię i złożył ją.

– Tak czy owak, wkrótce poznamy prawdę. Najpóźniej jutro. – Spojrzał na pozostałych. – Otrzymałem potwierdzenie, że Monteith dotarł wczoraj do Oxfordu. Tę noc powinien spędzać w Bedfordzie. Przy odrobinie szczęścia on i jego obstawa jutro do nas dołączą.

– Jego obstawa? – spytał Gareth.

– Dwaj kolejni moi byli szpiedzy – odparł Royce. – Charles St. Austell, hrabia Lostwithiel, oraz Deverell, wicehrabia Paignton.

– Ach. – Minerva wstała i przeszła przez pokój, żeby pociągnąć za sznur dzwonka. – To znaczy, że jutro przybędą Penny i Phoebe z dziećmi. Muszę przygotować dla nich pokoje.

Royce spojrział na nią, ale nie wygłosił ani słowa komentarza, kiedy szybko wydawała polecenia przybyłemu na wezwanie kamerdynerowi.

Dopiero kiedy kamerdyner odszedł, a Minerva na powrót usiadła obok niego, Royce podjął:

– Wygląda na to, że Monteithowi także towarzyszy dama.

– Dama? – Del zmarszczył brwi. – Skąd się wzięła?

– Zdaje się, że z Guernsey. Z jakiegoś powodu major trafił na tę wyspę, a wtedy... – Na czole Royce'a pojawił się mars. – Nie znam szczegółów, jako że St. Austell tradycyjnie ich poskapił, zrozumiałem jednak, że bardzo pomogła Monteithowi w dalszej podróży do Plymouth, on zaś uznał potem za konieczne zatrzymać ją przy sobie dla ochrony przed członkami kultu.

Gareth i Del wymienili spojrzenia. Wiedzieli wszystko na temat chronienia przed kultem osób, które udzieliły im wsparcia. Zwłaszcza kobiet.

– Zatem – ciągnął Royce – jeśli Monteith nie napotka dalszych przeszkód, będziemy wiedzieli, że jedynym związanym z listem zagrożeniem, którego obawiali się przywódcy kultu, było ujawnienie powiązań Ferrara z Czarną Kobrą. I przeciwnie, jeśli członkowie kultu nie zarzucą prób zdobycia przewożonej przez Monteitha kopii, stanie się jasne, że pozostali przy życiu przywódcy Czarnej Kobry boją się, abyśmy nie dowiedzieli się czegoś z treści listu, przy czym bez wątplenia chodzi o nazwiska.

Emily zamruwała.

– Przecież mamy już kopię listu, znamy te nazwiska.

– Zgadza się – potwierdził z uśmiechem Royce – ale Czarna Kobra o tym nie wie. W rzeczy samej, po cóż zawracalibyśmy sobie głowę sporządzaniem dodatkowej kopii, skoro zależy nam wyłącznie na pieczęci? – Patrzy! na nią nadal, lecz jego spojrzenie stało się odległe. Później omiół wzrokiem pozostałych. – Rodzi to jednak zasadniczą kwestię. Znamy treść listu, lecz same nazwiska nic nam nie mówią. Ze słów Emily wynika, że niewiele osób w Anglii będzie wiedzieć cokolwiek o tych ludziach, w każdym razie nie w kontekście tego, czym zajmują się w Indiach.

– Zrobił chwilę przerwy. – Widocznie więc Czarna Kobra obawia się, że pokażemy ten list jakiejś konkretnej osobie. Komuś, dla kogo te nazwiska, a przynajmniej część z nich, będą znaczyć na tyle dużo, by zidentyfikował ich właścicieli jako najbliższych współników Ferrara.

– Najbardziej oczywistymi kandydatami wydają się członkowie rodziny – zauważył Christian – nie sądzę jednak, żeby Shrewton kłamał, a tym bardziej, żeby robił to Kilworth. Obaj nie mają pojęcia, z kim Ferrar przestawał w Indiach.

– Być może nie poznał ich w Indiach – powiedziała Emily. – Być może nastąpiło to tu, w Anglii, przed jego wyjazdem. Jeśli utrzymywał z kimś bliskie relacje tutaj, a później ci sami ludzie pojawili się tam, z pewnością to oni byliby jego najbliższymi przyjaciółmi.

– Najbliższymi i prawdopodobnie współorganizującymi z nim kult Czarnej Kobry. – Gareth spojrzął na Dela.

– Jako że kult powstał niedługo po przybyciu Ferrara do Bombaju, byliśmy pewni, że brał on udział w jego tworzeniu, nie znaczy to wszakże, że przyjaciele, którzy dołączyli wkrótce potem, nie mogli go wspomagać.

– Rzeczywiście. Niewykluczone wręcz, że to od nich wyszedł pomysł. – Del skinął głową. – Emily ma rację. Musimy ustalić, z kitu Ferrar przyjaźnił się w Anglii, a potem sprawdzić, czy którekolwiek z tych nazwisk pojawia się w liście.

– W tej sprawie stawiałbym na pomoc Kilwortha – rzekł Royce. Zastanawiał się przez chwilę, po czym ściągnął usta. – Poczekajmy, jak jutro potoczą się sprawy z Monteithem, jeśli jednak Kobra nie zaprzestanie ataków, z całą pewnością trzeba się będzie przyłożyć do zdobycia informacji o niegdysiejszych przyjaciółach Rodericka Ferrara.

Godzinę później Emily weszła przed Garethem do przydzielonej jej sypialni. Gareth otrzymał pokój na dole, znacznie mniejszy – miejsce na pozostawienie bagaży i niewiele ponadto.

Nikt w tym domu nie zaprzętał sobie głowy zachowaniem pozorów.

Nieomal tańcząc, okręciła się i zatrzymała przed kominkiem, na którym rozkosznie trząskał ogień. Na dworze panował mróz, lecz w środku... nigdy w życiu nie czuła się tak rozluźniona, tak zwycięska.

Odwróciła się z rozpostartymi ramionami i posłała Garethowi uśmiech.

– Jesteśmy u celu! – Chwyła go za klapy surduta i przyciągnęła do siebie; podporządkował się z uśmiechem. Popatrzyła nań promiennie. – Ledwie mogę w to uwierzyć. Po tak długiej podróży, wszystkich tych atakach, wszystkich potwornych niebezpieczeństwach, oto jesteśmy u celu, cali i zdrowi. – Spojrzała w jego orzechowe oczy. –I jesteśmy razem.

Delikatnie objął ją w pól.

– Jesteśmy – przytaknął. – Muszę ci jednak coś wyznać.

Zaskoczona, znów baczenie zajrzała mu w oczy, lecz znalazła w nich tylko znajome ciepło. Uspokoila się.

– Co takiego? – spytała zachęcającym tonem.

– No tak, cóż, w tym właśnie rzecz. – Uśmiechnął się ponuro, choć nadal swobodnie. – Byłem zdecydowany nigdy nie wypowiedzieć tych słów, poprzysiągłem sobie, że nie przejdą mi przez usta, ale po dzisiejszym dniu, po tym, jak siedziałem w powozie, ślepy, nie wiedząc, czy nic ci nie grozi, czy lada moment nie przydarzy ci się coś strasznego... – Wyraz jego twarzy się zmienił, spłynęło z niej całe ciepło, a w jego rysach uwidoczniła się znacznie potężniejsza emocja.

Serce mocno zatłukło się Emily w piersi, kiedy, zadziwiona, rozpoznała tę emocję.

– Prawie się załamałem. Byłem bliski odrzucenia wszelkiej ostrożności, całego rozsądku, chciałem otworzyć drzwi powozu i ruszyć za tobą.

Uwięziona przez mroczne spojrzenie Garetha, puściła jedną klapę jego surduta i oparła mu dłoń na piersi, na wysokości serca.

– Lecz nie zrobiłeś tego.

– Nie. Nie zrobiłem. Niewiele brakowało, ale nie zrobiłem. – Skinął głową, zaciskając wargi i nadal patrząc jej w oczy. – Zatem tak, Emily Ensworth, zbudujemy życiowe partnerstwo, będziemy sobie nawzajem ufać i

dzielić wszystkie wyzwania. Kiedy wcześniej o tym rozmawialiśmy, nie byłem pewien, jak daleko zdołam się posunąć, jak wiele z tego, czego pragniesz, zdołam ci dać. Teraz już to wiem. Ten dzień mi to pokazał. Nie chodzi o to, że podołasz zadaniu, nie wątpiłem bowiem w ciebie ani razu od chwili, kiedy poznałem cię w Bombaju, gdy przyjechałaś z listem Jamesa. Zawsze byłem z ciebie dumny, podziwiałem cię, twoją siłę i charakter. Na długo przed dzisiejszym dniem wiedziałem, że ty poradzisz sobie z każdym wyzwaniem, również z tym, jakim jest dzielenie ze mną życia. Dziś jednak odkryłem, że także ja umiem podołać temu zadaniu, że jeśli trochę się mnie przymusi, potrafię zaufać twojej sile i umiejętnościom, podobnie jak ty, jakże często w trakcie naszej podróży, pokładałaś wiarę we mnie.

Odetchnął potężnie; Emily poczuła, jak jego pierś się unosi. Nie wyrzekła ani słowa, zbyt zafascynowana, zbyt skora usłyszeć, co on lada moment powie.

Gareth zajął w jej ciemnozielone oczy, błyszczące zachętą i miłością, jakiej nie spodziewał się kiedykolwiek znaleźć.

– Nigdy nie będę łatwo aprobował sytuacji, kiedy narażasz się na niebezpieczeństwo bez mnie u boku, dziś jednak przekonałem się, że umiem sobie poradzić z tą moją słabością, nie ma więc dłużej powodu, bym wstrzymywał się z wypowiedzeniem słów, których poprzysiągłem sobie nie mówić.

– Jakich słów? – Prawie że wibrowała w jego ramionach, tak pełna życia i energii, i cała jego.

Uśmiechnął się, a później po prostu pozwolił owym słowom paść, popłynąć z jego ust i zwyczajnie być, jako świadectwo prawdy.

– Kocham cię. Jesteś dla mnie słońcem, księżycem i gwiazdami, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Tak, pragnę cię poślubić, pragnę rozpaczliwie, lecz owo pragnienie wynika wyłącznie z mojej potrzeby.

Potrzebuję cię, potrzebuję twojej miłości. Pragnę, byś stała się moją przyszłością. Zaczęliśmy już zamalowywać moją czystą kartę, lecz nie zdołam dokończyć obrazu przyszłości, jeśli ty nie znajdziesz się w jego centralnym punkcie.

Przysunęła się do niego i oplótła ramionami jego szyję.

– Byłam dziś z ciebie taka dumna, kiedy pozwoliłeś mi odegrać moją rolę – powiedziała głosem przepełnionym szczęściem. – Jakkolwiek MacFarlane ani przez moment mnie nie pociągał, kobiety również mają swój honor i chciałam, musiałam w jakiś naprawdę istotny sposób przyczynić się do pokonania Czarnej Kobry. Teraz, kiedy już tego dokonałam, mogę pozostawić tobie i innym mężczyznom tutaj zadanie pojmania tego nikczemnika, kimkolwiek jest, i doprowadzenia go przed oblicze sprawiedliwości. Teraz – wspięła na palce, przybliżając usta do jego ust – mogę skupić uwagę, całą moją uwagę i energię, na nas. Na naszym partnerstwie, naszej przyszłości. Na naszym małżeństwie.

Patrzyła na niego, a jej oczy promieniały uczuciem.

– Jesteś moim jedynym, tym jedynym, na którego tak długo czekałam, w poszukiwaniu którego wyruszyłam do Indii, tym jedynym, którego kocham całym sercem. Teraz, gdy cię znalazłam, nigdy nie pozwolę ci odejść.

– To dobrze – rzekł z uśmiechem.

Pocałował ją... albo to ona pocałowała jego. W przypadku prawdziwych partnerów nie miało to znaczenia. Liczył się tylko żar, który natychmiast przebudził się do życia i otulił ich oboje.

Pociągnął za sobą i uwiódł.

Buchnął ogień.

W zatraceniu zrzucili z siebie ubrania. Ledwie zdolali dotrzeć do łóżka. I nie było już nic poza namiętnością, pożądaniem i potrzebą zjednoczenia. Byli razem.

Powiązani, spleceni, stopieni w jedno.

Dając, biorąc i walcząc o więcej.

Zawłaszczając, a potem ulegając.

Emily miała ulubione powiedzonko, że czyny zawsze mówią głośniejszy niż słowa. Gdyby Gareth powątpiewał w prawdziwość owego twierdzenia, tej nocy by go przekonała.

Wzięła go w siebie z radością, która przyćmiewała każde z jego wcześniejszych doświadczeń, przyjęła go i dała mu więcej, aniżeli potrafił ogarnąć rozumem.

Była dlań wszystkim, teraz i na zawsze.

Emily nie wyobrażała sobie radości większej niż ta, jaką odczuwała, gdy rozpadała się pod nim na kawałki i, patrząc nań z bojaźliwością i miłością, obserwowała jego twarz w chwili, kiedy się w niej zatracił.

Widziała to, co wcześniej starał się ukryć.

Widziała wrażliwość, z którą się pogodził, którą zaakceptował i zaczął cenić w sobie.

Widziała w jego oczach miłość i skrajne oddanie.

Widziała wyraźnie jego samego – jej wojownika z odsłoniętym sercem.

Opadli na łożo, opleceni ramionami, niechętni, by wypuścić się z objęć nawet teraz, gdy leżeli zaspokojeni, czekając, aż zwolni bicie ich serc, aż odzyskają poczucie rzeczywistości.

Kiedy wreszcie uwolnił się z jej objęć, wysunął z niej i padł na brzuch u jej boku, Emily już snuła plany.

– Zaczekamy tutaj. – Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Garetha. – Z radością poczekam, aż przybędą dwaj ostatni, Monteith i Carstairs. Aż obaj będą bezpieczni. – Przekręciła się na łóżku i powiodła dłonią po jego plecach. – Dopóki to nie nastąpi, nie zdołasz się skoncentrować na naszej przyszłości i, szczerze mówiąc, ja też nie.

Patrzył na nią jednym okiem, po czym sapnął i odwrócił ku niej głowę.

– Wkrótce się tu zjawią. Logan jutro, a choć Royce nie wspominał, kiedy możemy oczekiwać Rafe'a, jestem pewien, że będzie to nie później niż za dwa dni.

– To dobrze – stwierdziła z leniwym uśmiechem. Choć nadal się uśmiechała, jej spojrzenie stało się odległe. Ciągłe gładziła Garetha po plecach.

– O czym myślisz? – spytał po chwili zaciekawiony. Znow skupiła na nim uwagę, uśmiechając się szerzej.

– Co powiedziałyby moja rodzina, gdyby mnie teraz zobaczyła.

Spojrzał na nią z udanym przerażeniem i przesunął głowę z powrotem na poduszkę.

– Dzięki Bogu, to niemożliwe.

– Rozumiesz, że on musiał umrzeć, prawda?

W salonie zarekwirowanego przez nich na kwaterę główną domu w Bury St. Edmunds Alex napełnił szklaneczkę Daniela wyśmienitą brandy z karafki, którą Roderick nie tak dawno wy dostał z zamkniętego na klucz kredensu.

Jakże adekwatnie, pomyślał Daniel, upijając spory łyk. Alex, zwykle zachowujący wstrzeźliwość, tego wieczoru także sącył brandy.

– Biedny Roderick. – Alex pokręcił głową i odstawił karafkę na kredens.

– Tak... tragicznie nieskuteczny.

– Rzeczywiście. – Daniel pociągnął kolejny łyk. Nadal czuł się odrobinę zaszokowany. Nie śmiercią Rodericka jako taką; przypuszczał, że to od jakiegoś czasu wisiało w powietrzu, skoro właśnie bezmyślność ich przyrodniego brata, tego idioty, wpakowała wszystkich trzech w obecne bagno. A jednak nie zorientował się z wyprzedzeniem. Nie wyczytał nic z oczu Aleksa, dopóki sztylet nie sięgnął celu.

Niemniej Alex miał rację. Roderick musiał umrzeć, w tym miejscu, w tym czasie. Dzięki przytomności umysłu Alexa oni dwaj ocalili skórę.

Daniel uniósł szklaneczkę i popatrzył w oczy Aleksowi, który tymczasem usiadł na pobliskiej sofie.

– Za Rodericka, tego idiotę, do samego końca przekonanego, że ojciec zawsze go wybroni. Choć głupiec, był naszym bratem. – Wypił.

Alex pociągnął niewielki łyk.

– Przyrodnim. – Uśmiechnął się.

Daniel uniósł szklaneczkę na znak, że usłyszał, ale zachował milczenie. On i Alex także mieli różne matki. Zajrzał do szklaneczki i uznał, że zrobi lepiej, jeśli przestanie pić.

– Jednak Roderick już się nie liczy, mój drogi. My się liczymy. – Alex mówił cicho, niemniej wyraźnie, jak zwykle w sposób nieznoszący sprzeciwu. – I jeśli chcemy uniknąć stryczka, musimy podjąć stosowne kroki.

– Niewątpliwie. – Daniel odstawił szklaneczkę i pochwycił wzrok Aleksa. – Jak zawsze, jestem na twoje rozkazy, aczkolwiek przypuszczam, że powinienem sprawdzić, co z Monteithem. Musimy zdobyć jego kopię. Alex skinął głową.

– Zajmij się tym, a ja przygotowuję kolejne przenosiny. Niestety, tutaj znajdujemy się zbyt blisko miejsca, gdzie skończył Roderick. Naszym przeciwnikom może przyjść do głowy, żeby nas poszukać. Do czasu, gdy

wrócisz z listem Monteitha, zorganizuję dla nas nowe lokum, gdzieś niezbyt daleko.

– A potem trzeba będzie przyszykować się na powitanie Carstairsa.

– W rzeczy samej. – Aleksowi oczy zaślniły. – Jutro zacznę pracować także i nad tym. Skoro wiemy już, że płynie Renem, i to w niezłym tempie, wydaje się niemal pewne, że będzie podróżował przez Rotterdam. Wysłałem rozkazy do naszych ludzi po drugiej stronie kanału, żeby zgotowali mu bardzo ciepłe powitanie. Niemniej skoro trzej pozostali przybyli w te okolice, jak oceniasz szanse na to, że kieruje się do Felixstowe albo Harwich? Ostatecznie, z tych dwóch portów można najszybciej i najwygodniej dostać się do tej części kraju.

– To on wiezie oryginał, zgadza się? Alex przytaknął.

– Sam fakt, że przybywa najbardziej bezpośrednią trasą... Osoba, która pociąga za sznurki, nie chce, żeby przywabił członków kultu, lecz stara się zapewnić mu najkrótszą i najbezpieczniejszą drogę do celu. Dlatego właśnie pojawia się ostatni i dlatego też Monteith nadciąga z przeciwnej strony.

– Zatem Carstairs wkrótce tu będzie.

– Owszem, choć to, co zaplanowałem dla niego w Rotterdamie, powinno go przynajmniej spowolnić. Więcej nam nie trzeba. – Alex spojrzał na Daniela. – Zajmij się Monteithem, a mnie zostaw zorganizowanie powitania dla Carstairsa. Kiedy wrócisz z listem Monteitha, wszystko będzie gotowe. – Alex uśmiechnął się okrutnie.

– Kimkolwiek jest człowiek, który pociąga za sznurki, gwarantuję, że Carstairs nigdy do niego nie dotrze.

Daniel skinął głową i wstał.

– Lepiej już wyruszę, jeśli mam tej nocy dołączyć do naszych ludzi.

– Gdzie dokładnie są?

– W opuszczonej stodole w pobliżu wsi Eynesbury. Rozkazałem im pilnować Monteitha i nie dopuścić, by dotarł do Cambridge. Będą wiedzieć, gdzie się zatrzymał na nocleg. – Daniel uśmiechnął się na myśl o nadciągającej rzezi.

– Chyba złożę majorowi Monteithowi nocną wizytę.

– Świetnie. – Alex zrozumiał jego plan. – Kto wie, jakie sposobności przyniesie nam kolejny dzień? Uważaj na siebie, mój drogi. Do zobaczenia jutro, kiedy będziesz miał kopię Monteitha.

– Do jutra. – Daniel pozdrowił go uniesieniem dłoni.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, nie widział zatem, jak Alex odprowadza go wzrokiem.

Nie poczuł na plecach ciężaru przeszywającego spojrzenia tych lodowato niebieskich oczu.

Kiedy Daniel wyszedł przez otwarte drzwi i zniknął w mroku, Alex nie ruszył się z miejsca, wpatrzony w pustkę.

Rozmyślał.

Upłynęło kilka minut.

Wreszcie odwrócił się i spojrzał w kierunku drzwi na drugim końcu pokoju.

– M'wallah!

Kiedy pojawił się fanatyczny dowódca jego osobistej straży, Alex polecił zimno:

– Niech ktoś osiodła dla mnie konia i przygotuje mi bryczesy, rajtrok i ciepłą pelerynę. Nie będzie mnie całą noc.